

Shirley Conran

Szkarłat

Przełożyły Ewa Mikin, Magdalena Rakowska i Małgorzata Stefaniuk

Drogiej przyjaciółce Jennifer d'Abo

Kobiety szukają w życiu miłości, mężczyźni władzy.

Ci ostatni pragną jej równie silnie, jak kobiety pragną miłości; kobiety są przekonane, że nie rozumieją, czym jest władza, ale już w pokoju dziecięcym, kiedy powiada się, że ktoś postawił na swoim, oznacza to władzę.

Elinor Dow, *Płonące serce*

Księga pierwsza

Rozdział 1

PONIEDZIAŁEK, 5 LIPCA 1965

W półmroku dużej sypialni Chateau Saracen na kremowych storach tańczyły refleksy lipcowego słońca, idące od Morza Śródziemnego. Chuda, wymęczona upałem, ubrana na biało pielęgniarka o ziemistej twarzy i podkrążonych oczach wyszła właśnie z łazienki, niosąc małą tacę.

Kiedy zegar kościelny wybił południe, sprawdziła godzinę na swoim zegarku i powoli podeszła do łóżka. Wspaniała, szeroka na dwa metry konstrukcja z baldachimem i brokatowymi kotarami wyszywanymi w złote lilie, zwieńczona ornamentem z kutego srebra, należała niegdyś do hiszpańskiej księżniczki. Imponujący mebel tylko dlatego nie wydawał się wulgarny, że poza tym pokój urządzony był prosto i oszczędnie.

Jutro będą tutaj harcować, pomyślała pielęgniarka, chociaż stara zaczynała sprawiać takie wrażenie, jakby miała jeszcze trochę pożyć. Do tej pory wnuczki okazywały tylko troskę i zaniepokojenie, ale kiedy dowiedzą się, że odeszła, zaczną się bal! Zawsze kiedy nadchodził koniec, rozpętywało się piekło. Sprzeczne uczucia i chwilowy paraliż wywołane wstrząsem ustępowały miejsca gorączkowym szeptom i cichym oskarżeniom, potem zaczynały się drobne intrygi, jeszcze później sprzeczki, wreszcie otwarte, zajadłe kłótnie.

Krew nie woda, kiedy przychodzi do pieniędzy, pomyślała pielęgniarka. Doświadczenie powiadało jej, że każda rodzina jest niczym gotujący się kocioł pełen roszczeń i oczekiwań, rozczarowań i podejrzeń, nieodpowiedzialności, chciwości i strachu. Łoże śmierci stawało się często miejscem, gdzie wszystkie te uczucia dochodziły do punktu wrzenia.

Fortuna, jaką niewątpliwie posiadała stara, była szczególnie łasym kąskiem, zdolnym ujawnić najgorsze cechy charakterów jej bliskich.

Ostrożnie postawiła tacę na stoliku przy łożu i sięgnęła po strzykawkę. Iak zawsze, nie mogła się nadziwić, do czego ludzie potrafią się posunąć dla pieniędzy. Do wszystkiego, jeśli są pewni, że ujdzie im to na sucho, zawyrokowała, przesuwając tłoczek i wypuszczając powietrze przed wbiciem igły w wychudzone ramię leżącej w łożu kobiety.

Choć mówiła trochę po angielsku, nie mogła uchwycić sensu rozmów, jakie obcokrajowcy prowadzili między sobą. Nie musiała, była pewna, że do tego

zakątka Francji przyciągnął ich zapach pieniędzy. Teraz, kiedy już pojawili się tutaj, wiedziała, że wróca. Wystarczyło raz usłyszeć syreni śpiew południa Francji, z jego cudownie zmysłowym pejzażem, ostrym słońcem, zachwycającym światłem, błękitnym morzem, sosnowym powietrzem, by już zawsze chcieć wracać do tych miejsc, do wspaniałego jedzenia i lekkiego, młodego wina.

Na szczęście w lipcu i sierpniu turyści grasowali tylko w znanych kurortach i nie zapuszczali się do małych wiosek słonecznego skrawka nadmorskiej ziemi zwanego Côte d'Azur. Położone na południowym stoku wzgórza, sto metrów nad poziomem morza, przycupnięte wokół jedenastowiecznego zamku, średniowieczne Saracen było właśnie jedną z takich zapomnianych wiosek.

Odniosła tacę do łazienki i stanęła w oknie, napawając oczy wspaniałym widokiem. Porośnięte cedrami i sosnami zbocze, na którym stał zamek, opadało z obydwu stron stromo ku lazurowemu morzu. Kiedy wychyliła się bardziej, mogła dojrzeć ciągnące się na północ od wioski lasy, pełne płowej zwierzyny i dzikiego ptactwa.

W dole, poniżej zamku, widziała skąpane w słońcu kamienne łuki i wąskie uliczki, platany o przywiedłych od upału liściach, zziajane psy, kryjące się w ich cieniu, i zawarte na głucho okiennice domostw, chroniące przed żarem wysysającym z ludzi resztki energii. Przed czwartą oko nie dojrzy żadnego wieśniaka. Letnie upały Riwiery sprawiały przyjemność, jeśli nie trzeba było pracować; na mocy tradycji sięgającej niepamiętnych czasów nikt też nie pracował w godziny skwaru.

Ziewnęła zazdroszcząc sjesty wieśniakom z Saracen, którzy schronili się na całe popołudnie w chłodzie domów, by drzemać, kochać się albo po prostu cieszyć chwilowym oderwaniem od rzeczywistości. Kusząca perspektywa. Kiedy zegar na wieży kościelnej wybije czwartą, otworzą okiennice, rozprostują członki, będą wymieniać pozdrowienia oparci o kute balustrady balkonów i zachowywać się niczym Śpiąca Królewna przebudzona ze stuletniego snu.

Znowu ziewnęła. Nie mogła się teraz zdrzemnąć. Musiała czuwać przy starej, za to jej płacono. Podeszła do nieruchomej postaci, sztywno leżącej w zdobnym łóżu.

Zatrzymała się raptownie. Jej pacjentka poruszyła się lekko i jęknęła. Elinor O'Dare to odzyskiwała chwilami przytomność, to znów zapadała w morze nieświadomości.

Przez długi czas czarna zasłona strachu i bólu była jedyną rzeczywistością, jaką rejestrował jej umysł. Zdezorientowana, nie wiedziała już, gdzie jest niebo, gdzie

ziemia. Była słaba i oszołomiona, jakby unosiły ją jakieś potężne fale, a ona cierpiała na chorobę morską. Czuła, że jeśli się tylko poruszy, wokół jej głowy zaciśnie się metalowa obręcz jeszcze zwiększając nieznośny ból.

Dawno temu, w czasie pierwszej wojny światowej, kiedy opiekowała się umierającymi żołnierzami, tym, co ją przerażało najbardziej, były odgłosy ich cierpienia, jęki i krzyki dochodzące ze skrwawionych noszy i zlanych potem łóżek. Nawet teraz potrafiła jeszcze przywołać na pamięć słodki zapach śmierci. Pamiętała atmosferę strachu panującą na jej oddziale; teraz, zanurzona w czarnej mgle, odczuwała go sama.

Czy umiera? Przemknęło jej przez myśl pytanie, nieważkie, jak kołujący na wietrze jesienny liść. Jeśli tak, to cierpienia ustaną i nic już nie będzie się liczyło. Fale bólu jakby rzeczywiście odpływały. Czuła nadchodzący spokój. Czy wolno jej mieć nadzieję, że boleść ustąpi, czy też zagniewa tylko bogów ciemności, którzy naślą jeszcze silniejszy? Nie, nie było wątpliwości, ból powoli, ale definitywnie, opuszczał jej ciało.

Wreszcie, po tak długim czasie, mogła zaznać zapomnianej niemal radości, zapomnieć o cierpieniu. Znękane ciało zaczynało się odprężyć, ale nie śmiała jeszcze wykonać żadnego ruchu z obawy, że cierpienie powróci. Z uczuciem takim, jakby nie oddychała od wielu godzin, spróbowała ostrożnie wciągnąć głęboko do płuc powietrze.

Natychmiast tysiące igieł przeszło jej pierś. Chciała instynktownie krzyknąć, ale nie mogła dobyć głosu. Coś twardego i gładkiego zaciskało się na jej twarzy, przygniatało ją coś, czego nie była w stanie dojrzeć.

Mimo że nie mogła się poruszyć, zmysły słuchu i węchu działały. Kiedy skupiła uwagę, słyszała odległe monotonne uderzenia fal o skały pod oknem, czuła ciepło słońca, wdychała zapach prowansalskiego lata.

Nagle uświadomiła sobie, gdzie jest!

Znajdowała się we własnym łóżku w Saracen. Czuła delikatną bryzę, niosącą od lądu zapach rozmarynu, tymianku i nagrzanym słońcem skał.

Pomyślała, że musiała śnić jakiś koszmar, jedno z tych strasznych przywidzeń, które wydają się tak rzeczywiste, nawet jeszcze długo po przebudzeniu. Pomyślała, że powinna otworzyć oczy i zadzwonić po śniadanie. Kubek kawy z mlekiem, *croissanty* i owoce, poranne gazety i poczta pozwolą jej wrócić do rzeczywistości.

Powieki wydawały się tak ciężkie, że trudno było je unieść. Kiedy wreszcie powoli, z wysiłkiem uchyliła je odrobinę, dojrzała złoty poblask słońca.

Tak. Wszystko jest na swoim miejscu. Nad kominkiem wisi obraz w bogatej

ramie, namalowany osiem lat temu, w 1957 roku; naturalnej wielkości podobizny trzech dziewcząt w białych sukniach balowych, siedzących na niebieskiej sofie w ciemnym salonie. Bez trudu można się domyślić, że to siostry, z jednakowym u wszystkich wyrazem szczęścia na twarzy. Chociaż różniły się karnacją i kolorem włosów, wszystkie miały ten sam, mały prosty nos i duże, podłużne, błękitne oczy.

Po lewej osiemnastoletnia Klara, ciemna i drobna, nachylona do przodu z poważną miną, podająca różę rudowłosej Annabel, bez wątpienia rodzinnej piękności. Miranda, chuda szesnastolatka, uczennica o bladej twarzy i nie farbowanych jeszcze na dziwaczny, marmoladowy kolor płowych włosach, przycupnęła na skraju sofy niczym mały ptak. Lekko nieobecna, obdarzona takim samym, jak pozostałe siostry wdziękiem, sprawiała wrażenie gotowej wyfrunąć w świat.

Tylko Annabel można było nazwać pięknnością, Klara miała zbyt surową buzię, Miranda zaś nieco za ostre rysy. Wszystkie trzy odznaczały się jednak tym zadowoleniem z życia i pewnością, które biorą się z urodzenia i przywilejów. Co ważniejsze, zdaniem Elinor wszystkie trzy przypominały Billy'ego.

Ten portret zawsze był dla niej pociechą. Wspomniała radosne chwile, kiedy dziewczęta były jeszcze małe i kiedy ona robiła sobie dzień wolny, żeby zabrać je na herbatę albo na zakupy. Wszystkie trzy drżące z niecierpliwości i oczekiwania dziewczynki musiały wtedy porządnie wyglądać: podciągnięte skarpetki, kokardy we włosach.

Elinor rzadko zaznawała w życiu chwil podobnego szczęścia. Nigdy nie nadchodziły, kiedy ich wyczekiwała, rozkwitały nagle, w najmniej oczekiwanych momentach. Dawno temu zrozumiała, że szczęścia nie sposób zaplanować, ale można stawiać sobie cele i potem konsekwentnie je realizować, a to potrafiła robić, powiodło się jej też ponad wszelkie oczekiwania. Pomimo początkowych trudności, zdrad, rozczarowań i prawdziwego znoju, odniosła sukces; jej dwadzieścia dwie powieści opublikowano w czterdziestu krajach, listy od czytelników napływały całymi workami, stała się powszechnie szanowaną postacią. Legendarna Elinor O'Dare była sławna i bardzo, bardzo bogata.

Legendarna Elinor zamruęła teraz gwałtownie powiekami. Pałący ból powrócił, znowu zagnieździł się w umęczonym ciele. Do jej świadomości dotarło wreszcie, że nie może wykonać żadnego ruchu. Członki wydawały się zupełnie pozbawione władzy. Próbowwała zmusić ręce, by się uniosły, ale odmawiały posłuszeństwa. Była sparalizowana. Nie śniła. Nie mogła się poruszyć!

Chciała coś powiedzieć, krzyknąć – z gardła nie dobywał się żaden dźwięk. Nie

potrafiła nawet otworzyć ust. W głowie czuła gęstą watę. Powoli uświadamiała sobie, że musiał to być wylew. Nie! To niemożliwe! Nie chciała tego! Nie skończyła jeszcze żyć!

Wysiłek myśli osłabił ją. Opuściła powieki i zapadła ponownie w czarną czeluść. Pragnęła przestać myśleć, ale gdzieś z zewnątrz dochodził do niej jakiś dźwięk, znajomy szelest nakrochmalonego fartucha pielęgniarki. Czuła szpitalny zapach eteru i kwaśny odór leków.

– Umieram? – szepnęła po francusku, zmuszając wreszcie wargi do niezdarnego ruchu.

– Nie. Proszę leżeć spokojnie – odezwał się opanowany, obojętny, rzeczowy głos pielęgniarki. Wiedziała, że tamta kłamie. W pierwszej chwili oburzyła się. Przywykła w pełni kierować swoim życiem, sama pisać jego fabułę, jak czyniła to w swoich poczytnych powieściach. Teraz stała się ofiarą własnej bezradności, była wydana na łaskę pielęgniarki. Niewidzialne, nie dające się powstrzymać pióro kreśliło słowo „Koniec”, nim Elinor gotowa była zamknąć swą historię. Tym razem nie będzie szczęśliwego zakończenia.

Przez całe lata unikała myśli o śmierci. Jak wielu ludzi o silnym charakterze, którym się powiodło w życiu, nie chciała uznać faktu, że pewnego dnia umrze. Nie zatroszczyła się o sporządzenie testamentu, bo to oznaczałoby podejmowanie nieprzyjemnych decyzji, decyzji dotyczących jej własnej śmiertelności. Odkładała to, zbywając delikatne acz stałe ponaglenia swojego adwokata, woląc nie pamiętać o temacie i myśląc o sobie jako o kimś niezniszczalnym.

Dzisiaj jednak, kiedy leżała tutaj, w zaciemnionym pokoju, zaczynała rozumieć, że niezniszczalne spotkało się z tym, co nieodwracalne. Miała tylko nadzieję, że zostało jej dość czasu na uporządkowanie własnych spraw. Musi szybko podjąć jakieś decyzje albo nie będzie miała szansy podjąć żadnych.

Czuła, że przeszkoda krępująca twarz ustąpiła, ale była zbyt zmęczona, by się poruszyć, myśleć czy uskarżać. Czuła się bezradna, wydana na łaskę jakiejś obcej, anonimowej istoty. Umieranie jest niewątpliwie upokarzające, a zdawała sobie sprawę, że bezradność to dopiero początek.

Nasłuchując jak pielęgniarka krząta się sprawnie, fachowo wokół jej łóżka, cofała się pamięcią do marzeń sprzed wielu lat, do 1917 roku, gdy opuściła małą rodzinne farmę koło Excelsior w Minnesocie, żeby zostać pielęgniarką służb pomocniczych. Miała siedemnaście lat i była idealistką, marzącą o odgrywaniu roli cichego anioła miłosierdzia. Pierwsza wojna światowa w wielu kobietach rozbudziła zapał do służby pomocniczej, dla wielu z nich był to pierwszy krok,

żeby wyrwać się z domu. Dla równie wielu było to nagłe pożegnanie ze złudzeniami.

Elinor pamiętała pierwsze wrażenia, gdy trafiła do szpitala polowego w północnej Francji, do którego ją przydzielono. Spodziewała się szpitalnej ciszy, znanej jej z czasów kursu pielęgniarskiego, zamiast tego wpadła w przerażające piekło oddziału C; zwierzęce jęki, zawodzenia, krzyki umierających, ludzie majaczący w gorączce, a wszystko to przy dźwiękach patefonu i piosenek Big Boys, mających podnosić na duchu tych, którzy mieli dość przytomności, by rozumieć, że umierają.

Teraz, niemal pół wieku później, świadoma, jak mało czasu jej pozostało, Elinor traciła cierpliwość równie nagle, jak nagle niegdyś prysnęły jej złudzenia. Unieruchomiona w łóżku stwierdzała ku własnemu zaskoczeniu, że nie chodziło o fizyczny akt umierania, ani tym bardziej o to, że miała zostawić wszystko, co z takim trudem wywalczyła. Nie, męczyło ją to, że dziewczęta nadal jej potrzebowały, potrzebowały jej siły, rady, wsparcia moralnego i emocjonalnego. Mimo że dwie z nich wyszły już za mąż, a trzecia prowadziła dobrze prosperujący interes, była przekonana, że nie poradzą sobie bez niej. Jej majątek będzie naturalnie stanowił dla nich wystarczające zabezpieczenie i zapewni odpowiednią pozycję społeczną, ale kto będzie służył im radą i opieką?

Mogła dać wnuczkom to, czego sama nie miała i czego nie mogła ofiarować swojemu jedynekmu synowi Edwardowi; życie niemal całkowicie wolne od trosk, życie, w którym był czas i możliwości, żeby dziewczęta mogły szukać szczęścia i cieszyć się nim, kiedy je znajdą, życie wolne od kłopotów materialnych, z jakimi ona sama borykała się przez czterdzieści pięć lat i które zniknęły dopiero wtedy, gdy dzięki odwadze jej Billy'ego ważyła się sięgnąć po sukces i napawać nim.

Na wspomnienie Billy'ego uniosła lekko powieki. Pomimo półmroku mogła dojrzeć oprawione w srebro fotografie, na stoliku przy łóżku. Jeszcze raz spojrzała w uśmiechnięte, ufne oczy jasnowłosego mężczyzny, którego tak bardzo kochała. Stał tam, lotnicze okulary odsunięte na czoło, ręce w kieszeniach zniszczonej kurtki, z tyłu widać było jego samolot, prymitywną maszynę z płótna i drewna.

Billy był jednym z niewielu, którzy przeżyli rekonwalescencję na oddziale C. Nawigator wypchnął go nieprzytomnego z zestrzelonego samolotu, nim ten stanął w płomieniach. Billy wyszedł z upadku ze wstrząsem mózgu, rozciętą głową i przestreloną lewą nogą, w której wywiązało się zakażenie.

Prawie pięćdziesiąt lat później Elinor z uczuciem szczęścia wspominała chwilę, gdy zakochała się w Billym O'Dare. Walki akurat przycichły, krótko po północy

usłyszała tłumiony szloch, dochodzący z łóżka numer 17. Chwyciwszy lampę pobiegła sprawdzić, co się dzieje. Łagodnie potrząsnęła młodego mężczyznę za ramię; śniło mu się coś złego, nic więcej. Pilot O'Dare, nie przestając płakać, chwycił dłoń Elinor. Jego twarz częściowo przysłaniał zawój z bandaży, ale lampa oświetlała oczy o zwężonych źrenicach pośrodku cudownie błękitnych tęczęwek. Pomyślała, że nigdy nie widziała czegoś równie pięknego.

– Przepraszam, że zrobiłem z siebie takiego głupca – bąknął.

– Wszystko w porządku. Wielu pacjentów ma złe sny – pocieszyła go, próbując cofnąć rękę. Przez woń wełnianych koców i aseptycznych bandaży czuła ostry zapach jego ciała. Uspokoił się już, wiedziała, że może odejść, pomimo to nadal tkwiła przy łóżku i wpatrywała się w jego twarz.

Pacjent numer 17 podniósł jej dłoń do ust, jasne wąsy łaskotały ją w kciuk. Przez moment myślała, że chce ją pocałować w rękę, ale on odwrócił dłoń, przytknął wargi do jej wnętrza i delikatnie polizał. Czuła na skórze wilgotny język, znowu pomyślała, że powinna odejść, ale nogi jakby wrosły w podłogę. Zrobiło jej się gorąco, wstrzymała oddech, pozwalając na tę kocią pieszczotę. Z transu wyrwał ją dopiero krzyk jakiegoś innego pacjenta.

Rano Elinor Dove знаła już na pamięć kartę choroby pacjenta numer 17. Wiedziała również, że dowódca samolotu, pilot William Montmorency O'Dare z brytyjskiego RAF-u liczy sobie dwadzieścia pięć lat.

Niczym na zasadzie tajemniczej osmozy cały oddział C wiedział, że siostra Dove zakochała się w O'Dare'em. Jej zielone oczy pod białym kornetem, przypominającym zakonny strój, błyszczały, policzki były bardziej zaróżowione niż normalnie, poruszała się sprężystiej, a siostra przełożona musiała zwrócić jej uwagę, żeby nie śpiewała pod nosem.

Kiedy nawigator Billy'ego, Joe Grant, odwiedził go na oddziale, natychmiast zorientował się w czym rzecz. Powiedział przyjacielowi, że jest szczęściarzem i że siostra Dove jest wyjątkową, odmienną od innych, istotą.

– Wy, mężczyźni, mówicie to o każdej z nas. Czym takim ja się różnię? – prychnęła gniewnie, gdy Billy powtórzył jej słowa Granta.

Billy popatrzył na nią z namysłem.

– Dziewczęta, tam w kraju – powiedział – są bladą imitacją w porównaniu z tobą. Ty masz w sobie tyle witalności, energii! To zaraźliwe! – Zawahał się. – Takie amerykańskie. Zaobserwowałem to samo u waszych żołnierzy. Francuziki ani Angole nie mają tego. Cokolwiek by to było, jesteś wyjątkowa.

Billy O'Dare wsparł się na ramieniu, przekrzywił obandażowaną głowę i z

uśmiechem obserwował siostrę Dove. Od tej chwili była na zawsze w jego władzy. Wiele lat po ślubie, kiedy знаła już prawdziwą cenę miłości, ten pełen irlandzkiego wdzięku uśmiech, będący kombinacją niewinności i aktorstwa, potrafił rozbroić ją w jednej chwili.

Wspomnienie tego pierwszego uśmiechu towarzyszyło jej przez wszystkie następne lata życia. Tak zapamiętała Billy'ego, takim zachowała go w pamięci. Takim chciała go zachować – uśmiechniętego bohatera z czasów wojny, który został jej romantycznym wybrankiem. Wszystkie późniejsze niemiłe wspomnienia kryła gdzieś w zakamarkach pamięci.

Patrząc na sepiowe zdjęcie w srebrnej ramce, żałowała, że nie istniała jeszcze wtedy kolorowa fotografia. Wszystkie trzy wnuczki odziedziczyły po Billym błękitne oczy, chociaż tylko Miranda miała jego rozbrajający uśmiech. Po Elinor wzięły...

Raptem znowu przypomniała sobie, że nie sporządziła testamentu. Dziedzictwo, tak, to była sprawa, której musiała jeszcze dopatrzeć. Zamknęła oczy, potem wysiłkiem woli otworzyła je na powrót. Obraz pokoju powoli wracał.

– Zechce pani otworzyć usta, *madame*. – Nad łóżkiem nachylała się pielęgniarka. – Jeszcze trochę. – Wlała Elinor do ust kilka kropel lekarstwa i ostrożnie otarła resztki z wysuszonych warg chorej.

– Gdzie... są... moje wnuczki? – wyszeptała Elinor z wysiłkiem.

Nie mogła poruszać lewą częścią twarzy, mówiła powoli, niewyraźnie, z trudem dobywając słów, jak człowiek zamroczony alkoholem. Mogła ruszać palcami prawej ręki i nogi, ale nie czuła palców po lewej stronie.

Z uczuciem narastającej paniki przypomniała sobie, że kiedy jako dziecko budziła się w nocy ze złych snów, chwytiała różaniec, by nie dać do siebie przystępu złemu; teraz szukała podobnej otuchy.

– Gdzie są moje wnuczki? – wychrypiała ponownie.

– Panie są chyba na tarasie. Zaraz je zawołam.

Pielęgniarka podeszła do okna i uchyliła okiennice. Tak, były tam, nie zważając na południowe słońce. Zawołała.

Ze swojego łóżka Elinor słyszała podniesione głosy, skrzypienie metalowych krzeseł o kafle posadzki. Uśmiechnęła się słabo, mrużąc oczy przed nagłą inwazją światła.

Kilka chwil później drzwi sypialni otworzyły się na oścież. Zobaczyła bladą, niespokojną twarz Klary, okoloną ciemnymi prostymi włosami.

– Kochanie, tak się martwiłyśmy. – Klara mówiła wysokim, miękkim głosem.

Podeszła spiesznie do łóżka, uklękła i ucałowała policzek babki, potem jej wychudzone dłonie.

– Powinna zachować spokój – przestrzegła pielęgniarka.

– Teraz moja kolej – powiedziała Annabel, odgarniając jeszcze wilgotne po kąpieli włosy. Przez ostatnie siedem lat piękna twarz wielkookiej Annabel spoglądała ze wszystkich reklam kosmetyków Avanti na całym świecie. Kiedy Elinor patrzyła na nią, wnuczka kojarzyła się jej z perską kotką, białym puchem i jasnoróżowymi peoniami. Była miękka, zmysłowa, kobieca. Delikatnie pogładziła babkę po pięknych, gęstych, siwych teraz u nasady włosach, rozsypanych na poduszce.

– Babciu, już myślałyśmy, że cię tracimy – szepnęła, całując zapadnięte policzki.

Obydwie siostry, bliskie łez, patrzyły kochającym wzrokiem na babkę. Tylko Klara zachowała mgliste wspomnienie rodziców, którzy zginęli w czasie bombardowania Londynu w 1941 roku. Od tamtej chwili Elinor była zawsze centralną postacią w życiu dziewcząt. Nie wyobrażały sobie świata bez niej. Była dla nich uosobieniem Isadory Duncan i Elinor Glyn w jednej osobie – dzielną, pełną dramatyzmu, nieśmiertelną postacią.

– Gdzie Miranda? – wyszeptała Elinor.

– Musiała na jeden dzień wrócić do Londynu, ma spotkanie w interesach – powiedziała Klara łagodnie. – Jesteśmy tutaj od dwóch tygodni. Annabel przyleciała z Nowego Jorku, kiedy tylko dowiedziała się o twojej chorobie, ale mnie zabrało trochę czasu, nim uporządkowałam swoje sprawy przed wyjazdem z Los Angeles. Miranda wraca dzisiaj wieczorem, przyleci tu helikopterem.

– A gdzie Buzz? – Buzz była wieloletnią przyjaciółką Elinor, a obecnie jej sekretarką.

– Pojechała do Nicei po lekarstwa dla ciebie. Potem miała być na lotnisku, sprawdzić, czy odnalazły się bagaże Annabel. Buzz nigdy nie traci nadziei!

– *Madame* powinna się uspokoić przed wizytą lekarza. – Pielęgniarka zdecydowanym ruchem otworzyła drzwi sypialni. – Proszę teraz wyjść, a ja go zawołam.

Annabel spojrzała wojowniczo na pielęgniarkę, najwyraźniej gotowa zlekceważyć jej polecenie, ale Klara natychmiast weszła w rolę najstarszej, odpowiedzialnej siostry.

– Nie upieraj się, Żaba – powiedziała przymilnie, używając dziecięcego przezwiska, nadanego Annabel z racji jej szerokich, zmysłowych ust. – Wrócimy,

jak tylko nam pozwolą.

I wypchnęła łagodnie siostrę z sypialni. Elinor spojrzała na pielęgniarkę błagalnym wzrokiem, który zdawał się mówić: „Proszę się spieszyć. Mam tyle rzeczy do zrobienia”.

Klara w białym bikini leżała na dmuchanym materacu koło basenu. Mała i koścista wyglądała jednak na szczupłą i drobną, pełną nieuchwytnego wdzięku osóbkę. Wydawało się, że przemknie między palcami, niczym źródłana woda z górskiego strumienia.

Obok leżała Annabel w jedwabnym szlafroku w kolorze wina, należącym do jej męża. Miała go zawsze w bagażu podręcznym razem ze zmianą bielizny, gdyż wydawało się, że reszta jej walizek podróżuje zawsze własnymi drogami. Tym razem było tak samo.

Kiedy odezwał się ogrodowy telefon, Annabel chwyciła natychmiast słuchawkę.

– Może to w związku z moim bagażem. Jeśli pojechał w nieznane, linie lotnicze będą musiały zapłacić za wszystkie nowe stroje. – Spojrzała z niesmakiem na przyciski telefonu, który służył również jako domowy interkom. – Nigdy nie nauczę się, jak to działa. Nacisnęła jeden z guzików, połączenie zostało przerwane. – Niech diabli wezmą tę maszynę. – Zobaczyła, że Klara obserwuje zaniepokojona jej zmagania. – Przepraszam. Czekalaś na rozmowę?

– Nie. Może... Myślałam, że... – Klara odgarnęła pasemka włosów z czoła. Nagle wybuchnęła płaczem, kryjąc twarz w dłoniach.

Annabel podniosła się z materaca i podbiegła do siostry. Objęła ją, przytuliła do siebie.

– Co się dzieje, skarbie? Wiedziałam, że coś jest nie tak! Inaczej nie targalabyś tutaj z Kalifornii Josha i jego niani. Powiedz. Czemu on nie dzwoni?

Klara uspokoiła się. Tonem pełnym oburzenia, pozbawionym zwykłej miękkości, opowiedziała siostrze o kłótni. Poszła na plażę z Joshem i nianią. Miała bóle menstruacyjne i wróciła wcześniej. W sypialni zastała męża w łóżku ze szczupłą, opaloną dziewczyną. Zrobiła scenę, potem wpadła do swojej garderoby i zaczęła się pakować. Zza okna dobiegł ją wizg opon ruszającego sprzed domu samochodu. Klęczała nad walizką lejąc łzy, kiedy usłyszała, jak wraca Josh z nianią i jak zanosząc się śmiechem wchodzą do domu. W tej samej chwili zadzwoniła z Nowego Jorku Annabel.

– Powiedziałaś mi, że babcia miała wylew – wspominała Klara, siłkując nosem.

– Moje biedactwo – mruknęła Annabel gładząc długie, ciemne włosy siostry.

– On tak potrafi kluczyć. Robi ze mnie histeryczną kretykę, gdy tymczasem sam jest zawsze winien. – Klara otarła łzy wierzchem dłoni. Zawsze sobie mówiła, że pomimo uganiania się za kobietami mąż ją kocha „na swój sposób”, że nigdy nie wystawi na szwank ich „prawdziwej” miłości i nie będzie narażał szczęścia Josha. Mówiła sobie, że przygody z innymi kobietami to tylko sposób potwierdzania własnej męskości i że żadnej z tych przygód nigdy na pewno nie traktował poważnie. Ale tego dnia uświadomiła sobie, że nie jest w stanie znieść dłużej upokorzeń. Zostawiła go więc.

Annabel w milczeniu obejmowała siostrę i czekała.

Wreszcie Klara podjęła przerwana opowieść.

– Nie miałam już ochoty na godzenie się, kwiaty, te same co zawsze przysięgi i ten sam co zawsze ból przy jego następnej zdradzie. Nagle przestało mnie po prostu obchodzić, co z nim będzie. – Uścisnęła siostrę. – Annabel, nie mów o tym nikomu, dobrze?

– Czy powtórzyłam kiedyś komuś jakiś twój sekret? Jeśli jednak odeszłaś na dobre, to prędzej czy później ludzie będą musieli się dowiedzieć. Jesteś pewna, że chcesz...

– Rozwieść się? Tak, zdecydowanie. Nie chcę, żeby Josh rósł mając za przykład takiego ojca.

– Niech tylko babcia nie dowie się o tym, przynajmniej jeszcze nie teraz. W ogóle nie mów nic nikomu, dopóki nie uznasz, że jesteś pewna.

Kiedy Annabel pocieszała siostrę, podeszła pokojówka.

– Ogrodowy telefon nie działa. Jest rozmowa z Nowego Jorku do panny Annabel – powiedziała po francusku.

– Odbiorę w sypialni. – Annabel poderwała się z dziecinnym entuzjazmem i pobiegła na górę do swojego apartamentu, którego okna wychodziły na brukowany dziedziniec i pobliski kościół.

– Kochanie? Wreszcie! Jakie wiadomości? – Annabel słyszała w tle odgłosy stacji telewizyjnej w Nowym Jorku, w której jej mąż był dziennikarzem; jednym z jedenastu reporterów dziennika, ale tylko jednym z trzech, którzy pokazywali się przed kamerą.

– Lokalne czy ogólnokrajowe, skarbie? Jest jedenasta rano i w Nowym Jorku żar leje się z nieba. Wczoraj Martin Luther King wygłosił przemówienie, w którym apelował o zakończenie wojny w Wietnamie, ale Johnson wysłał kolejne oddziały. Mój komentarz na dzisiejszy wieczór? Koncepcja Kennedy'ego szybkiej operacji wietnamskiej może skończyć się trzecią wojną światową. – Niemal widziała jego

kpiarski uśmiech. – Mam nadzieję, że twoje wiadomości są mniej alarmujące.

Annabel powiedziała mężowi, że Elinor odzyskała świadomość.

– To cudownie, kochanie. Kiedy wracasz?

– Nie wiem. Kiedy babcia poczuje się lepiej. Czemu pytasz?

Wahał się przez chwilę.

– Sidney chce z nami rozmawiać.

– Dlaczego? – Sidney był ich księgowym i jego imię uruchamiało natychmiast dzwonek alarmowy w głowie Annabel.

– Myślę o lepszej posiadzie.

Annabel słyszała, że mąż mówi to bez przekonania.

– Ale przecież kochasz swój... – zaproponowała.

– Muszę podjąć decyzję trochę wcześniej, niż zamierzałem, ale to nie tragedia. Z każdym dniem toniemy w coraz większych długach. Musimy znaleźć jakiś sposób, żeby się wykaraskać.

– Och, kochanie, tak mi przykro. To ja upierałam się przy nowym domu, nie przyszło mi do głowy, że Avanti nie odnowi kontraktu – powiedziała Annabel żałośnie. – Wiem, że mam już dwadzieścia pięć lat, ale nie jestem jeszcze stara. Nie w normalnym świecie. Z modelkami jest jednak inaczej.

– Avanti może jeszcze przedłużyć kontrakt, nie wiemy na pewno.

– Niechby wreszcie podjęli decyzję. Mam wyrzuty sumienia, że kupiliśmy ten dom. To był szalony pomysł.

– Kupiłaś go, żeby nadać mi właściwą oprawę. Tak powiedziałaś: „Dobry obraz potrzebuje pięknych ram” – przypomniał jej. – „Żeby dostać się do świątka Mike'a Wallace'a, musisz sprawiać wrażenie, jakbyś już w nim był. ”

– Naturalnie. I będziesz – powiedziała z przekonaniem. Jej mąż był równie bystry i inteligentny jak Mike Wallace, tak samo wnikliwy i prowokacyjny, gdy przychodziło do przeprowadzania wywiadów. Potrafił zadawać niewygodne pytania, które zamieniały rozmowę przed kamerą w psychodramę. I miał głos.

– Kochanie – mówiła. – Jesteś najlepszym dziennikarzem telewizyjnym i masz tylko dwadzieścia dziewięć lat. Mike Wallace przebił się w „Night Beat”, kiedy miał trzydzieści osiem. Poza tym kocham cię.

– Ja też cię kocham. I nie obwiniaj się o kupno domu. Pamiętaj, że Nowy Jork jest miastem, w którym najpierw musisz pokazać, że możesz czegoś dokonać, potem dopiero dokonujesz tego, jeszcze później musisz pokazać, że już tego dokonałaś. Kto wie, może ten dom pomoże mi zdobyć nową pracę.

– Jeśli obydwójce zostaniemy bez pracy – zaśmiała się Annabel – to sprzedamy

go i wynajmiemy coś, jak tylu ludzi w Nowym Jorku. To nieważne, gdzie będziemy mieszkać. Mamy przecież siebie.

Miranda siedziała w hałaśliwym helikopterze, ze słuchawkami interkomu na włosach w kolorze marmolady i spoglądała w dół na szary, ponury kanał La Manche.

– Wystartowaliśmy z Londynu o drugiej trzydzieści, powinniśmy być w Saracen około siódmej, w sam raz na kolację – mówiła cichym, spokojnym głosem, który zmuszał do słuchania. Przycisnęła twarz do szyby. – Czemu babcia nie pozwala mi nauczyć się latać? Nie mógłbyś jej przekonać?

Ledwie to powiedziała, uświadomiła sobie, że może nie będzie to już potrzebne. Nie mogła pogodzić się z chorobą babki. Zagryzła wargi i zdusiła łzy.

Siedzący obok Adam Grant pokręcił głową. Wysoki, ciemnowłosy, ciemnooki, o wyrazistych rysach, nieco cyniczny ze swoją pewnością siebie, zdaniem Mirandy wyglądał jak uosobienie męskiej urody z reklam w ilustrowanych magazynach albo jak bohater jednego z licznych romansów babki.

Ojciec Adama, Joe Grant, przez długie lata był doradcą prawnym Elinor i jej wiernym przyjacielem. Po jego śmierci, pięć lat temu, wszystkie sprawy związane z interesami Elinor przeszły na Adama, który pracował w rodzinnej kancelarii Swithin, Timmins i Grant.

Chcąc skorzystać z rzadkiej okazji zobaczenia się ze wszystkimi trzema siostrami, poprosił Mirandę, żeby zabrała go do Saracen wynajętym Bellem. W ten sposób będzie mógł omówić z nimi spokojnie, delikatnie, nie ulegając emocjom, sytuację, na wypadek gdyby Elinor umarła nie sporządziwszy testamentu. Choć miała podwójne, amerykańskie i brytyjskie obywatelstwo, mieszkała we Francji i cały jej majątek podlegał francuskim przepisom podatkowym. Adam znowu pożałował, że nie udało mu się przekonać jej, by sporządziła testament. Podobne niedopatrzenie zawsze powodowało komplikacje. Być może powinien był okazać większą stanowczość, ale zbyt cenił ich wieloletnią zażyłość i nie chciał niepokoić Elinor, która najwyraźniej nie miała ochoty rozmawiać o swojej śmierci.

To ona zwróciła się z prośbą do Adama, żeby wprowadził Mirandę w świat biznesu. Interes rozwijał się powoli, ale w trzy lata po otwarciu pierwszego salonu kosmetycznego Miranda miała już filie w całej Anglii. Rok temu Adam, jej nieoficjalny doradca, został dyrektorem przedsiębiorstwa. Właśnie przygotował plany finansowe na najbliższy okres.

– Wiesz, że Elinor nie sposób namówić do czegokolwiek, jeśli nie ma do tego przekonania – powiedział łagodnie. Zaciekawilo go, że ta mała,

dwudziestoczteroletnia, rudowłosa kobieta interesów, która chciałaby latać, tak ulega woli babki. Zazwyczaj ignorowała opinie innych ludzi i kierowała się własnym zdaniem.

Spoglądając na nią, Adam pomyślał, że jest ideałem kobiecego piękna. Szczupła, o doskonałej figurze, drobnych, ładnych piersiach, wąskiej talii, płaskim brzuchu, poruszała się z wdziękiem, a przy tym była zawsze doskonale ubrana. Choćby ten szary kostium, prosty lecz kobiecy, znakomity na comiesięczną odprawę w biurze.

Miranda wzruszyła ramionami i postanowiła zmienić temat.

– Adamie, nie jestem zadowolona z Neda Sinclaira.

– Mam wrażenie, że szybko się zaaklimatyzował. – Adam porwał nowego dyrektora finansowego, o którym rozmawiali, z konkurencyjnej firmy.

– Zadaje niepotrzebne pytania dotyczące planów naszej firmy. Niepokoi mnie to, ale może jestem przewrażliwiona, od kiedy Mary Quant pojawiła się na rynku.

– Quant nie prowadzi sieci sklepów detalicznych – odparł, odgarniając do tyłu włosy takim ruchem, jakby chciał odpędzić od siebie irytującą myśl. Ciągłe czesał się tak samo, jak za czasów szkolnych, z przedziałkiem po prawej stronie, i fryzura ta dodawała mu niewinnego wdzięku.

– Ale stanowi bezpośrednią konkurencję, ponieważ myślimy podobnie. Założę się, że wejdzie na rynek międzynarodowy, zanim mnie się to uda. Nie zdziwiłabym się, gdybym usłyszała, że Ned nawiązał z nią kontakt.

Jak wiele razy wcześniej, Adam nie mógł oprzeć się wrażeniu, że Miranda odziedziczyła wiele cech swojej babki, jej intuicję i wolę działania, upór i zdecydowanie.

– Sprawdź Neda – uśmiechnął się. – Możesz wejść na rynek międzynarodowy, jeśli zgodzisz się wejść w spółkę.

– Nie chcę spółki, bo wtedy stracę kontrolę nad firmą, choćbym nie wiem jak precyzyjnie zawarowała swoje prawa w kontraktach. Ludzie nie muszą mieć ochoty pracować równie ciężko jak my i przyjmować równie wysokich standardów. Zapomnij o tym, proszę.

– Jeśli nie chcesz przystąpić do spółki, to jak inaczej twoim zdaniem poradzimy sobie z brakiem pieniędzy? – zapytał Adam, spoglądając na nią kątem oka. – Co zrobisz, żeby zdobyć gotówkę, Mirando?

– Zapytaj, czego nie zrobiłabym, żeby ją zdobyć – zaśmiała się.

– Ciekaw jestem – odpowiedział w zamyśleniu.

– Czemu jesteś tak absolutnie przekonany, że mamy kłopoty finansowe? –

uśmiechnęła się.

– Ponieważ chcesz, żeby firma rozwijała się szybciej, niż możemy sobie na to pozwolić – odparł lakonicznie i wzruszył ramionami. – Zresztą, kto wie, co nas czeka...

Jak on śmiał.

– Wiem, o czym myślisz... jeśli babcia umrze. – Miranda wybuchnęła płaczem.

Adam był zaskoczony, po części dlatego, że odgadła jego myśli, i dlatego, że nigdy jeszcze nie widział jej płaczącej. Rzadko okazywała uczucia.

Wyjął z kieszeni blezera chusteczkę i podał jej.

– Do diabła, zgubiłam szkła kontaktowe – wymamrotała. – Zobacz, czy nie mam ich na spódnicy? A może spadły na podłogę?

Kiedy pochylił się, obojętny, jak się zdawało, na tę oczywistą bliskość, poczuła lekki zapach piżma. Pomyślała, że ten męski zapach kłóci się z powściągliwymi manierami prawnika, wytwornymi garniturami i koszulami na miarę, zamawianymi na Saville Row, i rogowymi okularami.

Wiedziała, że Adam wywiera wielkie wrażenie na kobietach. Po raz pierwszy zauważyła to dwanaście lat temu, na rodzinnych wakacjach w St. Tropez, gdzie nawet korpulentna, starzejąca się gospodyni pensjonatu, w którym mieszkali, tańczyła wokół, wtedy dwudziestotrzyletniego, Adama.

Domyślała się, dlaczego nigdy nie zalecał się do żadnej z sióstr. Kłóciłyby się to z zawodową naturą wzajemnych stosunków i mogło się źle odbić na jego pracy. Poza tym dziewczęta, choć zdawały sobie sprawę, że Adam jest atrakcyjnym mężczyzną, przywykły myśleć o nim jak o młodym wujku, on zaś, choć je to w swoim czasie bardzo oburzało, spoglądał na nie jak na dzieci.

Kiedy kładł szkła kontaktowe na jej dłoni, uświadomiła sobie raptem, że nie jest ich wujem. Zaraz odegnała tę myśl, strofując samą siebie, na wpół żartobliwie, że powinna trzymać się z dala od swoich pracowników. Poza tym, napomniała się nakładając szkła, nie ma teraz czasu na romanse. Pod tym względem była osobą niezwykłą. Pigułka była czymś powszechnie stosowanym i wszystkie wyzwolone dziewczęta jej używały, czy to za wiedzą czy bez wiedzy matek. W konsekwencji przyjęło się uważać, że dziewczyna gotowa jest wskoczyć do łóżka już na pierwszej randce – coś, czego Miranda nie akceptowała. Zawsze czuła się nieswojo w łóżku z mężczyzną, którego prawie nie znała i któremu nie mogła ufać. Jak dotąd tylko z jednym, miała wrażenie bezpieczeństwa.

– Nawet jeśli ma ci to sprawić przykrość, musimy coś omówić, nim dolecimy do Saracen. Chodzi o testament twojej babki. Nie sporządziła go jeszcze, mimo że

rozmawiałem z nią o tym wiele razy. – Najwyraźniej zmartwiony, Adam zamilkł na chwilę, po czym ciągnął dalej: – Dla mnie to prawdziwy dylemat. Z jednej strony mam obowiązek dochować zawodowej dyskrecji, z drugiej, jeśli chcę działać w dobrze pojętym interesie mojej klientki i jej najbliższych, powinienem złamać tajemnicę. Czy cel uświęca środki? Czy Elinor – klientka, przyjaciółka i moja mentorka – zrozumie to? Nie umiem tego przesądzić, ale wiem, że chciałaby dla was jak najlepiej.

– Przede wszystkim nie wolno ci zawieść zaufania swojej klientki, powiedz mi jednak, o co w tym wszystkim chodzi.

– Nie nadużywając zaufania Elinor, mogę powiedzieć ci tylko, że chce zostawić wszystko wam trzem. Rozważała przy tym różne formy zarządzania pieniędzmi i kontroli nad majątkiem.

– Co rozumiesz przez kontrolę nad majątkiem? – Kiedy tylko mowa była o pieniądzach, Miranda robiła się natychmiast podejrzliwa.

– Boi się, żebyście nie... przepuściły majątku. Można go zabezpieczyć na różne sposoby. Nie podoba się jej francuska zasada równego podziału spadku pomiędzy wszystkich zainteresowanych. Jak wiesz, Elinor od lat nie ma kontaktu ze swoją rodziną. Nie chce, żeby synowie jej brata, jeśli ich ma, dochodzili swoich praw do spadku. Ale ponieważ mieszka we Francji, będą mogli to zrobić, chyba że... rozporządzi inaczej majątkiem.

– W jaki sposób? – zapytała Miranda.

– Ma kilka dość... radykalnych pomysłów, jak możesz się domyślać, znasz ją. Prawo brytyjskie, przewidujące, że wszystko dziedziczy najstarszy z członków rodziny, który ma zabezpieczyć interesy reszty, też się jej nie podoba.

– Ja myślę! – Miranda była najmłodszą z trzech siostr i zasada ta byłaby dla niej fatalna w skutkach. – Babcia miała okazję przekonać się, jak to było w przypadku jej własnego męża!

Babka Billy'ego, kobieta bogata, zostawiła cały majątek najstarszemu synowi, porywczemu człowiekowi o słabym charakterze, który stracił niemal wszystko na giełdzie. Po jego śmierci starszy brat Billy'ego odziedziczył pozostałe resztki, Billy nie dostał nic.

– Elinor uważa, że grecki system jest najrozsądniejszy – powiedział Adam.

– To znaczy?

– Grecy zostawiają na ogół majątek temu z dzieci, które zdaje się najbardziej powołane do obracania nim, zakładając, że spadkobierca opiekuje się resztą rodziny.

– Ja z nas trzech najlepiej znam się na interesach – stwierdziła Miranda.

– To prawda, ale Klara zawsze była bardzo skrupulatna i odpowiedzialna. Była jak matka dla ciebie i Annabel, kiedy byliście jeszcze małymi dziewczynkami.

– Całe życie opowiada mi się o Klarze! – Miranda wyprostowała się gwałtownie w fotelu. Klara, najstarsza, odpowiedzialna siostra, której obowiązkiem było opiekować się młodszymi. Godna zaufania, zrównoważona, praktyczna. Sumienna Klara, która nigdy w życiu nie dopuściła się kłamstwa, nawet jeśli miałyby to być małe kłamstwo, wypowiedziane dla czyjegoś dobra. Sprawiedliwa Klara, oczekująca od ludzi tego samego, dźwigająca na barkach odpowiedzialność za cały ten przekłety świat, za wszystkich pokrzywdzonych przez życie. O tak, Miranda znała dobrze charakter siostry. Jeśli Klara położy rękę na pieniądzu, Miranda nieprędko je zobaczy. W jej oczach nie należała przecież do najbardziej potrzebujących. Już prędzej zostanie zepchnięta na pozycję małej podopiecznej, dziecka, jak kiedyś.

– Niestety Elinor uważa, że ty... Sądzisz, że jesteś bardziej zrównoważona niż Klara? – zapytał Adam.

– Chcesz powiedzieć, że wedle babci jestem zbyt... pochopna?

– Tego nie powiedziałbym – odparł zamyślony – ale Elinor uważa, że czasami wążysz się na niepotrzebne ryzyko. W jej oczach jesteś młodą osobą balansującą brawurowo na linii interesów. Elinor nie rozumie oczywiście, że w biznesie jest to potrzebne. Ja potrafię docenić w tobie tę żyłkę przygody.

– To nie *fair* – odparowała rozdrażniona Miranda, wspominając jak często wypowiadała te słowa w dzieciństwie.

– Co się stanie, jeśli babcia umrze nie sporządzwszy testamentu? – zapytała po chwili milczenia.

– Może powstać bałagan prawny, który trzeba będzie porządkować całymi latami – odpowiedział Adam. – Nie chciałbym do tego dopuścić. Kiedy tylko Elinor poczuje się lepiej, spróbuję ją przekonać, żeby podjęła decyzję. – Zamilkł, po czym dodał: – Poza greckim systemem nie ma innego, który zabezpieczałby pieniądze i był jednocześnie sprawiedliwy.

– To znaczy? – Miranda rzuciła Adamowi pytające spojrzenie.

– Chcę powiedzieć, że tylko ten system daje ci gwarancje należnego udziału.

– Jak to, Adamie?

– Zastanawiałem się, jak Elinor zareagowałaby na pomysł ustanowienia rodzinnego trustu – rzucił Adam. – Co o tym sądzisz? Jeśli uważasz, że to zła koncepcja, nie będę zwracał jej tym głowy. – Adam zdawał sobie sprawę, że jako

najbardziej przebiegła ze wszystkich siostr, Miranda byłaby ciężkim przeciwnikiem, gdyby nie zaakceptowała pomysłu.

– Na czym miałyby polegać ustanowienie rodzinnego trustu? – zapytała ostrożnie.

– Ustanowienie trustu jest czymś podobnym do sporządzania testamentu, tyle że testator sam wprowadza go w życie – wyjaśniał Adam. – Jeśli Elinor powołałaby trust na rzecz wnuczek i ich potomstwa, pieniądze byłyby zabezpieczone i nikt nie mógłby ich przejąć samowolnie. Rada trustu nie pozwoli na to, jej obowiązkiem jest strzec majątku powierniczego, bez względu na kaprysy spadkobierców.

– Chcesz powiedzieć, że Klara nie mogłaby dowolnie dysponować spadkiem bez dzielenia się nim ani przekazać go na cele dobroczynne? A Annabel wydać wszystko na jachty?

– Właśnie. Korzyść płynąca z trustu polega na tym, że majątek znajduje się cały czas pod kontrolą. Myślę, że nic byś nie ryzykowała, gdyby ustanowiono trust, odwrotnie, mogłabyś wiele zyskać. Powiernicy nie lubią lekkomyślności, strzegliby, że tak powiem, twoich siostr przed nimi samymi.

– Jestem więc za trustem – powiedziała Miranda zdecydowanym tonem.

– Jak myślisz, czego chciałaby Annabel? – zapytał Adam. – Może byłoby dobrze, żebyś z nią o tym porozmawiała?

Zawsze trudno rozmawiać z krewnymi o podobnych sprawach w takich okolicznościach. Dlatego Adam zdecydował się poruszyć tę kwestię jeszcze przed przylotem do Saracen.

– Wiesz lepiej niż ja, jak poprowadzić rozmowę z Annabel, tak żeby jej nie urazić – dodał usprawiedliwiając się. – Ze mną może nie chceć mówić, myśląc, że jestem oschły i nieczuły.

– Nie przypuszczam – powiedziała Miranda. – Byłoby lepiej, gdybyś ty z nią porozmawiał, bo będziesz potrafił odpowiedzieć na jej ewentualne pytania. Ja nic nie wiem o kwestiach prawnych, jakie się z tym wiążą. Nie powinieneś się przejmować. Annabel jest rzeczywiście sentymentalna, ale w końcu nie występujesz w swoim interesie, tylko w naszym. Poza tym nie sądzę, żeby Annabel ucieszyło, że Klara będzie dysponowała całym majątkiem i rządziła nami jak dawniej. Uświadom to Annabel, a skończą się sentymenty.

Zapadał cichy, złoty zmierzch. Szum nadlatującego helikoptera obudził Elinor z niespokojnej drzemki. Kiedy ustał warkot silnika, usłyszała okrzyki powitań i śmiechy dochodzące z tarasu. W kilka chwil później drzwi sypialni otworzyły się.

– Babciu, kochana, cudownie! Witaj z powrotem. – Miranda podbiegła do łóżka i ucałowała babkę. Kiedy Klara kładła spać małego Josha, Adam siedział z Annabel na tarasie, popijając szampana. Tak jak Mirandzie, wspominał jej o możliwości powołania trustu lub przejęciu całego majątku przez Klarę.

Annabel zareagowała najpierw ze zdziwieniem, później rozzłościła się.

– Dość miałam bycia popychaną przez Klarę, kiedy byliśmy dziećmi. Powiedz mi coś więcej o tym pomysle.

Po kolacji Adam zaproponował Klarze spacer. Chciał mieć pewność, że teraz, kiedy Elinor pozostało tak niewiele sił, siostry podejmą zgodną decyzję.

– Czy naprawdę musimy mówić o tym dzisiaj? – Klara nie była w nastroju do prowadzenia rozmów na temat finansów. Szli wąskimi brukowanymi uliczkami, oświetlonymi starymi latarniami.

– Liczyłem, że twój zdrowy rozsądek zwycięży nad sentymentami – powiedział Adam zdecydowanym tonem. – Chciałbym tylko załatwić wszystko zgodnie z życzeniami Elinor i jak najkorzystniej dla was. To mój obowiązek jako jej doradcy.

Klara pomyślała, że Adam jest pompatyczny. Dlaczego wokół babci muszą zawsze kręcić się jacyś mężczyźni wiecznie gotowi doradzać? Kiedy żył tatko Billy, zawsze miał we wszystkim ostatnie słowo. Potem adwokat babki – Joe Grant – stał się wielkim męskim autorytetem w ich życiu, a teraz jego syn, Adam, jest rodzinną opoką mądrości.

– Nie rozumiem, czemu po prostu nie podzielić majątku – powiedziała Klara. – Nie wiem, czy zauważyłeś, ale nie jesteśmy już dziećmi, drogi przyjacielu. Jestem dorosłą, zamężną kobietą.

– Miranda i Annabel godzą się na pomysł trustu – powiedział z wahaniem.

– Oczywiście, że Annabel zgodzi się bez namysłu na wszystko, co zasugeruje Miranda – powiedziała szorstko Klara. – Zawsze tak było. Ja natomiast nie widzę powodu, żeby powoływać trust. Odwrotnie, wydaje mi się, że to tylko niepotrzebnie skomplikuje sprawę.

Uparta jak babka, pomyślał rozżalony Adam, chwytając się jeszcze jednego argumentu.

Klara słuchała uważnie, potem pokręciła głową i powiedziała:

– Na mnie to nie działa, Adamie, zbyt często to słyszałam.

– Co słyszałaś.

– „Tatko wie lepiej”, tyle że tym razem w wersji dla dorosłych.

Rozdział 2

WTOREK, 6 LIPCA 1965

Doktor Montand wszedł do ciemnej sieni zamku, wypełnionej zapachem róż stojących na zabytkowej skrzyni. Przy wejściu przywitała go fatalną francuszczyzną toporna kobieta o kruczoczarnych, farbowanych włosach. Po drodze do windy lekarz przeszedł na płynny angielski. Na Riwierze mieszka tak wielu cudzoziemców, że dbały o swoją praktykę medyk musi być dwujęzyczny.

Obowiązki gospodyni pełniła Buzz, najstarsza przyjaciółka Elinor. W 1947 roku, po śmierci Billy'ego, Buzz zawitała do domu Elinor w Wiltshire i nigdy go już nie opuściła. Prowadziła gospodarstwo, nadzorowała dziewczynki i ich nianię, zawiadywała domową kasą, prowadziła księgi rachunkowe i odciążała Elinor od wszelkich drobnych obowiązków, by ta mogła skupić się na swoich powieściach.

Buzz pochodziła z robotniczej rodziny i mówiła twardym akcentem z południowego Londynu; jej wierność cockneyowi i swobodny stosunek do literackiej angielszczyzny sprawiały, że na Riwierze rozumiano ją lepiej, gdy mówiła po francusku niż w swoim rodowitym języku. Ponieważ miała bezceremonialne maniery i była prostolinijna, obcy zwykle nie cenili jej tak, jak na to zasługiwała, albo wręcz ignorowali, ona zaś rewanżowała się im tym samym. Słuchała, przyglądała się i wyrabiała sobie własne zdanie na każdy temat. Przede wszystkim i na pierwszym miejscu jednak Buzz chroniła swoją przyjaciółkę, nawet przed nią samą.

Winda zatrzymała się na poziomie sypialni, gdzie pokojówka składała właśnie pościel do skrzyni z wiśniowego drewna. Każda staroświecka, zdobiona koronkami zmiana przewiązana była jedwabną kremową wstążką.

Na tej kondygnacji znajdowały się sypialnie rodziny. Piętro wyżej mieściło się sześć apartamentów dla gości; każdy z nich złożony z sypialni, łazienki i małej kuchni. Cały zamek został tak zaprojektowany, że na wypadek kłopotów finansowych – rzecz mało prawdopodobna, ale spędzająca Elinor sen z powiek – można go było bez trudu zamienić w luksusowy hotel. Właściciele dwóch hotelików we wsi byli przeto zachwyceni, niemal tak samo jak Elinor, za każdym razem, kiedy jej kolejna powieść trafiała wprost na listę światowych bestsellerów.

– Powie mi pan prawdę, zgoda? Dziewczynki tego nie zniosą, ale ja podołam – zwróciła się Buzz do lekarza, zanim otworzyła drzwi do sypialni Elinor.

– Powiedziałem już wszystko, co mogłem – odparł doktor Montand. – Madame O’Dare miała wylew, mówiąc inaczej pęknięcie tętniaka usytuowanego w mózgu. – Doktor powtarzał cierpliwie to, co powiedział poprzedniego wieczoru. – Lewa ręka i lewa noga są sparaliżowane, lewa strona twarzy również. Później przeprowadzimy dokładne badania, tomograf, elektroencefalograf, rentgen. W tej chwili nie ma powodów zabierać ją do szpitala w Nicei. To, co moglibyśmy zrobić tam, można zrobić tutaj, w domu, z pomocą i pod opieką pielęgniarki.

– To i lepiej – potaknęła Buzz. – Nie wda się żadne zakażenie. Co czwarty pacjent od tego umiera po szpitalach Zachodu.

– Widzę, że jest pani dobrze zorientowana – powiedział doktor, przekonany, że ta wysoka, pozbawiona wdzięku kobieta w niemodnej granatowej sukni musiała być kiedyś pielęgniarką. Wyczuwał szybko porozumienie nawiązujące się między lekarzem a pielęgniarką, brak przerażenia, objawianego przez większość krewnych.

Bystre oczy Buzz zadały pytanie, nim zdążyła je wypowiedzieć:

– Czy wróci w pełni do zdrowia?

Doktor Montand wzruszył ramionami.

– Nie ma nadwagi. Powiada pani, że nie pali ani nie pije zbyt wiele. Nie choruje na cukrzycę, a ciśnienie ma prawie normalne, jak na swój wiek. – Pacjentka miała sześćdziesiąt pięć lat i żaden mądry lekarz nie ważyłby się zalecać jej ścisłej diety, całkowitej rezygnacji z alkoholu i uprawiania gimnastyki. Radziłby raczej cieszyć się tym, co jeszcze pozostało z życia – jeśli w ogóle wróci do zdrowia.

– Nie odpowiedział pan moje pytanie – stwierdziła Buzz, odgarniając za ucho kosmyk nienaturalnie czarnych włosów.

– Za wcześnie jeszcze wyrokować. Trzeba czasu. Niekiedy sprawność umysłowa zostaje poważnie osłabiona. Nie umiem na razie nic powiedzieć. Powinna pani trochę odpocząć. Czuwała pani przecież całą noc przy chorej. – Nie powiedziała mu o tym słowa, ale sprawiała wrażenie osoby, która nie zda się spokojnie na nocną pielęgniarkę.

Kiedy doktor skończył codzienne badanie, Buzz wróciła do sypialni. Elinor w koronkowej koszuli leżała na jedwabnych poduszkach.

– Powiada, że niedługo będziesz zdrowa jak koń – oświadczyła. – Znajdziemy fizykoterapeutę do ćwiczeń.

– Jestem za słaba. Nie mogę się ruszać, ledwie mówię – protestowała Elinor bełkotliwym głosem.

– Terapeuta postawi cię na nogi, Neli...

– Będę mogła znowu normalnie mówić? Czuję, jakbym miała zamrożony lewy

policzek, jak po zastrzyku u dentysty.

– Już mówisz jako tako, co do reszty, Bóg dopomoże.

Lęki ustąpiły, Elinor poczuła się pewniej. Buzz miała w sobie tyle sił, ufności. Obydwie przeżyły wiele ciężkich chwil, kiedy były młode. Buzz знаła wady Elinor i godziła się z nimi, Buzz nigdy nie zdradziła żadnego sekretu.

– Czym właściwie zajmuje się Buzz? – pytali niekiedy ludzie. Nominalnie sekretarka, Buzz nie siadła do maszyny, kiedy tylko mogła się wykręcić, a jeśli kiedyś znała stenografię, to dawno o niej zapomniała.

– Chroni mnie – odpowiadała zwykle Elinor z uśmiechem.

– Dlaczego pozwalasz sekretarce zwracać się do siebie w ten sposób? Dlaczego godzisz się, żeby cię krytykowała? Czemu jej ulegasz?

– Jesteśmy ze sobą od wielu lat. Nie zrozumiesz tego – zamykała temat Elinor.

Chociaż obcy ludzie nigdy nie potrafili zrozumieć łączących je stosunków, dla obydwu kobiet były one jasne. Elinor była przyjaciółką i szefem Buzz, Buzz była sekretarką, ale nie niewolnikiem Elinor. Elinor szczęśliwie mogła zapomnieć, jak wyglądało życie bez Buzz, tej dziwnej kobiety, która stała się nieodłączną częścią jej egzystencji.

Poznały się wiele lat temu, w czasie pierwszej wojny światowej, pewnego deszczowego dnia jesienią 1918 roku. Dzień ten miał mieć straszne skutki dla Buzz, a dla osiemnastoletniej Elinor był wypełniony ciężką codzienną pracą w szpitalu polowym blisko linii frontu.

W ten listopadowy wieczór przyjechał konwój ambulansów z rannymi. Wszędzie pełno było noszy okrytych szarymi kocami, chorzy leżeli na podłodze; brudni, wyczerpani mężczyźni w ubłoconych, podartych mundurach khaki, w pokrwawionych bandażach.

– Siostro! – Elinor odwróciła się, słysząc wysoki, nosowy głos. Ze zdziwieniem odkryła, że kierowcą ambulansu była ciemnowłosa kobieta.

– Przywiozłam przypadek dyfterytu – powiedziała dziewczyna. – Jest w bardzo kiepskim stanie. Trzeba się nim zaraz zająć. Ma zmiądzoną rzepkę kolanową i złamaną lewą goleń. Sprowadzi siostra chirurga?

Młody, zmęczony lekarz rzucił okiem na z trudem oddychającego pacjenta.

– Tracheotomia. Szybko na stół z nim, nie ma czasu do stracenia. – Wskazał ręką na małą salę zabiegową ze stołem operacyjnym.

Pacjent zaczął się dusić na stole.

– Proszę trzymać głowę! – Lekarz skinął na Elinor. – Utrzymasz go? – zapytał kierowcę.

Potaknęła.

Elinor chwyciła za głowę. Kiedy lekarz sięgnął po skalpel, zobaczyła, że ręka mu się trzęsie. Spojrzał na nią i zawahał się. Jeśli przypadkiem przetnie tętnicę szyjną, pacjent umrze.

„Boże spraw, żeby mu się udało” – modliła się Elinor w duchu.

Lekarz ciągle się wahał, drżące dłonie zdradzały, jak bardzo musiał być zmęczony.

Spazmatyczny oddech chorego przeszedł w rżenie. Elinor pomyślała, że jeśli teraz nie zdecyduje się zrobić cięcia, chłopak tak czy tak umrze. Chirurg nachylił się nad płową czupryną żołnierza i wykonał szybkie cięcie. Z szyi chłopca trysnął strumień szkarłatnej krwi. Nie chcąc patrzeć na lekarza, Elinor utkwiała wzrok w umierającym żołnierzu.

– Proszę posprzątać, siostrze, i przenieść go stąd. Ja wychodzę.

Po wyjściu chirurga Elinor spojrzała na wymizerowaną dziewczynę; z poszarzałą twarzą wpatrywała się w chłopca, który właśnie skonał.

– Znałaś go? – zapytała Elinor łagodnie.

– Ginger i ja mieliśmy się pobrać – wykrztusiła, szczękając zębami.

Później, w ziemiance, którą zajmowała Elinor, obydwie kobiety usiadły nad wspólnym kubkiem kakao. Dziewczyna o białej twarzy nie uroniła dotąd ani jednej łzy; była ciągle w szoku, poruszała się jak przez sen, nie przestając trajkotać, jakby nie zdarzyło się nic niezwykłego.

– Biedny Ginger był moim noszowym. W domu pomyślał, że oddał ducha za króla i ojczyznę, jak jaki bohater, a on zawiął się o czyjąś nogę w okopie, kopytnął na deskach, jakiś dureń postrzelił go trafunkiem i umarł przez pomyłkę.

– Chirurg jest tylko człowiekiem. Wszyscy popełniamy błędy – powiedziała Elinor zmęczonym głosem.

– Cała ta wielka wojna jest pomyłką.

– Jak masz na imię? – zapytała Elinor.

– Buzz Mann.

– Brzmi bardziej z amerykańska niż z angielska.

– Racja. Na chrzcie dali mi Doris. Żołnierzyki przewali mnie Buzz, bo zawsze jestem ta, co wie najlepiej. Dość mieć uszy otwarte i zagadać do rannych chłopaków, co ich przywożę, nim siostrzyczki zabiorą się za te marmelade. Chryste, wy macie robotę!

– Twoja praca nie jest chyba taka straszna?

– Wiadoma rzecz, miałam kupić szczęścia, że chcieli mnie za szofera od

ambulansu – przytaknęła Buzz. – War Office nie takie szybkie brać robotnicze dziewczyny z Tooting, wolą eleganckie lale z lepszych domów, bo co oni płacą takim chętnym jak my.

– Jak ci się udało? – zapytała Elinor.

– Byłam za służącą w Wimbledonie. Niczego rodzina, dziewięć ludzi domowej służby. Nasza panienka Ruth nic, tylko uparła się być za ochotniczkę, no to pani na to, żebym i ja szła. Niby że mam patrzeć za panienką. Ale żadnego wstawiania za mną, powiadam ci! Miałam tylko mówić, że idzie mi na dwudziesty trzeci a nie na osiemnasty. Przeciw panience Ruth słowa nie mogę powiedzieć, tyle że nie nawykła do takiego życia. Nie minęły trzy tygodnie, jak dostała zapalenia płuc z powikłaniami, jak to mówią. Mało nie umarła, aż ją odesłali do naszego pięknego Królestwa. Dla mnie robota jest w sam raz, bo nie mam urodzenia, jak mówi komendantka, i rozumiem się na maszynie, a to nie dla dam.

Obydwie kobiety spotykały się potem często w ziemiance. Elinor intrygowała obcesowa dziewczyna, nie dbająca o to, co ludzie o niej myślą, gardząca każdym, kto posiadał jakąś władzę, starannie skrywająca ciepło i dobroć.

Jak ona pocieszała Buzz po śmierci Gingera, tak w dwa miesiące później Buzz pocieszała Elinor, kiedy zastała ją zapłakaną w jej ziemiance.

– Co się dzieje?

Elinor podała jej bez słowa list.

– „Droga Neli ” – zaczęła czytać Buzz. – „Trudno mi pisać. Twoja droga matka nie żyje. Od sześciu miesięcy chorowała na galopujące suchoty, ale zabroniła zawiadamiać cię. Odeszła od nas cicho w ostatnią niedzielę o piątej po południu. Pochowaliśmy ją w środę. Opiekowałem się nią najlepiej, jak mogłem. Miała doktora Mackenzie i wszystkie leki, ale było już za późno. W sobotę powiada do mnie: – Słuchaj, Marius, lepiej mi. Chuda jestem, ale utuczysz mnie jeszcze, jak świąteczną gęś, bo czuję, że zdrowie mi wraca. – Pogrzeb był jak się patrzy, u Najświętszej Marii Panny. Położyłem ją do trumny w sukni ślubnej, chudzinę taką, sama skóra i kości. Bardzo ją kochałem, alem nieczęsto jej to mówił. Twój pogrążony w bólu ojciec Marius F. Dove. ”

– Oznacza to bodaj tyle, że nigdy więcej nie będę musiała go już widzieć – powiedziała Elinor, łykając łzy.

Buzz i Elinor przyjaźniły się od czterdziestu siedmiu lat i jeśli idzie o tę ostatnią, Buzz miała tylko jeden mankament: nigdy nie polubiła Billy'ego.

Raz jeszcze Elinor odwróciła głowę, żeby spojrzeć na zdjęcie męża stojące koło jej łóżka. Cofnęła się myślami do upokorzeń, jakich zaznała od jego krewnych,

choć to ona w końcu okazała się osobą, która podreperowała na nowo rodzinne finanse. Była teraz gwiazdą, cieszącą się większym poważaniem niż którykolwiek O'Dare, i z pewnością nie popełni żadnego z błędów, jakie były ich udziałem.

Wróciła do rzeczywistości, na słoneczną Riwierę, do swojego zamku, spojrziała na Buzz.

– Muszę mieć pewność, że dziewczęta zostaną zabezpieczone na całe życie... – powiedziała ledwie słyszalnym, choć zdecydowanym głosem. – Chcę, żeby były szczęśliwe, nie miały kłopotów... Chcę dla nich tego, czego nam brakowało, czasu, czasu, żeby mogły cieszyć się życiem, myśleć, więcej czasu dla dzieci, niż ja mogłam poświęcić Edwardowi.

– Zrobiłaś, co mogłaś, Neli – powiedziała Buzz pocieszająco. – Nie sposób więcej oczekiwać od człowieka. Może to dobrze, że miałaś tylko jedno dziecko. – Buzz wiedziała bardzo dobrze dlaczego, nawet jeśli nie potrafiła tego wyrazić.

– Chciałabym zobaczyć Adama – szepnęła Elinor.

– Ledwie mówisz, nie pozwolę, żebyś rozprawiała teraz o interesach – sprzeciwiła się Buzz. – Poczekamy, aż znowu będziesz mogła pokonać mnie w scrabble'a. – Przed wylewem miały zwyczaj rozgrywać codziennie partyjkę, zawsze o piątej po południu. Zeszły rok zamknął się wynikiem 36:329 dla Buzz.

– To pilne, Buzz. Nie sporządziłam testamentu.

– To nie jest pilne, stara wariatko. Ważne, ale nie pilne. Poczekaj! Ani myślę dopuszczać do ciebie tego całego Adama, póki lekarze nie powiedzą, że wszystko w porządku. Idę przygotować ci przecier bananowy. Nakarmię cię łyżeczką. Już ja wiem, czego ci trzeba, Neli.

Elinor uśmiechnęła się. Całe życie opiekowała się innymi i teraz, kiedy leżała tu z zamkniętymi oczami, kiedy pozwalała, by ludzie kręcili się wokół niej, szepcząc coś i podejmując za nią decyzje, ogarniało ją dziwne, choć przyjemne uczucie.

PONIEDZIAŁEK, 19 LIPCA 1965

Dwa tygodnie później Adam siedział na szarej kanapie przed kominkiem w sypialni Elinor, przerzucając pospiesznie różne papiery i odkładając je obok na niski stolik. Buzz ostrzegła go, że ma tylko kilka minut.

– Przykro mi Adamie, że nie zajęłam się tym wcześniej. – Głos Elinor nadal był słaby, mogła mówić tylko prawą stroną ust.

– Nie ma pośpiechu. – Buzz starannie przygotowała go do rozmowy. – Możemy zrobić to teraz, jeśli czujesz się na siłach.

– Zostaw te papiery i siądź koło mnie. – Elinor uniosła z trudem głowę.

Podchodząc do jej łóżka, rzucił okiem na fotografie stojące na szafce nocnej. Jedna z nich przedstawiała grupowy portret pilotów z czasów pierwszej wojny światowej, o twarzach promieniejących radością zwycięstwa. Pomyślał z żalem, że jeden z tych wesołych, beztrudnych młodych ludzi zamienił się w wiecznie zatroskanego, pedantycznego człowieka, jakim był jego ojciec – filar lokalnej społeczności, ogólnie szanowany prawnik. Człowiek, któremu żona ani na chwilę nie pozwoliła zapomnieć, że poślubił córkę szefa i że dzięki małżeństwu osiągnął pozycję w życiu. Czynił wszystko, żeby do niej dorosnąć, i krył uczucia, wiodąc uładzoną egzystencję w luksusowym podlondyńskim domu.

Widok osłabionej Elinor, która dopiero co otarła się o śmierć, wstrząsnął Adamem. Jej kruchość, bladość oraz otaczający ją zapach choroby obudziły w nim pamięć straty. Kilka lat temu jego ojciec umierał powoli na raka płuc. Adamowi najbardziej brakowało po jego odejściu bliskiego kontaktu między nimi, kontaktu, którego nigdy właściwie nie było. Nie miał wielu okazji przebywać z ojcem, zamknięty w pokoju dzieciennym, odsunięty również od matki, dla której brydż był ważniejszy od macierzyństwa. Żałował też, że kiedy był już dorastającym chłopcem, nie potrafił okazać ojcu więcej zrozumienia. Staruszek nie był wcale tak oschły i wymagający, jakim się przedstawiał. Po latach Adam zrozumiał, że pragnął tylko dobra starszego syna. Kiedy trafił do rodzinnej firmy adwokackiej, ojciec robił co w jego mocy, żeby nie faworyzować syna i traktować go na równi z innymi pracownikami. Rozumiał intencję, ale w tamtych czasach zachowanie ojca sprawiało mu ból.

– Brakuje mi twojego drogiego ojca. Joe okazał mi tyle troskliwości, szczególnie po śmierci Billy'ego – szepnęła Elinor, widząc, że Adam wpatruje się w fotografię.

– Teraz ja tu jestem zamiast ojca, żeby ci pomagać – uśmiechnął się, chcąc dodać jej otuchy. – Powiedz tylko, jakie masz życzenia, a ja już zadbam o wszystko. Mam tu wykaz twoich aktywów. Może chcesz... komu chciałabyś zostawić... kiedyś w przyszłości, a ja przygotuję... odpowiednie dokumenty.

Nie słysząc żadnej odpowiedzi, zaczął się zastanawiać, czy umysł Elinor pracuje teraz wolniej.

– Chcesz zapisać coś rodzinie w Ameryce? – zapytał.

Pomyślała o bracie. Czy żyje jeszcze? Czy ma dzieci? Przypomniała sobie, jak była zazdrosna o miłość okazywaną Paulowi przez ojca, jak bolał ją brak jego zainteresowania nią. Zawsze czuła się winna, że jest dziewczyną, która nie będzie

potrafiła udźwignąć ciężaru prowadzenia farmy. Jej dzieciństwo upływało w stałym lęku przed ojcowskimi wybuchami gniewu i jego zdolnością obracania Elinor w bezwolne, zastraszone stworzenie. Jak bardzo bała się jego złości, którą zawsze na niej właśnie wyładowywał. Tak bardzo czekała na jakąkolwiek oznakę jego miłości, ale jedyną osobą, do której naprawdę coś czuła, była matka – smutna, zrezygnowana, cicha istota. Wspominała teraz, z jaką ulgą wyrwała się wreszcie z rodzinnego domu, spod kontroli.

– Nie. Nigdy nic dla mnie nie zrobili. Od trzydziestego drugiego roku, kiedy brat musiał sprzedać farmę, nie miałam z nimi żadnego kontaktu. Nic nie odziedziczyłam i nic nie jestem mu winna. Najprościej będzie podzielić wszystko między dziewczęta i Buzz...

– To, co najprostsze, nie zawsze jest najmądrzejsze – powiedział Adam z zatroskanym wyrazem twarzy. – Trzeba zabezpieczyć dziewczęta tak, żeby nikt ich nie wykorzystał, nie oszukał, nie okradł. Zawsze chroniłaś je przed twardą rzeczywistością, przed dżunglą, jaką jest życie – zawahał się. – Może i teraz trzeba je uchronić... przed... nimi samymi... Musisz mieć całkowitą pewność, że potrafią ostrożnie rozporządzać pieniędzmi, bez zbędnego ryzyka, że potrafią oprzeć się ekstrawaganckim pokusom.

Elinor słuchała uważnie ostrzeżeń Adama. Nie uważała swoich dziewcząt za rozrzutne, niemniej były pewne sygnały, które powinny budzić jej czujność. Wróciła pamięcią do osiemnastych urodzin Annabel, kiedy ta rozbawiona wskoczyła do fontanny, niszcząc drogą różową suknię balową od Hartnella. Miranda wiele ryzykowała w i tak już ryzykownym biznesie kosmetycznym, a wynajęcie helikoptera za Bóg wie jakie pieniądze po to, żeby na kilka godzin wyprawić się do Londynu, było dla niej drobiazgiem, nad którym w ogóle się nie zastanawiała. Dlaczego Miranda wyrzucała pieniądze na podobne głupstwa?

– Wiem oczywiście, że Klara, jako najstarsza, była zawsze bardzo odpowiedzialna, ale nie mam pojęcia, czy ktokolwiek jest w stanie ukrócić jej, by tak rzec, naddobroczynność? Jest przekonana, że powinna opiekować się całym światem.

Elinor rozumiała: Adam ostrzega ją w ten sposób, że cała tak ciężko zdobyta fortuna może przepaść, nim ktokolwiek zdąży się obejrzeć.

– Dziewczęta muszą się nauczyć – ciągnął dalej – jak dbać o sprawy finansowe, jak rozmawiać z maklerami giełdowymi, księgowymi, prawnikami i innymi doradcami.

– No, cóż – powiedziała – już zajmujesz się sprawami Mirandy, prawda? A

dwie starsze mają mężów, którzy potrafią zadbać o ich interesy.

– Zdaje się – odparł Adam z wahaniem – że muszę wziąć na siebie rolę adwokata diabła i uświadomić ci, wybaczone, że mąż Klary jest producentem filmowym. Kilka jego filmów odniosło sukces, ale przecież tylko kilka. Jestem przekonany, że chciałby inwestować twoje pieniądze w swoje produkcje, a wiesz, że to zawsze ryzykowne przedsięwzięcia, drogie i niebezpieczne.

Elinor poczuła wewnętrzny dreszcz, choć jej ciało pozostało nieporuszone.

– I jeszcze jedna sprawa – kontynuował Adam. – Jest coraz więcej rozwodów. W Anglii rozpada się jedno na każde trzy małżeństwa, a w Stanach statystyki są pewnie jeszcze gorsze. Zakładamy oczywiście, że pozostaną szczęśliwą parą, ale mąż Klary ma już za sobą dwa nieudane związki. Jako prawnik mogę ci powiedzieć, że rzadko który mężczyzna przedkłada interesy żony nad swoje własne, gdy dochodzi... do takich smutnych wypadków – zamilkł na chwilę, dając Elinor czas do namysłu.

– Klara i Annabel są uroczymi młodymi kobietami, ale czy jesteś do końca przekonana, że mają dość rozumu, żeby zarządzać tak wielkim majątkiem bez fachowego przygotowania w sprawach finansów? Szczególnie Annabel. – Wszyscy zachwycali się średnią siostrą, ale też uchodziła powszechnie za rodzinnego postrzeleńca, niezbyt rozgarniętą osobkę o płomiennym temperamencie.

– Nie mogę się oprzeć wrażeniu – dodał Adam – że gdyby pozostawić ją samą sobie, stałaby się łatwą ofiarą różnej maści oszustów... albo tego typu mężczyzn, którzy żerują na bogatych kobietach.

– Powiedz mi zatem, Adamie, co robić. Ty zawsze znajdziesz dobrą radę – wyszeptała Elinor.

Adam wyjaśnił, na czym polega pomysł rodzinnego trustu, dodając na koniec:

– Oczywiście jego główną zaletą jest ustanowienie powierników – ludzi o nieposzlakowanej opinii – którzy zdejmą z dziewcząt ciężar odpowiedzialności, będą za nie podejmowali decyzje finansowe, zarządzali majątkiem, ku twojej satysfakcji, zanim... za twojego życia.

– Bardzo rozumny pomysł – szepnęła Elinor po chwili namysłu. – Dove Trust. Czemu nigdy do tej pory tego nie proponowałeś?

– Nie chciałem rozmawiać o... tych sprawach – przypomniał jej Adam.

– Kogo ustanowiłbyś powiernikami? – zapytała Elinor.

– Nie radziłbym żadnego banku – odparł natychmiast. – Nawet najbardziej szacownego. Oni są zajęci zbijaniem własnych fortun.

Wiedział, że bank dążyłby w granicach prawa do korzystania z pieniędzy trustu

dla własnych korzyści, co mogłoby zniszczyć powierzony majątek. Tu mały procent, ówdzie niewielkie odpisy i nie minęłoby dwadzieścia lat, a przejęliby całą fortunę Elinor. Szczególnie przestrzegał przed bankami szwajcarskimi.

– Są najlepsi w dbaniu o własną opinię i najgorsi w zarządzaniu pieniędzmi. Dlatego tworzą sobie fasadę absolutnego zaufania, z wytwornym papierem firmowym, starymi biurami, mającymi wskazywać na setki lat tradycji i niekwestionowaną rzetelność.

– Kogo zatem radzisz?

– Potrzeba ci godnych zaufania fachowców, po których możesz oczekiwać, że naprawdę zadbają o sprawę Dove Trust. Będzie on kontrolował wszystkie twoje główne aktywa, ale musisz także sporządzić testament dotyczący drobnych majątkości, stanowiących twoją własność osobistą. Trust będzie zarządzał spadkiem – mówił dalej Adam. – Będzie decydował, czy i ile z rocznego zysku przekazywać na bieżąco wskazanym przez ciebie spadkobiercom.

– Ile kosztowałoby prowadzenie trustu? – spytała Elinor. Ostrzeżenia Adama zaniepokoiły ją.

– Koszt jego ustanowienia wyniósłby około tysiąca funtów, może trochę ponad, jeśli brać pod uwagę nieruchomości, jak ten zamek. Roczna opłata nie przekraczałaby natomiast pół procenta wartości wszystkich aktywów. Powiernicy mogą współpracować z twoim dotychczasowym bankiem, maklerami giełdowymi i innymi doradcami.

– Czy twoja kancelaria nadal pozostałaby moim pełnomocnikiem?

– Naturalnie. Gdybyś chciała, moglibyśmy podjąć się roli powierników.

– Jeszcze tylko dwie minuty, Adamie – w drzwiach pojawiła się głowa Buzz. – Nie, lepiej już kończ – dodała, kiedy zobaczyła bladą twarz Elinor.

– Daj mi dwie minuty – uśmiechnął się Adam poważnie w stronę Buzz, która skinąwszy głową zamknęła za sobą drzwi.

– Jeszcze jedna rzecz. – W zamyśleniu spoglądał na Elinor znad rogowych okularów. – Uważam, że byłoby najlepiej nie włączać Buzz do trustu. Powiernicy mogą dbać o jej sprawy, podobnie jak o interesy dziewcząt, ale z naszego doświadczenia prawniczego wynika, że trust najlepiej ograniczyć tylko do członków rodziny. Są jeszcze inne przeciwwskazania prawne, którymi teraz nie chcę zawracać ci głowy.

– Jesteś pewien, że Buzz na pewno nie zostanie pokrzywdzona? – zapytała z troską Elinor.

– Jestem tego absolutnie pewien. – Wstał i zaczął porządkować swoje papiery.

– Ile czasu trzeba, żeby to wszystko załatwić?

Adam natychmiast zrozumiał, co Elinor ma na myśli.

– Najwyżej dwa tygodnie, ale jeśli rzecz jest pilna, można to zrobić z dnia na dzień.

– Zabierz się do tego natychmiast – szepnęła Elinor. – Chcę jak najszybciej powiedzieć o wszystkim Buzz i dziewczętom.

– Zrobię wszystko, jak każesz – zapewnił. – Będę szczęśliwy, mogąc powiadomić o wszystkim Buzz i dziewczęta... jeśli lekarz wyrazi zgodę na takie rodzinne zebranie. Nie możemy pozwolić, żebyś się przemęczała, Elinor.

Jeszcze tego samego dnia po południu wszyscy zasiedli wokół łoża Elinor na sztywnych krzesłach z okresu dyrektoriatu. Adam widział, że dziewczęta są zdenerwowane, tak jakby oczekiwały, że musi się zdarzyć coś niezwykłego.

– Te twoje szorty nie zostawiają wiele pola dla wyobraźni – burknęła Buzz do Klary, rozładowując nieco napiętą atmosferę. – Nie mogłaś się ładniej ubrać dla babci, tak jak Annabel? – Średnia siostra zmieniła przed przyjściem tutaj kostium kąpielowy na błękitną jedwabną sukienkę.

– Nie marudź, Buzz. – Miranda w różowych spodniach i dobranej pod kolor bluzce wiedziała, że przeszła pomyślnie test przyzwoitego przyodziewku. – Zaczynamy, Adamie.

– Wasza babka postanowiła powołać trust rodzinny, który będzie dbał o wasze interesy – zaczął poważnie. Spokojnym głosem wyłożył cały plan, określił wysokość branej pod uwagę sumy.

– Dziewięć milionów funtów? – jęknęła Miranda.

– Dobry Boże, to... około dwudziestu siedmiu milionów dolarów. – Annabel szeroko otworzyła usta.

– To o wiele za dużo – mówiła Klara w wahaniem – jak na jedną osobę... jedną rodzinę. To znaczy... nikt nie powinien mieć tak ogromnych pieniędzy, kiedy połowa świata umiera z głodu – dodała, wyczuwając pewien chłód ze strony babki.

Klara zareagowała dokładnie tak, jak Adam przewidywał; romantyczna idealistka i liberał. Dumna ze swojej uczciwości, gotowa by skończyć bez grosza w kieszeni. Już mogłaby zacząć.

– Jak działa taki trust? – zapytała Buzz ostrożnie.

– To trochę tak jak zakładanie kompanii, tyle że kierowanej przez powierników, a nie dyrekcję – wyjaśniał Adam. – Żeby mieć pewność, że powiernicy dobrze się wywiążą ze swoich zadań, powołuje się protektora trustu, który jest kimś w rodzaju policjanta. Fundatorem trustu jest założyciel, w tym wypadku Elinor, a

trust działa na korzyść beneficjentów wskazanych przez nią, w tym przypadku jej potomków. Jeśli nie ma potomków, trzeba ustanowić ostatecznego beneficjanta, ale tutaj nie będzie takiej konieczności przez najbliższe kilkaset lat. '

Elinor najwyraźniej spodobała się wizja trustu, który przynosi dywidendy przez setki lat.

– Jeśli Elinor nie jest beneficjentem, czy zachowa kontrolę nad majątkiem trustu? – zapytała Klara.

– A co z Buzz? Nie jest przecież potomkiem Elinor O'Dare – weszła jej w słowo Annabel.

Adam zignorował na moment te wątpliwości.

– Trust będzie rozpatrywał wszystkie życzenia Elinor, która od chwili jego założenia może kierować do niego swoje pisemne uwagi.

– Czy powiernicy muszą być jej posłuszni? – zapytała Miranda.

– Powiernicy podejmują decyzje, tak jak robi to dyrekcja każdej firmy, działając zawsze w najlepiej pojętym interesie beneficjentów.

– Trochę to skomplikowane, dziwne jakieś, nie? – wtrąciła Buzz podejrzliwie.

– Wśród zamożnych ludzi trust jest przyjętą formą – wyjaśniał Adam. – Chcąc ominąć kwestie spadkowe i niewłaściwe zarządzanie pieniędzmi, lord X przekazuje pieniądze swoim dzieciom, które zobowiązują się dożywotnio dbać o jego potrzeby materialne.

– A co, jeśli dzieci nie zechcą? – zapytała Buzz. – Jeśli zmienią zdanie, gdy lord X przepiśze już na nie wszystkie swoje ziemskie dobra?

– Jeśli dzieci nie są godne zaufania, nie ma co mówić o instytucji powierniczej – odpowiedział Adam, starając się, by jego głos brzmiał grzecznie.

– Jeśli Elinor odda wszystko całemu temu trustowi, to z czego będzie żyła? – dociekała dalej Buzz.

– Trust może określić rentę dla Elinor, która pozwoli jej żyć na dotychczasowym poziomie.

Miranda traciła już cierpliwość. Czyż Buzz nie widzi, że rozmawiają o truście, bo Elinor umiera?

– Kim będą ci wszechwładni powiernicy? – zapytała Klara.

– Elinor, nie chcąc mieć do czynienia z ludźmi, których nie zna, poprosiła swoich pełnomocników prawnych, by przyjęli rolę powierników. Wie, że może całkowicie zaufać kancelarii STG. Nasze biuro na Bermudach przejmie sprawę, akty zawarte poza stałym lądem nie podlegają tak często zmieniającym się przepisom prawnym.

– Wspomniałeś o protektorze. Kto nim będzie? – zapytała Miranda.

– Prawdopodobnie Paul Littlejohn, który pracuje teraz w naszej bermudzkiej filii. Zna sprawy Elinor.

Buzz wzdrygnęła się, spojrzała na bladą twarz Elinor, zagryzła wargi, zaczęła coś mówić, po czym doszła do wniosku, że lepiej milczeć.

– Zatem wszystko postanowione? – zapytała Elinor drżącym głosem, czując ulgę, że spotkanie zdaje się zbliżać ku końcowi.

– Moglibyśmy jeszcze chwilę porozmawiać? – zapytała Klara. – Nie podoba mi się ten pomysł. Jeśli babcia chce nam zostawić majątek, dlaczego po prostu nie zapisze jakiejś sumy każdej z nas? Po co komplikować sytuację?

– Adam wie najlepiej, co robić – odparła Elinor zdecydowanie. – Nie komplikuj, Klaro.

– Jestem dość dorosła, żeby kierować swoimi sprawami finansowymi – obruszyła się Klara.

– Nie ma na to dowodów – parsknęła Miranda. – Nigdy nie prowadziłaś interesów.

– Jestem pewna, że potrafię sobie poradzić – odpowiedziała Klara urażonym tonem. – Jestem mężatką i matką. To chyba wystarczający dowód mojej odpowiedzialności. Czemu mają mnie niańczyć jacyś prawnicy?

– Adam zadał sobie wiele trudu, przygotowując ten projekt, i wie, co jest dla nas najlepsze, kochanie – powiedziała Elinor.

– Czemu niby Adam ma wiedzieć, co jest dla mnie najlepsze? – zapytała Klara wojowniczo.

– Ponieważ jest fachowcem – szepnęła Elinor. – Jest prawnikiem z wieloletnim doświadczeniem. Oto dlaczego.

– Babciu, przez całe życie słyszałam od ciebie, że jakiś mężczyzna zawsze wie lepiej – odparowała Klara. – Zaczęło się, kiedy byłyśmy dziewczynkami i tatko Billy był dla nas ostatecznym autorytetem. „Tatko wie najlepiej”, czy nie tak zawsze mówiłaś? Mimo że wszystkie wiedziałyśmy, że to nieprawda. Nie chcę na powrót wylądować w żłobku, gdzie znowu będę słyszała, że tatko wie najlepiej, tyle że tym razem „tatusiem” będzie jakiś prawnik, którego nie widziałam nigdy w życiu, jakiś anonimowy człowiek, siedzący gdzieś na środku Atlantyku.

– Ani słowa o tatce Billym, Klaro – ostrzegła Buzz. Nie znosiła tego przezwiska, które Billy sam sobie nadał. Była pewna, że zrobił tak z próżności, uważając, że dziadkowanie za bardzo go postarza.

– Przepraszam, nie chciałam powiedzieć nic złego o tatce Billym – wycofała się

Klara pospiesznie. – Chcę być tylko szczerą, nie podoba mi się cały ten pomysł, babciu – powiedziała, nachylając się nad łóżkiem. Wiedziała, że to decydująca rozmowa, podczas której zapadną ostateczne decyzje.

– Adam zadał sobie tyle trudu... – powtórzyła Elinor słabo.

– Dlaczego nie porozmawiałaś z nami wcześniej, jeśli to my mamy korzystać z majątku? – zapytała Klara.

– Powiedziałam ci. Adam wie najlepiej, kochanie. Jest ekspertem. Płacę mu za to, żeby rozważał wszystko i podejmował decyzje. Byłoby głupotą odrzucić jego radę.

– Miranda nie traktuje go z takim nabożeństwem – odparła Klara. Nie mogła pojąć, dlaczego babka nigdy nie podejmowała decyzji na własną rękę, nigdy nie ufała swojemu instynktowi i własnym sądom.

– Powinnaś okazywać trochę więcej szacunku Adamowi, Klaro. Adamie, tak mi przykro!

– Przestań wreszcie traktować nas jak dzieci – krzyknęła Klara. – Zachowujesz się tak, jak za naszego dzieciństwa. Jeśli nie zgadzałyśmy się z czymś, zawsze odpowiadałaś: „Tatko wie lepiej”. Nie była to zbyt logiczna odpowiedź i nadal nią nie jest. Nie widzisz tego, babciu? Czemu ciągle powtarzasz: „Adam wie lepiej”?

– Ponieważ wie lepiej.

– Zawsze polegałaś na męskiej radzie i zawsze potrafiłaś znaleźć na to jakieś wytłumaczenie. – Klara zastanawiała się, czy nie był to sposób uwalniania się od odpowiedzialności za własne działania.

– No, no Klaro, nie piszemy tu „Wichrowych wzgórz” – usiłowała ją uspokoić Buzz. Był to stary rodzinny dowcip, powtarzany, kiedy Elinor zbyt folgowała swojemu poczuciu dramatyzmu.

– Ja też chciałabym zadać pytanie – wtrąciła Annabel, chcąc rozładować sytuację. – Czy trust może ustanawiać nagrody, stypendia, temu podobne rzeczy? Czy na przykład będzie mógł ustanowić doroczną nagrodę Elinor O’Dare w dziedzinie literatury popularnej, naprawdę poważną nagrodę, z którą musieliby się liczyć krytycy wybrzydający na romanse? – ciągnęła Annabel, pamiętając dobrze, jaka dumna była babka, kiedy uniwersytet Minnesoty zwrócił się do niej z prośbą o przekazanie rękopisów jej powieści do swoich zbiorów. – A gdyby tak ustanowić stypendium Elinor Dove dla debiutujących pisarzy? Kilka innych rzeczy, które odbiłyby się echem w świecie literackim?

– Nie mówisz chyba poważnie – wybuchnęła Klara. – Annabel! Takie pomysły sprawią tylko, że ludzie będą patrzeć na babcię jako na jeszcze większą...

– Dość tego, Klaro! – Buzz wstała z krzesła. – Wyjdź, jeśli nie potrafisz zapanować nad sobą.

– Jak niegrzeczne dziecko? – sarknęła Klara.

– Właśnie tak – odparła Buzz spokojnie, myśląc w duchu, że spośród nich trzech Klara najbardziej przypomina Elinor. Pełna pasji, uparta, o silnej woli.

Nikt się nie odezwał, wszystkie oczy zwróciły się ku Elinor.

– Jeśli tak bardzo nie w smak ci moja praca, moje pieniądze, moi doradcy i ich projekty, to zapewne wolisz nie brać w tym wszystkim udziału. Nie musisz być włączona do trustu.

– Tak, wolę! – Klarze drżały usta. Nie pozwoli, żeby manipulowano nią w taki sposób. I na pewno nie rozplacze się w obecności Adama.

– Powinnaś przeprosić babkę, Klaro – powiedział Adam z przyganą w głosie.

Klara wstała i bez słowa wyszła z pokoju.

– Elinor, czy chcesz wykluczyć Klarę z trustu? – Adam odkaszlnął.

– Ależ skąd – powiedziały obydwie siostry zgodnie.

– Klara nie będzie korzystała z dochodów trustu, dopóki mnie nie przeprosi – odparła rozzłoszczona Elinor.

– Nie możesz jej wykluczyć! – zaproponowała Annabel.

– Musisz ją włączyć! – wtórowała Miranda.

– Formalnie... ja – Adam wyglądał na skonsternowanego – powinienem zaprotestować wobec tej próby wywierania przymusu na mojej klientce – dodał bez przekonania.

– Zamknij się, Adamie – podsumowała Buzz.

Wszyscy zebrani zdawali sobie sprawę, że Elinor jest wielkoduszna i uległa, jeśli tylko ktoś nie chce jej wykorzystać i nabrać. Inaczej potrafi okazać się bezwzględna. Kiedy ktoś ośmielał się ją krytykować, oskarżać o cokolwiek, stawała się niewiarygodnie uparta.

– Elinor – odezwała się Buzz. – Wiem, złości cię, że Klara krytykuje twoje powieści i że wołałaby czytać prawdziwe historie z życia biedaków, ale nie masz chyba zamiaru jej skrzywdzić? – Ostatnie zdanie zabrzmiało niemal jak rozkaz.

– To Klara krzywdzi mnie – odpowiedziała Elinor z uporem. W jej głosie zabrzmiała jakaś teatralna nuta. Znowu kawałek z „Wichrowych wzgórz”, pomyśleli wszyscy.

– Kazesz wręczyć Klarze przez lokaja bilet powrotny klasy turystycznej do Los Angeles? – zapytała Buzz kąśliwie.

– Dość już, Buzz. – Głowa Elinor opadła bezwładnie na stertę poduszek.

– Nie bądź uparta – ostrzegała Buzz. – Nie podoba ci się w Klarze dokładnie to, co odziedziczyła po tobie! – Kuchenny zegarek w kieszeni Buzz rozdzwonił się. – Czas już! No, wynosić się stąd wszyscy! Raz dwa!

– Chcę powiedzieć coś jeszcze Adamowi w cztery oczy – powiedziała słabo Elinor.

– Załatw wszystko tak szybko, jak to możliwe, mój drogi – zadysponowała, kiedy zostali we dwójkę w pokoju. – Później będziemy mogli dopisać Klarę.

– Nie – odparł Adam. – Później nic już nie da się zmienić.

– Idź zatem na dół i powiedz jej, żeby mnie przeprosiła. – Głos Elinor drżał z wyczerpania. – Poproś ją grzecznie i wracaj zaraz powiedzieć mi, co odpowiedziała. Mam nadzieję, że okaże dość rozsądku i że wszystko się ułoży. Spiesz się – szepnęła.

– Twoja babka domaga się bezwarunkowych przeprosin za to, co powiedziałaś o jej książkach, pieniądzach i doradcach – mówił Adam, przykucając koło basenu. – Żąda, żebyś przeprosiła ją natychmiast. Wiesz, że jeśli tego nie zrobisz, ukarze cię dotkliwie.

Klara stała w wodzie, odgarniając do tyłu mokre włosy. Spojrzała na Adama zaskoczona.

– Jestem dorosłą, zamężną kobietą, Adamie, a nie dzieckiem, które stawia się do kąta, żeby nabrało rozumu. Nie będę reagowała na pogróżki. Powiedziałam prawdę i nie widzę powodów, żeby cokolwiek odwoływać.

– Nie przeprosisz zatem?

– Naturalnie, że nie.

Elinor spojrzała na Adama z oczekiwaniem. Wyraz jej twarzy zmienił się, gdy zobaczyła jego zmieszanie.

– Przykro mi, ale Klara nie chce cię przeprosić. Rozmawiałem z nią dość ostro, ostrzegłem, jakie mogą być konsekwencje.

– Co dokładnie powiedziała? – westchnęła Elinor.

– Powiedziała: „Naturalnie, że nie”. Chcesz, żeby uwzględnić imię Klary w... truście? – Adam przerwał milczenie, które zaległo po ostatnich słowach.

– Oczywiście, że chcę – odparła Elinor zmęczonym głosem – ale nie mów jej o tym, proszę. Niech się przełamie. Minie jej przecież ten upór.

Adam spojrzał uważnie na Elinor i nic nie odpowiedział.

Przez okno swojego biura na parterze Buzz mogła słyszeć podniesione głosy koło basenu, gdzie zebrały się wszystkie trzy siostry.

Nigdy się nie kłóciły, pomyślała ze smutkiem, a teraz, proszę! Kiedy ich babka

leży na łożu śmierci. Wiedziała, że były ze sobą bardzo zżyte i że znały nawzajem swoje czułe punkty.

Są takie same, myślała, jak osiemnaście lat temu, kiedy zamieszkała z Elinor. Tyle że teraz, zamiast spierać się o wstążkę do włosów albo kredki, kłóciły się o fortunę.

– Jesteście najgorszymi hipokrytkami, jakie widziałam w życiu – krzyczała Klara. – Nie wiedziałam, że tak kochasz literaturę, Annabel. Stypendia, nagrody, granty rozślawiające dzieło jej życia. Rzeczywiście!

– A czemu by nie? – odparowała Annabel. – To jej pieniądze. Chciałam pocieszyć ją jakoś po tym, jak ty się zachowałeś.

– A czemu by nie? – przedrzeźniała ją Klara. – Temu, że jej książki przyniosły więcej szkody, niż może jej to w głowie postać!

Siostry jęknęły i zaczęły naśladować wysoki, miękki głos Klary:

– Sentymtalne powieści, malujące romantyczny, nierealistyczny i niebezpieczny obraz świata.

– Naturalnie – broniła się Klara. – Wmawia się czytelniczkom, że powinny wierzyć w szczęśliwe zakończenia. Jeśli przeżywają trudne chwile w życiu, powinny sobie po prostu powiedzieć, że to akurat połowa piątego rozdziału, ale dzielny rycerz już czeka na nie w siódmym. Wmawia się im, że mają być bierne, że powinny godzić się z losem i nie próbować niczego zmieniać.

– Co jest takiego strasznego w eskapistycznej literaturze? – zapytała Annabel. – Większość kobiet czyta ją. Ja ją czytam.

– Książki babci sprzedają się w milionowych nakładach, a więc ludzie je lubią – oceniła Miranda.

– Dlaczego nie zastanowisz się nad własnym życiem – wtrąciła Annabel – zamiast wyładowywać na nas swoje stresy z powodu kłopotów w domu.

– Dlatego jest w takim paskudnym nastroju – przytaknęła Miranda. – Małżeństwo jej się rozpada, przeżywa zawód. Nie wierzy w romanse ani w prawdziwą miłość.

– Prawdziwa miłość zniknęła z powierzchni ziemi razem z pterodaktylami – ucięła Klara.

– Nieprawda, tylko trudno ją znaleźć – zamyśliła się Miranda.

– Te wspaniałe wibracje, które łączą dwoje ludzi – rozmarzyła się Annabel. – To cudowne uczucie, kiedy rozumieją się bez słów...

– Nigdy nie spotkałam mężczyzny, który potrafiłby odgadnąć moje myśli. Po co dzwonisz ciągle do Nowego Jorku, i to na koszt babci, jeśli możecie

porozumiewać się bez słów? Nie wiem, jak śmiecie mówić o porozumieniu, czy jakiegokolwiek formie miłości po tej obłudnej scenie, którą odegrałyście przed chwilą. Obrzydzenie mnie brało, kiedy słuchałam tych waszych przypochebiań! – powiedziała Klara wytrącona z równowagi.

– A mnie brało obrzydzenie na tę twoją świętoszkowatą szlachetność – odgryzła się Miranda.

– Przynajmniej nie zamieniłam się nieoczekiwanie w miłośniczkę literatury, jak Annabel!

– Chciałam sprawić jej przyjemność! – krzyknęła Annabel. – Po tym, jak ty zrobiłaś jej przykrość.

– Wiesz, że nie znoszę tego jej tatko-wie-lepiej – powiedziała Klara.

– A kogo do diabła obchodzi, co myślisz, ty zakłamana świętoszko, kiedy ona umiera? – odpowiedziała poniesiona gniewem Miranda.

Klara rozpląkała się i pobiegła do zamku. Zamknięta w swojej sypialni zastanawiała się, jak to się dzieje, że Miranda potrafi kilkoma celnymi słowami doprowadzić ją do pasji. Jej najmłodsza siostra umiała sprawić, że czuła się naga, bezbronna, wydana na ciosy. Nad basenem zaległa cisza.

Buzz westchnęła. Wyszła ze swojego biura i skierowała się w stronę sypialni Elinor. Lubiała zjawiać się tutaj nieoczekiwanie, by sprawdzić, czy pod jej nieobecność pielęgniarka nie próżnuje.

Elinor leżała na poduszkach blada i wyczerpana, w dłoni zaciskała fotografię Billy'ego z lat młodości.

– Niedługo znowu go zobaczę – szepnęła z lękiem w oczach.

– Bzdury. Zobaczysz, że ani się obejrzysz, jak postawię cię na nogi – zapewniła ją Buzz z przekonaniem.

– Nie rozumiesz, Buzz. Nigdy nie rozumiałaś, jak to było z Billym.

– Rozumiem, że zawdzięczał ci wszystko.

– O nie, Buzz. To ja mu wszystko zawdzięczam – szepnęła Elinor rozmarzonym głosem. – Był dla mnie stworzony. Od samego początku...

Rozdział 3

WTOREK, 15 PAŹDZIERNIKA 1918

W czasie nocnego dyżuru w szpitalu polowym w La Chapelle w północnej Francji osiemnastoletnia siostra Elinor Dove zakochała się i w tamtej chwili nic innego nie miało znaczenia. Po raz pierwszy doświadczyła miłosnego zawrotu głowy.

Po tej pierwszej nocy, kiedy Billy całował wewnątrz jej dłoni, Elinor rumieniała się, ilekroć zbliżała się do łóżka numer 17. Jeśli ją wzywał, próbowała go nie dotykać, a on zdawał się bawić jej zażenowaniem.

Pewnego ranka kończąc dyżur sprzątała po trwających całą noc operacjach, gdy usłyszała za plecami jakiś stuk. Odwróciła się i zobaczyła pilota O'Dare'a wspartego na kulach. Pod spojrzeniem jego błękitnych oczu spłonęła się jak zwykle. Czemu ten człowiek nie wróci do swojego łóżka, skoro jest chory? Czemu wpatruje się w nią tak natarczywie, z tym swoim uśmiechem? Czemu czuje się taka wzruszona, bezradna i speszona? I na dodatek winna?

Wiedział, że czerwieni się z jego powodu.

– Dlaczego wstał pan z łóżka? – powiedziała z udaną irytacją.

– Wiesz, że wkrótce mogą mnie przenieść? – Wyszczrzył zęby w uśmiechu i ruszył w jej kierunku. Nagle poślizgnął się na mokrych kafelkach, kula upadła, stracił równowagę i wylądował na podłodze.

– Proszę się nie ruszać! Pomogę panu! – Siostra Dove rzuciła się w stronę pacjenta.

– Może pan poruszać głową? – Odwróciła go na plecy i ostrożnie pomacała kark. – Proszę obrócić w lewo. Dobrze. Teraz w prawo. W porządku.

Billy O'Dare otworzył błękitne oczy, w których zamiast oznak bólu dojrzała determinację. Bez słowa ujął ją za ręce i przyciągnął do siebie. Przez chwilę spoglądał jej w oczy niczym hipnotyzer, przyciągnął jeszcze bliżej i pocałował. Znowu poczuła ten zapach, któremu nie potrafiła się oprzeć.

Elinor zaczęła drżeć, czuła przemożne pragnienie, zdawało się jej, że traci panowanie nad sobą, jakby zanurzała się w ciepłej, głębokiej wodzie. Czuła jego język rozchylający jej wargi, dłoń dotykającą włosów związanych w węzeł na karku. Gładził ją po głowie, każdy dotyk przenikał ją dreszczem. Przez serżowy fartuch czuła jego dłoń na piersi.

Nie zwracała uwagi na zwykłe odgłosy dochodzące z oddziału. Jej ciało reagowało, jakby wiedzione własną wolą. Przytulał ją do siebie, zamykał w objęciach, całował.

Nagle zeszywniała przestraszona.

– ... śliczna ty... – szeptał między pocałunkami – pragnąłem cię, jak tylko cię zobaczyłem... te oczy... kochana moja... kochana... kochana... – Wsunął dłoń pod jej spódnice.

Siostra Dove ocknęła się raptownie i zaczęła energicznie uwalniać z jego objęć. Cała zmysłowość ulotniła się w jednej chwili. Wiedziała, jaki los spotyka dziewczęta, które pozwalają na zbyt wiele, i nie miała zamiaru dopuścić, by i jej przytrafiło się coś podobnego.

Billy leżał na podłodze, spoglądając na nią przepaszająco.

– Nie gniewaj się, ale jesteś taka kochana, taka wyjątkowa – wyszeptał.

Rzuciła mu gniewne, pełne urazy spojrzenie.

– Nie rozumiesz, co czuje mężczyzna. A poza tym ja cię naprawdę kocham.

Dwa tygodnie później pilot William O'Dare, ku własnemu zaskoczeniu, poprosił siostrę Elinor Dove, by została jego żoną.

Buzz nie podzielała radości Elinor usłysawszy o oświadczeniach Billy'ego.

– Wiesz, jak to jest z wojennymi małżeństwami, Neli – tłumaczyła, siedząc w ziemiance na jej pryczy. – Mało tu kobiet, to zdają się Bóg wie czym. Mężczyźni lecą do nich niczym do miodu. Nawet moja komendantka z bużką jak patelnia ma wianuszek absztyfikantów. Nikt się nie miarkuje, ani baby, ani chłopcy – zaciągnęła się papierosem. – Przyznaję, że z Billy'ego jest galanty chłopak. Te błękitne oczy i ta czupryna jak zboże. Ma ten swój irlandzki wdzięk. Ale co ty o nim wiesz, Neli? Nic prócz tego, że ma dobry metr osiemdziesiąt i każdą potrafiłby zbałamucić. Czemu tak ci spieszo do ołtarza? Powiadają, że wojna zaraz się skończy, to i Billy'ego nie zabiją. Nie ma pośpiechu! Chyba mi nie powiesz...

– Ależ z ciebie zgaga – powiedziała rozzłoszczona Elinor.

– A z ciebie romansowa idiotka – odparowała Buzz. – Nic nie wiesz o jego rodzinie. Co będzie robił po wojnie? Z czego będziecie żyli? A jak się okaże leniem albo jakim ladaco? Albo będzie cię oszukiwał?

– Oszukiwał? – zawołała obrażona Elinor. – Dlaczego miałby mnie oszukiwać? Nie jestem głupia!

– Kto to wie? – zatroskała się Buzz. – Coś to wszystko za piękne, żeby było prawdziwe. Skoro z niego taka dobra partia, to poczekaj, póki nie poznasz jego rodziny.

– Dość już się napatrzyłam na śmierć i cierpienie! On też. Chcę żyć i on mi daje życie.

Osiemnastoletnia Elinor i jej dwudziestopięcioletni wybranek zawarli ślub przed katolickim księdzem w La Chapelle, pięć mil od szpitala, w kościele zachowanym prawie w całości po wojennych zniszczeniach. Elinor miała na sobie swoją najlepszą jedwabną bluzkę i pożyczoną wełnianą spódnicę w kolorze bordo. Świadkami byli Joe Grant i Buzz, obnosząca różową bluzkę i podejrzliwą minę.

Nowożeńcy dostali trzydniową przepustkę, żeby „zabawić się” w La Chapelle. Po uczcie złożonej z czerwonego wina, potrawki z królika i jagodzianek, za którą zapłacił fortunę w papierosach, Billy zaprowadził Elinor na górę.

Sypialnia z tapetami w brązowe chryzantemy była umeblowana nader skąpo. W blasku migotliwego płomyka świecy Elinor dojrzała wielkie łóżko z piernatami. Odwróciła szybko oczy, po części z zażenowania, po części ze strachu. Stała na środku pokoju, sztywno, bez ruchu, bez słowa.

Billy uśmiechnął się do swojej panny młodej, otworzył drugą butelkę wina i zaczął rozpinać bluzę.

Gdy uniósł Elinor w ramionach, czuła jego mocny zapach i widziała błyski w błękitnych oczach. Bez słowa zaniósł ją na łóżko i położył na kołdrze. Podniósł spódnicę, zdjął buty, potem podwiązki i pończochy.

Zaczął całować jej stopy, palce. Usta wędrowały w górę, ku udom.

Leżała sztywna, zawstydzona. Rozpiął jej pantalon, wsunął dłoń pod spód i zaczął zsuwać, odsłaniając biały brzuch i jasną kępkę włosów.

Zaplątana w ubranie powyżej talii, czuła się w pułapce, spłoszona. Zamknęła oczy, nie mogąc zwalczyć wstydu. Chociaż Billy przystępował do rzeczy powoli, dla niej wszystko działo się za szybko.

Delikatnie, pieśczośliwie zaczął rozpinać jej bluzkę, potem pasek i ściągnął spódnicę. Później halka, koszula. Kiedy całkiem ją rozebrał, dotknął piersi, szczypiąc lekko sutki, żeby ją podniecić.

Ciągle nie otwierała oczu. Gdyby podniosła powieki, zobaczyłaby, że Billy rozbiera się niczym ośmioręki bóg hinduski, rzucając w pośpiechu ubranie na podłogę, nie odrywając od niej spojrzenia, zafascynowany białością jej nagiego ciała oświetlonego migotliwym płomykiem świecy, zaczarowany widokiem ciężkich piersi o ciemnych brodawkach, wąską talią, pełnym brzuchem wysklepionym nad rozłożystymi biodrami.

Wszystko odbywało się w całkowitej ciszy, nie słyhać było nawet oddechów. Była tak spięta, że nie śmiała zaczerpnąć głębiej powietrza.

– Jesteś piękna i ponętna – wyszeptał Billy ze śmiechem. – Zobaczysz, co to oznacza, nim noc się skończy.

Znowu zaczął ją pieścić, powoli, łagodnie, uważnie obserwując jej reakcje, jak ktoś, kto dobrze zna tajemnice kobiecego ciała. Wzdrygnęła się pod jego dotknięciem. Jej mózg udawał, że nie ma pojęcia, co się dzieje z ciałem.

Łaskotał ją w brzuch wąsami, pieścił językiem pępek, posuwając się do góry, póki nie natrafił na wargi. Czowała w jego oddechu zapach własnego ciała, co wydało się jej skandaliczne.

Całował delikatnie usta, uszy, powieki, policzki, brodę, łaskotał językiem w szyję. Gryzł lekko piersi, potem pośladki. Centymetr po centymetrze jego język i ręce poznawały jej ciało, nie pozostawiając żadnego sekretnego miejsca. Podporządkowując swoją rozkosz jej rytmowi, powoli wprowadzał ją w nowy, przyprawiający o dreszcz i strach świat.

Czowała, jak jego palce wędrują po jej skórze, nie omijając żadnego miejsca, żadnego zakątka, aż jego dłoń dotarła do ud. U dołu jasnej kępki włosów palec wskazujący natrafił na maleńki guziczek, nie większy niż ziarnko groszku, i zaczął go delikatnie, rytmicznie pocierać.

Rozluźniała się powoli. Ciało poddawało się przyjemności, jaką dawał dotyk Billy'ego, już nie kontrolowane zdawało się topnieć, wreszcie wygięło w łuk pod jego palcami, coś pękło w duszy.

Zdyszana, zdumiona, otworzyła oczy. Nad sobą w świetle świecy zobaczyła uśmiechniętą triumfalnie twarz Billy'ego.

– To dopiero początek – obiecał. – Teraz daj nacieszyć sobą oczy. – Nachylił głowę i wsunął rękę między uda.

– Rozchyl nogi – szepnął.

Zesztywniała na te słowa, tak sprzeczne z zasadami, w jakich ją wychowano.

– Proszę – nalegał.

W jego tonie było coś, co nakazywało uległość. Musi usłuchać jego prośby, spełnić nakaz moralny. Czyż nie przysięgła właśnie kochać go, szanować i być mu posłuszną?

Z drżeniem rozchyliła uda. Czowała się skrępowana, winna, niezdolnie bezbronna, serce waliło ze strachu.

Zainteresowanie Billy'ego zdawało się nosić wszelkie cechy obiektywnej ciekawości, oczy zwęziły się lekko, niczym u znawcy podziwiającego ciepłarnianą orchideę, egzotyczny kwiat o jasnoróżowych mięsistych płatkach schowany w kępce jasnych włosów.

Delikatnie rozsunął jej wargi i kontynuował swoje kliniczne dociekania. Osunął głowę, zaczął ją lizać, raz jeszcze mózg przestał rządzić ciałem i rozkosz okazała się silniejsza niż wstyd.

– Przyznasz, że to nie takie złe – szepnął, unosząc uśmiechniętą twarz i kładąc dłoń między jej udami.

Znowu dygotała ze strachu. Ręka Billy'ego penetrowała wilgotne ciepło, zagłębiając się, póki nie znalazła drogi. Wsunął głębiej palec, rozwierał, starając się nie zadawać bólu swojej pannie młodej. Elinor jęknęła, gdy wygrał swoją łagodnie rozgrywaną bitwę.

W pierwszej chwili, kiedy wszedł w nią, uczuła panikę. Leżał na niej nieruchomo, przywracając odwagę pocałunkami, póki znowu nie uspokoiła się i nie rozluźniła.

– Tak – wyszeptał, kręcąc jej biodrami i pokazując ruchy.

Powoli jej ciało podjęło rytm.

Billy w ciszy kontrolował każdy ruch, każdy obrót ciała. Spleceni, pogrążeni w niespiesznym horyzontalnym tańcu, krok po kroku poznawali się nawzajem. Przez całą noc kołowali od jednego krańca łóżka na drugi, pozwalając narastać wzajemnemu pragnieniu, nasycając sobą i zaczynając od nowa.

Czasami klęczał nad nią niczym jakaś wielka, triumfująca bestia, spoglądająca w dół na swoją zdobycz.

Zdawało się jej, że cała rzeczywistość odpłynęła gdzieś, pozostawiając tylko niewyraźne, dwuwymiarowe obrazy. Prawdziwe, realne, trójwymiarowe były tylko: sterta poduszek, rozkopana pościel i męskie ciało, w niej, na niej, obok, blisko. Nie sięgała myślą poza to zespolenie w mrocznym pokoju przesiąkniętym zapachem ich ciał.

Czasami leżał pod nią, zamykając dłonie na jej piersiach, czując na wargach jej drżące ciało, to znów ona siedziała na jego biodrach, a on nadawał dłońmi ruch jej biodrom. Trzymał ją w uścisku, kontrolując rytm, nie pozwalając jej poruszać się tak, jak ona chciała, narzucając własny.

Najpierw zasłaniała wstydliwie piersi dłońmi, ale później oddała się rozkoszy z otwartymi ramionami, niczym jeździec dosiadający delfina, póki nie opadła wreszcie wyczerpana na jego pierś.

Rano jej ciało było usiane drobnymi wybroczynami, niczym przejrzała brzoskwinia, i te drobne ślady stanowiły dowód jej przynależności do Billy'ego, jak wypalony na skórze znak własności.

Była oszołomiona, zaczarowana, zakochana, kompletnie w mocy Billy'ego.

Podniecał ją, przerażał i fascynował. Rano, po przebudzeniu, zdezorientowana i zaspana, podniosła głowę i natychmiast ukryła twarz w poduszkach. Zaczerwieniona przypomniała sobie, jak manipulował jej zmysłami, sprawiając, że poddawała się zupełnie jego dotykowi.

Po chwili zdała sobie sprawę, że leży w łóżku sama.

Usiadła.

Billy, jej mąż, zupełnie nagi, wyglądał przez okno. Spod zmrużonych powiek spoglądała na jego jasną czuprynę, mocny kark, szerokie plecy. Patrzyła z zachwytem na długie nogi, muskularne pośladki, wszystko tak różne od jej miękkiego, białego ciała. Na całe życie zachowała ten obraz w pamięci i to jedno wspomnienie sprawiało, że była w stanie wybaczyć mu wszystko.

Przez pierwsze tygodnie małżeństwa powoli wchodziła w świat zmysłowości.

Tym, co w pierwszej chwili zafascynowało w niej Billy'ego, była, oprócz urody, niewinność, której tak broniła i która wyzwoliła w nim typowo męską determinację.

Kiedy już się z nią uporał, usiłował ją na powrót odbudować i czerpać przyjemność z kolejnych podbojów. Początkowo sprzeciwiała się tej grze, wzbraniała przed powtórzeniem ich pierwszej nocy.

– Czemu nie mamy się rozebrać przed pójściem do łóżka? Nie rozumiem, dlaczego chcesz, żebym udawała? – protestowała, ale w końcu zasmakowała w tej zabawie.

Zręcznie, niepostrzeżenie, Billy zamienił swoją młodą żonę w niewolnicę jej własnego erotyzmu. Nie potrafiła myśleć o niczym innym. W głębi duszy nadal pozostawała dziewczyną z farmy, a Billy'emu podobała się jej młodzieńcza niezręczność, wstydlivość, rumieńce. Dla niej fizyczna namiętność, dowód miłości i oddania mężowi były czymś, czego nie spodziewała się w najśmielszych snach. W łóżku płakała i drżała, wstrząsana rozkoszą, aż osuwała się wyczerpana na poduszki.

Wystarczyło, żeby jej dotknął, a świat gdzieś odpływał. Wstrzymywała oddech, kiedy wpatrywał się w nią swoimi błękitnymi oczami. Gdy zaczynał do niej mówić w miłosnym preludium, jego głos nabierał głębszego tonu, niósł ze sobą jedwabistą obietnicę i – groźbę. Sam ten głos przyprawiał ją o drżenie nóg. Kiedy wymawiał jej imię, odbierała to jak fizyczną pieszczotę jego warg. Wrażenie było tak silne, że dziwiła się, iż inni tego nie zauważają.

Pojmowała instynktownie, że sam seks nigdy nie da jej prawdziwego spełnienia. Fizyczne zapomnienie musiało się łączyć z namiętnością serca i

oddaniem duszy, a to było możliwe tylko z jednym mężczyzną, z Billym. Tylko on wiedział, kiedy się przymilać, kiedy kusić, kiedy nalegać. Był jedynym, któremu mogła powierzyć swoje ciało. Wiedziała z całą pewnością, że nigdy nie będzie nikogo innego.

– Czemu nic mi nie powiedziałaś? – zwróciła się Elinor z uśmiechem do męża, kiedy pokojówka wprowadziła ją do wielkiej sypialni.

– Denerwowałaś się niepotrzebnie – powiedział Billy, obejmując ją i całując delikatnie. – Wolałem, żebyś się sama przekonała, jaka jest moja rodzina.

– Ale czemu nie powiedziałaś, że są bogaci?

– Bo nie są – zaśmiał się Billy. – Popatrz na ten wytarty dywan, zniszczone zasłony. Przekonasz się zaraz, że i pościel jest pocerowana, nie mówiąc już o smaku sherry, które podadzą.

– Jak to się zatem dzieje, że żyją jak bogacze? A srebra, służba?

– Przez niemądre inwestycje ojciec stracił niemal wszystko, co odziedziczył. Zastawa jest posrebrzana, a i służby nie ma tak dużo, jak kiedyś. Ci, co zostali, są ledwo opłacani, żyją z tego, co rodzi się w majątku.

Pokręciła głową. Była naprawdę w obcym kraju, w którym wszystko zdawało się sprzeczne z logiką. Rodzina bez grosza, mieszkająca w domu pełnym służby, gdzie się podaje wytworne posiłki, a kobiety noszą naszyjniki z pereł. A jednak, jak wyjaśniał jej Billy, nie znalazłoby się tu bodaj znaczka kupionego za gotówkę.

– Czemu ten człowiek w czerni tytułuje twoją matkę „milady”? – zapytała.

– Ponieważ mój ojciec jest baronetem.

– To znaczy lordem?

– Może nie aż tak. Wytlumaczę ci kiedyś angielski system klasowy, kiedy będę miał dość sił i czasu. Wierz mi, to naprawdę nie ma znaczenia. Zostawmy to na razie. Poza tym nie możemy się spóźnić na kolację. To jedyna rzecz, której moja matka nie wybacza.

Tego wieczoru zażenowanej nową sytuacją Elinor pokojówka pomogła się rozebrać. Leżąc w wielkim łożu pod baldachimem z draperiami z błękitnego brokatu, czekając na Billy'ego, wpatrzona w hipnotyzujący płomień świecy, wspominała wydarzenia minionego dnia.

Zdenerwowana jak każda panna młoda mająca po raz pierwszy stanąć przed teściową, sztywna z przerażenia, patrzyła na okolicę z zaprzęgniętej w kuca bryczki, która przyjechała po nich na stację. Gdy wreszcie wśród zieleni dojrzała w oddali coś, co wyglądem przypominało grecką świątynię, Billy rzucił niedbałym tonem: – To Larkwood. – Już trzęsącą się z przerażenia lokaj wprowadził do

salonu, gdzie przy kominku zebrała się grupka odzianych w tweedy postaci. Zorientowała się natychmiast, że będzie poddana pewnemu testowi. Ze zdenerwowania podczas tej pierwszej prezentacji nie mogła skojarzyć wymienianych imion z więzami pokrewieństwa. Wyjątkiem była przypominająca trochę syna matka Billy'ego, która złożyła na jej policzku coś, co miało imitować pocałunek.

Przy kolacji rozprawiano o polityce, z czego niewiele mogła zrozumieć. Siedziała obok ojca Billy'ego i idąc za jego przykładem manewrowała całym arsenałem srebrnych sztućców ułożonych wokół talerza. Po raz pierwszy w życiu zdarzyło się jej jeść gruszkę nożem i widelcem.

Teraz z tęsknotą wyczekiwała Billy'ego, chciała, żeby zapewnił ją o swoich uczuciach; było jasne, że jego rodzina nie pała do niej miłością.

Gdzie on się podziewa?

Wysunęła się z łóżka, cicho otworzyła drzwi i zamarła, słysząc swoje imię.

Z podestu schodów dochodził zagniewany głos matki Billy'ego, mówiącej o synowej w słowach, które sprawiły jej ból, ale i rozzłościły.

– To jasne dlaczego ożeniłeś się z nią, kochanie. Jest bardzo ładna i ma taki uroczy amerykański akcent. Ale spróbuj dać jej taktownie do zrozumienia, że nie może siedzieć milczkiem przy moim stole, musi nauczyć się mówić, słuchać, błyszczeć.

– Mogę ci zaręczyć, że błyszczy, jeśli czuje się pewnie – odpowiadał Billy. – Moglibyście być trochę bardziej wyrozumiali, okazać odrobinę cierpliwości i wielkoduszności. Czy ci się to podoba, czy nie, Elinor należy teraz do rodziny.

– Ach, o to idzie. To ma być rodzaj kary dla mnie, tak? Bóg jeden wie, czym na to zasłużyłam, poza tym, że nie urodziłeś się jako pierworodny! Czy nie uważasz, że to jednak niewdzięczność żenić się z kimś spoza własnej klasy?

– Jestem bez grosza, nie mam żadnych widoków na przyszłość, jestem w pewnym stopniu inwalidą i nie widzę dla siebie żadnej posady. W jakiej klasie mnie to sytuuje twoim zdaniem, mamo?

– Wiesz, że zawsze możesz zamieszkać tutaj.

– I patrzeć jak Marjorie liczy nam każdą łyżkę stawy, którą przejadamy z dziedzictwa jej męża? Nie, dziękuję!

Billy odwrócił się na pięcie i wszedł do sypialni. Zastał Elinor stojącą ze łzami w oczach przed lustrem.

– Och, Billy, tak mi smutno... Tak bardzo chciałam, żeby twoja rodzina mnie polubiła.

– Nie bądź głuptasem. Rodzina uważa, że jesteś wspaniała – stanął za nią i przytulił do siebie, otaczając ramionami i pieszcząc przez cienki materiał koszuli jej piersi.

Wiedziała dobrze, że się nie przesłyszała. Czuła się dotknięta, była kimś nie chcianym, gorszym w tym szlacheckim gnieździe. Po raz pierwszy od bardzo dawna zatęskniła za domem.

Billy zsunął koszulę nocną z jej ramion, ale nie zareagowała na to zaproszenie do kochania się. Była oburzona. Ona, Amerykanka, która przeżyła wojnę, zasłużyła sobie na miejsce w świecie. Nie miała zamiaru pozwolić się poniżać żyjącym przeszłością, wyniosłym brytyjskim arystokratom, korzystającym z niezasłużonych przywilejów. Patrzyli na nią z góry, bo pochodziła z prostej rodziny, która żyła z pracy własnych rąk. No cóż, zobaczą jeszcze, z kim mają do czynienia.

Nie zdawała sobie sprawy, jak wiele odziedziczyła z wojowniczej natury swego ojca i w jakim stopniu zaważy to na jej przyszłości, w której miała pokazać angielskim powinowatym, z kim mają do czynienia.

Nawet gdy zagospodarowali się już we własnym mieszkaniu, Billy przy każdej nadarzającej się okazji jeździł do domu. Larkwood było dla niego oazą bezpieczeństwa i schronieniem przed światem, którego wymaganiami nie był w stanie sprostać. Pomimo to uważał się za równego innym. Z zazdrością myślała, że chciałyby czuć się podobnie, gdy przychodziło do spotkań z O'Dare'ami.

– Czuję się tak, jakbym była gorsza od nich – zwierzała się Billy'emu, kiedy leżeli już w łóżku w czasie następnej wizyty w Larkwood – i podejrzewam, że chcą, żebym tak się czuła.

– Dziewczyno, oni naprawdę nie chcą cię peszyć – pocieszał ją Billy, głaszcząc po głowie. – Nie jesteś po prostu przyzwyczajona do brytyjskiego stylu bycia.

– Przy nikim innym tak się nie czuję. W szkole nie mam takich problemów, tam się czuję swobodna, równa innym. – Elinor zapisała się na kursy wieczorowe na politechnice, licząc, że dzięki wykształceniu łatwiej jej będzie stawić czoło rodzinie Billy'ego.

– Bo tak jest – mruknął Billy, pieszcząc ją.

– Ty tego nie rozumiesz – westchnęła. – Ty wszędzie czujesz się pewnie.

Elinor myliła się jednak. Prawda, Billy był wykształconym, dobrze wychowanym dżentelmenem, przystojnym, wrażliwym, pełnym zwierzęcego wdzięku. Doświadczył tego, co w życiu dobre i licząc na swoją inteligencję i zaradność zakładał, że tak będzie zawsze. Nie wiedział tylko albo nie chciał sobie uświadomić, jak bardzo jest leniwy.

Zdawał się człowiekiem wyrafinowanym, obytym, znającym świat. Przed wojną robił konkiety w salonach i na parkietach Londynu, „a panie oceniły, że mądry jest i bardzo miły”.

W męskim świecie klubów londyńskich Billy pokazywał się wszak z innej strony. Tutaj okazywało się, że każda płęć ma swoje odrębne i ściśle określone cele. Mężczyźni zażywali sportów i niebezpieczeństw, hazardowali się, cenili własne towarzystwo i męskie rozmowy. Kobiety dostarczały cielesnych przyjemności, tworzyły dom, dawały dzieci. W klubach Billy nie uchodził za równego swemu szanowanemu ojcu i starszemu bratu. Szeptano, że jest niegodnym zaufania lekkoduchem, nicponiem, uganiającym się za każdą spódniczką. Zazdrośni o jego podboje mężczyźni nazywali go bawidamkiem i bałamutem.

Nie zważał na te opinie, trwając w przekonaniu, że ma święty obowiązek czarować wszystkie damy, mężatki i debiutantki bez różnicy. Jego pewność siebie wydawała się niezachwiana.

W wybitych pluszami burdelach przedwojennego Londynu jego rozrzutność, bez troska, niezwyczajna u mężczyzn dbałość o zaspokojenie partnerki, swoboda seksualna, niekiedy pełna delikatności, innym razem pasji, ciekawość eksperymentatora zgłębiającego tajemnice ciała, wszystko to przysparzało mu sympatii luksusowych dziwek. Dla Billy'ego rozkosz nie ograniczała się do żądz, składały się na nią: frywolność, lubieżna gra i perwersyjne, chłodne zainteresowanie badacza. Był w równym stopniu pełen inwencji i pomysłów, jak pozbawiony skrupułów, złaknięty przygód i amoralny. Trudno było mu się oprzeć w łóżku.

Powojenny Londyn był wszak zupełnie inny, tym bardziej dla młodego żonkosia bez grosza przy duszy.

Początkowo Billy spoglądał ufnie w przyszłość. Z takim przekonaniem roztaczał przed Elinor wspaniałe plany szybkiego dojścia do majątku, że zrazu wierzyła w nie bez zastrzeżeń. Powoli jednak zaczęła dochodzić do wniosku, że jej żywy jak rtęć mąż, niepraktyczny pędziwiatr, niedojrzały fantasta, nie jest materiałem, z którego lepi się samodzielnych ludzi interesu. Koniec końców gotów był przyjąć nawet posadę, ale nie znalazł żadnej.

Trzeba było gdzieś mieszkać. Billy znalazł na Earls Court tanie, obskurne, dwupokojowe mieszkanie ze wspólną łazienką na korytarzu.

– To tylko na kilka tygodni – oświadczył. Elinor z entuzjazmem młodej gospodyni usiłowała zmienić przygnębiające pokoje w przytulny dom nowożeńców, nie umiała jednak podnieść na duchu coraz bardziej przybitego męża

ani pomóc mu zachować ulatniającej się jak kamfora wiary w siebie. W pół roku po zakończeniu wojny nastoletnia Elinor zaszła w ciążę. Pewnego ranka, leżąc jeszcze w łóżku, przyglądała się porannej toalecie Billy'ego i myślała o zadziwiającej przemianie, jakiej uległ przez ten czas jej buńczuczny, beztroski as przestworzy;

z dnia na dzień stawał się coraz bardziej zgorzkniały i ponury, ogarniała go apatia i depresja. Chciała podejść do niego, pocieszyć, ale wiedziała, że nie ośmieli się tego zrobić.

– Nie patrz na mnie z takim wyrzutem – powiedział Billy, dostrzegłszy kątem oka jej odbicie w lustrze.

– Martwię się, kochanie. Wyglądasz na bardzo zmęczonego. – Elinor zdążyła już się nauczyć nie mówić za wiele, a chciała mu powiedzieć, że życie się nie kończy, że nie umrą z głodu, dopóki w Larkwood dość jest zapasów, żeby wykarmić służbę, i że mają przecież siebie. Mogli cieszyć się sobą nawzajem, podtrzymywać w trudnych chwilach. Czy nie na tym polega małżeństwo – kochać się, wzajemnie ochraniać i stawiać czoło przeciwnościom? To ważniejsze niż spokojne żeglowanie po łagodnym morzu.

Elinor ciągle nie rozumiała, że jej złoty młodzieniec, dzielny w samolocie, był zupełnie nie przygotowany do codziennych walk, jakie trzeba staczać w życiu. Tu okazywał się nie tylko pozbawionym ducha kombatantem, ale wręcz człowiekiem przegrywającym na całej linii.

Billy spoglądał na swoje odbicie w tym samym lustrze, które niegdyś pokazywało mu jego przemianę z ładnego chłopca w pełnego optymizmu mężczyznę. Po wojnie, po ślubie z Elinor młodzieńcze zadufanie zaczęło wszak ustępować miejsca obawom i lękom, potem desperacji, gdy okazało się, że wszystkie wysiłki znalezienia sobie miejsca w powojennym świecie spełzają na niczym.

Niepowodzenia pozostawiały uczucie wstydu, zwątpienia we własną męską zaradność, braku szacunku dla samego siebie. Gdzie popełnił błąd? Ciągle uważał się za złotego młodzieńca i z trudem przychodziło mu uwierzyć, że bogowie o nim zapomnieli. Dotychczas obdarzali go swoimi łaskami; dali dobre urodzenie, urodziwą twarz i piękne ciało. Opiekowali się w czasie walk, które staczał w powietrzu. Nie tylko przeżył, był bohaterem wojennym.

Teraz zobojętnieli, opuścili go i skazali na powojenny czyściec, gdzie bohaterów było na pęczki, a pracy żadnej.

Początkowo usiłował znaleźć zajęcie mające coś wspólnego z samolotami, ale tak czynił każdy eks-lotnik, a wielu miało tę nad nim przewagę, że nie odnieśli

wcześniej żadnych ran. Czy to nie kpina, że tak mało było zajęć związanych z awiacją? Billy oczekiwał raczej, że lotnictwo – pocztowe, pasażerskie, towarowe – będzie tą dziedziną, która po wojnie zacznie się gwałtownie rozwijać.

Ale pracy nie było i sytuacja stawała się coraz bardziej upokarzająca. Nie mógł się wywiązać z najważniejszego obowiązku, jaki staje przed każdym mężczyzną, a którym jest zapewnienie bytu żonie i dzieciom.

Obserwując przygnębienie na twarzy męża, Elinor myślała z radością, że jest bodaj jedna dziedzina, w której Billy nie tracił wiary w siebie. W łóżku przejmował znów kontrolę nad ich światem, odzyskiwał, nawet jeśli tylko na chwilę, poczucie siły, której brakowało mu w innych sprawach. Uprawiając miłość, czuł, że odzyskuje władzę nad światem.

Wyciągnęła się na łóżku, posyłając mu uśmiech.

– Nigdy u nikogo nie widziałam takich oczu. Są jak błękit morza zestawiony z białą piasków, błyszczą tajemnicą. Nic dziwnego, że wszystkie pielęgniarki szalały za tobą, ale to ja miałam szczęście.

Spojrzał na Elinor w lustrze i uśmiechnął się, odczytując zaproszenie w jej oczach. Wytarł mydło z policzków i podszedł do łóżka.

Nastrój Billy'ego pogarszał się z każdym miesiącem ciąży Elinor. Przypisywała jego zły humor temu, że nie może dać mu teraz w łóżku tego, czego potrzebował. W rzeczywistości nigdy nie potrafiłaby mu dać tego, czego było mu brak – szacunku do samego siebie.

Początkowo wydawał się zaledwie nieco zasepiony. Z czasem stał się wybuchowy, złośliwy, przykry. Elinor nie wiedziała, co myśleć, jak postępować. Co się stało z ukochanym człowiekiem? Musiała coś zrobić, by nie utracić jego uczuć. Rok wcześniej nie pozwoliłaby na takie zachowanie, ale teraz ciąża i nastroje męża odbierały jej siły; jej żywiołowe, radosne usposobienie zniknęło gdzieś bez śladu. Pogrzyżyła się w desperacji.

Billy zawładnął nią całkowicie, stał się jej panem. Jeśli chciał czegoś od niej, wiedziała, że musi rzucić wszystko, żeby spełnić jego kaprysy, inaczej natychmiast się dąsał. Potrafił poprawiać swoją zagrożoną pozycję, dając Elinor na różne sposoby do zrozumienia, że to on ma wykształcenie, doświadczenie i obycie w świecie. Przypominał o jej pochodzeniu, raz zdarzyło się, że przedstawił ją przyjacielowi jako „swoją amerykańską wieśniaczkę”. Bawiła go jej bezbronność wobec tych drobnych okrucieństw.

Widziała, jak chcąc odpędzić prześladowające go demony, zniechęcony i zagubiony, coraz częściej sięga do kieliszka. Pijany przestawał być dawnym,

pełnym uroku Billym, stawał się napastliwy, ckliwy, czasami ordynarny. Następnego dnia po pijackich wyczynach był znowu kochający, czuły, przymilny, jak dziecko żałujące swoich psot; zawsze w najwyższym stopniu zdziwiony, jeśli nie przebaczała mu przy pierwszej próbie przeprosin.

Żartami i pochlebstwami potrafił sprawić, że gotowa była uczynić wszystko, o co prosił. Kiedy i to nie działało, co zdarzało się bardzo rzadko, Billy dąsał się niczym mały chłopiec. Wtedy ustępowała, nie chcąc zaognić sytuacji. Niekiedy nie znosił jej powściągliwości i wstydlivosti, kiedy indziej pociągała go. Wszystkie te sceny kończyły się zawsze jednakowo – pogodzeniem kochanków w łóżku.

Na dłuższą metę nic nie mogło pomóc, ponieważ nic nie było w stanie odmienić jego poczucia klęski i desperackiego nastroju.

Bezradny poza domem, Billy kompensował to sobie stając się tyranem w czterech ścianach. Tak jak dyrektor beszta sekretarkę, sekretarka wyładowuje się na gońcu biurowym, goniec w bezradnej złości kopie kota, tak Billy znajdował ujście dla swoich frustracji na jedynej osobie gotowej wziąć te wybuchy na siebie, na Elinor. Potem kpił z niej, że tak spokojnie i bezwolnie przyjmuje jego złe humory.

Nauczyła się jednak od swojej matki, która pokornie dawała się tyranizować ojcu, że autorytet jest pojęciem stworzonym przez mężczyzn. Niejasno pojmowała, że domowym odpowiednikiem brodatego Boga, przed którym wszyscy komie chylą głowy i który posiada najwyższą władzę nad światem, jest mąż. Od swojej matki nauczyła się też Elinor, że każda kobieta potrzebuje mężczyzny i że lepiej cierpieć awantury, niż być samą. Przynajmniej tyle, pocieszała się, że Billy jej nie bije, jak zwykł to robić jej ojciec, i życie nie jest tak przerażające jak za czasów dzieciństwa.

Którejś niedzieli Billy nie pojawił się na najważniejszym posiłku tygodnia, wrócił dopiero późnym popołudniem, kiedy w pubach zaczyna się przerwa. Elinor wyjęła z piekarnika wysuszony udziec barani i postawiła na stole.

– To się nie nadaje do jedzenia – stwierdził Billy. Chwycił mięso i rzucił nim o ścianę.

Patrząc na tłuszcz ściekający po tapecie, przypomniała sobie podobną sytuację. Pomagała wtedy matce przygotować kolację na Święto Dziękczynienia. Jedenastoletnia Neli dała po łapach bratu łasującemu w salaterce z borówkami. Chłopiec rozwrzeszczał się. Akurat w tym momencie do kuchni wszedł ojciec, wracający właśnie z obory.

Na widok łez w oczach syna skoczył do córki i natarł jej uszu, po czym zaczął pocieszać zapłakanego Paula. Neli usiłowała wyslizgnąć się z kuchni. – A dokąd to? – krzyknął za nią Marius. Zdjął pas, przełożył ją przez kolano i ściągnął majtki.

– To nie wina Neli, nie psuj Święta Dziękczynienia! – krzyknęła matka, ale ojciec nie zwracał na nią uwagi. Elinor krzyczała z bólu, jak zawsze, kiedy ojciec sięgał po pas. Zapłakana matka wybiegła z kuchni.

– Zobacz, coś zrobiła! – wrzasnął Marius. – Zepsułaś całe święta! – Wziął z kuchennego stołu półmisek z indykiem i rzucił nim o kredens. Roztrzęsiona, przerażona Neli patrzyła na tłuszcz spływający na podłogę...

Teraz, widząc tłustą plamę na ścianie ich mieszkania, była tak samo rozdygotana. Usłyszała trzaśnięcie drzwi wejściowych zamykających się Billym. Nie chciała się przyznać przed sobą, że trafiła na takiego samego człowieka, jak jej ojciec. Czuła się jednak równie bezradna, jak w dzieciństwie wobec ojca. Coraz bardziej zaczynała się bać niezadowolenia Billy'ego, jego wzgardy, narastającego między nimi chłodu, sarkazmu. Jej lęk sprawiał, że on z kolei czuł coraz wyraźniej swoją przewagę.

Usiłowała znaleźć ucieczkę w stoicyzmie. Zdenerwowana i wypłoszona wracała do sposobów znanych z dzieciństwa, kiedy chcąc zapomnieć o ojcowskiej brutalności robiła wszystko, by nie rzucić się w oczy, zniknąć, rozplynać w tle. Jej bierność czyniła z niej tym łatwiejszą ofiarę.

Lęki, uspięne w latach wojny, gdy musiała zdobywać się na odwagę, teraz na nowo powracały.

Tak jak ojciec zdominował jej dzieciństwo, egzekwując swoją rodzicielską władzę, tak teraz okazywała całkowity posłuch wobec Billy'ego.

Szczególną satysfakcję sprawiała mu dominacja seksualna. Posługiwał się seksem dla wzbudzenia emocji, przejmowania kontroli, pocieszenia jej, gdy posunął się za daleko, ale nigdy dla dodania jej pewności siebie. Wiedział, że zalękniona kobieta będzie zawsze posłuszna, podczas gdy pewna siebie potrafi postawić na swoim. Gdy urodził się syn, stał się jeszcze bardziej władczy w łóżku, dyktował tempo, formę, uzależniał od swojej fantazji, jak szybko doprowadzi ją do szczytu. Łechtało jego poczucie męskości, gdy widział, że czułością albo starannie odmierzonym okrucieństwem potrafi zamienić ją w bezwolną, drżącą, poddaną mu istotę.

Elinor nie zdawała sobie z tego sprawy, ale uwolnienie od wszelkiej odpowiedzialności, seksualnej i innej, na rzecz dominującego, ekscytującego i groźnego męża bardzo jej odpowiadało. Billy uosabiał w jej oczach coś ze

zmysłowości dzikiego zwierzęcia, udomowionego, ale nigdy do końca nie oswojonego. We wszystkim, co robił, kryło się zagrożenie, nigdy nie czuła tego bardziej, niż kiedy się kochali. Nawet gdy ich sytuacja materialna poprawiła się trochę, jego seksualna dominacja nie uległa zmianie.

W 1921 roku, dzięki zabiegom przyjaciela rodziny, Billy dostał pracę dziennikarza w kronice towarzyskiej londyńskiej gazety „Daily Globe”. Była to praca, do której wyśmienie się nadawał. Jego irlandzkie wygadanie sprawiało, że z łatwością potrafił rozprawić z każdym nowo napotkanym na każdy temat. Ludzie czuli się w jego towarzystwie swobodnie, a wdzięk i miłe obejście, najskuteczniejsza broń dziennikarza, otwierały przed nim drzwi nawet tych zamkniętych salonów. Chociaż bywał na wszystkich wytwornych przyjęciach, wiedział, podobnie jak reszta gości, że między nim a nimi rozciąga się niewidoczna granica, której nie wolno mu przekroczyć, występował bowiem w roli wynajętego sługi, płatnego pismaka.

Elinor nigdy nie towarzyszyła mu w tych eskapadach i prawdę mówiąc nie miała na to najmniejszej ochoty; był to jego świat, nie jej. Jediną niedogodnością wynikającą z nowej pracy był fakt, że poza niedzielami wszystkie wieczory spędzała samotnie w domu. Innym skutkiem ubocznym nowego zajęcia był. ustawiczny kac, ale akceptowała to, uważając, że sytuacja Billy'ego i tak zmieniała się bardzo na korzyść. Nie zdawała sobie sprawy z upokorzeń, jakie przeżywał, pojawiając się jako outsider w świecie, w którym się urodził. Czuła jedynie ulgę, że mąż wreszcie pracuje i że nie musi już pożyczać pieniędzy od swojego starego przyjaciela, Joe Granta, pracującego obecnie dla londyńskiej firmy adwokackiej.

Podjeżdżała, że Billy, który nigdy w życiu nie spłodził nic poza krótkimi płochymi tekstami, gdyby zechciał, potrafiłby pisać poważne artykuły. Jeden z jego kolegów redakcyjnych umocnił ją w tym przekonaniu, powiadając, że jej mąż ma zadatki na dobrego krytyka teatralnego, ale w trakcie oglądania sztuki brak mu koncentracji potrzebnej do napisania później rzetelnej recenzji. Billy, który jak mógł stronił od pracy, nie miał ochoty obciążać sobie zbyt głowę, wołał w teatrze się bawić, a po spektaklu popijać w restauracjach, na przyjęciach, w modnych klubach nocnych.

Kiedyś był dobrze zapowiadającym się młodym człowiekiem z wielkimi ambicjami, którego wszyscy znali; teraz on znał wszystkich, ale nie miał żadnych przyjaciół. Widział jasno, że zmierza donikąd. W rezultacie wdzięk i uśmiech zachowywał wyłącznie na zawodowo-towarzyskie okazje. W domu owijał się niczym w szczelny kokon w chmurne rozgoryczenie; z rzadka tylko pozwalał sobie

na przebłyłszy lepszego humoru.

Pomimo wszystko Elinor uważała się za osobę szczęśliwą. Kochała życie w wielkim mieście z jego wszystkimi udogodnieniami. Sprzątała i gotowała, niańczyła synka, Edwarda, i pożyczala romanse z lokalnej biblioteki. Te książki, których bohaterki nigdy nie nosiły strojów z lumpexów, a bohaterowie byli zawsze opiekuńczy i przystojni, dawały jej bezcenne godziny ucieczki od trosk życia, kiedy była w ciąży, a Billy nie miał pracy. Teraz czytała wieczorami, czekając na Billy'ego. Nie potrafiła usnąć, kiedy nie czuła jego obecności obok siebie.

– Nie hałasuj, obudzisz dziecko! Gdzie się podziewałeś do tej pory? – zapytała, gdy pewnego razu trzaskając drzwiami wrócił o czwartej nad ranem.

– Przestań zrzędzić – ziewnął wyjmując spinki z mankietów wieczorowej koszuli.

– Co to znaczy, zrzędzić? – szepnęła urażona Elinor.

– To znaczy, że ciągle mnie krytykujesz, patrzysz z wyrzutem w oczach, żądasz Bóg wie czego – mówił ściągając skarpetki. – Trzeba je zacerować. – Wpatrywał się w skarpetki pijackim wzrokiem.

Postanowiła dać wreszcie upust wzbierającym w niej uczuciom. Wyskoczyła z łóżka i rozłożyszona stanęła przed mężem w rozkroku, z dłońmi wspartymi na biodrach, ubrana tylko w cieniutką nocną koszulę i szlafrok.

– Jak możesz być taki niesprawiedliwy? – spytała wojowniczo. – Nie martwiłbyś się, gdybym zostawiała cię co wieczór samego w domu i wracała nad ranem?

Billy powoli podniósł głowę i zaczął przyglądać się uważnie żonie. Spojrzał na jej piersi, potem na zegarek, wyszczerzył zęby w uśmiechu i podszedł do niej.

Kiedy wsunął dłoń pod cienki szyfon, Elinor poczuła, jak twardnieją jej sutki, ciało zdradziło ją w okamgnieniu, cały gniew minął za dotknięciem ręki. Billy pieścił wargami jej usta, uszy, szyję. Zapomniała o kłótni.

– Założyłaś to? – szepnął. Zaraz po urodzeniu Edwarda posłał ją na Holloway Road, gdzie doktor Marie Stopes udzielała kobietom bezpłatnych porad i przepisywała tanie środki antykoncepcyjne.

– Tak – powiedziała, dając mu tym samym do zrozumienia, że czekała na niego.

Jedną ręką odgarnął kołdrę, drugą przygarnął Elinor do siebie. Kimono opadło na podłogę. Czuła gorąco bijące od ciała Billy'ego. Kiedy kładł ją na łóżku, zaczęła rozwiązywać tasiemki koszuli.

– Nie, zostaw – mruknął dotykając końcem języka jej piersi.

Prawą ręką pieścił jej uda, wsunął dłoń pod koszulę... Gdzie to? Natrafił dłonią na łechtaczkę, twardziej pod dotknięciem jego palca.

– Połóż się na mnie – polecił. – Rozłóż szeroko nogi. – W ten sposób zawsze szybciej dochodziła.

Nie mogła znieść, gdy jej mąż był niezadowolony. Pewnego niedzielnego wieczoru, gdy narzekał, że źle wyprasowała jego koszulę, ugotowała na kolację jego ulubione danie. Po kolacji przesunęła delikatnie palcem po jego policzku, dając mu zwyczajowy sygnał zachęty.

Billy otrząsnął się i cofnął głowę. W pierwszej chwili zaczęła szukać w myślach, co złego zrobiła. Potem zaczęła się zastanawiać, dlaczego właściwie czuje się winna. Nie znajdowała żadnej odpowiedzi. Jakakolwiek była przyczyna, jego niechęć wobec jej nieśmiałego zaproszenia do miłości sprawiła, że zawstydziała się własnej odwagi.

Billy uśmiechnął się do siebie. Jego dezaprobata zawsze wprawiała Elinor w pomieszenie i zawsze sprowadzała ją szybko na ziemię.

Kilka dni później, myśląc o tym drobnym incydencie, postanowiła spróbować identycznego zachowania wobec niego. Kiedy dotknął jej piersi, odsunęła się, obserwując, czy zareaguje tak samo jak ona, ale on tylko roześmiał się, wziął w ramiona i zaniósł do łóżka. W milczeniu zaczął ją powoli rozbierać.

Zdecydowana stawić opór, nie poddawała się jego zalotom, leżała bez ruchu na łóżku.

Billy uklęknął i zaczął powoli rozsuwać kolanem jej nogi. Wilgotna drżała pod jego dotknięciami.

– No widzisz, że to na nic się nie zda. Wiem, kiedy mnie chcesz – uśmiechnął się.

Wziął ją tym razem z rozmyślną szorstkością. Uśmiechał się, kiedy jęczała.

– Nauczę cię, kto tu rządzi – powiedział łagodnie, szczypiąc ją w sutki.

Chociaż ich życie erotyczne było pełne namiętności, Elinor zadziwiały niektóre zachcianki Billy'ego. W łóżku wolał na wpół ubraną kobietę niż nagą, lubił, kiedy miała na sobie grube czarne pończochy, jakie noszą uczennice, a nie najlepsze jedwabne.

Pewnego letniego wieczora wrócił do domu z prezentem. Po otwarciu pudełka znalazła wewnątrz białą koszulkę i dziecięcy fartuszek.

– Billy! – krzyknęła rozczarowana. – Chyba nie myślisz, że ubiorę się w te rzeczy. Nie miałam na sobie czegoś podobnego od czasów, kiedy byłam mała i zaplatałam warkocze.

– Zapleć więc warkocze – powiedział Billy z niezmaconym spokojem.

– Ale...

– Dość tego, zapleć warkocze, jeśli chcesz mi sprawić przyjemność.

– Nie.

– Znajdę sobie kogoś, kto je zaplecie. – Wyszedł z pokoju pogwizdując.

Wrócił o szóstej rano przesiąknięty zapachem whisky i papierosów. Chwiał się na nogach, język mu się plątał. Elinor wyczuła jeszcze zapach perfum. Spojrzała na niego zdumiona i zraniona.

– No, cóż, nie chciałaś mnie – roześmiał się.

Przeplakała cały dzień ze smutku i wstydu, tuląc do siebie dziecko.

Billy nie zbliżył się do niej przez miesiąc.

Tęskniła za jego dotykiem, za delikatnie przesuwającymi się po brzuchu paznokciami, za dłonią zagłębiającą się pomiędzy udami. Opuszczona, zaniepokojona, niezdolna zmrużyć oka, kręciła się w wielkim małżeńskim łóżu, poprawiała poduszki i torturowała się obrazami Billy'ego robiącego to z kimś innym.

Po czterech tygodniach przymusowego celibatu, w niedzielny wieczór weszła do saloniku i stanęła przed Billym ubrana w białą koszulkę, fartuszek, grube czarne pończochy, z włosami zaplecionymi w warkocze.

– Podoba ci się? – zapytała nieśmiało.

Pamiętała potem swoje zdumienie wobec namiętności, jaką wyzwolił ten fartuszek, kiedy znaleźli się już w łóżku.

Niewinność, bądź udana niewinność, zdawała się stanowić dla Billy'ego najgłębszą istotę rozkoszy, dającą jego lędzwiom maksimum energii. Stopniowo ich związek, związek kobiety i mężczyzny, zaczął się przeradzać w związek, jaki łączy uwodziciela i pełne ufności dziecko. Oczekiwał teraz od Elinor, że i poza sypialną, również wśród ludzi, będzie się zachowywała potulnie niczym mała dziewczynka, cicha, przytakująca, z posłuszenie opuszczoną głową. Takie też robiła wrażenie, kiedy znaleźli się w towarzystwie, spolegliwej i podporządkowanej, ale tylko oni obydwójce wiedzieli o tajemnej namiętności, jaka się za tym kryła.

Jeszcze tylko raz Elinor zaprotestowała przeciwko dziecięcym strojom. Gotowa do łóżka, ubrana w fartuszek i czarne pończochy, zapytała kiedyś z wahaniem:

– Billy, rozumiem, że mogę ubierać się tak od czasu do czasu, ale dlaczego zawsze? Nigdy już nie robimy tego inaczej.

– A dlaczego by nie? – Billy leżał na plecach, z rękami założonymi pod głowę, widziała jasne włosy pod pachami i na jego piersi.

– Bo... bo... zachowujesz się jak surowy ojciec wobec małej córeczki... a to chyba niedobrze.

– To niewątpliwie kazirodztwo. – Billy przeciągnął się i ziewnął. – Nie zaszkodzi odrobina rozwiązłości.

– Rozwiązłości? – Elinor wpatrywała się w niego, nic nie rozumiejąc.

– Naturalnie – odparł Billy. – Rozkosze cielesne, których jesteś tak zła, uchodzą w świecie za rozwiązłość. Zapytaj jakąś przyzwoitą kobietę.

– O czym ty mówisz? To, co robimy, to normalna rzecz między mężem i żoną.

– Normalna? Wiesz doskonale, że dla kobiety seks jest czymś obrzydliwym. To, co robimy, zaszkodziłoby każdej porządnej kobiecie, uznałaby to za poniżające.

– Zaśmiał się. – Żadna szanująca się kobieta nie znajduje przyjemności w seksie, tylko dziwki.

– Ale... ale... to ty mnie tego wszystkiego nauczyłeś.

– Ponieważ podobało ci się to, kochanie. Zawsze przyjmowałaś to, co ci dawałem. Nie zrobiłem nic bez twojego przyzwolenia. Masz serce dziwki. Cieszy cię każda perwersja, którą ci pokazałem. Drżysz pod każdym moim dotknięciem. Uwielbiasz to.

– Ale... co to za perwersje?

Powoli, z namysłem, Billy wyliczał wszystkie erotyczne wariacje, w które wprowadzał żonę, śledząc z satysfakcją jej wzrastające zmieszanie.

– Nie martw się, Elinor – uśmiechnął się ponownie. – Lubię cię taką zdeprawowaną. Ale zachowajmy to lepiej w sekrecie, dobrze?

– Zdeprawowaną? – wyjąkała.

– Jesteś jeszcze bardziej zdeprawowana ode mnie, kochanie. Ale jeśli nie zgadzasz się ze mną, możemy innych spytać o zdanie.

Jej przerażenie podnieciło go tak bardzo, że raz jeszcze powtórzył słowo po słowie swoje oskarżenie. Spoglądając na czerwoną, pełną poczucia winy twarz żony, Billy miał nadzieję, że w przyszłości będzie mógł manipulować Elinor jak tylko zapragnie, wymuszając na niej spełnienie każdego życzenia; dość będzie tylko zrobić najmniejszą aluzję.

Nie potrafiła się oprzeć pokusom, jakie ofiarowywał jej Billy, nie śmiałyby się opierać, chociaż teraz wstydziła się gorzko pragnień swojego ciała i skorych kapitulacji wobec męzowskiej dominacji. Znalazła wreszcie wygodne usprawiedliwienie, powiadając sobie w duchu: „Ja tego nie chciałam. To Billy mnie nakłaniał, a że jest moim mężem, to winna mu jestem posłuszeństwo”.

Rozdarta między rozkoszą a przychodzącym po niej wstydem pozwalała, by

narastało w niej poczucie winy. Im bardziej czuła się winna, tym łatwiej Billy sterował nią, zawiadywał i wykorzystywał.

Pod maską wyrafinowanego człowieka krył się mały chłopiec, czerpiący radość z obrywania skrzydeł ćmom. W głębi duszy Billy był brutalem, który znajdował przyjemność w dominowaniu nad drugą osobą.

Czasami gdy szli ulicą, pytał Elinor, czy dostrzegła ładne oczy lub zgrabne nogi u jakiejś mijanej dziewczyny i rozważał na głos, jak by to było iść z taką do łóżka. Snuł swoje fantazje i cieszył się na widok zazdrości w oczach żony, choć Elinor była przekonana, że starannie te uczucia ukrywa.

Wieczorem w łóżku wprowadzał w czyn to, o czym mówił na ulicy, szepcząc jej do ucha różne sprośności. Twierdził, że i mężczyźni, i kobiety fantazjują w ten sposób.

– Przestań być wreszcie głupią wieśniaczką i bądź bardziej wyrafinowana w tych sprawach – nakazywał.

Elinor przystawała na to. Wbrew własnej woli była coraz bardziej zafascynowana jego erotycznymi rojeniami, potem zaczęła włączać się aktywnie do gry, w końcu wyglądała tych chwil, jak alkoholik, który wyczekuje utraty kontroli nad zmysłami po kilku pierwszych kieliszkach.

Billy nie ukrywał przed Elinor swojego pociągu do kobiet i swoich drobnych zrad. Im gorzej się zachowywał, tym ona stawała się bardziej uległa. Czuła się teraz tak niepewnie, że myśl o jego utracie napawała ją przerażeniem. O wszystko gotowa była obwiniać siebie i sama wszystko naprawiać. Billy omotał ją całkowicie.

Tak zresztą jak i zazdrość. Z pozoru nie chciała nic wiedzieć o jego zradach, w rzeczywistości pragnęła znać każdy najdrobniejszy szczegół. Wiedziała, że Billy tylko czeka, żeby referować jej detale swoich przygód, gotów zadawać cierpienie i zaspokajać jej ciekawość. Nigdy jednak nie zaczynał pierwszy, musiała zadawać mu pytania. I w końcu zadawała.

Stało się to grą – grą, w której najwyraźniej znajdował upodobanie. Kazał jej zgadywać, co też jej zdaniem zaszło między nim a taką to a taką *lady*. Elinor zaczynała wyliczanie możliwości, podpowiadanych jej przez zazdrość, przerywane od czasu do czasu jego pomrukiem: – Chcesz powiedzieć, że ja to z nią robiłem? – Po czym dotykał Elinor w sposób, który właśnie mu opisała.

Ta gra stała się w końcu jej namiętnością, a namiętność obsesją. Gdzieś na dnie krył się jednak prawdziwy strach, że pewnego dnia jakaś dziewczyna z ulicy, uczennica albo dama z towarzystwa, zawładnie Billym w sposób równie

niewolniczy, jak on zawładnął Elinor.

W rzeczywistości były to przelotne epizody, o których szybko zapominał, ukrywał to jednak starannie przed żoną, a ona powoli budowała sobie w wyobraźni obraz nieodparcie pociągającego, władczego i wszechmocnego Billy'ego.

Rzadko jej teraz mówił, że ją kocha. Trzymał ją w stanie ciągłej niepewności, podsycił zazdrość, kazał tęsknić za dawno nie słyszanyimi słowami. Najważniejsze, żeby ją kochał, tak jak najważniejsze było, że ona kocha jego, bo tylko to uśmierzało wyrzuty sumienia na myśl o przyjemności, jaką dawał jej seks.

Była przerażona perspektywą utraty Billy'ego także dlatego, że, jak wiele kobiet z jej pokolenia, czuła się zagubiona, niezdolna stawić czoło życiu bez wsparcia mężczyzny, choćby traktował ją najgorzej. Nie miała własnych pieniędzy i było mało prawdopodobne, żeby, obarczona małym dzieckiem, mogła dostać choćby posadę służącej. Jak większość kobiet była całkowicie uzależniona od swojego mężczyzny i nigdy nie pozwoliła sobie na luksus okazania gniewu jako reakcji na jego zachowanie.

A jednak pewnego ranka, kiedy myła naczynia po śniadaniu, nagle spostrzegła, że trzęsie się z wściekłości nad kubkiem Billy'ego. Poprzedniej nocy wrócił do domu późno, kompletnie pijany. Rozbierając się zrzucił na podłogę fotografię w ramce i nastąpił na nią przypadkiem; szkło pękło, rozdzierając jedyne zdjęcie matki, jakie miała.

Wściekle potrząsając kubkiem zdała sobie raptem sprawę, że czuje się przy Billym tak samo zastraszona, bezradna i bezwartościowa jak po laniu, które sprawiał jej niegdyś ojciec. Tyle że Billy nie był tyranem jej dzieciństwa, od którego nie ma ucieczki! Był jej mężem, przez nią wybranym, ukochanym. Czyż nie tak?

Zaskoczona gwałtownością swoich uczuć zrobiła sobie herbatę i usiadła przy kuchennym stole. Trwała tak bez ruchu przez godzinę, herbata zdążyła już dawno wystygnąć. Wreszcie przestała analizować zachowanie Billy'ego, nie spychała już gdzieś na dno świadomości jego okrutnych zabaw w kotka i myszkę i nie starała się pamiętać wyłącznie o jego uroku i narzeczeńskich zalotach. W zamian zadała sobie pytanie, jakim sposobem zarówno Billy, jak i ojciec sprawiali, że czuła się tak nieszczęśliwa.

Musiała wreszcie przyznać przed sobą, że dała się omotać jeszcze jednemu brutalowi, który zniszczy jej życie. Wybawca okazał się prześladowcą. Kiedy to sobie uświadomiła, rozplakała się. Z głową na blacie stołu płakała tak, dopóki nie straciła tchu i nie zapuchły jej powieki, tak że ledwie cokolwiek widziała.

Uniosła głowę, uspokoiła się. Billy był jej mężem, Edward jej synem, stanowili jej życie. Nie ma wyboru.

Uciekała od nieznośnej rzeczywistości piastując w myślach romantyczny obraz tego Billy'ego, w którym się kiedyś zakochała. Pijany niedołęga, który ostatniej nocy stłukł fotografię, nie był tym samym człowiekiem, za którego wyszła za mąż. „Prawdziwy” Billy był przystojnym, pełnym wdzięku młodzieńcem ze zdjęcia na jej szafce nocnej. Przeżywa trudny okres, bo musiał przyjąć pracę poniżej swoich możliwości. Ma powody czuć się rozczarowany. Nie będzie myślała o niemiłych sprawach i postara się mu pomóc. Z czasem wszystko jakoś się ułoży, życie uśmiechnie się do nich. Na pewno.

Rozdział 4

Następne dziesięć lat to był dla Elinor trudny czas. Coraz rzadziej widywała „prawdziwego Billy'ego”, pił coraz więcej.

Coraz częściej musiała go usprawiedliwiać i przystawać na kompromisy. Zdumiona, nie potrafiła zrozumieć, co się dzieje z jej życiem. Zastanawiała się, czy zrobiła wszystko, co w jej mocy, żeby mu pomóc, przekonana, że sprawy wzięłyby na pewno lepszy obrót, gdyby tylko Billy przestał pić.

Gotowa była sądzić, że pije z jej winy. Jeśli tak rzeczywiście było, co często powtarzał, jak bardzo musiała go zawieść. Zastanawiała się, dlaczego nigdy nie potrafi wyegzekwować stawianych przez siebie warunków, dlaczego ilekroć jej przyrzekał, że się zmieni, wierzyła mu na słowo? Nie zmieniał się przecież, wbrew składanym obietnicom.

Nigdy nie wiedziała, kiedy pojawi się w domu na posiłek, kiedy w ogóle się pojawi. W końcu nauczyła się nie liczyć na niego: ani na jego obecność, ani na nieobecność. Jeśli myślała, że nie będzie go szczęśliwie w domu, i zaprosiła do siebie kogoś z wieczorowych kursów politechnicznych, Billy nieodmiennie pojawiał się i obrażał jej gości. Nie chcąc wprawiać ludzi w zakłopotanie, przestała zapraszać kogokolwiek z wyjątkiem Buzz, na której popisy Billy'ego nie robiły żadnego wrażenia. Kiedy Billy był nie tylko trzeźwy, ale na dodatek nie miał też kaca, a zdarzało się to rzadko, zachowywał się tak pokornie, wtedy nie miała serca rozmawiać z nim o jego problemach alkoholowych.

Edward, blade, ciche dziecko, starał się schodzić ojcu z drogi. Był opanowanym, samodzielny chłopcem, potrafiącym porozumiewać się z matką niemal bez słów, ku tym większej irytacji ojca. Z natury wrażliwy i łagodny, odziedziczył mocną budowę po ojcu i zapowiadał się na wysokiego, barczystego mężczyznę. Po ojcu wziął też jasną czuprynę i delikatne rysy. Kiedy złamał nos, grając w piłkę, Billy nie pozwolił nastawić go, uważając, że doda to rysom chłopca twardości. Krzywił się ciągle, że Edward nie okazuje typowo męskich cech i woli studiować naturę, niż uprawiać sport.

Pewne aspekty ich życia układały się normalnie. Billy nadal widywał Granta, który na początku 1929 roku ożenił się z córką swojego szefa. Elinor utrzymywała znajomość z Buzz. Buzz nigdy nie powiedziała: „A nie mówiłam”.

Pewnego niedzielnego letniego wieczoru, gdy Billy w obecności Buzz zachował się szczególnie grubiańsko wobec Elinor, obydwie wyszły do kina.

– Jak długo jeszcze masz zamiar znosić chamskie zachowanie Billy'ego? Do końca życia? – zapytała Buzz cicho, kiedy doszły do Odeonu na Kensingtonie.

– Nie mów mi tylko, że powinnam go zostawić. Nie psuj nam wieczoru.

– Czemu nie? Masz dość ikry i sprytu, wszyscyśmy to widzieli w czasie wojny. Gdzie twój kręgosłup, dziewczyno? Nigdy nie mogłam zrozumieć, czemu nie rzucisz po prostu tego wszystkiego i nie zostawisz go.

– To nie takie proste – pokręciła głową Elinor.

– Gadanie! Przestań wymyślać przeszkody. Powiedz sobie następnym razem, że jest sukinsynem i trzaśnij drzwiami! Neli, nie ochroni cię żaden rycerz. Nie ma rycerzy. Sama musisz się chronić.

– Wiem, że chcesz dobrze – powiedziała Elinor, kiedy wchodziły do pseudoegipskiego *foyer*. Fantastyczna architektura przywiodła jej na myśl dziecięce marzenia, kiedy to roiła sobie, że jest podrzutkiem, który okaże się pewnego dnia księżniczką. Teraz marzyła o tym, żeby jej księżę z bajki okazał się któregoś dnia na powrót księciem z bajki. Któregoś dnia Billy zrozumie, jak niszczące było jego postępowanie. Ta żalosna wiara pozwalała jej żyć z nim. Równie żalosne było jej uparte spoglądanie ~ na niego przez różowe okulary.

– Nim wyszłaś za Billy'ego, miałaś swój rozum, a teraz wygląda na to, że nie potrafisz sama o niczym zdecydować – powiedziała Buzz, kiedy wchodziły na salę.

– Musimy znów o tym rozmawiać?

– Dawniej przynajmniej wiedziałeś, kiedy traktuje cię jak wycieraczkę, teraz już na nic nie reagujesz! Prawie zaczęłaś go przeproszać, kiedy dzisiaj wybrzydzał na obiad.

– Bądź sprawiedliwa, Buzz. Billy nie jest gwałtownikiem, tak jak wielu mężów, nigdy nie podniósł na mnie ręki...

– Nie, tylko rozpuszcza język. Cała jesteś posiniaczona od tego pyskowania.

– Wiem, że brak mi pewności siebie, ale Billy nie chce źle – broniła się Elinor.

– Nie sądzę – mówiła Buzz. – Przypatrywałam się, co zrobił z twoją pewnością siebie. Tak nie robi człowiek, który ma dobre intencje.

– Billy chce mi pomóc. Jest dobry.

– Nie można być dobrym tak postępując! Tacy ludzie jak Billy są okrutni dla samego okrucieństwa! Nie myl tego, na Boga, z miłością i dobrocią! – Buzz zapaliła papierosa. – Powtarzam, nie rozumiem, dlaczego go nie zostawisz.

– Bo on mnie kocha. Naprawdę mnie kocha!

– Ciekawy gatunek miłości! – prychnęła Buzz. – Ja tylko widzę, że to ty go

kochasz. Poświęcasz się dla kompletnego zgniłka. I jak każda wycieraczka, wierzysz po cichu, że on zrobi dla ciebie to samo. Neli, wiem, że zakochałaś się w Billym. Byłam tam, pamiętasz? Był z niego czaruś. Dziewczyna musiałaby być z kamienia, żeby się nie dać. Wszystkie widziałyśmy, jak patrzy za tobą i trochę ci zazdrościłyśmy. Wiem, Neli, wiem, jak się w nim zakochałaś i wiem dlaczego. To, czego nie wiem i nie rozumiem, to dlaczego nie widzisz, że tamten Billy O'Dare, który tak ci się spodobał, i ten, do którego musisz wrócić dzisiaj wieczorem, to dwaj różni ludzie.

– On mnie kocha, Buzz, wiem o tym.

– Może kocha, Neli, nie mogę mówić za niego – powiedziała Buzz po chwili milczenia. – Ale to ci powiem, że miłość nie wystarczy. Nie, kiedy tak cię traktuje. Nie zaprzeczaj. Może kocha cię na swój pokrętny sposób, ale powiadam ci raz jeszcze, że to nie wystarczy. Co minęło i nigdy się nie wróci, to całe wasze zakochanie, którym cię przyciągnął do siebie. Każda tego potrzebuje. To ważna rzecz w życiu każdej kobiety, tyle że mężczyźni tego nie rozumieją albo nie umieją uszanować. Myślą, że to głupoty. Ale nie. Kiedy to mija, zostaje pustka. Ja to wiem.

Buzz zdała sobie sprawę, że w zapomnieniu mówiła tak głośno, że ich rozmowie zaczęli się przysłuchiwać widzowie na sali. Stały nadal w ciemnym przejściu, obydwie nieco zaskoczone żarliwością przemowy Buzz.

Bezwiednie zajęły pierwsze z brzegu miejsca. Z kinowych organów popłynęła słodka, obezwładniająca muzyka sygnalizująca, że za chwilę zacznie się film.

– A jak długo jeszcze masz zamiar znosić pijaństwo Billy'ego? – Buzz nie mogła się oprzeć, żeby nie poruszyć tego ostatniego, ważnego punktu.

– Nie mogę mu zabronić. Nic z tym nie potrafię zrobić – odpowiedziała Elinor żałośnie. – Billy zawsze potem rano żałuje. Przyrzeka, że się zmieni. Wierzę, że któregoś dnia naprawdę się zmieni. – Ciężko wystraszony i kajający się Billy wiele razy obiecywał, że przestanie pić. Smutne było to, że rzeczywiście wiele razy próbował.

– Pewnego dnia świnię zaczną latać – burknęła Buzz, wiedząc doskonale, że tam, gdzie nie ma żadnej nadziei, nie wolno się nią ludzić.

– Wiesz dobrze, że nie mogę go zostawić! Gdzie się podzieję? Z czego będziemy żyli z Edwardem?

– Możesz go zostawić – powiedziała Buzz cicho. – Możesz poszukać jakiejś pracy, możesz być kelnerką albo sprzedawczynią. Edward nie jest już małym dzieckiem. Ma dziewięć lat i prawie cały dzień siedzi w szkole. Póki czegoś nie

znajdziecie, moglibyście mieszkać u nas, we frontowym pokoju. Mama się zgodzi.

– Nie, nie mogę zostawić Billy'ego. – Elinor kręciła głową. – Jestem mu potrzebna. – Nie potrafiła sobie wyobrazić życia bez niego. – Mam wreszcie wieczór dla siebie, nie mówmy już o tym, Buzz, proszę.

Było jeszcze widno, kiedy Elinor wracała do domu. Już miała włożyć klucz do zamka, gdy się zawahała. Wyglądało na to, że Billy nie jest sam.

W saloniku zobaczyła Edwarda w cylindrze opadającym na twarz, siedzącego nago na stole. Krztusił się ze śmiechu. W ręku trzymał szklaneczkę z zielonym płynem.

Obok w fotelu rozpierał się Billy z tępym uśmiechem na twarzy i kieliszkiem w dłoni.

Elinor rzuciła się w stronę syna. Jednym ruchem zerwała mu cylinder z głowy i wyrwała szklanekę. Powąchała – likier miętowy.

Edward szczyrzył się do matki szczęśliwym, bezmyślnym uśmiechem. Zachwiał się i omal nie spadł ze stołu. Elinor chwyciła go w ostatniej chwili. Był zziębnięty.

– Czas spać, Edwardzie – powiedziała, starając się nadać swojemu głosowi normalne brzmienie.

Billy uśmiechał się cały czas głupawo.

– Obowiązkiem ojca jest nauczyć pić chłopaka – rzekł bełkotliwie.

– Jak śmiałeś? – wyrzuciła z siebie biała jak kreda Elinor.

Ubrała przelewającego się przez ręce Edwarda i poszła do kuchni. Wyjęła z imbryczka na herbatę dwa banknoty schowane na czarną godzinę. Bez słowa wzięła syna za rękę i wyszła z mieszkania.

Następnego dnia Buzz odwiedziła przyjaciół mieszkających dwa domy dalej, którzy szukali lokatora. Za dodatkowe dziesięć szylingów zgodzili się przyjąć matkę z synem.

W poniedziałek koło południa, kiedy Billy powinien być w pracy, Elinor pojechała na Earls Court po rzeczy.

Kiedy weszła do ciemnej sieni, z mieszkania na parterze wychyliła głowę sąsiadka.

– Tak myślałam, że to pani – powiedziała grobowym głosem. – Wiedziałam, że ktoś zawiadomi panią o wypadku. Policja chce się z panią widzieć, kochana.

Trzy kwadransy później siedziała przy szpitalnym łóżku Billy'ego. Zabandażowana noga tkwiła na wyciągu, jedna ręka w gipsie, głowa owiązana bandażami, lewa strona twarzy cała w zadrapaniach.

– Wybiegłem za wami – głupkowato wyjaśniał Billy. – Ale potknąłem się na krawężniku i ciężarówka uderzyła mnie z tyłu. Idiotyczna historia.

– Biedny, biedny Billy – przemawiała, całując go z czułością. – Nie martw się o nic, kochanie. – Przez jeden krótki moment mgliście pomyślała o furii Buzz i zdjął ją strach. Tymczasem to Edward się sprzeciwił. Jeszcze skacowany, spojrzał na matkę i powiedział żalonym głosem:

– Nie namówisz mnie, żebym wrócił. Czemu go nie zostawisz, mammo?

– Teraz wszystko będzie inaczej – przyrzekała Elinor, ale widząc niedowierzanie malujące się na twarzy syna, zadała sobie pytanie, dlaczego tak długo sama trwała w tym złudzeniu. Wierzyła, że wszystko się zmieni, kiedy urodzi się dziecko. Już wtedy. Potem wierzyła, że wszystko się zmieni, kiedy niemowlę przestanie płakać, potem kiedy przestanie ząbkować. Zawsze znajdowała jakieś wytłumaczenie dla beznadziejnego postępowania Billy'ego, zawsze miała na podorędziu jakiś racjonalny powód na wyjaśnienie jego bolesnych słów i gestów.

– Co tatuś pocnie beze mnie, kochanie? I co wszyscy powiedzą?

– To nieważne, co powiedzą, nie będziemy tego słyszeć. Niech tata sam się martwi o siebie – chwycił ją za rękę prosząco. – Wiesz przecież, że awanturuje się, pije i gdzieś się włóczy. Nie wracajmy do niego, proszę cię.

– Och, Edwardzie, nie rozumiesz – powiedziała żałośnie. – Widzisz, ja go kocham.

Elinor nie potrafiła wyjaśnić – ponieważ sama tego nie rozumiała – swojej miłości do Billy'ego. Serce mówiło jej po prostu, że Billy jest jej mężczyzną i że będzie go kochała, choćby miał ją zniszczyć, póki śmierć ich nie rozłączy. Wierzyła w miłość z silnym przekonaniem kogoś, kto nigdy nawet na moment nie śmiał zwątpić.

– Mammo, nawet nie wiesz, jaka jesteś inna, kiedy taty nie ma – mówił Edward. – Jak jest w domu, pozwalasz mu robić ze sobą wszystko. Nienawidzę patrzeć na to.

Elinor przypomniała sobie, że Buzz nazwała ją wycieraczką.

– Nic na to nie poradzę, Edwardzie. Tak mnie wychowano. Wracamy do domu.

PIĄTEK, 7 SIERPNIĄ 1936

Mniej więcej co miesiąc Billy zabierał rodzinę do Larkwood, które popadało w coraz większą ruinę. Jego rodzice postarzelii się bardzo i sprawiali teraz wrażenie dwóch wróblu grzejących się przy ogniu kominka. Patrząc na nich, Elinor

zastanawiała się, co ją w nich kiedyś tak przerażało.

Czas w Larkwood spędzała albo na długich forsownych spacerach, albo w domowej bibliotece, ciemnym pokoju pachnącym książkami i cygarami. Nie było tam wartościowej literatury, głównie kompletne wydania popularnych dziewiętnastowiecznych powieściopisarzy, stare atlasy, podręczniki i pudła z rodzinnymi papierami.

Pewnego sierpniowego popołudnia, kiedy niebo zaciągnęło się purpurą, a nieruchome powietrze zapowiadało burzę, otworzyła zakurzone pudło z domową buchalterią. Najwcześniejsza księga zaczynała się w 1712 roku. Tygodniowe rachunki rozpisane w trzynastu kolumnach, podobnie całoroczne rozliczenie. W jadłospisach uwieczniono dzień po dniu, co zamawiano w kuchni na każdy posiłek. W księgach wynagrodzeń pod pozycjami: „Dom”, „Pralnia”, „Stajnie”, „Łowczy”, „Psiarnia”, „Ogrodnicy” zapisywano skrupulatnie, ile wypłacano służbie. Z księgi piwnicznej można się było dowiedzieć, jakie kupowano wina i kiedy je pito. Zafascynowana zaczęła czytać.

– Popatrz, co znalazłam – zawołała, kiedy w jakiś czas później weszła do biblioteki teściowa, i wyciągnęła w jej stronę małą książeczkę oprawną w zieloną, prawie czarną od starości skórę. \

– Ach, to pamiętnik Racheli O’Dare. Jeden ze skarbów rodzinnych. Żyła za panowania królowej Elżbiety. Są tam ciekawe przepisy. W tamtych czasach receptury trzeba było kupować, a były naprawdę drogie. Jeśli dobrze pamiętam, to Rachelą zapłaciła całą gwineę za przepis na groszek z bekonem i cebulą. Miała też naturalnie książkę przepisów rodzinnych, kopiowanych przez skrybę, kiedy córka domu wychodziła za mąż.

– Jest tu przepis na kandyzowane kwiaty! – Elinor kartkowała pożółkłe, cienkie kartki.

– Nadal z niego korzystamy, gdy cukrzemy fiołki, pierwiosnki i róże. Rachelą miała też różne pomysły na sałatki kwiatowe.

– Wypróbuję kilka z tych przepisów – powiedziała Elinor. – Mogę zabrać tę książeczkę do swojego pokoju i przepisać niektóre z nich?

– Ależ naturalnie.

Z dystansu dzielących je trzystu lat zagłębiała się w epizody z życia *lady* Racheli. Przy biurku w błękitnej sypialni ostrożnie przewracała kartki zapisane ręką elżbietańskiej damy. Rachelą odnotowywała najdrobniejsze szczegóły swojej wiejskiej egzystencji, wszystkie domowe waśnie i przebaczenia, każdy zakład przegrany przez jej męża, każdą kupioną przez niego szatę, zabawy z dziećmi,

kłopoty ze służbą, smutne dni, kiedy ogarniała ją „melancholya”. Drobiazgowo opisywała jarmarki w okolicznych miasteczkach, wigilię Bożego Narodzenia, każde święto. Troskliwie odnotowała uroczysty moment prezentacji przed obliczem królowej, kiedy Jej Wysokość zjechała do sąsiednich włości, doprowadzając swoją wizytą ich właściciela na skraj ruiny.

Zamiast przebierać się do obiadu, Elinor zaczęła odcyfrowywać przepis na kandyzowane kwiaty Racheli.

– Masz zamiar założyć cukiernię, kochanie? – Billy spoglądał jej przez ramię.

– Nie, kopiuję przepis ze starego diariusza.

Billy wyciągnął rękę ponad jej głowę i powoli zaczął przewracać stronicę starej zielonej książeczki.

– Miała takie niezwykle poczucie humoru – mruknęła Elinor, zajęta przepisywaniem. – Mam wrażenie, jakbym ją znała, jakbym czytała list od starej przyjaciółki. Znam wszystkich przyjaciół Racheli, wiem, że nie lubiła swojego teścia.

– Nie był najprzyjemniejszy – ziewnął Billy. – Musiał brać nogi za pas i wynosić się z zachodniej Irlandii po tym, jak przekazał Anglikom jakieś ważne informacje. Kolaborant, jak powiedzielibyśmy dzisiaj. Tchórzliwy łajdak tak czy inaczej. – Znowu spojrzał przez ramię Elinor na stronicę zielonego diariusza. – Trudno się to czyta. Te gotyckie litery i zwariowana pisownia.

– Trzeba cierpliwości. – Elinor zaczęła powoli czytać: – „Ranego czasu z prebendą chadzałem w sadzie, prawiwszy o Joannowych godach, bo terminus bliski. Podeszliśmy do zielonych krzewów, aż tu ksiądz zoczył barzo dorodne jagody, tedy mu przyobiecałem wszytek kosz takich. Tedy on zaczyna gadać o uczcie a w oku oskoma takowa, żem mu znów musiała obiecać, że będzie barzo godna. «A cóże na stołach?» on dopytuje. «Połcie rozmaitego mięsiwa i tuszki tłuste już w kuchni» ja mu odrzekę. «A do tego pieczone łabądki, drób gotowany i moc inszego drobiazgu. A do tego łosoś różowy, szczupak zacny, gorące pasztety i jeden zimny, a w niem słowiki żywcem zamknięte, dla wystraszenia dam»”.

– Nie przerywaj – poprosił Billy, słuchając uważnie.

– Cieszę się, że i tobie podoba się proboszcz łakomczuch – powiedziała Elinor i ciągnęła dalej: „«A wety jakowe będą?» – dopytuje proboszcz. «Będą. Takowe, jakich jeszcze ludzkie podniebienie nie kosztowało* przyobiecałem mu, «wzięte z receptaryuszów mojej pani matki, gdzie wiele łasych kremów, galaretów, pouddingów. Krom tego mojej ręki ciasta kwietne». «A napitki, napitki jakie?», pyta klecha z insystencyją i wargi tylko oblizuje. Na co z moich ust popłynął

strumień klaretów, win francuskich, kordiałów, miodów a okowit godnych uczyty weselnej. On nic, słucha, wargi jeno ciągle oblizuje, nie wiedzieć czy temu, że rad biesiadzie czy już o chędożeniu myśli".

– Co znaczy „chędożyć”? – zapytał Billy.

– Uprawiać miłość, pewno.

– Nie mów „pewno”.

– Przepraszam, Billy – odpowiedziała Elinor machinalnie. Chociaż nie próbowała zmienić swojego środkowozachodniego akcentu, starała się nie używać typowo amerykańskich określeń. Billy ich nie lubił, a Brytyjczycy nie rozumieli.

– No, kończmy i przebieraj się do obiadu. Wiesz, jak matka się sroży, kiedy nie ma nas przy stole, nim gong zamilknie.

WTOREK, 11 SIERPNI 1936

Kiedy wrócili na Earls Court, Billy był w fatalnym nastroju. Wizyty w Larkwood przypominały mu zawsze, że to jego brat odziedziczył cały majątek. Edward, teraz szesnastoletni, zniknął w swoim pokoju, który wynajęli dla niego w tym samym domu piętro wyżej.

Elinor otworzyła okno i wyjrzała na skwer. Letnie powietrze pachniało kurzem, różami, trawą i końskim łajnem.

Billy nalał sobie szklaneczkę whisky i usiadł w fotelu.

– Wcześniej czy później będziesz musiała się dowiedzieć. Wylali mnie – powiedział zmęczonym głosem, próbując nadać mu nonszalanckie brzmienie.

– Billy! Dlaczego? – Elinor odwróciła się od okna.

– Pierwsza rzecz, o której powinien pamiętać dziennikarz, to że powody nie mają nic wspólnego z tym, jak pracuje. Zmienia się wydawca „Globe”, a z nim cały zespół – powiedział lekko. – Nie będę już szukał pracy w dziennikarstwie.

Elinor zrozumiała, iż oznacza to, że żadna gazeta go nie zechce.

Następnego dnia o siódmej rano zaniósł Billy'emu filiżankę herbaty.

– Może rozejrzysz się za inną pracą? Spróbuj się dowiedzieć o tę. – Siadając na skraju łóżka, podała mu poranną gazetę z zakreślonym na czerwono ogłoszeniem. Powoli, z ociąganiem Billy przeczytał: „Od zaraz, do wytwórni chemicznej. Akwizycja na telefon także bezpośrednio u lekarzy i drogistów. Perspektywy dla energicznych”. – „Energicznych”? – popatrzył na Elinor. – Nie szukają raczej weteranów wojennych.

– Utykasz, Billy, ale utykanie nie oznacza, że ludzie mają się do razu

zniechęcać, jakbyś nie miał ręki albo nogi – przekonywała Elinor.

– Nie chcesz chyba, żebym został komiwojażerem – prychnął Billy.

– A czym chcesz zostać? – Wpatrywała się w niego bacznie tymi swoimi zielonymi oczami. Chociaż nie uprawiał prawie wcale gimnastyki, ciało miał nadal smukłe i mocne. Dzisiaj siedział przygarbiony na łóżku, nieomylna oznaka kaca. Elinor patrzyła na worki pod oczami i szare policzki pokryte srebrną szczecina.

Nie wiedziała, dlaczego go kocha.

– Tak się składa, że mam lepszy pomysł na robienie pieniędzy – uśmiechnął się do niej chytrze.

Odrzucił kołdrę i podszedł do komody. Otworzył górną szufladę i odwrócił się ku niej. W ręku trzymał małą książeczkę oprawną w zieloną skórę.

– Przecież to pamiętnik Racheli O'Dare! Czy matka wie, że go zabrałeś?

– Nie wie. Nigdy nie zauważy, że zniknął. Nie martw się, nie mam zamiaru go sprzedać. Pożyczyłem go tylko i zwrócę.

– Kiedy masz zamiar to zrobić? – Elinor była wstrząśnięta, że tak po prostu potrafił zabrać coś tak cennego.

– Kiedy napiszesz książkę zatytułowaną „Pamiętnik elżbietańskiej gospodyni domowej” – powiedział triumfalnie. – Mam już upatrzonego wydawcę!

Elinor zastanawiała się przez chwilę, czy aby na pewno wytrzeźwiał od poprzedniego wieczora. Przyjrzała mu się uważnie. Gdyby był pijany, mięśnie twarzy byłyby rozluźnione a wyraz twarzy nieobecny. Nie zauważyła nic takiego.

– Nie jestem pisarką, Billy – powiedziała cicho. – Lubię pisać listy, raz dostałam wyróżnienie za szkolne wypracowanie, ale nie mam pojęcia, jak się zabrać za pisanie książki.

– Zaczynasz od tego. – Billy machnął zielonym zeszytem. – Przełożysz to po prostu na współczesną angielszczyznę, gdzie trzeba dodasz wyjaśnienia, rozwinięsz zapiski Racheli, uzupełnisz innymi informacjami o szesnastowiecznej Anglii. Wszystko wytłuszczoną czcionką, zamiast przypisów, żeby nie robiło wrażenia naukowego opracowania.

– Skąd wezmę informacje o tym, co się działo w szesnastowiecznej Anglii?

– A od czego jest biblioteka British Museum? Poprosisz bibliotekarzy, żeby ci pomogli zrobić kwerendę.

– Ale ja nie wiem, jak robi się kwerendę!

– Edward ci wytłumaczy. – Licząc na stypendium w Oxfordzie, Edward obrał za przedmiot fakultatywny historię. – Kwerenda oznacza, że szuka się potrzebnych informacji – dodał rozeźlony Billy.

Elinor i Billy wspólnie planowali zarys książki. To on, przekonany, że to najprostszy sposób, doradził jej, by trzymała się tak ściśle, jak tylko można, oryginału. Sporządził grafik pracy i ściśle go przestrzegał, ponagając Elinor. Edward pokazał matce, jak sobie radzić ze zbieraniem potrzebnych materiałów i jak je porządkować. Pod ścianą saloniku piętrzyła się sterta pomarańczowych pudeł z fiszkami, a Billy podarował Elinor na gwiazdkę segregator, w którym mogła je ułożyć.

W marcu 1937 roku Elinor skończyła „Pamiętnik elżbietańskiej gospodyni domowej”. Książka miała się ukazać w listopadzie nakładem Stansfielda i Harta.

Na krótko przed jej publikacją Billy wpadł w wir wzmożonej aktywności, Pisał zwiastuny do prasy, namawiał recenzentów, żeby wspomnieli o książce, świadcząc im w zamian rozmaite przysługi. Starannie wybrał dla Elinor toaletę na promocję książki, urządzaną w Russel Hotel na Bloomsbury.

Elinor nie zaakceptowała upatrzonej przez niego kreacji.

– Co cię napadło, Billy? Nie mogę o trzeciej po południu założyć koktajlowej sukni z różowej mory! Twoja matka powiedziała by, że to pospolite. Poza tym nie stać nas na nią – tłumaczyła, kręcąc się przed lustrem przymierzalni u Fortnuma & Masona, wytwornego magazynu przy Picadilly.

– Joe Grant płaci za nią – powiedział Billy i zwrócił się do sprzedawczyni: – Do zdjęć bardzo ważny będzie kapelusz. Proszę pokazać nam ten biały jedwabny turban z różowymi strusimi piórami.

– Do jakich zdjęć? – zapytała zdumiona Elinor.

Billy przypatrywał się uważnie żonie. Miała teraz prawie trzydzieści siedem lat. Jej twarz była szczuplejsza niż dawniej, ale zachowała tę samą piękną, jasną, złocistą karnację.

– Szkoda, że nie mogą być kolorowe – stwierdził. – Zamówiłem sesję zdjęciową u Angusa McBeana, najlepszego fotografa teatralnego. Będiesz miała fotosy godne największych aktorek!

Billy dopilnował, żeby wszystko odbyło się zgodnie z planem. Zadbał o informację prasową, wywiady radiowe, rozdawanie autografów w księgarniach, gdzie Elinor zajeżdżała wynajętym przez niego Rolls-Roycem. Wszystko to opłacał zaskoczony wydawca, który do tej pory nie czynił nic w celu rozreklamowania książek, poza wysyłaniem egzemplarzy promocyjnych do kilku magazynów literackich.

Ku zaskoczeniu wszystkich (tylko nie Billy'ego) „Dziennik elżbietańskiej gospodyni domowej” pióra Elinor O'Dare odniósł natychmiastowy sukces. Książka

była pięknie i starannie ilustrowana, zgodna z faktami historycznymi, acz nie miała w sobie nic z nudnej rozprawy naukowej. Elinor tak żywo potrafiła oddać przypadki życia lady Racheli, iż czytelnik miał wrażenie, że bohaterka jest kimś obecnym, bliskim i dotykającym. Billy rozpętał prawdziwą kampanię reklamową i sprawił, że powieść stała się poszukiwanym upominkiem gwiazdkowym.

Edward, który zdał tymczasem maturę i zaczął studiować historię w Merton, był jednakowo zachwycony odniesionym przez matkę sukcesem, jak i własną nowo odkrywaną wolnością. Uwielbiał Oxford, tym bardziej że spotkał właśnie swoją pierwszą dziewczynę. Miała na imię Jane i jak on była studentką pierwszego roku historii.

SOBOTA, 1 STYCZNIA 1938

Elinor przeciągnęła się rozkosznie w łóżku. Łowiąc promienie zimowego słońca, rozmyślała, jak bardzo na lepsze zmieniło się ostatnio jej życie. Po raz pierwszy w historii ich małżeństwa Billy nie miał noworocznego kaca! Po ostatniej chorobie lekarz przestrzegł go przed nadużywaniem alkoholu, nie kryjąc przed nim groźby marskości wątroby.

Leżał teraz obok niej nagi w łóżku i podkręcał węża.

– Mam dla ciebie prezent, kochanie. Kontrakt na następną książkę.

– Czyżby? Pewnie na elżbietańską książkę kucharską!

– Niezupełnie – odpowiedział. – Chcą powieści.

Billy jadł lunch z wydawcą i naczelnym redaktorem w kapiącej od złota i purpury „Cafe Royal”. Obydwaj panowie byli zgodni, że Elinor ma prawdziwy talent pisarski. Odnajdowali w jej pierwszej książce zmysł obserwacji, bezpośredniość i wyczucie tego, co zaskakujące. Jej bohaterowie nie byli dwuwymiarowymi nudnymi postaciami; potrafiła odmalowywać żywe ludzkie portrety, które zmuszały czytelnika do refleksji i dyskusji.

Billy odchylił się w fotelu, myśląc natychmiast o międzynarodowym bestsellerze... pierwsza powieść... Margaret Mitchell... „Przeminęło z wiatrem”... Hollywood... prawa do filmu.

– Muszę wam powiedzieć, że jesteśmy już po wstępnych rozmowach z Billym Collinsem – powiedział na wszelki wypadek.

Pod koniec posiłku doszli do porozumienia.

Billy widział teraz otwierające się przed nim perspektywy, czuł się niemal tak, jak za dawnych przedwojennych czasów. Nie było wątpliwości, że w swoim

własnym dobrze pojętym interesie powinien dbać teraz o karierę Elinor. Jeśli będzie potrafiła zarabiać jako powieściopisarka na nich oboje, to on zostanie jej menedżerem, uwolni się od trosk i zmory szukania pracy.

Kiedy nakreślił Elinor perspektywy otwierającej się przed nią kariery, usiadła sztywno na łóżku, z niedowierzaniem mrugając powiekami.

– Billy, przecież ja nigdy nie napisałam powieści – stwierdziła zdumiona. – Nie potrafię. Nie znam się na tym.

– Nauczę cię. To proste.

Zrozumiała natychmiast, że mąż nie żartuje i że nie powinna wdawać się w próżne sprzeczki.

– Zrobię śniadanie – powiedziała, chcąc się ruszyć z łóżka.

– Nie, zostaw to mnie – powstrzymał ją Billy.

Dziesięć minut później stała przed nią stara taca, a na niej dzbanek mleka, jabłko, kilka kromek chleba i czerwony zeszyt.

– Więcej nie dostaniesz, póki nie zabierzesz się do roboty – powiedział Billy.

– Ale o czym na Boga mam pisać? O czym ja wiem? O życiu na farmie? O okropnościach francuskiego szpitala polowego? O powojennych kłopotach? Ludzie nie chcą czytać takich ponurych historii, za dobrze to znają.

– Pisz o tym, czego nie znają – podpowiadał Billy. – Nie będą mogli cię sprawdzić. Napisz powieść historyczną, zacznij od gwałtu.

– Ale ja nigdy... Nie wiem...

– Pokażę ci. – I Billy rzucił się na nią, przewracając dzbanek z mlekiem.

– Masz talent – mruknął jakiś czas później – ale to dopiero początek. Pierwszą rzeczą, jakiej pisarz musi się nauczyć, jest dyscyplina.

Billy zaczął naukę od zamknięcia Elinor w sypialni na klucz. Pierwszym jej odruchem na takie traktowanie był bunt. Nie dotknęła nawet czerwonego zeszytu.

– Niewdzięczna suka! – ryknął Billy, kiedy koło południa przyniósł jej chleb i mleko. – Gdyby nie ja, nie odniosłabyś sukcesu. Najwyraźniej przewróciło ci się w głowie!

Powtarzał jej to tyle razy, że w końcu uwierzyła w prawdziwość jego słów.

Znudzona całym dniem zamknięcia, pozbawiona możliwości czytania i rozmawiania z kimkolwiek, skapitulowała. Pod wieczór zanurzyła pióro w atramencie i zaczęła pisać.

– Nie dość się przykładasz! – skwitował jej wysiłki, kiedy przeczytał pierwsze strony.

– Dla ciebie i Amundsen to za mało – odparowała z przebłyskiem dawnego

temperamentu.

Wręczył jej mały podręcznik interpunkcji.

– Masz to wkuć na pamięć. Będę cię odpytywał rozdział po rozdziale codziennie przed kolacją. Nie będziesz czegoś wiedziała, nie dostaniesz jeść.

Kiedy pomyliła coś w trzecim rozdziale, zamknął ją znowu w sypialni niczym uczennicę, która nie przygotowała lekcji, i wyszedł z domu na całą noc. Wrócił następnego ranka o ósmej, zmęczony i nieświeży.

– Wiesz już, jaka jest różnica między przecinkiem a średnikiem? – uśmiechnął się zjadliwie, stając w drzwiach sypialni.

Męczona zazdrością, zdenerwowana i przestraszona zaczęła recytować lekcję, ruszając niepewnie w kierunku męża.

Serce jej łomotało, gdy pochylił się, żeby ją pocałować. Nadstawiła ku niemu twarz niczym więzień do światła. Chwycił ją mocno za pierś, potem wziął bez słowa na rękę i zaniósł do łóżka.

Kiedy poczuła na swoim policzku łaskotanie jego wąsów i nie golonego zarostu, całe dotychczasowe napięcie ustąpiło miejsca namiętному pożądaniu.

Ostatecznie przygotowała zarys powieści, który został zaakceptowany przez Billy'ego. Poszli razem do Biblioteki Londyńskiej, skąd wyszli z piętnastoma książkami zawierającymi potrzebne materiały źródłowe. Elinor nabrała nieco otuchy.

– W końcu każdy nosi w sobie jakąś nie napisaną książkę – stwierdziła z nadzieją.

– Każdy wydawca powie ci, że to kłamstwo – burknął Billy.

– Są ludzie, którzy w życiu nie napisaliby nawet jednego akapitu czy zdania.

Billy okazał się surowym, ale znakomitym krytykiem. Bezustannie przypominał jej, żeby skupiła się na fabule, tempie i wydarzeniach. – Ograniczaj opisy najwyżej do dwóch linijek – mówił. – Jeśli czytelnicy będą chcieli przeczytać o ptaszkach, drzewach i zachodach słońca, sięgną do książek przyrodniczych.

Ileż razy płakała, nie rozumiejąc czego Billy od niej żąda.

– Czemu? Czemu mam to jeszcze raz przepisywać? – narzekała któregoś wieczoru. – Nie wiem, o co ci chodzi. Gdzie zrobiłam błąd?

– Nie słuchasz, co do ciebie mówię – odpowiedział głosem, od którego dreszcz przebiegł jej po plecach. – Kiedy piszesz, musisz się wczuwać w każdą z postaci. Chcę się dowiedzieć, co czuje Lidia, gdy całuje ją mąż siostry!

– Ale mówiłam ci...

– Nie opowiadaj mi, co się zdarzyło, pokaż to! Mam się tego dowiedzieć z

książki, nie od ciebie! – wrzasnął. – A to brzmi jak nudny artykuł w gazecie. Wprowadź trochę życia! Masz pamiętać, że jesteś oczami, uszami, nosem, sercem czytelnika. Wbij to sobie raz na zawsze do głowy. Muszę mieć wrażenie, że jestem w środku akcji; ukryty gdzieś za żywopłotem jestem Cyntią, która śledzi swojego męża i Lidię. Widzę, jak obejmują się w ciemnym ogrodzie, drzę w chłodzie nocy, zaciskam wargi, łzy napływają mi do oczu, przeklinam ich!

Elinor spojrzała na Billy'ego zdumiona. Właśnie opisał zazdrość. Musiał więc rozumieć, jaki ból jej zadaje swoimi zdradami.

– Wczoraj powiedziałaś mi, że mam wkładać w swoją pracę więcej uczucia – powiedziała ze łzami w oczach następnego wieczoru – że mam odczuwać namiętności, które przeżywają moi bohaterowie, a dzisiaj dajesz mi ten stary podręcznik gramatyki. Jak mogę pisać o uczuciach, kiedy muszę myśleć o składni zdania?

– Spróbuj – odparł ponuro. – I nigdy nie zapominaj, że ja naprawdę wiem, co jest dla ciebie najlepsze. To wszystko dla twojego dobra.

Bywało, że zdesperowana do ostateczności rzucała się na łóżko i zaczynała płakać z głową w poduszkach, ale łzy nie przynosiły ulgi. Paradoksalnie, jedyną rzeczą, która pozwalała jej zapomnieć o własnej bezradności, zagubieniu, o lękach i urazach było zapełnianie zdaniami zeszytu.

Co rano, jeszcze w szlafroku, rzucała się na nędzne śniadanie, które przygotowywał dla niej Billy. Potem zamykał ją w sypialni i trzymał pod kluczem do południa, o dwunastej pukała w drzwi i przesuwiała pod nimi dziesięć kolejnych stron. Jeśli podobało mu się to, co właśnie napisała, przynosił jej tacę z owocami i kawą, którą stawiał na małym biurku pod oknem, gdzie pracowała. Jeśli to, co zrobiła, okazywało się nie dość dobre, darł przeczytane kartki na strzępy i wyrzucał przez okno na Earls Court Square.

Gdy kończyła skromny lunch (Billy obawiał się, że po obfitym byłaby senna), myła się szybko i ubierała, obmyślając jednocześnie następne dziesięć stron. Kiedy się już z nimi uporała, kończąc tym samym dzienną porcję pięciu tysięcy słów, wypuszczał ją z sypialni i zabierała się do przygotowywania wieczornego posiłku.

Podczas gdy ona gotowała kolację, Billy robił notatki na marginesach rękopisu; poprawiał gramatykę, interpunkcję i tragiczną pisownię. Po kolacji przepisywała całość, Billy stał jej nad głową, instruując, co skrócić, co rozwinąć, gdzie postawić mocniejszy akcent.

Po zakończeniu przez nią pracy, wreszcie usatysfakcjonowany brał ją na ręce, niósł do łóżka i pieścił tak długo, aż wymęczona po całym dniu zaczynała powoli

reagować na jego dotyk, najpierw opornie, potem z coraz większą namiętnością, która jeszcze kilka godzin wcześniej, gdy mozoliła się nad kolejnymi zdaniami, wydawała się jej niemożliwa.

Po paru tygodniach zgrzyt przekręcanego rano w drzwiach klucza nie wydawał się jej już niczym strasznym. Odwrotnie, czekając na cichy szcęk zamka drżała z podniecenia (z czym przezornie kryła się przed mężem), szczęśliwa, że zaraz przeniesie się w tajemniczy, niczym nie skrepowany świat wyobraźni.

Wieczorem była wyczerpana i niespokojna. Pełna wątpliwości oczekiwała opinii Billy'ego. Tylko on mógł rozwiać jej obawy, potwierdzić, że to, co napisała, i tym razem sprostало jego wysokim wymaganiom; tylko on mógł przenieść ją później w świat namiętności, gdzie zapominała o wątkach i fabule.

W jego ramionach czuła się pożądana, bezpieczna, szczęśliwa. Nie patrzyła na siebie jak na ptaka uwięzionego w klatce, bo też nie trzeba było żadnej klatki. Była przywiązana do Billy'ego niewidzialnymi jedwabnymi więzami sekretnej zmysłowości, która ją zawstydziała, ale której łaknęła niczym narkotyku. Billy zniewalał ją, ale dawał motywację, uzależnił od siebie zarówno intelektualnie, jak i fizycznie, i trzymał mocno pod obcasem.

Obrażał ją, oszukiwał, traktował z jawną wzgardą, która go bawiła, a ona pozostawała jego bezradnym, bezwolnym niewolnikiem, skutym niewidzialnymi okowami. Jego hipnotyzujący wzrok sprawiał, że czuła się kimś wartościowym albo kompletnie pozbawionym wartości, nie wierzyła w siebie albo była pewna swego. Niekiedy pozwalał jej nawet czuć się szczęśliwą.

Jak na przykład w lipcu 1938 roku, kiedy ślub Edwarda z Jane, dziewczyną poznaną w Oxfordzie, pozwolił jej oderwać się od pracy. Ceremonia odbyła się u Św. Bartłomieja, w małym normańskim kościółku w Oxfordzie, który prawie nie zmienił się przez ostatnie dziewięćset lat. Elinor pomagała przystroić wnętrze, dzięki czemu miała okazję lepiej poznać swoją przyszłą synową, młodą, inteligentną i dzielną dziewczynę. Spodobała się jej spokojna niezłomność Jane, otwartość i zdecydowanie, z jakimi wypowiadała swoje sądy. Wolałaby wprowadzić, żeby Edward nie spieszył się tak z ożenkiem, ale skoro już musiał (a dał jej do zrozumienia, że tak), to nie mógł wybrać sobie lepszej żony.

Po wielu trudach, niepokojach i poprawkach Elinor napisała wreszcie dobrze skonstruowaną powieść z umiejętnie nakreśloną akcją i wiarygodnie odmalowanymi postaciami. Skończyła pracę w styczniu 1939 roku, na dwa dni przed urodzeniem się pierwszego dziecka Jane i Edwarda.

Siedząc przy łóżku synowej z Klarą w ramionach, Elinor ze zdumieniem

uświadamiała sobie, że oto została babką. Mając trzydzieści dziewięć lat w duchu ciągle czuła się siedemnastolatką.

Podziwiała miniaturowe rączki, gładziła maleńką główkę przypominającą główkę Nefretete, obserwowała widoczne jeszcze pod ciemnym puchem spojenia czaszki. Z radością wpatrywała się w stare, mądre oczy niemowlęcia.

– Ma oczy Edwarda – powiedziała Jane z dumą.

– Poza tym to wykapana ty. – Jane była niska i szczupła, miała jasną cerę i ciemne włosy.

Chociaż obydwójce byli tak młodzi, Jane zdawała się być stworzona dla Edwarda. Mieszkali w wielkim domu w północnym Oxfordzie, z ojcem Jane, owdowiałym profesorem historii, który, wydawało się, nie zauważał ich obecności. Było mu obojętne, co się wokół dzieje, pod warunkiem jednak, że nikt mu nie przeszkadzał.

Ku rozczarowaniu Billy'ego, nowy romans Elinor „Zbuntowana księżniczka” nie odniósł takiego sukcesu jak elżbietański dziennik. Jakoś nie pojawił się wysłannik z Paramount czy MGM i chociaż Billy osobiście zaniósł egzemplarz książki do londyńskiego mieszkania Vivien Leigh, nie dostał od aktorki żadnej odpowiedzi.

Wydawca patrzył na sprawę bardziej trzeźwo.

– Nie możesz oczekiwać, że osiągnie szczyty po napisaniu jednej książki historycznej i jednej powieści – tłumaczył pan Stansfield, kiedy jedli ostrygi u Wheelera. – Książka sprzedaje się dobrze jak na debiut powieściowy, a my jesteśmy zadowoleni z postępów poczynionych przez Elinor. – Wydawnictwo Stansfield i Hart zawarło z Elinor kontrakt na następne pięć książek. – Żałuję, że twoja żona nie znalazła czasu, żeby zjeść z nami lunch, przekazałbym jej osobiście słowa zachęty.

– Nie znosi zmieniać rozkładu dnia, uważa, że to ją dekoncentruje – mruknął Billy, który nie pofatygował się nawet, żeby przekazać Elinor zaproszenie na lunch. – Zaczęła właśnie następną powieść. Tak jak sugerowałeś, osadzoną w tym samym okresie, co zaoszczędzi czasu na studiowanie źródeł historycznych. Dobrze czuje tę epokę. Nie zdziwiłbym się, gdyby zaczęła nosić krynoliny i bufiaste rękawy.

Billy spędzał teraz poranki na czytaniu gazet i zachowywał się tak, jakby był doradcą Chamberlaina. Jego zdaniem premier powinien przepędzić Niemców z Austrii, nim Brytyjczycy wplączą się w kolejną wojnę. Chamberlain nie poszedł wszak za radą Billy'ego i we wrześniu, kiedy maleńka Klara skończyła dziewięć

miesiący, Anglia i Francja wypowiedziały wojnę Hitlerowi.

Jane znowu była w ciąży.

– Dobrze chociaż, że matka zostawiła jej trochę grosza – powiedział kwaśno Billy. Elinor nie odezwała się, zgadzała się jednak z mężem, że Jane i Edward powinni byli bardziej uważać po urodzeniu się Klary. Dwoje nieodpowiedzialnych dziesięcioletników obciążonych dwojgiem dzieci, na dodatek teraz, kiedy zaczęła się wojna.

– Ustępstwa – sarkał Billy w wigilijny poranek. – Powinniśmy być twardsi dla tych sukinsynów wcześniej. Za pierwszym razem porywaliśmy się niepotrzebnie, teraz niepotrzebnie siedzieliśmy cicho. Trzeba było utrzyć nosa hitlerowcom, kiedy weszli do Austrii.

Tego wieczoru wrócił do domu lekko tylko podchmielony i uszczęśliwiony. Zaproponowano mu pracę biurową w War Office, gdzie miał się zajmować siłami lotniczymi RAF-u.

Kiedy powtarzał dobrą wieść Elinor, rozdzwonił się telefon. Billy podniósł słuchawkę, słuchał przez chwilę i odpowiedział ożywionym głosem:

– Dobra robota, chłopcze. Pewnie chcesz o tym sam powiedzieć matce... – Edward i jego przyjaciel Jeremy zgłosili się do wojska i zostali przydzieleni do służb wywiadowczych Intelligence Service.

W poniedziałkowe popołudnie 11 marca 1940 roku Edward zadzwonił do matki z wiadomością, że Jane urodziła właśnie, na dwa tygodnie przed czasem, drugie dziecko, Annabel.

Elinor przez cały dzień nie mogła się dodzwonić do Billy'ego, musiała czekać do wieczora, żeby podzielić się z nim radosną wiadomością. Wybierali się właśnie zobaczyć Gretę Garbo i Melvyna Douglasa w „Ninoczce”, rzadkie święto w ich rodzinie.

Koło ulubionego pubu Billy'ego „Pod Gwiazdą i Podwiązką” na Whitehall przechodnie przesuwali się powoli, szukając drogi na zaciemnionej ulicy. Elinor weszła do zatłoczonego, jasno oświetlonego baru. Pianino, na którymś ktoś bębnił „Wytocz beczułkę”, obstąpiła gromada ubranych w mundury khaki kobiet i mężczyzn, śpiewających i wywijających kufkami piwa do wtóru muzyki. W innym kącie przy akordeonie siedziała grupka marynarzy zawodzących „Nie masz kochanka nad żeglarza”. W powietrzu unosił się zaduch tanich papierosów, taniego piwa i potu, ale ludzie pogrążeni w radosnej euforii zdawali się nie zwracać na nic uwagi. Elinor przecisnęła się przez tłum do stolika w kącie, przy którym dojrzała dwa wolne krzesła.

Kiedy w drzwiach pojawił się Billy, wstała i zaczęła ku niemu wymachiwać, dopóki jej nie spostrzegł, potem zrobiła gest kołysania niemowlęcia i uniosła kciuk do góry.

– Chłopiec? – Ułożył usta w niemym pytaniu.

Pokręciła przecząco głową.

Wzruszył ramionami, uśmiechnął się i zaczął przeciskać do kontuaru po drinki.

Kiedy niósł je w stronę stolika, Elinor zobaczyła, jak chwyta go za rękaw młoda, szczupła dziewczyna w brązowym płaszczu i coś mówi do niego nerwowo.

Billy patrzył na nią skonsternowany; nagle oparła mu głowę na ramieniu. Rozzłoszczony, pokazał głową na żonę.

Dziewczyna spojrzała w jej stronę. Elinor dostrzegła owalną piegowatą buzię, okoloną krótkimi, ciemnymi włosami i duże załzawione oczy.

Billy oswobodził rękę i zaczął się przeciskać w stronę Elinor.

– Kto to był? – zapytała, kiedy wreszcie dotarł do ich stolika.

– Dziewczyna z biura prasowego, jedna z sekretarek.

– Jak ma na imię?

– Nie pamiętam.

– Jeśli mi nie powiesz, zapytam ją sama.

– Na miłość boską, Elinor, nie możemy spędzić jednego wieczoru poza domem bez tych scen zazdrości? Atakujesz niczym Spitfire. Chyba Pat Kettle.

– Czemu ona płacze? Dlaczego prosiła cię o pomoc? – Scena, która rozegrała się przed chwilą, była aż nazbyt czytelna.

– Jakieś biurowe kłopoty. Brak pewnych dokumentów. Szefowie ją podejrzewają. Nic nie mogę poradzić, właśnie jej to powiedziałem.

– Ona jest w tobie zakochana. To widać.

Dziewczyna stała przy barze, spoglądając ze smutkiem na Billy'ego. Elinor знаła dobrze to spojrzenie szczeniaka odpędzonego przez jego pana.

– Nic na to nie poradzę. Pij szybko, bo się spóźnimy.

– Na Boga, Billy, przecież to jeszcze dziecko – powiedziała rozzłoszczona Elinor. – Czemu się jej czepiałeś? – Panna Kettle odwróciła się powoli i ze zwieszoną głową ruszyła w stronę wyjścia.

– Bądź rozsądna, staruszko. Co ja mogę poradzić na to, że jakaś dziewczyna postanowiła zadurzyć się we mnie?

– Możesz – odpowiedziała Elinor z goryczą. Odstawiła na stół nie tknięty kieliszek. – Jesteśmy małżeństwem od dwudziestu dwóch lat, masz prawie pięćdziesiątkę, na Boga. A ona ile? Dziewiętnaście? Młoda dziewczyna nie

zakochuje się ot tak po prostu, jeśli mężczyzna nie zaleca się do niej, nie uwodzi. Pamiętam jeszcze twoje romantyczne zaloty, Billy. Są bardzo skuteczne.

– Nie, kochanie, to ty zawsze byłaś niepoprawną romantyczką. – Billy wyśmiał ją. – Opowiedz mi raczej o mojej wnuczce. I pijże. Już jesteśmy spóźnieni.

Rozdział 5

SOBOTA, 8 MARCA 1941

Niemal w trzecią rocznicę ślubu, gdy Jane i Edward celebrowali urodziny Jane w londyńskiej „Cafe de Paris”, w lokal uderzyły dwie niemieckie bomby. Zginęli na miejscu.

Billy, cichy, niepocieszony po stracie, był teraz miłszy dla Elinor niż kiedykolwiek przez wszystkie lata ich małżeństwa. Elinor, w stanie szoku, z którego, jak myślała, nigdy się nie otrząśnie, poświęciła całą uwagę osieroconym wnuczkom, dostosowując się szybko do wymagań nowej sytuacji.

W kilka miesięcy po tragedii Billy upadł na zaciemnionej ulicy przed „Pod Gwiazdą i Podwiązką” i złamał lewą nogę. Kość zrastała się bardzo powoli, nie mógł chodzić, tym bardziej pracować. Ostatecznie przyjechał na wieś, gdzie Elinor wywiozła wnuczki. Ludzie wokół użalali się, szczególnie nad małą Mirandą, która urodziła się zaledwie miesiąc przed śmiercią rodziców. Rozpadający się domek, w którym zamieszkały we cztery, położony był na gruntach Larkwood. We dworze, zamienionym na ośrodek rekonwalescencyjny dla żołnierzy, nie było już miejsca.

Nowe warunki wymagały od Elinor zmiany trybu pracy. Billy zmusił ją, by wstawiała przed świtem, o piątej rano. Pisała do dziewiątej, przez siedem dni w tygodniu, ale te poranne godziny należały wyłącznie do niej. Zapominała wtedy o chłdzie, niewygodzie, wojennych brakach, zapominała nawet o utracie Edwarda, który był ciągle obecny w jej myślach, a wspomnienia sprawiały, że traciła otuchę i chęć do życia. Opisuując pyszne stroje, wspaniałe klejnoty, bogate uczyty ze stołami uginającymi się od jadła, uciekała w pogodny, pełen uciech świat elżbietańskiej Anglii.

Resztę dnia poświęcała dzieciom, zajęta zdobywaniem jedzenia i gotowaniem dla całej rodziny, starając się radzić sobie jakoś w domu pozbawionym prądu, bieżącej wody, urządzeń sanitarnych, które zastępował drewniany domek w kącie ogrodu; wodę pompowało się ze studni w podwórzu. Elinor nie zwracała uwagi na te wszystkie braki. Usiłowała dostrzegać wyłącznie uroki starego, nastrojowego domu stojącego na południowym stoku zalesionego wzgórza, skąd rozpościerał się widok na bezkresne pola. Billy uprawiał mały warzywnik w ogrodzie, Elinor cieszyła się spokojem wiejskiej okolicy, szczególnie w mroźne, świetliste dni zimowe, i latem, kiedy wiatr przeczesywał dojrzałe zboże. Wracała wtedy myślami

do dzieciństwa, tyle że angielskie pola wydawały się maleńkie przy tych, które zapamiętała z Minnesoty.

Elinor przepadała za wnuczkami. Ludzie zachwycali się urodą dziewczynek, które odziedziczyły błękitne, hipnotyczne oczy Billy'ego, spoglądające ciekawie na świat. Klara, najstarsza, była ciemnowłosym, delikatnym dzieckiem, cichym i spokojnym jak jej ojciec. Annabel, z różowymi puciołowatymi policzkami, gęstymi blond włosami i śliczną buzią, przypominała Elinor z czasów dzieciństwa. Najmłodsza, Miranda, o bladej, piegowatej buzi, była niewyrośniętym na swój wiek chudeuszem.

– Tak, jesteśmy bardzo szczęśliwi – odpowiadała z uśmiechem Elinor, gdy ludzie prawili jej komplementy na temat dziewczynek. Jednak i tuzin najbardziej ukochanych wnucząt nie był w stanie zastąpić Edwarda. Jak dla większości matek, rodzone dziecko było krwią z jej krwi, kością z jej kości, częścią jej własnego ciała, związaną z nią niewidzialną pępowiną, której nic nie mogło przeciąć. Teraz została czegoś pozbawiona, tak, jakby straciła część samej siebie.

Za każdym razem, kiedy widziała wpatrujące się w nią błękitne oczy, w myślach pojawiał się obraz Edwarda, a duszę ogarniała gorzka żalność. Żalowała teraz, że poświęcała mu tak mało czasu, kiedy bawił się obok niej w pokoju, gdy ona zajęta była prasowaniem, cerowaniem, sprzątaniem czy słuchaniem radia. Za każdym razem, gdy wspominała ukochanego jedynaka, odczuwała dojmujący, fizyczny ból. Nie chcąc płakać w obecności dziewczynek, żeby ich nie wystraszyć, siłą woli usiłowała skupić myśli na fabule swoich książek i wybieg ten nigdy nie zawodził.

NIEDZIELA, 5 SIERPNIĄ 1945

W dwa lata później Elinor kończyła swoją czwartą powieść. Cieszyła ją każda chwila pisania, polubiła nawet wstawanie przed świtem, mimo że ostatnia zima była tak mroźna, że siadała do biurka w płaszczu, owijała nogi kocami, a stopy opierała na butelce z gorącą wodą.

Pracowała cały dzień nad książką. Wiedząc, jak ważne są rytm i *crescendo* zakończenia, Billy pilnował, żeby nikt jej nie przeszkadzał. Przynosił filiżanki gorącej herbaty lub zupy i zabierał zimne, nie zauważany przez pochłoniętą pisaniem żonę.

Krótko po jedenastej wieczorem odłożyła pióro, zdjęła okulary, przetarła oczy, przeciągnęła się i jak każdy powieściopisarz popadła w wątpliwości.

Być może zamiast „Śmiertelna fortuna” książka powinna się nazywać „Fatalna fortuna”? Elinor nie chciała jednak, żeby tytuł kojarzył się z kryminałami, chociaż powieść w gruncie rzeczy była kryminałem opowiadającym o całej serii zabójstw w elżbietańskiej rodzinie, walczącej między sobą o przejęcie majątku.

Elinor znowu się przeciągnęła. Miała ochotę na spacer, na drinka, na małą przekąskę, wiedziała, że nie zaśnie teraz, czuła radosną lekkość w głowie.

Na kredensie w kuchni stała butelka musującego wina jabłkowego, w metalowym pojemniku wiszącym koło drzwi kuchennych schowane były kotlety. Usmażyła baraninę, napiła się wina. Przez chwilę czuła się sama na całym świecie i było jej z tym dobrze. Sięgnęła po „Daily Telegraph” leżący na kuchennym stole, otworzyła na krzyżówce i zaraz poniechała pomysł; nigdy nie udało jej się rozwiązać żadnej do końca i wpędzało ją to zawsze w zły nastrój. Jeszcze raz rzuciła okiem na nagłówki, nie działo się nic ciekawego.

Daleko, w odległej stronie świata, gdzie właśnie zaczynał się dzień, opadał w dół mały spadochron wyrzucony z bombowca B-29. O ósmej piętnaście rano jądrowa reakcja łańcuchowa wywołana wybuchem bomby utworzyła w powietrzu świetlisty grzyb o średnicy dwustu pięćdziesięciu metrów i temperaturze kilku tysięcy stopni. W sekundę po nieludzkiej, barbarzyńskiej detonacji pierwszej bomby atomowej nad Hiroszimą skończyła się druga wojna światowa.

WTOREK, 9 LIPCA 1946

Biuro Joe'ego Granta na Carey Street, tuż obok sądu przysięgłych, było niemal dokładną repliką jego wiejskiego gabinetu. Joe wyglądał starzej niż na swoje pięćdziesiąt jeden lat, pomyślała Elinor siadając w fotelu koło kominka. Podejrzewała, że celowo pielęgnował ten wygląd starego adwokata, jakby wyjętego żywcem z kart „Klubu Pickwicka”.

– Nic się nie zmieniłaś, Elinor – przywitał ją z uśmiechem.

– Pochlebstwa – odparła mile połączona komplementem. – Jak twoja rodzina, Joe?

– Ethel skarży się na artretyzm, ale chłopcy mają się świetnie. Mike zaczął naukę w Eton. Było mu raźniej, że ma tam starszego brata.

Elinor pomyślała, że choć dzieci Joe'ego korzystały z różnych dobrodziejstw, jakie dawał im majątek matki, Edward cieszył się większą swobodą niż Adam i Mike Grantowie. Ethel – pięć lat starsza od męża – urodziła Adama mając czterdzieści lat. Po ciężkim porodzie zapadła na nie rozpoznaną do końca przez

lekarzy depresję popołogową i nigdy chyba nie przebaczyła Adamowi cierpień, jakich jej przysporzył. Chociaż następnej ciąży nie powitała z radością, była jednak bardziej pobłażliwa wobec Mike'a, który przyszedł na świat dwa lata po Adamie. Elinor nigdy nie widziała Ethel całującej któreś ze swoich dzieci, nawet na dobranoc to ona podsuwała im policzek do ucałowania. Ich świat ograniczał się do pokoju dziecinnego, gdzie rządy sprawowały kolejne niańki. Ód chłopców wymagano, żeby zachowywali się jak dorośli, nie jak małe dzieci. Jej Edward w swoim krótkim życiu miał jednak szczęście zaznać ciepła matczynej miłości.

– Czemu chciałaś się ze mną widzieć, Elinor? – zapytał Joe znad idealnie uporządkowanego biurka. Jej interesami zarządzał Billy, on też podpisywał w jej imieniu kontrakty przygotowywane przez Joe'ego dla trzydziestu siedmiu wydawców na całym świecie, którzy opublikowali „Śmiertelną fortunę”.

Gdy Paramount Pictures zakupiło prawa na adaptację filmową bestsellera, jakim okazała się „Śmiertelna fortuna”, a Vivien Leigh zgodziła się zagrać główną rolę, Billy kupił starą cenną Lagondę, a Elinor potajemnie wyprawiała się nią do pustego domu dwadzieścia mil od ich wojennego schronienia, w podupadającym majątku zwanym Starlings. Rezydencja była zbyt duża, żeby można urządzać się w niej wygodnie w czasach wojny, za mała natomiast, żeby mogła korzystać z niej armia, zaraz po rozpoczęciu działań wojennych cały majątek obrócono więc na plantację marchwi. Od chwili gdy hoże wiejskie dziewczyny i włoscy jeńcy zatrudnieni na plantacji wynieśli się ze Starlings, majątek leżał odłogiem, a ziemia zarastała dzikimi trawami.

Z ledwie hamowanym podnieceniem Elinor wyłożyła swój plan Grantowi. Chciała sprawić niespodziankę Billy'emu i kupić w tajemnicy przed nim wiejską posiadłość!

– Nie jest tak wspaniała jak Larkwood, ale jest śliczna! – mówiła Elinor. – Położona na skraju wsi, która nazywa się Maiden Bradley, niedaleko Warminster. Chciałabym, żebyś się zajął wszystkimi formalnościami związanymi z kupnem, Joe. – Folderek, który mu pokazała, zawierał zdjęcia zniszczonego, ale pięknego dworu elżbietańskiego z sadem wiśniowym. – Nie sądzisz, Joe, że jeśli Billy będzie żył w otoczeniu, w jakim został wychowany... to ustatkuje się, odetchnie, będzie się czuł szczęśliwy?

Biedna Elinor, ciągle się łudzi, że utemperuje tego starego łajdaka, pomyślał Joe w duchu, głośno zaś powiedział:

– Posiadłość jest śliczna, Elinor, ale... czy stać cię na nią?

– Oddają ją za pół darmo, pięć tysięcy funtów! – wykrzyknęła. – Paramount

zapłacił czterdzieści tysięcy dolarów za „Śmiertelną fortunę”. Musimy chyba mieć dość pieniędzy, nawet po odtruceniu podatków.

– Wszystkie te pieniądze wpłynęły na konto Billy'ego jako twojego menedżera – powiedział Joe z ociąganiem. W jego głosie zabrzmiał smutek.

– Chcesz powiedzieć... – Elinor spojrzała na niego zdumiona. – Wydał wszystko?

Joe zawahał się.

– Przypuszczam, że Billy źle ulokował pieniądze na giełdzie. – Zdawał sobie sprawę, że Elinor, która była w stanie zracjonalizować i usprawiedliwić każdą pijacką awanturę męża i każdą jego zdradę, stawiała teraz oko w oko z niepodważalnym dowodem, że jej mąż jest kłamcą, oszustem i w pewnym sensie złodziejem. – Żeby być sprawiedliwym, Elinor – dodał Joe – Billy zawsze zwracał co do pensa, cokolwiek mu pożyczyłem.

W oczach Elinor pojawiły się łzy. Nic. Po tylu latach pracy.

Aż do tej pory przyjmowała za dobrą monetę wszystkie tłumaczenia Billy'ego, mające usprawiedliwić jego łgarstwa, matactwa, drobne nieuczciwości: tu coś zrobił, żeby komuś pomóc, tam nie wiedział, w co się pakuje, ówdzie ktoś go oszukał, ktoś inny jeszcze nie dotrzymał danego słowa. Tej zdrady nic jednak nie mogło usprawiedliwić.

– Może byłbym w stanie zaciągnąć kredyt na twoje konto – powiedział Joe – albo załatwić dodatkowe opcje na książkę. Oczywiście nie mogę rozmawiać z twoim wydawcą za plecami Billy'ego... "

To znaczy, że jednak to robi, pojęła Elinor.

– Jestem przekonany – ciągnął Joe – że tak potrafię ułożyć się ze Stansfieldem i Hartem, żebyś mogła kupić ten dom. Na pewno będziesz szczęśliwsza i lepiej będzie ci się pisało w otoczeniu z epoki, którą sobie upodobałaś.

– Porozmawiaj ze Stansfieldem tak szybko, jak to możliwe – poprosiła Elinor łykając łzy. Zdecydowany ton jej głosu mówił jeszcze coś, czego Joe domyślił się bez słów: „Ufam ci. Zrób to w taki sposób, żeby nie upokorzyć Billy'ego, bo inaczej moje życie stanie się nie do zniesienia, a ja nie chcę żyć z prawdziwym Billym, tylko z romantycznym wyobrażeniem o nim”.

– Bez pomocy Billy'ego – podjęła Elinor, usiłując znowu patrzeć przez różowe okulary – nie potrafiłabym ani pracować, ani zadbać o sprzedaż swoich książek. Nie doszłabym do niczego. On rzeczywiście ma prawo do tych pieniędzy... Po prawdzie to jemu zawdzięczam karierę. – Kiedyś wdała się z nim w sprzeczkę, twierdząc, że to jej talent jest podstawą kariery, ale szybko jej wytłumaczył, że on

dbał o ten talent, narzucał jej dyscyplinę, kontrolował, uczył i że to jemu zawdzięcza sukces. Ciągłe powtarzał: „Mnie wszystko zawdzięczasz. Beze mnie byłabyś nikim! Nic byś nie napisała i nic nigdy nie opublikowała. To ja przekonałem wydawców, żeby zaryzykowali swoje pieniądze”.

Musiała przyznać, że w tym, co mówił, było trochę prawdy. Zanim Billy zaczął ją uczyć, nie miała pojęcia o rzemiośle pisarskim ani o potrzebnej w tej pracy dyscyplinie.

Joe przyglądał się Elinor. Chciał jej tyle powiedzieć, ale skrupuły mu nie pozwalały. Poza tym nie było wątpliwości, Billy jest mężczyzną jej życia, a Joe nie miał ochoty mieszać się w ich małżeństwo.

NIEDZIELA, 13 LIPCA 1947

Po krótkim przedpołudniowym spacerze Elinor skręciła z wiejskiej drogi w prowadzącą do jej nowego domu aleję, obrośniętą po obu stronach kwitnącymi biało i różowo rododendronami o połyskliwych, ciemnych liściach. Kwietny *corp d'honneur* ciągnął się pół mili krętą linią od domu do żywopłotu otaczającego ogród i park.

Kiedy za ostatnim zakrętem pojawiło się przed nią Starlings, stanęła, żeby raz jeszcze nacieszyć się jego widokiem. Długi, niski, o pięknych proporcjach korpus elżbietańskiej rezydencji z fasadą z jasnej cegły, kamiennymi portalami okiennymi i wysokimi kominami wyglądał teraz równie pięknie, jak za swojej świetności przed wiekami.

Wspomniała ich mieszkanie na Earls Court, myśląc, że całe pomieściłoby się w wyłożonej dębową boazerią wielkiej sieni Starlings. Edward wychował się w ciasnocie i niezdrowym powietrzu Londynu, ale jego córki, dzięki zaradności babki i jej niestrudzonemu pisaniu, mogły teraz zażywać wszystkich wygod życia na wsi.

Elinor żałowała, że jej matka nie może cieszyć się razem z nią z sukcesu, że nie widzi pięknego, bajkowego domu. Jakie to dziwne, pomyślała, że biedaczka upatrywała polepszenia egzystencji swojej jedynaczki w ucieczce od monotonnego znoju pracy na farmie. Teraz, kiedy Elinor miała wolny czas, najchętniej zajmowała się uprawianiem ziemi. Nic nie dawało jej większej radości niż praca w ogrodzie, która nadto pozwalała na obmyślanie fabuł, wątków i postaci do kolejnych powieści.

Czasami wracała jednak myślami do rzeczywistości, nie ze wszystkim radosnej. Jedno z niemiłych wspomnień, którego nie mogła wygnać z pamięci, sięgało dnia,

gdy wprowadzali się do Starlings. Odkryła wtedy w kufrze Billy'ego plik zniszczonych czarno-białych fotografii dziesięcioletniej może, jak oceniała, rozciągniętej na łożku dziewczynki, kadrowanych od pasa w dół. Rozpoznała wzór niebieskiej kapy z ich sypialni, którą wyrzuciła, kiedy likwidowała mieszkanie na Earls Court. Dziecko miało na nogach białe skarpetki, czarne zapinane w kostce lakierki *a la* Shirley Tempie i nic poza tym. Na niektórych zdjęciach mała leżała na plecach, na innych na brzuchu z jedną nogą uniesioną, zgiętą w kolanie.

Kiedy roztrzęsiona położyła fotografie przed Billym, wzruszył ramionami, przyznając, że są istotnie obsceniczne. Powiedział, że myślał, iż je zniszczył. Zrobić je miał przed wielu laty fotograf, którego studio zostało zbombardowane i któremu Billy użyczył na kilka dni schronienia. Elinor była wtedy na wsi, zajęta przygotowywaniem domku w Larkwood na przyjęcie dziewczynek.

Chciała w to wierzyć.

Z uporem zachowywała w pamięci miłe epizody z ich życia i zamykała oczy na coraz bardziej przykre zachowania Billy'ego, które znów usprawiedliwiała nieumiarkowanym pićciem.

Trzy wnuczki Billy'ego, liczące teraz sześć, siedem i osiem lat, były zdziwione i zaambarasowane, kiedy „tатko Billy śmiesznie pachniał”, co oznaczało niezmiennie, że będzie również „robił śmieszne rzeczy”, często kpiąc sobie z nich po prostaku, a nierzadko napędzając im stracha.

Annabel i Miranda uciekały i chowały się, kiedy tylko ich uszu doszło głośne trzaśnięcie drzwi wejściowych, a później ciężkie, chwiejne kroki Billy'ego na schodach. Inaczej było z Klarą. Być może dlatego, że irytowała go postawa dziewczynki – postawa starszej, odpowiedzialnej i sprawiedliwej siostry, czującej się w obowiązku otaczać opieką młodsze – szczególnie się na nią zawziął.

Upust wściekłości i okrucieństwu wobec Klary dawał tylko wtedy, gdy miał pewność, że w pobliżu nie ma nikogo; kiedy Elinor jechała do Londynu na rozmowy z wydawcą albo kiedy niania miała akurat wychodne. Klara, z natury raczej ugodowa niż zadziorna, nigdy nie wspominała nikomu o narowach dziadka. I chyba rzeczywiście byłoby jej trudno wyjaśnić, na co właściwie się skarży. Niewiele dzieci wie, że mogą się skarżyć na dorosłych, a poza tym wszystkie z jej klasy opowiadały o tym, że od czasu do czasu dostają klapsa, a nawet lanie, jeśli porządnie przeskrobia. •

W efekcie jego wyskoków Klara starała się schodzić dziadkowi z drogi. Po powrocie ze szkoły najpierw pytała, czy tатko Billy jest w domu? Jeśli słyszała, że tak, to nieważne jak zimno było na dworze, zadawała następne pytanie: czy może

ić bawić się do ogrodu albo na spacer do lasu.

Biedna Klara. Jako najstarsza, była jedyną, która mgliście pamiętała zmarłych rodziców. Na jej buzi malował się wyraz opuszczenia, jakby była zagubionym dzieckiem, zostawionym gdzieś na peronie jakiegoś dworca. Zmagała się z agresją Billy'ego w jedyny sposób dostępny małemu, bezbronnemu dziecku; uciekała w swój wewnętrzny, magiczny świat. Ukryta w krzakach rododendronu przygotowywała trujące wywary z jagód i traw, z całej duszy życząc tatce Billy'emu śmierci.

Inne magiczne zabiegi też były pomocne: jeśli uda się doliczyć do siedemdziesięciu pięciu bez oddychania, jeśli założy rano najpierw lewą tenisówkę, jeśli w reklamie na szkolnym autobusie będzie parzysta liczba liter – to nie będzie go w domu, kiedy wróci po południu ze szkoły. Czasami zaklęcia działały.

Klara stawiała się coraz bardziej nerwowa i wystraszona (dziecko charakteryzujące się wysokim stopniem napięcia psychicznego, jak określano to w szkole), Elinor zaś dostrzegała, że dziewczynka upodabnia się do ojca i zamienia, jak on kiedyś, w ciche, znerwicowane dziecko. Próbowwała wymazać z myśli te porównania, budziły w niej bowiem one poczucie winy na wspomnienie dzieciństwa Edwarda, który musiał być świadkiem dziwnych i upokarzających zachowań ojca. Jego pijackie okrucieństwo niszczyło chłopca, dopóki nie stał się silniejszy i większy od niego. Wtedy, jeśli Edward był w domu, Billy hamował swoje tyrańskie zapędy.

Elinor wolała raczej myśleć, jak dobrze Billy odnosi się do Annabel. Złotowłosa i śliczna, była jego ulubioną wnuczką, dokazywała u niego na kolanach, ścisłała, przytulała jasną główkę do gorsu jego koszuli. Billy'emu pochlebiało, że dziecko wdzięczy się do niego, i odpowiadał wielkodusznością. Kiedy widziała, że uśmiecha się, szybciotko prosiła o to, na czym jej właśnie zależało.

Sprytna mała Annabel.

Dokuczanie Mirandzie nie sprawiało Billy'emu przyjemności. – Lelum-polelum i kluski z mlekiem – powiadał. – Dwóch słów nie potrafi złożyć. Uśmiechnąć się.

Mądra mała Miranda.

Coraz częstsze ekscesy Billy'ego stały się przyczyną nie tylko lokalnych skandali. Udzielił londyńskim gazetom serii pożałowania godnych wywiadów i wydawca Elinor nie krył, że jest oburzony nierozwagą jej męża. Czytelnicy pragnęli widzieć w niej romantyczną istotę, spoczywającą na reklamierze w zwiewnych szyfonach, piszącą gęsim piórem na trzeszczącym pergaminie, przy

dyskretnym akompaniamentem muzyki Scarlatti'ego. Nie powinni nigdy usłyszeć, że Elinor jest przygłupią marionetką, która nie napisałaby słowa bez pomocy i inspiracji swego męża, występującego w roli Svengalego. Krążyły plotki (puszczone przez Billy'ego), że to on jest faktycznym autorem powieści.

– Nikt w to przecież nie uwierzy – zaprotestowała Elinor. – Ma pan wszystkie rękopisy, pisane moją ręką.

– Znajdą się złośliwi pismacy, którzy kupią podobne historie, nie zadając sobie trudu sprawdzenia, czy są prawdziwe – odparł Stansfeld. – Wedle powiedzenia: złośliwe plotki sprzedają gazetę i napędzają pieniądze ich właścicielom.

– Czemu mnie pan to mówi? Czemu nie porozmawia pan z Billym? – zapytała zdruzgotana Elinor.

– Rozmawiałem z pani mężem, ale to go niestety nie powstrzymało. Niechże mu pani przetłumaczy, że taka reklama dla nas wszystkich jest w najwyższym stopniu szkodliwa.

Spoglądając teraz na swój piękny dom, nie mogła zapomnieć o przygnębiającym lunchu z wydawcą. Rozzłościło ją to. Czemu niemiłe myśli nie mogą pozostać ukryte gdzieś na dnie świadomości? Szczególnie dzisiaj, gdy czeka ją godzina triumfu w jej nowym domu. Powinna sprawdzić, czy georgiański mahoniowy stół został starannie nakryty, czy wino szambruje i czy dania na lunch już gotowe. Po raz pierwszy przyjmowała dzisiaj szwagierkę, jakby były równe sobie.

Gdzieś za jej plecami rozległ się dźwięk klaksonu. Kiedy się odwróciła, zobaczyła Marjorie w zdezelowanym przedwojennym Armstrong-Siddeleyu. Przekleństwo! Przyjechali wcześniej. Gotując się do pokazania domu, Elinor nakazała sobie spokój i przybrała zwykłą sobie minę osoby zadowolonej z życia.

Zachwyty Marjorie popsuły jej nastrój. – Taki piękny stary dom. Sprawdziłaś, czy nie ma aby korników? – szczebiotała szwagierka zajadając potrawkę z królika. – Fundamenty nie osiadają? Crawleyowie mieszkali w bardzo podobnym domu. Trzeba go było rozebrać, zanim zawalił się im na głowę... Wspaniała marchewka, chociaż ja dodaję odrobinę masła, bardzo poprawia smak... To niezwykle oryginalne, że nakryłaś koronkową serwetą do lunchu...

Kiedy goście wreszcie wyjechali, Billy wrócił do jadalni nalać sobie następny kieliszek porto.

– Nie dasz jej rady, staruszko – wyszczerzył zęby do Elinor. – Żebyś na głowie stawała, Marjorie nigdy nie pozwoli ci zapomnieć, że jesteś chłopką z farmy. Nie rozumiem, czemu zawracasz sobie głowę tą starą jędzą. Możesz mówić o mnie

najgorzej, ale przynajmniej nie jestem snobem.

– Nie, nie jesteś snobem – odpowiedziała Elinor trzęsąc się z wściekłości. – Tylko kochasz kpić sobie ze swojej rodziny, szkoda że moim kosztem. Robiłeś to już, kiedy pojechaliśmy z pierwszą wizytą do Larkwood. Chciałeś pokazać swojemu bratu, który odziedziczył wszystko, że możesz ich poniżyć, wprowadzając mnie do rodziny. – Zamilkła na chwilę zdjęta nową myślą. – Nie, to nie wykpiwanie, ty kochasz dręczyć ludzi! Założę się, że kiedy byłeś mały wrywałeś skrzydełka motylkom, nóżki mu zkom i... i...

– Spokojnie, staruszek. Zachowaj te sceny do swoich powieści. – I Billy ponownie napełnił swój kieliszek.

Elinor wypadła z jadalni. W sieni u podnóża schodów stała niania, Betty.

– Mogę prosić panią na słowo? – Jej zwykle różowe policzki były teraz purpurowe.

– Naturalnie, Betty? Coś złego się stało? Dokuczyla ci któraś z dziewczynek?

– To nie dziewczynki, psze pani – odpowiedziała Betty z wahaniem. – Pani pójdzie ze mną do pokoju dziecinnego i sama zobaczy. Teraz, kiedy już im nie trzeba pomagać przy ubieraniu, nic bym nie zobaczyła aż do wieczornej kąpieli, ale Miranda wepchnęła Klarę do sadzawki z liliami i musiałam ją przebrać.

W słonecznym pokoju zabaw Betty postawiła przed nią Klarę. Dziewczynka miała siniaki na ramieniu.

– Powinna z nim pani pomówić. Sam nie wie, ile ma siły, psze pani – powiedziała zimno Betty. Podniosła dłoń dziewczynki. Poobgryzane paznokcie, poszarpane skórki.

Podchmielony Billy rzadko miał okazję widzieć Elinor tak rozeźloną, jak wtedy, gdy dopadła go w jego gabinecie, pytając o siniaki na ramieniu Klary.

– Jeśli zdarzy się to jeszcze raz – zakończyła – opuścisz ten dom! Nie śmiesz ich więcej dotknąć! Rozumiesz!

Billy chociaż raz był naprawdę przerażony tym, co zrobił:

– Nie miałem pojęcia, że chwyciłem ją tak mocno. Byłem już po kilku...

– Jak ci się wydaje, co Edward zrobiłby z tobą, gdyby mógł to zobaczyć? – krzyczała Elinor. – Nie ważyłeś się podnieść na niego ręki, kiedy był już na tyle duży, że mógł cię pchnąć jednym palcem.

– Strasznie mi przykro, Elinor. Jak mam cię przekonać? Jak myślisz, jak ja się czuję? – usiłował ją przebłagać Billy.

– Nie dbam, jak się czujesz! Chcę mieć tylko pewność, że nie zobaczę więcej siniaków u dziecka!

Raz bodaj Billy'emu nie udało się udobruchać Elinor.

Następnego ranka, po bezsennej nocy,omal nie odwołała swojego wyjazdu do Londynu. Wiedząc, że wydawca zadał sobie wiele trudu, żeby zorganizować dwa wywiady prasowe i lunch w Savoyu z przedstawicielem największej sieci księgarń W. H. Smitha, postanowiła jednak jechać.

Na odjezdnym pokiwała dziewczynkom, ale nie zwróciły na nią uwagi. Siedziały pod krzewem magnolii, zdjęły buty, skarpety i ćwiczyły zawzięcie skłony. Elinor uśmiechnęła się. To było ich ostatnie szaleństwo, zawody polegające na tym, która pierwsza włoży do buzi duży palec u nogi. Widok bawiących się dziewczynek podniósł ją trochę na duchu.

Złapała ostatni pociąg z Londynu i była z powrotem około dziesiątej wieczorem. W domu panowały ciemności, paliło się tylko w sieni. Kiedy wchodziła po schodach do swojej sypialni, uczucie przygnębienia wróciło. Szybko się rozebrała, umyła, naciągnęła zmęczonym ruchem koszulę nocną i padła na łóżko.

O siódmej rano następnego dnia do jej sypialni wpadła Mabel: – Och, *madame*, coś strasznego...

– Co się stało? – Elinor siadła wyprostowana na łóżku.

– On jest w sieni, *madame*... Leży... tam!

Wyskoczyła z łóżka i pobiegła na dół. Na dywanie u podnóża schodów, w wieczorowym ubraniu, w kałuży wymiotów, leżał Billy, obok pusta butelka po brandy. Otwarte oczy o szklistych białkach i mętnych tęczęwkach patrzyły nieruchomo w sufit.

Elinor uklękła przy nim, dotknęła dłonią policzka. Był zimny. Na lewej skroni ślady zaschniętej krwi. Pachniał alkoholem.

– Dzwon po doktora – rzuciła do służącej. – Niech dzieci tu nie schodzą.

Ujęła dłoń męża i pogładziła. Przypomniała sobie jego twarz, tak jak ją zobaczyła pierwszy raz. Jak bardzo kochała tego uśmiechniętego młodego człowieka, którego poznała tyle lat temu. Gdzie on się podział?

Zaczęła cicho płakać nad Billym, nad sobą, nad tym, co się nigdy nie spełniło.

Księga druga

Rozdział 6

NIEDZIELA, 17 LIPCA 1949

Te nożyczki to czyje? – zapytała Buzz, wyciągając przy śniadaniu inkryminowany przedmiot z kieszeni fartucha. – No, dalej, niech mi która powie!

Annabel i Miranda spojrzały po sobie, ale milczały jak trusie.

– To z pudełka z przyborami z naszej bawialni – odpowiedziała swobodnie dziesięcioletnia Klara zajęta jogurtem.

– Pułkownik Bromley znalazł je w cieplarni – poinformowała Buzz cierpko. – Powiada, że ktoś, całkiem niewielki, kradł mu winogrona.

– Skarżypyta! – wykrzywiła się Annabel do Klary.

– Zamknij się, Annabel! – za późno ostrzegła Miranda.

Buzz świetnie wiedziała, że dalsze wypytywanie nie ma sensu. Piegowata Miranda nigdy nie skarżyła na siostrę, były nierozłączne i to Miranda, choć młodsza, wymyślała, co by przeskrobać i rządziła naśladowując ją we wszystkim Annabel.

– Pójdziecie mi zaraz obie przeprosić pułkownika Bromleya i niech no da wam jaką robotę w ogrodzie za karę – powiedziała Buzz bezapelacyjnym tonem.

– Skarżypyta – syknęła znowu Annabel pod adresem Klary.

– Powinnaś była powstrzymać je. – Buzz spojrzała groźnie na Klarę.

– Ale ja nie wiedziałam. – Klara przeciągnęła ręką po włosach. Jako najstarsza często była obwiniana za wyczyny sióstr.

– Zawsze to powtarzasz – napomniała ją Buzz. – jak ich nie upilnowałaś, będziesz miała taką samą karę.

– To nieuczciwe – jęknęła Klara. – Zawsze mam przez nie kłopoty! A Annabel wszystko uchodzi na sucho!

Buzz wiedziała, że to prawda. Wiedziała też dlaczego tak się dzieje. Niepozorna i nieładna w dzieciństwie, często widziała, że ładne, pewne siebie dzieci jak Annabel potrafiły się wykręcić od kar wdziękiem i słodkimi oczami.

– A jakże, że nieuczciwe – odezwała się Buzz. – Im wcześniej to pojdziesz, tym lepiej.

Klara zaczęła pochlipywać. Buzz mieszkała z nimi na tyle długo, by dziewczynka wiedziała, że nic u niej wygra i że Buzz nie ustąpi, jak często zdarzało się z babką.

Buzz pojawiła się w Starlings dwa lata temu, zaraz po śmierci Billy'ego, z zamiarem pozostania przez tydzień, ale nigdy już nie wróciła do znieawidzonej pracy stenotypistki w biurze w londyńskim City. Zaczęła prowadzić sekretariat Elinor, kierowała domem i dbała o wszystkie uciążliwe detale związane z życiem w Starlings za znacznie większą pensję niż ta, którą płacił jej dotychczasowy pracodawca, właściciel sieci sklepów spożywczych. Poza tym nie była już samotna, nie musiała już tęsknić za domowym ciepłem.

Buzz była pedantycznie skrupulatna i do bólu krytyczna. Była jedyną osobą, która ważyła się mówić Elinor prosto w oczy, co o niej myśli, bez specjalnego oglądania się na takt i dobre maniery. Między nią a Elinor toczyła się wieczna, choć przyjacielska wojna, którą obydwie traktowały jako wyraz wzajemnej serdeczności, wiedząc, że ich przyjaźń wytrzyma ciągle utarczki.

Buzz chroniła Elinor przed natrętami, okazując przy tym tyleż zdrowego rozsądku, ile zaciętrzewienia rozwścieczonego buldoga. Zaraz po śmierci Billy'ego jej ochrona okazała się niezbędną; uporała się ze wszystkimi biurokratycznymi formalnościami, nie wspominając już o przygotowaniu pogrzebu, ukróceniu ekstrawagancji firmy pogrzebowej czy o trzymaniu na bezpieczną odległość zgrai reporterów.

Po koniecznym dochodzeniu koroner orzekł, że pan William O'Dare spadając ze schodów złamał kręgi szyjne, stracił przytomność i udusił się swoimi wymiotami. Orzeczenie stwierdzało, że śmierć nastąpiła na skutek nieszczęśliwego wypadku.

Elinor była w stanie szoku. W obecności innych nie uroniła jednej łzy; zwykle wpatrywała się martwym wzrokiem w przestrzeń i prosiła, żeby zostawić ją samą. Buzz wiedziała dlaczego; widziała śmiertelnie rannych mężczyzn znoszonych z pola walki, tak zszokowanych, że niezdolnych odczuwać ból. Młody lekarz potwierdził jej diagnozę, kiedy odprowadzała go po pierwszej wizycie do drzwi.

– To częsty przypadek u wdów. Nie są w stanie nic odczuwać, dopóki nie przyjmą do wiadomości faktu śmierci, a to może trwać bardzo długo.

– Ja powiadam na to, że człowiek musi sobie ulżyć – mruknęła Buzz.

Lekarz uznał, że lepiej zignorować jej słowa.

– Pani O'Dare może się teraz zachowywać dziwnie, inaczej niż zwykle, może być zaniepokojona, dezorientowana, nawet przerażona własnymi uczuciami. Jeśli ostatnio kłóciła się z mężem, może nawet czuć się winna, tym bardziej że już nigdy nie pocałują się na zgodę i nie przeproszą. Szczególnie, jeśli... ehm... – spoglądając na Buzz przypomniał sobie pogłoski krążące o Billym – czuła ostatnio żal do pana

O'Dare... i ehm... życzyła mu może niekiedy śmierci... Słyszałem, że był trudnym człowiekiem. – Przerwał na moment. – Z drugiej strony, proszę nie być zaskoczona, jeśli pani O'Dare wyrzuci z pamięci wszystkie niemiłe wspomnienia i będzie wyolbrzymiała to, co dobre; zacnie patrzeć na niego jak na wspaniałego człowieka. W takim wypadku lepiej jej nie zaprzeczać.

– To akurat robi od lat – stwierdziła Buzz kwaśno.

Po pogrzebie Elinor czuła się otępiała, odrętwiała, nieustannie zmęczona. Ruszała się powoli, niczym we śnie, każdy gest wymagał od niej nieskończonego wysiłku, jakby z jej ciała uszła cała energia. Po raz pierwszy w życiu czuła się stara.

Po kilku dniach Buzz zagnała Elinor do biurka. Dzięki temu i dzięki sile wyobraźni Elinor uciekła od własnego nieszczęścia. Trudno było myśleć o czymkolwiek innym, przygotowując jednocześnie pierwszy szkic nowej powieści.

Elinor nigdy nie gustowała w ostrych scenach miłosnych: opisywała w szczegółach gry, zaloty i miłosne podboje, ale kiedy bohaterowie wreszcie padali sobie w ramiona, pojawiał się wielokropek. Chociaż piersi nieustannie falowały i mnóstwo było ciężkich westchnień, bohaterka, nawet jeśli o włos unikała pokus, trafiała jako niepokalana dziewica do małżeńskiego łóżka (nigdy nie opisywanego), które miała dzielić z ciemnowłosym, wysokobrewym dżentelmenem o artystokratycznym nazwiskiem, nieodmiennie właścicielem wielkich włości. Jej bohaterki nigdy nie poślubiały hydraulików.

Tym razem za miejsce romantycznej akcji obrała Paryż roku 1870, kiedy to miasto okupowały oddziały armii pruskiej. Na szczęście skoncentrowała się na obmyśleniu fabuły, problemów, z którymi będą borykać się jej postaci, i pobocznych wątków. W jej powieściach heroina zawsze była rozdarta pomiędzy dwoma strasznymi wyborami i zawsze akcja w pewnym momencie brała niespodziewany obrót, przynosząc nieoczekiwanie trzecią możliwość, a z nią życie długie i szczęśliwe. Przenosząc się ze swoją bohaterką do Paryża, Elinor zapominała o tragicznej rzeczywistości.

Zaraz po śmierci dziadka dziewczynki nie przestawały zanosić się od płaczu. Klara płakała tyleż ze smutku, ile z poczucia winy, oskarżając się o jego śmierć. To na pewno z powodu tego ostatniego zaklęcia – mieszanki stokrotek, korzeni fiołków i owczych bobków. Musiała najpewniej przesadzić.

Miranda łkała dla towarzystwa, po czym poprosiła o przepis.

Annabel długo po tym, jak obeschły łyzy jej siostr, nie przestawała popłakiwać; bała się zasypiać po ciemku, co noc budziła z krzykiem.

– Ma najmniejsze serce ze wszystkich – tłumaczyła niania Buzz.

Buzz wiedziała, że Annabel nie jest jedyną mieszkanką Starlings, która odznacza się miękkim sercem. Siadając wiele lat temu za kierownicą ambulansu, Buzz nauczyła się być twardą. Potrafiła radzić sobie z aroganckimi hydraulikami, leniwą służbą, opryskliwymi sprzedawczyniami. Nie pozwalała się ignorować. Z małymi życiowymi uciążliwościami radziła sobie jak z natrętnymi komarami, opędzała się od nich i likwidowała.

Natomiast Elinor po śmierci Billy'ego zachowywała się jak znokautowany bokser, który nie może o własnych siłach ustać na nogach, jej zwykle nieśmiałe zachowanie i ochota do unikania sporów (nie mówiąc o otwartych kłótniach) sprawiały, że . była wydana na pastwę najróżniejszych kłopotliwych sytuacji.

– Nie pozwalaj chodzić sobie po głowie, Neli – rugała ją Buzz któregoś ranka, gdy stały w holu. – Jesteś cholernie wielkoduszna i grubo za dobra dla wszystkich. – Popatrzyła na postać w purpurze, odchodzącą aleją. – Dałaś właśnie Doreen swój nowy płaszcz, tak?

– Wiem, że ukradła łyżeczki, ale przeprosiła – broniła się Elinor. – Dzisiaj tak zimno. Miała na sobie tylko byle jaki sweterek.

– Powinna śpiewać z radości, że nie siedzi w kozie. Mogła założyć ten zielony płaszcz, coś jej dała zeszłego roku. Jesteś beznadziejną ofiarą, Neli.

Elinor obruszyła się, wołała myśleć o sobie jako o osobie obdarzonej złotym sercem.

– Jeśli już o tym mowa, po kiego diabła zapłaciłaś kaucję za Śmierdziela Baldwina? – zapytała Buzz, mając na myśli pijacznę z ich wioski.

– Jego żona przyszła do mnie z trójką dzieci. Mówiła, że w przyszłym tygodniu są jego urodziny.

– Dobry powód, żeby znowu się nachlać i zbić starą. – Buzz spojrzała na Elinor z niesmakiem. – Na każde urodziny powinni go pudłować. Dałaś jej jakie pieniądze?

– Trochę – odpowiedziała Elinor niepewnie.

– No i masz! Założę się, żeś wymyśliła sobie dobry powód.

– Co w tym złego, że dałam trochę pieniędzy biedaczce?

– To złego, że je przepije, jak Śmierdziel! Lepiej byś zrobiła, gdybyś dała jej co do żarcia.

– Upokorzyłabym ją – odparła Elinor, starając się racjonalnie wytłumaczyć swoje impulsywne odruchy.

– Bzdura! Tylko patrzeć, jak przyjdzie znowu prosić o pieniądze! – Buzz

wiedziała, jak łatwo Elinor identyfikowała się z różnymi nieszczęśnikami i jak łatwo oni to wyczuwali.

– Mogę sobie na to pozwolić – tłumaczyła.

– Nie w tym tempie, kobieto! Sprawdzalam właśnie twoje książeczki czekowe! Odpowiadasz czekiem na każdy głupi list z prośbą o pieniądze, który przychodzi do tego domu. Nie masz ani dość majątku, ani czasu, żeby zbawić cały świat – a poza tym to nie twoja robota.

– Próbuję tylko pomóc ludziom.

– Miłosierdzie zaczyna się w domu, moja pani Majętna. Za miękka jesteś, Neli. Dziewczynki mogą cię owinąć wokół małego palca. Ja je rugam, bo kradną winogrona, a one biegną do ciebie, leją łzy, ty odpuszczasz im karę i napychasz czekoladkami. Siły na nie nie ma, rozpuściłaś je jak dziadowski bicz.

– Nie mogę przestać myśleć o tym, że nie mają rodziców.

– Widzieliście biedne maleństwa! – sierdziła się Buzz. – Masz je wychowywać, a nie folgować im we wszystkim.

Następnego dnia Buzz weszła do jadalni z poranną pocztą.

– Dzisiaj tylko jeden list do ciebie, Neli. A do mnie napisała Berta Higby. – Buzz ciągle korespondowała z matką swojego nieżyjącego narzeczonego, Gingera Higby. W 1922 roku jego rodzina wyemigrowała do Cleveland w Ohio, gdzie matka otworzyła mały sklep z narzędziami.

Zajęta czytaniem na głos fragmentów z listu Berty Buzz spojrzała na Elinor, dopiero kiedy drzwi otworzyły się z hukiem i do pokoju wpadły dziewczynki.

– Zobacz, co dla ciebie mamy! – Miranda wetknęła w dłoń babki bukiet polnych kwiatów.

– Co się stało? – spytała Klara, patrząc na twarz Elinor, na nietknięte śniadanie i zmiętą chusteczkę w dłoni.

– Nic...

– Przecież płakałaś – nastawała Annabel.

– Głupia jestem, myślałam, że może dostanę międzynarodową nagrodę literacką za romans, ale przyznali ją Daphne du Maurier. .

– Bo są głupi! – krzyknęła Miranda. Dziewczynki rzuciły się na babkę i zaczęły ją ścisnąć.

– Dla nas jesteś najlepsza we wszystkim – oświadczyła Annabel lojalnie.

– Upieczemy twój ulubiony tort czekoladowy i napiszemy na nim „Pierwsza Nagroda dla Babci”.

Uśmiechając się, Buzz pomyślała, że Elinor, która jak nikt opanowała

umiejętność odganiania nie miłych myśli i zapominania o nieprzyjemnych wydarzeniach, i dla której, zdaniem Buzz, był to jedyny sposób na wytrzymanie przez tyle lat z Billym, do podwieczorku zapomni o literackim rozczarowaniu. Przypomniała sobie rozeźlone, pijane, przekrwione, na wpół przymknięte oczy Billy'ego, i pomyślała, że Elinor pamięta tylko czysty, jasny błękit, który kiedyś oczarował ją na całe życie. Elinor ciągle wprawiała ją w osłupienie deklaracjami, które składała dziennikarzom, i w których niezmiennie i niezłomnie powtarzała, że nigdy nie wyjdzie ponownie za mąż, gdyż nie znajdzie nikogo, kto mógłby zastąpić jej drogiego męża.

Nawet jeśli Elinor ogłupiała do tego stopnia, by wierzyć w to, co mówi, Buzz wiedziała, że w głębi duszy czuła się teraz wolna i po prostu bała się związać z kolejnym tyranem.

SOBOTA, 24 MARCA 1951

Co to za hałas? – Dwunastoletnia Klara w kremowym tweedowym płaszczyku i czarnych kaloszach pobiegła na koniec sadu. Młodsze siostry ruszyły za nią. Za żywopłotem rozciągała się łąka, nad którą krążyły gawrony. Po lewej ciągnęły się lasy należące do majątku Elinor. Ze wzgórza po prawej dochodził tętent kopyt końskich.

W powietrzu znowu rozległ się żałobny dźwięk rogu.

– Polowanie! – Klara wspięła się na bramę z drewnianych żerdzi i usiadła na najwyższej. Siostry poszły w jej ślady; wszystkie trzy obserwowały brunatny stok po prawej.

Na szczycie wzgórza pojawiły się czarne czapeczki jeździeckie, potem czarne i purpurowe żakiety, po sekundzie końskie łby i pełne wdzięku ciała i nogi kłusujących zwierząt. Myśliwi rwali niepowstrzymaną masą w stronę rowu u podnóża stoku. Nawet z oddali dziewczęta mogły wyczuć radosną atmosferę Wielkich Łowów Warmingfordzkich.

Ujadające, podniecone pogonią psy, śmigające przy ziemi strzały czerni i płowego brązu, dopadały właśnie wyczerpanego lisa. Jakies pięćset metrów za nim gnało około trzydziestu konnych, jeszcze dalej na ciemnych, kosmatych kucach dzieci z klubu jeździeckiego.

Sprytna lisica myliła psy, brodząc strumieniami, wpadając w gnój na łąkach, klucząc między stadem owiec, ale teraz po czterech godzinach pogoni siły opuściły rudego nieszczęśnika.

– To lisica z naszych lasów! – krzyknęła Annabel. Nie dalej jak przed tygodniem lisica zakradła się znowu do ich kurnika. – Schowajmy ją, to przecież nasza lisica! Mieszka w naszym lesie! – Annabel zeskoczyła z płotu i pognąła w stronę przerażonego zwierzęcia.

– Wracaj, psy cię napadną! – krzyknęła Klara i ruszyła za siostrą, za nią Miranda.

Lisica wyglądała żałośnie, szkliste oczy, wywieszony język, otwarty szeroko pysk, z trudem chwytający powietrze. Zwolniła, zataczając się, niezdolna dalej uciekać.

Kiedy Annabel była dziesięć metrów od zwierzęcia, dopadły je psy. Lisica nie miała szans. Odwróciła łeb, pokazując swoim prześladowcom obnażone kły, najbliższe ze sfory rzuciły się na nią, zatapiając zęby w rudym futerku. Zakotłowało się.

Gdy myśliwi podjechali bliżej, Klara rozpoznała kilku miejscowych farmerów, weterynarza i pułkownika Bromleya na dobrze utrzymanej klaczy.

– Z drogi, panienki! – krzyknął mistrz polowania w czerwonym żakiecie, białych bryczesach i czarnych botfortach, jadący na pięknym siwku.

– Podłe, podłe, podłe sukinsyny! – zanosła się Miranda, wykrzykując zabronione przekleństwo.

– Podli, podli, podli mordercy! – wtórowała jej Annabel.

Pułkownik Bromley, w czarnej czapce i beżowej kurtce przeciwdeszczowej, podjechał do dziewczynek.

– Bez sentymentów. Lisy mordują moje owce, bażanty, kurczaki. Nie wolno płakać nad lisem. Po to są polowania, żeby za bardzo się nie mnożyły, to mniej okrutny sposób zabijania niż inne.

– Czemu nie zabijacie ich inaczej? – szlochała Annabel. – Można zastawiać sidła, wykladać truciznę.

– Truciznę mogą zjeść psy. A we wnykach zwierzę może się męczyć i kilka dni – odpowiedział pułkownik.

– To strzelajcie do nich! Tak jest najszybciej i najmniej okrutnie – krzyknęła Annabel.

– Farmer nie może sobie pozwolić, żeby zasadzić się na całą noc ze strzelbą.

– Cieszę się, że ja nie ścigam jak wy zwierząt dla zabawy i nie przyglądam się potem, jak inne zwierzęta rozrywają je na strzępy! – wrzasnęła Annabel.

– Bądź cicho – poradził pułkownik Bromley. – Twoja babka nie będzie zadowolona, kiedy się dowie, że zgniewałaś mistrza polowania.

– Wszystko nam jedno, ty stara świnio! – wrzasnęła Annabel.

Pułkownik Bromley spojrział na dziewczynki bez słowa, cały czas trzymając je z dala od reszty grupy, póki wszyscy myśliwi nie przejechali.

Dwie godziny później, gdy Elinor i Buzz wróciły z zakupów, dziewczynki chowały w sadzie to, co zostało z lisicy.

Słyszając samochód na podjeździe, rzuciły się na powitanie wracających.

– Chciałabym widzieć mistrza polowania, gdyby sam przez cztery godziny musiał uciekać przed jakimiś wypasionymi stworzeniami – powiedziała oburzona Elinor, kiedy wreszcie zrozumiała sens chaotycznej relacji wnuczek. – Zmieniłby zapatrywania! Wytworny strój nie skryje barbarzyństwa.

W jakiś czas później odczytywała list od pułkownika Bromleya: „...niezdyscyplinowane... gorsze od chuliganów... żadnych więcej kłopotów... policja... ich wychowawczynie... ”

– W tej okolicy, jak będziesz chciała powiedzieć słowo przeciwko polowaniom, ściągniesz sobie tylko kłopoty na głowę – stwierdziła Buzz. – Mistrz już się poskarżył policji. Lepiej załatwić to sposobem, z uśmiechem, staruszeko.

Elinor miała zmartwioną minę. Została zaakceptowana przez miejscowych, ale jeśli zacznie protestować przeciwko polowaniom, to co prawda nie wyklą jej, ale...

– Dziewczynki miały absolutną słuszość, zachowując się tak, jak się zachowały – powiedziała zdecydowanie.

Pomimo wszystko, ubiegając ewentualne dalsze skargi, Elinor postanowiła spotkać się z sierżantem Brownem, który doskonale znał wartość jej czeków na wdowy i sieroty po policjantach. Wybrała się także do dyrektorki szkoły.

– Nie dziwi mnie wcale, co słyszę o Annabel – powiedziała panna Pryor. – Zachowuje się jak jedynaczka. – Co miało innymi słowy oznaczać: rozpieszczona i samolubna.

– Annabel czuje się zdominowana przez siostry – tłumaczyła Elinor. – Klara jest starsza i mądrzejsza, a Miranda ma silniejszy charakter.

– Annabel jest na pewno zazdrosna o siostry – zawyrokowała panna Pryor. Mały tyran, któremu wszystko wolno, pomyślała w duchu. – Myślała pani o wysłaniu ich do szkoły z internatem? Nie do Benenden czy Heathfield, ale gdzieś, gdzie będą się musiały nauczyć sobie radzić.

– Pomyślę o tym – opowiedziała Elinor po długiej chwili milczenia.

Kiedy wróciła do domu, zadzwoniła do Joego Granta.

WTOREK, 27 MARCA 1951

Stali na trawniku z tyłu domu, spoglądając na targane wiosennym wiatrem żonkile. Elinor podniosła kołnierz płaszcza, myśląc, że wyglądają jak złote amorki budzone ze snu. Po znakomitym posiłku z pieczonej pardwy podlewanej klaretem Joe musiał obejrzeć klomb ciągnący się aż do strumienia w głębi ogrodu, gdzie rosły wierzby.

Elinor śmiała się, zachwycona szumem liści na wietrze, który targał jej jasne włosy.

– Czuję się, jakby wiatr mnie unosił, czy to nie cudowne, Joe?

– Jest cholernie zimno. – Joe pozostawił swój ogród ogrodnikowi i cieszył się jego widokiem zza starannie zamkniętych, zabezpieczonych na zimę okien. – Nie wiem, po co ci moja rada – dorzucił po chwili. – Sama możesz przecież zdecydować.

– Kobieta potrzebuje pomocy mężczyzny – uśmiechnęła się Elinor. – Naprawdę jestem szczęśliwa, że mi pomagasz. Przy okazji, dziękuję za zestawienie spodziewanych przychodów.

– Taniej by wypadało robić takie zestawienie tutaj, na miejscu. Wystarczyłoby zatrudnić księgowego raz w miesiącu.

– Widzisz? – Spojrzała na niego z wdzięcznością. – Ja nic nie wiem o księgowości, nawet przez myśl mi nie przeszło, że można tu robić zestawienia. Pamiętaj, że w moich czasach dziewczęta nie miały pojęcia o interesach.

– Wykształcenie handlowe jest przydatne, ale niczego nie przesądza – powiedział Joe. – Równie ważny jest zdrowy rozsądek i ciężka praca. W interesach najważniejszy jest jednak produkt albo usługi, które możesz sprzedać, wszystko jedno, czy to będzie książka czy traktor. Zwiększasz dochody na dwa sposoby: obniżasz wydatki albo podnosisz cenę produktu, bądź samą produkcję.

– Ale to się nie odnosi do pisarzy.

– Naturalnie, że się odnosi. Może powinnaś spróbować dyktować swoje książki. Podwoiłabyś wydajność. A przy okazji, poprosiłem tego profesora historii, żeby przejrzał twój maszynopis, przekaże go później profesorowi angielskiego, który sprawdzi gramatykę i pisownię.

– Nauczyłam się jankeskiej pisowni i dalej ani rusz. Ale nie zaprosiłam cię tutaj dzisiaj po to, żeby rozmawiać o interesach. – Chcę twojej rady w sprawie dziewczynek – odpowiedziała widząc jego uniesione brwi.

– Zawsze mówisz, że ja i Ethel jesteśmy zbyt surowi dla naszych chłopców –

zaśmiał się Joe. – Ale chłopcom potrzebna jest dyscyplina, zresztą dziewczynom też. Tyle razy ci powtarzałem, że kiedy będą już dosyć duże powinnaś je wysłać do szkoły z internatem. To nie w porządku trzymać je w wiejskiej szkółce tylko dlatego, że chcesz mieć je blisko siebie. Potem będą cierpiały z tego powodu. Wierz mi, że musisz je wysłać gdzieś, gdzie otrzymają pierwszorzędne wykształcenie i gdzie się zetkną z dziewczętami ze środowiska, w którym będą się obracały w przyszłości.

– Chciałabym... – Elinor urwała. – Nigdy nie chciałabym, żeby były narażone na kpiny i wzgardę, na jaką ja byłam narażona, kiedy poznałam rodzinę Billy'ego. Nie chcę, żeby zaznały podobnego upokorzenia. Powinny czuć się swobodnie w każdym środowisku, jak równe innym.

– Jesteś równa innym – odpowiedział rozzłoszczony Joe. – Zawsze byłaś! Billy był szczęściarzem, że cię spotkał. – Pamiętał, jak bardzo pełna energii i pogody Elinor była lubiana we francuskim szpitalu, w którym tyle lat temu odwiedzał Billy'ego. Pamiętał dzień jej ślubu i bukiet białych chryzantem, które własnoręcznie wyszabrował z jakiegoś opuszczonego ogrodu.

– Wszyscyśmy się po trosze w tobie kochali, miałaś w sobie tyle życia, tyle ciepła, ale Billy dobrze pilnował, żeby nikt nie miał szansy zbliżyć się do ciebie. Billy ożenił się z tobą – dodał żarliwie – bo byłaś najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek spotkał, i wcale nie był jedynym, który tak sądził! – Uśmiechnął się do niej. – Teraz też jesteś piękną kobietą, ale ja pewnie nie jestem jedynym mężczyzną, który ci to mówi.

– Nikt nie mówił mi tego od bardzo dawna. – Elinor wydawała się zachwycona. Joe patrzył na nią rozkochanym wzrokiem.

– Zapewne tylko dlatego, że nie dopuszczasz mężczyzn na tyle blisko siebie, żeby któryś mógł ci to powiedzieć. Ale tobie potrzebny jest mężczyzna, Elinor. Jesteś ciągle dość młoda, żeby móc się cieszyć... jego towarzystwem.

– Mężczyźnie trzeba więcej niż towarzystwa. Nie chcę robić nikomu złudzeń, a potem narażać na rozczarowanie – powiedziała Elinor. – A ja nigdy nie wyjdę ponownie za mąż. Nikt nie zastąpi Billy'ego w... niektórych sprawach. Jestem pewna, że zdajesz sobie sprawę – spojrzała mu prosto w oczy – że nigdy nie będę miała przygody – dodała łagodnie.

No cóż, pomyślał Joe, zrobiłem aluzję i dostałem odpowiedź. Uśmiechnął się i objął ją serdecznie ramieniem.

– A jeśli idzie o dziewczynki – podjęła. – Wiesz, że chcę im dać wszystko, co najlepsze, Joe. Umożliwić im świetny start. I chcę, żebyś mi poradził, jak się do

tego zabrać.

Joe zrozumiał natychmiast, co miała na myśli. Sam wspiął się dość wysoko w życiu, a wiedział, że Elinor chciała dla wnuczek jeszcze świetniejszej kariery. Spojrzał na dziewczynki bawiące się na trawniku.

– Naturalnie, że pomogę, jeśli tego chcesz – odpowiedział. – Ale pamiętaj, że nadmiar przywilejów w życiu może okazać się zgubny. – Pomyślał o aroganckich kolegach Adama z Eton.

– Chcę tego – potwierdziła Elinor.

– Zaczynj od kupienia lepszego samochodu.

– Kiedy to prawie niemożliwe. U dealerów czeka się latami na nowy samochód!

– Mógłbym mieć dla ciebie przedwojennego białego Rollsa. Znam gościa, który chce się go pozbyć.

– Nie będę potrafiła prowadzić takiego samochodu, jest za wielki, za ciężki.

– Naturalnie – przytaknął Joe. – Będiesz potrzebowała szofera. I pierwszym miejscem, do którego cię zawiezie, będzie Norman Hartnell.

– Nie stać mnie na królewskiego krawca!

– Hartnell jest najlepszym projektantem strojów na oficjalne okazje, dlatego królowa ubiera się u niego. Będzie cię na niego stać, jeśli będziesz więcej pisać. Musisz się ubrać odpowiednio do roli, nim ją zagrasz. Wiesz, że możesz być przedstawiona u dworu tylko przez damę, która już została wprowadzona na dwór. Znajdę kogoś takiego dla ciebie. Spędzisz sezon w Londynie. Wiem, że Sonia Rushleigh rozwiodła się na fatalnych warunkach i rozpaczliwie potrzebuje pieniędzy.

– Jak mogę spędzić sezon w Londynie, skoro powinnam pisać książki, żeby na to wszystko zarobić?

– Będiesz wstawiała wcześniej.

– Jakbym słyszała Billy'ego.

– A jeśli idzie o dziewczynki – dodał pospiesznie – szkoła w Szwajcarii albo w Paryżu, gdzie przygotowują je do wejścia w świat. Muszą umieć...

– Błyszcząć? – podpowiedziała Elinor, gryząc się w język. Kiedy Joe z powagą przytaknął, odpowiedziała: – Już potrafią błyszcząć. Czego im więcej trzeba?

– Tylko siedmiu rzeczy – zaczął wyliczać Joe na palcach obciążonych skórzanymi rękawiczkami. – Po pierwsze, nigdy nie krytykować rodziny królewskiej, arystokratów krwi i właścicieli gazet, ponieważ wszyscy stanowią jedną klikę, która wzajemnie broni swoich interesów. Po drugie, podczas sezonu

towarzyskiego unikać rozgłosu w tanich gazetach. Po trzecie, zajmować się działalnością charytatywną, najlepiej związaną z psami lub dziećmi. Po czwarte, wspierać lokalną społeczność i czynić to tak, by wszyscy zauważyli. Otwierać zabawy parafialne i wręczać przy okazji czek na naprawę dachu w kościele, i inne tego rodzaju rzeczy. – Kiedy zbliżali się do drzwi, wzdrygnął się. – Elinor, kochana, mam już dość natury jak na jeden dzień. Moglibyśmy usiąść już przy kominku?

– Najpierw dokończ – zaśmiała się Elinor.

– Po piąte – Joe objął ramiona rękoma, żeby się ogrzać – przejawiać zainteresowanie którąś z dziedzin sztuki, byle nie za bardzo awangardową, balet albo opera wydają się stosowne – przyspieszył kroku. – Po szóste, kupić dom, do którego ludzie będą chcieli być zapraszani, jak willa Somerseta Maughama na Cap Ferrat. Jest takie miejsce, St. Tropez, które staje się coraz bardziej popularne.

– A siódme przykazanie? – zapytała Elinor.

– Zawsze pisać listy z podziękowaniem i wysyłać je w ciągu trzech dni – wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Elinor wyglądała jak własna wnuczka, dopiero co skarcona. Nie znosiła pisania listów, szczególnie tych z podziękowaniami; zamiast się spieszyć, kiedy jeszcze czuła prawdziwą wdzięczność, zwlekała do ostatniej chwili, ryzykując, że obrazi adresata. Doszedłszy do tego punktu pisała pod przymusem kilka stron, tłumaczyła się i wynajdywała liczne powody, dla których nie napisała wcześniej, czuła się winna z powodu kłamstw i wysyłała kwiaty.

– Wszystko to będzie kosztowało fortunę. – Pchnęła stare dębowe drzwi.

– Zatem postaraj się o nią, Elinor.

Buzz z nieufnością słuchała planów dotyczących przyszłości dziewczynek. Już szkoła z internatem wzbudziła jej zastrzeżenia.

– Nie sądzisz, że to trochę staroświeckie? – zapytała. – Wiem, że chcesz im dać, czegoś sama nie miała, ale im bardziej chronić kobietę, tym więcej potem będzie bezradna, jak przyjdzie jej samopas borykać się z kłopotami.

Buzz przypomniała sobie, jak się czuła, kiedy na jej dom spadła bomba w czasie nalotu, a ona została nagle sama, bez rodziny i dachu nad głową.

Kiedy Miranda usłyszała, że jej obydwie starsze siostry mają opuścić dom i zacząć jesienią naukę w szkole z internatem, i że ona sama jest jeszcze na to za mała, zaczęła protestować, twierdząc, że dość ma bycia najmłodszą, bo zawsze na tym przegrywa. W końcu Elinor ustąpiła; Miranda miała pojechać razem z siostrami.

SOBOTA, 29 WRZEŚNIA 1951

To, że szkoła w Hazelhurst Park znajdowała się zaledwie trzydzieści mil od Warminster, zaważyło tylko w nieznacznym stopniu na wyborze Elinor. Dom, w którym się mieściła, był dziewiętnastowieczną rekonstrukcją osiemnastowiecznej rekonstrukcji gotyckiego klasztoru. Nauczycielkami były tu bez wyjątku damy, które pamiętały lepsze czasy i lepsze lata; miłe, z dobrymi intencjami, na pewno nie miały odpowiedniego przygotowania intelektualnego.

Pierwszego dnia poza domem, siostry, które dostały łóżka w różnych dormitoriach, czuły się zagubione i osamotnione. Dla pocieszenia wybrały się razem do najbliższego sklepiku ze słodyczami.

– Nie rozumiem, dlaczego babcia zesłała nas do tego więzienia – dąsała się Annabel.

– Ponieważ chce, żebyśmy zostały damami – powiedziała Klara ponurym głosem.

– Damy strasznie jej dokuczyły, kiedy była młoda – wtrąciła Miranda.

– Nie lubią nas tutaj. – Annabel kopnęła leżący na drodze kamyk.

– Jeszcze nas nie znają – oświadczyła Klara.

– Skąd będziemy wiedzieć, kiedy nas polubią? – zapytała Miranda i pobiegła do przodu, żeby podnieść kasztana ukrytego w zielonej kolczastej łupinie – Jak zaczną się nam zwierzać ze swoich sekretów – odpowiedziała Klara.

Wkrótce też zaczęło się zwierzanie z sekretów. Dziewczęta szybko pojęły, że kiedy w sypialniach Hazelhurst Park gasły światła, nadchodziła pośród chichotów pora opowieści o chłopcach i seksie.

Na podstawie szeptanych wiadomości o tym, co dorośli robią w łóżku, żeby doprowadzić się do wzajemnej ekstazy, połączonych z zachowaniem szalenie romantycznych, ale zawsze dziewiczych heroin z powieści Elinor, dziewczęta stworzyły sobie dziwaczne wyobrażenie o związkach między dorosłymi. Dorosłość polegała najwyraźniej na noszeniu wydekoltowanych sukien, po ślubie należało pokazać się mężowi nago i nie wstydzić się tego, pozwolić się pocałować, bo taki pocałunek oznaczał unię dwóch dusz, które łączą się w jedną i ludzie rozumieją się wtedy bez słów. Od tej chwili twoja jedyna miłość, twój mąż, potrafi czytać w twoich myślach, spełnia wszystkie życzenia i daje śliczne dzieciątka, bo na tym polega jego życiowa rola.

W lutym, kiedy dziewczynki zaczęły drugie półrocze w szkole, Joe stwierdził,

że jest to w Europie najlepszy czas na kupowanie i najgorszy na pozbywanie się posiadłości. Elinor i Buzz poleciały na tydzień do Francji i kupiły małą willę położoną na przedmieściach St. Tropez, tuż nad samym morzem. Pieniądze na zakup uzyskał Joe po pertraktacjach z francuskim wydawcą Elinor.

PONIEDZIAŁEK, 6 LIPCA 1953

Na początku lipca nowa willa była wyremontowana, umeblowana prostymi prowansalskimi sprzętami i ozdobiona kotarami oraz zasłonami w tradycyjne ludowe wzory. Jako pierwszych wakacyjnych gości Elinor zaprosiła Granta z rodziną. Ustalono, że Adam przyleci do Nicei wcześniej samolotem, reszta podróżowała przez Francję samochodem.

Przed wizytą siostry O'Dare, które przez lata nie miały kontaktu z chłopcami, nie przestawały rozmawiać o synach Grantów. W dniu przylotu Adama panienki spędziły trzy godziny na strojeniu się w mocno dopasowane, kwieciste sukienki, za ciasne na upał i zbyt strojne na tę okazję. Już ubrane usiadły na patio i tkwiły tam dwie godziny, choć żadna nie przyznałaby się za nic na świecie, że wyczekuje Adama.

Wreszcie pojawił się, w niebieskim blezerze i rozpiętej pod szyją koszuli. Cały czas łamał sobie głowę, czy jego ojciec ma romans z Elinor O'Dare, czy też nie. Jak na mężczyznę i kobietę sprawiali wrażenie bardzo bliskich przyjaciół. Zauważył też, że matka w ich towarzystwie stawiała się wyniosła i nieobecna; podobnie zachowywały się rywalizujące ze sobą kotki.

Adam, teraz dwudziestotrzyletni, odbył dwuletnią służbę wojskową w marynarce, gdzie zdobył stopień oficerski. Potem zdecydował się na studia prawnicze i w tej chwili odbywał aplikanturę adwokacką w rodzinnej kancelarii Swithina, Timminsa i Granta. Kiedy nie miał zajęć uniwersyteckich, asystował w sprawach prowadzonych przez ojca i innych prawników z jego kancelarii. Pełnomocnik zajmował się najważniejszymi problemami związanymi ze sprawą, Adam zaś zbierał dodatkowe dowody, uzupełniał materiały i dokumenty, znosił je do biura, gdzie były sprawdzane, segregowane i układane w odpowiednich teczkach. Teraz cieszył się perspektywą luksusowych wakacji, podczas których nikt nie będzie traktował go jak gońca.

– Ach więc to są nasze trzy gracje? – Adam zatrzymał się na szerokich stopniach prowadzących z salonu na patio i wyszczerzył się w uśmiechu. , Po raz pierwszy ktoś przyczepił im taką etykietę; dziewczęta były wniebowzięte

komplementem wypowiedzianym przez wysokiego, przystojnego młodzieńca o ciemnych włosach, opalanej twarzy i piwnych oczach. Wszystkie trzy zakochały się w nim od pierwszego wejrzenia.

Tego wieczoru, przed zejściem na kolację, czternastoletnia Klara wypchała stanik skarpetkami. Usłyszała o tej sztuczce w Hazelhurst, choć uzyskany efekt niezbyt ją usatysfakcjonował.

Annabel podkrađła babce nowy aparat fotograficzny z lampą błyskową i zaczęła robić wszystkim zdjęcia, pilnując, żeby Adam powtarzał się na nich możliwie najczęściej.

Tej nocy Miranda wtulała głowę w poduszkę, marząc, że jest z Adamem w jego prywatnym samolocie: „Och, dobry Boże, Mirando, czuję, że zbliża się znowu atak malarii... myślisz, że potrafisz sama wylądować?” „Naturalnie, Adamie – odpowiadała ubrana w biały kombinezon lotniczy i białą pilotkę Miranda. – Mów mi tylko, co mam robić”. – I Adam wypowiadał szeptem polecenia, a potem tracił przytomność...

Kiedy zeszły następnego ranka na śniadanie, Adama już nie było, poszedł wypożyczyć motorówkę. Nie wrócił na lunch.

Po południu Klara leżała na plaży, grzejąc się w słońcu niczym rozleniwiona kotka. Raptem poczuła, że jakiś cień przesłonił promienie. Otworzyła oczy i natychmiast zorientowała się, że stojący nad nią wysoki młody człowiek w czerwonych slipach musi być młodszym bratem Adama. Miał te same wysoko uniesione ciemne, niemal zrosnięte u nasady nosa brwi. Adam miał tylko trochę szczuplejszą twarz, mocniej zarysowane usta, schodzące się jeszcze bliżej brwi. Jego wyraziste, delikatne rysy – Klara musiała to przyznać – przypominały Gregory Pecka, który unosi lekko jedną brew, knując, co jego nieznośny bohater ma przeskrobać.

– Ty jesteś Klara? – Młody człowiek mierzył wzrokiem jej błękitny kostium kąpielowy. – Jestem Mike. – Jego szeroko rozstawione szare oczy o absolutnie szczerym wejrzeniu wielokroć pomogły mu wydobyć się z kłopotów, w jakie popadał w szkole. – Miałem cię odszukać. Adam wynajął motorówkę, płyniemy do wysepek. Zabierzesz się z nami?

Mike nie sprawiał wrażenia cynicznego prześmiewcy, jak Adam. Zdawał się bardziej przystępny, ale w jego spokoju było coś niepokojącego, jakby spręzał się do skoku. Miał jeszcze szersze barki i dłuższe nogi niż brat, czarne kręcone włosy na piersi schodziły wąską linią poniżej pępka.

Klara prawie odkochała się w Adamie.

Później, kiedy motorówka pruka już błękitne fale, zostawiając za rufą biały kilwater, wszystkie trzy panny odczuwały podobne zamieszanie w pensjonarskich duszach. Wróciły do domu oszołomione uczuciem znacznie intensywniejszym niż to, które Klara czuła do rudowłosej nauczycielki od wychowania fizycznego, Annabel do Robina, jej kuca, a Miranda do mleczarza.

Następnego dnia cała piątka pojechała na plażę Tahiti i tu wszystkie trzy siostry po raz pierwszy w życiu poczuły upokarzający ból odrzucenia.

Adam i Mike ledwo spojrzeli na francuskie kociaki flirtujące z opalonymi Francuzami, uznali, że spełnia się ich wyobrażenie o raju. Natychmiast przestali interesować się trzema małymi Angielkami.

Tego wieczoru żadna nie zeszła na kolację. Buzz znalazła je, ciągle jeszcze w kostiumach, w sypialni Klary, zapłakane i zrozpaczone. Klara leżała z głową wtuloną w poduszkę, Annabel wyciągnięta na podłodze, Miranda skulona, wciśnięta w kąt pod ścianą.

– No i nad czym lamentujecie?

– Idź sobie, Buzz, nie twoja sprawa – czknęła zapłakana Klara.

– Nigdy już, nigdy nikogo nie pokocham – szlochała Annabel.

– Potwory – jęknęła Miranda. – Musimy szybko kupić sobie kostiumy bikini.

– Jesteście małe, głupie gęsi – zbeształa je Buzz. – Adam ma dwadzieścia trzy lata, a Mike dwadzieścia jeden! Nie dziwota, że strzelają oczami za francuskimi pannicami!

– Ale Mike był miły dla Klary, zanim zobaczył na plaży te Francuzki – chlipnęła Miranda.

– Zanim zobaczył te staruchy, uczył Mirandę jeździć na nartach wodnych, a potem całkiem o niej zapomniał! – wrzasnęła Klara.

– Obrzydliwe ropuchy, głupie dziewczuchy. – Miranda znowu zaniósła się płaczem.

– Nie wyrażajcie się, bo wam przyłożę – napomniała machinalnie Buzz. – Pewnie, że chłopcy byli dla was mili, bo są dobrze wychowani, ale dla nich jesteście dzieciaki. No, a teraz wymyjcie buzie i marsz na dół. Na deser są bezy z czekoladą. I dość gadania o bikini. Co Miranda i Annabel w nie włożą, piłki tenisowe?

Rozdział 7

WTOREK, 21 LIPCA 1953

Na skrzyżowaniu Adam skręcił Humberem w lewo, srebrząca się w świetle księżyca droga niknęła wśród sosen.

– Źle pojechałeś – powiedział Mike, budząc się z zamyślenia. – Skręciłeś na Niceę.

Adam skręcił jeszcze raz w lewo i wjechał na nadmorską drogę z połyskującymi w dole falami.

– Nie jedziemy do Nicei, tylko do kasyna w Cannes.

– To dlatego chciałeś odwiedzić starego Macleana do jego willi – powiedział ze śmiechem Mike, który znał dobrze swojego brata.

– Dlatego wziąłem cię ze sobą. Maclean coś wcześniej wyszedł z przyjęcia Elinor. Tłumaczył się bólem głowy, idę o zakład, że teraz jest już w łóżku z jakąś dzierlatką.

– Ojciec nas zabije, jak się dowie, gdzie pojechaliśmy – powiedział Mike.

– Boi się, żebyśmy nie poszli w ślady dziadka – parsknął Adam, dociskając gaz. Ojciec Joe'ego Granta był bookmacherem, co Ethel usiłowała starannie ukrywać przed przyjaciółmi.

– Dziadek Grant nie uprawiał hazardu, tylko zarabiał na hazardzistach. Zawsze mówił, że hazard jest dla frajerów.

– Słuchaj, Mike, zdecyduj się, chcesz się wyrwać na wieczór z domu, czy nie? Jeśli tak, to przestań się zachowywać jak świętoszek.

Mike ustąpił, ulegając argumentom i autorytetowi starszego brata.

– Przepraszam. Kapitalny pomysł – powiedział pospiesznie. – W kraju tego nie spróbujemy. – Hazard, uznany za zagrożenie dla moralności publicznej, był w tym czasie w Wielkiej Brytanii zabroniony. – Skąd weźmiemy pieniądze?

– Mam pensję za ostatnie cztery tygodnie – odpowiedział Adam.

– Nie zwojujemy wiele z czterdziestoma funtami.

– Dość, żeby wejść. Wypijemy po drinku w barze, popatrzymy na wielki świat, obstawimy raz. To wszystko. Proste?

Mike dobrze wiedział, że pod tą maską spokoju i nonszalancji Adam skrywa niepewność. Lekceważąc lęki Mike'a czuł się lepszy i ważniejszy, pozbywał własnych obaw. Mike z góry i zawsze zakładał, że starszy brat potrafi poradzić

sobie w każdej sytuacji, Adam przyjmował natomiast, że Mike, zawsze mu posłuszny i wpatrzony w niego jak w obraz, nigdy nie zdradzi powierzonych sekretów. Mógł powiedzieć mu wszystko, Mike wysłuchiwał bez zmrużenia oka, bez słowa. Uwielbiał Adama od czasów dzieciństwa, kiedy żaden z nich nie czuł bliskości rodziców, którzy nie kochali chyba ani dzieci, ani siebie nawzajem. Wychowywani przez ciągle zmieniające się niańki, z których żadna nie mogła sprostać wymaganiom pani Grant, pierwsze lata życia spędzili odizolowani w pokoju dzieciennym, pozbawieni serdeczności, poza tą okazywaną sobie wzajemnie. Wyrosli w przekonaniu, że nie mogą liczyć na nikogo oprócz siebie.

Mike westchnął na myśl, że taki piękny wieczór nadawałby się w sam raz na przejażdżkę motorem. Przypomniawszy sobie pierwszą jazdę na Nortonie Denominatorze, pierwszym własnym rowerze. Kiedy miał czternaście lat, zdobył pierwszy motocykl, BSA M20 z demobilu, używany przez wojska łączności, bez resorów, ze sprężynowym siodełkiem. Ukrył go w starej szopie, gdzie wkrótce pojawiła się kolejna zdobycz, równie stary, zrywny jak na swoje wymiary, Triumph Speed Twin 500. Żaden z następnych motocykli nie dał mu już później tyle radości, co te dwa pierwsze.

W kasynie Palm Beach, uchodzącym za bardziej wytworne niż Casino Municipal, bracia pokazali paszporty i kupili sztony. Dla uniknięcia kradzieży obstawianie gotówką było zabronione.

Po salach krążyli kelnerzy, dziewczęta obnosiły tace z papierosami, kilku nieruchomych strażników w ciemnych uniformach pilnowało porządku.

– To naganiaczki – powiedział Adam, wskazując na wytworne, piękne dziewczyny przy barze. – Wciągają jeleni do gry.

W powietrzu unosił się zapach dobrego jedzenia i drogich perfum. Zamówili whisky z wodą i odwrócili się na obrotowych stołkach, żeby obserwować grę.

Przy szesnastu stołach mrowił się tłum podekscytowanych mężczyzn w wieczorowych garniturach i kobiet w długich wydekoltowanych sukniach. Kilka starych dam siedziało w fotelach, zaciskając dłonie na torebkach. Większość gości stanowili Francuzi, Niemcy i Grecy, choć Mike przy jednym z pobliskich stołów usłyszał także Anglików, których żony głośno utyskiwały na ograniczenia walutowe, na jakie skazani są Brytyjczycy.

– Od czego zaczynamy? – zapytał Mike. – Powiedz mi coś o zasadach, w Eton nikt mnie nie zapraszał do takich gier. – Grantowie nie byli ani tak bogaci, ani tak dobrze urodzeni, jak większość ich szkolnych kolegów.

– Nie mam zielonego pojęcia – przyznał ucziwie Adam.

– Pokażę wam, jeśli chcecie – zaofiarował się blady, kościsty Anglik siedzący obok Adama. – Giles Milroy-Browne. Powinniście zacząć od ruletki, jak większość początkujących. Tu nie musicie nic wiedzieć.

Podeszli we trzech do najbliższego stołu i stanęli za plecami graczy. Napięta atmosfera, wielkie oczekiwania, błyskawiczne tempo. Krupierzy, trzech przystojnych mężczyzn w nieskazitelnym fraku, wywoływali wygrane numery, zręcznie przesuwali sztony po stole i znów wprawiali w ruch koło ruletki.

– Najprościej stawiać na czarne albo czerwone – tłumaczył Milroy-Browne Adamowi. – Jest trzydzieści sześć pól, czarnych i czerwonych na przemian, szanse jeden do jednego, co oznacza, że jeśli postawisz dwa tysiące franków, wygrasz tyle samo. Jeśli grasz na tuziny, obstawiasz jedną z trzech sekwencji, wtedy wygrywasz dwa do jednego. Najbardziej ekscytująca i niebezpieczna jest gra na numer. Przy wygranej kasyno wypłaca trzydzieści pięć do jednego. Stawiasz tysiąc i wygrywasz trzydzieści pięć tysięcy.

Adam ostrożnie postawił na czerwone szton o równowartości jednego funta. Patrzył podniecony na wirującą na kole kulkę, coraz wolniej... wolniej. Wpadła na czerwone pole, na numer 3. Wygrał.

Przy następnym rzucie przegrał, ale powiedział sobie, że to nic, bo w sumie nie stracił. Z drzeniem postawił równowartość swojej tygodniówki na czerwone i nagle cały strach minął. Czuł teraz tylko podniecenie. Choć mówił sobie, że będzie grał ostrożnie, nie mógł się powstrzymać od ryzyka.

Czerwony wygrał! Dłonie znowu zaczęły mu się trząść. Patrzył na swoją prawą rękę, jakby niezależnie od jego woli stawiającą równowartość dwudziestu funtów na czerwonym polu. Byłoby źle, gdyby przegrał, ale to podniecenie! Czerwony znowu wygrał. Miał rację stawiając na czerwone, kierowany jakąś niewidzialną a sprzyjającą mu mocą. Miał wrażenie, że oddycha innym powietrzem, ogarnęło go nieznane dotąd uczucie satysfakcji.

Nie zawsze wygrywał, ale w sumie przegrał bardzo niewiele.

Ruletka zdawała się kusząco łatwym sposobem zdobycia majątku w ciągu kilku godzin, bez trudu i pracy, jakby pieniądze rosły na drzewach; dość wyciągnąć rękę i strząsać banknoty. Za każdym razem, gdy wygrywał, czuł ulgę i wyczerpanie, jak po miłosnym zbliżeniu. Gra sprawiała, że wydawał się sobie bardziej męski, inny od reszty ludzi zebranych przy stole. Miał szczęśliwą rękę, bogowie mu sprzyjali.

Dwie godziny później, gdy miał już sto funtów, równowartość dziesięciodniowego zarobku, Mike szepnął mu do ucha:

– Przestań teraz, idioto, kiedy jesteś wygrany. Wiesz, że to gra dla frajerów,

wygrywa tylko kasyno i naganiacze.

– Zamknij się i daj mi się skupić. – Adam strząsnął z ramienia rękę brata, chociaż wiedział, że Mike ma rację. Popatrzył na stertę piętrzących się przed nim sztonów. Powinien je teraz zabrać i wyjść, wyjść, wyjść!

Nie mógł.

Obstawi jeszcze tylko raz, wtedy wyjdzie. Wyjść było jednak równie trudno, jak alkoholikowi powstrzymać się od sięgnięcia po otwartą butelkę whisky.

Wcześniejsza przezorność gdzieś się ulotniła, patrzył teraz na stół z coraz większą pewnością siebie; nie był już młodym aplikantem w kancelarii prawniczej. Tak jak zawsze podejrzewał, był wybrańcem bogów, zaczynał doświadczać poczucia mocy; jeśli tylko się skoncentruje, mała srebrna kulka posłusznie trafi tam, gdzie on zechce.

Oszołomiony wygranymi, czuł się lekki jak piórko, rozpierało go radosne uniesienie, serce biło szybciej, adrenalina uderzała do głowy, szczęście go zaślepiało, policzki płonęły, żyły na skroniach nabrzmiały.

Mike, który w ogóle nie obstawiał, dołączył do niego ponownie o drugiej, prosząc jeszcze raz, żeby już wyszli.

– Nie, jeszcze nie. – Adam spojrział na wygrane sto osiemdziesiąt funtów. – Dobrze – ustąpił. – Postawię tylko ostatni raz. – Na wpuł oczekując przegranej, postawił dziesięć funtów na numer 36.

Kulka zatrzymała się na 36.

Wygrał trzydziestopięciokrotną wartość tego, co postawił. Krupier wypłacił mu trzysta pięćdziesiąt funtów, prawie tyle, ile wynosiły jego roczne zarobki!

Miał ochotę krzyczeć z radości. Wygrana nie była ślepym trafem. Czuł się tak, jakby wdychał zapach włosów najpiękniejszej kobiety świata, wąchał jej perfumy. Pani Fortuna była po jego stronie.

Po tej pierwszej wizycie w kasynie Mike nie chciał więcej towarzyszyć bratu w wyprawach do Cannes. Ojciec, przekonany, że Adam znalazł sobie dziewczynę, mrugał znacząco co wieczór, wręczając synowi kluczyki od samochodu.

Adam niekiedy wygrywał, niekiedy przegrywał. Po dziesięciu dniach miał sumę przekraczającą jego dwuletnie zarobki, a zdobytą w znacznie zabawniejszy sposób, niż wykonywaniem idiotycznej pracy młodego kancelisty adwokackiego.

Dziesiątego wieczoru zaczął przegrywać. Początkowo nie przejmował się, przekonany, że odbije sobie w następnej kolejce.

O drugiej nad ranem, kiedy zazwyczaj wychodził z kasyna, był przegrany na sześćset funtów. Nie mógł uwierzyć. Czuł się jak zdradzony kochanek, który zastał

umiłowaną w łóżku z kimś innym. Był zawstydzony, targały nim wyrzuty sumienia. Jak mógł w tak głupi sposób stracić tak dużą sumę? Wygranie sześciuset funtów zabrało mu niemal dwa tygodnie, a pozbył się ich raptem w godzinę. Czemu nie trzymał się swojego systemu?

Porzucił system, bo zgodnie z przyjętą zasadą musiał czasami przeczekiwać kilka kolejek, a nie potrafił się powstrzymać, taki był pewien, że przy następnym rzucie... w następnej minucie... za godzinę... pech przestanie go prześladować.

Powoli wyszedł z kasyna i oszołomiony wsiadł do samochodu. Czuł się przygnębiony, stłamszony, rozbity, jakby miał się za chwilę rozchorować.

– Adam jest dzisiaj jakiś nieswój – powiedziała pani Grant do męża, kiedy o zachodzie słońca pakowała swoje rzeczy do koszyka plażowego. – Nie przyjął zaproszenia na jacht Boccassy i przez cały dzień nie odzywał się do nikogo, nie zwrócił nawet uwagi na tę śliczną dziewczynę, z którą jeździł wczoraj na nartach wodnych.

– Myślę, że ma kogoś – uśmiechnął się domyślnie ojciec. – Najwyraźniej musieli się pokłócić – dodał tonem znawcy życia.

– Czemu nigdy nie przyprowadził jej na plażę? Joe, a może to jakaś ekspedientka? – zatroskała się pani Grant.

– Raczej mężatka z dziećmi. Wolna dopiero wieczorem, kiedy położy spać swoje pociechy... mąż, zajęty pracą. – .. Nie, Ethel, proszę, nie mów ani słowa Adamowi. Ma dwadzieścia trzy lata, dwa spędził w wojsku. Nie podziękuj ci, jeśli zaczniesz się wtrącać w jego sprawy.

Następnego dnia Adam nie czuł się nawet na siłach wstać z łóżka. Przemógł się tylko ze względu na matkę, która natychmiast wezwałaby lekarza, a wtedy nie mógłby wieczorem wymknąć się do kasyna.

Cały dzień wylegiwał się apatycznie na plaży. Nie mógł nic pić ani jeść, myślał cały czas, czy szczęście znowu uśmiechnie się do niego wieczorem.

Jednym z przekleństw hazardzistów jest powtarzanie przegranych. Podobnie było z Adamem, wracał co wieczór, by przegrywać, licząc za każdym razem, że pech wreszcie się odwróci. Ale pech nie chciał go opuścić.

Pożyczył trzydzieści funtów od Gilesa Milroy-Browne'a (który zdążył już rozpytać o rodzinę Adama), ale i te stracił.

Na dwa dni przed powrotem do Londynu sprzedał złoty zegarek, który dostał w prezencie na dwudzieste pierwsze urodziny, ale kiedy chciał zwrócić pieniądze pożyczzone od Milroy-Browne'a, ten ich nie przyjął, mówiąc, że dług może poczekać.

Do północy przegrał wszystko, co dostał ze sprzedaży zegarka.

Giles pożyczył mu następne pięćdziesiąt funtów, które też przegrał.

Opuszczał południe Francji zadłużony na trzysta funtów i wdzięczny wyrozumiałemu Milroy-Browne'owi, który zapewniał go, że doprawdy nie musi się spieszyć ze zwrotem pożyczki i może ją spłacić w dogodnym dla siebie terminie. Adam zgodził się płacić jeden procent od każdego miesiąca zwłoki.

Nie martwił się specjalnie. Kiedy wróci do Londynu, pójdzie do któregoś z nielegalnych kasyn i odegra całą sumę.

Po prostu chwilowo miał pecha.

Rozdział 8

SOBOTA, 15 GRUDNIA 1956

Myślisz, że przestanie padać przed lunchem? Tak nudno siedzieć w domu, kiedy nie ma nic do roboty. – Szesnastoletnia Annabel przyciskała nos do szyby okna w salonie, okręcając na palcu koński ogon. Ogród Starlings pokryty był grubą warstwą śniegu, białe czapy okrywały drzewa w sadzie.

Obejrzała się na siostry. Miranda tańczyła wokół fortepianu, jej kraciasta szkocka spódniczka wirowała w rytm walca. Klara, ubrana w czarny kardigan i także elastyczne spodnie, leżała na podłodze przed kominkiem z nosem w książce.

Dwa lata wcześniej Klara opuściła wytworną szkołę z internatem, żeby przenieść się na równie wytworną pensję w Lozannie. Żadnej z dziewcząt nie groziła ponura wizja kursów dla sekretarek, ich przeznaczeniem było dobrze wyjść za mąż.

W nowej szkole Klara nie uczyła się francuskiego, gotowania, szycia czy pisania oficjalnych listów; w zamian uczono ją tańczyć, nakładać makijaż i nie wymagano wiele więcej poza pełnym wdziękiem schodzeniem po schodach.

Kiedy miała wrócić ze Szwajcarii, babka zaczęła obmyślać jej debiut towarzyski z równą sumiennością, z jaką zwykła organizować promocję swoich książek. Zdjęcia Klary, biorącej udział w różnych imprezach, pojawiały się regularnie na szpaltach kronik towarzyskich w gazetach codziennych i w „Tatlerze”, ilustrowanym magazynie socjety. *Lady* Rushleigh przedstawiła ją królowej w pałacu buckinghamskim. Klara miała na sobie z tej okazji białą, wąską, satynową suknię przypominającą kielich lilii, której nienawidziła, bo była tak różna od krynolin noszonych przez pozostałe debutantki, a którą babka właśnie dlatego wybrała na dworską uroczystość.

Od tej chwili Klara oddawała się wyłącznie wyczerpującym rozrywkom londyńskiego sezonu, kiedy to dziewczęta wprowadzane są w wielki świat. Jak wszystkie debutantki żywiła skrywaną nadzieję, że spotka „kogoś miłego”, co w języku wszystkich matek debutantek oznaczało człowieka dobrze urodzonego i bogatego.

Dzień zaczynała od lunchu, na którym panny poznawały się wzajemnie, po południu odpoczywała w domu, zbierając siły na wieczorne koktajle, obiady, tańczące herbatki i bale. Głośno kibicowała wyścigom Oxfordu i Cambridge na

Tamizie, biła brawa na meczach krykieta, przykładała lornetkę do oczu w Ascot, zajadała lody truskawkowe w przerwach między rozgrywkami tenisowymi na Wimbledonie, z zapartym tchem śledziła uderzenia kijów w czasie meczów polo w Cowdray Park, wdychała z uznaniem egzotyczne zapachy na pokazie kwiatów w Chelsea i podziwiała drugorzędne obrazy na wernisażu letniej wystawy w Królewskiej Akademii Sztuki. W zeszłym roku portret królowej, przypominającej do złudzenia Ingrid Bergman, pędzla Piętro Anniginiego przyciągał tłumy zwiedzających, ale tym razem nie było żadnego obrazu zwracającego uwagę widzów.

Wreszcie rozesłała zaproszenia drukowane u Smythsonsa wytworną cienką kursywą na grubym czerpanym papierze i wystąpiła na własnym balu debiutanckim zorganizowanym w Oranżerii w Holland Park. Młody projektant David Hicks zamienił wnętrze w baśniową białą pajęczynę oświetloną światłem świec.

W czasie debiutu Klary osoba Elinor przyciągała wiele uwagi. Była już legendarną postacią, kochaną przez tysiące rozmarzonych dziewcząt i rozczarowanych kobiet, których nadzieje jeszcze nie zgasły. Szybko rozchodzące się książki niegdysiejszej wieśniaczki, jej walka z przeciwnościami losu, szybko rosnąca fortuna i otaczający ją luksus stanowiły niezbity dowód, że baśnie mogą być prawdą. Równie miły obiekt dla fotoreporterów, jak Jej Wysokość Królowa Matka, Elinor pojawiała się nieustannie na zdjęciach w całej prasie londyńskiej: Elinor wysiadająca w sukni balowej ze swojego białego Rolls-Royce'a, Elinor otulona w białe lisy, Elinor z fotogenicznym białym pekińczykiem w ramionach, uśmiechająca się spod ronda wielkiego kapelusza w kolorze moreli – morelowy obrała jako „swój kolor”.

Zawsze dwa kroki za babką, Klara miała niekiedy uczucie, że jest jednym z jej rekwizytów, trochę ważniejszym niż torebka, ale nie tak istotnym jak naszyjnik z pięciu sznurów pereł; zaledwie element olśniewającego image'u, jaki budowała sobie Elinor.

Pod koniec sezonu Klara miała uczucie, że nie zdoła uścisnąć jednej dłoni więcej ani uderzyć raz jeszcze białymi rękawiczkami w nadgarstek dość energicznie, by wyrazić entuzjazm, a na tyle delikatnie, by nie wydać się źle wychowaną. Zdobyła wielu tancerzy, pięciu stale eskortujących ją młodzieńców, i mnóstwo przyjaciółek, z którymi chichotała na temat kawalerów. Wiedziała, że ma mnóstwo, mnóstwo szczęścia i cieszyła się, że już nigdy w życiu nie będzie musiała być debiutantką. Przyjemności wielkiego świata wyczerpywały ją i pozostawiały dziwne uczucie pustki.

Chociaż nie śmiała powiedzieć tego głośno, miała poczucie, że zmarnowała cały rok. Próbowała wytłumaczyć to Annabel, którą wkrótce czekały te same rozrywki i rozgłos, ale ta nie zrozumiała ostrzeżeń siostry. Spędzała właśnie pierwsze półrocze w szwajcarskiej szkole i tęskniła za chłopcami, balami, sukniami wieczorowymi, zdjęciami w ilustrowanych magazynach; nie mogła się doczekać, kiedy przetańczy całą noc w ramionach mężczyzny, najchętniej starszego od niej.

Ale to miało dopiero nadejść. Na razie Annabel była unieruchomiona razem z siostrami w zasypanym śniegiem Starlings, co niezupełnie pokrywało się z jej wyobrażeniami o dobrej zabawie. Zeskoczyła z ławeczki pod oknem.

– Klaro, poćwiczmy brydża.

– Nie zdążymy już przed lunchem – ziewnęła Klara.

Kiedy zadzwonił telefon, rzuciła się do aparatu susem kotki.

– Halo? – krzyknęła z nadzieją w głosie. – Przepraszam, Buzz – powiedziała rozczarowana – ale czekam na ważny telefon. – Rzuciła słuchawkę na widełki.

– Założyłabym się, że to Henry – pokpiwała Miranda.

– To nie może być Henry – wtórowała jej Annabel. – Jego pułk jest jeszcze w Suezie.

– Zamknijcie się obydwie – warknęła Klara.

Telefon zadzwonił powtórnie. Raz jeszcze rzuciła się do aparatu, ale ubiegła ją Miranda.

– Kto mówi?... KRRN? Co to takiego? Kampania na Rzecz Rozbrojenia Nuklearnego?... To chyba pomyłka.

– To do mnie! – Klara zaczerwieniła się po czubki włosów, chwyciła aparat, umówiła z kimś na spotkanie w Londynie i odłożyła słuchawkę.

– Kto to był? – zaciekała się Annabel.

– O co chodziło? – pisnęła Miranda.

– Nie wasz interes – burknęła Klara.

– Babcia nie życzyłaby sobie żadnych pacyfizmów – powiedziała z przekonaniem Miranda. – Powiedziałyby ci, że bomba atomowa przyniosła nam zwycięstwo w ciągu dziesięciu minut... Jacyś zadymiarze nie będą uczyć premiera, jak rządzić krajem... Wiesz przecież, co powiedziałyby babcia.

– KRRN to bardzo szanowany ruch – broniła się Klara. – Bertrand Russell i sześciu innych laureatów nagrody Nobla też są przeciwko bombie atomowej, podobnie jak Albert Einstein. Jeśli w przyszłej wojnie ktoś użyje bomby, ta planeta w ogóle przestanie istnieć.

– Pomimo wszystko babci nie będzie się to podobać – ostrzegła Miranda.

– Nie będę tolerowała żadnych oszustw! – skrzeczała następnego ranka chora na bronchit Elinor, wymachując z łóżka w stronę Klary jakimś listem.

Unikając wzroku babki, Klara rozglądała się po przytulnym pokoju. Kremowe tapety, beżowe zasłony dobrane pod kolor kotar osłaniających łóżko z baldachimem, na starym persie sofa z czasów regencji z poduszkami z tygrysiej skóry. Pokój wypełniały sterty książek i klosze z potpourri.

– Bądź łaskawa spojrzeć na mnie, Klaro – sarknęła Elinor. – Słucham, co masz mi do powiedzenia – dodała gniewnie, spoglądając na wnuczkę stojącą przed nią ze stropioną miną.

Zaniepokojona Elinor zastanawiała się po raz już któryś czy Klara ma kochanka. Zachowywała się jak wiele matek, chociaż młode panny, bardziej niewinne od swoich rodzioelek, nawet tego nie podejrzewały. Rozmyślała, czy jest żonaty i czym tłumaczy się żonie z nieobecności w środowe i czwartkowe wieczory, w które Klara robiła najwyraźniej coś innego, niż deklarowała babce.

Znowu będę musiała kłamać, pomyślała żałośnie Klara. Pamiętała, jak dziwiło ją w dzieciństwie, że dorośli uczą dzieci, iż nie wolno kłamać, po czym patrząc prosto w oczy opowiadają bzdury, skąd biorą się dzieci. Od dorosłych Klara nauczyła się mówić „klamstewka”, które oszczędzały i chroniły uczucia innych, i broniły przed gniewem dorosłych.

– Czekam – wycharczała gniewnie Elinor. Siarczyste kichnięcie zdmuchnęło jeden z listów na podłogę. Klara dojrzała firmowy nagłówek kancelarii Swithina, Timminsa i Granta.

– Spotykam się z Adamem Grantem – odpowiedziała bez zastanowienia.

– Dwa razy w tygodniu? I zawsze wracasz punktualnie o dziesiątej do domu? Można wiedzieć, co właściwie robicie w czasie tych spotkań?

– Uczy mnie grać w brydża. Chcę być naprawdę dobra.

– Łatwo sprawdzić. – Elinor sięgnęła po słuchawkę telefonu.

Klara, która nigdy nie potrafiła dobrze kłamać, poczuła się w potrzasku.

– Dzień dobry, Adamie. Widziałeś się ostatnio z Klara?

Klarze serce zamarło. Miała nadzieję, że Adama nie będzie w biurze.

– Nie pojmuję, czemu nie możesz mi wprost odpowiedzieć – mówiła Elinor. – Ale jeśli chcesz, możesz z nią porozmawiać.

– Słuchaj, Klaro – zaczął Adam. – Nie mogę okłamywać mojej klientki. Jeśli masz jakieś kłopoty, spróbuję ci pomóc, ale musisz powiedzieć mi prawdę... Spotykasz się z kimś w tajemnicy przed babką?... Nie? Dobrze! Robisz coś nielegalnego?... Nie? Więc powiedz Elinor, gdzie bywasz! Powiedz od razu. To, co

przed nią ukrywasz, na pewno nie jest takie straszne, jak jej lęki, na pewno ci wybaczy. W przyszłym tygodniu zapraszam cię na obiad. Porozmawiamy wtedy.

Klara odłożyła słuchawkę.

– Chodzę do szkoły wieczorowej – powiedziała cicho.

– Szkoła wieczorowa? Ależ to dla ludzi, którzy nie mają...

– Zaskoczona Elinor przypomniała sobie ubogich studentów ze swoich kursów politechnicznych. – Otrzymałaś przecież staranne wykształcenie.

– Nie sądzę. W Hazelhurst Park niewiele się nauczyłam. Zaliczyłam tylko dwa przedmioty maturalne, zanim wysłałaś mnie do tej idiotycznej szkoły w Szwajcarii.

– Co za niewdzięczność! Mężczyźni nie chcą za żony sufrażystek. Mężczyzna chce żony, która będzie ozdobą salonu i będzie miała maniery damy.

– Nie mam zamiaru siedzieć w salonie do końca moich dni! Żyjemy w dwudziestym wieku, nie w pogrążonym w przeszłości Larkwood! – Wszystkie trzy siostry wiedziały, że Elinor ciągle nie mogła zapomnieć, jak potraktowała ją rodzina Billy'ego. – Chcę robić w życiu coś pożytecznego! – dodała Klara.

– Uważasz, że kobiety nie są pożyteczne? Matki nie są pożyteczne?

– Życie to coś więcej niż bycie tylko matką i żoną.

– Czego dokładnie się uczysz, żeby być bardziej pożyteczną?

– Socjologii – odparła Klara wyzywająco.

– Drogie dziecko, nie chcesz chyba powiedzieć, że masz zamiar zajmować się pomocą społeczną. – Elinor wyglądała na zaskoczoną i przerażoną.

– A dlaczego nie? To pożyteczna praca.

– Naturalnie. Dla innych ludzi, ale nie dla ciebie. Ty nie będziesz pielgrzymowała po slumsach.

– Nie rozumiem, co masz przeciwko socjologii?

Elinor westchnęła.

– Na czym właściwie polega ta socjologia?

– Mówi o tym, jak rozwija się i jak funkcjonuje społeczeństwo, albo dlaczego nie funkcjonuje – odpowiedziała Klara.

– Ależ, kochanie, nie masz wystarczającego przygotowania...

– No właśnie! Będę też studiowała antropologię, psychologię i filozofię.

– I to wszystko przez dwa wieczory w tygodniu?

– Skoro już wiesz, mogę zacząć normalne studia. Mam podstawowe wiadomości, a jeśli nie, to je zdobędę.

– I po co to wszystko, moje dziecko? Porządny mężczyzna nie będzie chciał za żonę socjologa ani filozofa. Czemu nie chcesz uczyć się czegoś mniej

skomplikowanego a bardziej użytecznego? Na przykład kursy kucharskie w szkole Cordon Bleu? Zawsze przyda się wiedzieć, jak ułożyć menu.

– Nie możesz zrozumieć babciu, że interesuje mnie coś więcej poza kuchnią? – Klara traciła już cierpliwość.

– Oczywiście, że rozumiem. Jesteś inteligentną młodą kobietą i musisz nadążać za tym, o czym mówią mężczyźni.

– Ja chcę, żeby to mężczyźni nadążali za tym, co ja mówię. I nie chodzi mi o głupie pogaduszki na koktajlach! – krzyknęła Klara.

– Jak możesz tak do mnie mówić?

– A dlaczegoż by nie? Czemu mam być potulna? Dlaczego nie rozumiesz, czego ja chcę?

– Ale socjologia? Co ci to da?

– Babciu, ja chcę pomagać ludziom. Wszędzie wokół siebie widzę nierówność.

– No a filozofia... nie mierzysz za wysoko? Co ma wspólnego filozofia z dziećmi ze slumsów?

– Filozofia zajmuje się historią idei, a demokracja opiera się na ideach takich jak równość, sprawiedliwość, szacunek dla człowieka – tłumaczyła zrozpaczona Klara. – Nie rozumiem, jak świat doszedł do takiego stanu, w jakim jest teraz, ale mam zamiar dowiedzieć się i próbować coś zmienić.

– Jedna młoda kobieta nie naprawi całego zła – powiedziała równie zrozpaczona Elinor.

– Nigdy nic nie osiągnę, jeśli nie będę próbować – upierała się Klara.

– Zostaw to politykom, to ich zawód – krzyknęła Elinor.

– Wasze pokolenie jest ostatnim, które ślepo wierzyło politykom!

– Nasze pokolenie jakoś sobie radziło bez tych intelektualnych wymysłów – stwierdziła kwaśno Elinor.

– Wasze pokolenie zafundowało nam drugą wojnę światową!

WTOREK, 18 GRUDNIA 1956

Oddając lokajowi płaszcz, Klara miała ochotę odwrócić się na pięcie i uciec, jak zawsze, kiedy pojawiała się na przyjęciu.

Wszyscy wydawali się tacy pewni siebie. Przerazał ją ten tłum nieznanymi ludzi.

Dzisiaj czuła się podwójnie zdenerwowana. Adam przyprowadził ją po raz pierwszy na prywatny wieczór hazardowy, rzecz ostatnio coraz popularniejszą w

Londynie. Zwykle zaczynano grać po kolacji i nie kończono przed świtem. Jedzenie, drinki, na koniec tradycyjne angielskie śniadanie z jajkami na bekonie, serwowano za darmo. Tym razem spotkanie organizował Mike Grant. Dobrze prezentujący się eks-etończyk, były oficer Gwardii, był idealną osobą do wydania wytwornego, choć nielegalnego wieczoru.

Zaproszenia przekazywano telefonicznie – żadnych obciążających dowodów na papierze – tym, którzy mieli dość pieniędzy i ochotę na małe, eleganckie przestępstwo. Przypominało to atmosferę nielegalnych amerykańskich klubów z czasów prohibicji.

Dość było znać miejsca tych spotkań, żeby uchodzić za osobę wytworną. Nikt nie przejmował się niebezpieczeństwem, goście Mike'a Granta byli ludźmi wychowanymi w przeświadczeniu, że policja raczej chroni przed kłopotami, niż ich przysparza. Poza tym możliwość policyjnego nalotu dodawała tylko smaczku potajemnym spotkaniom, a być przyłapanym, przydawało tylko splendoru śmiałkom.

Młodych ludzi z towarzystwa nie mniej fascynowało to, że na hazardujących przyjęciach ocierali się o prawdziwych kryminalistów, z którymi inaczej nigdy by się nie zetknęli. Do ochrony wynajmowano osiłków z półświatka, pilnujących, żeby pijani goście nie zdemolowali wnętrza, a przegrani płacili należne sumy. Ochroniarzy opłacano z wygranych i zawsze któryś z nich był obecny przy grze i późniejszych obliczeniach. Hazardziści z towarzystwa byli zatem po imieniu z najgorszymi menelami z East Endu, co również uchodziło za bardzo szykowne.

Kiedy Klara i Adam weszli do salonu eleganckiej rezydencji na Belgravii, przywitał ich Mike.

– Jesteście w końcu! Mamy dzisiaj ciekawych gości. Zebrała się cała banda z Eton. Czy to jest panna O'Dare? – Mike spojrzał na Klarę rozglądającą się po salonie wypełnionym gośćmi w wieczorowych strojach.

Od wakacji w St Tropez minęły prawie cztery lata. Kościsty podłotek wyrósł na smukłą, delikatną dziewczynę o błyszczących błękitnych oczach, której urodę dzisiejszego wieczoru podkreślała jeszcze piękna suknia z zielonkawoniebieskiego szyfonu.

– Nic się nie zmieniłeś, Mike – powiedziała nieśmiało. Wyczuwała jednak w tym barczystym młodym człowieku pewną nonszalancję, która sprawiała, że w jego obecności czuła się nieswojo.

Adam szepnął do brata coś, czego nie zrozumiała i obydwaj roześmiali się. Zdawali się bardzo z sobą zżyci.

– Wygląda, jakbyś mieszkał tu od lat, Mike – powiedział Adam i roześmiał się znowu.

Kryjąc się przed policją, spotkania organizowano każdego wieczoru w innym miejscu. Mike namawiał szanowanych ludzi z towarzystwa, by wynajęli za dobrą opłatą swój dom na jedną dobę. Czasami robiły to dzieci, kiedy nieświadomi niczego rodzice bawili za granicą albo na wsi. Następnego ranka po grze ciężarówka, którą Mike wynajmował na stałe, przewoziła meble, porcelanę, obrusy, sztuce pod następny adres. Mike zawsze też zlecał jednej i tej samej firmie obsługę przyjęć, nie chcąc polegać na domowej służbie.

– Napijmy się szampana i chodźmy do stołu, gdzie grają w ruletkę – zaproponował Adam, który przyszedł tu nie tylko w celach towarzyskich.

Na prośbę Mike'a pilnował, żeby wszystko przebiegało uczciwie. Zdarzyło się kilka razy, że ochrona przejęła prowadzenie gry, a wtedy zaczynała się szulerka. Menele z East Endu nie mogli pojąć, że można grać „uczciwie”. Rozumieli, że jeleń powinien wygrać trochę na początku po to, by się wciągnął do gry, ale potem całą wygraną powinien wziąć dom. Jeśli przypadkiem zdarzało się, że frajer pomimo wszystko zgarniał dużą sumę, dbano, żeby nie doniósł jej do samochodu. Nikt przecież nie mógł się skarżyć, że został obrabowany. To jednak zdarzało się rzadko, bo frajer na ogół wychodził przegrany – co uznawano za prawo natury.

Mike ufał, że jeśli ktoś będzie próbował wywierać na niego presję, Adam znajdzie sposób, by mu to wyperswadować.

Starszy brat pracował teraz na pełnym etacie w rodzinnej kancelarii. W zeszłym roku skończył aplikaturę adwokacką i teraz świetnie orientował się w problemach prawno-finansowych, hipotekach, prawie własności i umowach notarialnych. Wieczorami, kiedy tylko było to możliwe, uprawiał hazard.

O pierwszej w nocy Klara, zmęczona, chciała wracać do domu, ale Adam nie odchodził od ruletki. Jeszcze raz zaproponował, żeby przyjęła od niego pięćdziesiąt funtów i obstawiła.

– Przyjąć pieniądze od mężczyzny? – Klara pokręciła głową. – Babcia wyrzuciłaby mnie na śnieg bez grosza przy duszy.

– Bzdura. Szaleje za wami. Nigdy nie zostawi żadnej z was bez grosza przy duszy. Czasami ponoszą ją nerwy, ale robi wtedy więcej hałasu niż krzywdy. Popatrz, jak się skończyła wasza sprzeczka. Zgodziła się, żebyś zdała egzaminy wstępne i zaczęła studiować.

– Jutro nie będzie żadnych studiów, jeśli zaraz nie odwieziesz mnie do domu.

– Jeszcze tylko jedna kolejka – obiecał Adam.

Klara, ziewając, przyglądała się, jak Adam obstawia. Była zbyt zmęczona i onieśmielona, żeby rozmawiać z kimkolwiek, poza tym ludzie zebrani w pokoju byli zbyt pochłonięci grą.

Przez stuk toczącej się kulki usłyszała dochodzące z holu odgłosy jakiegoś zamieszania.

Adam drgnął. Nie zwracając uwagi na wygraną, chwycił Klarę mocno za rękę.

– To chyba policja, szybko.

– Ale... mój płaszcz...

Adam pociągnął Klarę do tylnych drzwi. Reszta gości patrzyła nic jeszcze nie rozumiejąc.

– Au, to boli – krzyknęła, ale Adam nie zwracał uwagi. Otworzył jakieś drzwi i pchnął ją na schody prowadzące do suterenu tak gwałtownie, że omal nie zderzyła się z kelnerem, który niósł szampana z kuchni.

Kiedy byli już na dole, usłyszała łomotanie do drzwi frontowych, przy których zebrała się wystraszona służba.

– Wpuść ich lepiej, Erni – doszedł ją czyjś głos. Adam pociągnął ją do tylnych drzwi, wychodzących na ciemny ogród.

– Na prawo od ciebie powinna być drabina. Wchodź i czekaj na mnie na górze.

– Nie dam rady w tym stroju...

Adam zadarł dół jej sukni, owiązał wokół talii i pchnął ją w stronę drabiny. – Wchodź, szybko!

Ściągnęła z nogi srebrny pantofel, drugi zdążyła już zgubić na kuchennych schodach, i zaczęła się powoli wspinać. Drabina chwiała się groźnie przy każdym jej ruchu.

– Ruszaj się, są już w kuchni! – ponaglał Adam szeptem. Wyciągnęła niepewnie rękę, starając się namacać parapet muru, ale dłoń natrafiła na powietrze.

– Szybciej!

Wspięła się jeszcze jeden czy dwa szczeble, raz jeszcze wyciągnęła rękę, znowu natrafiła na powietrze. Ściana miała chyba wysokość Chińskiego Muru!

Wreszcie namacała nierówne, wilgotne, solidne cegły. Poczowała, że drabina zachwiała się pod ciężarem Adama. Pomyślała, że wolałaby dać się złapać, niż ryzykować skręcenie karku w ciemnościach.

Wspięła się o jeszcze jeden szczebel i znowu wyciągnięta dłoń natrafiła na powietrze. Musiała być już na szczycie, należało teraz zejść z drabiny.

Kiedy przykucnęła na parapecie muru, usłyszała, jak z trzaskiem otwierają się

okna. Ktoś krzyknął: – Dwóch do ogrodu!

Adam był już przy niej. Przekonany, że nie zdąży już wciągnąć drabiny, odepchnął ją od muru. Nim zdążyła upaść, był już w sąsiednim ogrodzie.

– Jestem na klombie – krzyknął zduszonym głosem. – Musisz spróbować skoczyć. Jest za ciemno, żebym mógł cię łapać. Skacz, na Boga!

Klara przywarła do muru, zbyt przerażona, żeby skoczyć.

– Co z Mike'em? – szepnęła zdenerwowana.

Adam wahał się przez moment, myśląc, przy jak wielu okazjach Mike go osłaniał. Przypomniał sobie powtarzaną co jakiś czas ceremonię kradzieży czekolady w szkolnym sklepiku ze słodyczami. Wyprowadzony z równowagi właściciel wezwał wreszcie policję. Mike przyznał się (choć nie on był inspiratorem), odmówił podania imienia współnika i dostał solidne lanie od ojca. Pamiętał też zabawy z dzwonieniem do cudzych drzwi. I znowu on był inspiratorem tych dziecięcych wygłupów.

Szybszy od brata, zawsze potrafił umknąć i przyzaić się w czyimś ogrodzie albo pobliskim zaułku, skąd z biciem serca nasłuchiwał, jak przyłapują Mike'a. Potem następowało lanie od ojca i kary, które Mike przyjmował w milczeniu, biorąc wszystko na siebie.

Podobne sceny powtarzały się wielokrotnie i Adam, który zdążył się już przyzwyczaić do braterskich oznak uwielbienia, nigdy nie przyznał się do udziału w chłopięcych awanturach. Teraz także wzruszył ramionami.

– Mike nie będzie miał pretensji. Skacz już wreszcie, na Boga – szepnął w stronę Klary.

Kuchenne drzwi otworzyły się z trzaskiem.

Skoczyła w ciemność, trafiając prosto w ramiona Adama.

Przedzierał się tak szybko jak mogli, przez zarośla w stronę uspiętego domu. Adam wyczuł ręką, że mur się skończył, natrafił na okno, potem na framugę drzwi, kłamkę. Nacisnął, drzwi ustąpiły. Wciągnął Klarę do wnętrza, potem powoli, cicho zamknął drzwi za sobą. Palce natrafiły na klucz tkwiący w zamku. Przekręcił go, po omacku przesunął ręką w górę i pchnął rygiel.

– Adamie, włamaliśmy się do cudzego domu! – szepnęła Klara.

– Mike ma zawsze przygotowaną drogę odwrotu.

– Odepchnąłeś drabinę, nie będzie mógł uciec!

– Babka nie chciałaby chyba, żeby cokolwiek ci się przytrafiło.

– Co teraz zrobimy?

– Przesiedzimy tu do świtu. Potem pożyczymy sobie jakieś płaszcze i

wyjdziemy frontowymi drzwiami.

Zarzucił Klarze na ramiona swoją marynarkę. Siedzieli na kamiennej podłodze starej pomywalni koło kuchni. Klara trzęsła się z zimna i podniecenia. Wieczór z hazardem był w jej wyobrażeniach czymś dekadentckim, oznaką rozwiązłości i próżniactwa, ale równocześnie miło było czuć się przez kilka godzin cynicznym dekadentem.

Od tamtej nocy zawsze w obecności Adama czuła, że jest pod dobrą ochroną i nigdy nie przyszło jej do głowy, że gdyby nie zabrał jej na to przyjęcie, nie byłoby potrzeby ratowania jej z opresji.

Rozdział 9

CZWARTEK, 17 KWIETNIA 1958

Nie zasługujesz na to, żeby jeść śniadanie w łóżku – oświadczyła Buzz, wnosząc tacę do różowej sypialni Annabel. – Ile serc zламаłaś wczorajszego wieczoru?

– Oj, Buzz, kochana, nie odsłaniaj zasłon! Oj! Jakie straszne słońce!

– Już niemal południe. – Buzz z całym okrucieństwem odsłoniła zasłony jeszcze bardziej. Na dole w ogrodzie Elinor ścinała anemony.

Osiemnastoletnia Annabel usiadła na łóżku i przeciągnęła się. Wygląda na więcej, pomyślała Buzz. Ze wszystkich trzech sióstr ona najbardziej przypominała babkę. Miała jej zdecydowane spojrzenie, ten sam wykrój pełnych ust, sprawiających wrażenie zawsze uśmiechniętych, nawet we śnie.

Różnica między debiutem Klary i Annabel polegała na tym, że Annabel wszystko zachwycało. *Lady* Rushleigh i tym razem przyszła z pomocą, a Elinor nie tylko opłaciła wydatki związane z sezonem w Londynie, ale podarowała też Annabel brylantową broszkę, którą dziewczyna sobie upodobała, kiedy nosiła ją babka.

Protegowana *lady* Rushleigh zrobiła prawdziwą konkietę towarzyską. Piękną, niezaradną Annabel, która miała flirt we krwi i potrafiła uśmiechać się zalotnie nawet do listonosza i mleczarza, zawsze otaczał wianuszek mężczyzn. Lekkomyślna, pogodna, frywolna, nie ograniczała kontaktów z mężczyznami do parkietu sali balowej; były jakieś szepty i uściski na balkonach, w taksówkach, nad ranem w salonie londyńskiego mieszkania Elinor. Ekscytował ją zakazany erotyzm. Choćby padała ze zmęczenia po całej przetańczonej nocy, dotknięcie męskiej dłoni, ramię obejmujące ją w pól, śmiała pieszczota zawsze przywracały jej energię.

Drżąc z ciekawości pozwalała na to, na co jeszcze kilka godzin wcześniej była zdecydowana nie przystać. Męska dłoń wsuwała się wtedy pod taftę sukni, dotykała kolana, zaczynała wędrować w górę. W tym punkcie srodze zawiedziony młodzieniec był ekspediowany w ciemną noc.

– Czas się zbierać – powiedziała Buzz, odwracając się ponownie do okna.

Elinor spojrzała w górę, zobaczyła Buzz i pomachała jej ręką. W ogrodniczym stroju nie przypominała legendarnej postaci, którą stała się po śmierci Billy'ego. Buzz z zaskoczeniem śledziła tę przemianę. Neli rozkwitała, odkrywała własną

osobowość, cieszyła się osiągniętym sukcesem.

Amerykański wydawca przygotowywał właśnie serię spotkań autorskich po drugiej stronie Atlantyku. Elinor miała lecieć w towarzystwie Annabel do Nowego Jorku, gdzie zaczynało się jej *tournee*.

– Buzz, czy ktoś zaniósł śniadanie Harry'emu? – spytała Annabel.

Buzz prychnęła, postawiła tacę przed Annabel i odkroiła czubek jajka na miękko z gwałtownością, która miała powiedzieć Annabel, co Buzz myśli o Harrym.

– Nie zwracaj sobie głowy. Jeszcze będziesz lała łzy przez tego chłystka.

– Nie rozumiem, dlaczego go nie lubisz, Buzz. Prawie go nie znasz – obruszyła się Annabel. Buzz przestrzegała ją nieustannie przed zasadzkami miłości.

Buzz naląła sobie kawy i z westchnieniem usiadła na krawędzi łóżka.

– Znam takich Don Juanów. – Buzz wymawiała hiszpańskie „j” jak „dź” – Harry nie kocha cię, dziewczyno. On nikogo nie kocha. Poświęca kobietom wiele uwagi, ale jeleń na rykowisku robi to samo, kiedy widzi łanię. Założę się, że skacze z kwiatka na kwiatek, żeby dowieść samemu sobie, jaki jest męski. – Zmarszczyła czoło. – Zawsze się zastanawiałam, dlaczego na takich uwodzicieli ludzie patrzą jak na bohaterów, a kobietę, która ogląda się za facetami, nazywają nimfomanką.

– Skąd ty wiesz tyle o mężczyznach, Buzz? – zapytała Annabel.

Buzz zawahała się. Nadal, po tylu latach, odczuwała zdziwienie na myśl, że Ginger Higby ją właśnie wybrał. Nadal przechowywała wszystkie jego listy i dwa zdjęcia z dzieciństwa podarowane jej w odruchu dobroci przez jego matkę. Gruba koperta z tymi pamiątkami była wyłącznym śladem miłości życia Buzz.

Uczucia, jakie wywoływało w niej ciało Gintera, sprawiły, że po jego śmierci spróbowała się dotykać, szukając wspomnień minionej namiętności. Ku własnemu zdumieniu odkryła erotyczne uniesienie, którego nigdy nie zaznała w czasie przelotnych z konieczności spotkań z Ginterem. Te samotne doświadczenia sprawiały, że czuła się winna wobec niego, jakby dopuszczała się nieojalności. Instynktownie wiedziała, że to zakazana przyjemność. Dlaczego jednak, pytała sama siebie, fakt, że jakiś nieznany żołnierz przypadkiem nacisnął spust karabinu, miałby pozbawić ją fizycznych odczuć, których już nie mógł dać jej Ginger?

Z westchnieniem spojrzała na piękną Annabel, która mogła mieć każdego mężczyznę, jakiego zapragnęła.

– Wiem, że to łajdak – powiedziała – bo na to mam oczy, panienko, żeby patrzeć. Tacy jak Harry nie zwracają uwagi na stare pudła, jak ja. Nie przyjdzie takiemu do głowy, że go obserwuję. – Harry przypominał jej Billy'ego.

Otworzyły się drzwi i wpadła Miranda w spodniach w szkocką kratę i czarnym swetrze; jej gęste długie włosy miały kolor pomarańczowej marmolady.

– Podoba się wam? – zapytała, kręcąc głową na wszystkie strony. – John French. Kosztowało majątek, cztery gwinee.

– Babcia cię zabije. – Annabel była najwyraźniej pod wielkim wrażeniem.

– Czysta komedia – burknęła Buzz. – Zmyj to, zanim cię zobaczy.

– Nic z tego. To chemia – triumfowała Miranda.

– Z całą pewnością cię zabije – zawyrokowała Annabel. – Damy nie farbują włosów.

– Babcia ma pięćdziesiąt osiem lat i żadnego siwego włosa, fest taką blondynką jak Marilyn Monroe – powiedziała Miranda czupurnie. – Babcia chodzi do Johna Frencha.

– Tu wszystkie jesteście. – Do pokoju zajrzała Klara. – O czym rozmawiacie?

– O miłości. – Annabel przeciągnęła się marzycielsko. – O miłości, która sprawia, że czujesz, jakbyś unosiła się w chmurach, miała mnóstwo energii i nie chciało ci się w ogóle spać.

– Nic dziwnego, że kobiety do niej tęsknią – pokiwała głową Buzz. – Mają czym zająć myśli, kiedy sterczą przy garach. I tu pojawia się wasza babka.

– Babcia? – krzyknęła Annabel z pełnymi ustami. – Jakim sposobem?

– Kiedy kobieta czyta o wspaniałych mężczyznach zapomina, że sama nie ma mężczyzny, albo że ma nie takiego, jak trzeba. Podkochuje się w bohaterze i choć on nie istnieje, to jej uczucia są prawdziwe, że hej. Wczuwa się, jak to mówią.

– To istotny problem literatury eskapistycznej – powiedziała kwaśno Klara. – Wciąga cię w świat fikcji.

Buzz znowu potaknęła.

– Kobiety dają się nabierać na te historie z romansów. Wciąga je to niczym narkotyk, przeżywają wszystko w książkach zamiast w życiu. Są takie, które wybierają się na przyjęcie i marzą, że spotkają tam księcia z bajki, potem wracają do domu z nosem na kwintę.

– Ja nie chcę wyjść za księcia z bajki – powiedziała Klara zdecydowanym tonem. – Chcę spotkać kogoś uczciwego, komu będę mogła zaufać... oprzeć się na nim...

– Nie brzmi to zbyt pociągająco – stwierdziła Annabel, oblizując umazane masłem palce. – Ja chciałabym kogoś silnego... fascynującego... dynamicznego i trochę tajemniczego.

– A ja człowieka czynu – włączyła się Miranda. – Romantycznego wodza, jak

Rupert Reński.

– Utytułowanego? Bogatego? Potężnego? – ironizowała Buzz. – Przystojnego? Błękitnookiego?

– Błękitne oczy nie są konieczne – zgodziła się Annabel.

– A jeśli ten ideał rzeczywiście istnieje? – zapytała Buzz z przekąsem – to co macie mu do zaoferowania? Podobną doskonałość?

– Och, Buzz, tak dobrze się nam rozmawia, a ty zaraz musisz robić wykład – ziewnęła Annabel.

– Próbuję wbić ci trochę rozumu do głowy, nim pan Pożeracz Serc się obudzi. – Buzz sięgnęła po tacę. – Nie ma idealnych mężczyzn, a ci fascynujący tylko unieszczęśliwiają kobiety. – Znowu pomyślała o Billym.

PONIEDZIAŁEK, 21 KWIETNIA 1958

Pomimo odświeżacza powietrza pozbawiona okien garderoba nowojorskiego studia telewizyjnego śmierdziała papierosami i starą kawą.

Ubrana sportowo dziewczyna w za dużej męskiej koszuli wetknęła głowę przez drzwi, dając znak do wyjścia. Elinor podniosła się. Była stremowana, choć sprawiała wrażenie spokojnej i opanowanej. Miała na sobie morelową jedwabną suknię od Diora i taką samą luźną narzutkę, strój stosowny na każdą okazję, nie wymagającą długiej wieczorowej toalety. Dzięki surowej diecie ważyła tyle samo co czterdzieści lat temu. Operacja kosmetyczna usunęła zmarszczki wokół oczu, pozostawiając tylko delikatne bruzdy koło ust, zdradzające jej wiek.

– Powodzenia – szepnęła agentka prasowa wydawcy.

– Rozłóż ich na łopatki – życzyła Annabel ubrana w srebrną tunikę z Bazaaru.

Młody jasnowłosy dziennikarz przedstawił Elinor jako tegoroczną laureatkę międzynarodowej nagrody w dziedzinie romansu, po czym zapytał, jak było do przewidzenia, o przyczyny tak ogromnego sukcesu.

– Sekret dobrej prozy romantycznej polega na tym, żeby patrzeć na świat romantycznie – odpowiedziała z uśmiechem Elinor.

– Są ludzie, którzy mówią, że pani książki to kicz. Co może pani powiedzieć na ten temat?

Agentka wydawcy ostrzegła ją, że Scott Svenson zapamięta każde wypowiedziane przez nią słowo i nie zawaha się użyć go przeciw niej. Udzielanie mu wywiadu nie należało do rzeczy łatwych, był jednak prawdziwą gwiazdą swojej stacji.

– Miliony moich czytelników są przeciwnego zdania – uśmiech nie schodził z ust Elinor. – To, co dzisiaj uchodzi za klasykę, nieraz w chwili powstania obwoływano kiczem. Dickens drukował swoje powieści w gazetowych odcinkach, a prozę Thomasa Hardy'ego nazywano makulaturą. Nawet Szekspir – bardzo komercyjny autor – był oskarżany przez swoich współczesnych, że pisze popularnie.

– A jaki jest pani przepis na popularność?

– Składniki dobrej powieści są proste jak składniki sufletu – stwierdziła Elinor z uśmiechem. – Dobra charakterystyka postaci, wiarygodna, zręcznie skonstruowana fabuła, szczegółowa znajomość źródeł, wartkie dialogi. Trzymam się tego przepisu precyzyjnie. Piszę krótkimi akapitami, nie nadużywam przymiotników i staram się unikać pompatycznego słownictwa.

– Pani sceny erotyczne określa się jako „wodniste”, zgadza się pani z tym?

– W moich powieściach są sceny miłosne, a nie erotyczne. Nie widzę powodu towarzyszyć moim bohaterkom w łóżku. Wszyscy wiemy, jaki obrót przybiera tam akcja.

– Oskarżano panią o brak realizmu w tej dziedzinie.

– Realizm jest ostatnią rzeczą, jakiej oczekują moje czytelniczki, mają go aż nadto w domu. Moje książki to wakacje od codzienności...

Stara lisica, pomyślał Scott. Jak wytrącić ją z tego pogodnego samozadowolenia? Spróbował z innej beczki.

– Chociaż żyje pani w świecie romansu, nigdy nie wyszła pani po raz drugi za mąż. Dlaczego w pani życiu nie ma żadnego mężczyzny?

– Jeśli uznam, że potrzebuję mężczyzny, będę go miała – Elinor nie przestawała się uśmiechać. – Tak jak bohaterka mojej nowej powieści „Złamane serce”... – W końcu pojawiła się przed kamerą po to, żeby zareklamować ostatnią książkę.

Kiedy Annabel i Elinor wychodziły z garderoby, natknęły się na Scotta. Uśmiechnął się do nich swoim chłopięcym uśmiechem, który sprawiał, że kobiety nie pozwalały swoim mężom zmieniać kanału, kiedy pojawiał się na ekranie.

– Była pani wspaniała – powiedział z szacunkiem. – To pani córka? – Pomyślał, że może przesadził trochę z tym komplementem. – Zastanawiam się, czy... Plaża jest tuż obok... Mogę zaprosić panie na drinka?

– Jesteśmy zmęczone po podróży – zbyła go Elinor, która przez cały czas trwania wywiadu była spięta.

Annabel, nie mając ochoty spędzić pierwszego wieczoru w Nowym Jorku w łóżku, ociągała się.

– A może pan wpadnie do nas do hotelu na drinka? – zaproponowała. Zatrzymały się właśnie w Płazie.

Nim zdążyli dotrzeć do apartamentu, Elinor usłyszała, że ma sceniczną osobowość, choć Scott radziłby stosować jeden czy dwa triki przydatne w czasie publicznych występów.

– Od razu wiedziałem – dodał – że pochodzi pani ze Środkowego Zachodu. Odgadłem to nie tylko po pani akcencie, ale i po bezpośredniości, niechęci do pięknych słówek.

– I ja od razu zorientowałam się, że nie zamydłę panu oczu – uśmiechnęła się na te pochlebstwa Elinor.

, Nim opróżnili butelkę szampana, ku rozbawieniu Scotta, zdążyła wypytać go o wszystko.

Pochodził z Cleveland, z Ohio. W ostatniej klasie szkoły średniej zaczął pisać artykuły do szkolnej gazety. Studiował na uniwersytecie środki przekazu. Pracował w gazecie w Cleveland – nie, niestety nie w „Plain Dealerze” – potem trafił do działu zagranicznego tej samej gazety. W tym czasie prywatna stacja telewizyjna w Cleveland poszukiwała młodego, zdolnego dziennikarza. Płacili dwa razy więcej niż gazeta, Scott przyjął tę pracę, po jakimś czasie zaczął przygotowywać swoje własne, niewielkie na razie materiały.

Nie wspominał tylko, że chłopięcy uśmiech i uroda przyniosły mu przezwisko „Pięknsia”.

Miał szczęście, po raz pierwszy pojawił się przed kamerą, kiedy jego lokalna stacja zaczęła zabiegać o młodą widownię i wszyscy dziennikarze i lektorzy powyżej trzydziestki piątki zaczęli potajemnie usuwać zmarszczki i worki spod oczu. Scott pojawił się we właściwym czasie, ale niekoniecznie we właściwym miejscu. Po roku zaczął starania o pracę w redakcji wiadomości w lokalnej stacji w Nowym Jorku. Wkrótce zdobył uznanie dyrekcji rzetelnością informacji i twardą postawą w czasie wywiadów. Ostatnio zaczął prowadzić własne wywiady i przygotowywać cały serwis informacyjny.

O północy Elinor była już w łóżku, zaś Scott i Annabel, która musiała obiecać, że nie wróci za późno, pili następną butelkę szampana w „21”. Kiedy już się z nią uporali, Scott zaproponował przejażdżkę po Central Parku dorożką. Na pożegnanie pocałował Annabel delikatnie w nos, rozmyślając, jak zatrzymać ją w Nowym Jorku. Raptem przyszedł mu do głowy oczywisty pomysł.

– Nie chciałabyś być modelką? – szepnął jej do ucha. – Mogę załatwić ci spotkanie z najlepszym agentem w mieście.

– Wszystkie dziewczęta, które znam, chcą być hostessami albo modelkami – odparła Annabel. – Ale jestem pewna, że babcia się nie zgodzi.

– Więc jej nie pytaj.

Następnego ranka Annabel siedziała naprzeciwko wytwornej czterdziestolatki ubranej w kostium z beżowej gabardyny. Ściana za jej biurkiem pokryta była różnymi cytatami. Scott w skrócie opowiedział jej o Bates Model Agency prowadzonej przez małżeństwo Jenny i Mojżesza Batesów. Przed dziesięciu laty pożyczyci tysiąc dolarów i założyli własną firmę. Po trzech latach mieli już trzydzieści dziewięć modelek i trzysta tysięcy dolarów na koncie. Pani Bates wybierała modelki, mąż zbierał zamówienia. Wprowadzanie na rynek najpiękniejszych kobiet świata nie było trudne, o wiele większy problem stanowiło wyszukiwanie ich.

Co roku przez agencję przewijało się pięć tysięcy dziewcząt, ogłaszali konkursy w całej Ameryce i za granicą. Wielkie wzięcie miały modelki o jasnych włosach, a tych najlepiej było szukać w Niemczech i Skandynawii. Szczególnie przemysł kosmetyczny potrzebował nowych twarzy. Firmy kosmetyczne utyskiwały na wysokie stawki dyktowane przez Batesów, ale płaciły, gdyż i tak nie było tańszego sposobu wynajdywania naprawdę pięknych dziewcząt, które miałyby urodę, wdzięk, klasę oraz były profesjonalistkami, przez co rozumiano punktualność, cierpliwość i miły charakter. To wszystko gwarantowali Batesowie.

– Nie reguluj jej jeszcze brwi, trochę tylko uczesz. Zobaczmy, jak to wyjdzie na zdjęciu – zakomenderowała pani Bates. – Jeszcze raz uważnie przyjrzała się Annabel, stukając ołówkiem w zęby. – Idź umyć twarz. Muszę zobaczyć cię bez makijażu.

– Zrobimy dzisiaj po południu kilka próbnych zdjęć, Janey to załatwi – rzuciła pani Bates krótko, gdy Annabel wróciła z łazienki.

Kiedy zobaczyła odbitki, uśmiechnęła się i poprosiła Annabel na drugie spotkanie.

– Niech ci się nie wydaje, że to łatwa praca. – Pani Bates nachyliła się w stronę Annabel zza swojego wielkiego białego biurka. – Natychmiastowy sukces odnosi zaledwie jeden procent dziewcząt i to niekoniecznie ze względu na urodę, ale dlatego, że dla jakichś dziwnych powodów agencja reklamowa uznaje, iż są „inne” albo „na czasie”. Jeśli dziewczyna chce się wyróżnić spośród reszty, musi mieć w sobie coś, czego nie posiadają inne modelki. Słyszałaś o Suzy Parker? – zapytała pani Bates.

Annabel potaknęła. Kto nie słyszał? Rudowłosa Suzy Parker i jej siostra Dorian

Leigh były najpopularniejszymi modelkami lat pięćdziesiątych. Obydwie miary klasyczną urodę, były wyrafinowane i pełne szczególnego blasku, którym to eufemizmem przemysł kosmetyczny określał seksapil. Teraz szczyt kariery miały już za sobą. Dorian otworzyła agencję modelek w Paryżu, Suzy podpisała kontrakt na film. Miejsca na topie były wolne.

Jenny Bates zastanawiała się, czy Annabel może zająć wakującą pozycję. Miała urodę, wdzięk i wygląd osoby ze starej bogatej rodziny, którego nie da się podrobić. Najbardziej niezwykle były jej rozmarzone błękitne oczy i usta, które powinny wydawać się za duże przy drobnej twarzyczce, a tylko podkreślały jej piękno. Modne były kocie buzie (Leslie Caron, Brigitte Bardot, Audrey Hepburn), Annabel przypominała raczej rysia.

– Wstań jeszcze raz, proszę, i przejdź po pokoju – poleciała pani Bates, mierząc wzrokiem Annabel. Ta dziewczyna nie była zadbana, nie goliła nawet nóg. Trzeba się nią zająć, ale ostrożnie, tak żeby nie straciła wdzięku zaspanej panny, która wyskoczyła właśnie z łóżka.

A wtedy może się okazać w sam raz dla Avanti. Firma szukała dziewczyny, która pracowałaby tylko dla nich. Gotowi byli płacić nawet wtedy, gdy nie mieli zleceń, byle modelka pozostawała do ich wyłącznej dyspozycji. Szukali klasycznej skandynawskiej blondynki, wierząc święcie, podobnie jak wszystkie firmy kosmetyczne, że blond bóstwo potrafi sprzedać wszystko każdemu. Annabel nie była tego typu blondynką, ale umiejętne rozjaśnienie włosów może zdziałać cuda.

W ostatnich latach Avanti stało się poważnym konkurentem Revlonu. Firma liczyła, że ich nowa kampania pobije „Ogień i lód” – reklamę Revlonu z 1952 roku, z Dorian Leigh w obcisłej sukni ze srebrnych cekinów i powiewającej purpurowej pelerynie, uznaną za rewelację nie do pobicia, stanowiącą połączenie elegancji, klasy i zmysłowości. Reklama umiejętnie sugerowała, że w każdej zwykłej kobiecie drzemie nieodparta kusicielka.

Krótką notką od Avantiego mówiła, że szukają dziewczyny, która będzie „dumą i tygrysią”. Dyrektor od spraw reklamy pisał: „młoda, ale nie za młoda, elegancka, wytworna, międzynarodowa, żywa, ale nie hałaśliwa, pełna polotu, ale przystępna, nie za słodka, jednakowo dobrze czująca się na wsi i w mieście”.

Ten ostatni wymóg nie stanowił problemu, jako że Annabel najwyraźniej pochodziła z dobrej rodziny. Zawarta w kontrakcie klauzula moralności mówiła, że jeśli modelka będzie zamieszana w jakiś skandal, który może zaszkodzić interesom firmy, ta ma prawo zerwać umowę ze skutkiem natychmiastowym.

Annabel powinna spędzić jutrzejszy dzień u fryzjera, zdecydowała pani Bates.

Musi rozjaśnić włosy i zmienić fryzurę. Na spotkania w sprawie zleceń powinna mieć wytworniejsze stroje niż ta kremowa kurteczka, a jeśli idzie o fryzjera, pani Bates poleca Bergdorfa.

– Naprawdę musisz jutro jechać do Chicago? – zapytała na koniec Jenny Bates, zastanawiając się, czy rzeczywiście trafiła na kandydatkę do zajęcia pierwszego miejsca wśród modelek.

ŚRODA, 23 KWIETNIA 1958

Coś mi musiało wczoraj zaszkodzić. Może te ostrygi? – jęczała Annabel, która poprzedniego wieczoru specjalnie wybrała ostrygi, wiedząc, że tylko jakaś drobna niedyspozycja przekona Elinor, żeby zostawić wnuczkę samą w Nowym Jorku.

– Nic nie znajduję – orzekł zdziwiony lekarz hotelowy. – Ale powiada pani, że wymiotowała w nocy, zatem coś jej musi dolegać. Nie powinna podróżować. Proszę zostawić ją pod obserwacją. Tu, w hotelu, będzie absolutnie bezpieczna. Będę zaglądał do niej codziennie i informował panią o jej stanie.

Agentka prasowa wydawcy, która już się bała, że Elinor odłoży odlot do Chicago, posłała mu pełne wdzięczności spojrzenie.

– Nie mogę zostawić dziecka samego w Nowym Jorku – wahała się Elinor. – Tym bardziej chorego. – Nie była jednak pewna swoich słów. Wiedziała dobrze, ile wysiłków i pieniędzy kosztowało jej wydawcę przygotowanie tego amerykańskiego *tournee*.

– Pani wnuczce nie dolega nic poważnego – zapewniał lekarz. – Za kilka dni wszystko będzie w porządku.

– Nie, nie mogę zostawić Annabel samej – zdecydowała Elinor.

– Nie może pani rozczarować ludzi, którzy pani oczekują. Spotkania są już umówione, obiady na pani cześć... – błagała agentka.

– Przykro mi. – Elinor pokręciła z uporem głową.

– Nie mogłabyś poprosić Buzz, żeby przyleciała? – zapytała Annabel. – Chociaż zanim tu dotrze, ja już pewnie dołączę do ciebie w Chicago.

– To może być rozwiązanie. – Elinor podeszła do telefonu.

Zaskoczona Buzz zgodziła się przylecieć pierwszym samolotem, po czym zażądała rozmowy z Annabel na temat objawów. – Atak kolki – stwierdziła bezapelacyjnie. – Kładź się do łóżka z termoforem i czekaj na mnie.

– Dobrze – bąknęła, czując się coraz bardziej niewyraźnie.

Annabel leżała w łóżku do odlotu babki, po czym odrzuciła kołdrę, ściągnęła

koszulę i odtańczyła szalony taniec derwisza na środku pokoju. Była wolna! Była sama w Nowym Jorku! Sama w hotelu!

Podbiegła do okna i spojrzała na drzewa w Central Parku. Na prawo skrzyła się w słońcu fontanna, gdzieś dalej tętniła życiem Piąta Aleja, jeszcze gdzieś dalej była agencja Batesów, gdzie przesądzi się jej przyszłość, może jej całe życie...

Jenny Bates nie miała pojęcia, że Annabel udała chorobę, żeby zostać w mieście. Wiedziała, że dziewczyna nie ma pieniędzy, chociaż mogła zamawiać w Płazie co chciała. Ze wszystkimi Brytyjczykami było tak samo. Mogli wywozić z kraju tylko śmiesznie niskie sumy i polegać na pieniądzach zagranicznych przyjaciół.

Jeszcze tego samego dnia pani Bates zaprowadziła Annabel do Bergdorfa Goodmana i kupiła nowe stroje, wszystko na poczet przyszłych zarobków.

W porze lunchu Annabel zadzwoniła do Buzz z nadzieją, że jeszcze nie jest za późno na odwołanie jej przylotu do Nowego Jorku. Powiedziała, że kolka minęła i że jutro dołączy do Elinor w Chicago.

– Bogu dziękować – odetchnęła Buzz. – Wystraszyłaś nas. Kładź się do łóżka i rób, co lekarz każe.

– Na pewno – obiecała Annabel i pobiegła do Saksa.

Następnego ranka, po kolejnej upojnej sesji w sklepach, Annabel stanęła przed purpurowymi drzwiami salonu Elizabeth Arden przy Piątej Alei, gdzie była umówiona na zabiegi kosmetyczne. Pięć godzin później wyszła idealnie zadbana, z dobranym starannie do jej cery i urody makijażem, sztucznymi rzęsami i sztucznymi paznokciami. Miała rozjaśnione włosy, trwałą ondulację oraz nową fryzurę. Roberto zaprojektował dla niej perukę i dwie treski, które miały być gotowe za trzy tygodnie.

Szybko wróciła do hotelu i zadzwoniła do Buzz, powiedzieć że ma się już dobrze i pewnie poleci następnego dnia do Elinor do Chicago.

– Dobra wiadomość – powiedziała Buzz. – Żałuję, że nie mogę sama porozmawiać z Neli, ale na połączenie trzeba czekać godzinami. Telefonistka w Warminster wścieka się, jak zamawiać Londyn, a co dopiero Nowy Jork!

– Ucałuję babcię od ciebie – zapewniła ją Annabel i pobiegła do Bloomingdale'a.

Wieczorem w rozmowie z Elinor zastosowała tę samą taktykę „może jutro”. Biorąc pod uwagę, że matki były kiedyś córkami, strasznie łatwo wyprowadzić je w pole, rozmyślała Annabel, czekając aż Scott skończy program.

Następnego dnia poszła znowu do Elizabeth Arden na kurs ćwiczeń gimnastycznych. Specjalistka zaleciła ćwiczenia różnych mięśni, także tych, o

których posiadaniu Annabel nie miała pojęcia, oraz korektę postawy. Nauczyła Annabel unosić żebra i „boksować” pięściami brzuch i pupę, jak robią to baletnice przed występem, oraz chodzić, jakby trzymała monetę między pośladkami.

– Nigdy nie zdawałam sobie sprawy, że być piękną to taka ciężka praca – wyznała Scottowi, kiedy wieczorem pili martini w barze hotelowym.

Scott patrzył na nią kompletnie ogłupiały. W ciągu czterech dni Annabel przeistoczyła się w drapieżną, choć paradoksalnie subtelniejszą istotę; delikatną, uszczęśliwioną, skoncentrowaną, gotową do skoku.

Jenny Bates miała nadzieję, że film odda tę absolutną pewność siebie, odróżniającą dziewczynę od reszty modelek ze stajni Batesów. Oto, myślała, nowy obraz kobiety, kobiety nadchodzących lat sześćdziesiątych.

Pani Bates uznała, że nim Annabel zostanie zaprezentowana u Avantiego, powinna oswoić się z kamerą. Inaczej zdjęcia przekażą tylko dwadzieścia procent jej możliwości. Oglądała właśnie kolejne odbitki, gdy zadzwonił rozgorączkowany fotograf. Umówiona modelka rozchorowała się właśnie, potrzebował nagłego zastępstwa. Klient żądał blondynki.

– Zaryzykujesz z obiecującą nowicjuską? – zapytała pani Bates.

– Przysyłaj ją natychmiast.

W czasie pierwszego seansu Annabel była sztywna i zdenerwowana. Czula się jak manekin; każdy ruch wymagał wysiłku woli.

– Wyluzuj się, dziewczyno – radził fotograf, który powtarzał to samo od trzydziestu lat. – Zapomnij o wszystkim poza kamerą. Nie zwracaj uwagi na nikogo w studio. Śmieję się, mów, patrz do kamery, jakbyś była w niej zakochana. – Cieszył się, że sesja została uratowana, ale miał świadomość, że zdjęcia nie wyjdą rewelacyjnie. Nowicjuszki muszą się wiele nauczyć.

Nowicjuszki łatwo wykorzystywać, powiedział jej Scott, kiedy wieczorem poszli na *fettuccini* do „Cafe des Artistes”. – Młode modelki muszą się strzec fotografów, szczególnie starych. – Nie daj się nabrać na ich wielką sztukę ani na charyzmatyczny autorytet „tatusia”. Ci faceci lubią pokazywać się wszędzie z najmodniejszą buzią i mieć dziewczynę całkowicie pod swoją kontrolą.

– Pilnuj mnie lepiej – odpowiedziała Annabel.

– Będę uważał na każdy twój krok – zapewnił.

– Mam szczęście. – Rozmarzona Annabel zignorowała ostrzeżenie. Ona nigdy nie miała kłopotów ze starszymi mężczyznami. Potrafiła owijać ich sobie wokół małego palca z równą łatwością, jak czyniła to z młodszymi. W Scotcie intrygowało ją to, że nie pozwalał wodzić się za nos. Cudowne w nim było też to,

że nie osądzał, mogła mówić z nim tak otwarcie, jak jeszcze z żadnym mężczyzną, jak rozmawiała z siostrami. Ich spotkania pełne były śmiechu i radości. Poza tym w rzeczywistości Scott był jeszcze przystojniejszy niż na ekranie telewizora.

W drodze na spotkania aranżowane przez agencję, Annabel oglądała miasto z okien taksówek. Najbardziej spodobał się jej spiczasty srebrny szczyt Chrysler Building, jak wymyślony przez czarownika z Oz, i widywane w tylu filmach wieżowce ze szkła i stali wokół południowej części Central Parku. Chociaż i gdzie indziej znajdowała oznaki ekscentrycznej brawury (wieżowce mieszkalne z elementami architektury neogotyckiej, mauretańskiej czy egipskiej), generalnie Manhattan pozbawiony był uroku, hałaśliwy, zatłoczony, brudny. Pomimo to, zafascynowana obserwowała gorączkowe, tętniące całą dobę z nie słabnącą intensywnością życie miasta, z ciągłym wyciem syren wozów policyjnych i tajemniczą parą unoszącą się ze studzienek kanalizacyjnych niczym wprost z piekła. Wielojęzyczna mieszanina narodowości, ras i religii zdawała się tolerować każde zachowanie. Widać było od razu, że w Nowym Jorku człowiek może żyć, jak mu się żywnie podoba.

Po piątej wizycie „domowej” hotelowy lekarz spojrzał na Annabel znad okularów i dość chłodno powiedział, że nie może się doszukać u niej żadnych oznak choroby, o czym poinformuje babkę.

– Będzie panu trudno się z nią skontaktować – uprzedziła Annabel. – Babcia jest w Chicago, stamtąd leci do Los Angeles. Całe dni ma wypełnione spotkaniami i rozdawaniem autografów, wieczorami bierze udział w obiadach literackich. Jest bardzo, bardzo zajęta. – W rozmowach telefonicznych z Annabel sprawiała wrażenie wykończonej, a jej amerykański akcent był wyraźniejszy, jak zawsze, kiedy czuła się przemęczona.

Kiedy Elinor znowu zadzwoniła, Annabel poinformowała ją o swoim ozdrowieniu, powiadając, że wolałaby zostać w Nowym Jorku. Tyle tu było ciekawych rzeczy: w Metropolitan zaczynała się seria odczytów o impresjonizmie, herbatki w Palm Court, poznała dziewczynę, która studiowała historię u Sarah Lawrence. Może Elinor mogłaby poprosić wydawcę, żeby poznał ją z innymi ciekawymi dziewczętami?

Po krótkiej sprzeczce Elinor przyznała, że jej *tournee* jest rzeczywiście bardzo męcząca.

– Sama widzisz, babciu, że nie ma sensu, żebyś ciągnęła mnie ze sobą.

– Może to rzeczywiście dobrze, że siedzisz w Nowym Jorku... cieszę się kochanie, że nie jesteś sama. A przy okazji, odzywał się do ciebie ten przemily

dziennikarz z telewizji?

– Jadłam z nim wczoraj lunch – powiedziała Annabel, usiłując nadać swojemu głosowi możliwie najbardziej nonszalancki ton. – Oprowadzał mnie po swojej stacji telewizyjnej.

– Tak mówisz, jakbyś miała trochę gorączki. Jesteś pewna, że już całkiem wyzdrowiałaś?

– Ależ tak. Chodzę na długie spacerunki. Mam dużo ruchu. Tyle tu jest do zobaczenia. – Zamknij się wreszcie, powiedziała sobie. Miranda twierdziła, że zawsze wie, kiedy Annabel kłamie, bo mówiła wtedy zbyt wiele, terkocząc jak karabin maszynowy.

W rzeczywistości nie widywała Scotta tak często, jak by chciała. Pracował bez przerwy od dziesiątej rano do jedenastej wieczorem, kiedy kończył się program telewizyjny. Ich spotkania w ciągu dnia były krótkie. Po zakończeniu programu zabierał Annabel do zadymionych barów, gdzie pianiści wygrywali stare melodie Gershwin, do mrocznych klubów jazzowych albo na przyjęcia w Soho urządzone przez artystów awangardy na strychach i w starych magazynach zamienionych na pracownie. Scotta bawiło to, że bohema zamieszkiwała miejsca, gdzie niegdyś składowano warzywa dla całego miasta.

Z początkiem drugiego tygodnia na Manhattanie Annabel zaczęła się oswajać z kamerą. Woliała zdjęcia w atelier niż sesje plenerowe, gdzie zawsze były kłopoty ze światłem i gdzie zawsze okazywało się, że brakuje czegoś niezbędnego.

Ku swojemu zaskoczeniu odkrywała, że przebieganie się przez cały dzień jest naprawdę męczącym zajęciem. Pod koniec pracy, kiedy wszyscy byli już zmęczeni, jej twarz musiała nadal sprawiać wrażenie wypoczętej. Ale nauczyła się i tego, żeby na zawołanie tryskało z niej życie i energia.

Ku swojemu zaskoczeniu odkryła również, że modelki traktuje się, jakby były figurkami z drewna, pozbawionymi uczuć i myśli. Nikt się nimi nie przejmował. Były niczym, póki nie stawały przed obiektywem. Wtedy należała się im zachęta, komplement, słowo otuchy.

W trzecim tygodniu bez przerwy bolały ją stopy, ale teraz, kiedy zyskała nieskazitelną oprawę, z każdym otrzymanym zleceniem stawała się pewniejsza siebie, a z każdym zawodem twardsza. Obojętnie jak sławna i doświadczona, przed każdym nowym zleceniem modelka musiała przejść próby, co oznaczało, że na dziesięć oglądanych dziewcząt dziewięć miało odpaść. Często powodem odrzucenia nie był brak urody; po prostu ta była za wysoka, tamta znowu za niska, inna nie nadawała się akurat do określonej reklamy. Młode modelki podchodziły

do tego z filozoficznym spokojem, ale na twarzach tych, które zbliżały się do magicznej daty dwudziestych piątych urodzin, widać było napięcie i niepokój.

SOBOTA, 10 MAJA 1958

Na dzień przed powrotem Elinor do Nowego Jorku Annabel miała iść na pierwsze zdjęcia próbne dla Avanti.

W dużym atelier u zbiegu Czterdziestej Szóstej i Piątej Alei pełno było podwieszonych pod sufitem rolek, z których zwieszały się różnokolorowe papierowe zastawki, na czarnym linoleum wiły się czarne kable reflektorów, stanowiące zagrożenie, nawet jeśli wiedziało się, gdzie przechodzą. W kącie na składanych krzesłach siedziała grupka mężczyzn z zarządu firmy kosmetycznej i BBSQ, agencji reklamowej. W tej części atelier panował mrok.

Światła skupiały się na czarnej zastawce, na tle której miały się prezentować modelki.

Drzwi garderoby otworzyły się.

– Annabel O’Dare – wywołała kolejne nazwisko asystentka.

Annabel, która cały czas stała, nie chcąc pognieść sukni z białej piki, wyszła w oślepiające światło reflektorów.

– Na pewno dostaniesz tę pracę – mruknął Scott, kiedy wieczorem siedzieli w nocnym klubie. Odchylił kołnierzyk jej bluzki i delikatnie dmuchnął w kark. Przeszedł ją dreszcz miłego podniecenia, ale Scott nie wykonał żadnego następnego gestu. Domyślał się, że wokół Annabel uwija się mnóstwo młodych ludzi, postanowił więc nie naciskać tak długo, aż wzbudzi to jej niepokój. Wiedział, że w ciągu dnia spotyka innych mężczyzn, ale że codziennie pojawiała się na spotkaniu z nim o jedenastej wieczorem. Wiedział też, że mężczyźni ci nie mogli pokrzyżować mu planów, a plan Scotta zakładał rozkochać ją w sobie tak bardzo, żeby to ona zabiegała o niego.

Jeszcze raz delikatnie dmuchnął jej w plecy.

– Gdzie się tego nauczyłeś? – zapytała szeptem.

– W burdelach Hongkongu – odpowiedział też szeptem.

– Nie wierzę ci.

– Naprawdę. Udało mi się spędzić tam kilka tygodni, kiedy pracowałem w dziale zagranicznym w Cleveland.

– Naprawdę spotkałeś... eee... chińskie prostytutki? – Annabel była tyleż zaintrygowana, co oburzona.

– Bardzo naprawdę. Wiele się od nich nauczyłem.

Korciło ją, żeby się czegoś dowiedzieć, ale nie chciała pytać.

Następnego dnia w saloniku apartamentu w Płazie Elinor jeszcze raz spojrzała na wnuczkę; nie tylko wyglądała zupełnie inaczej – o dziesięć lat poważniej – ale i zachowywała się z nie znaną dotąd pewnością siebie. Jak to możliwe, że przez trzy tygodnie jej skarb tak się zmienił?

– Co to znaczy, że nie wracasz ze mną do Anglii? Naturalnie, że lecisz jutro ze mną. Nie będziemy więcej dyskutować na ten temat.

– Wiem, że jesteś zmęczona, babciu, ale jeśli teraz nie powiem ci wszystkiego, powiesz potem, że cię oszukiwałam. Zostaję na Manhattanie.

– Nie, nie zostaniesz tutaj! Poza wszystkim masz tylko czterotygodniową wizę turystyczną! Będziesz musiała wyjechać.

Elinor nie mogła się nadziwić buńczuczności wnuczki. Rozumiałaby, gdyby Miranda zachowywała się w ten sposób. Ale Annabel była zawsze łagodna i posłuszna.

– Chodzi o tego młodego człowieka, tak? – Elinor nagle pojęła, skąd ten gwałtowny opór. – O tego dziennikarza. – Wzięła głęboki oddech. – Co chciałaś powiedzieć, mówiąc, że musisz powiedzieć mi wszystko, bo nie możesz mnie oszukiwać? Czy ty... Czyś pozwoliła... To znaczy... czy poszłaś z nim do łóżka? – wykrztusiła Elinor rumieniąc się.

– Nie, babciu – odparła Annabel zgodnie z prawdą. – To nie zdarzyło się w łóżku, tylko na dywanie w mieszkaniu Scotta.

– I dlatego chcesz tutaj zostać?

– Babciu, mam szansę na wspaniałą pracę modelki.

– Jeśli chcesz być modelką, możesz to robić w Londynie, nie będziesz sama i nie będziesz musiała starać się o pozwolenie na pracę. W Londynie będę cię miała blisko siebie. Manhattan to nie miejsce dla młodej dziewczyny!

– Babciu, adwokat pani Bates mówi, że nie będzie kłopotów z pozwoleniem na pracę...

– Któż to jest pani Bates, jeśli łaska?

– Lepiej, żebyś sama się przekonała.

W trakcie lunchu Elinor trochę się uspokoiła. Pani Bates okazała się elegancką kobietą o miłym sposobie bycia i nienagannych manierach. Pan Bates, absolwent uniwersytetu Harvarda, robił wrażenie solidnego i godnego zaufania człowieka. Nie krył, że rozumie i podziela troskę Elinor o los wnuczki.

– Szczycimy się tym, że dbamy o nasze modelki jak o własne córki – zaręczał.

– Dziewczęta muszą zdawać sobie sprawę, że ich reputacja i nasza reputacja to jedno.

Elinor spojrzała na błagalną minę Annabel, potem znów na budzącą zaufanie twarz pana Batesa.

– Bardzo dobrze – powiedziała z ociąganiem. – Annabel może zostać jeszcze przez miesiąc, pod warunkiem że zamieszka w pensjonacie dla młodych panienek poleconym przez państwa.

WTOREK, 13 MAJA 1958

Nie ma co tak rozpaczać, Annabel przecież nie umarła – powiedziała Buzz witając zmęczoną, smutną Elinor w Starlings. Z rozmowy telefonicznej знаła już najnowszą wiadomość. – Możesz dzwonić do Nowego Jorku, kiedy zechcesz, musisz tylko poczekać godzinkę albo dwie na połączenie.

Elinor powoli zdjęła płaszcz.

– Gdzie są Klara i Miranda?

– Na zakupach w Warminster. Myślałyśmy, że przyjedziesz dopiero za kilka godzin. Potrzebna ci teraz gorąca kąpiel.

Elinor leżała w wannie zastanawiając się, czy przyczyną bólu we wszystkich kościach jest starość, czy dwunastogodzinny lot trzęsącym się samolotem. Po kąpeli ubrała się w nieprzemakalny płaszcz, gumiaki i poszła porozmawiać z głównym ogrodnikiem, panem Jeffreysem, który siał właśnie groszki pachnące i nasturcje. Potem długo chodziła po ogrodzie, ciekawa zmian, jakie zaszły pod jej nieobecność. Kiedy podziwiała wistarię pnącą się po murze koło kuchni, dołączyła do niej Buzz. Spacerowały w milczeniu, ciesząc się wiosennym słońcem.

– Nie zatrzymasz ich na zawsze – odezwała się wreszcie Buzz.

– Aż do dzisiaj nie zastanawiałam się nigdy nad tym, że któregoś dnia wszystkie trzy pójdą w świat, nie odwracając się ani nie myśląc o nas.

– To naturalne. Nie chciałabyś chyba, żeby było inaczej.

Elinor była niepokieszona. Chciała naturalnie, żeby wnuczki wyszły za mąż i miały dzieci, a tego nie dało się zrobić nie opuszczając domu. Tylko że Annabel nie wyfrunęła z domu ze względu na małżeństwo, a z powodu pracy, choć Bóg jeden wie, po co jej ona była potrzebna.

– Klara ma też wieści dla ciebie – odezwała się Buzz, kiedy *t* skręciły w stronę domu. – Nic złego, ale nie będziesz zadowolona. Nie, nie, niech ona sama ci powie, to jej sprawy. Upprzedzam tylko, żeby cię nie poniosło i żebyś nie powiedziała

czegoś, czego byś później żałowała. Pamiętaj, że Klara potrafi być tak samo uparta jak ty. – Buzz zaczęła szukać czegoś w kieszeni. – Byłabym zapomniała! Mam tu list, który powinien poprawić ci humor. Reszta poczty może poczekać do jutra.

Elinor wzięła do ręki kremową kopertę z herbem O'Darych tłoczonym na odwrocie i szybko zaczęła przebiegać oczami list od swojej szwagierki Marjorie. „... od śmierci Johna... oczywiście moja synowa jest bardzo zaradna... mówiąc wprost czuję się niepotrzebna... mam nadzieję, że puściłaś w niepamięć... dawne dzieje... chciałabym przyjechać do ciebie... tyle czasu... naprawdę samotna... ”

Elinor wpatrywała się w list. Przez lata znosiła złośliwe przycinki Marjorie. Teraz wyglądało, że nadszedł czas zawieszenia broni. Może powinna zaprosić Marjorie do Starlings i wziąć odwet, olśniewając ją swoim sukcesem. Albo napisać kąśliwy list, w którym przypomniaby szwagierce jej rozmyślne złośliwości i okrucieństwa.

Przeczytała raz jeszcze list, który przed laty dałby jej powód do satysfakcji. Teraz, kiedy mogła się zrewanżować, zemsta wydała się jej bezzasadna.

Powoli podarła list na drobne kawałki.

– Bez odpowiedzi – powiedziała i wyrzuciła strzępy papieru.

Przez okna sypialni usłyszała podjeżdżający pod dom sportowy Triumph Klary, potem śmiechy, szczekanie labradorów i trzaśnięcie frontowych drzwi.

Klara i Miranda wpadły do pokoju babki i rzuciły się jej na szyję.

– Tak się za tobą stęskniłyśmy, babuniu.

Kiedy dała już dziewczętom prezenty (kostiumy i torby od Bloomingdale'a) i odpowiedziała na wszystkie pytania o pracę Annabel i o jej amerykańskiego chłopaka, zapytała na wpół żartem:

– Co to za okropna wiadomość, którą masz dla mnie, Klaro?

Klara stała przed lustrem, przymierzając nowy kostium.

Wzięła głęboki oddech i powiedziała:

– Zaczęłam pracować w Londynie jako wolontariuszka.

– Ależ to świetnie. W Czerwonym Krzyżu?

– Nie – odpowiedziała Klara. – KRRN. Ruch przeciwko bombie atomowej. Kiedy powiedziałam ci w zeszłym miesiącu, że jadę do Bedfordów, naprawdę brałam udział w marszu protestacyjnym w Aldermaston, gdzie się zebrało dwanaście tysięcy ludzi. – Klara spojrzała błagalnie na Elinor. – Och, babciu, gdybyś mogła zobaczyć tych wszystkich ludzi, matki z małymi dziećmi, które nie chcą, żeby została po nich plama na asfalcie... W każdym razie, kiedy cię nie było, zgodziłam się pracować w londyńskim biurze KRRN.

– A co z twoim kursem socjologii? – zapytała Elinor.

– Może poczekać. A ta praca nie może. Co za pożytek z dyplomu z socjologii, jeśli świat wyleci w powietrze.

Elinor była wdzięczna Buzz za ostrzeżenie. Dopiero co pożegnała się z jedną wnuczką, nie powinna zrażać do siebie drugiej.

– Jestem z ciebie bardzo dumna, Klaro – powiedziała, walcząc z konsternacją. – Musisz mi wszystko opowiedzieć. Chciałabym wam jakoś pomóc. Gdzie to ja położyłam książeczkę czekową?

SOBOTA, 24 MAJA 1958

Małe mieszkanie Scotta na Wschodniej Jedenastej robiło wrażenie równocześnie pustego i w całości wypełnionego papierem: gazety, listy, fiszki i teczki leżały na stołach, krzesłach i na podłodze.

Gorące popołudnie zwiastowało nadchodzące upalne lato. Scott miał na sobie tylko dzinsy. Przechylił się na obrotowym krześle z czarnej skóry, wypił łyk wina, włączył adapter i powiedział:

– W porządku, jestem gotów.

Speszona Annabel wysunęła się z kuchni ubrana w wytworny, lekki kostium od Bergdorfa.

– Nie za wiele ciuchów i nie za dużo guzików, bo zasnę – ostrzegł Scott.

Rozpuściła włosy i zaczęła się sztywno poruszać w takt muzyki. Rozpięła spódnicę, która opadła na podłogę, była teraz w samym żakiecie, czarnych francuskich figach, pończochach z podwiązkami i dziesięciocentymetrowych szpilkach.

– Jeszcze wolniej – powiedział Scott. – I patrz dumnie. To ma być ćwiczenie terapeutyczne, które ma ci pomóc pokonać wstydlivość, tak żebym od czasu do czasu mógł zapalić światło.

– Ten żakiet ma tylko dwa guziki i jeszcze go nie zdjęłam. Wolniej już chyba nie można.

– Nie zdejmuj butów – przypomniał Scott.

– To jak zdejmę pończochy?

Nie skończyła jeszcze mówić, kiedy rozdzwonił się telefon. Zamarła z oczami utkwionymi w aparat.

– Powinienem był odłożyć słuchawkę. Nie zwracaj uwagi.

– Kochanie, nie mogę. Zostawiłam w agencji twój numer. Powiedzieli, że będą

wiedzieli przed wieczorem. – Skoczyła do telefonu. – Tak, słucham... Dostałam? To wspaniała wiadomość! Dostałam pracę! – Odwróciła się do Scotta.

– Gratuluję – powiedział tonem, w którym trudno było się doszukać entuzjazmu. Od tej chwili Annabel miała być olśniewającą postacią skupiającą powszechną uwagę. Jeszcze dzisiaj wieczorem będzie o niej mówił cały Nowy Jork. Mężczyźni zaczną do niej wydzwaniać, przysyłać kwiaty, zapraszać na obiady.

– Musimy to jakoś uczcić, Scott! – Annabel wirowała po pokoju z szeroko rozpostartymi ramionami.

– Pobierzmy się – oświadczył zdecydowanie.

– Mówisz serio? – Annabel stanęła.

– Udowodnię ci.

Jakiś czas później uniósł potarganą głowę z pościeli.

– Nie mogę iść do ołtarza z kłamstwem na ustach – stwierdził.

– Co to znaczy?

– Nigdy nie byłem w Hongkongu.

– Wymyśliłeś te bzdury?

– Niezupełnie... Au! Mój brat pracuje dla importera zabawek i wysłali go na pół roku do Hongkongu. To on mi opowiadał te wszystkie historie. Au!

Rozdział 10

WTOREK, 27 MAJA 1958

Klara, która zawsze marzyła, żeby zobaczyć, jak się kręci film, wycygała zaproszenie na plan „Zbożowego wyścigu” od cichego, tęgiego młodzieńca z ciemnymi włosami poskręcany jak u owcy, którego poznała w czasie marszu protestacyjnego. Steve był grafikiem i opracowywał napisy do czołówki filmu opartego na dziewiętnastowiecznej powieści marynistycznej.

Trzęsła się z zimna stojąc na nabrzeżu Cargilla przy nie używanych już londyńskich dokach poniżej Tower Bridge na Tamizie. Dzień jest słoneczny, ale chłodny, bardziej marcowy niż majowy, pomyślała Klara żałując, że nie wzięła szalika. Ubrana była w tweedowy kostium i prochowiec. Została przedstawiona jako niezależna dziennikarka i teraz starała się nie przeszkadzać; stanęła obok stosu beczek z tyłu brukowanego nabrzeża, gdzie aktorzy w dziewiętnastowiecznych kostiumach czekali na dodatkowe zdjęcia.

W ubiegłym tygodniu zakończono sceny w atelier Pinewood Studios, tu kręcono ostatnie sceny plenerowe. Niektóre z nich powinny się dziać w porcie Liverpool, ale ponieważ tamtejsze stare doki były zamulone i nie nadawały się do użytku, kręcono więc te ujęcia na nie używanej części nabrzeża Cargilla.

„Zbożowy wyścig” był historią dwóch braci; starszy był żądnym przygód awanturnikiem, młodszy – uroczym i pozornie delikatnym łotrem. Odziedziczywszy trzymasztowy szkuner, bracia, łącząc bezwzględność i szczęście w interesach, stworzyli imperium morskie, z którego młodszy stopniowo wygryza starszego. Ostatecznie dochodzi do konfrontacji, gdy obaj bracia ścigają się dookoła przylądka Horn. Przyczyną zawodów jest też żona szypra jednego ze szkunerów.

Aktorzy w strojach do podróży morskiej rozmawiali z reżyserem, szczupłym facetem w drogich dżinsach. Klara słyszała głos Wiliama Holdena, grającego starszego brata. Justin Watton, chudy, giętki i rudowłosy, który dopiero zaczynał dostawać większe role, grał młodszego brata, a Simone Signoret, również stojąca w tej grupie, grała żonę szypra.

Holden klócił się o sposób ekspresji w pewnej scenie.

– Każdy, kto zobaczy, jak Simone na mnie spogląda, natychmiast będzie wiedział, że ona za mną szaleje.

Mimo zimna Klara zafascynowana obserwowała, jak aktorzy dyskutowali scenę, próbowali ją dwa razy, a potem poprawiali.

Reżyser już otworzył usta, by powiedzieć „Akcja”, lecz nagle się rozmyślił.

– Potrzebuję więcej beczek, większy stos. Musimy zasłonić okno tamtego budynku naprzeciwko.

Grupa asystentów skierowała się w stronę Klary, stojącej przed stosem zapasowych beczek. Na moment wycofała się, a później znów wsunęła na poprzednie miejsce.

Przed kamerą pojawił się klaps z napisem „Ujecie 2”, a reżyser krzyknął: „Akcja!”

Klary wrzasnęła. Ktoś z tyłu ją popchnął i poleciała gwałtownie do przodu. Leżała twarzą w dół, a jakieś ciężkie, obce ciało przygniatało ją do ziemi. Wokół nich, po kocich łbach, turlały się beczki.

– Co wy, do cholery, wyprawiacie? – rozległ się donośny głos ponad jej głową.

– Przecież te beczki nie były porządnie ułożone. Gdybym dziewczyny nie odepchnął, zwałyby się na nią. Mogłyby jej zrobić krzywdę.

Mężczyzna wygramolił się i pomógł Klarze wstać. Zbudowany był jak niedźwiedź; miał zniszczoną, opaloną twarz, wesołe czarne oczy i masę czarnych włosów. Pokrywały mu nadgarstki, wymykały się spod nie dopiętej na piersi koszuli. Popatrzył uważnie na Klarę, na jej zdartą na rękach skórę, brudną twarz i ubranie.

– Niech pani pójdzie do garderoby. Zaraz zawołamy lekarza.

Miał wyraźny amerykański akcent.

– Och, proszę sobie nie robić kłopotu z lekarzem. Muszę się tylko umyć i oczyścić.

– Zawołajcie lekarza! – rozkazał mężczyzna. Chciał mieć pewność, że nie doszło do żadnego poważniejszego urazu, na wypadek ewentualnych fałszywych roszczeń ubezpieczeniowych.

Gdy się uśmiechnął, zauważyła, że miał trochę nierówne zęby; pewnie nie chciało mu się o nie zadbać, wszyscy pozostali Amerykanie prezentowali bowiem nienaganne, równiutkie, kosztowne uzębienie.

Godzinę później Klara znów była na planie, ale tym razem siedziała na płóciennym krześle reżysera. Niedźwiedziowaty mężczyzna – producent, Sam Shapiro, siedział obok niej. Chociaż atmosfera na planie była nieco napięta, radosny nastrój Sama udzielał się wszystkim. Klara oceniła, że ma on około czterdziestki, zauważyła też, że dominuje swą potężną postacią i zwierzęcą energią.

– Całe szczęście, że dziś przyszedłem – powiedział. – Nie zawsze jestem na planie w czasie zdjęć.

– To skąd wiesz, co się dzieje?

– Codziennie wieczorem oglądam, co nakręcono, kiedy wybieramy najlepsze ujęcia.

– A dlaczego dzisiaj jesteś? – spytała Klara.

Wzruszył ramionami.

– Kręcenie zawsze jest ciężką pracą, ale w ostatnim tygodniu, kiedy wszyscy są wykończeni, reżyser szczególnie potrzebuje wsparcia. Wybuchają emocje, leją się łzy. Moja praca na tym polega, żeby być i producentem, i dyplomatą. Pilnuję, by ludzie nie skakali sobie do gardeł. To ciężki okres, bo w terminarzu trzeba umieścić dokrętki i wszyscy są wściekli. Na przykład dzisiaj, jak się ściemni, też będziemy kręcić parę scen. Muszę się spotkać z jednym facetem na kolacji, a później wracam. Masz ochotę pójść na tę kolację?

– Nie jestem odpowiednio ubrana...

– No to co? Obiecuję, że cię nie wyrzucą.

W czasie przerwy, gdy aktorzy i obsługa jedli obiad w pobliskim pubie, Sam spokojnie rozwiązywał wszystkie problemy. Widać było, że kocha ruch, działanie i lubi być otoczony ludźmi wspólnie realizującymi jego projekt. Klara dostrzegła, jak był serdeczny i jak hojnie rozdzielał pochwały. Jego śmiech huczał niczym dzwon, a błyskotliwy urok był nie do odparcia. Mimo takiego koleżeńskiego podejścia, Sam Shapiro umiał postawić na swoim. Przedkładał logiczne argumenty i manipulował nimi, aż ludzie wierząc, że to dla wspólnego dobra, robili, o co mu chodziło. Jeszcze nigdy Klara nie spotkała nikogo z takim autorytetem i taką witalnością.

Mimo pozornie zgodnego usposobienia, Sam miał jednak wybuchowy temperament. Gdy aktor grający drugą z pierwszoplanowych ról uskarżał się na ból głowy i poprosił o zwolnienie na popołudnie, cierpliwość Sama nagle się skończyła. Owłosioną pięścią rąbnął w plastikowy stół i ryknął:

– Nie! Nie mam zamiaru płacić za twoje kace, Justin.

Lodowaty ton jego głosu uświadomił Klarze, że za uprzejmością Sama kryła się gwałtowność, która pozwalała mu utrzymać dyscyplinę na planie.

Po zakończeniu zdjęć Klara zdążyła pobiec do mieszkania Elinor na Chester Terrace, wciągnąć swoją najlepszą czarną taftową sukienkę z kolekcji Belindy

Belville i zadzwonić do Biura KRRA, że dziś wieczorem nie przyjdzie. Poszła z Samem Shapiro na kolację do klubu „Les Ambassadeurs”, pełnego złocień i szkarłatnego pluszu. Klara, która nigdy jeszcze nie spotykała się ze starszym mężczyzną, a ojca ledwo pamiętała, była zafascynowana siłą i pewnością Sama. Czuła się przy nim bezpieczna. Gdy weszli do restauracji, ludzie patrzyli na nich znad stolików i coś do siebie szeptali.

Siadła na pluszowej kanapce obok drugiego gościa Sama – cherlawego, zmęczonego bankiera ze starannie przystrzyżonym wąsikiem. Propozycje finansowe, które próbował przedstawić, wciąż przerywali mu różni ludzie, podchodzący powitać Sama Shapiro.

Sam szepnął do Klary:

– Znam tego faceta od wielu lat. Reprezentuje Paramount. Współpracuję z nim od dziesięciu lat, na zasadzie osobnego kontraktu na każdy film.

– Ile filmów robisz rocznie? – spytała.

– Jeden na dwa lata. Niewiele, ale ja naprawdę pracuję. Obsesyjnie się przejmuję każdym drobiazgiem. Nie jest to może najlepsza metoda, ale dla mnie jedyna.

– Czy jesteś w Anglii tylko z powodu tego filmu?

Sam potrząsnął głową.

– W zeszłym roku przenieśliśmy się do Londynu. W tej chwili Europa, zwłaszcza Włochy i Anglia, jest najtańszym miejscem dla produkcji filmowej.

– Proszę! Sam Shapiro! – Następna rozpromieniona postać w smokingu klepnęła Sama po plecach, spoglądając na puste, połączane krzesło. – Mogę?

Bankier z Paramount westchnął, sięgnął przez stół i podał Samowi plik rachunków.

– Myślę, że chyba porozmawiamy o tym kiedy indziej. – Uśmiechnął się do Klary, chociaż prawie się do siebie dotychczas nie odezwali. Wiedział już, co się mogło w niej podobać Samowi: pastelowy, delikatny urok damy, ulotny czar, klasa, jaką trudno spotkać w Los Angeles.

Gdy tylko granatowy Rolls-Royce Sama zatrzymał się na nabrzeżu Cargilla, podbiegł reżyser.

– Ten drań Justin znowu pił.

– Już w południe miał okropnego kaca – mruzczał Sam. – Myślałem, że będziesz na tyle rozsądny, żeby go pilnować, póki nie skończymy.

– Nie jestem, do cholery, jego niańką. Omawiałem właśnie scenę z Billym i Simone – nawiasem mówiąc chcę, żebyś ją zobaczył – a już po chwili Justin leżał

nieprzytomny w swojej garderobie, otoczony pustymi butelkami po wódce.

– Robili mu płukanie żołądka?

– Oczywiście. Lekarz jeszcze tam jest, ale on wciąż się nie nadaje do pracy.

– Poszukaj jego agenta i sprawdź kontrakt. Jutro rano chcę dokładnie wiedzieć, ile był wart czas, jaki przez niego straciliśmy.

Wyskoczył z Rollsa i szybko szedł w kierunku przyczep z garderobami. Zanim dotarł do wozu Justina Wattona, drzwi się nagle otwały i na tle jasnego prostokąta światła ukazała się chuda sylwetka. Dostrzegłszy Sama Justin powlókł się w jego stronę.

– Pieprzony waśniak! Pieprzony głupi scenariusz! Pieprzone cholerne pieniądze! Pieprzona strata czasu!

Sam nie ruszył się z miejsca.

– To ty marnujesz swój czas, głupi gnojku.

Justin uniósł prawą pięść i zamachnął się. Jak na tak potężnego mężczyznę, Sam uskoczył bardzo sprawnie. Złapał aktora za kołnierz i zawołał do reżysera:

– Na miłość boską, pilnuj, żeby go ktoś nie uderzył. Jeżeli będzie miał ślady na twarzy, będzie nas to jeszcze więcej kosztować. Załóżcie mu kajdanki i wsadźcie pod wodę. Ma się zaraz nadawać do pracy.

– Dobra!

– Nie, czekaj! – krzyknął Sam. – Mam lepszy pomysł! – Jednym szybkim ruchem unieruchomił pijanemu aktorowi ręce, przytrzymując je za plecami, zawlókł na brzeg doku i rzucił do zimnej, czarnej wody. – Niech ktoś wskoczy i go wyciągnie, bo jak się utopi, jeszcze bardziej przekroczymy budżet.

O pierwszej w nocy planowane sceny były już jakimś cudem nakręcone, film spakowany do pudeł i Sam przypomniał sobie o Klarze. Podszedł na skraj planu, gdzie siedziała owinięta aksamitną peleryną.

– Przepraszam. Nie taki wieczór planowałem. Ale nareszcie skończyliśmy, więc dokąd miałabyś ochotę pójść? Potańczyć? Do „Orchidei” czy do „Czterech setek”?

Klara, która chciała sprawić wrażenie bywalej w świecie dwudziestosześcioletniej kobiety, zapytała:

– A może trochę hazardu?

– Co tylko zechcesz. Gdzie?

Szybko zadzwoniła do jedyne go znanego sobie starszego mężczyzny, a Adam zgodził się wprowadzić ją i jej towarzysza do głośnego w Londynie salonu gier swego brata Mike'a. Już ponad rok temu sąd uniewinnił mężczyznę, który w swym

londyńskim mieszkaniu prowadził podobną instytucję, od tego więc czasu policja przemykała oczy na eleganckie przyjęcia z hazardem, który, jak przypuszczano, wkrótce będzie zalegalizowany.

Sam lubił od czasu do czasu pograć, toteż poświęcił chwilę na bakarata, lecz przegrawszy sto funtów przerwał. Później podeszli do ruletki.

Adam spojrział na nich znad stołu.

– Nie wiem, co się dziś stało z tym kółkiem. Przegrałem grubszą forszę.

Mike niechętnie udzielił mu następnej pożyczki.

– Uważaj, Adam – ostrzegał. – Niedługo skończy ci się kredyt i nikt ci go nie podwyższy.

– Bzdura! Wiedzą, że przyprowadzam im nadzianych jeleni. A poza tym zbijają na mnie fortunę! – W miarę jak przegrywał coraz większe sumy, oprocentowanie pieniędzy, które pożyczał, wzrosło do jednego procenta tygodniowo. Mike nie ukrywał zakłopotania.

– Tylko nie mów, że cię nie ostrzegałem.

– Słyszałem, że widziałeś się z ojcem – powiedział Adam. Mike, acz niechętnie, zmienił temat.

– Tak, wczoraj. Nie ma zamiaru jeszcze kopnąć w kalendarz.

W ubiegłym miesiącu ponad sześćdziesięcioletni Joe Grant podczas zderzenia Mercedesa z autobusem złamał sobie mostek. Złamanie samo w sobie nie było groźne, ale serce i płuca zostały poważnie uszkodzone.

– Jadę do domu w ten weekend. Może pojedziesz? – zaproponował Mike. – Chcę wypróbować nowy motor.

Mike zatrzymał wszystkie swoje poprzednie motory. Nie przechowywał ich już jednak w schowku w ogrodzie, ale w eleganckim garażu przy końcu Eaton Terrace, gdzie stały obok jednocyldrowej wyścigówki Manx Norton, Norton Inter z większym silnikiem i szybkiego, ale głośnego BSA Gold Star, terenowego motoru na weekendowe wypadki z chłopakami.

– Ty i te twoje motory – powiedział Adam trochę lekceważąco, a trochę z zazdrością. Sukces Mike'a robił na nim większe wrażenie, niż gotów był przyznać. Dobrobyt brata i jego dom na Eaton Terrace zdumiewały i upokarzały Adama. On mając dwadzieścia osiem lat wciąż zarabiał grosze w ciemnej i dusznej kancelarii adwokackiej, gdzie dopiero teraz zaczęto go dopuszczać do obsługi ważniejszych klientów. W przeciwieństwie do niego Mike bez wysiłku zbił fortunę i żył jakby na nieustającym wytwarzającym przyjęciu, otoczony przez wspaniałych ludzi.

– A jak mama? – Adam zmienił temat.

– Od wypadku ojca nie opuściła ani jednej gry w brydża – powiedział Mike. – Doszła do półfinałów w zawodach hrabstwa Surrey.

Sam i Klara podeszli się pożegnać. Gdy wyszli, Mike skomentował:

– Trochę za stary dla niej.

– Niewielkie są szanse spotkania nastolatka, który byłby producentem filmowym – stwierdził Adam. – Shapiro robił „Żaglowca” i „Wielorybnika”.

– Te z Humpreym Bogartem? – zainteresował się Mike.

Sam natomiast nie zainteresował się braćmi i Klara była zawiedziona.

– Widziałam, że ci się nie spodobali. Ale dlaczego? – spytała, usadzając się wygodnie na skórzanych siedzeniach Rollsa.

– Adam wydaje się tak okropnie brytyjski, że aż niemożliwe, żeby był prawdziwy – odpowiedział.

Zaśmiała się:

– To znaczy zbyt przystojny!

Mężczyźni często zazdrościli Adamowi dobrej, smukłej sylwetki, dużych, ciemnych oczu i prawie granatowych włosów, po chłopięcemu opadających mu na czoło.

Sam potrząsnął głową.

– Takich przystojniaków jest w Los Angeles na pęczki – powiedział. – W Adamie jest coś dziwnego. A ten jego brat, Mike, jest typem, który czerpie siłę z ryzyka.

W zaciszu limuzyny mocno objął ręką okryte zielonkawym aksamitem ramiona Klary.

– Nie, to Adam ryzykuje. Mike nigdy się nie oddaje hazardowi – zaproponowała.

– Nie chodziło mi o takie ryzyko. – Delikatnie uniósł brodę Klary do swych ust.

PIĄTEK, 30 MAJA 1958

Chciałabym przyjść raz, chociaż raz, do domu na herbatę i nie zastać tu tłumu obcych ludzi – marudziła Miranda po wyjściu ostatniego gościa Elinor.

– Urządzam herbatki tylko w dni robocze.

– Babciu, urządzasz je codziennie.

Elinor zatrzasnęła ciężkie drzwi frontowe i spojrzała na wnuczkę, która zachmurzona stała pod wspólnym portretem trzech sióstr, namalowanym przed rokiem przez Piętro Anuignoniego. Elinor żałowała, że Miranda nie przypomina bardziej swej podobizny, skromnej panienki z portretu. Odwróciła się i

uśmiechnęła.

– Mogę chyba zapraszać swoich przyjaciół do własnego domu. Bądź rozsądna. Przychodzą tylko 1na godzinę czy dwie.

– Przyjaciół? Wydawcy, dziennikarze, fani, nieznajomi! – Miranda była oburzona. – Czasami nie wiem, czy mieszkam w domu, czy w twoim centrum reklamowym.

– Moi goście sprzedają i kupują moje książki, dzięki czemu mogę utrzymać twój dom – zwróciła jej uwagę Elinor. – I nie zajmuje to zbyt dużo czasu.

Elinor przyjmowała od czwartej do wpół do szóstej. Nie przeszkadzało jej to w pisaniu, a było stosunkowo tanim sposobem, żeby przyjąć w ciągu roku wiele osób.

Na stację po zachwyconych gości wyjeżdżał białym Rollsem szofer w ciemnoczerwonej liberii. Herbata (podawana po staroświecku przy dużym mahoniowym stole w jadalni) ułatwiała pisarce podtrzymywanie dobrych stosunków ze swymi wydawcami, z których większość przywykła już do pielgrzymek do Wiltshire, gdy tylko interesy zagnały ich do Anglii. Słuchała uważnie ich opinii, świadoma, że aby osiągnąć status gwiazdy wśród autorów bestsellerów, musi odpowiednią książkę oddać do odpowiedniego wydawcy za odpowiednią cenę i w odpowiednim czasie. A także odpowiednio zareklamować. Warunki starych kontraktów były ustalane latami, a teraz, nim podpisała umowę z nowym wydawcą, musiał jej właśnie przy herbacie przedstawić plan promocji.

Herbatki Elinor były z wielu względów bardzo pożyteczne. Przy takiej okazji lubiła także sprawdzać reakcję gości na projektowaną okładkę następnej książki. Spędziła wiele czasu obserwując klientów księgarń, by sprawdzić, co zwraca ich uwagę na książkę; najważniejsza była właśnie okładka.

Więc choćby to Mirandzie nie wiadomo jak przeszkadzało, nie mogła zaprzestać urządzania tych spotkań. Patrząc teraz na wnuczkę, powiedziała bez przekonania:

– Przyznaj, że sama uwielbiasz przyjęcia, Mirando. Wszystkie dziewczęta to lubią!

– Ja nie! – Miranda potrząsnęła głową. – Chciałabyś, żeby tak było, babciu, ale ja nienawidzę twoich herbatek literackich prawie tak samo, jak nienawidzę eleganckich przyjęć londyńskich. Prawdę mówiąc, nienawidzę być debiutantką.

– Jak możesz tak mówić, ty niewdzięczne dziecko? Sezon dopiero się zaczął.

– Ale już wiem, że nudzi mnie ten nie kończący się ciąg przyjęć, na których wciąż ci sami ludzie mówią te same rzeczy.

– Większość dziewcząt... – zaczęła Elinor.

– Oddałaby ostatnią koszulę, żeby mieć szansę zostać debiutantką. Wiem, wiem! Ale nie ja!

Miranda wołała się wymykać na rock and rolla do klubu jazzowego przy Oxford Street 100, absolutnie towarzysko nieodpowiedniego i zakazanego w Hammersmith Pałace.

– Po wszystkich moich wysiłkach... – gderała Elinor.

– I pieniądzech, które wydałaś – kiwnęła głową Miranda. – Nie chcę, żebyś traciła na mnie więcej ani czasu, ani pieniędzy, babciu.

– Nie byłaś wystarczająco długo debiutantką, by wiedzieć, czy ci się to podoba, czy nie! Kiedy poznasz tych ludzi lepiej...

– To będę jeszcze częściej ziewać! – powiedziała twardo Miranda. – Gdybym zapytała jednego z tych idoli debiutantek, co sądzi o dialogu Harolda Pintera albo na ile Modem Jazz Quartet był pod wpływem Bacha, spojrzalby na mnie, jakbym go ugryzła.

Elinor odpowiedziała równie twardo.

– Musisz nabrać ogłady towarzyskiej i nie chcę nic więcej na ten temat słyszeć, Mirando! Nie możesz wciąż robić tego, na co masz ochotę.

– Przez siedemnaście lat robiłam to, co ty chciałaś – odparowała Miranda. – Dlaczego nie mogę zostać w Londynie? Dlaczego muszę tu przyjeżdżać na weekendy? Klarze pozwoliłaś zostać samej.

– Klara ma pracę. Nie jesteś dostatecznie dorosła, żeby zostawać sama w Londynie bez opieki, i koniec!

I Miranda wybiegła do swojego pokoju. Wiedziała, dlaczego Klara została na weekend w Londynie. Wcale nie była to dodatkowa praca w KRRRA, jak sądziła Elinor. Klara była – nareszcie! – zakochana, i to w starszym mężczyźnie. W dodatku – cóż za doświadczenie – w rozwiedzionym! Na Mirandzie można było polegać, że nikomu nie wygada, a Klara zdecydowała, że na razie lepiej trzymać tę wiadomość w sekrecie. W Wielkiej Brytanii w 1958 rozwód może się i zdarzać w jakichś rodzinach, ale nigdy w twojej własnej, nie mówiąc już o przyjęciu osoby rozwiedzionej do rodziny. Klara nie chciała denerwować babci na zapas, bo gdyby romans nie zakończył się małżeństwem...

Właśnie wtedy do holu wpadła z kuchni Buzz.

– Goście poszli?

– Słyszałaś, co Miranda powiedziała? – wykrzyknęła Elinor.

Wiedziała, że Buzz podsłuchiwała.

– Trochę – przyznała.

– A przecież ta dziewczyna ma wszystko, czego my nie miałyśmy!

– Jest w takim buntowniczym wieku – przypomniała Buzz.

Nastolatki były odkryciem ostatnich lat: po raz pierwszy w historii Wielkiej Brytanii młodzi ludzie zarabiali, i to nieźle, więc po latach posłuszeństwa wobec rodziców mogli robić, co chcieli. Wydawali zarobione przez siebie pieniądze na ubrania i kosmetyki, muzykę i taniec.

– Wydają bez zastanowienia – mówili ojcowie, lecz matki, wyobrażając sobie, co je czeka później, wzdychały: „Tylko raz się jest młodym”.

Ta nowa siła nabywcza na rynku, nazwana Youthquake.[Trzęsienie młodzieży – wyraz utworzony analogicznie do „earthquake” – trzęsienie ziemi (przyp. tłum. .)] opanowała media, muzykę, modę i fotografię. Chłopcy stylizowali się na Jamesa Deana, dziewczęta nosiły czarne dżinsy i swetry, długie potargane włosy i żadnego makijażu, prócz oczu pomalowanych „na Kleopatrze”.

Buzz wiedziała, że Miranda nie czuje się dobrze w świecie debiutantek. Ze swym pomarańczowym końskim ogonem i jasnoróżowymi ustami wyglądała na urodzoną buntowniczkę, należącą do Youthquake.

Elinor spojrzała na potrójny portret.

– Żadna z tych dziewczyn nie poczuwa się do wdzięczności! Czasem mam wrażenie, że pęka mi serce.

Buzz powiedziała twardo:

– Zachowaj te przedramatyzowane, sentymentalne bzdury do swojej następnej powieści. Dziewczyny po prostu dorastają! Przestań uważać je za dzieci i zacznij traktować jak młode kobiety. Przypomnij sobie, co myśmy robiły w ich wieku – walczyłyśmy na wojnie! Musisz im pozwolić na samodzielność, Neli! Wtedy będą do ciebie wracać. A jeśli będziesz próbowała je zatrzymać, będą cię nienawidzić. Każda wizyta u ciebie będzie obowiązkiem i przyjadą tylko wtedy, kiedy już naprawdę nie da się tego odłożyć na później.

Elinor popatrzyła na Buzz i w końcu szepnęła:

– Oczywiście, jak zwykle masz rację. Ale wciąż mi się przypominają ciężkie czasy, jakie przeżyłyśmy. Chcę je przed tym uchronić... przed niebezpieczeństwem i biedą, dać im to wszystko, co biedny Billy tak bardzo starał się dać Edwardowi...

– Hej, chwileczkę, Neli. Rozmawiasz z Buzz, zapomniałaś? Już to słyszałam i ze mną ten numer nie przejdzie. Zazwyczaj trzymam język za zębami, ale zapamiętaj sobie, że prawdziwy Billy to nie książę z bajki, o którym opowiadasz na swoich herbatkach. Czas już, Neli, żebyś zaczęła żyć prawdziwym życiem.

Rozdział 11

WTOREK, 3 CZERWCA 1958

We wtorek, tydzień po ich pierwszym spotkaniu, ukończono zdjęcia do „Zbożowego wyścigu”. Klara była na przyjęciu z tej okazji, na którym prawie wszyscy szybko się popili, odreagowując napięcie. Ekipa była w stosunku do niej przyjacielska, lecz uważna i przesadnie uprzejma. Szybciej niż ona zorientowali się, że wpadła Samowi Shapiro w oko.

Po przyjęciu Sam wyjął z kieszeni czarną muszkę i zabrał Klarę do „Czterech Setek”. Panie w zalotnych koktajlowych kapelusikach i taftowych sukienkach energicznie tańczyły sambę pod czujnym okiem i batutą Edmundo Rosa. Sam nagle poczuł się bardzo zmęczony.

– Wynośmy się stąd, do diabła – powiedział. – Chcę z tobą porozmawiać.

Podczas krótkiej jazdy limuzyną do jego mieszkania na Hill Street siedział z odchyloną do tyłu głową i przymkniętymi powiekami. Klara, czując jego znużenie, milczała.

Tylko raz odwrócił głowę, by popatrzeć na nią, taką śliczną w zielonkawej taftowej sukience. Poklepał ją po ręce. Nieco później, w jakimś beżowym salonie, objął Klarę gestem bardziej ojca niż kochanka i powiedział:

– Nie da się tego ładnie sformułować, ale myślę, że musimy przestać się widywać.

Klara poczuła, że serce podeszło jej do gardła.

– Dlaczego? Co takiego zrobiłam? – Była zdumiona i urażona.

– Jest tylko jedna przeszkoda, ale nie do pokonania. Jestem od ciebie dwadzieścia lat starszy.

– To nie powód, żebyś się miał przestać ze mną* widywać!

~ powiedziała gwałtownie. Nagle zdała sobie sprawę, że słowa Sama dowodzą tego, że coś do niej czuje, że go obchodzi i że woli ją od tych pięknych, zadbanych aktorek, które przebrały się dziś ze swoich smętnych dziewiętnastowiecznych kostiumów w obcisłe jedwabie i satyny. Sam popatrzył na Klarę.

– Zbyt mi na tobie zależy, żebym miał cię skrzywdzić. – Niechętnie przyznał w duchu, że jest za młoda, żeby iść z nią do łóżka bez późniejszych komplikacji.

Wywinęła się z jego objęć. Nie mogła spokojnie myśleć – w ogóle nie mogła myśleć – gdy Sam obejmował ją tak ostrożnie, jak jakiś wujek. Rzuciła się na

skórzany fotel. Przecież właśnie w ten sposób wyznał, że ją kocha. Nie było powodu, dla którego nie miałyby mieć romansu z dużo młodszą dziewczyną, chyba że... chyba że zależało mu na niej aż tak, by się ożenić.

Nadzieja zapłonęła jak świeca i rozjaśniła drobną, bladą twarzyczkę. Klara promieniała wprost radością. Wyprostowała się w fotelu. Miała ochotę podbiec do Sama, znaleźć się w jego muskularnych ramionach, chłonąć zapach jego kręconych włosów, poczuć na swej twarzy trochę kłującą męską twarz, uścisk inny niż dotychczasowe, pospieszne i potajemne.

Powiedziała najpoważniej, jak mogła:

– Myślę, że twój wiek nie ma tu znaczenia. Kocham cię. Chcę wyjść za ciebie za mąż. – Sam słyszał już wiele zawołanych propozycji, zwykle wypowiedzianych spod skotłowanej pościeli, ale nigdy jeszcze tak bezpośrednio. Był wprost zahipnotyzowany niebieskimi oczami Klary.

– A co na to powie twoja rodzina?

– Nie obchodzi mnie, co powiedzą! – Podbiegła do Sama, a on otoczył ją ramionami tak mocno, że nie mogła już ustać na nogach.

– Zrób to – powiedziała.

Wziął ją na ręce i wciąż całując zaniósł ten swój zielony taftowy pakunek do sypialni. Przez brzydkie metalowe okna świecił księżyc. Bez słowa ułożył ją na łóżku, tak delikatnie zsuwając jej aksamitne pantofelki, jakby nawet jej stopy były dla niego cenne. Później wolno rozpiął długi rząd maleńkich, taftowych guziczków, na które zapięta była z przodu cała suknia. Patrzył na jej ciało z niecierpliwym oczekiwaniem. Biały koronkowy gorsecik sięgający od piersi do połowy ud był nieprzenikniony.

Drżała z przejęcia i podniecenia, czekając z zamkniętymi oczami. Wiedziała, że to jest ten moment. Cieszyła się, że przeżyje to z kimś dojrzałym, doświadczonym, a nie z jakimś niezdarnie guzdrzącym się młodzieńcem.

Sam ściągnął jej jasne pończochy i gładził uda, aż dotknął ciemnego wilgotnego miejsca między nimi. Z wprawą rozpiął koronkowy gorset.

Klara, która leżała bez ruchu i bez słowa, poczuła pożądanie otaczające ją niczym mgłą. Myślała, że zemdleje z rozkoszy. Gdy Sam pieścił jej piersi, podniecenie Klary dochodziło do szczytu. Łagodnie i powoli wsunął palec w jej drobne, delikatne ciało. Troszkę ją zabolowało.

Sam wstał bez słowa i rozebrał się w tempie, jak z filmu z Busterem Keatonem.

Cieszyła się, że nie zapalił światła i nie musiała patrzeć, ale poczuła to twarde obok swoich ud, nim Sam je rozsunął i wślizgnął się w nią. Czowała jego ciało i jego

zapach. Przypomniła jej woń zmęczonego galopem konia, zapach, który uwielbiała. Czowała przygniatające ją ciężkie, męskie ciało. Obiema rękami uniósł jej pośladki, żeby dostosować ją do swego tempa. W miarę jak rosło, oddychał coraz szybciej. Nagle rzucił się i opadł na nią, jak bez życia. Po jakimś czasie mruknął rozleniwiony:

– Kochanie, byłaś cudowna.

Leżała bez ruchu i tylko miała świadomość czegoś lepkiego między udami.

Sam uniósł się i opadł obok. Położył rękę na jej piersi i szepnął:

– Szczęśliwa, maleńka?

Po chwili już spał. Klara spoczywała oblana blaskiem księżyca. Nie mogła złapać tchu, jakby brakowało jej tlenu w płucach. Czowała ból i obrzmienie w krzyżu. Chciała, żeby Sam się obudził i ją pocałował, chciała znów poczuć jego usta na swych piersiach. Godzinę później nadal jeszcze leżała, nie śpiąc. Była nieszczęśliwa, rozczarowana i urażona – nie z powodu Sama, ale z jakiegoś innego. Nie wiedziała, dlaczego. Może od miłości człowiek się uzależnia jak od kawioru – może musi wciąż próbować, aż się przyzwyczai. Żałowała, że nie może porozmawiać z Annabel; zapytałaby, czy robi coś nie tak.

Po dwóch godzinach wysunęła się powolutku z objęć Sama, nie chcąc go obudzić. Odnalazła drogę do łazienki. Ostrożnie zamknęła drzwi, odnalazła wyłącznik światła i pozwoliła sobie tylko raz zerknąć do lustra na widoczną w nim rozczochraną istotę. Odkręciła kran przy umywalce, żeby nie było słychać siusiania, a potem umyła ręce. Normalnie tego nie robiła, tylko w publicznych toaletach, gdzie na nią patrzono. Podświadomie miała też nadzieję, że ten – jak najbardziej na miejscu – dźwięk lejącej się wody obudzi Sama, ale nic z tego.

Prawie już o świcie popłakała cicho w poduszkę, a potem zasnęła.

Krótko po wschodzie słońca Sam się obudził i znów się kochali. Później, czując się świeżo i rześko, pogwizdywał radośnie pod prysznicem.

O jedenastej z restauracji na dole przysłano im jedzenie. Zmęczona Klara zamówiła tylko gorące mleko i grzankę, natomiast Sam z apetytem pochłaniał normalne angielskie śniadanie. Gdy jedli je siedząc w beżowym, krytym ałtarem łóżu, oparci o wezgłowie w stylu Art Deco, Klara odczuła nagłą potrzebę poznania szczegółów rozvodu Sama. Czowała się trochę nieprzyzwoicie siedząc tak z gołymi piersiami, zajadając grzankę z dżemem pomarańczowym i zastanawiając się, jak taktownie poruszyć ten temat.

Opowiadał jej już o swych rodzicach, rosyjskich imigrantach, którzy mieszkali w Nowym Jorku i pracowali przy Siódmej Alei. Ojciec był krawcem, a matka

prasowaczką. Sam był jedynakiem.

– Myślę, że wszyscy cię o to pytają, ale jak trafiłeś do show-biznesu? – odważyła się zapytać.

– Nie, nikt poza tobą nie wykazywał palącej chęci, żeby się czegoś o mnie dowiedzieć. To było dzięki mojej pierwszej żonie. – Sam dolał sobie kawy.

Pierwszej żonie!

– Poznaliśmy się, gdy byłem na urlopie. – Klara wiedziała, że w czasie wojny był kwatermistrzem w marynarce. – Pojechałem wtedy do Los Angeles – ciągnął Sam. – San Diego było statecznym marynarskim miastem, kobiety zaś były w Los Angeles. Gdy wyszedłem z marynarki, pobraliśmy się. Był rok czterdziesty piąty. Udało mi się znaleźć pracę jedynie w supermarkecie. Sheila była asystentką redaktora scenariuszy w MGM*. Czytałem je za nią, kiedy miała za dużo pracy. Twierdziła, że robię dobre streszczenia, nauczyłem się tego w marynarce.

– Kiedy się rozstaliście? – spytała Klara nieśmiało.

– Byliśmy z sobą tylko kilka miesięcy. Potem uciekła z innym facetem do Toronto, ale okazało się, że jest w trzecim miesiącu ciąży ze mną, więc facet dał nogę. Nie widziałem jej od tego czasu. Dziecko zmarło podczas porodu.

– Przykro mi. – Klara poczuła jednak ulgę. Nie groziła jej rywalka ani niewygasłe uczucia z tej strony.

– No więc, jak zostałeś producentem?

– Poszedłem do szkoły wieczorowej, żeby nauczyć się pisania scenariuszy, a potem wzięłem moje streszczenia z MGM i zaniósłem do głównego redaktora w Paramount. Po kilku miesiącach zwolniło się tam miejsce i zostałem asystentem głównego redaktora. – Nie widział potrzeby opowiadania Klarze o swym burzliwym romansie z Rhoną, głównym redaktorem.

– A potem? – zachęcała Klara.

– W 1948 dałem ocenę DK scenariuszowi historii marynistycznej „Życie na fali oceanu”.

– DK?

– Do Kitu. Już gdy to odrzuciliśmy, przypadkowo spotkałem się z autorem scenariusza.

W rzeczywistości Sam do niego zadzwonił, przedstawiając się jako niezależny producent, specjalizujący się w historii marynarki. Umówili się na obiad w Chasens. Podczas obiadu namówił pisarza do podpisania kontraktu, przyznającego Samowi wyłączne prawa do przerobionego scenariusza na trzy lata * MGM – wytwórnia filmowa Metro Goldwyn Meyer.

i piętnaście procent ceny sprzedaży, naturalnie gdyby udało się tekst gdzieś ulokować. Risan zgodził się też na równy podział zysku. W końcu, co miał do stracenia? Scenariusz odrzucono już absolutnie wszędzie. Gdyby Samowi udało się go sprzedać, nawet agent pisarza by zarobił.

– Kiedy przerobiliśmy scenariusz na film kostiumowy i zatytułowaliśmy „Żaglowiec”, przekonałem moją... koleżankę, żeby namówiła swojego szefa do przeczytania. Scenariusz mu się spodobał i gotów był kupić, ale wtedy powiedziałem, że chciałbym być producentem. Odmówili, pokazali jednak scenariusz Bogartowi. Spodobał mu się, więc w końcu Paramount zaakceptował moje warunki, ja zaakceptowałem honorarium, dali mi dobrego asystenta i „Żaglowiec” odniósł sukces. Potem Bogey i ja zrobiliśmy „Wielorybnika”, a potem to już oni dzwonili do mnie. Jeszcze coś?

Klara spytała cichutko:

– Jeszcze jakaś żona?

Sam zaśmiał się i pocałował ją w czoło.

– Tak naprawdę, to właśnie to cię interesuje. Tak, byłem żonaty dwa razy, co jest bardzo niską średnią jak na Los Angeles. Rozeszliśmy się z Louise trzy lata temu, po pięciu latach spędzonych razem. Żadnych dzieci.

– To już wszystkie?

– Wszystkie, przysięgam.

– Nie wiem, jak to powiem babci.

– Czy trzeba jej już teraz coś mówić?

„Zbożowy wyścig” był obecnie na etapie montażu, co oznaczało około trzech miesięcy z trudem kontrolowanego szaleństwa. Wszyscy toczyli dramatyczną walkę z czasem, by zdążyć z premierą na okres Bożego Narodzenia.

Sam poleciał do Los Angeles negocjować terminy seansów w premierowych kinach i ustalić daty pokazów przedpremierowych, podczas których wraz z reżyserem siadywali zazwyczaj na sali, żeby obserwować reakcje publiczności. W świetle latarki notowali błędy w długości poszczególnych ujęć, nie zamierzone efekty komiczne lub – co gorsza – dowcipy, z których nikt się nie śmiał.

Gdy Sam był w Londynie, Klara razem z nim przeżywała emocje związane z filmem, była w kalejdoskopie akcji i wydarzeń, w których brał udział. Kiedy wyjechał do Los Angeles, czuła się podle i co rano musiała przewycięzać wewnętrzny opór, żeby wstać z łóżka. W tym okresie zrozumiała, że jej namiętność do Sama jest porównywalna z jego namiętnością do robienia filmów. Ten zawód,

bardziej wymagający niż inne, zdominował jego życie i myśli. Chwilami Klara była nawet o to zazdrosna.

Miesiąc przed premierą Sam znowu poleciał do Los Angeles, by zaplanować akcję promocyjną i zgrać zwiastuny do kin, reklamy telewizyjne i umieścić reklamy w prasie. Klara towarzyszyła mu na lotnisko. Patrząc na jej smutną twarzyczkę, gdy żegnała go po raz kolejny, odwrócił się i przechylił się przez barierkę.

– Zrobię wszystko, żebyś się uśmiechnęła – powiedział. – Po premierze brytyjskiej powiemy o nas twojej babci.

PONIEDZIAŁEK, 3 LISTOPADA 1958

Jak większość mężczyzn, Sam doskonale wyglądał w smokingu, i gdy przyjechał do mieszkania Elinor przy Chester Terrace, by zabrać panie O'Dare do „Odeonu” na Leicester Square, prezentował się świetnie. Jego niebieskie oczy błyszczały w oczekiwaniu sukcesu filmu; mówiono o nim dobrze, sprzedaż biletów była doskonała, a przedpremierowe recenzje bardzo pochlebne.

Przed wyjściem do kina Elinor, jeszcze w swojej sypialni, nałożyła czerwony żakiecik na czarną koronkową suknię i powiedziała do Buzz:

– Oczywiście za stary dla niej, ale niezwykle przystojny.

– Rozumiem, dlaczego podoba się jej dojrzały mężczyzna – odpowiedziała Buzz. – Nigdy takiego nie znała.

Dwie godziny wcześniej Klara powierzyła swą tajemnicę Buzz, która natychmiast zdała sobie sprawę, że dwukrotnie rozwiedziony Sam nie był z pewnością olśniewającym młodym hrabią, jakiego Elinor sobie dla wnuczki wymarzyła. Obiecała „zmiękczyć” starą przyjaciółkę, ale wiedziała, że nie obejdzie się bez kłótni, gdyż Klara była prawie tak samo uparta jak Elinor.

Gdy po premierze Sam wchodził wraz ze swym dużym towarzystwem na kolację do „Bluszczu”, powitały go oklaski. Teraz będzie mógł odetchnąć. Będzie czekał całą noc, żeby rano przeczytać recenzje w gazetach, ale pełna napięcia cisza podczas wyświetlania filmu i głośne oklaski na końcu zapowiadały sukces.

Dwie godziny później Sam przerwał przyjęcie, by odwiedzić Elinor i Buzz na Chester Terrace. Porozmawiał tam z Elinor w cztery oczy i powiedział, że Klara i on chcą się pobrać.

Elinor zaniemówiła, choć Buzz starała się ją przygotować do tej wiadomości. Chodzić z nim na randki to co innego, ale wychodzić za mąż!

– Ależ pan jest za... Ale Klara jest za młoda! – wykrztusiła.

– Ona tak nie uważa – odpowiedział łagodnie. – Niedługo skończy dwadzieścia lat. Ile pani miała wychodząc za mąż?

– To nie ma nic do rzeczy – powiedziała Elinor, a przez głowę przebiegły jej setki pytań. – Mam nadzieję, że może pan zapewnić Klarze odpowiednie warunki materialne?

– Oczywiście – obiecał radośnie. Był szanowany i miał ugruntowaną pozycję, jaką rzadko który młody człowiek mógłby się pochwalić.

– Dziś już dla mnie za późno, żebym mogła logicznie myśleć – powiedziała, czując się nagle bardzo zmęczona. – Porozmawiam z Klarą rano.

Po pięciu minutach tarosowała śpiącą Buzz.

– Nie zgadniesz, co ten człowiek mi właśnie powiedział.

– Chce się ożenić z Klarą – wymamrotała Buzz.

– Powiedziała ci!

– Tak, bo bała się powiedzieć tobie. Nie martw się za bardzo, Elinor. Porozmawiamy rano.

Elinor znów szarpnęła Buzz.

– Nie zmrużę oka. Teraz muszę o tym porozmawiać. To wszystko jest takie niespodziewane. Co ona o nim wie? Gdzie jest jego rodzina? Z kim ona się wiąże?

Buzz siadła.

– Coś mi się przypomniało: mówiłam tobie to samo, zanim wyszłaś za Billy'ego. I przejęłaś się? Nie! Klara jest tak samo uparta jak ty, więc lepiej nie zadawaj takich pytań, jeśli nie chcesz widzieć ich na ślubnym kobiercu. Bo on jest naprawdę uroczy.

– Tak – powiedziała Elinor – ale kim jest dla niego Klara? Nie jest specjalnie reprezentacyjna ani światowa. Za to Sam nie wygląda na takiego, który chciałby zmienić świat z myślą o przyszłych pokoleniach, nie jest mołem książkowym jak Klara. Zastanawiam się, jak długo to potrwa. Takie typy z Hollywood to się żenią i żenią wciąż od nowa. Chcę przed tym uchronić Klarę.

– Dlaczego nie możesz na to spojrzeć z innej strony i cieszyć się, że jest szczęśliwa? Jeśli będziesz się sprzeciwiać, stracisz ją jeszcze szybciej.

Następnego ranka Elinor zapukała do drzwi Klary, a ponieważ nie było odpowiedzi, weszła i zobaczyła, że tej nocy nikt w tym łóżku nie spał.

Tuż przed obiadem pojawiła się blada z niewyspania Klara, otworzyła po cichu drzwi frontowe i na paluszkach ruszyła przez korytarz.

– Klara, czy to ty, kochanie? – zawołała Elinor ze swego gabinetu. – Przyjdź tu na chwilę.

Wchodząc do pokoju Klara zarumieniła się. Miała wciąż na sobie hiacyntową szyfonową sukienkę, tę samą, co wczoraj wieczorem, tylko wygniecioną.

– Usiądź, kochanie. – Elinor radośnie poklepała miejsce obok siebie na kanapie. – Chcę ci powiedzieć, że bardzo mi się Sam podoba: taka energia, siła, pewność siebie i autorytet. Cieszę się, że wybrałaś kogoś starszego, kto umie znaleźć się w świecie i będzie cię przed nim chronił.

Oczy Klary zabłyśły ze zdziwienia i zadowolenia.

– Tak się cieszę, że rozumiesz, dlaczego uważam, że jest cudowny! Czuję się taka... bezpieczna i szczęśliwa, kiedy jestem z nim.

– Mam nadzieję. Będę się modliła, żeby tak było zawsze, kochanie. A teraz biegnij się przebrać.

SOBOTA, 28 LUTEGO 1959

Piękna! – westchnęła Miranda. Miała trupioblady makijaż, perłowe usta i czarno obrysowane oczy, a pomarańczowe włosy zaplecione w koronę.

– Czemu ja nie miałam prawdziwej sukni ślubnej! – zapłakała Annabel, która w takim pośpiechu poślubiła Scotta, że nie zadbała o właściwą oprawę.

W pokoju Klary w apartamencie na Chester Terrace obie siostry wpatrywały się w pannę młodą. Miała sukienkę z kremowej satyny ze stójką, mocno dopasowaną w talii i z szeroką spódnicą do pół łydki, wprost z kolekcji Normana Hartnella. Uczesana była w grecki węzeł przewiązany kremową satynową wstążką.

– Czuję się słabo – powiedziała Klara. – Chyba będę płakać.

– Tylko nie w dzień ślubu – błagała Annabel.

Wprawdzie Klara wyglądała uroczo, jednak Annabel w czerwonym jedwabnym kostiumie, w aureoli sławy, niemalże ją zaćmiewała. Kampania reklamowa Avanti pod hasłem: „Czy odważysz się nosić Avanti?” nie odniosła wprawdzie aż takiego sukcesu, jak kampania Revlona „Ogień i lód”, jednak wystarczająco duży, by Annabel znalazła się na czołówkach. Amerykanki były zdumione, że Angielka (normalnie uważana za szarą myszkę) mogła uosabiać taką zmysłowość.

Miranda spojrzała na siostry z udanym wyrzutem.

– Poszłyście sobie, nie oglądając się nawet na mnie. Uciekacie z tymi wspaniałymi mężami, więc to ja powinnam płakać!

– Trudno jednak było jej wyglądać na biedną i opuszczoną w sukience projektu

Sybill Connolly, z pięknego bladuróowego materiału wykończonego satyną.

– Nikt nie będzie płakał – powiedziała twardo Annabel. – Jesteśmy nadal siostrami i gdy się spotykamy, czujemy się wciąż tak samo i robimy to samo co dawniej.

– Co na przykład? – spytała drżącym głosem Klara.

– Wszystko, od wieczoru w operze do zawodów w dosięgnięciu palcem u nogi do ust – wyjaśniła radośnie Annabel.

– Wy dwie, stateczne mężatki, pewno już tego nie potraficie – kpiła z nich Miranda.

– Założę się, że potrafię – odpowiedziała Annabel, siadając na dywanie. – Założę się, że to wy nie dacie rady – ciągnęła, zsuwając czerwone pantofle.

Miranda natychmiast zrzuciła buty, siadła na podłodze, złapała swój duży palec u nogi i skierowała do ust. Zabrakło jej sześciu cali.

– Jestem trochę sztywna – zachichotała.

Klara zaczęła się śmiać.

– Wyglądacie idiotycznie! – Ale ściągnęła pantofel, starannie wygładziła sukienkę, siadła na dywanie i chwyciła swój palec.

– Prawie! – westchnęła Miranda.

– Udało mi się! – stęknęła Annabel.

Nagle otwarły się drzwi i rozległ się głos Sama.

– Kotku, wiem, że nie powinienem cię teraz jeszcze oglądać, ale czy jest jakaś szansa, bym napił się Bloody Mary?... Co się tu, u diabła, dzieje?

Siostry padły na podłogę rycząc ze śmiechu.

Przed przyjęciem u „Claridge'a" mała grupa weselników pozowała do zdjęć na schodach Urzędu Stanu Cywilnego w Caxton Hall. Nie dość, że dwukrotnie rozwiedziony, Sam był Żydem i nie mógł brać ślubu w kościele anglikańskim. Fotografom nie udało się zmusić panny młodej do uśmiechu. Krótka, świecka ceremonia, odarta z wszelkiego romantyzmu, bardzo ją rozczarowała i Klara czuła się jeszcze bardziej roztrzęsiona i bliska płaczu.

SOBOTA, 23 MAJA 1959

Nie pozwala mi na żadną przyjemność. – Miranda skarżyła się Buzz.

– Jeśli masz na myśli lekcje latania – powiedziała Buzz – nigdy jej nie przekonasz, że to nie jest niebezpieczne. Na to ci nie pozwoli.

– Jestem już chora, chora od tego traktowania mnie jak dziecko! Prędkiej sobie coś zrobię na nartach, niż latając.

– Ale na nartach raczej się nie zabijesz.

– Inne babcie nad nikim się tak nie trzęsą!

Elinor, zmartwiona szybką utratą Annabel, a później Klary, przelała swoje uczucia na Mirandę, dla której okazało się to ogromnym ciężarem.

– Czuję się winna, jeśli nie jestem z nią – dodała Miranda – i winna, kiedy jestem, bo marzę, żeby uciec. Ona nie lubi tego, co ja, tylko udaje. Nie jest w stanie nawet zapamiętać kilku nazwisk, tylko przekręca: Pelvis the Elvis [Na Evisa Presleya mówiono odwrotnie: Elvis the Pelvis (anat. miednica), natomiast Buddy Holly został pomyłony z Billy Holliday (przyp. tłum. .)] i Buddy Holiday!

Siedziały w pokoju Mirandy w Starlings wśród rozwieszonych na ścianach plakatów idoli rockowych (Buddy Holly omotany czarną siatką) i co przystojniejszych przywódców rewolucji młodzieżowych, słuchając pulsującego rytmu dochodzącego z jej nowych głośników stereofonicznych.

Pełna nadziei Miranda spytała:

– Czy myślisz, że babcia mogłaby jeszcze wyjść za mąż? To by trochę odwróciło jej uwagę ode mnie.

Buzz pokręciła głową.

– Ona kocha swoich powieściowych bohaterów, przy których zwyczajni mężczyźni są nijacy.

– Nie mówię o takiej miłości! – Miranda była przekonana, że nikt powyżej trzydziestki nie odczuwa już żadnych pragnień.

– Mówię o... towarzyszu.

– Mąż wymaga sporo uwagi – stwierdziła Buzz – a skąd Neli znalazłaby na to czas? Przedpołudniami pisze, a kiedy po południu uprawia ogród, też ma głowę w chmurach. Później ma swoje herbatki, a wieczorami, jeśli nie wychodzi, szuka materiałów w bibliotece albo idzie wcześniej do łóżka i robi korektę. Jej odpowiada takie życie, a który mąż by to zniósł?

– Może pisarz?

– Pisarz chciałby być rozpieszczany. Wytrzymałby to, co ona wyprawia z wami? Annabel tylko kiwnie palcem i babcia pędzi do niej przez Atlantycką, udając że musi się spotkać z amerykańskim wydawcą. A odkąd Klara wróciła z Indii, Neli co tydzień

jeździ do Londynu robić z nią zakupy do nowego domu. Gdyby miała męża, nie mogłaby rzucać wszystkiego, gdy któraś z was ją zawoła. Mężczyzna lubi czuć się

panem, a ona już by tego nie chciała.

– Buzz, kochana, czy pomogłabyś mi? Tylko ten jeden raz – przymilnie spytała Miranda.

Buzz wiedziała, że to zawsze znaczyło: „czy powiesz o tym delikatnie babci i staniesz po mojej stronie?”

– O co tym razem chodzi, Mirando?

– Chcę iść na kurs kosmetyczek – powiedziała podekscytowana Miranda. – Otwarto roczny kurs w Londynie, zaczyna się za miesiąc. Już się zapisałam i muszę opłacić. Chciałam sprzedać swoje perły, ale to nie ma sensu. I tak jej kiedyś muszę powiedzieć.

– Masz na myśli manikiurzystkę, masażystkę? Nie spodoba jej się ten pomysł. To wy, jej dziewczynki, macie być obsługiwane.

– Obawiam się, że znów będę musiała wysłuchać bzdur na temat „lady” – Miranda przygryzła wargę. – Powiedziałam jej, że nienawidzę tych przyjęć.

– Przecież to właśnie na balu debiutantek poznałaś tego miłego Angusa – przypomniała jej Buzz. – Jest na liście.

Lista została przygotowana przez starzejącą się, schlebającą wszystkim autorkę rubryki towarzyskiej. Na liście, która kursowała wśród ambitnych matek z córkami na wydaniu, umieszczone były nazwiska młodych ludzi, którzy przez swoje urodzenie, majątek i pozycję byli odpowiednimi kandydatami na mężów.

Miranda zarumieniła się, a później, począwszy od mocno utuszowanych rzęs, jej twarz rozjaśnił uśmiech. Powiedziała:

– Angus nigdy nie traci czasu na takie imprezy, ale ten jeden raz musiał pójść, bo był to pierwszy bal jego siostry.

Poznała go krótko po ślubie Klary. Miranda, która marzyła tylko o tym, żeby opuścić duszną salę balową, ziewając odmówiła kolejnego tańca i spojrzawszy na zegarek stwierdziła, że za pół godziny będzie mogła wyjść. Jeśli tylko nie zaśnie do tego czasu! Otworzyła francuskie okno i wymknęła się na taras, żeby łyknąć trochę świeżego powietrza.

Po dusznej i zadymionej sali noc wydawała jej się cicha i orzeźwiająca. Przed sobą widziała zamglony brązowy zarys olbrzymich kasztanowców. Nagle poczuła zapach przypominający jej mydło Lifebuoy i flanelową piżamę. Odwróciła się.

– Kim jesteś?

– Jestem bratem Fiony. Na imię mam Angus.

Gdy oczy Mirandy przywykły do ciemności, zobaczyła potężnego mężczyznę w smokingu, opartego o ścianę i palącego cygaro.

– Właśnie miałem wychodzić. Muszę rano zdążyć do pracy. Masz, narzuć marynarkę, bo umrzesz na zapalenie płuc, nim będę miał szansę cię poznać. – Mówił tak lakonicznie, jakby był dowódcą oddziału spadochroniarzy, których wysyłał do walki.

Gdy wrócili na salę balową, Miranda przyjrzała się Angusowi Maclayne'owi, a on odpowiedział spojrzeniem jasnyniebieskich oczu osadzonych w twarzy jakby wyrzeźbionej w kamieniu. Miał włosy koloru złota Wikingów i rudawe wąsy.

Gdy tylko Fiona wyleczyła kaca, Miranda wyciągnęła ją na lunch. Dowiedziała się, że Angus w szkole uprawiał kajakarstwo, ukończył Eton jako kapitan drużyny Oppidanów* oraz wydał kronikę Eton College. W Oxfordzie, gdzie również wiosłował, studiował nauki polityczne, filozofię, ekonomię, a później dwa lata był praktykantem w nowojorskim banku. Następnie przez rok pracował w Paryżu, w dziale wymiany zagranicznej banku szwajcarskiego Credit Suisse, później rok w Hongkongu, ponownie w Nowym Jorku, i teraz z powrotem w Londynie, w banku Chase Manhattan. Lubi łowić łososie i grać w pokera i trudno go wyprowadzić z równowagi.

– Naprawdę, już nic więcej nie da się o nim powiedzieć – zakończyła Fiona, gdy Miranda chciała jeszcze wycisnąć z niej jakieś informacje. – Nikt nie wie wiele o własnym bracie. Angus jest... w porządku. Jeżeli chcesz go lepiej poznać, przyjeźdź do nas do Szkocji na weekend w Wielkanoc.

– Dziękuję, ale chyba mi się nie uda – odpowiedziała Mi• W Eton – uczniowie mieszkający w internacie (przyp. tłum.).

randa. Nie chciała, żeby Fiona myślała, że jej zależy na Angusie. Woląla zaczekać, aż on sam to zaproponuje.

Angus często zapraszał Mirandę do kina czy teatru, a później szli coś zjeść do Wiltous, Rules czy innego londyńskiego hotelu, gdzie podawano (po niemałej cenie) potrawy przypominające Angusowi dzieciństwo: smażone kielbaski z ziemniakami *puree*, befsztyk mielony zapiekany w cieście, pudding z melasą czy bułeczki z dżemem.

Na wypadek gdyby nagle dolar spadł lub skoczył, Angus musiał być w pobliżu telefonu do późnego wieczoru, różnica czasu bowiem sprawiała, że na giełdach amerykańskich było to popołudnie. Nigdy nie chodzili z Mirandą do nocnych klubów, bo o siódmej rano, gdy podawano notowania giełdowe pod koniec dnia w Hongkongu, musiał już być za biurkiem.

W przeciwieństwie do innych znanych Mirandzie bankierów Angus nie był napuszonym sztywniakiem, który wciąż nerwowo poprawia spinki od mankietów i

krawat. Chociaż garnitury nieźle na nim leżały, nawet najlepszy krawiec z Savile Row nie byłby w stanie uszyć dla niego ubrania tak, by pasowało jak ulał. Jego sylwetka szkockiego górala wyglądała naturalnie tylko w swetrach, kilcie* i workowatych spodniach wepchniętych w gumki.

Angus został nagle przeniesiony na dziewięć miesięcy do Nowego Jorku i Miranda ponad rok musiała czekać na zaproszenie do Szkocji. Ponieważ Elinor nie zgodziła się na jej podróż do Nowego Jorku („Zobacz, co się stało z Annabel!"), więc Miranda nabijała olbrzymie rachunki telefoniczne, ukończyła kurs dla kosmetyczek i – dzięki pomocy jednej z przyjaciółek Elinor – rozpoczęła pracę jako praktykantka za czerwonymi drzwiami salonu Elizabeth Arden na Bond Street.

SOBOTA, 6 SIERPNI 1960

Tuż przed rozpoczęciem sezonu łowieckiego Miranda pojechała nocnym pociągiem do Inverness, by spotkać się z An

* Kilt – szkocka spódniczka.

gusem, spędzającym rodzinne wakacje w Maclayne. Konduktor w wagonie sypialnym dał jej pojedynczy przedział, w którym znajdowało się opuszczone łóżko i kawałek tkaniny, zwanej drojet, na której się stało podczas rozbierania. Początkowo miała kłopot ze znalezieniem urządzeń sanitarnych, ale w końcu odkryła popękany biały nocnik, ukryty w szafce pod umywalką.

Zamek Maclayne był wielkim, brzydkim dziewiętnastowiecznym budynkiem z wieżyczkami jak z bajki. Po długich, ciemnych korytarzach biegały dzieci w pocerowanych niebieskich sweterkach i kraciastych kiltach. Podobnie ubrani byli dorośli członkowie rodziny i ich przyjaciele. Nawet teraz, w sierpniu, wiatr hulał po korytarzach. Najdłuższy z nich prowadził z kuchni do jadalni; był to wynik świadomego zaplanowania. W ten sposób zapobiegano przedostawaniu się zapachów kuchennych. Niestety oznaczało to także, że potrawy docierały na stół letnie.

Ściany obwieszane były zupełnie przypadkowymi obrazami: po jednej stronie portretu malowanego przez Lawrence'a wisiała akwarela z Wenecji, dzieło jakiejś praciotki Maclayne'ów, po drugiej – fotografie dawno nieżyjących psów myśliwskich. Na ścianach umieszczono również relikty imperium brytyjskiego: dzidy z wojny burskiej, packi na muchy z Sudanu i nadjedzone przez mole wypchane zwierzęce głowy.

Miranda stwierdziła, że urządzenia sanitarne są niewiele lepsze od kolejowych: wysokie wanny z niezmywalnymi zielonobrazowymi plamami powstałymi z powodu ciekących latami kranów i ubikacje w mahoniowych obudowach; by spuścić wodę, należało pociągnąć za sztywny łańcuszek.

Angus, gdy nie polował ani nie łowił ryb, zabierał Mirandę na zwiedzanie okolic. Jeździli dużym rodzinnym combi z oddzielnym siatką miejscem dla psów, żeby podczas jazdy nie lizały go po uszach, albo rozklekotanym Daimlerem, w którym na tylnych siedzeniach walały się źdźbła słomy i pachniało kurczakami. Zatrzymywał samochód u stóp porośniętej wrzosem skałki i wdrapywali się na jej szczyt, by oglądać okoliczne wzgórza, wszystkie w kolorze rudawej tweedowej marynarki Angusa.

Na szczycie jednego z takich wzgórz, gdy zachodzące słońce zabarwiło niebo na wyjątkowo rozkoszny łososioworóżowy kolor, Angus wziął za rękę zdyszaną Mirandę i poprosił, by została jego żoną. Miranda, mimo że marzyła o tym od kilku miesięcy, była jednak zaskoczona.

Gdy wysapała zgodę, Angus szybko sięgnął pod wrzosa i wyciągnął ukryty tam wiklinowy kosz, w którym znajdował się koc w kratę, termos z lodem, butelka Veuve Clicquot i dwa kieliszki.

Widząc zdumienie Mirandy, uśmiechnął się i powiedział:

– Nie będziesz mogła powiedzieć, że nie jestem romantyczny. Przyciągnąłem to na górę dzisiaj jeszcze przed śniadaniem.

Tej nocy Angus przekradł się przez długi, ciemny korytarz do pokoju Mirandy i zastał drzwi otwarte.

Elinor, choć przygnębiona utratą Mirandy, pocieszała się, że traci ją dla brata hrabiego. Postanowiła, że przynajmniej jedna z panien O'Dare będzie miała tradycyjny ślub w bieli. Zaplanowano go na poniedziałek, 3 kwietnia 1961 roku w kościele St. Margaret w Westminsterze, a przyjęcie miało się odbyć w hotelu Savoy.

Często po zajęciach na kursie kosmetyki Miranda jeździła swoim szkarłatnym Mimi, polakierowanym tak na specjalne zamówienie, do eleganckiego domku Klary na Poulton Square. Kontynuowała te wizyty, nawet kiedy już zaczęła pracować, i tu, w Chelsea, gdy jesienne liście wirowały na placyku przed oknami, obie siostry debatowały nad przygotowanymi przez Mirandę różnymi listami. Były więc listy gości, pożądanych prezentów i tych pozornie niezbędnych ślubnych

rekwizytów. Wszystkie szczegóły były niesłychanie ważne, począwszy od właściwego źródła kopert do zaproszeń (Smythsons na Bond Street), skończywszy na specjalnie odzianym na czerwono majordomusie, który miał zapowiadać gości (pan Pecksniff).

PONIEDZIAŁEK, 14 LISTOPADA 1960

Po co mi widelec do ryb? Po co komukolwiek? – spytała Miranda. Pomoc domowa Klary, impertynencka i niedbała dziewiętnastoletnia Francuzka (zaledwie dwa lata młodsza od swej pani) podała im herbatę na wytwornej srebrnej tacy, ustawiając ją przed kominkiem w salonie.

Klara, już nie panna młoda, ale pani domu, sprawdziła, czy jest wszystko, co trzeba: herbata, ciasto, dżem śliwkowy ze Starlings i bułeczki na grzanki. Obie siostry zrzuciły niewygodne szpilki z wąskimi szpicami. Klara ubrana była w lniany bladożółty kostiumik z krótką spódniczką, a Miranda w tweedową sukienkę-tubę w kolorze szpinaku, z olbrzymim czarnym kołnierzem z dzianiny.

– Tort czekoladowy Sachera! – wykrzyknęła Miranda. – Jak wyjdę za mąż, będę go jadła codziennie.

Klara zaśmiała się i powiedziała:

– Marie France, zanieś proszę ręczniki do różowej gościnnej sypialni. Moja siostra zostaje na noc. – Sam wyjechał służbowo.

O drugiej w nocy Klarę obudziło jakieś szarpanie. Wystraszona usiadła na łóżku i zobaczyła twarz Mirandy, słabo oświetloną światłem księżyca padającym poprzez ciemne drzewa na placyku.

– Posłuchaj – szepnęła Miranda – muszę z tobą porozmawiać. Przy herbacie byłam za bardzo... Do diabła – wstydziłam się.

Wdrapała się na łóżko i siadła ze skrzyżowanymi nogami, z twarzą ukrytą w mroku.

Klara przetarła pięściami oczy i sięgnęła do nocnej lampki.

– Czy to nie może poczekać do rana?

– Nie zapalaj światła – poprosiła Miranda. – Łatwiej się rozmawia w ciemności. Nie mogę... nigdy nie mogłam rozmawiać o seksie z nikim innym, tylko z tobą i Żabą, ale nie mogę tego omawiać przez telefon z podsłuchującymi telefonistkami w Nowym Jorku...

– Co się stało?

– Czy słyszałaś o „Kochanku Lady Chatterley”?

– Oczywiście, wszyscy słyszeli – odpowiedziała zaciekawiona Klara. Kilka tygodni wcześniej z powodu wydania tej książki wydawnictwo Penguin Books zostało postawione w stan oskarżenia o obsceniczość. Prokurator zadał sędziom przysięgłym pytanie: „Czy jest to książka, którą chcielibyście, żeby przeczytała wasza żona lub służba?” Stało się ono publicznym dowcipem.

– Gdy jestem z Angusem w łóżku – ciągnęła Miranda – nie odczuwam tego, co *lady Chatterley*. Żadnych szczytów ekstazy.

Klara, wysrebrzona światłem księżycy, podciągnęła kolana i objęła je rękami.

– Ja właściwie też nie.

Obie siostry milczały, póki pierwsza nie odezwała się Miranda.

– Nie rozumiem, dlaczego teraz tak mi trudno o tym rozmawiać, a w szkolnych czasach nie mówiłyśmy o niczym innym tylko o seksie.

Klara odgarnęła włosy za uszy i powiedziała smutno:

– Pamiętasz, jak się zastanawiałyśmy, co robi dobry kochanek? I dlaczego jeden ma być lepszy niż inny?

Miranda kiwnęła głową potakująco.

– No więc ja wciąż jeszcze nie wiem – powiedziała Klara. – Sam chyba uważa, że jest się dobrym kochankiem, robiąc to w setkach akrobatycznych pozycji. Czasem mam wrażenie, że z powrotem jestem w szkolnej sali gimnastycznej.

– Angusowi się wydaje, że to znaczy wymęczyć mnie tak, żebym była obolała. Jestem potem wykończona i trochę mi za niego wstyd, bo i tak nie jest dobrze. Najwyraźniej nie zauważa moich problemów. On jest zadowolony i myśli, że ja też.

– Sam mówi, że jestem oziębła... chociaż czasami czuję, jakby już coś miało się ze mną stać, i w ostatniej chwili nic się nie dzieje.

– Znam to uczucie.

Klara dodała z wahaniem:

– Zanim się pobraliśmy, Sam uważał, że pewnie się boję zejść w ciążę. Powiedział, że po ślubie się rozluźnię i wszystko będzie dobrze.

– Ale nie jest?

– Nie. Teraz po każdym stosunku przez kilka godzin czuję ból w krzyżu i nie mogę zasnąć, bo jestem taka rozstrojona, że chce mi się płakać.

– A ja mam ochotę potrząsnąć Angusem i mocno go kopnąć, żeby się obudził.

Po chwili ciszy Klara powiedziała:

– Kto by przypuszczał, że to będzie takie rozczarowanie? Sądziłam, że będę odczuwać takie zespolenie z Samem, jak jeszcze nigdy, że będziemy oboje płynąć na jednym łagodnym obłoczku. Oczekiwałam ekstazy.

– To jest to, co zawsze czują bohaterki babcinych romansów – odpowiedziała ponuro Miranda. – Nie kończą się błogość w jego silnych ramionach. Jak się babci udało wmówić kobietom, że dziarski, władczy kochanek jest kochankiem idealnym, bez opisywania, co robi?

– Dzięki ciągłemu powtarzaniu, że jest dziarski i władczy, jakby tylko o to chodziło – powiedziała Klara cierpko.

– Ale skąd jej się wzięło to przekonanie? Przecież Billy'ego tak byś nie określiła – zastanawiała się Miranda. – Prawdę mówiąc, nie mogę sobie wyobrazić, żeby to w ogóle robili!

– Na pewno coś między nimi było – stwierdziła Klara. – Wyczuwało się jakieś prądy, nawet kiedy Billy był już stary.

– Doskonała namiętność i wspólne orgazmy, jak *lady* Chatterley i jej gajowy?

– Myślisz, że to jest w ogóle możliwe? – spytała Klara.

– Nie mam pojęcia. Jaki właściwie ma być ten dobry seks?

– Myślę, że D. H. Lawrence wyidealizował go na swój męski sposób, tak jak babcia na swój romantyczny: Seks Bez Zdejmowania Majtek.

– Więc skąd mamy wiedzieć, czego nam brakuje?

– Nie wiem – odpowiedziała bezradnie Klara. – Myślałam, żeby o tym porozmawiać z Annabel. Ona mówi, że nie ma takich problemów.

– Szczęściara!

Po paru minutach Klara stwierdziła ponuro:

– Chyba muszę coś źle robić!

– Jak zwykle obwiniasz siebie – oburzyła się Miranda. – To jest właśnie różnica między tobą a mną. Ja uważam, że to Angus coś źle robi, albo... albo nie jest odpowiednim mężczyzną dla mnie. Może jestem dla niego za mała. – Westchnęła.

– Żebym go tak bardzo nie kochała... Ale nie jestem pewna, czy mogłabym już zawsze tak żyć... Z drugiej strony, może potrzebujemy więcej praktyki? Może się poprawi...

– U mnie się nie poprawiło – powiedziała Klara.

Miranda była zmartwiona i załamana. Księżyc zaszedł za chmurę i pokój pogrążył się w ciemności.

CZWARTEK, 17 LISTOPADA 1960

W swych apartamentach w Albany, w słabo oświetlonym salonie, Angus zmiął kolejną kartkę papieru i wrzucił do tłącego się ognia na kominku. Dobrze chociaż, że Miranda nie zawiadomiła go o tym listownie, tylko zrobiła to osobiście, wczoraj, właśnie w tym pokoju. Ale i tak nie mógł zrozumieć powodów, dla których odwołała ich ślub.

Wyjaśnienia Mirandy były ogólnikowe. Powiedziała, że jednak mając lat dziewiętnaście jest jeszcze za młoda na małżeństwo, chce trochę poznać życie, nim się ustatkuje, i ma nadzieję założyć jakiś własny interes, do czego by nie doszło, gdyby wyszła za mąż. Przysięgała, że nie chodzi o innego mężczyznę, co oczywiście było pierwszą myślą, jaka przyszła Angusowi do głowy.

Za młoda? Angus zauważył, że jej matka miała już w tym wieku dwoje dzieci.

Miranda rozplakała się.

Zgoda. To było nietaktowne, ale chciał jej zwrócić uwagę, że życie może okazać się krótkie i szkoda odkładać szczęście na później, skoro nie ma takiej konieczności. Gdy się uspokoiła, zauważył, że jako żona bankiera z jego pozycją mogłaby dużo podróżować i poznać życie już „ustatkowana”. Dodał, że chętnie też założy dla niej jakieś przedsiębiorstwo, jeśli będzie się chciała oderwać od domowych obowiązków.

W tym momencie Miranda przestała wyglądać niepewnie i przepraszać, i wybuchnęła wściekłością jak Wezuwiusz, oskarżając Angusa o męskie samozadowolenie. Gdy wybiegła z pokoju, trzaskając mahoniowymi drzwiami, natychmiast zadzwonił do Elinor, która już o wszystkim wiedziała.

– Może najlepiej ją przez kilka dni ignorować – zaproponowała. – Daj jej trochę czasu, żeby się uspokoiła. Najwidoczniej biedactwo odczuwa przedślubne zdenerwowanie już teraz, a nie w wieczór przed ślubem.

– Co najdziwniejsze – powiedział Angus – Miranda wcale nie powiedziała, że mnie nie kocha. Pytałem ją kilka razy, ale nie mogłem z niej tego wycisnąć. Wprawdzie nie powiedziała też, że mnie kocha – dodał smutno.

– A czy ty ją kochasz, Angusie? – spytała Elinor. Wydawała się odrobinę zdenerwowana.

– O Boże, tak! Nigdy przedtem nikomu nie proponowałem małżeństwa. Oczywiście, że kocham Mirandę!

Zgodził się z Elinor, że najlepiej będzie zachować spokój, nic nie robić i dać szansę Mirandzie. Z pewnością przemyśli jeszcze tę pospieszną decyzję.

Jednak gdy następnego ranka Angus otworzył *Timesa*, przeczytał, że ślub

szlachetnie urodzonego Angusa Maclayne'a z panną Mirandą Patrycją O'Dare nie odbędzie się. Tylko Miranda mogła zamieścić takie ogłoszenie.

Po szóstym telefonie z wyrazami współczucia Angus odłożył słuchawkę. Zaczął kolejny list do Mirandy, ale jak poprzednie wrzucił go w przygasający ogień. Nie mógł wyrazić słowami tego, co czuł. Intuicja mu podpowiedziała, że Miranda nie powiedziała mu wszystkiego. Czuł, że jeśli chce osiągnąć, co zaplanował, lepiej będzie, gdy się uspokoi, nie będzie ruszał sprawy i pozwoli wszystkim myśleć, że zerwali definitywnie. Angus był zdecydowany poślubić Mirandę.

Rozdział 12

WTOREK, 20 GRUDNIA 1960

Tydzień przed Bożym Narodzeniem Adam jechał kasztanowym Rolls Royce'em Phantom V do Starlings. Był to prezent gwiazdkowy, który sobie zafundował za prawie dziewięć tysięcy funtów. Pogwizdywał radośnie, skręcając w boczną wiejską drogę, prowadzącą do domu Elinor.

W związku ze szczęśliwą passą w grze zdołał spłacić wszystkie długi. Jednak nie sprawiło mu to ulgi. Przeciwnie, odczuwał jakiś niepokój. Martwił się, że nie wykorzystując wszelkich dostępnych możliwości marnuje swe szanse na większe zyski. A jeśli przepuści podobną okazję, nigdy nie będzie go stać na taki dom na Eaton Terrace, jaki ma Mike. Adam był zdecydowany, gdy tylko będzie mógł, kupić dom jeszcze wspanialszy niż ten brata. Reprezentacyjna fasada jest równie ważna dla adwokata jak dla banku.

Gdyby nie doszedł do pieniędzy dzięki hazardowi, może jeszcze je zarobić na ubezpieczeniach, gdyż właśnie został członkiem dwóch syndykatów ubezpieczeniowych u londyńskiego Lloyda. Każde duże, ryzykowne ubezpieczenie u Lloyda było zwykle równo rozłożone na kilka syndykatów, by zredukować indywidualne straty. Szkoda, że Adama stać było tylko na dwa, gdyż ryzyko byłoby równomierniej rozłożone, gdyby należał, powiedzmy, do dwudziestu z czterystu syndykatów.

Każdy z członków syndykatu Lloyda musiał sprostać pewnym wymogom finansowym. Trzeba było wykazać się aktywami w wysokości siedemdziesięciu pięciu tysięcy funtów, z których część należało trzymać w przynoszącym odsetki depozycie u Lloyda. Wprawdzie Adam nie posiadał takich pieniędzy, ale wystarczyło mu gotówki na depozyt, a resztę pożyczył na krótko, by zamydlić oczy radzie, która regulowała etykę zawodową i standardy swojego rynku i klientów.

Obok na siedzeniu Rollsa leżała teczka zawierająca prospekty Lloyda i spis inwestycji Elinor wraz z ich aktualną wartością i propozycjami, które z nich należałoby sprzedać. W teczce było również kilka kontraktów oczekujących na podpis Elinor. Po śmierci swego ojca w styczniu ubiegłego roku Adam przejrzał korespondencję z kilku lat, by zapoznać się z interesami Elinor, a teraz ona z wdzięcznością wielokrotnie zwracała się z prośbą o radę w różnych sprawach. Adam uważał się już za zarządzającego interesami Elinor. Poza tym był jej

adwokatem.

Gdy kamerdyner odbierał od niego płaszcz, zza drzwi gabinetu Elinor rozległy się gniewne głosy.

– Może zechciałby pan poczekać w salonie? – spytał kamerdyner, pogodny jak Budda. – Przynieść panu sherry lub herbatę?

– Nie, zaczekam tu w holu. Whisky z wodą sodową proszę. – Adam siadł na kanapce poirytowany, że Miranda najwidoczniej nie uprzedziła Elinor o jego przyjeździe, o co ją prosił.

Sącząc whisky słuchał, o czym mówiono za drzwiami obok. W wyłożonym dębową boazerią gabinecie Elinor, ubrana na niebiesko, dyskutowała z naburmuszoną Mirandą.

– Nie rozumiem, co w tym roku w ciebie wstąpiło – grzmiała Elinor. – Najpierw zerwałaś zaręczyny...

– Angus i ja i tak byśmy długo ze sobą nie wytrzymali – powiedziała twardo Miranda, nie chcąc się przyznać nawet przed sobą, że brakowało jej ich zażyłości. – Będzie znacznie szczęśliwszy z typową debutantką z Kensington. Jest jedynym znanym mi dwudziestodwuletnim mężczyzną, który chce się ożenić i ustabilizować.

– Tego nie możesz mieć mu za złe! – zaproponowała gwałtownie Elinor. – Później nudziłaś mnie o te niebezpieczne lekcje latania, a teraz chcesz otworzyć sklep! Moja wnuczka nie będzie ekspedientką!

Zagryzając usta, żeby się nie rozpląkać ze złości i rozczarowania, Elinor odwróciła się od Mirandy i popatrzyła na ogród, pogrążony w zimowym odpoczynku. Dwa krzaki ostrokrzewu po obu stronach furtki prowadzącej do sadu nigdy jeszcze nie zawiodły: zawsze gdy zbliżało się Boże Narodzenie, można było znaleźć na nich czerwone kuleczki.

– Przecież ty niczego nie wiesz na temat handlu! – dodała Elinor.

– Ty też nie wiedziałaś, gdy zaczynałaś pracę. – Miranda w fioletowym dresie, trzymając się pod boki, twardo broniła swego stanowiska. Za nią na kominku płonął ogień z gałęzi jabłoni.

– Walczyłabyś z olbrzymią konkurencją: Arden, Rubinstein, Revlon...

– Babciu, przecież ja pracuję u Elizabeth Arden. Wiem, jaki majątek kobieta wydaje w trosce o swoją twarz, przekroczywszy te szkarłatne drzwi.

– Właśnie! Nie miałabyś najmniejszych szans! – triumfowała Elinor, zwracając się znów do Mirandy.

– Miałabym! Miałabym dlatego, że Arden nie interesują kobiety, które mogą

wydać tylko kilka szylingów. A mnie tak! Pomyśl o tych tysiącach młodych dziewczyn, które mogą kupić najwyżej starodawny puder w kremie, w kolorach dla pań w średnim wieku... Mogą oczywiście iść do Woolwortha, ale czy Woolworth może być modny?

– Mirando, wiesz, ile przeznaczają na swój rozwój duże firmy. Gdyby była jakaś luka na rynku, jak twierdzisz, już by ją zauważono.

– Jest luka! – upierała się Miranda. – Ale ona ich nie interesuje. Właściciele takich firm nie rozumieją, czego chce młoda dziewczyna, i nie zastanowili się, ile to byłoby pieniędzy, gdyby każda z nich coś kupiła. – Z rozżalenia podniosła głos. – Chcę to sprzedawać tym dziewczynom, które spotykam na tańcach u Humpha. Teraz musimy się malować dziecięcymi farbami. Spytaj Annabel, ona ci powie, że mam rację.

Miranda nauczyła się od siostry technik makijażu stosowanych przez amerykańskie modelki. Annabel ogołociła Concorde, słabo oświetlony sklep kosmetyczny na Madison Avenue, w którym znajdowały się chyba wszystkie kosmetyki z całego świata, i przesłała jej próbki.

– Dlaczego musisz być taka trudna, Mirando?

– A dlaczego ty nie możesz być bardziej pomocna? Czy tobie nikt nie pomógł zacząć, gdy byłaś młoda?

– Nie!

– Więc tym bardziej powinnaś pomóc mnie – odparowała Miranda.

– Nie mam zamiaru wyrzucać tysięcy funtów na ryzykowne, głupie przedsięwzięcie, które ma małe szanse powodzenia.

– Ale byłaś skłonna wydać tysiące funtów na mój ślub, który, jak uważam, nie miał żadnych szans powodzenia.

– Nie wracajmy znów do tego! Ten biedny młodzieniec!

Miranda zmieniła taktykę. Podskoczyła do kominka, chwyciła pogrzebacz i roznieciła na nowo przygasający ogień. Zniżyła głos i powiedziała prosząco:

– Babciu, udowodnię ci, że nie wyrzucisz pieniędzy na próżno; zapłać tylko za badania. Margines zysku na kosmetykach jest olbrzymi! Sześćdziesiąt procent ceny detalicznej idzie do producenta, z czego tylko osiem procent wydaje się na surowce.

– Nie chcę więcej słuchać tych bredni! Do uruchomienia firmy kosmetycznej potrzeba milionów!

– Bzdura! – Miranda podskoczyła do stolika koło kanapy, przerzuciła kilka stron „Vogue'a” i wskazała palcem. – Tutaj! Wystarczy popatrzeć na drobne

ogłoszenia, żeby zobaczyć, ile jest małych firm, ale one nie mają stylu. A ja mam!

– Jesteś za młoda, Mirando, i koniec!

– Annabel mówi, że w New Jersey jest dziewczyna, Adrien Arpel, która zaczęła w pięćdziesiątym dziewiątym roku mając osiemnaście lat. Ojciec dał jej na początek czterysta dolarów, a teraz firma kwitnie! Co mój ojciec chciałby, żebyś zrobiła?

Elinor zamilkła. Po chwili powiedziała ciszej:

– Prawdę mówiąc, nie jestem aż tak ograniczona, jak uważasz, Mirando. Rozmawiałam z moim maklerem. Twierdzi, że wobec konkurencji wielkich firm wprowadzenie nowej linii kosmetyków do sklepów jest prawie niemożliwe!

– Co ten stary, łysy B. B. może o tym wiedzieć? Zawsze można zacząć w swoim własnym salonie – krzyknęła Miranda. – Skąd może wiedzieć, jakich szminek dziewczyny poszukują? Popatrz na moją twarz!

Elinor spojrzała i udało jej się nie doznać szoku.

– Żadnego z tych kolorów nie można kupić w Londynie – ciągnęła spiesznie Miranda. – A Annabel twierdzi, że w Nowym Jorku też nie! Żeby osiągnąć taki jasnorożowy, błyszczący kolor szminki, muszę użyć teatralnego rozbielacza pod jasnorożowy ołówek Caran d'Ache, a następnie pokryć wazeliną. A ja chcę zrobić to wszystko w jednym produkcie! Wiem, że jest mnóstwo takich dziewczyn jak ja. I mogę sprzedawać to w swoich własnych, małych sklepikach, zamiast szukać dostępu do wielkich, kosztownych magazynów, tracić czas na przypochlebianie się kupującym i czekać miesiącami na pieniądze, co mi utrudni przepływ gotówki – ciągnęła Miranda, nie przerywając nawet, by nabrać powietrza. – Och, babciu, czy nie pozwolisz mi nawet przeprowadzić badań rynku, żebym udowodniła to, o czym mówię? Annie Trehearne twierdzi...

– Twoja nowa przyjaciółka, panna Trehearne, jest redaktorką od mody, a nie wróżką!

Impulsywna blondynka, Annie Trehearne, znana była ze zwariowanych pomysłów i niesłuchanie trafnego przewidywania mody.

– Właśnie! Redaguje modę w „Queen”. Jej zadaniem jest wyłapywanie nowych trendów. Dlatego rozumie, co ja chcę zrobić! Ona też widzi tę lukę. Młodzież chce czego innego i ona to wyczuwa.

– Szkoda, że nie malowałaś jej paznokci nie gadając przy tym. Czy ze wszystkimi klientkami rozmawiasz o swych szaleńczych pomysłach?

– Babciu kochana, Annie jest specjalistką od szaleńczych pomysłów. A zresztą, przecież ty ją właśnie bardzo lubisz – dodała Miranda. – Annie nakłoniła agencję

reklamową, żeby przeprowadziła badanie rynku po najniższej cenie. Powiedziała, że potrzebne jej to do artykułu, i zaproponowała, że mnie zareklamuje, kiedy tylko wystartuję. A Adam ma projekt finansowy.

– Jak śmiesz zwracać się do mojego adwokata za moimi plecami!

– Babciu, znam Adama od dziecka – tłumaczyła się. – I jest nie tylko twoim adwokatem, jest także moim przyjacielem. I wcale nie musiał płacić za ten projekt. Bank akceptacyjny go przygotował.

– Jaki bank akceptacyjny?

Miranda podeszła do kominka, wzięła kulkę leżącą na gzymsie i zaczęła obracać ją w palcach.

– Jeśli wejdę w jakiś interes, babciu, będę potrzebowała banku, prawda? Popatrz na zestawienia Adama, proszę!... Mam je tutaj.

Elinor zaczęła tracić pewność.

– Dlaczego nie powiedziałaś, że konsultowałaś się z Adamem? No, jeśli Adam sądzi, że to ma sens... Chyba nic się nie stanie, jeśli to przejrzę.

W tym momencie Adam wstał, wziął teczkę i zapukał do drzwi gabinetu.

Trzy godziny później Elinor zgodziła się, że w prezencie na dwudzieste pierwsze urodziny Mirandy kupi jej mały sklep i przez trzy lata będzie opłacała sekretarkę i dwie ekspedientki, a prócz tego da odpowiedni kapitał na pokrycie pozostałych kosztów ogólnych i zakup towarów. Adam miał być doradcą Mirandy, a ona zgodziła się przez pierwsze trzy lata nie podejmować żadnych decyzji sprzecznych z jego radami.

W zamian za to wszystko Miranda zrezygnowała na razie z lekcji latania. Nie umknęło jednak uwagi Adama, że dziewczyna nie powiedziała słowa „nigdy”.

Miranda postanowiła nazwać swoją firmę KITS. Wiosną 1961 roku spędziła w wirze zajęć, z których nie wszystkie były przyjemne. Zamiast sprzedawać drogie produkty różnych znanych firm, chciała pakować i sprzedawać własne wyroby. Tym sposobem zachowywałyby kontrolę jakości, opakowania i wyceny, co pomogłoby podkreślić odrębność KITS. Wiedziała dokładnie, jaki ma być ten reklamowany wizerunek firmy: młody i odważny, wyrafinowany, ale niedrogi. Ma prezentować produkt ekscytujący, ale praktyczny. W sklepie KITS klient powinien móc kupić zestaw pustych buteleczek i pudełeczek, a następnie wybrać kosmetyki, które zostaną w nich umieszczone. Zamiast jaskrawych, źle dobranych opakowań, klientka będzie miała w łazience jeden ładnie zaprojektowany zestaw ze znakiem firmowym KITS.

Miranda wiedziała też, że spośród produktów niewiele się między sobą różniących klient zazwyczaj wybiera ten z bardziej rzucającym się w oczy znakiem firmowym. Nieciekawe opakowania, a co za tym idzie, brak wyrazistości, często bywały przyczyną niepowodzenia wielu niedrogich kosmetyków produkowanych przez małe firmy. Wiedziała też, że niedrogie, to niekoniecznie gorsze. Te same wyroby mogą być sprzedawane po różnych cenach: krem do twarzy może kosztować jednego funta, ale może też, w innym opakowaniu i pod inną nazwą, kosztować pięć.

Po ustaleniu celów Miranda musiała znaleźć dostawców, wybrać lub zaprojektować paletę sprzedawanych kosmetyków i środków pielęgnacji cery, napisać ulotki informacyjne, wynająć sklep i personel. Gdy zrobiła już ostatni spis podstawowych kosmetyków, ku rozpaczy gospodyni, której przeszkadzały te zapachy, zaczęła je produkować w kuchni Elinor na Chester Terrace. Miranda nie była jednak pewna swych umiejętności, jeśli idzie o środki pielęgnacyjne skóry. Wprawdzie poznała na kursie kilka podstawowych receptur, ale wolała przedyskutować to z fachowcem. Zadzwoiła więc do czterech wytwórni: trzy odmówiły współpracy, twierdząc, że jej zamówienie będzie zbyt małe, żeby sobie nim zawracać głowę. Czwartą była „Ladyface”.

PIĄTEK, 31 MARCA 1961

Siedząc w poczekalni dla klientów w „Ladyface”, Miranda zaczęła się denerwować. Umówiona była na jedenastą, a już jedenasta czterdzieści. Czy tak ma wyglądać solidna firma?

– Dzień dobry, jestem Cherry Dawson, specjalista od reklamy. – W drzwiach pojawiła się uśmiechnięta, urocza blondynka pod trzydziestkę. Jej zadaniem było załatwianie takich natrętów jak Miranda i zachowywanie całego uroku dla prasy i przedstawicieli firm z Nowego Jorku, którzy przyjeżdżali tu regularnie. Panna Dawson uśmiechnęła się z żalem. – Przykro mi, ale nie mamy obecnie żadnych wolnych stanowisk.

– Ja nie chcę tu pracować, jestem potencjalną państwa klientką – zdecydowanie odpowiedziała Miranda.

Ponieważ Miranda się upierała, panna Dawson (z minuty na minutę mniej urocza) stwierdziła, że klienci to nie jej dział, i zaprowadziła ją do biura panny Scotson, znanej ze swych zdolności do szybkiego pozbywania się każdego petenta. Podczas słuchania planów Mirandy, panna Scotson – podejrzliwa kobieta w wieku

około trzydziestu pięciu lat – została nagle wezwana do szefa.

Znów czekając, Miranda rozglądała się ponuro po gabinecie przypominającym białe pudełko od butów. Zastanawiała się, jak to możliwe, żeby przez dwadzieścia minut tak się zniechęcić. Wstała, przeciągnęła się i zaczęła studiować jakieś plany wiszące na tablicy ogłoszeń, z których nic nie zrozumiała. Później spojrzała na stos listów na biurku. Leżące na wierzchu pismo miało nagłówek „Arthur Bell Cosmetic Products Ltd Birmingham” i zaczynał się następująco: „Z przykrością informujemy o opóźnieniu dostawy do Nigerii zestawu EPD2...”

Panna Scotson nagle się zmaterializowała.

– Bardzo miło, że pani przedstawiła tu swoje plany, ale obawiam się, że nie będziemy w stanie pani pomóc, zwłaszcza wobec pani... niezwykle wysokich wymagań... co do testowania.

Miranda nie życzyła sobie testowania swoich produktów na zwierzętach.

– Może w takim razie ja w czymś państwu pomogę – powiedziała słodko Miranda, wskazując na przyczepioną do ściany makietę reklamy. Było tam napisane: „Niech twoja skóra poczuje, jak wnika w nią Ladyface...” – Skóra jest narządem wydzielania – wyjaśniła Miranda. – Nie można w nią niczego ładować, tak jak nie można w żaden inny narząd wydzielania, i wszelkie twierdzenia, że kosmetyki do tego służą, są absurdalne.

I z dumną miną opuściła pokój.

W następny poniedziałek taksówka Mirandy wjechała w ponurą uliczkę w Birmingham, między budynki z ciemnoczerwonej cegły. Na końcu znajdowała się szara brama z napisem „Arthur Bell Cosmetic Products Ltd”.

Kenneth Bell, blady mężczyzna o trupiej twarzy, ubrany w brązową skórzaną marynarkę, powitał Mirandę jak skowronka, wnoszącego nagłą radosną zmianę w jego szarą codzienność. Zaprosił ją na jej pierwszy służbowy obiad. Usiedli na trzcinowych fotelikach w jedynej w Birmingham kawiarni, wśród sztucznych pnączy i wrzasków papugi w klatce.

– Możemy dostarczać wszystkie kosmetyki oprócz szminek – zaproponował Ken, mieszając w rzadkim chili con carne. – Po nie będziesz musiała pojechać do Shama Cosmetic's w Manchesterze.

– Czy możecie mi pomóc ze środkami do pielęgnacji skóry? Nie będę ich pewna, póki nie zostaną odpowiednio przetestowane.

– Chyba możemy, Mirando. – Ken zdmuchnął piankę ze swojej cappuccino. – Mój kolega jest aptekarzem na Wimpole Street, opracuje z tobą receptury. Pracuje dla tych eleganckich dermatologów na Harley Street; możesz mu zaufać.

Od tego dnia Ken Bell był dostawcą, szpiegiem przemysłowym i doradcą Mirandy i śledził jej ambitne poczynania z ojcowską dumą i troską.

ŚRODA, 7 LUTEGO 1962

Innym ważnym elementem w przedsięwzięciu Mirandy było znalezienie odpowiedniego lokalu. Szukając najlepszego i najtańszego miejsca, na jakie ją było stać, wypatrywała czegoś położonego możliwie najbliżej stacji metra, przystanku autobusowego i przejścia dla pieszych. W końcu wybrała mały sklep i mieszkanie nad nim na rogu Oxford Street i Tottenham Court Road.

Gdy już podpisała tę kosztowną dzierżawę, musiała się błyskawicznie wprowadzić, gdyż od tej chwili ponosiła koszty wynajmu, podatków lokalnych, opłat za służby komunalne, ubezpieczenia, elektryczności, ogrzewania i remontu. Za to wszystko trzeba było już płacić, a sklep, póki nie był czynny, nie przynosił dochodów.

Przed wschodem słońca w swoje dwudzieste pierwsze urodziny Miranda, ukryta w oknie wystawowym, obserwowała przechodzący przed jej sklepem na wpół śpiący tłum ludzi, zdążających do pracy. Na wieczorną uroczystość otwarcia Miranda musiała mieć jakąś niezwykłą wystawę. Ustawiła więc pomalowany na srebrno damski manekin, założyła mu na głowę zwariowaną srebrną perukę z kilkoma skrawkami jasnoszarej siatki. Lalka stała w rozkroku, ze stopami lekko ustawionymi do wewnątrz i wyciągniętymi rękami, jakby chciała złapać deszcz szkarłatnych pudełeczek i pojemników KITS, zwisających z sufitu na niewidzialnych nylonowych nitkach. Miranda wybrała na swoje firmowe kolory biały i szkarłatny, zauważyła bowiem, że ludzie najpierw odpakowują prezenty opakowane na czerwono.

Nie stać już jej było na zaangażowanie specjalisty od reklamy, ale Annie Trehearne stwierdziła, że nie ma się czym martwić; Miranda może się reklamować sama. W końcu tyle razy widziała, jak jej babcia zabawia dziennikarzy, opowiadając im o swych książkach, czemu więc nie mogłaby sama promować swych kosmetyków? Krótco przed otwarciem sklepu wydrukowano cenniki i ulotki uprawniające klientki do wzięcia darmowej próbki przy zakupie jednego kosmetyku. Miranda i jedna z ekspedientek, Linda Grey, spędziły całe przedpołudnie na rozdawaniu ulotek po okolicznych uczelniach. Zaoszczędziły tym sposobem na reklamie.

Tego dnia, kiedy miało się odbyć wieczorne uroczyste otwarcie sklepu, po

południu pojawiła się Elinor i zastała kompletny chaos; stolarze coś przybijali, elektrycy przeklinali, a malarze kapali srebrną farbą.

Ubrana w dżinsy Miranda stała w samym środku tego zamieszania.

– Połóżcie te pudełka na górnych półkach, proszę... Ostrożnie, Jim, nie chcę już śladów farby na terakocie. Czy macie te niebieskie reflektorki?... Babciu, kochana! Co za niespodzianka!

– Widzę, że jesteś zajęta, dziecko – powiedziała Elinor. – Pomyślałam, że wpadnę tylko życzyć ci szczęścia i powiedzieć... powiedzieć, jak mi przykro, że wątpiłam w twoje zdolności do interesów, ale teraz cię popieram. Cokolwiek się stanie, możesz na mnie polegać.

– Cokolwiek się stanie? – uśmiechnęła się Miranda.

– Póki nie pojawi się właściwy mężczyzna, oczywiście.

O szóstej wieczorem Miranda po raz pierwszy otworzyła drzwi swego sklepu dla gości i klientów.

KITS wyglądał trochę jak eleganckie studio fotograficzne. Podłogi były pokryte czarną terakotą, ściany również czarne, a chromowane teatralne reflektorki oświetlały towar. Personel był ubrany w szkarłatne kombinezony. Od momentu otwarcia drzwi, KITS był pełen studentek, przechodniów, dziennikarzy i przyjaciół Elinor, która wysłała szkarłatne zaproszenia do wszystkich osób, których adresy znalazła w swoim notesie. Namawiała też wnuczkę, by zaprosiła Angusa. Miranda, która już wcześniej to zrobiła, uprzedziła babkę, żeby sobie nie robiła nadziei.

Elinor ją denerwowała, trudno było jej się przyznać przed sobą, że wciąż za nim tęskni bardziej, niż się spodziewała. Ale nie mogła ryzykować ponowienia głupstwa, i proponować powtórkę. I przecież nie miała zamiaru być nieszczęśliwa w łóżku do końca życia. Na razie zawiesiła poszukiwania księcia z bajki do czasu, aż będzie mniej zajęta pracą, a w każdym razie taką znalazła wymówkę. Szkoda, że Angus miał tę jedną poważną wadę, bo we wszystkich innych dziedzinach był idealny. Właśnie dlatego tak za nim tęskniła; bardziej niż on za nią, jak podejrzewała. Angus powiedział, że traktuje ją teraz wyłącznie jak przyjaciółkę, chociaż na razie nie czuli się jeszcze swobodnie w tych rolach. Może kiedyś nie będzie taka sztywna i nienaturalna w jego towarzystwie.

Elinor pomachała Angusowi, gdy tylko zobaczyła, jak w zatłoczonym, gwarnym sklepie stara się przecisnąć do kąta, w którym schroniły się wraz z Buzz.

– Angus jest tu jedynym mężczyzną, który nie wygląda, jakby właśnie uciekł z zoo – powiedziała Elinor do Buzz z zadowoleniem. – Tak się cieszę, że przyszedł. Wiem, że nie pogodził się z wyjaśnieniami Mirandy. Takie typy z mocną szczęką

łatwo nie rezygnują. Biedny chłopak czeka po prostu na właściwy moment. W tej chwili Miranda jest na fali, ale przyjdzie czas, gdy pojawią się trudności i będzie potrzebowała silnego mężczyzny. A wtedy objawi się Angus.

– Romantyczne bajdy, Neli – mruknęła Buzz i dodała: – Jakie oni tu papierosy palą? Nic dziwnego, że kaszlesz. Nie chcemy tu następnego ataku bronchitu, tydzień temu wstałaś z łóżka. – Powachlowała się zaproszeniem. – Ludzie! Co za hałas! I jaki tłum! A jakie dzikie ubrania!

Jednak najważniejszym składnikiem atmosfery była nie marihuana, ale optymizm i euforia towarzyszące temu tłumowi, po którym wyraźnie było widać, że moda przestała być przywilejem córek, żon i kochanek bogaczy. Annie Trehearne namówiła do przyjścia najznakomitsze osoby. Modelki rozmawiały z fotografami i modnymi fryzjerami, piękne dziewczęta z facetami od reklamy w ciemnych okularach, debiutantki z młodymi torysami, lewicowi dziennikarze sprzecali się z artystami w czarnych golfach. Dialekty Londynu i Liverpoolu mieszały się z wymową wyższych sfer: „Czy to nie bombowe?... Takie śmiałe... superlaski... ekstrasklep... zachwycające... zdecydowanie popieram”. Wieczór był z pewnością wydarzeniem.

– Annabel znów się spóźnia – narzekała Elinor do Buzz. Ale Annabel się nie spóźniła; oglądała przyjęcie przez dwustronne lustro, które Miranda zainstalowała na tylnej ścianie; chciała obserwować klientki KITS, by dowiedzieć się, po jakie kosmetyki najpierw sięgają.

Miranda zastrzegła sobie, żeby Annabel, chociaż przyleciała specjalnie z Nowego Jorku na otwarcie sklepu, nie pokazywała się wcześniej niż po dwóch godzinach przyjęcia. I Miranda, i Klara obawiały się, że Annabel, znana modelka, przyćmi właściwą bohaterkę wieczoru. Czekala więc, aż znikną fotoreporterzy. Na razie wystarczało jej obserwowanie. Marzyła, żeby siostra zainteresowała się którymś z atrakcyjnych mężczyzn na przyjęciu, zamiast rozmawiać z Angusem.

W końcu Miranda otworzyła drzwi.

– W porządku Annabel, możesz wchodzić. Proszę, poznajcie wszyscy moją piękną siostrę!

Dziesięć minut później, gdy Annabel na dobre włączyła się do zabawy, poczuła, że ktoś ją ciągnie za ramię. Była to Klara, blada i sprawiająca wrażenie chorej.

– Zabierz mnie stąd szybko, kochana. Boję się, że zemdleję. Nie psuj babci humoru, tylko mnie zawieź do domu.

Annabel zawiozła siostrę jej czerwonym samochodem na Poulton Square, wprowadziła po schodach, położyła do łóżka i przyniosła kieliszek koniaku.

– Nie, kochanie, nie chcę alkoholu. – Klara, oparta o poduszki, nadal wyglądała mizernie. – Nie martw się, Annabel, to nic poważnego. Miałam badania i nie jestem w ciąży, chociaż mój ginekolog kilka miesięcy temu kazał mi odstawić pigułki. Chciał się upewnić, czy nie to powodowało moje problemy. Teraz używam tego nieszczęsnego krążka, jeśli tylko Sam da mi czas, żeby go założyć.

– Ale co ci jest?

– Okropne bóle w krzyżu. Czuję się tak, jakbym stale miała bardzo bolesną miesiączkę.

– Gdzie jest Sam?

– Wyjechał wcześniej rano do Paryża. Wróci jutro wieczorem – odpowiedziała krótko.

– Czy wszystko między wami dobrze się układa? – spytała ostrożnie Annabel.

– Tak, oczywiście – odpowiedziała Klara i wybuchnęła płaczem. Annabel przytuliła siostrę, podała jej chusteczkę i zaczęła, aż przestanie płakać.

– A teraz powiedz mi, co się stało – powiedziała łagodnie.

Klara zaczęła mówić, przerwała, zająknęła się, znów przerwała, aż wybuchła:

– Mój ginekolog uważa, że dlatego mam te bóle, bo jestem podniecona i napięta w czasie stosunku, a nie odprężam się, bo nie mam orgazmu. Powiedział, że mężczyźni też się tak czują, jeśli nie mają wytrysku po erekcji. – Po kolejnych szlochach dodała: – Sam twierdzi, że jestem oziębła.

– Czy możesz się masturbować? – spytała Annabel.

Klara zaniemówiła, zaczerwieniła się i kiwnęła głową twierdząco. Annabel mówiła oschle.

– Jeśli potrafisz się masturbować do orgazmu, nie jesteś oziębła. Nie ma tu nic dziwnego.

– To dlaczego Sam myśli, że jestem oziębła?

– „Oziębła” to męskie określenie kobiety, która nie osiąga w ciągu dwóch minut orgazmu przy stymulacji, jaka jemu odpowiada.

Klara zaśmiała się gorzko.

– Dlaczego... dlaczego sama tego nie robisz, jeżeli masz takie okropne bóle? – spytała Annabel.

– Co za sens być małżeństwem, jeżeli nie możemy tego robić razem? – Klara była zniechęcona. – Jeżeli Sam mnie naprawdę kocha, powinien wiedzieć, czego potrzebuję w łóżku.

– Skąd? Przez znaki od Boga? Telepatię? – dopytywała się Annabel. – Sam nie czyta w twoich myślach. Musisz mu powiedzieć, co lubisz, albo wziąć go za rękę i

pokazać. Oczywiście, że cię kocha, inaczej by się z tobą nie ożenił, ale kiedy się kochacie, nie możesz się wstydzić i musisz mu powiedzieć, co na ciebie działa. Musicie razem ustalić: co ty lubisz, a co on.

– Dla ciebie to takie łatwe.

– Bo powinno być. Jest tylko jedna osoba, która potrafi nauczyć kobietę, jak być dobrą kochanką – to jej mężczyzna. I jest tylko jedna osoba, która potrafi nauczyć mężczyznę, jak być dobrym kochankiem – to jego kobieta.

– A co ty powiedziałaś Scottowi?

– Że ja wolę być na górze, bo czuję, że kontroluję rytm. My... my raczej się pocieramy, niż skaczymy jak w rock and rollu.

– Sam nie lubi rozmawiać, kiedy się kochamy. A jeżeli nie będzie chciał słuchać?

Annabel się wzdrygnęła.

– Niektórym mężczyznom możesz coś mówić do upadłego, ale jeśli nie chcą, nie usłyszą, więc szkoda gardła. W takim przypadku może będziesz musiała z nim iść do poradni małżeńskiej.

– Wciąż wierzę, że będzie lepiej...

– Od trzech lat jesteś mężatką! Ile jeszcze chcesz czekać?

– Nie popędzaj mnie – obruszyła się Klara. – A skąd ty jesteś takim ekspertem, Annabel?

– Scott mnie nauczył. Zresztą seks jest jedyną rzeczą, o jakiej modelki rozmawiają w garderobach. W Nowym Jorku wszyscy mówią otwarcie o sprawach, o których sama myśl wywołuje rumieniec u Brytyjczyków. Amerykanie są przyzwyczajeni mówić wszystko swoim psychoanalitykom.

Klara zaśmiała się słabo.

– Gdybyś opowiadała komuś z Marsa, że akt miłosny jest najwyższą rozkoszą istoty ludzkiej, a później go opisała, to śmiałyby się do rozpuku, aż rozpadłby się na zielone cząsteczki.

W końcu wymyśliła, że najlepiej będzie, jeśli zwyczajnie streści Samowi swoją rozmowę z Annabel. Sam powiedział:

– Dlaczego, do cholery, musisz dyskutować o naszych prywatnych sprawach ze swoją siostrą? Nie martw się. Wiele kobiet nie ma orgazmu.

– Ale ja mam, kiedy... kiedy robię to sama.

– Słuchaj, Klaro, nikt jeszcze nigdy na mnie nie narzekał. Dzięki, ale u mnie wszystko świetnie funkcjonuje. – Położył się na wznak na poduszkach w niebieskie paseczki, z gołą piersią, założywszy ręce pod głowę. – Chodź tu, to ci udowodnię.

Nim wszedł w nią, wsunął dwa palce i poruszał nimi coraz energiczniej. Później starał się wejść mocniej i głębiej niż zwykle, jakby chciał dotrzeć do jakiegoś nieosiągalnego punktu, niczym hydraulik, który koniecznie chce znaleźć miejsce zapchania się rury.

Klara próbowała wykonywać pod nim ruchy rock and rolla, lecz Sam uchwycił jej biodra i dostosował do swojego rytmu.

Kiedy było już po wszystkim, Klara, która znów nie miała orgazmu, usłyszała ciche, pełne zniecierpliwienia westchnienie Sama. W końcu, podniecony, sięgnął do jej łechtaczki. Po czterech minutach osiągnęła szczyt.

Kilka tygodni później informowała siostrę o pewnym postępie.

– Więc już wszystko w porządku? – spytała Annabel.

Klara zawahała się.

– Niezupełnie. Czuję... czuję, że wciąż coś jest nie tak... Sam się bardzo stara – powiedziała. – W każdej możliwej pozycji, ale... nie ma w tym miłości ani czułości. Wydaje mi się, jakbyśmy byli parą akrobatów na występach.

– Mówiąc wprost – powiedziała Annabel – sprawne pieprzenie niekoniecznie jest aktem miłosnym.

– Najgorsze jest to... Sam nie potrafi zrozumieć, że sposób, w jaki działa moje ciało, jest normalny. A ja się czuję urażona, bo on najwyraźniej uważa, że powinnam być wdzięczna.

Po dłuższym milczeniu Annabel się odezwała:

– A może powinnaś to trochę ubarwić? Może spróbuj trochę pofantazjować?

– Co masz na myśli?

– Marzenia erotyczne. Następnym razem, kiedy będziesz z Samem w łóżku, użyj wyobraźni. Powiedz: „Wyobrażam sobie, jak rozpinasz mój czarny koronkowy gorset!”

Klara spojrzała na nią powątpiewająco.

PIĄTEK, 6 KWIETNIA 1962

A jednak następnego dnia zapowiedziała dziewczynie do pomocy, że nie będzie jej cały dzień, i pojechała taksówką do restauracji „Matelot”. Miała się tam spotkać na obiedzie z Lizzie Bromley. Kiedy kelner wręczył jej wiadomość od Lizzie, że nie przyjedzie z powodu bólu zęba, Klara wzięła następną taksówkę i pojechała do Fenwicka.

Po godzinie wracała do domu, taskając dwa olbrzymie zielone pudła frywolnej bielizny. Planowała wypróbować jakieś nowe pomysły. Otworzyła drzwi do swojej sypialni... i zamarła.

Wpatrywała się w pośladki Sama, poruszające się w górę i w dół, a pod nim wystraszoną twarz Marie France.

Pierwsze uczucia, jakich doznała, to ból i złość, a natychmiast potem zwątpienie; co takiego miała ta francuska służąca, czego jej brakowało? To niesprawiedliwe! Tak się starała, żeby było lepiej, wydała właśnie majątek u Fenwicka!

Gdy nareszcie była w stanie się odezwać, wrzasnęła:

– Wynoś się z mojego łóżka i z tego domu. Natychmiast!

Rzuciła zielone pudełka na podłogę, rozdarła jedno z nich, i zaczęła obrzucać oniemiałego Sama tym, co wyciągała: czarnym koronkowym paskiem od pończoch, siatkowymi pończochami, błyszczącą „bardotką”, czarną szyfonową francuską kombinacją, długimi czarnymi rękawiczkami oraz parą czerwonych lakierowanych pantofli na niebotycznie wysokich obcasach.

Następnie, pozostawiając frontowe drzwi otwarte, wybiegła z domu na Uing's Road, gdzie zatrzymała taksówkę i udała się do domu babki.

Elinor postanowiła sprzedać mieszkanie, bo bez sensu było utrzymywanie go tylko do okazjonalnego użytku przez jedną osobę. Rzadko zostawała na noc w Londynie, a jeśliby się tak zdarzyło, mogła zanoć w hotelu Claridge.

Gdy Klara załomotała w drzwi, Elinor i Buzz sporządzały właśnie spis mebli; które wysłać do Starlings, które przechować, które sprzedać, a które oddać biednym.

– Dziecko drogie, co się stało? – Elinor wyciągnęła ramiona, w które Klara się wtuliła.

– Przyszłam do domu – łkała Klara w kłapy szarego kostiumu Elinor. – Nie chcę go więcej widzieć! Za... za... zastałam go w łó... łó... łóżku ze służącą!

Elinor starała się ją pocieszyć.

– Kochanie, nie możesz tego tak brać do serca. Wiem, że jesteś mężatką, ale wszyscy mężczyźni są tacy sami; mają nieposkromione apetyty. Musisz się nauczyć przymykać na to oko.

– Może twoje pokolenie tak robiło, ale ja się na to nie zgodzę! Nigdy nie wrócę do Sama.

Pocieszając i uspokajając Klarę, Elinor wyszeptwała nad jej głową do Buzz:

– Odwołaj agenta mieszkaniowego!

Sam uważał, że oszukiwanie żony nie ma najmniejszego znaczenia, pod warunkiem że nic się nie wyda. Miał po prostu pecha. W porządku, było mu przykro. Denerwował się coraz bardziej, gdy się zorientował, jak uparta potrafi być Klara. Nic nie było w stanie jej udobruchać.

Przez ponad dwa miesiące starał się namówić ją do powrotu, w końcu jednak przestał zadzwaniać ją telefonami. Stwierdził, że Klara albo wróci, albo nie – czas pokaże.

W połowie czerwca trzech więźniowie, używając łyżeczek, wydlubali podkop i uciekli z Alcatraz. Czytając o tym w „Daily Telegraph”, Klara poczuła się tak jak oni, w pułapce, tyle że nie miała łyżeczki. Odebrała właśnie wyniki badań. Spodziewała się dziecka. Przerwanie ciąży było nielegalne. Nie ma wyjścia. Musi wrócić do Sama.

WTOREK, 18 GRUDNIA 1962

Krótko przed Bożym Narodzeniem Adam i Mike towarzyszyli Elinor i Buzz w teatrze. Obie damy czuły się wspaniale z tak przystojną eskortą, a o to właśnie Adamowi chodziło. Gdy zajmowali miejsca w reprezentacyjnej łoży na przedstawieniu Royal Shakespeare Company, która wystawiała „Króla Leara” w reżyserii Petera Brooka, zwracały się ku nim wszystkie głowy.

Później przy kolacji w „Savoy'u” Adam powiedział:

– Niespecjalnie mi się podobało. Było zbyt blade i zbyt współczesne jak dla mnie. – Znow się zaczął zastanawiać, czy nie należało zabrać obu staruszek na „Pułapkę na myszy” Agaty Christie.

– Paul Scofield był bardzo dobry jako Lear – zauważyła Elinor, dbając, żeby pozytywnie ocenić wieczór, za który ktoś inny płacił. – Ale każdy mógł powiedzieć temu zarozumiałemu idiocie, co się stanie.

– Czasami niełatwo jest zauważyć, co się dzieje, jeśli zdarza się to właśnie tobie – powiedziała Buzz.

– To prawda – potwierdziła Elinor.

– Weźmy tego księgowego, którego wyrzuciłyśmy – ciągnęła Buzz. – Też coś, żeby mieć proces przez głupi rachunek za gaz.

– Istotnie, źle wybrałem. Nie należało tak ufać komuś innemu – powiedział Adam, wściekły na Buzz za jej brak taktu. Przez niekompetentnego księgowego Elinor nie zapłaciła mnóstwa drobnych rachunków, co z kolei doprowadziło do kilku skomplikowanych małych procesów, które nie miały prawa się wydarzyć.

– Paul Littlejohn świetnie sobie poradził z tym pozwem – spiesznie dodała Elinor, wspominając młodego wspólnika zSTG.

Buzz wielokrotnie się uskarżała, że gdy interesami Elinor zajmował się Joe Grant, nigdy nie było problemów: wszystko tak uprościł, że nic nie sprawiało kłopotów, Adam natomiast w ciągu niespełna roku potrafił to niezwykle zagmatwać.

Elinor przypomniła jej, że interesy związane z pisaniem również się skomplikowały, odkąd Adam przeprowadził restrukturyzację i podział na kilka spółek. Buzz skomentowała, że nie rozumie powodów restrukturyzacji tak samo jak Elinor.

– Ale nigdy nie kwestionujesz decyzji Adama. Robisz, co ci każe, a moim zdaniem on mówi to, co mu wygodnie.

– Dość tego – powiedziała oschle Elinor, nie dopuszczając do siebie myśli, że na Adamie nie można polegać. Do kogo innego miałyby się zwrócić? Kto inny mógłby jej poradzić, co robić? Adam był wyrozumiały i sympatyczny, zdejmował jej ciężar z ramion, dzięki czemu mogła pracować. Bez niego byłaby zgubiona.

Gdy Adam studiował listę win, do ich stolika podszedł kelner ze srebrną tacą, na której leżała kartka do Mike'a. Ten przeczytał ją szybko, odwrócił się i z szacunkiem kiwnął głową grupie panów w smokingach, jedzących kolację przy najlepszym stoliku na sali.

Po posiłku, gdy Elinor i Buzz poszły „przypudrować nosy”, Adam spytał brata:

– Co to za wiadomość?

Mike popatrzył na niego z mieszanymi uczuciami; sympatii, poirytowania i współczucia.

– Nie chciałem ci mówić aż do jutra. Nie miałem pojęcia, że bracia dzisiaj tu będą. Przykro mi, ale nie chcą ci już ani trochę sprolongować. Masz im oddać w ciągu dziesięciu dni.

– Czy kiedyś nie zapłaciłem moich długów hazardowych? – spytał Adam ze złością.

– Nie, ale oni nie mogą sobie pozwolić, żeby inni ludzie wiedzieli, że nie płacisz, w terminie. Gdyby wszyscy ich dłużnicy się zachowali tak jak ty?

– Inni dłużnicy nie zapewniają im obsługi prawnej tak jak ja. Wydostałem ich z kilku niemiłych sytuacji.

– Więc wydostań i siebie. – Mike poprosił o rachunek.

Po powrocie do mieszkania na Chester Terrace Elinor i Buzz znalazły

przyczepioną pod kołatką karteczkę od Sama; na stroniczce wydartej z kalendarzyka napisał: „Klara zaczęła wcześniej rodzić, zawiozłem ją do szpitala”.

Trzydzieści dwie godziny później, po ciężkim porodzie, Klara urodziła chłopca ważącego osiem funtów.

Gdy Elinor ostrożnie trzymała w ramionach Joshue, który miał zaledwie godzinę, zauważyła prawie niewidoczny zarys sklepienia czaszki i delikatne wgłębienie ciemniczka na szczycie pokrytej puszką główki. Miał zamknięte oczka i sprawiał wrażenie małego, słabego i wymęczonego. Elinor ostrożnie rozwarła drobniutką piąstkę i wsunęła w nią palec wskazujący. Śpiące niemowlę mocno go złapało. Z zachwytem patrzyła na maleńkie paluszki i paznokietki.

– Mam nadzieję, że się niedługo obudzi – szepnęła spod maseczki do Buzz. – W ciągu pierwszych kilku dni, nim twarz nabierze ciała, można zobaczyć, jak dziecko będzie wyglądało, gdy dorośnie.

Nagle maleństwo się obudziło, otworzyło oczy i wydawało się, że rozumnie spojrzało na Elinor. Niemalże krzyknęła, gdyż oczy, które na nią patrzyły, były oczami Billy'ego. Miały kolor akwamaryny.

Elinor niedługo cieszyła się swym pierwszym prawnukiem. W Nowy Rok Sam oznajmił Klarze, że chciałby wrócić do Los Angeles.

Od trzech lat, kiedy to odbyła się premiera „Zbożowego wyścigu”, Sam nie wyprodukował żadnego kasowego filmu. Nie sądził, że wypadł z obiegu, ale zdawał sobie sprawę, że będąc poza głównym nurtem filmowym przestaje się liczyć. Praca na tym rynku wymaga obecności producenta w miejscu, gdzie znajduje się ten rynek, w mieście, gdzie toczy się życie filmowe, w mieście, gdzie każdy mieszkaniec, nawet kelner czy chłopak ze stacji benzynowej, ma swojego agenta i co najmniej jednego adwokata, w mieście, gdzie wszyscy żyją, oddychają, jedzą, mówią, a już na pewno śpią filmem: w Los Angeles.

Sam dopiero miał się dowiedzieć, że łatwiej jest wyjechać, niż wrócić.

Rozdział 13

ŚRODA, 30 STYCZNIA 1963

Po czterech dniach od przylotu do Los Angeles Klara wciąż była w euforii. Czowała się tak, jakby od wyjścia z samolotu zamiast głowy miała prawo jazdy. W Los Angeles nie dawało się poruszać inaczej niż samochodem; miejscami nie było nawet chodników. Z drugiej strony bardzo jej odpowiadało chodzenie w styczniu w szortach i spacerowanie zimą po plaży nad oceanem. Lubiła też słuchać rozmów, uwielbiała błyskotliwe, cięte odpowiedzi znajomych Sama i rozwlekłe dyskusje w restauracjach przy plaży, nieodłączne plotki filmowe. Pod koniec pierwszego tygodnia była już świetnie zorientowana w tych sprawach.

Szybko znalazła i urządziła dom w Brentwood, cały ze szkła i drewna, z basenem i patio. Przyzwyczajona do łagodnego otoczenia pragnęła za wszelką cenę stworzyć w tym domu wygodne, ciche schronienie przed olśniewającym, absurdalnym, nieprzewidywalnym życiem południowej Kalifornii, które ją fascynowało, ale i męczyło.

Jednak bardziej męczący niż Los Angeles był Josh. Klara nie miała pojęcia, że jedno niemowlę może być tak absorbujące: był hałaśliwy, wymagający i wydawało się, że w nocy śpi najwyżej trzy minuty.

W dniu, w którym Sam zobaczył Klarę poparzoną od słońca, gdyż ze zmęczenia zasnęła przy basenie, zrobiło mu się jej żal. Objął delikatnie jej ramiona całe w pęcherzach i powiedział:

– Weźmy jakąś nianię. Nie upieraj się.

Ku jego zdziwieniu, a także i zdumieniu przyjaciół, Sam uwielbiał małego. Gdy Josh miał miesiąc, Sam był pewien, że mały odnajduje go wzrokiem, chociaż Klara mówiła, że to niemożliwe. Kiedy miał dwa miesiące, Sam wiedział, że to prawdziwy uśmiech, a nie grymas wywołany bólem brzuszka, a kiedy miał trzy, naprawdę machał rączkami i głośno się śmiał na widok ojca i wyraźnie go rozpoznawał.

Wszystkie problemy Sama znikwały, gdy kładł nagiego, fikającego Josha do wianienki, wydawał śmieszne dźwięki nad wózkami, chodził na czworaka jak niedźwiadek lub usiłował uczyć czteromiesięczną niemowlę mówić „tata”.

Elinor najęła młodą angielską nianię, która przypominała Klarze małego kosa o

bystrych oczkach. Ponieważ ludzie tęskniący za krajem lgną ku sobie, szybko się zaprzyjaźniły. Od dnia przyjazdu Kathy do Los Angeles, Josh zmienił się w spokojne dziecko. Leżał w wózku, łóżeczku czy na dywanie, puszczał bąbelki ze śliny, gaworzył, odbijało mu się kiedy trzeba, i w ogóle nie sprawiał kłopotu. Klara uważała, że to niesprawiedliwie, ale oczywiście oboje z Samem bardzo się z tego cieszyli.

Po przyjeździe Kathy Klara zaczęła przyjmować gości. W Los Angeles nigdy nie było to zwykle zaproszenie przyjaciół na kolację, zawsze urastało do rangi bardzo ważnej sprawy. Sam potrzebował poparcia i Klara była zdecydowana pomóc mu w miarę możliwości. Pamiętała sukces, jaki osiągały codzienne herbatki Elinor i zaczęła wykorzystywać swoje zdolności organizacyjne, urządzając wykwintne i bogate przyjęcia. Nie była Samowi potrzebna przy jego służbowych śniadaniach w „El Padrino Room” w Beverly Wilshire czy obiadach w „Brown Derby” czy „Scandii” na Sunset Boulevard, ale wieczorami zawsze była gospodynią; czy to w domu, czy w „Bel Air Hotel”, czy w „Romanoff”. Starzy przyjaciele Sama podziwiali klasę jego angielskiej żony, wnuczki słynnej pisarki, autorki bestsellerów. Była nie tylko śliczna i młoda, lecz również czarująca i swobodna jako gospodyni – czego nikt z nich nie mógł powiedzieć o poprzednich żonach Sama.

Sam musiał ciężko pracować, by się na nowo ustawić, a najważniejszą sprawą było znalezienie właściwego scenariusza. Spędzał czas na poszukiwaniu materiału, starając się nie zwracać uwagi na zimne szpony, które ścisnęły mu żołądek i portfel, gdy obserwował obojętność świata w stosunku do niego, Sama Shapiro. Doszedł do takiego etapu w życiu, że już nic nie było proste. Jeszcze był w interesie, ale wisiał na włosku i zdawał sobie z tego sprawę. Wiedzieli też o tym inni liczący się w Los Angeles, wszyscy prócz Klary. Nadal był uprzejmie witany w restauracjach, a Gary Grant i Frank Sinatra kiwali mu jeszcze głowami... Były jednak drobiazgi, takie jak przesunięcie go na liście agencji Swifty z grupy „A” do grupy „B”, które przypominały wszystkim, że od czasu „Zbożowego wyścigu” Sam nie nakręcił hitu.

Klara zrozumiała jeszcze przed przyjazdem, że małżeństwo z producentem filmowym nie jest czymś tak wspaniałym, jak kiedyś ona i jej zazdrosne przyjaciółki myślały. Szybko się nauczyła, że pory roku to wcale nie wiosna, lato, jesień, zima, ale okres przygotowawczy, zdjęciowy, wykończeniowy, dystrybucyjny. Nie wiedziała jednak, że pieniądze Sama się kończą; dochody z kasowych filmów rozeszły się na podatki, alimenty dla żon i zdumiewająco duże

wydatki bieżące.

Nie zdając sobie sprawy, że Sama na to nie stać, Klara rozrzutnie wydawała pieniądze na przyjęcia. Pod koniec kwietnia zatelefonowała do Annabel w Nowym Jorku i zameldowała:

– Dziś wieczorem mamy na kolacji siedemdziesiąt pięć osób. Kazałam zainstalować nad basenem markizę w żółte paski.

– Ja nie mam czasu na oficjalne przyjęcia w domu – powiedziała Annabel. – Jeżeli są to goście służbowi, zapraszamy ich do „21”, a jeśli przyjaciele – na późne śniadanie w niedzielę.

Klara zachichotała.

– W Los Angeles to by nie przeszło. Niedzielne śniadania, pikniki na plaży i inne nieformalne spotkania są uznawane za nieeleganckie. Tutaj przyjmowanie gości odbywa się bardzo staromodnie i oficjalnie. W domu wydaję duże przyjęcia albo kolacje do szesnastu osób – nawiasem mówiąc, dostawcy na przyjęcia są wspaniali – a inne imprezy odbywają się w eleganckich hotelach.

– Czy na tych przyjęciach pełno jest pięknych aktorek i seksownych gwiazdek?

Klara znów się zaśmiała.

– Nigdy. Ważni ludzie to panowie z rodzinami, więc na najlepszych przyjęciach nie ma gwiazdek, żeby żony się czuły pewniej. Mnóstwo wspaniałych kobiet wchodzi i wychodzi z restauracji i hoteli, ale nie spotkasz ich na wytwornych przyjęciach. Nie zaprasza się też słabych aktorów, bo mogliby kogoś nudzić o rolę. Nie, cała idea tych przyjęć polega na tym, żeby coś załatwić, zebrać właściwych ludzi, którzy mogą zrobić razem następny film.

Jednak żadne przyjęcie Klary nie dało efektów, jakich Sam oczekiwał.

Niepokój o karierę i niepowodzenia z ponownym wejściem na rynek spowodowały, że Sam nie przejawiał nadmiaru energii.

Kochali się z Klarą regularnie, a Sam wzorowo dbał o jej orgazmy, ale wciąż czuła (choć nic nie mówiła), że czegoś jednak brakuje. Nie było w tym spontanicznej radości ani pełnego miłości ciepła, w jego ramionach nie ulatywała ku gwiazdom. Przekonywała sobie, że jej oczekiwania są równie idiotycznie nierealne, jak jakiejś bohaterki z romansów babci.

Pewnego popołudnia, gdy zadzwoniła Annabel, Klara nieoczekiwanie spytała:

– Jak twoje życie małżeńskie, kochanie?

– Mechaniczne – odpowiedziała po chwili Annabel.

– Twoje też?

– Zawsze wiem, kiedy coś ważnego dzieje się u Scotta w redakcji, bo wtedy,

nawet gdy jest ze mną, myślami jest gdzie indziej.

– Nie wierzę! Przecież wmawiałaś mi, że Scott jest darem niebios dla każdej kobiety!

– Chyba wziął sobie urlop – rzuciła krótko Annabel i zmieniła temat.

Klara zauważyła, że Sam ożywa, gdy zbierają się wokół niego, przy basenie czy w salonach hotelowych, młode aktoreczki. Dla nich producent to producent, a Sam wciąż jeszcze miał nazwisko. Widać było, że Samowi ich zainteresowanie poprawia samopoczucie, ale Klara była trochę smutna i trochę zazdrosna. Żałowała, że w rzeczywistości nie ma tego, czego zazdrościły jej wszystkie kobiety: władczego, opiekuńczego, seksownego męża. Może gdyby mogli pojechać we dwoje w jakieś wspaniałe miejsce... Toteż gdy następnego dnia po jej wielkim przyjęciu Sam zapytał, czy chciałaby mu towarzyszyć na Międzynarodowy Festiwal Filmowy w Cannes, zdziwił się, że postanowiła zostawić Josha na dziesięć dni pod opieką Kathy. Klara marzyła o drugim miodowym miesiącu.

Niestety, w ostatniej chwili Sam – nieświadom romantycznych planów żony – zaprosił także Elinor, kurującą się po kolejnym napadzie bronchitu. Sądził, że będzie dotrzymywała towarzystwa Klarze, która dzięki temu nie będzie musiała się snuć sama całymi dniami, podczas gdy on będzie załatwiał interesy. Zdecydował, że zatrzymają się w hotelu, a nie w willi Elinor w St. Tropez, która była zbyt mała i daleko od centrum festiwalowego.

PONIEDZIAŁEK, 6 MAJA 1963

Tydzień później Klara, Sam, Elinor i Buzz siedzieli w oślepiającym słońcu na tarasie; po zatoce pływały białe jachty, tłumy na plaży podglądały gwiazdki, a fotoreporterzy fotografowali dziewczyny w bikini z błyskotek, bikini z nerek i bikini pokrytych kwiatami. Klara nie widziała żadnych gwiazd, ale Sam powiedział, że zwykle zatrzymują się na wzgórzach poza Cannes, gdzie wynajmują luksusowe wille, zstępując w dół tylko na własne pokazy, gdy machina reklamowa gotowa była na ich przyjęcie.

Klara i Sam uśmiechali się do siebie przez stół. Klara była szczęśliwa, obserwując kinowy rytuał wiosenny.

Elinor zauważyła zmianę i odczuła ulgę. Dziecko często łączy pary, które mają kłopoty. Miała nadzieję, że tamten drobny epizod został zapomniany.

Tydzień później z okien Carltona i Negresco wydobywał się dym z cygar:

negocjacje stawały się coraz poważniejsze i zawierano umowy, ale Sam nie brał w tym udziału. Klara nauczyła się już nie pytać: „Ale czy ustaliliście coś konkretnego?“, gdy Sam wracał zmęczony, ale wciąż pełen nadziei z obiadu z jakimś ważniakiem w Hotel du Cap lub Eden Rok w Antibes. Jego pewność siebie, która niegdyś podbiła serce Klary, wyraźnie malała.

Pewnego wieczoru jedli w „Majestic“ kolację z dystrybutorem, który zakończył transakcje w siedmiu głównych okręgach, był bliski zakończenia następnych dziewięciu, pracował nad strategią negocjacji z pozostałymi dwudziestu jeden okręgami i miał nadzieję zdążyć załatwić to w ostatnim tygodniu festiwalu. Patrząc na Sama, Klara zastanawiała się, czy desperacja malująca się na jego twarzy jest równie widoczna dla innych, jak dla niej. Po kolacji zaproponowała spacer wysadzaną palmami promenadą La Croisette. Miała nadzieję, że gdy oboje znajdą się w ciemności, pod gwiazdzistym niebem, zapomną o gorączkowej atmosferze festiwalu. Wszędzie widać było małe grupki młodych ludzi, którzy pili, palili, rozmawiali i śmiali się.

– Kto to? – spytała – Młode nadzieje kina i bezrobotni aktorzy – większość z nich już widziałas. Snują się w holach restauracji i hoteli i są rozczarowani, że rozmawiają ze sobą, a nie z Dino de Laurentisem czy Franco Zeffirellim – odpowiedział Sam. – To są wszystko biedni marzyciele, niedoszli scenarzyści, reżyserzy i producenci. Przyjechali z całego świata, przywożąc rolki taśmy, teczki pełne projektów, pomysłów, scenariuszy. Do chwili powrotu do rzeczywistości, większość z nich niczego nie sprzeda.

– Ale co robią na plaży?

– Jeśli nie mogą znaleźć taniego locum poza miastem, śpią tutaj.

Klarze nie było żal tych zdrowych, młodych, pełnych nadziei ludzi, obejmujących się w blasku księżyca na plaży na Riwierze. Coraz bardziej jednak było jej żal Sama. Brak sukcesu powodował, że mówił trochę głośniejszym głosem, dawał większe napiwki i trochę więcej flirtował z niedoszłymi gwiazdkami, które nie zdawały sobie sprawy, że tracą czas. Gdy doszli do opustoszałego krańca plaży, pociągnęła Sama.

– Zejdźmy na brzeg – zaproponowała, biorąc go za rękę. Tam gdzie piasek łączył się z ciemnym morzem, zdjęła buty i odwróciła się do Sama, obejmując go za szyję.

– Zapomnijmy na chwilę o wszystkim – szepnęła. – Zapomnijmy o filmach, pieniądzach, umowach i wątpliwościach. Cieszymy się szumem morza. Cieszymy się sobą.

Sam przyciągnął ją blisko i powiedział bezradnie:

– Nie rozumiem, co robię źle... Tak mi przykro, Klaro.

– Nie szkodzi, zapomnij o tym na chwilę. – Objęła jego twarz dłońmi i pocałowała go mocno w usta. – Nikt nas nie widzi.

Całowali się namiętnie, mocno w siebie wtuleni. Chociaż raz Sam dopuścił do tego, aby Klara dzieliła z nim jego ludzką słabość. Po raz pierwszy to on czuł jej siłę i pewność. Po raz pierwszy dzielił się, szeptem, swoimi wątpliwościami, obawami, żałami.

Klara scalaływała jego słowa.

– To nie szkodzi, Sam, przysięgam, że to nie ma znaczenia. Zapomnij o tym. Pamiętaj tylko, że jesteśmy razem, i że cię kocham.

Sam okrył ją sobą i wiedziała, że jej potrzebuje. I tam, na mokrym, zimnym piasku, Klara nareszcie poczuła to, o czym zawsze marzyła; ulgę, jakiej poszukiwała. Ku swemu zdziwieniu rozpoznała efektowny opis Elinor, ekstazę dwóch jednoczących się dusz. Nadszedł w końcu długo oczekiwany przez Klarę moment, w którym wspólnie z Samem odczuwała radość.

WTOREK, 14 MAJA 1963

Ósmego dnia festiwalu Elinor rozglądała się po holu Carltona, oklejonego afiszami „Kleopatry” i „Toma Jonesa”. Stojąca obok niej Buzz narzekała:

– Cholerny cyrk. Wszędzie tłumy. Kelnerzy padają z nóg. Nawet przyzwoitej herbaty nie można dostać.

Elinor słuchała strzępków rozmów.

– Kiedy odlatuje twój samolot?

– No, oczywiście wtedy, kiedy będę gotowa.

– ... nie mogę dostać porządnych ogrodników do ogrodu warzywnego.

– Ja mam dwoje Filipińczyków. Wypada mi czterdzieści dolarów za marchewkę, oczywiście, ale przynajmniej wiem, że jest świeża.

– Richard Burton jednak nie kupuje tego zamku w Saracen. Chyba sprawa alimentów...

– Słyszałaś, Buzz? – spytała Elinor. – Czy myślisz, że ten zamek jest naprawdę na sprzedaż? Może byśmy pojechały zobaczyć... ?

Wiedziała, że Saracen, jedna z kilku nie zniszczonych francuskich średniowiecznych wiosek, uznana została za zabytek narodowy. Nie wolno tam budować nic nowego.

– Wszystko, byleby się tylko stąd wynieść.

Ruszyły więc między chartami afgańskimi, chartami rosyjskimi, wspaniale ułożonymi pekińczykami, których właściciele siedzieli w słońcu, popijając szampana lub kosztowną butelkowaną wodę. Elinor zatrzymała się, by dać autografy dwojgu skandynawskim turystom z plecakami. W końcu znalazły klimatyzowaną limuzynę Sama i ruszyły na wschód.

W przeciwieństwie do hałaśliwego, gorącego i zakurzonego Cannes, tereny dookoła wyglądały świeżo i pięknie, jak panna przed balem. Na prawo połyskiwało lazurowe morze, na lewo ciągnęły się pola lawendy i ciemnozielone lasy, za którymi wznosiły się góry, stykające się łagodnymi, fioletoworóżowymi graniami z horyzontem.

Żadna z wijących się jak w labiryncie uliczek Saracen nie była dość szeroka dla samochodu, więc powietrze było świeże i czyste. Niektóre uliczki niespodziewanie wychodziły na małe placzki, ocienione lipami rosnącymi wokół starych, kamiennych fontann. Wąskie domy miały tajemnicze ganeczki i przejścia łączące budynki. Na wielu zniszczonych drewnianych drzwiach wisiała żelazna ręka Fatimy, mająca odganiać złe duchy.

Wąska, kuta żelazna brama zaskrzypiała, gdy Elinor ostrożnie ją popchnęła. Weszły na brukowane podwórze, porośnięte chwastami. Pod murami zamku rosły krzewy oleandra i rozmarynu, i drzewa, z których opadały dziwne jasnożółte kwiaty. Gałęzie sięgały tak nisko, że obie musiały się schylać, by przejść pod tym zielono-żółtym łukiem do frontowych drzwi – starych, dębowych, z żelaznymi ozdobami z różnych epok.

Zadzwończyły i czekały. Elinor uniosła głowę i zobaczyła nad sobą rząd równych otworów, gotowych wypuścić strzały na najeźdźców. Gdy doszła już do wniosku, że budynek jest chyba opuszczony, drzwi otworzyła ponura siwa kobieta w bawełnianym kitlu i tenisówkach z wyciętymi dziurami na halluksy. Potwierdziła, że zamek jest na sprzedaż, ale nie знаła ceny ani innych szczegółów; od tego był pośrednik.

W końcu Elinor udało się zmusić harpię, aby zatelefonowała do pośrednika, chudego, odpychającego młodzieńca, który najwyraźniej nie traktował Angielek poważnie. Wiadomo było, że Anglicy nie mają pieniędzy. Oprowadził je po zamku w zawrotnym tempie.

Budynek nie był w dobrym stanie: wewnątrz wilgotne, a tynk odpadał. Część okiennic dyndała przy oknach, niektórych w ogóle brakowało, a malowane nie były od lat. Dwa górne piętra, niegdyś sypialnie, wyglądały jak zakurzona królikarnia.

Jedna łazienka pochodziła z czasów I wojny światowej, nie było też ogrzewania ani klimatyzacji. Pośrednik zapewnił je bez większego przekonania, że dzięki bardzo grubym murom zamek jest ciepły zimą, a chłodny latem. Zwiedzanie zakończyło się tam, gdzie się zaczęło, to znaczy na południowym tarasie wychodzącym na morze.

Elinor podeszła do obrobionej bluszczem balustrady. Na prawo, jak na obrazie Dufy'ego, widać było z oddali zarys Zatoki Nicejskiej, otoczonej wysokimi palmami i pięknymi willami. Pod sobą miała ostre, szare skały, które nagle przechodziły w piaszczystą plażę, a za nią morze koloru akwamaryny ze srebrnym połyskiem. Za zatoką ciemnoniebieska woda ciągnęła się aż po horyzont. Jej kolor zmieniał się w indygo tam, gdzie spotykała się z lazurowym niebem, po którym jak tłuste amorki żeglowały obłoczki, w oślepiającym, niepowtarzalnym świetle francuskiej Rivier.

– A cena? – Elinor powoli odwróciła się w stronę niechętnego pośrednika.

Buzz zrozumiała nagle, że nie była to zwykła wiosenna wycieczka.

– Co my zrobimy z taką olbrzymią chałupą? Zobacz, w jakim to jest stanie? Nikt tego nie sprzątał od czasu, kiedy było zbudowane – narzekała. – Jesteś sentymentalną idiotką, Neli!

Obie wiedziały, że Elinor kupi zamek.

Później, gdy milcząc schodziły w dół, Elinor zauważyła, że na wąskich uliczkach i małych placzkach rośnie zadziwiająco wiele drzew: wierzby płaczące, drzewa oliwkowe i morelowe. Wypiły kawę w jedynej kawiarni przy uliczce obrobionej kępami różowego geranium. Gołębie zlatywały się do okruchów ciasta, które im Buzz rzucała. Później wędrowały przechodząc obok ciemnozielonych drzwi i lawendowych okiennic miejscowej spółdzielni, błękitnego merostwa i niebieskozielonej apteki. Naprzeciw kościoła Św. Piotra dostrzegły wiejski sklepik; na wystawie plastikowe kieliszki do szampana sąsiadowały z czerwonymi packami na muchy, słoik do przetworów z zakurzonymi półmiskami, środkami owadobójczymi, lokalną wodą kolońską, miodem i ziołami.

– To jest przeurocze – powiedziała Elinor. Te spokojne, słoneczne uliczki niewiele się zmieniły przez ostatnie siedemset lat. Przejechały przecież z Buzz niewielką odległość, a wydawało się, jakby to było tysiąc kilometrów od zatłoczonych ulic Cannes.

– To jest nieprzemysłany, pospieszny krok – marudziła Buzz w drodze powrotnej.

Elinor zaśmiała się. Ponieważ tak niespodziewanie i romantycznie los ją kusił, by opuściła Wielką Brytanię, widziała w tym tylko dobre strony: żadnej mgły, żadnych bronchitów, a zamiast tego słońce, ciepłe morze, wspaniałe jedzenie i wino.

– Nie będziesz tęskniła za Starlings? – Buzz nie mogła uwierzyć, że Elinor zostawi swój ukochany ogród.

Elinor nagle spowaźniała.

– Odkąd dziewczynki wyjechały, Starlings już nie jest takie samo. – Panująca tam milcząca pustka nieprzyjemnie uświadamiała Elinor, że wnuczek już tam nie ma. Wszystko, na co spojrzała, kojarzyło się z nimi i powodowało, że chciałyby wskrzesić przeszłość. Elinor we własnym domu odczuwała tęsknotę. Może w Saracen znajdzie nowy sposób na życie i będzie patrzeć w przyszłość, zamiast otaczać się bolesnymi wspomnieniami?

Następnego ranka Paul Littlejohn, młodszy partner w Swithin, Timmins i Grant, przyleciał z Londynu do Nicei. Dzięki pieniądзом zarobionym poza Wielką Brytanią i nie podlegającym kontroli wymiany, Elinor w końcu została właścicielką zabytkowego francuskiego zamku. Wprawdzie załatwienie tej sprawy było stosunkowo proste, Paul Littlejohn zdołał ją jednak tak skomplikować, żeby sprawiała wrażenie co najmniej podziału Berlina między aliantów, i odpowiednio wycenił swoją usługę.

Buzz namawiała Elinor do zakwestionowania rachunku, ale ta odmówiła, powołując się na opinię Adama, który stwierdził, że jak na taką transakcję opłata jest normalna.

– To nie jest normalne, żeby kupować jedenastowieczny zamek – odparła Buzz. – I dlaczego ten pan Littlejohn pisze zawsze na listach do ciebie „wykonano na zlecenie”?

– Ja mu to zlecam, a on potwierdza. Co w tym złego? – odparła Elinor zniecierpliwiona. – Przypuszczam, że jest to tak sformułowane z jakichś przyczyn prawnych albo w związku z kontrolą wymiany. Zresztą, to nie nasze zmartwienie. Adam i pan Littlejohn wiedzą, co dla mnie najkorzystniejsze, a ja im ufam. Gdzie jest ten architekt?

Rozdział 14

CZWARTEK, 12 WRZEŚNIA 1963

Adam wspinał się po marmurowych schodach klubu Clanickard. Dwa lata temu zalegalizowano w Wielkiej Brytanii hazard i od tego czasu Londyn stał się jednym ze światowych jego centrów. Największymi klubami w Londynie były Crockfords na Carlton Hanse Terrace, John Aspinall's, Clermont Club na Berkeley Square, do którego ściągali najodważniejsi i najbogatsi klienci. Był również klub Les Ambassadeurs, gdzie chodziło się na kolację, potańczyć, a później na górę pograć w *chemin de fer*, i Clarvickard Club, prowadzony przez Mike'a Granta.

Gdy Adam dotarł do drzwi, właściciel, Toby Sutch, wyszedł mu naprzeciw. Adam nie spodziewał się go zastać tak wcześnie wieczorem.

Toby Sutch zatrzymał się.

– Mam nadzieję, że przyszedłeś uregulować dług, Grant, i nie będzie większych problemów.

– Właśnie dlatego przyszedłem się zobaczyć z Mike'em – odparł Adam, zdając sobie sprawę, co Toby rozumiał przez „problemy”.

Nienagannie ubrany absolwent Harrow, Toby Sutch, był ostrym facetem, przyzwyczajonym do tego, że go słuchano. Jego niesamowita pewność siebie przyciągała ludzi, którzy nie panowali nad swoją słabością i często stawali się od niego zależni. Poznawał ich z właścicielami nielegalnych kas pożyczkowych, gdzie odsetki od półrocznego kredytu wynosiły cztery procent miesięcznie. Jeśli pojawiały się problemy ze zwrotem pożyczki, do dłużników przychodzili agenci i „namawiali” do oddania.

Adam bez pukania wszedł do gabinetu Mike'a.

– Znów się spóźniłeś – powiedział Mike siedzący za biurkiem z drewna różanego. – Pospiesz się, mam spotkanie z Mirandą. Idziemy obejrzeć razem sklep, który znalazłem w Pimlico.

– Miranda może zaczekać. – Adam usiadł w skórzanym fotelu i położył nogi na biurku. – Chcę dostać whisky z wodą sodową i zamienić parę słów na temat interesów Mirandy.

– Rozwija działalność z prędkością światła – poinformował go Mike.

W ciągu osiemnastu miesięcy Miranda wynajęła siedem sklepów, z czego dwa znalazł Mike, który miał znajomości w handlu nieruchomościami, nosa do dobrych

interesów i mnóstwo wolnego czasu w ciągu dnia.

Dając pierwszy sklep jako zabezpieczenie, Miranda wzięła z banku kredyt na wynajem drugiego, a następnie powtórzyła tę operację, dając drugi jako zabezpieczenie na trzeci. Ponieważ wystartowała ze swoim interesem na krótko przed boomem na małe nieruchomości w Londynie, odkryła, że wartość jej zabezpieczenia rośnie z tygodnia na tydzień, bez żadnego wysiłku z jej strony. Wciąż powiększające się dochody KITS upewniły bank co do jej możliwości finansowych.

Adam powiedział:

– Spędza za dużo czasu na załatwianiu umów o wynajem, zamiast prowadzić przedsiębiorstwo. Ma nosa do tanich nieruchomości, ale nie ma wprawy w negocjowaniu umów z wynajmującymi. Agencje nieruchomości nie mają zbyt wielkiego szacunku dla kobiet, zwłaszcza jeśli są one młode i ładne. Ale ty, mały braciszku, masz talent do handlu nieruchomościami i wiesz, jak załatwiać sprawy z pośrednikami; tu zakrapiana kolacyjka, tam poznanie z miłymi panienkami, czasami koperta i umożliwienie wygranej w golfa. Potem dostaniesz do sprzedaży najlepsze z wystawionych nieruchomości. Nie zabierze ci to zbyt wiele czasu. Dostaniesz dwa procent za pośrednictwo.

Jasnoszare oczy Mike'a wyrażały niepokój. Wiedział, jakie warunki kryły się za tym rozsądnie brzmiącym układem; jeśli go zaakceptuje, Adam będzie oczekiwał, że Mike namówi Toby'ego Sutch'a na zwiększenie kredytu. A Mike nie chciał nikogo prosić o przysługę, zwłaszcza Toby'ego.

– Dwa procent – powtórzył twardo Adam.

Mike z rezygnacją kiwnął głową.

Adam wstał.

– Miranda powinna skupić całą działalność pod jednym dachem. Poszukaj więc dużego budynku przemysłowego, gdzieś poza Londynem, najlepiej w środkowej Anglii, gdzie są niższe czynsze. W ten sposób moglibyśmy ulokować fabrykę, magazyn, garaże i biura w jednym miejscu.

– A może zbudować? – zaproponował Mike.

– Szkoda czasu. – Adam wypił szybko i wyszedł.

PIĄTEK, 24 KWIETNIA 1964

Kocham to miejsce, Buzz – powiedziała Elinor, czekając na południowym tarasie na przybycie gości; lada chwila miała się rozpocząć tradycyjna uczta dla

ekipy budowlanej. Zamek Saracen będzie gotowy akurat na festiwal filmowy. W tym roku Sam będzie miał najbardziej imponujące zaplecze na Riwierze do prowadzenia interesów.

Żony murarzy upiekły pizzę i przygotowały misy krojonych pomidorów, oliwek i cebuli, marynowanych ogórków, orzechów i sałaty, wszystko doprawione lokalną przyprawą z olejem sezamowym zamiast oliwy. Otwarto szampany i prowansalskie *vin rosé* i przygotowano lemoniadę z miejscowych cytryn.

Elinor fascynował każdy moment przebudowy. Jej francuski architekt wzmocnił konstrukcję i stropy, wymienił dachówki i płyty na tarasie. Wyburzył cuchnącą łazienkę i kuchnię, w której był tylko jeden kurek z zimną wodą, i urządził nowe. Zdarto odłóżące tapety, a ściany i sufity zostały pomalowane na kolor białokremowej magnolii. Wymieniono okna, pomalowano stolarkę i wycyklinowano podłogi. Nowe oświetlenie sprawiło, że ściany i sufit pobłyskiwały łagodnym światłem.

Gdy toczyły się te wszystkie prace, Elinor i Buzz odwiedzały domy aukcyjne w Nicei, Toulonie i Draguignan. Często chodziły też do mniej znanych sklepów ze starociami, gdzie zakupiły wspaniałe łóża, stoły z drewna wiśniowego, szafy i urocze krzesła z epoki. Nowoczesne kanapy zamówiły w Nicei. Wiejska krawcowa, *madame* Annette, uszyła do wszystkich okien zasłony z kremowego płótna; Elinor zakupiła cztery bele materiału na aukcji w Toulonie.

Podczas remontu Elinor i Buzz mieszkały na zmianę w Hotel de Provence lub Fountain Hotel. Stały one naprzeciwko siebie na Place de la Republique, a ich właściciele byli zagorzałymi rywalami. Provence kierowany był przez matkę rodu, dziewięćdziesięcioletnią *madame* Santour i jej rozległą rodzinę, Fountain zaś prowadzony przez dwóch Amerykanów, zwanych w okolicy *les pedes*. Gdy wynajęli oni modnego dekoratora z Paryża, aby zainstalował delikatne, subtelne oświetlenie i pokrył ściany tkaniną, w odpowiedzi Provence nie bawił się w wymianę nietwarzowych jarzeniówek – wybudował basen. Fountain odpowiedział wprowadzeniem w najlepszych apartamentach łóżek z baldachimami, Provence wtedy zaczął organizować w sobotnie wieczory ogniska z kiełbaskami.

Elinor, zadowolona ze swych osiągnięć budowlanych, stała oparta o balustradę i spoglądała w górę na zamek. Dzięki złotemu wieczornemu niebu świeżo pomalowane białe okiennice miały lekki, różowy odcień.

Widząc jej zadowoloną minę, Buzz spytała:

– Co ci się tu najbardziej podoba, Neli?

Ku jej zdumieniu Elinor nie wymieniła przepięknego widoku ani łóżka z

czterema srebrnymi kolumnkami, należącego niegdyś do hiszpańskiej księżniczki, ani windy zjeżdżającej trzysta stóp w dół wprost na plażę.

Elinor powoli się uśmiechnęła.

– Lubię sobie pomyśleć, że Billy byłby ze mnie dumny.

Buzz popatrzyła na nią. Znała ten wyraz twarzy przyjaciółki.

Elinor grała jedną ze swoich bohaterek. To miejsce było jak któreś z domostw w jej powieściach. Tu, w Saracen, Elinor mogła żyć w wymyślnym świecie, jaki tworzyła dla swych czytelniczek. W świecie, w który właściwie uwierzyła, w którym nie rozróżniała rzeczywistości od fantazji, faktów od fikcji. Częścią fantazji Elinor był mit Billy'ego, doskonałego, romantycznego kochanka. W swej wyobraźni wykreowała go na silnego, odpowiedzialnego bohatera, zapominając o jego słabościach, przewinieniach i złym stosunku do niej. Buzz obróciła się i spojrzała na przyjaciółkę. Znały się tak długo, a Elinor wciąż ją zadziwiała. Billy! Przez wszystkie te lata wspominała go, odpowiednio przeistaczając. Buzz wiedziała, że nie było sensu kolejny raz przypomnieć Neli prawdziwy obraz Billy'ego, na który składał się nie tylko zniewalający urok. Był jedynym mężczyzną, jakiego naprawdę kochała, i nigdy nie będzie innego.

– Zastanawiam się... zastanawiam się, co by rzekł, gdyby wiedział, że kupiłam zamek – powiedziała Elinor.

Buzz podejrzewała, że Billy zaśmiałyby się i powiedział: „Możesz sobie kupić Buckingham Pałac, staruszek, ale i tak nie zmienisz opinii Marjorie o tobie”.

– Jestem pewna, że Billy byłby dumny z ciebie, Neli – powiedziała.

PONIEDZIAŁEK, 12 PAŹDZIERNIKA 1964

Miranda, ubrana w granatową sukienkę z białą kryzą, z granatową przepaską na płomiennych włosach siedziała na pierwszym zebraniu swej rady w nowym budynku biura handlowego przerobionego ze starego magazynu, stojącego na tyłach Oxford Street, który wynalazł Mike.

Siedząc u szczytu owalnego, białego stołu konferencyjnego miała po swojej lewej stronie Adama, którego namówiła ostatnio, by został dyrektorem jej rady. Pracować miał na pół etatu.

Początkowo nie chciał się zgodzić na to stanowisko, wymawiając się innymi obowiązkami, lecz w końcu skapitulował. Powód był prosty: Miranda zgodziła się, że jeśli kiedyś KITS będzie wypuszczał akcje, sprzeda Adamowi piętnaście procent wszystkich udziałów po nominalnej cenie sprzedaży piętnastu tysięcy funtów.

Miranda uznała to za niewielkie ustępstwo w porównaniu z wygodą, jaką jej dawało zasiadanie doświadczonego Adama w radzie składającej się z młodych, utalentowanych entuzjastów, którzy nie byli jeszcze dyrektorami kompanii. Dzięki Adamowi czuła się bezpiecznie.

Przez moment żałowała, że siostry nie mogą teraz jej zobaczyć, jak siedzi u szczytu stołu konferencyjnego, a wszyscy słuchają i notują, co mówi. Nie była już małą siostrzyczką, na którą nikt nie zwraca uwagi. Była wschodzącą gwiazdą w świecie biznesu.

Miranda zagaiła:

– Pierwszym punktem naszego dzisiejszego programu jest sprawa nabycia Framwells.

Była to podupadająca sieć małych londyńskich sklepików z papierosami, które jeszcze nie zostały wystawione na sprzedaż. Finanse KITS, napięte już do ostateczności, narażone byłyby na jeszcze większy wstrząs, gdyby przejęli Framwells, nie mogli jednak ryzykować przejścia sieci tak atrakcyjnych sklepów w ręce rywali. Tak więc rada głosowała za kupnem Framwells. Duży wydatek, ale sprawa jest tego warta.

Inne punkty programu załatwiono szybko, aż doszło do ostatniego, to znaczy propozycji producenta rajstop, która wzbudziła dyskusję.

Adam starał się wszystkich przekonać do oferty.

– Mamy zagwarantowany dochód w zamian za użyczenie nazwy KITS, znaku firmowego i publicznej prezentacji wyrobów. Musisz tylko, Mirando, wystąpić kilka razy publicznie w ich rajstopach; oni będą mieli reklamę, a my niezły dochód bez żadnego wysiłku.

Linda Grey kiwnęła głową. Nie była już asystentką Mirandy, lecz szefem reklamy.

– Stworzyliśmy bardzo wyraźny obraz młodej, eleganckiej, inteligentnej kobiety, która pragnie eleganckiego produktu po rozsądnej cenie, i przekazujemy ten wizerunek poprzez samą Mirandę. Klientki kupują jej wyroby, ponieważ widzą Mirandę w telewizji i czytają o niej w gazetach, odbierając ją jako wspaniałą, modną i oferującą dobry towar właścicielkę. Mamy świetnie ocenianą dyrektorkę, która firmuje swoją osobą nazwę firmy.

– Tak, to jest naszym atutem, który za mało wykorzystujemy – powiedział Adam.

Miranda zmarszczyła czoło.

– Mówiłeś to samo o franchisingu. Wiem, wydaje się, że są to pieniądze za nic,

ale to mnie właśnie martwi.

– Jeśli wyroby będą złej jakości, klientki nie będą winiły producenta, tylko KTTS – potwierdziła Linda.

– A niezadowolona klientka przestanie kupować nie tylko rajstopy, ale i kosmetyki KITS – stwierdziła Miranda i dodała zdecydowanie: – Nigdy nie będziemy pewni, czy towary sprzedawane pod naszą nazwą spełniają wszelkie wymogi, jeśli produkuje je ktoś inny, bo nie kontrolujemy jakości.

Adam uśmiechnął się.

– A czy zgodziłabyś się, teoretycznie, że to byłby dobry pomysł, używać naszej nazwy cudzym wyrobom, gdybyśmy mogli kontrolować ich jakość?

Zaintrygowana Miranda kiwnęła głową.

– Zatrudniamy na cały etat specjalistów od marketingu, ponieważ jest to tańsze od zatrudniania konsultantów i daje nam lepszą kontrolę – powiedział Adam – a więc mamy świetny duży dział, który nie jest dostatecznie wykorzystywany.

– To nie do uniknięcia, póki nie będzie nas stać na rozbudowę – broniła się Miranda.

Adam znów się uśmiechnął.

– Więc założymy może biuro zakupów i kupujemy stare, solidne firmy, które jednak nie mają przyszłości, ponieważ nie mają wyraźnego profilu i nikt nie chce brać ich wyrobów. Zamiast dawać licencję rajstopom, moglibyśmy kupić jakąś podupadającą firmę pończoszniczą, jak na przykład Daintyfeet – i dać jej swoją nazwę?

Dyrektor finansowy, Ned Sinclair, uniósł w proteście chude ręce.

– Proponujesz przekształcenie KITS w spółkę holdingową!

– A dlaczego nie? – powiedział Adam.

– Nie możemy przeskoczyć samych siebie – zaproponował Ned.

– Jest teraz okres boomu – powiedziała wolno Linda. – I bardzo niewielu producentów rozumie, co się dzieje w modzie.

– Właśnie. „Youthquake”. – Adam kiwał potakująco.

Wszyscy naraz zaczęli mówić.

Dwa tygodnie później rada KITS zdecydowała, że będzie rozważać projekt spółki holdingowej, jeśli tylko uda się zorganizować odpowiednie fundusze. Nowa kompania będzie się nazywać SUPPLYKITS, by uniknąć mylenia jej z KITS.

Rozwój SUPPLYKITS został powierzony Adamowi, jako dyrektorowi handlowemu. Będzie szukał małych, słabych firm wymagających planów rozwoju,

reklamy i usług marketingowych, mających jednak dobre zarządy. Każda potencjalna kompania musi jednak spełniać ważny warunek: musi przynosić pieniądze, aby zapewnić stały dochód SUPPLYKITS, z którego trzeba będzie spłacać kredyty zaciągnięte w banku na jej zakup.

– Adamie, czy sądzisz, że będziesz w stanie robić to wszystko pracując na pół etatu? – spytała niepewnie Miranda, gdy po zebraniu siedzieli w sali konferencyjnej.

– Dlaczego nie? Mike znajduje kompanie, a Ned dostarcza mi danych, jakich potrzebuję z ich rachunków.

– Ostatni rachunek Mike'a jest bardzo duży.

– Kontrakt, który zawarłem, ustala, że Mike dostaje dwa procent, ale nie precyzuje kiedy.

– To znaczy...

– Zgodnie z prawem możemy mu zapłacić choćby za tysiąc lat.

Miranda zareagowała ostro:

– Jeśli kupuję czyjeś usługi, chcę za nie zapłacić.

– Interes to interes – powiedział Adam. – Mój braciszek powinien był sprawdzić kontrakt ze swoim adwokatem. Uspokój się, Mirando. Biznes to nie sprawa życia i śmierci; to jest gra, rodzaj poważnego hazardu. Jest to fascynujące, a ty chyba ostatnio o tym zapomniałaś.

– Boję się, że stawki robią się coraz wyższe i dzieje się to za szybko.

– To właśnie jest fascynujące – potwierdził Adam z błyszczącymi oczami.

– Może dla mnie robi się to zbyt podniecające – stwierdziła Miranda. Zauważyła, że Adam nie odnosił się w tej chwili do niej ze zwykłą rezerwą.

– Nic nie jest zbyt podniecające – uśmiechnął się. – Zwłaszcza kiedy ty jesteś w pobliżu, Mirando. To ty stwarzasz taką atmosferę.

Miranda spojrzała zdziwiona na Adama. Czyżby z nią flirtował? Czy w tych ruchliwych, brązowych oczach widać było zaproszenie? Czy chciała je zobaczyć?

Przypomniała się jej cieleca miłość, jaką dawno temu w St. Tropez żywiła do Adama, gdy była jeszcze małą uczennicą bez śladu biustu. Adam był wtedy wyłącznie uprzejmy, a ona nieszczęśliwa.

– Nie zawsze tak uważałaś – powiedziała.

– Ale teraz uważam. – Adam nachylił się do niej. Miranda błyskawicznie doszła do wniosku, że nie może sobie pozwolić na żadne uczuciowe powiązania z Adamem, gdyż był jej zbyt potrzebny w interesach. Gdyby mieli romans, a później zerwali? Pewnie chciałby zostawić także jej interesy. Nie potrafiłaby jeszcze sobie

poradzić bez jego zapewniającego bezpieczeństwo spokoju, pewnych decyzji, świadomości celów. Sama z trudem dawała sobie z nim radę.

Miranda wstała. Nie ma zamiaru utrudniać sobie kariery.

PIĄTEK, 25 GRUDNIA 1964

Przed Bożym Narodzeniem Elinor i Buzz były już urządzone w Saracen. Jedyną większą zmianą w pracy Elinor było to, że na swoje poszukiwania w bibliotekach Londynu latała teraz, a nie jeździła pociągiem z Wiltshire. Buzz nadzorowała trzy dwujęzyczne sekretarki, które przyjeżdżały codziennie z Nicei załatwiać korespondencję i przepisywać rękopisy. Następnie wysyłała je do odpowiednich konsultantów sprawdzających teksty, a później przekazywała dynamicznemu agentowi amerykańskiemu, który od śmierci Joego Granta zajmował się sprzedażą prac Elinor na całym świecie.

Rankiem w Boże Narodzenie drzwi do sypialni Elinor nagle się otworzyły. Jak zwykle serce jej podskoczyło na widok Josha, który pojawił się w drzwiach ubrany w piżamkę z Donaldem. Bystre, błękitne oczy dziecka tak jej przypominały Billy'ego!

Josh, okropnie przejęty, pokazywał Elinor zawartość wypchanej czerwonej pończochy, którą ze sobą przyciągnął.

Siedząc na łóżku w fioletowej papierowej koronie i paląc z Joshem zimne ognie, Elinor czuła się szczęśliwa. Niczego więcej od życia nie pragnęła; wszyscy, których kochała, zebrali się dzisiaj pod tym starodawnym dachem. Sam, Klara i Josh przylecieli z Kalifornii, Annabel i Scott z Nowego Jorku, Miranda i chłopcy Grantów – z Londynu.

Później, wciąż jeszcze w szlafrokach, zjedli śniadanie w kremowym pawilonie przy basenie, wykorzystywanym na jadalnię na powietrzu. Josh zjadł siedem mandarynek i jeździł po tarasie na nowym trzykołowym rowerku.

Sam podarował Klarze złoty naszyjnik, a ona jemu obrazek greckiego prymitywisty, przedstawiający łódź rybacką. Annabel dała Scottowi komplet walizek firmy Mark Cross, a on jej zieloną skórzaną kasetkę na biżuterię. Miranda patrzyła, jak jej siostry ściskają mężów i przez chwilę żałowała, że zerwała z Angusem. Ale ten związek by się nie sprawdził.

Elinor szepnęła do Buzz:

– Jak to cudownie widzieć znów dziewczynki razem, takie kochające, oddane sobie, bezpieczne!

– Hałasują jak kiedyś. Można by pomyśleć, że wciąż są nastolatkami. – Buzz się uśmiechnęła. Od przyjazdu siostr ich rozmowy, składające się głównie z niedomówień i aluzji, przerywane były co chwila chichotami i wybuchami śmiechu.

– A ci panowie chyba się lubią. – Elinor z zadowoleniem kiwnęła głową. – Wszystko się tak udało!

Adam, stojący obok Mirandy przy bufecie, szepnął:

– Annabel chyba utyla, prawda?

– Zawsze uważałam, że jest za chuda – odpowiedziała bez przekonania.

– Teraz już nie jest.

Annabel, siedząca z Klarą przy basenie, zdawała sobie sprawę z tego problemu. Gdy liczba propozycji reklam zaczęła maleć, pani Bates w ostry sposób nakazała jej schudnąć dwadzieścia funtów i dała jej numer telefonu najlepszego w Nowym Jorku specjalisty od odchudzania. Annabel z wielkim trudem zrzuciła trzy funty.

– Bardzo mi się podoba twoja kasetka – powiedziała radośnie Klara.

– Sama sobie wybrałam. Gdybym tego nie zrobiła, Scott wysłałby sekretarkę, żeby mi coś kupiła.

– Scott musi... być bardzo zajęty – powiedziała Klara zdziwiona.

– Nikt nie jest aż tak zajęty, żeby nie móc kupić żonie prezentu gwiazdkowego. Scott po prostu się mną nie interesuje.

– Nie wygłupiaj się, Annabel, przecież jest tu z tobą. – Klara się roześmiała. – Nie możesz oczekiwać, żeby po sześciu latach interesował się tobą tak samo, jak tuż po ślubie, mimo że należysz podobno do najpiękniejszych kobiet świata.

– Nikt się mną nie interesuje.

– Bzdura! Mężczyźni leżą u twoich stóp i flirtujesz ze wszystkimi wokół, nawet z Adamem!

– Wiem, że Scott mnie ignoruje. Oczywiście nie tutaj, przy was. A jeżeli ja flirtuję, to tylko dlatego, żeby się upewnić, czy dla innych jestem jeszcze atrakcyjna.

– Uspokój się – powiedziała krótko Klara. – Pamiętaj, jest Boże Narodzenie.

Nie chciała myśleć o flirtach małżeńskich. Gdy półtora roku temu wrócili z Cannes do Los Angeles, Sam znów przywdział swój ochronny strój męskiej nieprzenikliwości i Klarze nie udało się już więcej przebić przez ten pancierz i dzielić z nim tego wspaniałego, ciepłego uczucia, które na ciemnej plaży w Cannes połączyło nie tylko ich ciała, ale i dusze.

Zaczęła podejrzewać, że Sam jest chronicznym kobieciarzem; zauważała

spojrzenia, niby od niechcenia, jakimi obdarzały go niektóre kobiety na przyjęciach, i to, jak w odpowiedzi natychmiast rozbłyskiwały jego czarne oczy. Przekonywała samą siebie, że jego romanse to zapewne historie na jedną noc i niewierność była niejako nieunikniona w jego zawodzie, lecz te racjonalne tłumaczenia nie łagodziły jej smutku.

Po drugiej stronie basenu Mike podszedł do balustrady tarasu, o którą opierał się Adam, obserwujący motorówki śmigające po błękitnej wodzie.

– Może weźmiemy po obiedzie łódź? Tylko ty i ja, żeby się wydostać spod skrzydeł rodzinki Elinor?

– Jeżeli masz mi coś do powiedzenia, Mike, powiedz to teraz. Nie ma sensu wypływać na morze tylko po to, żebyśmy byli sami – powiedział pogodnie Adam.

– Będziesz miał kłopoty, jeśli nie spłacisz długów do końca roku. Rozumiesz chyba, co mam na myśli, mówiąc o kłopotach. Tym razem nic nie poradzę.

– Postaraj się tylko, żeby Miranda się nie dowiedziała – odezwał się Adam sucho. – I nie martw się. Załatwię to. Zawsze załatwiam, prawda?

– Wszyscy tak mówią, aż nadchodzi dzień, w którym nie mogą załatwić.

– Uspokój się Mike. Przyjechaliśmy tu, żeby się rozerwać. Dobra, urwiemy się po południu na łódkę z dala od krewnych Elinor.

– Rodzina O'Dare jest w porządku – stwierdził Mike – tylko wybierają okropnych mężczyzn.

Adam pokiwał głową.

– Nie mam nic przeciwko Samowi, ale Scott jest bardzo nieciekawym; interesuje go wyłącznie własna praca. – Scott nie mógł nawet pograć w „Monopolkę”, żeby mu nie przerywały telefony z redakcji z Nowego Jorku.

– Ja wolę Scotta od Pana Ważniaka z Hollywood. Nie wiem, co Klara w nim widzi – powiedział Mike.

– Może ojca, którego nie miała. Roztacza wokół siebie taką aurę pewności – zauważył Adam.

Tymczasem Scott i Sam, obaj w spodenkach kąpielowych, stojący razem po drugiej stronie basenu, obserwowali braci Grant.

– Nie wiem, co one widzą w tej parze snobów. I obaj mówią jak cioty – powiedział Scott.

– Nie, są tylko po prostu tacy strasznie brytyjscy – stwierdził Sam. – Wstają, kiedy kobieta wchodzi, podskakują, żeby odsunąć krzesła, zachowują się jak lokaje w filmach kostiumowych. Mike'a jeszcze jakoś mogę znieść, ale Adam zachowuje się, jakby był panem i właścicielem wszystkiego, co jest w zasięgu wzroku.

Później, gdy przebierali się w sypialni do obiadu, Sam spojrzął na brązowy podróżny zegar od Cartiera, który Adam podarował Klarze na Gwiazdkę, i powiedział:

– Dlaczego on jest taki hojny dla ciebie?

Klara roześmiała się.

– Chyba nie jesteś zazdrosny o Adama? Możesz mnie zapiąć z tyłu?

– Oczywiście, że nie jestem zazdrosny o tego napuszonego dupka. Ale nie rozumiem, dlaczego Elinor go zaprosiła?

– Bo Adam to prawie rodzina, a jego oboje rodzice nie żyją. Babcia zginęłaby bez Adama; ma już taki nawyk, żeby na nim polegać.

Sam wzruszył ramionami.

– Niektórzy prawnicy mogą się okazać kosztownym nawykiem.

Późnym popołudniem, po tradycyjnym angielskim obiedzie, szczęśliwa Elinor słuchała wybuchów śmiechu. Z zadowoleniem patrzyła przez wielki dębowy stół na Buzz, z którą spędziła już tyle świąt Bożego Narodzenia. Jaka szkoda, że Joe nie może zobaczyć swych synów, prezentujących się bardzo elegancko w letnich garniturach i krawatach, które właśnie dostali w prezencie. Wspaniale było widzieć znów ich i dziewczęta razem – szczęśliwych, zgodnych i zebranych pod jednym dachem.

Była zadowolona, że dziewczyny się przebrały, chociaż ich stroje były odrobinę szokujące. Miranda miała na sobie spodniom z kremowej koronki, wciągnięty na body w kolorze cielistym, Annabel białą mini, a na głowie miała kapelusik ze stokrotek zawiązany pod brodą; Klara zaś szkarłatny lniany kombinezon bez rękawów, z wykończeniami musztardowego koloru. Buzz była ubrana w komplet od Pucciego, składający się z bluzki i spodni z turkusowego jedwabiu, w który od siedmiu lat ubierała się na każde Boże Narodzenie. Odziedziczyła go po Elinor, dla której zrobił się wtedy nieco za ciasny.

Elinor, patrząc na ukochane twarze wokół, powtórzyła sobie, jaka jest szczęśliwa. Nie czuła się tak spokojnie od czasu, gdy najmłodsza wnuczka odeszła z domu. Postanowiła wygłosić krótkie przemówienie i zapukała w stół. Szmer głosów z wolna ucichł. Elinor uniosła kieliszek z szampanem, ale stwierdziła, że wzruszenie nie pozwala jej mówić. Uśmiechnęła się więc i powiedziała tylko:

– Za zdrowie naszej szczęśliwej rodziny!

Wszyscy podnieśli kieliszki, powtarzając jej słowa.

Księga trzecia

Rozdział 15

PONIEDZIAŁEK, 19 LIPCA 1965

Z okien swego biura w zachodnim skrzydle zamku Buzz widziała, co się dzieje na obu głównych tarasach. Teraz patrzyła na pustą przestrzeń, z lekka oświetloną późnym popołudniowym słońcem. Dzięki Bogu, że niedługo wszystko wróci do normy. Elinor znów będzie tam siedziała i jak zwykle będą wypijać swój przedobiedni kieliszek szampana. Dni pełne zdenerwowania i niepewności właściwie minęły. Wprawdzie nim Elinor wyzdrowieje, upłynie jeszcze sporo czasu, ale nie miało to już znaczenia. Buzz ostrzegła Klarę, że nie ma mowy o żadnych sporach; Elinor musi wydobrzeć.

Biuro Buzz działało niezwykle sprawnie. Nie chciała w nim spędzać ani chwili dłużej, niż było to konieczne. W skromnie umeblowanym pomieszczeniu nie znajdowało się nic niepotrzebnego. Były tu półki z książkami, szafki na dokumenty i skoroszyty, i biurko, na którym przycupnęła jak szary, elektroniczny kot nie używana maszyna do pisania IBM. Za biurkiem stało krzesło obrotowe, a przed nim dwa dziewiętnastowieczne krzesła dla interesantów. Nie były zbyt wygodne; Buzz nie lubiła po prostu, gdy ludzie za długo siedzieli. Spojrzała na zegarek. Jeśli Adam nie przyjdzie zaraz, spóźni się, żeby odbyć zapowiedziane rozmowy telefoniczne. Otworzyła drzwi i miała przed oczami wspaniały widok pokoi recepcyjnych w amfiladzie, co było, jak się dowiedziała, typowe dla wielkich domostw francuskich. W oddali dostrzegła Adama; przechodził pośpiesznie przez bar, salon letni i pokój telewizyjny, nim dotarł do biura Buzz, w którym znajdował się jedyny telefon, z którego nie było połączenia z resztą zamku.

Buzz wyszła.

Agresywna francuska telefonistka poinformowała go, że pierwsza rozmowa będzie opóźniona. Czekając niecierpliwie spoglądał na półki, zawierające pierwsze wydania wszystkich książek Elinor. Szybko przeleciał wzrokiem tytuły, z których większość zawierała tak romantyczne wyrazy, jak: miłość, serce, strzała, namiętny, ogień, marzenia, pocałunek, oczarowany. Uwagę jego przykuły szczególnie „Marzenie serca”, „Namiętny ogień” i „Pożar serca”.

W przeciwieństwie do innych mężczyzn Adam nie traktował książek Elinor jako tematu do dowcipów. Pamiętał rozmowę, którą kiedyś przeprowadził z bratem, gdy ten żartował sobie z jego zainteresowań książkami Elinor O'Dare. Z

zapalem, który Mike'a zdumiał, odpowiedział mu wtedy:

– Nie masz racji, Mike. Pogardę dla romansów zostaw intelektualistom. Mężczyźni tacy jak ty i ja mogą się z nich wiele nauczyć. Są naszymi informatorami o tym, czego kobiety pragną. Kobiety zaś czytają je dlatego, że odnajdują w nich to, czego im brak w życiu. One nie chcą tylko seksu, czy nawet miłości, ale potrzebują romantyzmu. Mężczyzna zresztą też, a zwłaszcza gdy się zakochuje pierwszy raz i jest tym zbyt pochłonięty, by zwracać uwagę na to, co myślą inni. Później, stopniowo, gdy znów wkracza w rzeczywistość, jest zbyt zawstydzony słabością, jaką okazał, i odpycha ją, żeby nie zauważono, że jest częścią jego natury. To jest pułapka, w którą wszyscy wpadamy i nieprędko się to zmieni. Zapamiętaj, dopóki mężczyzna i kobieta są równorzędnymi partnerami romansu, mężczyzna rozumiejący, o co partnerce chodzi, może ją sobie zawsze owinąć wokół palca.

Adam mógł z czystym sumieniem powiedzieć, że przeczytał wszystko, co napisała Elinor, i uważał, że jej książki są pasjonujące. A wszystko dlatego, że traktował je jak podręczniki. Z zimną krwią opracowywał spis, czego która kobieta potrzebuje, a następnie równie cynicznie jej to wszystko dawał. I to działało. Z takimi wiadomościami prawie każdy mężczyzna mógłby zostać uwodzicielem.

Adam odebrał telefon po pierwszym dzwonku.

– Mike? Świetnie cię znów usłyszeć. Jak twój nowy motocykl... ? Skąd wiem? Zawsze masz jakiś nowy.

Tam, w Londynie, Mike się zaśmiał.

– To jest niezły Ducati. Trzysta pięćdziesiąt. Świetnie się prowadzi, ale jest trochę niepewny, bo już dwa razy miałem kłopoty, a mam go od trzech tygodni. – Spowaźniał. – A jak Elinor?

– Znacznie lepiej. Nie ma już mowy o rozrzucaniu jej prochów nad Morzem Śródziemnym przy blasku księżyca. Niedługo będzie się na tyle dobrze czuła, że spiszemy nowy testament.

– Jakie to ma teraz znaczenie?

– Teraz nie, ale kiedyś będzie miało i nie będę znów ryzykował takiej sceny.

– Cieszę się, że wydobrzała – powiedział Mike. – Pamiętasz, jaka była dla nas dobra, kiedy byliśmy dziećmi? Pożyczyła mi pieniądze na mój drugi motor – Triumph Speed Twin; miał dobry zryw jak na swoje parametry. Kiedy poszedłem jej oddać pieniądze, nie przyjęła ich.

– Czy dlatego chciałeś ze mną tak pilnie rozmawiać? O zdrowiu Elinor?

– Niestety, nie – przyznał Mike. – Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że musisz

zapłacić Toby'emu Sutchowi. I to prędko.

Po chwili milczenia Adam się odezwał:

– Porozmawiam z Gilesem.

– On ci nie pożyczycy. Od zeszłej środy Giles Milroy-Browne odsiaduje siedem lat w więzieniu za malwersacje.

– Toby już kiedyś czekał dłużej.

– Właśnie. A teraz jego cierpliwość się wyczerpała. Nie załatwię tego, Adamie. Pamiętaj, że Toby już zapłacił twoje francuskie długi.

Mike modlił się, żeby Adam, wyjechawszy na południe Francji, siedział na plaży jak wszyscy.

– Nie wiem, co bym bez ciebie zrobił, Mike – powiedział Adam pojednawczo.

– Spróbuj przez kilka dni jeszcze trzymać Toby'ego z daleka ode mnie. Niech myśli, że Elinor może skończyć lada moment, a ja dostanę jakieś pieniądze.

– Nie mogę tego zrobić... Nie wiem, co planujesz, ale wiesz, w jakim bagnie się znajdziesz, jeśli nie przywieziesz chociaż stu tysięcy funtów...

Gdy Adam odłożył słuchawkę, długo patrzył przez francuskie okna na taras, pukając palcami o biurko. Zsunął wszystkie włosy na lewe oko, a potem wstrząsnął głową, żeby je odrzucić; ten gest był wyrazem sporego zdenerwowania. Zapalił papierosa, ściskając go mocno w ustach. W końcu zadzwonił do Johnny'ego Briara, członka swojego syndykatu ubezpieczeniowego u Lloyd'a.

– Co nowego? Nie może być gorzej, stary! – powiedział Johnny. – Mieliśmy niebywałego pecha. Jesteśmy chyba jedynym syndykatem, który musi pokrywać skutki trzech klęsk żywiołowych. Amerykańskie Biuro Usług Ubezpieczeniowych właśnie kończy wstępną ocenę trzęsienia ziemi w Chile. Oczywiście jesteśmy zabezpieczeni, jeśli idzie o wysokość odszkodowań, ale i tak musimy się liczyć ze stratą co najmniej szesnastu milionów dolarów. Nie mamy jeszcze dostatecznych danych, jeśli idzie o amerykańskie tornado.

– A powódź w Pakistanie?

– Oceniają, że zabiła szesnaście tysięcy ludzi.

W końcu Adam spytał:

– Kiedy będziemy znali ostateczne straty?

– Nie wcześniej niż za rok. Przez trzy lata nie będziemy nic.

wypłacać członkom – wyjaśnił Johnny – a może dłużej. Szczerze mówiąc, ja jestem splukany. Będę musiał sprzedać dom.

Adam zaklął. Słynna nieograniczona odpowiedzialność Lloyd'a oznacza prawdopodobnie, że i Adam będzie musiał zostać uznany za bankruta.

– Jak długo będę czekać na wypłaty?

– Wiesz, że u Lloyda się nie czeka. Gotówka na stół, jak tylko sędziowie osiągną porozumienie. To jest podstawą jego reputacji – dodał Johnny. – Nie warto narażać się Lloydowi, Adam, i nikt więcej nie będzie chciał mieć z tobą do czynienia, już oni tego dopilnują.

Następny telefon był do Neda Sinclaira, dyrektora finansowego SUPPLYKITS. Adam starał się, by jego głos zabrzmiał zwyczajnie.

– Ned? Chciałbym, żebyś jeszcze raz spojrzął na tę nową propozycję Carefree; chodzi o sklepy bezcłowe na lotniskach. Wiem, że chcą więcej, niż jesteśmy w stanie zapłacić, ale jeśli udałoby nam się zgromadzić gotówkę, opcje giełdowe i świeżo wydane akcje na zachętę, moglibyśmy przekonać głównego dyrektora i może namówiłby innych do sprzedaży. Porozmawiaj z nim, zorientuj się, czego chce, i wykombinuj coś na następny tydzień.

– Już nad tym pracuję – powiedział radośnie Sinclair. Adam westchnął, odkładając słuchawkę. Znow przejechał lewą ręką po włosach, ale tym razem poczuł leciutki dreszczyk nadziei. Zawsze jest jakieś wyjście, jeśli się nie traci głowy. Czuł, że kontrakt z Carefree będzie sukcesem, a w perspektywie miał następne.

I może nareszcie nadszedł czas, żeby wyjąć tego asa z rękawa. Nigdy już nie będzie lepszej okazji. Może był to czas, żeby się znów asekurować.

Telefon od Scotta do Annabel przebywającej w Saracen zadzwonił, gdy zapowiedziano kolację. Pobiegła natychmiast do swego pokoju na górze i rzuciła się na łóżko okryte narzutą z walijskiego patchworku w delikatny kremowo-różowy wzorek.

Czekając, aż Scott podniesie słuchawkę, wyobrażała sobie jego redakcję telewizyjną. Pamiętała dokładnie pierwszy dzień, gdy Scott ją tam oprowadzał, pamiętała, jakie wrażenie na niej wywarły te wspaniałości. Od tego dnia Annabel go wielbiła. Czasami miała wrażenie, że gdyby Scott nie siedział tam w studiu, przy biurku „Wiadomości”, uczesany i ucharakteryzowany, gotowy do wystąpienia i panujący nad wszystkim, wtedy po prostu nic by się nie działo i nie byłoby „Wiadomości”.

W końcu usłyszała słaby głos Scotta.

– Aniołku, obawiam się, że nie będziesz tym zachwycona, ale prosiłaś, żeby cię zawiadomić, kiedy Avanti się zdecyduje. Nie chcą odnawiać twojego kontraktu.

Annabel poczuła nagle, że kręci jej się w głowie, czoło staje się lepkie, a ręce

się trzęsą. Z trudem przełknęła ślinę. Serce waliło jej tak mocno, że przez chwilę bała się, iż Scott to słyszy. Klatka piersiowa wydawała jej się za ciasna i nie mogła złapać tchu. Poczowała też nagle ciężar na dnie żołądka, jakby tam właśnie kryła się jej pewność siebie.

– Annabel? Jesteś tam? – Oddalony o tysiące mil Scott usłyszał stłumiony szloch. Powiedział pocieszająco: – Kochanie, to jeszcze nie koniec świata.

– Dla mnie tak – jęknęła Annabel.

Klara, zmęczona i zdenerwowana, postanowiła wcześniej iść spać. Leżała w długiej na trzydzieści stóp sypialni na stylowym łożu z czterema kolumnami i wpatrywała się w szkarłatny brokatowy baldachim. Rozebrała się do halki i nie miała siły na nic więcej. Chciała, żeby ktoś wymyślił taki guzik, który się naciska i czary mary! jest się w łóżku, rozebrany i z umyтыми zębami. Ospale odwróciła głowę w stronę okien wychodzących na zachód i patrzyła na szczyt wznoszący się ponad wzgórzem, na którym zbudowano Saracen.

Kolejny raz zastanawiała się, czy się nie posunęła zbyt daleko, wypowiadając tak negatywne opinie o książkach babci i tak zdecydowanie sprzeciwiając się powołaniu trustu. Usłyszała pukanie i zawołała:

– Proszę!

Drzwi otwały się powoli i pojawiła się w nich potężna sylwetka męża. Wyglądał niepewnie i przeprasząco.

Przez jedną radosną chwilę miała ochotę podbiec do niego, przytulić głowę do jego szerokiej piersi, poczuć, jak jego mocne ręce gładzą jej plecy i zrzucić na niego swoje kłopoty. Przypomniała sobie jednak Sama w łóżku z tą niedoszlą gwiazdką i przemogła impuls, patrząc na niego ze złością.

– A ty co tu robisz?

– Przyjechałem, jak tylko się dowiedziałem, że Elinor... jest chora. Parę dni temu pisali o tym w „Tribune”. Przyjechałem zobaczyć, czy mnie potrzebujesz. A jeśli Elinor umiera, chciałem się pożegnać.

– Bardzo wzruszające, ale babci się poprawiło. Nie musiałeś przyjeżdżać.

– Wiem. Adam już mi powiedział. Powitał mnie równie miło jak ty. Po co on tu jest, jeżeli jej się polepszyło?

– Adam ma wszelkie prawo tu być – powiedziała Klara dobitnie. – Od lat jest naszym rodzinnym adwokatem.

– Nie jestem jedynym, który nie ufa temu krętaczowi. Buzz też go nie lubi – powiedział Sam – a ta dama ma wbudowany niezawodny wykrywacz świństw.

– Adam nie jest jedynym babci adwokatem – odparowała. – Jest jeszcze drugi facet, Paul Littlejohn.

– Z tej samej firmy? Więc jest na pewno człowiekiem Adama.

Nagle Klara uświadomiła sobie, dlaczego Sam przyjechał, i krzyknęła z pretensją:

– Jak ty możesz zarzucać Adamowi, że jest nieszczerzy? A ty niby jesteś? Ciągniesz się przez pół świata tylko po to, żeby pożegnać się z babką twojej żony, z którą jesteś w oziębłych stosunkach. Wzruszające!

Sam kiwnął głową.

– Oczywiście, chciałbym się również zobaczyć z Joshem.

– Nie teraz! Już śpi.

– Wiem. Powiedziała mi już ta francuska skwaśniała ślicznotka – pielęgniarka. Gdzie ona była, jak rozdawali urok osobisty?!

– Szkoda, że nie widziałeś dziennych pielęgniarek! – Klara była wściekła na siebie, że prawie udało mu się ją rozśmieszyć. Znieruchomiała, gdy Sam zatrzaskał drzwi i zbliżył się do niej dwa kroki.

– Chciałem się też zobaczyć z tobą – powiedział z nadzieją w głosie. Podeszedł bliżej i czuła jego niepokojącą obecność. Za każdym razem, gdy robił krok do przodu, cofała się w stronę okna.

– Widzisz mnie – powiedziała. – Nie zmieniałam się tak bardzo przez cztery tygodnie.

– Ja się zmieniłem. – Podeszedł jeszcze jeden krok.

– Te teksty pełne skruchy już na mnie nie działają, Sam. – Głos Klary był zimny. Cofała się, póki nie wpadła na stojący pod oknem orzechowy hiszpański stolik. Wyciągnęła ręce do tyłu, by się na nim oprzeć, zorientowała się jednak, że taka pozycja może wyglądać zbyt zachęcająco. Skrzyżowała więc ramiona i groźnie spojrzała na Sama.

– Mam dosyć zmartwień – powiedziała ostro – więc proszę cię, wyjdź! Możesz przyjść rano zobaczyć się z Joshem, ale nie wyobrażaj sobie, że możesz tak sobie wejść i w pół godziny wkraść się z powrotem do mojego serca! Tym razem nie!

– Wiem, że nie mogę niczego zmienić w «pół godziny. Miałem cztery tygodnie, żeby zrozumieć, jakim byłem wstrętnym draniem – powiedział Sam.

– Ty nie pragniesz prawdziwego związku – krzyknęła. – Potrzebne ci są tylko pseudozwiązki, żeby podbudować swoje ego.

– Przyznaję, że tak było w przeszłości.

– Mam dosyć! – piekliła się Klara. – Myślisz, że jeżeli nie wiem o twoich

romansach, to nie ma to wpływu na nasze stosunki. Nie ma znaczenia, że oszukujesz żonę, jeśli tylko ona się nie dowie. Ale tak nie jest, bo nasz związek staje się po prostu nieuczciwy. Nawet jeżeli ja nie wiem, to ty wiesz i twój stosunek do mnie jest inny.

– Co u licha przez to rozumiesz? – Sam sprawiał wrażenie autentycznie zakłopotanego.

– Wymyśliłeś albo wmówiłeś mi jakąś wadę, żeby mieć powód do narzekania i z czystym sumieniem mnie zdradzać na prawo i lewo. Dostyc mam już bycia żoną, która cię nie rozumie! Teraz cię rozumiem doskonale! I nie mogę znieść twoich zdrad i oszustw! Nie mogę znieść tej parodii szczęśliwego życia w tym mieście parodii.

– Żadnych więcej skoków, przysięgam.

– To nie ma sensu, Sam. Oboje wiemy doskonale, że historia się powtórzy. Żadnej nie przepuścisz i nic cię nigdy nie zmieni. Nigdy nie zapomnę tego, co zobaczyłam, i nigdy nie przestałabym się zastanawiać, czy to się nie powtarza.

Sam przypomniał sobie szybko dzień, w którym ostatni raz widział Klarę, kiedy wróciła wcześniej z plaży i zastała go w ich łóżku, ale nie samego. Rozpoznała dziewczynę – niedoszlą aktoreczkę, córkę sąsiadów, którzy byli bardzo mili dla Klary wtedy, gdy się wprowadziła.

Pod wpływem wzroku Klary wystraszona dziewczyna wtuliła się w oparcie łóżka, podciągając kolana, żeby ukryć swe smukłe, nagie ciało. Klara wciąż patrzyła, aż dziewczyna wymknęła się z sypialni na patio. Tam się zawahała, pamiętając o swej nagości. Zrozpaczona, spojrzała na Klarę i uciekła.

Goły, owłosiony Sam skulił się na łóżku czując się nie tylko obnażony, ale i bezbronny. Rzucił jej błagalne spojrzenie, jak mały niegrzeczny chłopiec, przyłapany na wyjadaniu konfitur ze słoika.

W końcu Klara krzyknęła:

– Dostyc mam tych scen!

I Sam zrozumiał od razu, że Klara go zostawi. Tym razem nie zarzuci go ani pretensjami, ani czarną bielizną. Gdy ujrzał w jej twarzy udrękę, wściekłość i rozpacz, wiedział, że mu nie przebaczy. Wiedział też, że ten straszny epizod był wyłącznie jego winą i można tego było uniknąć. W końcu mógł zabrać dziewczynę gdzie indziej.

Patrzył teraz na swoją żonę, stojącą na końcu długiej, ciemnej sypialni, plecami do okna, za którym w ciepłym wiateryku kołysały się drzewa oliwkowe. Oparta o orzechowy stół Klara czuła, jak napinają jej się mięśnie twarzy. Ona też ponownie

przeżywała tę bolesną scenę. Po chwili odezwała się:

– Niechętnie to przyznaję, ale tak samo jak zdrada bolało mnie upokorzenie. Zupełnie straciłam poczucie własnej wartości, chociaż wciąż sobie powtarzałam, że jestem atrakcyjną kobietą i nie muszę się czuć seksualnie upośledzona.

– Więc znowu chodzi o ten seks! – zirytował się Sam. – Myślałem, że to już wyjaśniliśmy!

– To nie seks jest problemem, tylko to, co ty objawiasz przy tej okazji! – Krzyk Klary płynął z głębi serca. – Akt miłosny nie jest oddzielony od rzeczywistości, Sam. Nigdy ci nie przyszło do głowy, że to ty możesz być beznadziejnym, egoistycznym kochankiem? Arogancko zakładałeś, że to ja jestem upośledzona! Gdzieś w głębi duszy wciąż uważasz, że nie jestem zupełnie normalną kobietą. Boisz się ataku na twoje boskie prawo, prawo mężczyzny, który wie najlepiej wszystko, co trzeba, o seksie.

Sam zdał sobie sprawę, że Klara po raz pierwszy krzyczy na niego, a nie zbiera w sobie cichego wulkanu niechęci. Nie był pewien, co robić; nie chciał znów przez to wszystko przechodzić. Z drugiej strony, Klara nareszcie mogła wyładować swój gniew na osobie, która go spowodowała. Wiedział, że nie należy jej przerywać.

– ... a skoro już mówimy o boskim prawie mężczyzny, to wiedz, że małe dzieci, rodząc się, wiedzą wszystko, co trzeba, o miłości. Nie są samolubne, potrafią się komunikować, a ich pierwsze doznanie – ssanie – jest zmysłowe. Ale nim chłopiec dorośnie, już ma głowę nabitą różnymi mitami i tabu, a także przekonaniem, że o seksie mężczyzna wie najlepiej.

Sam był wyraźnie zagubiony. Klara przerwała, a później ze znużeniem pokiwała głową.

– To nie ma sensu. Nigdy nie słuchałeś, co mówię, i nawet jeśli coś jest faktem, nie chcesz w to uwierzyć. Jesteś zbyt pochłonięty własną osobą, żeby słuchać i starać się zrozumieć.

– Powinni uczyć takich rzeczy w szkole – powiedział niepewnie Sam, gdyż czuł, że oczekuje się od niego jakiejś reakcji. – Proszę, uwierz mi, Klaro, zrobię wszystko, żeby cię odzyskać.

– A co dokładnie chcesz odzyskać? – spytała.

– Moją żonę i mojego syna – odpowiedział zdecydowanie.

– I, oczywiście, karierę?

– Tak.

Ostatni jego film „Główny zagiel” przeszedł bez większego echa.

– Więc taka jest prawda! – krzyczała znów Klara. – Zwróciłeś się tutaj, bo

myślałeś, że odziedziczę dość pieniędzy, żeby finansować twój triumfalny powrót do kinematografii.

– To niesprawiedliwe, Klaro. Oczywiście, że przydałyby mi się jakieś pieniądze. Komu nie? Wiesz, mam okazję dostać wspaniały scenariusz zatytułowany „Podróż na Księżyc” i jest o...

– Wynoś się!

Sam się nie cofnął.

– Mówisz, że chcesz absolutnej szczerości, a kiedy jestem szczery, to mnie wyrzucasz. Wiesz, że kino było zawsze w moim życiu na pierwszym miejscu, póki nie poznałem ciebie. Teraz jest na drugim, ale przyznaję, że bardzo bliskim.

Klara zastanawiała się, dlaczego czuje się tak zraniona, skoro zawsze знаła prawdę. Sam był – przede wszystkim – człowiekiem filmu. Może nawet teraz mówić, że żona i dziecko są na pierwszym miejscu, może nawet w to uwierzyć, ale prawda jest taka, że dziewięćdziesiąt dziewięć procent jego energii, zainteresowania, czasu i pieniędzy poświęcone jest pracy. Rodzinie zostaje reszta.

Sam znów spojrzął na cienie pod oczami żony. Zauważył, jak schudła przez te cztery tygodnie. Marzył, żeby wziąć ją w ramiona, ale tak sprytnie wsunęła się między okno a stół, że była między nimi bariera.

– Wyjdź! – powtórzyła.

Następnego ranka Buzz siedziała na jasnoniebieskim krześle przy oknie sypialni Elinor.

– Tylko po jednym gościu, tak powiedział lekarz – przypomniała jej zdecydowanie. – I krótko. Pamiętaj, że wczoraj nie czułaś się zbyt dobrze. Na każdą z dziewczynek po dziesięć minut i ani sekundy dłużej. Najpierw zobaczysz się z Mirandą, a później z Annabel.

– A Klara? – spytała Elinor.

– Klara odprowadza Sama i Josha na przystań. Wybierają się na cały dzień. Przyjdzie później.

Gdy weszła Miranda, pielęgniarka dzienna zasunęła właśnie kremowe zasłony, chroniące przed porannym słońcem.

– Cześć, kochanie – uśmiechnęła się Elinor. Miała kłopoty z wymawianiem słów. Spytała zaniepokojona: – Czy słyszysz mnie dobrze, Mirando?

– Oczywiście, że słyszy – wtrąciła się Buzz. – Brzmi to po prostu, jakby cię bolały zęby.

Po dziesięciu minutach nieco sztucznej ze zrozumiałych względów, ale

pogodnej rozmowy, Buzz pokazała głową drzwi i Miranda cichutko się wycofała. Na jej miejsce przyszła Annabel, po której było widać, że płakała.

Rozmawiając, Annabel odruchowo wzięła do ręki małe pudełeczko z nocnego stolika. Była to zabytkowa hebanowa tabakierka, z pokrywką w geometryczny wzór, ułożony z szyldkretu i kości słoniowej.

– To pierwszy antyk, jaki kupiłam – powiedziała Elinor. – Kosztował dwa pensy, kupiony z taczki ze starociami na Earls Court Road. Weź to, dziecko, w prezencie.

Buzz powiedziała ostro:

– Annabel! Odłóż to! Nie zachowuj się, jakbyś umierała, Neli, bo wcale tak nie jest.

Annabel drgnęła i odłożyła tabakierkę.

– Przepraszam, tak się tylko nią bawiłam.

Chciała jakoś ukryć drżenie rąk. Nie miała zamiaru wyjaśniać chorej babce powodów swojego strachu i paniki, jaka rosła w jej sercu.

Gdy Annabel wyszła, Elinor szepnęła do Buzz:

– Chcę się zobaczyć z Klarą sama.

– Nigdy w życiu – powiedziała Buzz. – Będę się ciebie trzymać niczym pijawka. Nie możesz się przemęczyć. Nikt się z tobą nie zobaczy sam.

– Proszę cię, Buzz – błagała Elinor. – Chcę ją namówić, żeby wróciła do Sama.

Buzz zawahała się, wiedząc, że Klara nigdy by o tym nie zechciała rozmawiać w jej obecności. Niechętnie kiwnęła głową.

– Nie zapominaj, że będę siedziała tu obok, w bibliotece, z zegarkiem w ręku.

Przeszła obok łóżka Elinor do biblioteki. Pod dużym oknem wychodzącym na morze stał drewniany stół kuchenny, przy którym Elinor napisała „Śmiertelny przypadek” i wszystkie swoje następne książki. Buzz zobaczyła przez okno opalającą się na tarasie Klarę.

– Dobra, możesz teraz iść! – zawołała.

Dziesięć minut później Klara stała przy łóżku babki. Po nie przespanej nocy była tak samo blada i wycieńczona jak Elinor.

– Widziałam się z Samem przez kilka minut, kochanie. Mówił mi, że mieliście poważne nieporozumienie, ale ma nadzieję namówić cię na powrót do Los Angeles – powiedziała Elinor.

Klara popatrzyła uważnie na babkę.

– Sam mówi ludziom tylko to, co mu odpowiada.

– Ale naprawdę przeleciał pół świata, żeby ci powiedzieć, że cię kocha.

– Sam z pewnością umie grać idealnego męża – stwierdziła gorzko Klara. – Ale jeśli przeleciał pół świata, żeby mi powiedzieć, że mnie kocha, to dlaczego nie powiedział?

– Każdy donżuan potrafi powiedzieć, że kocha. – Elinor usiłowała się uśmiechnąć cytując to, co tak często Buzz powtarzała niegdyś dziewczynkom. – Musisz zwracać uwagę na to, co robi, a nie, co mówi. Jeśli wstanie w środku nocy, żeby ci podać szklankę wody, to znaczy, że cię kocha.

– W środku nocy koło łóżka Sama mógłby przejechać konwój ciężarówek, a on by się nie obudził – powiedziała Klara. – Babciu, nie chciałam ci tego mówić, zwłaszcza teraz, ale powinnaś wiedzieć... On był... z inną kobietą. Dlatego wyjechałam.

– Na pewno mu się narzucała. Jakaś ladacznica! Dziecko drogie, już ci mówiłam, nie powinnaś pozwolić, żeby jakieś głupstwo zniszczyło twoje małżeństwo.

– Przecież wiesz, że to była jedna z wielu. – Klara zdenerwowała się. To typowe dla Sama: pierwszemu przedstawić swoją wersję, zyskać sympatię oraz poparcie i mieć babcię po swojej stronie.

Elinor, z oporami, ale przyznała:

– Miałam taki sam problem z tatkiem Billym, ale w moich czasach żony godziły się z takimi rzeczami. Bądź cierpliwa, moja droga, dla dobra Josha i swego własnego. Nie rujnuj małżeństwa tylko dlatego, że Sam sprawia ci kłopoty. Wszyscy mężczyźni sprawiają kłopoty.

Klara była oburzona.

– Nie chcę już o tym rozmawiać, babciu. Chociaż nie rozumiem, mam znosić zdrady mojego męża tylko dlatego, że ty to robiłaś? Proszę, nie próbuj mnie namawiać.

– Po sześciu latach małżeństwa, Klaro, nie możesz oczekiwać takiego uczucia, jak w dniu ślubu.

– Oczywiście, że nie oczekuję takiego samego – wykrzyknęła. Oczekiwała związku opartego na miłości, zaufaniu i realistycznej ocenie wzajemnych zalet i wad.

– Być zakochanym... – Elinor z rozmarzeniem wspominała, jak to jest, gdy wydaje się, że ukochany naprawdę posiada te wszystkie cechy, które się w nim chce widzieć. Potem się okazuje, że zostały mu one tylko wmówione. Smutno pokiwała głową. – Być zakochaną, a być zameżną to dwie różne sprawy.

– Czy dlatego nigdy nie piszesz o małżeństwie? – spytała gorzko Klara. – Tylko

o miłości?

– Nie ma powodu, żebyś się odzywała takim tonem – powiedziała Elinor, wyraźnie urażona.

– „Zakochanie się nie rozwiązuje wszystkich kobiecych problemów” – krzyknęła Klara. – Nigdy nie widziałam, żeby ktoś to wyraźnie powiedział w jakimkolwiek kobiecym magazynie, filmie, czy w... powieści.

Gotowa była żyć bez wzlotów miłości, żeby tylko nie doznać znów upadku. Nie chciała już być uzależniona od czyjejś aprobaty i czyjejś łaski. Nie chciała już nigdy czuć, że ktoś mógłby ją posłać do nieba lub piekła. Nie chciała przeżywać sytuacji, w której kobiety zbyt wiele robią dla partnera i zbyt wiele oczekują.

– Rozumiem, że reagujesz tak cynicznie z powodu zachowania Sama...

– Babciu, to nie jest niegrzeczny chłopczyk.

Wczoraj wieczorem Sam usiłował manipulować Klarą, a teraz babcia chciała robić to samo w jego imieniu. Drugi raz w ciągu dwudziestu czterech godzin oburzenie Klary przeważało nad rozwagą. Skoro już pogodziła się z nieudanym małżeństwem, to starała się pozbierać resztki swej urażonej godności, posklejać je i dalej żyć. Chciała, żeby ludzie się nie wtrącali, zwłaszcza ci, którzy nie znali wszystkich faktów, i by dali jej spokój.

– Spójrz na to wszystko, co się stało, jak na drobne wykroczenie – nalegała Elinor. – Sam cię kocha. Wiesz, że tak jest. A miłość jest najważniejsza, bo nie można bez niej żyć, dziecko; bez miłości będziesz tylko egzystować.

– Ale nie jestem pewna, czy Kocham Sama. A ja potrafię żyć bez miłości. Mnóstwo ludzi tak żyje: zakonnice, latarnicy – grzmiała Klara. – To ty mi wpoiliś, że życie bez mężczyzny jest mdłe, puste i niebezpieczne, ty twierdziłaś, że kobieta bez mężczyzny jest niekompletna. Ale zastanawiam się teraz, czy to prawda. Ja się czułam niekompletna, ponieważ żyłam z mężczyzną.

Elinor szepnęła: •

– Nie niszczy swego małżeństwa, Klaro. Żadna kobieta nie chce żyć bez miłości i romantyzmu. Dzięki temu kobieta czuje się... przeistoczona... atrakcyjna... żyje... To zawsze chciałam przekazać w swoich książkach.

– Romantyczne historie źle wpływają na rzeczywistość – stwierdziła Klara. – Zachęcaś czytelniczki, by uwierzyły, że pewnego dnia pojawi się książę z bajki.

– I cóż w tym złego?

– To, że się nigdy nie pojawi! Będzie zawsze tylko papierowym księciem na stronicie książki! Powinnaś była pokazać czytelniczkom, że nie ma księcia z bajki, żeby nie czuły się rozczarowane i zawiedzione, gdy ich książę zmieni się w żabę,

jak mój. Dowcip o żabie, który mi Sam opowiadał, jest smutny, bo prawdziwy...

– Dowcip o żabie?

– Nie jest taki głupi, jak się wydaje. Pan Żaba poprosił królową, żeby go wzięła do łóżka, a wtedy zmieni się w zaczarowanego księcia. Jednak gdy się rano obudziła, żaba była wciąż żabą. Zaskrzeczał: „Przepraszam, że cię rozczarowałem, ale wszystkie księżniczki dają się złapać na ten tekst”.

Elinor milczała, gdyż nareszcie pozwoliła sobie ujrzeć tę misterną pajęczynę romansu, jaką utkała na podstawie swego życia z Billym. Spytała cicho:

– Czy to takie straszne pozwolić nieszczęśliwej czy upokorzony kobiecie zapomnieć, choćby na kilka godzin, o problemach, z jakimi boryka się całe życie?

Elinor wierzyła, że jej powieści dają czytelnikom rozrywkę, pomagają uciec od niepewności, zdenerwowania, frustracji, beznadziejności i oczywiście nudnej rutyny w życiu, które się już nie zmienia.

Klara westchnęła.

– Nie powinnaś namawiać czytelniczek, by uwierzyły, że ich życie może być jak z powieści. Zachęcasz je, by uciekały w romantyczną fikcję, zamiast stawić czoło rzeczywistości. A potem jak mają prawdziwe problemy, nie umieją sobie poradzić! – wykrzyknęła.

– Zbyt się podniecasz. – Głos Elinor osłabł do szeptu.

Klara zauważyła wreszcie, że palce Elinor ściskają pościel, zdradzając emocje, kryjące się za spokojnymi słowami. Chcąc koniecznie powiedzieć wszystko, co ją gryzło, zapomniała, że rozmawia z bardzo chorą osobą.

– Przepraszam, babciu. Nie chciałam dziś o tym mówić, ale przecież wiesz, że zawsze tak myślałam. I to wcale nie znaczy, że cię nie kocham.

Elinor nie dała się ugłaskać. Powiedziała ostro:

– Moje romantyczne powieściska pozwoliły wam, dziewczynkom, mieć beztrudne życie, takie, jakie chciałam dać waszemu ojcu. – Elinor czekała na przeprosiny, jakie jej zdaniem należały się od Klary. Po chwili nieprzyjemnej ciszy powiedziała z uporem:

– Jeśli sponiewierałaś dorobek całego mojego życia, nie będziesz z niego czerpać korzyści, dopóki mnie nie przeprosisz.

Z największym wysiłkiem Klara mówiła łagodnie:

– Babciu, nie chcę poniewierać dorobku twojego życia i nie chcę mówić o pieniądzech. To nie ma znaczenia, babciu...

– Przeprosisz, czy nie? – dopytywała się Elinor trzęsącym się głosem.

Uznała, że Klara pogardziła wszystkim, co dla niej zrobiła. Tymczasem Klara

chciała powiedzieć, że w tej chwili najważniejsze jest babci zdrowie.

Buzz wypadła z biblioteki.

– Twoje dziesięć minut, Klaro, minęło pół godziny temu. Gdybym wiedziała, że usłyszę aż tam podniesione głosy, w ogóle bym cię nie wpuściła.

Pobyt Klary u Elinor został tym samym nagle przerwany. Rozgoryczona zatelefonowała do biura Thomasa Cooka w Nicei, żeby zamówić bilety do Londynu. Nie miała zamiaru wracać do Los Angeles i nie chciała też zostać tutaj. Zabierze Josha i Kathy i pojedzie do zacisznego, miłego Londynu, gdzie zna tylu ludzi i gdzie będzie mogła jakoś poukładać swoje życie.

Miranda, ubrana w zielone bikini, opalała się na południowym tarasie. Przysłuchując się szumowi fal, rozbijających się o skały w dole, znów pomyślała z żalem o Angusie. Musiała przyznać, że wciąż za nim tęskni.

Chociaż widywała się ostatnio z kilkoma sympatycznymi mężczyznami, to jednak gdy ich oddechy stawały się niepokojąco przyspieszone, Miranda stwierdzała, że nie ma ochoty na intymne kontakty z kimś, kogo dobrze nie zna. Nie czuła się pewnie ani bezpiecznie z nikim prócz Angusa. On nie starał się jej wciągnąć do łóżka przy pierwszej sposobności.

Trzy tygodnie temu jej sekretarka niespodziewanie oznajmiła, że dzwoni pan Angus Maclayne. Serce Mirandy podskoczyło z radości, gdy zaprosił ją do „Rules”, swojej ulubionej restauracji. Miała nadzieję, że tak jak ona, Angus chce odnowić ich stosunki.

„Rules” miała wystrój wiktoriańskiej biblioteki, pachniała najlepszą whisky i starą skórą. Miranda i Angus usiedli w wyściełanym szkarłatnym aksamitem zacisznym kąciku, przypominającym Mirandzie starodawny przedział kolejowy. Kelner, jak z Dickensa, machnął serwetką i oświadczył nie tyle taktownie, ile zgodnie z prawdą:

– Płastugi bym dzisiaj nie polecał, sir, ale łośoś jest znośny.

Zamówili wodę Vichy, okonia morskiego z zielonym groszkiem, a na deser mrożony sorbet morelowy.

Na kanciastej twarzy, którą nauczyła się już kochać, nie było widać nieśmiertelnej miłości. Angus traktował Mirandę z szacunkiem, unosząc piaskowe brwi i rozmawiając o nic nie znaczących sprawach, jak gdyby była jego ciotką albo maklerem giełdowym. Raz tylko w czasie obiadu przez moment myślała, że spełnią się jej nadzieje. Jedząc okonia, Angus pochylił się nad białym obrusem.

– Mirando, wiele o tobie myślałem.

Uśmiechnęła się zachęcająco. Marzyła, żeby usłyszeć słowa: „Boże, jak ja za tobą tęskniłem. Wyjdźmy stąd, kochanie, chcę być z tobą sam!”

Jednak Angus powiedział:

– Martwię się, że zbyt szybko rozwijasz swoją firmę. Finansujesz ją, biorąc kredyt na zabezpieczenie w postaci dzierżawionych sklepów, działając na rosnącym rynku nieruchomości przy niskiej stopie procentowej.

Miranda poczuła, jak serce jej ucieka do pięt.

– I co w tym złego? – mruknęła.

Angus starannie rozbierał rybę.

– Jeśli boom na nieruchomości ustanie lub rząd zdecyduje się podwyższyć stopę bankową, aby ograniczyć wydatki konsumentów, wtedy może się okazać, że twoje kredyty cofnięto i będziesz miała poważne kłopoty z przepływem gotówki.

– Doceniam twoją troskę – powiedziała obrażona Miranda.

– Wyższa stopa bankowa może również oznaczać gwałtowny spadek popytu na nieruchomości – dodał Angus. – I będziesz miała następny problem: dzierżawy, które są twoim zabezpieczeniem, stracą na wartości, więc banki się wystraszą i będą żądały szybkiej spłaty. – Angus sączył wolno swoje reńskie. – Taka sytuacja często kończy się... bankrutem.

– Dzięki za ostrzeżenie, ale nie mam zamiaru bankrutować – odpowiedziała Miranda, zbyt rozczarowana, by docenić sorbet morelowy. Przez resztę posiłku rozmawiali uprzejmie o interesach i opowiadali sobie plotki z miasta. Później rozstali się niezdarnie na ulicy, nie przyjmując swoich wzajemnych ofert podwiezienia. Żadne nie zaproponowało następnego spotkania.

Angus, który podziwiał energię i spryt, tęsknił za nieco awanturniczą i pełną temperamentu Mirandą bardziej, niż przypuszczał. Zaprosił ją na obiad, gdyż miał nadzieję, że i ona za nim tęskni. Obserwował ją z dala i wiedział, że od czasu, gdy zerwała ich zaręczyny, nie była poważnie zajęta żadnym mężczyzną. Zdawał sobie sprawę, że szybki rozwój firmy absorbował cały jej czas i energię i dlatego postanowił działać małymi krokami i podczas obiadu rozmawiał tylko o interesach. To pozwoli im obojgu nie czuć się w pozycji odrzuconych. Niestety, Miranda też wyraźnie chciała rozmawiać tylko o interesach.

Nie miał jednak zamiaru zakończyć walki o nią; fascynowała go, jak żadna inna kobieta. Czasem była porywcza, czasem zimna jak lód. Te cechy intrygowały Angus-a-mężczyznę, choć przeszkadzały Angusowi-biznesmenowi.

Rozdział 16

WTOREK, 20 LIPCA 1965

Miranda drzemała leżąc na sofie pod oknem swego saloniku, wychodzącym na Place de la Republique. Od placu prowadziła droga do odległej fabryki perfum, którą zamierzała właśnie kupić. Założyła ją w roku 1870, gdy większość mieszkańców była bez pracy, hrabina Saracen, której urodziny traktowano jak święto, a w miejscowym kościele św. Piotra odprawiano mszę za spokój jej duszy. Pukanie do drzwi zaskoczyło Mirandę. Zawołała:

– *Entrez.* – I zaraz: – A to ty, Adamie.

– Mogę wejść?

– Oczywiście. Już skończyłam sjęstę. – Miranda ziewnęła, przeciągnęła się i poruszyła bosymi, opalonymi stopami. Miała na sobie szmaragdową jedwabną koszulę i bikini.

– Widzę starego przyjaciela. – Adam wskazał na oprawiony rysunek, który podarował jej na ostatnią Gwiazdkę; przestraszony biznesmen patrzy na ducha, wychodzącego z szuflady jego biurka, który mówi: „Jestem duchem starych pism do ciebie”.

– To ci się udało. – Miranda znów ziewnęła. – Czego chcesz? – Pomasowała sobie zesztywniały kark. – Duży błąd kłaść się spać na sofie.

– Mogę ci zaraz rozmasować szyję – zaoferował się Adam. – Uczyłem się tego. Połóż się równo na podłodze.

– Dobrze. – Znów ziewnięcie. – W koszuli, czy zdjąć?

– Nie zdejmuj!

Miranda położyła się na brzuchu na dywaniku w kolorach ochry i wyblakłego błękitu, jak koszula i szerokie džinsy Adama!

Adam ukląkł za jej głową i zaczął masować barki. Po dziesięciu minutach ból szyi zniknął. Nadal jednak leżała z zamkniętymi oczami, czuła się lekka i śpiąca.

Głos Adama był cichy, ale stanowczy:

– Twoje ciało staje się coraz lżejsze i lżejsze... Czujesz się tak lekka, że mogłabyś płynąć na obłoku... Gdy policzę do dziesięciu, odprężysz się...

Boże, przecież on mnie hipnotyzuje, pomyślała Miranda i zasnęła.

Gdy się obudziła, zobaczyła Adama leżącego na sofie z nogami uniesionymi wyżej, czytającego „Paris Match”. Miranda popatrzyła na zegarek.

– Spałam prawie godzinę. Świetna robota! Czuję się, jakbym była z gumy.

– Byłaś bardzo zmęczona – powiedział Adam – i do tego wszyscy martwiliśmy się o Elinor.

– Tak. – Miranda wykrzywiła się i rozplakała. Przetarła oczy, a później zaczęła mrugać, bo zbyt późno przypomniała sobie o szklach kontaktowych. Wyjęła je i zerwała się na nogi.

– Nie wiem, dlaczego płaczę.

– To naturalna reakcja po stresie i zdenerwowaniu – zapewnił ją Adam. Patrzył na nią, z głową przechyloną na jedną stronę, niezdecydowany. Wstał i podszedł.

– Nie martw się, panuję nad wszystkim. Rozluźnij się.

Mirada pociągnęła nosem.

Objęły ją muskularne ramiona Adama. Rozprężyła się i oparła głowę na jego silnej piersi. Poczwała jego rękę pod bluzką; kciuk przesuwiał się po jej kręgosłupie aż do nasady szyi. Za każdym uciśnięciem kręgu przyciskał ją do siebie. Czwała jego podniecenie, gdy mocno pocałował ją w usta.

Już dawno Miranda doszła do wniosku, że intymny związek z Adamem mógłby jej tylko skomplikować życie, ale była jeszcze zaspana i nie kontrolowała sytuacji, gdy Adam uczynił pierwszy krok.

Co, u diabła, pomyślała wojowniczo. Dlaczego nie mogę raz zapomnieć o interesach? Czemu nie mogę zrobić z moim ciałem, co mi się podoba?

W ciszy Adam wziął ją na ręce (a miała pięć stóp i dziewięć cali i nie była wagi piórkowej) i zaniósł na łóżko. Na tle poduszki włosy Mirandy wyglądały jak płomienie.

Leżała z zamkniętymi oczami myśląc: „Za późno, żeby go powstrzymać. I wcale tego nie chcę”.

Leżała jak w transie, prawie bez ruchu, gdy usta Adama zbliżały się do delikatnej skóry na jej piersiach.

– Nie otwieraj oczu. Nie ruszaj się. Ja tu rządę.

– Ale nie chcesz, żebym...

– Chcę, żebyś leżała spokojnie i pozwoliła się... kochać.

Miranda poczuła jakieś łaskotanie w żołądku, jak gdyby ktoś ją głaskał piórkami. W silnych i niewątpliwie wyćwiczonych rękach Adama głaszczącego jej brzuch rozluźniała się i czwała ciepło wędrujące od pępka po całym ciele. Jego usta, wędrując powoli od piersi w dół, rozgrzewały ją. Po jakimś czasie odezwała się:

– Ale ty nie skończyłeś.

– Mamy dużo czasu – powiedział. – Lubię robić coś dla kobiety. Czerpię

przyjemność z tego, że ty kończysz. – Rzuciła się przed chwilą jak świeżo złowiony pstrąg na trawie. – Mówiłem ci, żebyś się nie ruszała. – Adam z powrotem ułożył jej rękę na poduszce.

– A jak będę?

– To cię przywiążę do łóżka.

Miranda otworzyła oczy.

– Niewola? Cóż za podłość!

– Ale tylko dla zabawy – obiecał Adam. – Zawiążę ci oczy jedwabną chustką, a ręce i nogi do kolumnienek przy łóżku jedwabnymi wstążkami.

– Przegryzłabym je!

– Żartowałem – mruzczał Adam, sięgając znów do jej piersi.

Godzinę później Miranda, leżąc na nagim, opalonym ciele Adama, powiedziała rozmarzonym głosem:

– Zaskoczyłeś mnie.

– Od lat chciałem to zrobić.

– Dlaczego więc tak długo czekałeś?

– Z tego samego powodu, co ty. Ostrożność. Ale do ciebie nie można żywić platonicznych uczuć.

Miranda pamiętała, jak ryczała jako dwunastolatka, że Adam traktuje ją jak dziecko. Żałowała, że to dziecko nie mogło przewidzieć przyszłości.

– Myślę... myślę, że zawsze tego chciałam – powiedziała.

– Ja wiem, że chciałem. – Adam znów pochylił głowę nad jej piersią.

Miranda mówiła dalej:

– Nigdy przedtem nie miałam orgazmu. Czasami byłam już na skraju, a potem to uczucie zniknęło.

– Muszę przyznać, że nie jesteś pierwszą kobietą, z którą się kochałem.

Miranda wdychała zapach łóżka. Uniosła się na łokciu i ostrożnie drapała paznokciami delikatną wewnętrzną część jego ręki, od przegubu do łokcia.

Zadrżał z rozkoszy.

– Żadna kobieta nie podnieciła mnie nigdy tak jak ty.

– Ty też to odczułeś?

– Nigdy przedtem tak się nie czułem, Mirando. Czuję, że jesteśmy równi, że nigdy nie pozwolisz się zdominować. Podejrzewam, że zawsze będziesz mnie trzymać w niepewności. – Gwałtownie przyciągnął ją do siebie.

Jego pocałunek był głęboki i namiętny. Miranda przelotnie pomyślała, jak bardzo się myliła, sądząc, że Adam jest chłodny i opanowany. Po chwili znów była

pod wpływem jego magii i nie myślała o niczym.

Później Adam patrzył poprzez Mirandę na okna – bliźniacze prostokąty błękitnego nieba, między którymi wisiało stare lustro w bogato rzeźbionej mahoniowej ramie. Posrebrzane szkło było miejscami zielonkawe, a w miejscach, gdzie od spodu odprysło srebro, widać było czarne plamki. Pod lustrem stała toaletka Mirandy, zdumiewająco kobieca, przybrana białymi, muślinowymi falbankami.

– Bardzo mnie dziwi, że twoja toaletka wygląda jak u Scarlett O’Hara.

– Czasem falbanka to tylko falbanka. – Miranda wzruszyła ramionami.

– Moja mądrała – mruknął Adam.

Miranda przeciągnęła się rozkosznie.

– Ale Annabel i Klara się zdziwią, gdy im o nas powiemy!

– Wolałbym utrzymać to w sekrecie, naturalnie przez jakiś czas – powiedział Adam stanowczo. – Muszę załatwić interesy Elinor. Nie chcę, żeby ktokolwiek uważał, że faworyzuję jedną siostrę kosztem innych, czego już się obawiają ze względu na nasze powiązania zawodowe.

Nie wymienił drugiego powodu, choć oboje go znali. Wszyscy bliscy wiedzieli, że nie wypowiedanym marzeniem Elinor było, aby Miranda, jedyna niezamężna wnuczka, poślubiła kogoś z brytyjskiej arystokracji. Póki Elinor żyje, Adam nie śmiałyby wybijać jej z głowy tych marzeń.

Następnego przedpołudnia, o jedenastej, Buzz siadła na niebieskim krześle przy oknie w sypialni Elinor, wyjęła z kieszeni swej granatowej sukienki kuchenny czasomierz i nastawiła go na dwadzieścia minut; zaczął irytująco tykać.

Elinor, w kremowej jedwabnej lizesce, siedziała oparta o stos falbaniastych poduszek; wyglądała staro i słabo.

Kot Fudge, któremu znów było wolno wchodzić do sypialni, pomaszerował do popielatej sofy przed kominkiem, na której siedział Adam, i zaczął się ocierać o jego dzinsy.

– Koty zawsze mnie lubiły. – Adam nachylił się i pogłaskał jasnorude futerko. Kot zwinął się u jego stóp i zasnął. Z teczki leżącej na sofie Adam wyjął jakiś dokument. Powiedział energicznie:

– Nim wrócę do Londynu, chciałbym zaproponować pewną strategię, na wypadek gdyby Elinor znów kiedyś zachorowała, po prostu aby uniknąć problemów, jakie miała Buzz w ostatnich tygodniach.

Ponieważ nikt nie był upoważniony do podpisywania czeków w imieniu Elinor, nie można było płacić rachunków domowych ani wypłacać pensji. Przez trzy

tygodnie Buzz płaciła służbie z własnych pieniędzy.

– Gdyby z jakichś powodów Elinor nie mogła podpisywać czeków, proponuję, abym ja mógł je podpisywać za nią – powiedział Adam.

Buzz spojrzała ostro. Adam kontynuował.

– Byłbym upoważniony tylko do podejmowania pieniędzy na wydatki domowe w Nicei. Pełnomocnictwo stwierdzałoby wyraźnie, że чеки nie mogą opiewać na mnie lub na firmę. Z innymi płatnościami czekalibyśmy, aż Elinor wyzdrowieje.

– A może dobrze byłoby mieć dwa podpisy? – zaproponowała Buzz. – Może jakiegoś innego partnera z STG?

– Oczywiście. – Adam pokiwał głową i zwrócił się do Elinor. – I ubezpieczenie zawodowe STG automatycznie będzie pokrywało skutki nadużycia.

Elinor spojrzała na Buzz.

– To ci odpowiada? Tak? Więc zrób tak Adamie, mój drogi – powiedziała słabym głosem.

Po podpisaniu dokumentu przy świadku Adam wyciągnął drugą kartkę.

– Aby zapobiec opóźnieniu kontraktów literackich, proponuję też dać mi generalne pełnomocnictwo, znów tylko w ograniczonej dziedzinie i tylko do wykorzystania w przypadku niedyspozycji Elinor – powiedział.

– Czy to również jest pokryte przez ubezpieczenie na wypadek nadużycia? – spytała Buzz.

– Tak – odpowiedział Adam. – Nawiasem mówiąc, gdybym przekroczył pełnomocnictwo i wykorzystał je dla swoich korzyści, chociaż nie wyobrażam sobie, żeby to było możliwe, byłbym wykreślony z listy adwokatów przez Stowarzyszenie Prawników.

– Zgadzasz się, Buzz? – spytała słabo Elinor.

– Czy masz jakieś szczególne obiekcje, Buzz? – spytał uprzejmie Adam.

Po chwili Buzz potrząsnęła głową. Te pełnomocnictwa dotyczyły tylko codziennych transakcji. Gdyby zaprotestowała bez specjalnych powodów, mogłoby to zabrzmieć podejrzanie, jakby ona chciała zarządzać pieniędzmi Neli.

– Więc ja też się zgadzam – powiedziała Elinor.

ŚRODA, 21 LIPCA 1965

O piątej po południu Scott zakończył swój reportaż na temat demonstracji przeciwko wojnie w Wietnamie. W redakcji „Wiadomości” kręcili się reporterzy, pijąc kawę, rozmawiając i czytając. Biurka zawałone były teleksami, zdjęciami,

biuletynami na temat znanych postaci, kartkami z informacjami telefonicznymi i filizankami po kawie. W tle klekotały dalekopisy, a kilka monitorów telewizyjnych pokazywało różne obrazy, z których część stanowiła materiał przekazywany stacji. Słysząc było czyjś głos.

– Więc chcesz powiedzieć, że po tym, jak przepuściło go dwóch adwokatów, wciąż nie mogę tego nadać?

W gabinecie redaktora „Wiadomości” asystentka czytała listę reportaży z notosu: „Raport z Waszyngtonu na temat przekupstwa senatora”, „Burmistrz Nowego Jorku i demonstracje antywojenne”.

– Burmistrz nas o to nęka, Scott!

Przez uchylone drzwi ktoś zajrzał.

– Telefon z Europy do ciebie, Scott.

– Przepraszam. – Scott popędził do swego gabinetu i starannie zamknął drzwi.

– Annabel? Co się stało, kochanie?

– Scott... Tęsknię za tobą!

– Ja też, aniołku.

– Potrzebuję cię tutaj.

Scott zdawał sobie sprawę z napięcia, w jakim żyła jego żona przez ostatni miesiąc. Najpierw wiadomość, że poważnie zachorowała jej uwielbiana babka, później nie odnowiono z nią kontraktu. To było mocne uderzenie dla nich obojga, zarówno jeśli idzie o utratę pieniędzy, jak i prestiżu. Upokorzenie tym gorsze, że publiczne. Całe szczęście, że Annabel nie było w Nowym Jorku, gdy rozeszła się ta wiadomość i plotkujący dziennikarze okupowali domowe telefony Scotta i Annabel, zadając jadowite pytania.

Scott wiedział, że Annabel przeżywa najgorszy moment w karierze modelki. Oficjalnie minęły już jej najlepsze lata, przybrała na wadze, traciła urodę i posuwała się w stronę zmarszczek i worków pod oczami. Żadne zapewnienia ze strony Scotta nie były w stanie ukoić przygnębienia jego dwudziestopięcioletniej żony, spowodowanego przemijaniem urody. Brzmiało to absurdalnie: w tak młodym wieku zostać „byłą”.

Scott starał się załatwić sprawę dyplomatycznie.

– Kochanie, bardzo chciałbym być z tobą, ale oboje wiemy, że nie mogę. Rozmawialiśmy na ten temat wiele razy. Chciałbym być pomocny, ale muszę porządnie wykonywać swoją pracę. Zaczęły się wakacje i mamy mało pracowników, bo wszyscy wyjeżdżają. Reszta musi pracować za nich. Nie mogę tak po prostu wyjść. Gdybym wyjechał zaraz, jak mnie o to pierwszy raz

poprosiłaś, mógłbym siedzieć w Saracen już cały miesiąc. Prawdopodobnie nie miałbym do czego wracać. – I dodał łagodnie: – A na co bym ci się wtedy przydał?

Scott znów poczuł, że żona żąda od niego czegoś nierozsądnego, czegoś, o co tylko dziecko mogłoby prosić rodziców. Wolałby, żeby Annabel nie była taka niepewna siebie i zależna od niego. Przez ostatnie kilka miesięcy, gdy czekała, aż Avanti się zdecyduje, Scott musiał ją nieustannie podtrzymywać na duchu. Zaczynało mu to już fizycznie ciążyć, jak ładunek na plecach.

– Chcę, żebyś był ze mną – łkała Annabel. Zapomniała, że zadzwoniła do Scotta, żeby mu powiedzieć o truście.

– Moja praca polega na tym, że muszę rezygnować z wielu rzeczy w życiu, które inni mają. Zawsze o tym wiedziałaś, Annabel – przypomniał jej Scott.

– Jesteś tak zajęty swoją wspaniałą karierą, że przedkładasz ją nad życie osobiste – odparła. – Nas odkładasz na potem; zajmiesz się tym za tydzień, za miesiąc, jeszcze kiedyś, aż pójdziesz na emeryturę!

– Moja kariera jest dla mnie ważna i wiedziałaś o tym, wychodząc za mnie. To nie jest tylko tak, że pracuję dla olbrzymiej stacji programów informacyjnych. Wszyscy tu pracują co najmniej za dwie osoby. Jak by to wyglądało, gdybym nagle zniknął na kilka tygodni, zostawiając pracę, którą inni musieliby za mnie robić tylko dlatego, że tam, na drugim końcu świata, zachorowała babka mojej żony?

– Proszę, przyjedź Scott.

– To nie jest konieczne. Nie mogę wszystkich tu zawieść. Spróbuj to zrozumieć, kochanie.

– Scott, chcę cię przytulić... Od miesiący nie byliśmy w łóżku. Czy pamiętasz, jak nam było dobrze?

– Nikt nie ma miodowego miesiąca przez całe życie, aniołku. Taki szal „dwadzieścia cztery godziny na dobę” w łóżku zmienia się w inną, bardziej serdeczną i przyjacielską miłość.

– To znaczy, że już cię nie pociągam? Nie kochasz mnie już? – lamentowała Annabel.

– Zrobiłaś się rozpuszczoną, przewrażliwioną, zajęta sobą neurotyczką. Co w tym pociągającego, Annabel – powiedział zirytowany Scott.

Drzwi do jego pokoju nagle się otworzyły.

– Czekają na ciebie w montażowni.

– Dziękuję! Już lecę! – Do Annabel powiedział ostrożnie: – Musisz sobie z tym poradzić, kochanie. Takie sytuacje się w życiu zdarzają.

– To nie wszystko. – Annabel przełknęła i zdołała powiedzieć: – Myślę, że

mam atak serca.

– Co?

Gdy się trochę uspokoił, doszedł do wniosku, że gdyby Annabel miała atak serca, nie rozmawiałaby z nim tak długo przez telefon. Zapytał jednak:

– A dlaczego tak uważasz, aniele?

– Serce mi wali! Nie mogę oddychać, brak mi powietrza!

– To może być atak nerwicy – delikatnie zasugerował Scott.

Annabel mówiła podnieconym tonem.

– Czuję, że wszystko mi się kręci w mózgu jak huragan. Nie mogę nad tym zapanować. Jestem spięta. Cała się trzęsę!

– Czy jesteś spocona? Czy masz wilgotne ręce? Czy masz ściśnięty żołądek?

– Tak – płakała Annabel.

Znów atak hysterii. Scott powiedział:

– Czy Adam jest gdzieś w pobliżu? Daj go do telefonu, kochanie.

Znów czyjaś głowa pojawiła się w drzwiach pokoju Scotta.

– Nie mogę montować, póki cię tam nie ma, Scott.

Scott chciał już powiedzieć: „Moja żona jest chora”, ale przypomniał sobie, że zbyt często już nadużywał tej wymówki. Inne żony nie telefonowały do pracy tak uporczywie jak Annabel. W końcu usłyszał słaby, ale spokojny głos Adama.

– Co mogę dla ciebie zrobić, Scott? Annabel wydaje się zmartwiona. Sądziłam, że poszła spać. Tu jest prawie północ.

– Annabel uważa, że ma atak serca – poinformował go Scott.

– Nie przypuszczam – powiedział stanowczo Adam. – Zaraz ją zaprowadzę do nocnej pielęgniarki Elinor, żeby jej dała coś na uspokojenie. Tu była nerwowa atmosfera.. Zrozumiałe, że jest trochę... przewrażliwiona.

Scott pomyślał: „Po prostu mi mówi, że jest histeryczką”.

– Powiedz prawdę, Adam. Odpowiedz, „tak” lub „nie”. Czy Annabel wygląda na chorą?

– Nie.

– Jestem między młotem a kowadłem. Oczywiście, przyleciałbym natychmiast, gdyby Elinor...

– Nie ma konieczności. – Adam znów mówił stanowczo. – Elinor dochodzi do zdrowia, a ja tu nad wszystkim panuję.

– Jestem tego pewien – powiedział Scott z ulgą.

ŚRODA, 28 LIPCA 1965

Tydzień później, krótko przed obiadem, Adam wziął dokumenty do podpisania przez Elinor.

Gdy rozłożył przed nią dwudziestoczczerostronicową deklarację o powiernictwie, powiedział:

– Nie ma żadnych zmian, ale jedna poprawka. Ponieważ Paul ma być opiekunem, partnerzy STG uważają, że najlepiej będzie, jeśli powiernicy będą spoza firmy, więc załatwimy to poprzez grupę księgowych, z którymi współpracujemy na Bermudach.

– Czy pytałeś Klarę jeszcze raz? – Elinor, która wciąż wyglądała słabo, nie interesowała się szczegółami funduszu powierniczego.

– Tak. Obawiam się, że jest nieugięta.

Elinor myślała przez chwilę, a później z trudem uniosła głowę.

– Pamiętaj, że nie chcę, żeby dowiedziała się, że jest uczestnikiem funduszu, dopóki nie przeprosi. Nie może uważać, że takie krzywdzące mnie zachowanie ujdzie jej na sucho. No więc, gdzie mam to podpisać? Zawołaj Buzz i tę pielęgniarkę z kwaśną miną, żeby były świadkami.

o siódmej dwadzieścia tego ranka Scott był na miejscu niecodziennego wypadku; dwaj starsi mężczyźni zginęli, a trzeci został ranny. Najechał na nich samochód patrolu policyjnego. W południe Scott wrócił do studia z nagrany dwudziestominutowym materiałem filmowym, z którego zostanie zmontowany najwyżej dwuminutowy felieton. Pójdzie chyba na zakończenie wiodącego tematu.

– Połączmy to z tym innym materiałem o wypadku, który właśnie przyszedł – zaproponował redaktor wydania. – Dwoje czarnych dzieci, nie panując nad samochodem, przejechało czworo innych dzieci, raniąc je, ale niezbyt ciężko. Czarne dzieciaki przyprowadzono na spotkanie z prasą w kajdankach.

Scotta to zainteresowało.

– Ci gliniarze podejrzani o zabicie dwóch starsuszków zostali zawieszani, ale nie zaarrestowani, chociaż mówiono mi, że w grę wchodzi podejrzenie o morderstwo. Ale prokuratura rejonowa twierdzi, że nie mogą im tego jeszcze dowieść. Nazwijmy ten reportaż: „Co powoduje opóźnienia w prokuraturze rejonowej?”

Drzwi się otworzyły.

– Scott, telefon z Europy do ciebie.

Scott nic nie powiedział. Co miał mówić? Cała stacja wiedziała już o jego

rozpuszczonej, dziecinnej żonie. Pospieszył do swojego pokoju. Znów spokojnie wysłuchał łzawych błagań i znów odmówił porzucenia redakcji i przyjazdu do Annabel.

Tego wieczoru siadł na swym stanowisku „Wiadomości” i przebiegł wzrokiem tekst. Tuż przed emisją nadeszła informacja o aferze narkotykowej, więc trzeba było szybko znaleźć dla niej miejsce. Minutę przed rozpoczęciem Scott uśmiechnął się do drugiego prezentera, spojrzął na pokój kontrolny i kiwnął głową. Napięcie w studiu wzrosło. Panowała absolutna cisza, kontrola podała: rolka pierwsza. Inspektor programu wskazał na kamerę dwa i zaczął odliczać: – Cztery, trzy, dwa, jeden. Dajcie Scotta. – Czerwone światelko zabłysło na kamerze dwa, gdy tylko inspektor programu dał znak.

– Dobry wieczór. Tu Scott Svenson przekazujący państwu wieczorne wiadomości.

Nawet w czasie nadawania programu w redakcji „Wiadomości” praca wrzała. Reporterzy przynosili świeżo ukończone teksty redaktorowi wydania, który je redagował i telefonicznie przekazywał prezenterowi zmiany w programie.

– Scott, wyrzuć wiadomość cztery z Moskwy. Pojawiło się coś lepszego, więc tego nie nadamy... Scott, zatrzymaj punkt siódmy, niewłaściwe leczenie. Facet właśnie zmarł, więc musimy to uaktualnić.

Gdy kamera pokazała ostatnie ujęcie, a na ekranie pojawiła się plansza z nazwiskami, napięcie w studiu opadło i zapanował radosny nastrój. Z nadajnika w uchu Scott usłyszał:

– Dobra robota, Scott. Teraz biegnij do swojego pokoju. Zamiejscowa z Europy.

Zdejmując mikrofon pomyślał, że we Francji musi być chyba piąta rano.

Pobiegł do swojego pokoju i podniósł słuchawkę.

– Annabel? Co się stało?

Annabel ledwo mogła mówić przez łzy.

– Babcia miała znów wylew. Cztery godziny temu. Adam tu jest, żeby z tobą porozmawiać, gdybyś mi nie uwierzył. Mówią, że nie ma sensu dawać jej do szpitala. Teraz już musisz przyjechać, Scott.

Rozdział 17

PONIEDZIAŁEK, 11 PAŹDZIERNIKA 1965

Dziesięć tygodni później obsługa karetki, która przywiozła Elinor ze szpitala w Nicei, wniosła ją do sypialni. Elinor, podtrzymywana przez dwóch sanitariuszy, powiedziała:

– Możecie to coś zaraz zabrać!

Miała na myśli wózek inwalidzki, czekający na nią w pokoju.

– Proszę cię – błagała Buzz. – Musisz na siebie uważać, Elinor. Napędziłaś nam strachu. Myśleliśmy, że już po tobie.

– Ale teraz czuję się świetnie – odpowiedziała Elinor. – Gdzie jest ten szampan, którego mi obiecałaś?

Specjaliści orzekli, że jeśli będzie ostrożna, może jeszcze długo żyć. Jej lekarz zaś twierdził, że wyzdrowiała zupełnie. Nie widział powodu dodawać, że od teraz jej ciało będzie słabło; będzie się ruszać coraz wolniej, prędzej się męczyć, brak jej będzie normalnej energii, a najpóźniej za siedem lat – będzie miała następny wylew.

WTOREK, 12 PAŹDZIERNIKA 1965

W szarym świetle poranka Klara, jeszcze w nocnej koszuli, nachyliła się, by podnieść z podłogi fiolkę ze środkami nasennymi. Potrząsnęła nią. Pusta. Trzeba będzie zdobyć następną receptę. Ostrożnie, by nie zbudzić Josha, włożyła szlafrok.

Josh był wciąż oszołomiony nagłą zmianą poziomu życia. Ze słonecznej Kalifornii i spod opieki pogodnej Kathy (która pracowała teraz u innej rodziny na pobliskim Morkham Square) przeniósł się do dusznego mieszkania w Pimlico, gdzie jego nowa opiekunka, emerytowana kucharka pani Gooden, zajmowała się Joshem i sześciorgiem innych podopiecznych, z których zawsze jeden z gołą pupą siedział na nocniku.

Klara pospieszyła do kuchenki, żeby przygotować mu śniadanie. To mieszkanie w suterenie przekraczało wprawdzie jej możliwości, ale w Chelsea czuła się jak w domu. Wciąż nie bardzo mogła zrozumieć, co się z nią stało w ciągu ostatnich trzech miesięcy. Wiedziała, że postąpiła właściwie, że zachowała się moralnie słusznie. Dlaczego więc zakończyło się to takimi problemami?

Po nagłym wyjeździe Klary z Saracen Miranda natychmiast przez wspólnych znajomych ją odnalazła, a następnie zatelefonowała do niej i namawiała, żeby była rozsądna i przeprosiła Elinor, „bo przecież wszyscy wiemy, że naprawdę babcię kochasz”.

– Oczywiście, że kocham, Mirando – odrzekła Klara – ale to nie o to chodzi. – Była zdecydowana nie pozwolić, by ktokolwiek traktował ją jak dziecko, ani Sam, ani Adam, ani Elinor, ani Buzz, a już na pewno nie Miranda.

– To staje się już śmieszne – wybuchła Miranda. – Adam mówi, że uczestnictwo w funduszu będzie nieodwołalne, więc na miłość boską pomyśl o przyszłości, o tym jak Joshua pójdzie do Eton...

– Nie uważam, żebym była śmieszna. Mam nadzieję, że Josh nigdy nie pójdzie do Eton ani żadnej innej uprzywilejowanej szkoły, gdzie byłby oddalony od rzeczywistości – powiedziała sztywno Klara. Słusznie wyczuwając, że Miranda uważa ją za nieznośną, dodała:

– To, o co chodzi w tej sprzeczce, jak ją nazwałeś, to zasada.

– Ludzie zawsze tak mówią, kiedy nie mają innego wytłumaczenia, kiedy robią coś beznadziejnie głupiego – stwierdziła Miranda. I obiecała sobie, że nie będzie się więcej z nią kontaktować.

Początkowo Klara utrzymywała kontakt z Annabel, gdy siostra wróciła do Nowego Jorku, ale gdy jej własne życie tak się skomplikowało, nie była już w stanie pisać listów, które pod – ' budowałyby wiarę Annabel w siebie.

Sam przez swojego adwokata odmówił dawania pieniędzy, ponieważ nie chciał rozwodu. Chciał mieć żonę i dziecko z powrotem i przypuszczał, że ich w ten sposób przetrzyma.

Adwokat Klary wyjaśnił jej, że mężczyźni często zmuszają żony do powrotu, nie zgadzając się na rozwód i utrudniając uzyskanie jakichś pieniędzy, nawet jeśli były zasądzone. Stwierdził, że powrót do Sama mógłby być najlepszym wyjściem dla niej i dla dziecka. Klara zaczęła się zastanawiać, czyją stronę trzyma jej adwokat. Z pewnego punktu widzenia miała rację i nie chciała być manipulowana i ustawiana przez odcięcie funduszy.

– Niedoczekanie jego, żeby mnie kupował za pieniądze! – krzyknęła. – Sama zarobię!

Już wkrótce miała się przekonać, jakie to trudne. Wpadła w tarapaty finansowe, jakich w latach sześćdziesiątych doświadczyło wiele samotnych matek. Ponieważ nie miała mężczyzny, nie miała dochodu, do którego należało tylko dorobić. A

ponieważ nie miała wykształcenia, nie mogła sprzedawać swych kwalifikacji. Znalazła jedynie słabo płatną pracę jako ekspedientka w sklepie z obuwem na King's Road.

Również dlatego, że nie miała mężczyzny, nie miała wzięcia w towarzystwie i nie była zapraszana na przyjęcia, a nagle okazało się, że wszyscy poruszają się parami. Zresztą praca, małe dziecko i brak pomocy domowej nie zostawiały jej już ani odrobiny energii. Poza tym była zbyt dumna, by korzystać z gościny, jeśli jej nie mogła odwzajemnić. Ona, która pomagała każdemu kulawemu psu, teraz odsuwała od siebie wyciągające się pomocne dłonie, ponieważ przeniosłyby ją chwilowo w krainę luksusu, z której i tak musiałyby powrócić do rzeczywistości. Źle się czuła z dawnymi przyjaciółmi, którzy to wyczuwali. W końcu przestali próbować.

Klara była zdumiona, ile kosztuje to, co uznawała za normalne życie. Zarabiała osiemnaście funtów tygodniowo, po odjęciu podatku. Komorne kosztowało ją dziesięć funtów tygodniowo, opieka do dziecka – funta dziennie, więc zostawały jej trzy; tyle, żeby zrobić zakupy w sklepie spożywczym. Nie wiedziała, jak planować i kontrolować swoje wydatki, i płakała za każdym razem, gdy sprawdzała stan swego konta w banku.

Poza niezbędnymi zakupami wszystkie inne wydawały jej się teraz ekstrawagancją. Zarobki z trudem pokrywały wydatki. Taksówka była tylko wspomnieniem. Zaskoczona Klara nie mogła pojąć, dlaczego nie daje sobie rady. W czym tkwi błąd? Pozostałe ekspedientki jakoś sobie radziły. Oczywiście, żadna z nich nie miała na utrzymaniu dziecka, a mężczyźni dostawali o sześćdziesiąt procent więcej niż kobiety. W dodatku ona mieszkała w dość drogiej dzielnicy Londynu, a jej nowi znajomi w Battersea i Wandsworth.

Jednak nie mogła się jeszcze przyzwyczaić do życia, w którym lody, sherry i telefon były luksusem. Oszczędzała więc, pijąc tańszą sherry. Czuła się upokorzona przez swą biedę, zwłaszcza gdy odcięto jej telefon z powodu nie zapłaconych rachunków i kiedy musiała o tym powiedzieć Gildzie, starszej ekspedientce.

– Biedna? Ty nie jesteś biedna, Klaro – kpiła z niej Gilda w czasie przerwy na herbatę. Zapaliła taniego papierosa i zaciągnęła się z rozkoszą. – Biedni ludzie nie mają kont w banku, lodówek i pieniędzy na samoobsługowe pralnie.

– Zaczynam to rozumieć – wyznała pokornie. – Ale żeby zadbać o Josha, wciąż potrzebuję więcej pieniędzy, niż zarabiam.

Klara nie chciała zostawiać synka (który miał skończyć trzy lata w grudniu) u opiekunki, ale przekonała się, że w żadnym lokalnym żłobku, państwowym ani

prywatnym, nie było wolnego miejsca.

Gdy próbowała dać go do darmowego żłobka dziennego, dowiedziała się, że jej sytuacja nie jest, zdaniem miejscowych władz, trudna. Trudna byłaby wtedy, gdyby ją pobił i wyrzucił alfons, nie miałaby pieniędzy na skrobankę i nie mogła sobie poradzić, póki jej nie zrobi. W bibliotece w Chelsea przeczytała Akt Edukacyjny z 1944 roku, Rozdział 8 (2)(6). Było tam napisane, że miejscowe władze odpowiedzialne za szkolnictwo „powinny w szczególności mieć na uwadze zapewnienie dzieciom, które nie ukończyły piątego roku życia, miejsca w przedszkolach”.

A więc – gdzie były te przedszkola? W Klarze narastał protest. Była zdecydowana nie dać się stłamsić przez brak pieniędzy i system, który nie dbał o matki i dzieci.

W następny weekend sprzedała całą swoją biżuterię, poza pierścieniem zaręczynowym i obrączką. Zaakceptowała pierwszą cenę zaoferowaną przez pierwszego jubilera, nie zdając sobie sprawy, że mogłaby dostać pięćdziesiąt procent więcej, gdyby się targowała lub poszła do innego sklepu.

Tego wieczoru, gdy kładła Josha spać, trzymając w ramionach ten swój największy skarb, znów poczuła wstyd i wyrzuty sumienia, że nie daje mu tego wszystkiego, co jej zdaniem powinna. Żyła z poczuciem winy, chociaż usiłowała sobie wmówić, że to niesprawiedliwe, że ma takie nędzne i męczące życie.

W codziennym rozkładzie dnia trzeba było znaleźć więcej czasu dla Josha. Odwoziła go rano do opiekunki na Pimlico, potem łapała następny autobus do pracy. W przerwie obiadowej pędziła do pralni samoobsługowej albo supermarketu. O szóstej znów jechała autobusem po Josha na Pimlico, wracali do swojej sutereny, gotowała kolację dla niego i dla siebie (zresztą coraz częściej zadowalała się tym dziecięcym jedzeniem), kładła Josha spać, robiła sobie drinka i ewentualnie przeglądała jakieś papiery od adwokata. Później szła do łóżka z książką, zasypiała po przeczytaniu jednej strony, a po dwóch godzinach budziła się, nie mogąc z powrotem zasnąć. Bezsenna ją męczyła i wysysała z niej siły. Wyczerpana, bez nadziei na przyszłość, powoli wchodziła w stan nieprzerwanej depresji, co znacznie utrudniało życie Josha, mimo że nie zdawali sobie z tego sprawy.

Na szczęście w weekendy Klara czuła się znów prawie normalnie. W soboty leżała dłużej, chociaż nie mogła specjalnie wypocząć, bo Josh skakał obok niej. Ale nie miała do niego żalu, tuliła do siebie małe ciepłe ciało, bawiła się w chowanego pod kołdrą, czytała mu książeczki. Później, gdy myła go w łazience, a on

ochlapował ją wodą, znów czuła się szczęśliwa.

W sobotnie popołudnia wsadzała Josha do składanego płóciennego wózka i jechała Sloane Street do parku Kensington, gdzie z przyjemnością spotykali się z innymi dziećmi i pracującymi matkami. Umundurowane nianie, pchające staromodne, wysokie wózki, patrzyły na nich z góry.

W niedzielne przedpołudnia Klara i Josh chodzili do pani Goodman. Tam Klara, która potrafiła usmażyć hamburgera, ale niewiele więcej, uczyła się, jak gotować tradycyjny brytyjski obiad z pieczenia, jarzynami i ciastem na deser.

– Masz bardzo zręczne palce – powiedziała pewnej niedzieli z aprobatą pani Goodman, obserwując jak Klara miesza mąkę z tłuszczem w dużej żółtej misce. – Jeszcze zrobimy z ciebie piekarza.

Krótko po tym Klara zaczęła wymieniać się ze Stephanie, mamą chłopca, który też chodził do pani Goodman. Polegało to na tym, że raz w tygodniu jedna matka odbierała obu chłopców i zabierała do siebie na wieczór i na noc.

W swój pierwszy wolny wieczór Klara wybrała się na proszoną kolację do koleżanki szkolnej, która koniecznie chciała utrzymywać z nią kontakty. Partnerem Klary był niedawno rozwiedziony mężczyzna, który opowiadał bez końca „o tej dziwce, która myśli chyba, że ma za darmo utrzymanie do śmierci”. Później zaprosił Klarę na dancing do „Annabers”, najdroższego klubu nocnego w Londynie. W drodze powrotnej taksówką do mieszkania Klary, porwał na niej sukienkę i w końcu, po szarpaninie, został sam na chodniku o godzinie trzeciej rano, nareszcie zrozumiał, że go nie wpuści. Następnego ranka Klara spóźniła się do pracy.

Gdy Gilda usłyszała, co się wydarzyło, powiedziała:

– Mężczyzna, który właśnie wysupłał się z jakiegoś nieudanego związku, szuka najpierw niańki, a później jakichś skoków. Ale tak naprawdę, to szuka następnego związku.

– Ja nie chcę następnego, dopóki się nie uwolnię od jednego – stwierdziła Klara.

– Może powinnaś wobec tego mieć parę skoków na boki – zastanawiała się Gilda.

– Tego właśnie się obawia mój adwokat. Mówi, że to by zrujnowało moją sprawę. Najchętniej zamknąłby mnie w pudełku na najbliższe dwa lata. Oczywiście Sam może sobie robić, co mu się podoba, i mieć tyle kobiet, ile zechce.

Podczas swojego następnego wyjścia Klara wspominała rady Gildy. Czowała się bardzo niepewnie wchodząc sama do pubu „Markham Anus”, wspaniałej knajpki na King's Road, gdzie wieczorami odpoczywali „mężczyźni z Chelsea”.

Facet imieniem James, siedzący przy barze obok, okazał się handlarzem antyków. Omawiał z Klarą swoje uczucia przez dwie godziny, a następnie zaprosił ją na obiad do restauracji, gdzie zamawiała najpożywniejsze dania. Jedząc spaghetti zaczęła podejrzewać, że James woli mówić o jakimś związku, niż w niego wchodzić; pożerając wołowinę po burgundzku zastanawiała się, czy wynurzenia Jamesa nie mają w niej wzbudzić uczuć macierzyńskich, o które zdaje się podejrzewał wszystkie kobiety. Właśnie od takich chciała się tego wieczoru uwolnić.

W chwili, gdy podano krem karmelowy, wiedziała już, że James nie jest wrażliwym, delikatnym czarodziejem, jak to sobie z początku wyobrażała, ale potwornym nudziarzem. Ponieważ jednak zbyt wiele wypła, następnego ranka obudziła się w jego łóżku. Przerazona zobaczyła, że dochodzi dziewiąta i popędziła do pracy w wymiętym ubraniu. Znow się spóźniła. Gilda mrugnęła do niej.

W następnym tygodniu Klara ominęła „Markham Anus” i poszła do innego pubu na King'sbridge. Tam poznała Iana, eksportera owoców. Był chłopięcy, wysportowany, czarujący i – jak podejrzewała – boleśnie przeżywał swoje czterdzieste urodziny. Ponieważ Sam też miał coś z Piotrusia Pana, Klara z łatwością rozpoznała te objawy. W czasie kolacji w „Bażantarni” Ian najwyraźniej oczekiwał, że będzie go bawiła rozmową i każde jej usiłowanie poważniejszej konwersacji kwitował wyrażeniem w rodzaju: „Proszę, jaka z ciebie sufrażystka” albo „Nie przyszedłem tu rozmawiać o polityce”.

Następnego ranka Ian obudził ją, przynosząc herbatę, i przeprosił za poprzedni wieczór, tłumacząc się, że za dużo wypił. Klara znow się spóźniła do pracy.

– Oczywiście, że obaj wydali się miłymi facetami – współczuła jej Gilda. – Ale oni tylko udawali miłych. Jeśli masz zamiar dalej podrywać facetów w barach i dawać im na pierwszej randce, to lepiej się zarejestruj u świętego Stefana.

– To kościół?

– Nie, szpital dla syfów.

Zawsze, gdy mijał kac, Klara zastanawiała się, dlaczego to robi. Nie znajdowała żadnej przyjemności w chodzeniu do łóżka z nieznajomymi, ale w odróżnieniu od reszty tygodnia przez taki wieczór czuła się pożądana, czuła czyjeś ramiona wokół siebie i przytulone pod kołdrą ciepłe ciało.

Pewnego ranka Klara znalazła się wśród rozrzuconej pościeli w obcej sypialni zaledwie z sześcioma pensami w portmonetce – zbyt mało, by dojechać do pracy. Wiedziała, że ją wyrzucą, jeśli się jeszcze raz spóźni. W panice zatelefonowała do Mirandy.

Zastanawiając się, czy to możliwe, żeby ta jeszcze kilka miesięcy temu panna Porządnicka zmieniła się w takie opuszczone, rozwiązłe stworzenie, Miranda powiedziała:

– Zaraz po ciebie przyślę samochód. – Zawahała się. – Czy mogłybyśmy się spotkać, Klaro? Czy pozwolisz, że dam ci trochę pieniędzy, żebyś mogła się odbić?

– Nie – skłamała Klara. – Mam pełno pieniędzy w domu.

– Babcia się o ciebie martwi. Wszyscy się martwimy.

– A jak ona się czuje? – spytała. Dawniej zawsze gdy była taka przygnębiona, mogła liczyć, że babcia ją pocieszy.

– Byłaby znacznie szczęśliwsza, gdybyś ją odwiedziła. Nie mogłabyś polecieć na południe Francji, chociaż na tydzień?

– Nie – odpowiedziała Klara, czując, jak wzbiera w niej złość. – Nie mogę wziąć urlopu.

– Nie możesz zmienić pracy? – zaproponowała Miranda. – Masz doświadczenie jako ekspedientka, mogłabyś pracować w jednym z naszych sklepów. Na pewno lepiej byś zarabiała i byłoby ci tam przyjemniej.

– Nie. Chcę się nauczyć sama sobie radzić. Przeżyję, nie martw się.

– A co z Joshem?

– Josh będzie musiał przyzwycząić się do życia, na jakie stać jego matkę.

Klarę wyrzucono za spóźnienia, gdy musiała wyczekać na lekarza, kiedy Josh zachorował. Jak zauważyła kierowniczką sklepu, było to trzecie spóźnienie w miesiącu, a gdyby nie potrzebowali, by zjawiała się punktualnie, nie przyjmowałiby jej w ogóle do pracy.

Wtedy postanowiła założyć prywatne przedszkole. Sprzedała pierścionek zaręczynowy, błyszczącą brylantową markizę, i wynajęła pierwsze piętro wielkiego domu na Pimlico. Była tam sala balowa, mały pokój i łazienka. Pomocnicami były dwie inne samotne matki, których dzieci też chodziły do pani Goodman.

Pani Goodman straciła troje dzieci i trzy funty dziennie, ale w zamian gotowała obiady dla trzydziściorga czworga, co dawało jej znacznie lepszy dochód. W południe pan Goodman przyjeżdżał na rowerze, przywożąc obiad na przyczepie. Prowadził też księgowość. Klara błyskawicznie podwoiła swój dochód i czuła, że

robi coś pożytecznego.

W przeciwieństwie do swej siostry, Miranda prowadziła frywolne i szybkie życie fascynujących lat sześćdziesiątych, gdy Wielka Brytania przeżywała pierwszy boom gospodarczy od czasów wojny z Hitlerem. Rosnące ceny notowań giełdowych przysparzały zysków udziałowcom, a Wielka Brytania importowała więcej francuskiego szampana niż jakikolwiek inny kraj, chociaż co trzeciej rodziny wciąż nie było stać na telewizor.

Stare zasady arystokratyczne, kto i co jest poprawne, przestawały obowiązywać. Wszyscy chcieli należeć do nowej „merytokracji”[Od „merit” – zasługa, wartość (przyp. tłum.).] opartej nie na urodzeniu, ale talencie, osiągnięciach i wynikającym z nich dorobku finansowym. Byli to ludzie z „tym”, w przeciwieństwie do nijakich ludzi „bez tego”.

Annabel została namalowana przez Dawida Hockneya, a portret Mirandy – ponure studium w szarości malowane przez Briana Kneale – wystawiony był w Narodowej Galerii Portretu. Obie chciały, żeby babcia schowała ich potrójny portret; Auniquoni zdecydowanie nie należał do ludzi „z tym”.

Moda była niezwykła: rozkoszne babcie zakładały minispódniczki i botki na platformach sięgające ud, a wnuczki chodziły w babcinych kamaszkach na guziczki i sukienkach w kwiatki w stylu wiktoriańskim. Osoby przed trzydziestką usiłowały wyglądać jak ssące paluszek małe dziewczynki, ze stopami do środka, w koszulkach ledwo zakrywających pupy obciągnięte

jasnymi rajstopami. Wszystkie panie około trzydziestki ubierały się jak wytworni kosmonauci, a panie po czterdziestce – w wesołe ubranka ze spodniami-dzwonami. Producenci kosmetyków zbijali fortuny.

WTOREK, 11 STYCZNIA 1966

Na Cumberland Terrace leżał śnieg, gdy Miranda pokazywała swój nowy dom Annie Treheame z wydawnictw mody. Ponieważ ogrzewanie jeszcze nie działało, obie były w zimowych paltach i kozakach i omijały pogwizdujących robotników, którzy nie nosili już workowatych kombinezonów, lecz obcisłe dzinsy. Przenosili deski z jednego pokoju do drugiego.

Annie patrzyła z okien salonu na parterze na wiotkie drzewa w Regent's Park.

– To jest fantastyczne. Super. Powiedzmy sobie szczerze, Mirando, że niewiele

osób w twoim wieku może sobie pozwolić na kupno takiego domu. KITS musi doskonale prosperować – powiedziała Annie.

Miranda kiwnęła głową.

– Ale KITS tak się dynamicznie rozwija, że wciąż nam brak gotówki. Pieniądze na ten dom pochodzą z rodzinnego funduszu powierniczego.

– Każdemu by się przydała taka babcia, jak twoja. Jak ona się czuje?

– Lekarze twierdzą, że doskonale jej robi to nowe leczenie, a ona sama ma zamiar żyć dalsze sto lat.

– Jak miło to słyszeć.

– A teraz chcę wiedzieć, co sądzisz o mojej nowej serii do pielęgnacji skóry – powiedziała Miranda. – Jest przeznaczona dla dwudziestolatek i nazwę ją *Image*. Co myślisz o tym, żeby ją wylansować ze zdjęciami Deneuve?

– Czyli musiałyby je robić Bailey. Drogo – stwierdziła Annie.

Fotograf David Bailey poślubił niedawno francuską gwiazdę i Catherine Deneuve, a świadkiem był Mick Jagger.

– Oczywiście – przytaknęła Miranda.

– Przy okazji, jak Annabel znosi swoją emeryturę?

– Prywatnie? Myślę, że czuje ulgę – oznajmiła Miranda. – Przerzuciła się na styl życia wytwornej pani domu. Należy do wszystkich komitetów charytatywnych w mieście.

Miranda nie miała zamiaru nikomu zdradzać, jak bardzo równowaga Annabel została zachwiana. Przykro było patrzeć na jej walkę o zachowanie poczucia własnej godności, ale przezwyciężyła nadchodzące załamanie nerwowe. Potrzebowała teraz nieustannych zapewnień nie co do urody, bo nikt nie był w stanie jej przekonać, że wcale nie przeminęła, ale co do jej pozycji i uczucia w rodzinie.

– Annabel właśnie kupiła nowe mieszkanie – ciągnęła Miranda od niechcienia. – Powinnaś skoczyć tam na weekend i zobaczyć, Annie. To jest na dachu wieżowca na Upper East Side z niezwykłym widokiem na trzy strony i na rzekę. Jest niesamowite. Właściwie ktoś to już prawie kupił przed nią, więc miała szczęście.

– Jak jej się udało?

– Po prostu zapłaciła więcej. Adam to załatwił.

– Znowu ten fundusz rodzinny? Macie szczęście, dziewczyny! A co u Klary?

– Rzadko się z nią ostatnio widuję – powiedziała Miranda.

– Jest bardzo zajęta prowadzeniem tego przedszkola. – Spojrzała za okno na biały pejzaż Regent's Park, a później na ulicę.

– Do diabła, znów mi wlepili mandat za parkowanie. Te głupie liczniki. Tak się teraz trudno jeździ po Londynie.

– I wyjeżdża z niego – powiedziała Annie.

– Tak, w zeszłym miesiącu przyłapali mnie radarem za przekroczenie prędkości, ale Adam to załatwił.

ŚRODA, 12 STYCZNIA 1966

Klara w dalszym ciągu wymieniała się na jedną noc w tygodniu ze Stephanie, a później opowiadała swoje przygody Gildzie, która była teraz kierowniczką sklepu i czasami odwiedzała Klarę wieczorem.

– Więc jaki był ten pilot? – spytała Gilda.

– Tony był najgorszy ze wszystkich. – Klara nie czuła skrępowania, rozmawiając o seksie z Gildą, z którą zresztą trudno było rozmawiać o czym innym. – Przeczytał wszystkie podręczniki, jakie wydano na ten temat. Po pierwszym dżinie z tonikiem wyjął z lotniczej teczki pismo pornograficzne. Postanowił być dobrym kochankiem. Na mnie to podziałało odpychająco.

– Takie obrazki większość kobiet zniechęcają. Kobiety wolą słowa, a nie obrazki – ciągnęła Gilda, popijając ze swego kieliszka. – Ale dochodzę do wniosku, że ciebie wszystko odrzuca, kotku. Wyraźnie nie możesz się kochać z facetem, którego nie lubisz. Potrzebujesz kogoś, kogo dobrze znasz, dobrze się z nim czujesz, a nie takiego na jedną noc. – Łyknęła pół kieliszka. – Ja na przykład, jestem inna. Jak mnie nic facet nie obchodzi, nie denerwuję się, a jak się nie denerwuję, łatwiej mam szczyt. – Opróżniła kieliszek.

– Kiedy Tony nie mógł mnie doprowadzić do końca, chciał poprosić jeszcze jakąś dziewczynę – opowiadała Klara. – Uznał od razu, że jestem lesbijką.

– Chyba nie to miał na myśli – zastanawiała się Gilda. – Wielu facetów się podnieca, jak widzą dwie dziewczyny w łóżku.

– To dziwne. Czy wyobrażasz sobie kobietę, która chciałaby się przypatrywać, jak to robi dwóch facetów?

– Zapomnij o nim – powiedziała Gilda. – Wiem, kogo ty potrzebujesz, Klaro. Kogoś, kogo znasz i ufasz, przy którym nie czujesz się zdenerwowana. Wtedy się zrelaksujesz i to przyjdzie. I przestaniesz być taką nieszczęsną nimfomanką, która skacze od mężczyzny do mężczyzny, szukając tego właściwego, który ją zadowoli.

– Podstawiając kieliszek do napełnienia, po namyśle Gilda dodała: – Chociaż ty wydajesz się bardziej smutna, niż niedopieczona. Czy chodzi ci o seks, czy o

kogoś do porozmawiania? Nie masz szans poderwać w barze księcia z bajki.

– Nie szukam księcia z bajki – powiedziała Klara. – Nie chcę nieporozumień, bólu, nieszczęścia, jakie wynikają z miłości. Chcę krótkiego związku, bez zobowiązań.

Gilda zaśmiała się.

– To tak, jak ci faceci, których podrywasz. Ale nie jestem przekonana, że to dla ciebie. Potrzebujesz poczucia bezpieczeństwa z kimś, kto będzie przy tobie, bo cię kocha. Powiem ci, w kim się powinnaś zakochać.

– W kim?

– W sobie! Najwyraźniej uważasz, że jesteś śmieciem, a jeśli ja to wyczuwam, to faceci tym bardziej. Daj sobie na razie spokój z seksem i zajmij się sobą. Przecież nie chcesz, żeby mężczyzna był centrum twojego istnienia. To miejsce jest dla ciebie, Klaro.

Jestem centrum swojego istnienia – następnego ranka śpiewała Klara, wioząc Josha do swojego przedszkola. Był to jakby hymn pochwalny.

Na ganku stał jakiś mężczyzna, trzymając ręce w kieszeniach beżowego prochowca.

– Dzień dobry. Czy pan w sprawie przyjęcia dziecka? – spytała wyjmując klucz z kieszeni.

– Nie – odpowiedział. – Jestem inspektorem z lokalnego wydziału oświaty.

Po obejrzeniu łazienki inspektor stwierdził, że według przepisów obowiązuje jedna toaleta na siedmioro dzieci.

– Ale jeśli każde dziecko chodzi co dwie i pół godziny, jedna ubikacja wystarcza. Mamy też na wszelki wypadek nocniczek, ale nigdy nie było problemów.

Inspektor nie słuchał, tylko notował dalsze niedopatrzenia.

Pół godziny po wyjściu inspektora, jakby na potwierdzenie jego słów, ubikacja się zepsuła. Następnego ranka nakazano Klarze zamknąć przedszkole.

W dwa dni później zupełnie niespodziewanie została oderwana od swoich osobistych problemów – brak pracy, brak mężczyzny. Zadzwonili do niej z biura KRRN i prosili o ochotniczą pomoc, gdyż organizowali manifestację przeciwko wypadkowi nuklearnemu. Amerykański bombowiec B-52, wiozący bombę wodorową, zderzył się nad Hiszpanią z innym samolotem. Bomba wodorowa, o

sile wybuchu ponad miliona ton trotylu, wpadła do Oceanu Atlantyckiego na południe od Hiszpanii.

Klara ucieszyła się, że będzie wśród podobnie myślących ludzi, robiąc coś ważnego.

PONIEDZIAŁEK, 14 LUTEGO 1966

Dzień św. Walentego przyniósł dwa radosne wydarzenia. W radio powiedzieli, że zagubiona bomba wodorowa została zlokalizowana na dnie Atlantyku, a Klara, ku swej radości, sprzedała dzierżawę na pomieszczenia przedszkolne z zyskiem dwudziestu trzech procent.

Poczła się, jakby wygrała na loterii. Następnego dnia kupiła przenośny telewizor, zimowe palto dla siebie i trochę ubrań dla Josha. Nie kupiła mu żadnych zabawek, bo właśnie postanowiła otworzyć sklep z zabawkami.

Dwa tygodnie później wynajęła na krótko mały lokal na Pimlico Road, w pobliżu domu pani Goodman. Mimo że miała wiele roboty z urządzaniem sklepu i odwiedzaniem hurtowni, udało jej się jeden wieczór w tygodniu poświęcić na pracę w Kampanii Rozbrojeniowej.

W połowie kwietnia, tuż przed otwarciem sklepu z zabawkami, przemiły lekarz w przychodni popatrzył na nią zza biurka i powiedział:

– Jeśli idzie o te kobiece dolegliwości, powinna pani pójść do świętego Stefana zrobić analizy; są do tego odpowiednio przygotowani.

Wydawał się zakłopotany.

– Co to takiego? Chyba nie... rak?

– Nie, rzeżączka – powiedział lekarz przepraszająco.

Klara o mało nie zemdląła ze zdziwienia, przerażenia i wstydu. Później się rozplakała.

Lekarz nie chciał jej już dać tabletek nasennych, ale zgodził się przepisać środki uspokajające. Przepisywano ich coraz więcej takim kobietom jak Klara, z objawami nerwicowymi z powodu sytuacji stresowych: ubóstwa, rozwodu czy owdowienia. Kobiety z problemami małżeńskimi lub bezrobotne też z nich korzystały, chociaż pigułki nie rozwiązywały problemów powodujących ich nerwice.

Klara, czerwieniąc się ze wstydu na każdą myśl o swoich wynikach, czekała w szpitalu.

Wyniki były ujemne.

Jednak po miesiącu znowu nie mogła przeżyć nawet jednego dnia bez środków uspokajających.

„Czerwonego Konia Na Biegunach” udało się jej otworzyć w połowie maja. Podczas przyjęcia z okazji otwarcia, trzyipółletni Josh bujał się na staroświeckim czerwonym koniu na biegunach, ustawionym w oknie wystawowym.

PONIEDZIAŁEK, 15 SIERPNI 1966

Miranda stanęła nad basenem w Saracen i przywoływała ręką Adama, pływającego po basenie w przeźroczystym, nadmuchiwym fotelu.

– Zrobisz coś dla mnie? – zapytała. – Będę się uczyła latania. Chciałabym, żebyś to jakoś delikatnie przekazał babci.

– Ale obiecałaś babce, że nie będziesz się uczyła latania – zaprotestował Adam.
– To był warunek, pod jakim dostałaś prezent: kapitał dziesięciu tysięcy funtów na rozruch KITS.

– Nie obiecywałam na zawsze. Zwrócę jej pieniądze. – Miranda była nastawiona bojowo. – Zawsze chciałam latać. Nie powstrzyma mnie obietnica wymuszona na mnie, nim byłam pełnoletnia. I nudno tak nic nie robić podczas wakacji, tylko leżeć w słońcu.

– Kiedy zaczynasz? – spytał zrezygnowany Adam.

– Dzisiaj, w szkole latania w Cannes. Mają angielskich instruktorów. Cztery godziny nauki dziennie przez dwa tygodnie. Oczywiście, o tej porze roku jest wspaniała pogoda na latanie! – Miranda triumfowała. – Zdałam już dwa egzaminy pisemne. Na Wielkanoc zrobiłam prawo i meteorologię, a teraz zdałam nawigację, radiotelegrafię i techniczny – to było najtrudniejsze.

– To dlatego jesteś taka blada.

Trzy godziny później, na wysokości dwóch tysięcy stóp nad Morzem Śródziemnym, Miranda, triumfująca i ożywiona, siedziała obok swego instruktora przy przyrządach sterowniczych w samolocie treningowym. Był to mały, brzydki Rallye z pojedynczym silnikiem, który instruktor określał jako sprawny i wyrozumiały: można w nim było zrobić coś niewłaściwego bez natychmiastowego poniesienia kary.

Latanie było czymś jeszcze lepszym, niż myślała; lepsze niż narty, lepsze niż prowadzenie sportowego samochodu. Gdy samolot zbliżał się do latarni morskiej na szczycie Cap Camaret, Miranda czuła się tak, jakby wdychała powietrze bogów.

Łagodnie opadali, zawracali i wznosili się na lazurowym niebie.

Na wysokości powyżej dwóch tysięcy stóp instruktor pokazał jej, jak lecieć na równym poziomie, a później zachęcił do eksperymentów z drążkiem sterowniczym; manewrowała samolotem w różnych kierunkach. Miranda czuła, jakby maszyna była przedłużeniem jej rąk i czubków palców, rozpostartych w powietrzu.

Gdy lecieli po torze powrotnym na zachód, instruktor powiedział:

– Po raz pierwszy leciałem z uczniem, przy którym nie musiałem w ogóle dotykać urządzeń sterowniczych.

Miranda wykorzystała tę pochwałę.

– To mogę wylądować?

Instruktor zawahał się, a później stwierdził:

– Czemu nie? – Dziewczyna była naprawdę urodzonym pilotem.

Po otrzymaniu zezwolenia na lądowanie, Miranda, zgodnie z poleceniem instruktora, rozpoczęła podejście. Zredukowała prędkość i kontrolowała opadanie. Samolot posuwał się teraz z minimalną prędkością. Gdy Rallye opadł na trzydzieści stóp ponad pasem startowym, Miranda zupełnie przyhamowała i przesunęła drążek do tyłu.

Samolot jakby popłynął w przód i wylądował.

Niewiele myśląc, Miranda zarzuciła ręce na szyję instruktora.

– Och, dziękuję panu, dziękuję!...

– Całkiem miękkie lądowanie – powiedział instruktor z uznaniem. Zawahał się, lecz ją ostrzegł:

– Następnym razem niech pani uważa, żeby nie wylądować za szybko, bo może zabraknąć pasa. – Ta kobieta była ambitna i żadna przygód; tacy piloci nie żyją długo.

I dodał:

– Przeżywają tylko ostrożni piloci. Dobry pilot nigdy nie ryzykuje.

– Zupełnie odwrotnie niż dobry biznesmen – powiedziała Miranda, wciąż pod wrażeniem. – Biznesmen musi wciąż ryzykować i wygrywać sześćdziesiąt procent czasu.

– W powietrzu takie ryzyko mogłoby panią zabić.

Przed wiekami wielka sala była ośrodkiem życia zamkowego; psy jadły na podłodze pokrytej sitowiem, a służba spała na słomie rzuconej na podłogę. Salon zimowy nie pachniał wtedy liliami i kosztowną skórą, lecz stęchlizną, tłuszczem,

cuchnącymi ludzkimi ciałami i odorem zwierząt. Elinor czasami myślała o miłości i nienawiści, zdradach i morderstwach, jakich świadkiem była ta sala, gdy silni mężczyźni walczyli wręcz na śmierć i życie, by bronić swych kobiet i dzieci.

Teraz salon zimowy w Saracen, gdzie Elinor czekała na Adama, był nie tylko najzimniejszy, ale i najbardziej reprezentacyjny; z łukami z jasnego kamienia i ścianami o miodowym odcieniu, pokrytymi niebieskawozielonymi gobelinami. Wokół olbrzymiego kamiennego kominka, gdzie całą zimę płonął ogień, stały sofy pokryte na zielono i niebiesko, by harmonizowały z gobelinami. Tu i ówdzie porozstawiane były lampy, kwiaty, leżały książki i różne gry planszowe.

– Co z Adamem? – Elinor spytała Buzz podliczającą punkty po grze w scrabble'a.

– Powiedziałaś o trzeciej, a jest dopiero wpół do trzeciej – powiedziała Buzz. – Dziewięćdziesiąt trzy dla ciebie, dwieście sześćdziesiąt cztery dla mnie. To nieźle, jak na ciebie, Neli. – Buzz nigdy nie oszukiwała, żeby Elinor mogła wygrać. Wiedziała, że wyczułaby to natychmiast i byłaby upokorzona.

Po intensywnym programie rehabilitacji, fizykoterapii i logopedii Elinor wyglądała na zupełnie wyleczoną po wylewie, chociaż nie mogła już, jak kiedyś, myśleć o trzech sprawach jednocześnie. Było to, jak twierdziła Buzz, błogosławieństwem dla osób, które musiały z nią mieszkać.

Elinor brakowało nieraz właściwego słowa lub nazwiska i wtedy miała do siebie pretensję; denerwowało ją, że nie może się poruszać tak prędko, jak niegdyś. Czasem była przygnębiona i zastanawiała się, czy jeszcze kiedyś napisze książkę.

– Jak będziesz chciała, to wtedy napiszesz – mówiła jej wtedy Buzz.

Teraz mruzczała:

– Zobacz, co wycięłam z „Daily Mail”.

Sięgnęła do kieszeni, rozprostowała kawałek gazety i przeczytała: „Sportowiec Jim Clark otworzył dzisiaj wspaniale wyposażony college wychowania fizycznego w Larkwood w Wiltshire, dawnej siedzibie rodziny O'Dare. *Lady* O'Dare skomentowała to: życzę im jak najlepiej”.

– Wątpię. – Elinor zaglądnęła i obejrzała fotografię nowego właściciela, bohatera wyścigów samochodowych, ze swą szwagierką, Marjorie.

Zadzwoił dzwonek.

– Pójdę – powiedziała Buzz. – To albo Adam, albo listonosz.

Wróciła, czytając pocztówkę.

– To do ciebie od Soni Rushleigh... och, to znaczy Bromley. Kto by pomyślał, że tych dwoje się pobierze? Mówi, że pułkownik zaczął się uczyć tkania obrazów,

a nauczycielką jest panna Howkins. Pamiętasz ją, tę dyrektorkę szkoły?

– Oczywiście – odpowiedziała Elinor. – Wyfiokowana jędrza! A od kogo jest ten list?

– Od Klary. – Buzz podała jej kopertę.

Elinor potrząsnęła głową.

– Ty otwórz.

– Napisane, „do rąk własnych”.

– Nie chcę tego czytać, póki nie przeprosi.

Buzz otworzyła list i przeczytała. Potrząsnęła głową.

– To przyjacielski list, po prostu pyta, jak się czujesz. Ale między wierszami można wyczytać, że brak jej pieniędzy.

– Gdyby zabrała to biedne dziecko z powrotem do ojca i dała swojemu mężowi jeszcze jedną szansę, nie potrzebowałyby pieniędzy.

– A może okazałabyś trochę wielkoduszności? – spytała Buzz. – Jesteś głupią, upartą staruszką. A Klara jest tak samo uparta i tak samo głupia. Nic by jej się nie stało, gdyby powiedziała, że jej przykro.

Elinor zaniepokoiła się.

– Czy naprawdę myślisz, że ona nie ma pieniędzy, Buzz? Nie chciałabym, żeby jej było bardzo ciężko.

Uwagę tę usłyszał Adam, który właśnie wchodził, ubrany w jasnoniebieską koszulę i dżinsy.

– Elinor, zastrzegłaś sporą sumę w funduszu na pomoc dla Klary, jeśli powiernicy uznają to za konieczne. Sprawdzę, co z Klarą, gdy wrócę do Londynu.

– Położył stos papierów na bocznym stoliku. – Jest sporo papierkowej roboty; różne sprawy, o których powinnaś wiedzieć.

– Od tego funduszu mamy więcej, a nie mniej papierkowej roboty – powiedziała kwaśno Buzz. – I powiem ci szczerze, Adamie, że nie mogę się w tym połapać. Myślałam, że powiernicy będą sami prowadzić ten interes. Elinor nie powinna przebijać się przez całe strony paragrafów bez żadnego przecinka.

– Oczywiście, że prowadzą to powiernicy, i to bardzo dobrze – odpowiedział Adam. – Nie ma powodu, żeby Elinor czytała, jeśli ją to męczy. Właściwie chcę zaproponować coś, co uprości wszystkie sprawy.

– Co takiego? – zapytała Buzz.

– Chciałbym, żeby Paul Littlejohn zastąpił mnie jako twego pełnomocnika, Elinor. Chcę zredukować liczbę zarządzających majątkiem; im ich mniej, tym wszystko będzie prostsze i tańsze.

– Czy to znaczy, że Paul zamiast ciebie, Adamie, będzie prawnie odpowiedzialny za interesy Elinor?

– Tak, ale to tylko sprawa techniczna. Paul będzie robił, co ja mu powiem. Chciałbym również, żebyś podpisała ten dokument – dodał Adam – który zwalnia mnie i STG od wszelkiej odpowiedzialności od momentu przejęcia spraw przez Paula Littlejohna.

– Ale przecież...

– Odpowiedzialność musi wyraźnie pozostawać tylko w gestii jednej osoby – gładko wyjaśnił Adam. – To w waszym interesie, żeby wyjaśnić sytuację. Taka jest praktyka.

– Jeśli uważasz, że tak jest najlepiej, drogi Adamie. – Elinor spojrzała nieco stropiona na Buzz.

Z ujawnieniem bomby Mirandy Adam postanowił poczekać do wieczora, gdy Elinor wypije swój codzienny kieliszek szampana.

Tuż przed piątą, gdy zakończono już sprawy finansowe, a popołudnie nadal było gorące, spokojne i nabrzmiąle ciszą, Buzz poszła po herbatę. Adam wsiadł z Elinor do windy, żeby ją odprowadzić do sypialni, a później miał zamiar iść na plażę popływać.

W wysokiej kuchni, wśród woni mięty i bazylii, Buzz zawzięcie wygwizdywała „Róże z Picardii”, przygotowując herbatę dla Elinor. Liście i żółte kwiaty przysłaniały okno od góry, natomiast od dołu zaglądały różowe malwy, zdecydowane dostać się do środka.

Sylvie, kucharka, siedziała przy dużym stole kuchennym, pisząc list i odganiając gołębie. Zmora życia Sylvie były gołębie odchody, które pokrywały parapet i trzeba je było codziennie sprzątać. Z obrzydzeniem podziękowała za herbatę i Buzz wciąż pogwizdując ułożyła wszystko na tacy.

Senną ciszę leniwego popołudnia zakłócił nagle dźwięk dzwonka nad kuchennymi drzwiami. Ktoś nieprzerwanie przyciskał dzwonek w sypialni Elinor. Wiedząc, że Adam na pewno jest już w drodze na plażę, Buzz pobiegła na górę. Jak oszalała otwierała drzwi do apartamentów Elinor. W przejściu potknęła się i o mało nie upadła, a później rzuciła się do drzwi sypialni.

Z ulgą zobaczyła, że Elinor nie leży na podłodze, lecz – trupio blada – stoi trzymając się brokatowej kotary przy łóżku. Bez słowa wskazała na ścianę nad kominkiem.

Buzz odwróciła się w lewo, gdzie wisiał wspólny portret trzech sióstr. W pierwszym momencie niczego nie zobaczyła, lecz po chwili jęknęła z przerażenia.

W trzech miejscach, dokładnie na wysokości szyi sportretowanych dziewcząt, płótno zostało w poprzek przecięte. Małe płócienne trójkąciki zwisały z każdego poderzniętego gardła.

Rozdział 18

ŚRODA, 17 SIERPNI 1966

W *foyer* klubu Clanrickard u stóp kręconych schodów, oparty o ścianę stał Mike Grant. Obserwował pokój, trzymając niedbale ręce w kieszeniach smokingu. Zapowiadał się dobry wieczór, mimo że był to sierpień i do tego środa. Starając się robić to jakby od niechcienia, Mike czujnie obserwował mężczyzn w smokingach i kobiety w długich, wydekoltowanych sukniach, posuwających się wolno po czerwonym dywanie w kierunku restauracji na tyłach lub wchodzących po schodach do salonów gry.

Zauważył grupę poważnych hazardzistów, przeważnie Greków, zbliżających się do pokoju, gdzie grano w bakarata i gdzie od godziny przegrywał sułtan Rupobei. Zwrócił również uwagę na kobietę w sukni z ciemnoniebieskiej satyny, z brylantami. Była to siostra władcy ze Środkowego Wschodu, zagorzała hazardzistka. Zesztywniał, gdy dostrzegł mężczyznę wchodzącego na górę charakterystycznym niespiesznym krokiem. Trzeba będzie posłać kogoś, żeby sprawdził salę z triktrakiem.

Właściciele klubów, kasyn i bukmacherzy doskonale wiedzą, którzy zawodowi hazardziści grają z powodzeniem w gry wymagające pewnych umiejętności – takie jak triktrak czy poker – i wolą nie mieć z nimi nic wspólnego. Najchętniej widzieliby u siebie tylko niedoświadczonych, bogatych idiotów.

– To wspaniały wieczór na trochę ryzyka – usłyszał za sobą sarkastyczny głos. Odwrócił się i uśmiechnął do Adama.

– Wejdz do mojego biura na kieliszek. Co się dzieje?

W gabinecie umeblowanym przesadnie wypolerowanymi meblami klubowymi w stylu wiktoriańskim Adam nie siadł na zaoferowanym krześle.

– Nie zostaję. Chciałem ci tylko powiedzieć, że wystraszyłeś wszystkich w Saracen jak diabli. Prócz mnie, oczywiście. Opanuj może swoje teatralne gesty w stylu Jamesa Bonda. Ja zrozumiałem od razu, co chciałeś przez to powiedzieć: „Jak nie zapłacisz, wystarczy jedno cięcie i po wszystkim”.

Spojrzał na brata.

– Myślałem, że lubisz Elinor. Pamiętamy, jak ci pomogła kupić pierwszy dobry motor. Po co ją wciągać w moje problemy? Mogła przez ciebie dostać następnego wylewu.

– Nie wiem, o czym ty, do diabła, mówisz i nie mogę się wypowiadać, póki mi nie wytłumaczysz.

Mike zapalił papierosa. Na jego twarzy malowała się czujność i zaniepokojenie.

Adam opisał pokrótce, jak został pocięty potrójny portret, i dodał:

– Naprawdę chcesz, bym uwierzył, że nie masz z tym nic wspólnego? Ktoś musiał powiedzieć jakiemuś włamywaczowi, gdzie znaleźć obraz!

Mike popatrzył na brata, a później powoli powiedział:

– Nie ja. Zgadzam się, że jest to ostrzeżenie, żeby zapłacić, ale przysięgam, że nic o tym nie wiem. To nie mogli być bracia, bo oni byliby mniej subtelni... – Zaciągnął się głęboko. – Komu jeszcze jesteś winien pieniądze, ty draniu?

– Nikomu, kto mógłby zrobić coś tak dziecinnego. Jak mam temu zapobiec?

– Ile razy mam ci powtarzać, że jeżeli zajdziesz za daleko, nikt nie zapobiegnie temu, co z pewnością się wydarzy. Adam – ciągnął Mike ciszej – zawsze wykorzystywałeś wszystkich, którzy cię lubili. Myślisz, że ze mną możesz robić, co chcesz, bo tak robiłeś od małego. Obserwowałeś też klientów dziadka, którym nawet morderstwo uchodziło na sucho. – Pociągnął jeszcze papierosa, a potem rzucił go z wściekłością do kominka, wsuwając ręce do kieszeni i przyglądając się Adamowi. – Chcesz być wyrzucony przez fale, bez kilku części ciała? Koniecznie chcesz wiedzieć, co się czuje, gdy ci wyłupiają oczy, najpierw jedno, potem drugie? Czy chcesz być skatowany i zamęczony na śmierć?

– Oczywiście, że nie, idioto – odparł Adam. – Chcę tylko wiedzieć, kto pociął obraz, jeśli nie ty.

– Ktokolwiek to jest – a tylko ty wiesz kto – jest śmiertelnie poważny. Dłużnicy często starają się nie płacić. Trzeba im pokazać, jak to się załatwia. Wiesz o tym. – Mike zaczął spacerować po pokoju. – Przestań robić taką cholernie wytworną minę, i spójrz prawdzie w oczy. Jeśli przegrywasz, jest kiepsko. Ale jeśli nie płacisz, to jest szaleństwo.

– Dosyć mam tych twoich melodramatów – warknął Adam.

Mike znów spojrzał na brata.

– Ja nie przesadzam. Pamiętasz ten wypadek, gdy zatrzymano Rollsa siostry sułtana o drugiej w nocy na Grandę Corniche, gdy wracała z kasyna? Zdmuchnęli głowę szoferowi z karabinu maszynowego. Jej nie tknęli. Następnego dnia zapłaciła wszystkie długi. Gdy cała historia przedostała się do gazet, sporo innych długów też nagle spłacono co do grosza.

– Nie jestem żadną cholerną siostrą sułtana.

– Nie, ale też lubisz igrać z ogniem. Nie wierzysz, że bogowie pozwolą kiedyś

na to, byś się sparzył. Myślisz, że jesteś wszechmocny, ale się mylisz.

– Mów trochę ciszej – mruknął Adam.

– W moim własnym biurze – powiedział Mike – mogę robić, do cholery, co mi się podoba. – Czy nie rozumiesz, że jestem po twojej stronie, Adamie? Jesteś jedynym bratem, jakiego mam. Martwię się o ciebie pewnie bardziej niż ty sam. Jeśli cokolwiek by ci się stało... Zostałbym bez ciebie. Więc na miłość boską zapłać, gnojku! Nie myśl, że ujdzie ci to na sucho tylko dlatego, że od czasu, gdy podpaliłeś fartuch pielęgniarki, zawsze wszystko ci uchodziło.

– Myślałem, że byłeś za mały, żeby to pamiętać – wyjąkał niepewnie Adam i dodał: – Nie powinna zostawiać zapalek w zasięgu rąk dziecka.

– Była w szpitalu przez sześć tygodni, a ja byłem jedynym, który wiedział, że to nie był wypadek. Chciałeś w ten sposób sprawdzić, jak daleko możesz się posunąć.

– Nie spierajmy się o coś, co się wydarzyło ponad trzydzieści lat temu – powiedział w końcu Adam. – Czy możesz zorganizować pieniądze, żebym mógł się od nich opędzić? Obiecuję ci, że za sześć miesięcy pozbędę się raz na zawsze problemów z forszą. Wiem to.

– Będziesz miał problemy z pieniędzmi tak długo, jak długo będziesz się hazardował.

Annabel postanowiła wziąć się w garść i zrobić tak, jak jej poradził Scott; rok 1965 był rokiem, w którym przestała chodzić na próby, a rok 1966 rokiem, w którym zaczęła udzielać się jako dobra nowojorska gospodyni. Poznała przy tej okazji Andy Warhola, Lenniego Bernsteina, Baby Jane Holzer i inne postaci, stanowiące mięso armatnie dla autorek rubryk plotkarskich w prasie. Do lipca była już w Stowarzyszeniu Przyjaciół Metropolitan Museum, miłośników Sztuki Współczesnej i patronką zoo w Bronxie. Maskowała swoją niepewność olbrzymimi wydatkami; każda dobroczynna kolacja wymagała nowej sukni balowej, a każdy błyskotliwy przyjaciel – kontakt dla Scotta – wymagał błyskotliwego przyjęcia. Jak na razie, rok był niezwykle pracowity.

PIĄTEK, 19 SIERPANIA 1966

W najgorętszy poranek roku naczelny poprosił Scotta do swego gabinetu. Zza stosu papierzyśk leżących na biurku redaktor „Wiadomości” powiedział:

– Zamknij drzwi i przygotuj się na parę dobrych rad. Wiem, że w zeszłym roku starałeś się o stanowisko głównego prezentera i go nie dostałeś. Wiem, że chcesz

znów próbować. Wiem, że masz pójść na rozmowę kwalifikacyjną, i wiem, do jakiej stacji, więc nie zaprzeczaj. – Podał Scottowi papierowy kubek z letnią kawą. – Wolałbym, żebyś to zrobił z moim poparciem niż za moimi plecami. Przecież jeśli facet z lokalnej stacji dostanie stanowisko w większej stacji, dobrze to będzie świadczyło o tej lokalnej. – Podniósł swoją filiżankę, łyknął i znów ją odstawił. – Żeby dostać tę robotę, Scott, musisz uświadomić sobie jedną rzecz; musisz wiedzieć, kogo poszukują na głównego prezentera.

Scott się nie odzywał.

– Zapomnij o podejściu dziennikarza prowadzącego krucjaty, Scott, albo upartego, dociekliwego twardziela. Tacy będą wszyscy kandydaci do tej pracy. Oni szukają innego. Chcą kogoś, kto wygląda, jakby był postrzelony, ranny i spędził cały dzień czołgając się przez pola minowe, żeby tylko dostarczyć ten komunikat, więc nie wyglądaj zbyt elegancko. Z drugiej strony, nie możesz wyglądać na zbyt sponiewieranego. Nie szukają Waltera Hustona; szukają młodszego, domytego, pogodnego i pewnego siebie Roberta Mitchuma.

– Nie myślę, żeby poszukiwali sponiewieranego, czarującego chłopca – powiedział Scott. – Myślę, że poszukują pierwszorzędного, profesjonalnego dziennikarza.

Szef popatrzył cynicznie.

– Widzowie nie przełączają programu dla dobrego, profesjonalnego dziennikarza. Kieruje nimi coś mniej istotnego.

– Ale chcą też czegoś innego – ciągnął cicho Scott. – Wartości, którą posiadamy my obaj.

– Co takiego?

– Poświęcenia. My kochamy tę pracę. Wolisz robić to niż cokolwiek innego w świecie. Czujesz się winny, że tak to lubisz. Prawdziwy powód, dla którego poświęcasz czternaście godzin przez siedem dni w tygodniu to ten, że wydaje ci się ważne, żeby ludzie wiedzieli, co się dzieje na tym ich świecie.

Jake się roześmiał.

– Możesz mi postawić drinka, jak dostaniesz tę pracę.

Tydzień po rozmowie kwalifikacyjnej Scotta Jake po przyjeździe do biura znalazł na biurku, na górze papierów, butelkę whisky Highland.

PIĄTEK, 26 SIERPANIA 1966

Piórko, zwykle szare gołębie piórko delikatnie dotykało ud Mirandy.

Westchnęła rozespana. Spędzili cudowne popołudnie. Sekret miłosnych sukcesów Adama był prosty: najpierw poświęcał wiele czasu na gładzenie i masowanie, żeby partnerka mogła się zupełnie zrelaksować. Później dbał zawsze o to, by doszła do orgazmu, nim w nią wszedł. Powoli odkrywał, gdzie i jak należy którą kobietę dotknąć, zmieniał dla każdej techniki, a potem robił coś, czego się nie spodziewała lub do czego nie była przyzwyczajona.

Dmuchnął teraz piórko w powietrze i patrzył, jak poszybowało na podłogę. Przeciągnął się.

– Wygląda, jakby się zanosilo na burzę.

Miranda wstała z łóżka, po czym podeszła do okna. Wychyliła się, powąchała rozmaryn i eukaliptus, obserwując przybliżającą się od strony kobaltowych gór letnią burzę. Światła Prowansji zmieniały się jak w teatrze; niebo pociemniało i zrobiło się najpierw szare, a później ciemnofioletowe.

Po chwili ciężkiej ciszy, w której nie zadrżał nawet listek, niebo przeszły dwie jarzące się białe nitki błyskawic. Następnie rozległ się potężny huk, po którym lunął deszcz. Zakurzone dachówki z terakoty na średniowiecznych dachach, omywane deszczem, zmieniły kolor na ochrę, pomarańczowy i brązowy. Nagle przed oknem pojawiła się jakby szara kurtyna, zasłaniając wszystkie kolory.

Miranda zmartwiła się deszczem, gdyż wkrótce do wiejskich hotelików będą przyjeżdżać jej goście; doroczną konferencję handlową KITS postanowiła bowiem zorganizować w czasie weekendu w Saracen.

Konferencję urządziła krótko T n K

Trze a było przygy pozać rzed ż owej r i.

innym.

Miranda, nie chcąc się kłócić, zamilkła.

SUPPLYKITS negocjował trzy układy, czym zajmował się Adam. Chodziło o sprawę bezpośrednich przesyłek, sprzedaży premiiwanej i kontaktów z odbiorcami. Gdyby wszystko się udało, SUPPLYKITS posiadałoby pięć pomocniczych działów, łącznie z KITS.

Dyrektor każdej z nowych kompanii otrzymałby udziały i zasiadł w radzie nadzorczej SUPPLYKITS. Ponieważ właścicielem całej kompanii jest Miranda, te preferencyjne akcje zredukowałyby jej stan posiadania. Adam przekonał jednak oporną Mirandę, że rezygnując z piętnastu procent swoich udziałów, wymienia sto procent małej pomarańczy na osiemdziesiąt pięć procent całej skrzynki.

Adam ułożył się na plecach i z rękami pod głową patrzył w sufit.

– Nadszedł czas, żebyśmy pomyśleli o emisji akcji.

Zdumiona Miranda siadła na brzegu łóżka.

– Już? Dlaczego?

– Nie możemy tego zrobić wcześniej niż w marcu, gdy będziemy mieli wyniki finansowe za pięć lat – powiedział Adam. – Taki ruch zapewniłby większą gotówkę na inwestycje. Nie możemy się wciąż rozwijać.

– Nie – powiedziała Miranda, przypominając sobie, że Angus ją przed tym przestrzegał. – Ale czy to nie będzie kosztowne?

– Bardzo – odpowiedział. – Skoro jednak chcesz mieć więcej punktów sprzedaży KITS i to w najlepszych i najdroższych miejscach...

– Wiec wydanie akcji ma finansować ekspansję?

– Nie tylko. Będziemy bardziej godni zaufania i wypłacalni.

– A co z kontrolą? – zmartwiła się Miranda. – Nie chcę tracić kontroli nad moimi interesami.

– Nie stracisz kontroli, jeśli zachowasz ponad pięćdziesiąt procent udziałów – zapewnił ją Adam. – Nikt nie powinien inwestować całego kapitału w jeden sektor rynku, tak jak ty. Powinnaś sprzedać część udziałów za gotówkę i zainwestować pieniądze w coś innego. Powinnaś sobie zorganizować zestaw różnych akcji. Powinnaś nareszcie czerpać korzyści finansowe ze swojej pracy i odpowiedzialności.

– Ile udziałów SUPPLYKITS będę musiała sprzedać?

– Prawie dwadzieścia pięć procent udziałów należy udostępnić publicznie. Nowi dyrektorzy będą prawdopodobnie szczęśliwi, sprzedając swoje udziały preferencyjne z szybkim zyskiem, więc powinnaś stracić nie więcej niż dziesięć

procent swojego pakietu kontrolnego. Jeśli wydamy nowe akcje, będziesz miała siedemdziesiąt pięć procent całego interesu i dużą ilość gotówki.

– Chciałabym, żeby pracownicy mogli mieć udziały – powiedziała Miranda – i żeby korzystali z sukcesu firmy.

– Na pewno da się to załatwić, jeśli SUPPLYKITS wyda akcje.

– Pomyślę o tym.

– Organizacja tego zajmie co najmniej sześć miesięcy, więc myśl szybko.

PIĄTEK, 9 WRZEŚNIA 1966

Cztery miesiące po otwarciu sklepu z zabawkami kierownik banku poradził Klarze, by sklep jak najszybciej zamknęła, gdyż systematycznie i w zastraszającym tempie traci na nim. Radził go sprzedać i złożyć pieniądze do banku. Lepiej, żeby nie kupowała akcji, bo nie może stracić już ani pensa, a nie ma czegoś takiego, jak pewne akcje.

Przy kolacji Klara omawiała te problemy z Kathy, była nianią Josha.

– To od początku było skazane na niepowodzenie – wyjaśniła smutno przy fasolce w sosie pomidorowym. – Ludzie, których stać na ręcznie robione zabawki edukacyjne, nie robią zakupów na niewłaściwym końcu Pimlico Road. – Wyskrobała salaterkę. – Skoncentrowałam się na zabawkach dla dzieci przedszkolnych, bo myślałam, że coś wiem na ten temat. Dzieci nie chciały jednak dobrze wykonanych, gustownych zabawek z jasnego drewna. Chciały mieć tanie kolorowe, plastikowe zabawki z Hongkongu, a ja takich nie miałam.

– Nie mogłaś sprzedawać Lego i innych takich rzeczy?

– Miałam mnóstwo Lego, ale oni chcieli drogie zabawki reklamowane w telewizji.

– A nie mogłaś takich też sprzedawać?

– Kiedy się zorientowałam, nie miałam już gotówki – wyjaśniła Klara. – Zresztą nie był to mój jedyny problem. Importerzy zawodzili, rzemieślnicy też, zwłaszcza ci, którym zapłaciłam z góry. Później miałam bałagan finansowy, bo nie prowadziłam ksiąg na bieżąco.

– To brzmi jak jakiś koszmar – powiedziała Kathy.

Klara wzdrygnęła się.

– Najgorszym problemem były kradzieże. – Cały dochód czterech miesięcy pochłonęło wyrównanie strat spowodowanych przez kradnące maluchy. Za pierwszym razem, gdy schwytała małą dziewczynkę, chowającą za majtki

szmacianą lalkę, postraszyła ją, że zawoła policję. Dziecko wybuchnęło płaczem, a skruszona Klara dała jej lalkę w prezencie.

Na początku października Kathy, znów zaproszona na kolację, przyjechała do Klary i okazało się, że nic nie jest ugotowane. Klara w brudnym szlafroku siedziała na nie pościelonym łóżku, patrząc tępo przed siebie.

– Gdzie Josh? – spytała Kathy.

– Położyłam go wcześniej spać. To mu dobrze zrobi.

Kathy zaparzyła herbatę i powiedziała stanowczym tonem:

– Klaro, nie jesteś sobą i to od paru miesięcy.

– Wciąż przeżywam zamknięcie „Czerwonego Konia na Biegunach” – odpowiedziała wymijająco Klara.

– To się zaczęło jeszcze przed zamknięciem sklepu. Myślę, że to przez te pigułki. Czy nie możesz ich odstawić?

– Nie wygłupiaj się, to mój lekarz przepisał mi środki uspokajające. Nie jesteś lekarzem, Kathy!

– Ale znam cię lepiej niż on! Nie jesteś tą samą osobą, odkąd zaczęłaś je zażywać. Nie słuchasz, co do ciebie mówię, nie bawisz się z Joshem jak dawniej – po prostu siedzisz! Przestałaś nawet pracować dla KRRN.

– Mogę się obyć bez tych pigulek – powiedziała obrażona Klara. – Tylko jeszcze nie teraz. – Nagle zaczęła żałośnie płakać. – Nic mi się nie udaje. Kiedyś byłam taką zadowoloną z siebie kołtunką; zawsze uważałam, że mam rację, zawsze krytykowałam innych. A teraz sama jestem taka beznadziejna.

– Byłabyś mniej beznadziejna, gdybyś mogła jasno myśleć – pocieszyła ją Kathy. – Dlaczego nie wyjedziesz z Chelsea i nie przeniesiesz się na wieś? Zawsze mówiłaś, że chciałabyś nadal mieszkać na wsi. I za te pieniądze, które płacisz za tę norę, mogłabyś! – Rozejrzała się po pokoju z niesmakiem. – Pojedź do tej miejscowości, gdzie się wychowywałaś i zapytaj w agencji nieruchomości, co mają najtańszego. Postaraj się to załatwić przed Bożym Narodzeniem, bo będę wtedy miała trochę wolnego i pomogę ci się urządzić.

Pani Goodman zgodziła się, żeby Josh u niej został, póki Klara nie ułoży swoich spraw i nie znajdzie nowego mieszkania.

W dniu, kiedy Klara odwiozła syna, Kathy powiedziała:

– Będę wpadała codziennie wieczorem i możesz do mnie dzwonić o każdej porze; załatwiłam to już z szefem. – Następnie, ku przerażeniu Klary, wrzuciła wszystkie pigułki do zlewu i spłukała wodą. – Teraz wiesz, że musisz sobie

poradzić bez nich – powiedziała stanowczo.

Pierwszego dnia bez proszków Klara była załamana i podniecona. Wieczorem miała sucho w ustach, ręce jej drżały, pociła się jak w tropikach. Przerazona reakcjami swojego organizmu padła na kanapę i zaczęła płakać.

Następnego wieczoru, gdy przyszła Kathy, Klara obwiniała ją za swój stan.

– Jeśli pójdziesz do lekarza po następną receptę – przestrzegła ją Kathy – będziemy musiały jeszcze raz to przeżywać. Zjedz teraz gulasz, który przyniosłam.

Piątego ranka ręce jej się nie trzęsły, a ósmego dnia była już sobą i mogła jasno myśleć. Była głęboko wdzięczna Kathy.

– Jutro odbieram Josha – powiedziała – wsiadamy w pociąg do Warminster i szukamy miejsca, gdzie moglibyśmy zacząć wszystko od nowa.

Applebank Cottage, domek zbudowany z miękkiego kamienia z Bath, był wilgotny i chłodny, ale, jak podkreślił agent, czego można się spodziewać za dwa funty tygodniowo? Trzeba go tylko ogrzać.

Od furki do frontowych drzwi prowadziła wąska ceglana ścieżka, rozdzielająca zaniedbany ogród warzywny. Po obu stronach małego domku rosły jabłonie, a za domem teren dochodził do niedużego lasu na zboczu wzgórza.

Klara wprowadziła się tuż przed Bożym Narodzeniem, z minimalną liczbą używanych mebli kupionych na aukcji w Warminster. Miała nadzieję, że sprawdzą się przepowiednie Kathy i że gdy znajdzie się z dala od miasta, z pieniędzmi wystarczającymi tylko na codzienne potrzeby, znów powoli zacznie sobie radzić.

NIEDZIELA, 25 GRUDNIA 1966

Ani Annabel (w tym czasie gospodyni wielkiego charytatywnego przyjęcia łyżwiarskiego dla dzieci w Rockefeller Center), ani Klara (nie zaproszona) nie były na obiedzie u Elinor w Boże Narodzenie 1966. Przyjechali tylko Miranda i Adam, oboje z teczkami wypchanymi papierami.

Po tradycyjnym indyku i puddingu (zrobionym przez Buzz, gdyż Sylvie uważała przepis za absurdalny), wszyscy odeszli od stołu i udali się na sjęstę. Po kilku minutach Miranda wślizgnęła się do sypialni Adama. Gdy skończyli się kochać, Adam, leżąc nago na łóżku, zadowolony patrzył w sufit. Miranda była zbyt zmęczona, żeby myśleć, żeby się poruszyć. Zastanawiała się, jak długo będzie mogła żyć w takim tempie.

Adam wziął żółty notatnik i coś w nim zapisał. Mruknął:

– Czy pojedziesz na tę kolację w Mousion House w czwartek?

– Jeżeli muszę – ziewnęła. Była najbardziej eksponowaną postacią w założeniach SUPPLYKITS, z kalendarzem wypełnionym na trzy miesiące naprzód. Stała się żywym obrazem reklamowym kompanii: jej twarz, ubrania i styl stały się symbolem jej przedsiębiorstwa. Była odbierana publicznie jako inteligentna, współczesna kobieta, nowa kobieta lat sześćdziesiątych, której nie wystarcza siedzenie w domu i czekanie, aż się coś wydarzy.

Z tego powodu Miranda, nie znosząca udzielania wywiadów i fotografowania się, musiała się spotykać z ważnymi ludźmi: maklerami, bankierami i dziennikarzami finansowymi. Te zobowiązania urzędowe niecierpliwiły ją i denerwowały; wolałaby spokojnie pracować przy swoich kosmetykach. KITS wymagał od niej większego zainteresowania, niż mogła mu ostatnio poświęcić. Był teraz w niezadowolającej sytuacji finansowej i wydawało się wątpliwe, żeby w 1966 roku były jakieś zyski.

Chociaż Adam podkreślał, że dla grupy jako całości przewidywano zyski, a rozwój pozostałych grup był fenomenalny, Miranda odczuwała tęsknotę do dawnych czasów – nie tak znów odległych – kiedy KITS był jej cudownym dzieckiem.

Adam przerwał wspomnienia Mirandy, mówiąc:

– Słuchaj, Paul Littlejohn powiedział, że członkowie zarządu funduszu z przykrością muszą odrzucić prośbę o sfinansowanie odnowienia twojego domu. W tym roku były dodatkowe olbrzymie wydatki na Saracen. Utrzymanie go kosztuje majątek.

– Cholera! – zaklęła Miranda w poduszkę.

– Zarząd wykonuje tylko swoje obowiązki – uspokajał ją Adam. – Przecież nie możesz oczekiwać, że będą mówili „tak” bez końca. – Odwrócił się od niej, żeby odebrać telefon.

– Halo? Mike? Jak tam święta? Więc dotarł na czas?... Zawsze chciałeś Harley'a-Davidsona Sportster?... Oczywiście, że mnie stać... Nie, nie, panika minęła... Szczęśliwego Nowego Roku, braciszku... Wiem, że masz trzydzieści cztery lata... Więc już nie będę... Wracamy jutro, samolotem Mirandy... Ciao!

Dzień po Bożym Narodzeniu, o godzinie szóstej rano, gdy na dworze było jeszcze ciemno, Elinor stała w holu przy wejściu, by pożegnać się z Mirandą i Adamem. Buzz, na wpół jeszcze śpiący, pojawiła się w starym trykotowym szlafroku, który wyglądał teraz jak wyciągnięty z psiego koszyka – Buzz, idź, proszę, i popędź Mirandę – powiedziała Elinor, uśmiechając się przepraszająco do

Adama.

– To były wspaniałe święta – powiedział Adam, gdy Buzz odeszła. – Wykorzystałem tę chwilę spokoju na to, żeby przemyśleć coś dla mnie bardzo ważnego i wczoraj wieczorem podjąłem decyzję; zostawiam STG i otwieram własną kancelarię.

– Ale dlaczego, Adamie? To wasza rodzinna firma... – Elinor patrzyła na niego zdumiona.

– Szczerze mówiąc, Elinor, i tak między nami, STG zajmuje się zbyt wieloma sprawami kryminalnymi, jak na mój gust. Nie sądzę, by szanująca się firma powinna prowadzić takie sprawy, choć są niewątpliwie dochodowe. Jestem pewien, że mój ojciec nigdy by na to nie pozwolił. Nie zostawiam ich samych; w STG jest teraz siedemnastu starszych partnerów, a ja jestem tylko jednym z nich. A ponieważ moją specjalnością jest międzynarodowe prawo podatkowe... więc... choć z żalem...

– Jak się ma twoja decyzja do moich interesów? – spytała ostro Elinor.

– To zależy od ciebie. Będziesz musiała wybrać między STG a mną... Będę miał to samo ubezpieczenie zawodowe, co STG.

– Szkoda, że nie mogliśmy o tym porozmawiać, kiedy było więcej czasu, Adamie. – Elinor była zdenerwowana.

– Aż do wczorajszego wieczoru nie byłem zdecydowany. Ty jesteś pierwszą osobą, której to mówię, Elinor. Żałuję, że mój ojciec nie może się dowiedzieć, że w końcu zaczynam się usamodzielniać... Jeśli chcesz zostać z STG, chętnie przekażę twoje sprawy któremuś z partnerów, chociaż może mu to zająć trochę czasu, zanim będzie w stanie prowadzić wszystko samodzielnie, bez ciągłego pytania ciebie.

– Nie chcę mieć innego adwokata – powiedziała Elinor. – Jestem za stara na zmiany. Chcę, żeby moje sprawy były prowadzone właśnie bez zadawania zbędnych pytań. Jeśli zakładasz własną firmę, jestem pewna, że twój drogi ojciec chciałby, żebym pomogła ci zacząć. Więc załatw to.

– Najprościej będzie, jeśli napiszesz do STG i zawiadomisz, że nie chcesz już, by cię reprezentowali. Poproś, żeby przedstawili rachunek do chwili obecnej – ja go oczywiście sprawdzę – i żeby dostarczyli wszystkie dokumenty mnie. Nie musisz pisać tego listu na maszynie, odręczna notatka będzie nawet lepsza. – Brązowe oczy Adama wyglądały tak szczerze. – Nawet nie wiesz, jak bardzo sobie to cenię, Elinor. Żałuję tylko, że ojciec nie dowie się o twojej lojalności.

Rozdział 19

PONIEDZIAŁEK, 26 GRUDNIA 1966

Dzień po Bożym Narodzeniu w całej Wielkiej Brytanii odbywały się pokojowe demonstracje organizowane przez KRRN. W Bath marsz zaczął się na podwórzu opactwa, gdyż demonstrantom zabroniono wstępu do środka. Wspaniale rzeźbione w kamieniu, połączone wejście do opactwa strzeżone było przez konną policję. Konie niecierpliwie przebierały nogami, a w rześkim zimowym powietrzu wyraźnie widoczna była para ich oddechów.

Klara w starym czerwonym kombinezonie narciarskim stała w tłumie około trzystu osób. Zostawiła Josha z Kathy, która spędziła z nimi Boże Narodzenie w Applebank Cottage. Transparent Klary, zrobiony ze starego prześcieradła i zamocowany na dwóch kijach od szczotek, miał namalowaną czerwoną farbą napis: „Zakazać bomby”.

O godzinie jedenastej demonstrujący utworzyli przed opactwem kolumnę i przygotowywali się, żeby wolno przemaszerować ulicami tego historycznego, georgiańskiego miasta. Obserwowały ich niewielkie grupki gospodyń domowych i dzieci szkolnych oraz fotoreporter lokalnej gazety. Klara zajęła miejsce w szeregu od strony opactwa. Gdy kolumna ruszyła, dziewczyna pchająca wózek z niemowlęciem wjechała niespodziewanie pod stojącego na poboczu konia. Koń, nauczony zachowania spokoju, prawie się nie ruszył, ale przerażona dziewczyna krzyknęła i puściła wózek, który wjechał w kolumnę maszerujących; uderzył mężczyznę stojącego obok Klary, ten potknął się, popychając ją na bok. Klara zachwiała się, opuściła ręce i transparent owinął się wokół jej głowy. Nie widziała, dokąd idzie, więc gdy posunęła się w prawo, wpadła na koński zad, potknęła się i zaczęła krzyczeć, gdy nagle czyjeś silne ręce gwałtownie ją odciągnęły w tył.

Ktoś pomógł jej się uwolnić od transparentu. Klara spojrzała w górę i zobaczyła najwyższego mężczyznę, jakiego w życiu widziała. Miał kręcone czarne włosy i ocienione czarnymi rzęsami brązowe oczy, pełne troski. Mężczyzna na pół podniósł, na pół pociągnął ją do najbliższego pubu, usadził w krzesło i poszedł po wodę do baru. Klara czuła się oszołomiona i bliska płaczu; zastanawiała się, czy jeszcze kiedyś będzie mogła ruszyć szczęką, w którą czymś dostała, prawdopodobnie kijem od transparentu. Popatrzyła na swego wybawcę: ubrany był w dzinsy i starą zamszową kurtkę, opiętą na wąskich biodrach. Jego buty były

zabłocone.

Gdy wrócił ze szklanką wody, wpatrzyła się w krótki, prosty nos i usta, o których można by pisać poematy: pełne, delikatnie wyrzeźbione, łagodnie wygięte. Pomyślała, że to chyba ożył Dawid Michała Anioła. Żałowała, że na jej twarzy nie było ani śladu makijażu, a później zgaśniła się za taką płochą myśl.

– Przepraszam, że to tak długo trwało – powiedział niecierpliwie jej wybawca.

– Dostać w barze trochę wody zakrawa niemal na cud, skoro nic na tym nie zarabiają. – Zmoczył chusteczkę i ostrożnie przyłożył na jej brodę.

– Będzie pani miała wielkiego siniaka... Czy jest ktoś z panią?

Pokręciła głową.

– Nie powinna pani prowadzić samochodu ani jechać rowerem po takim uderzeniu. Odwiozę panią.

– Dziękuję, będzie dobrze – z trudem wybełkotała Klara. – Ktoś mnie podwiezie po demonstracji. Właśnie się wprowadziłam do domku na skraju Warminster.

Odwiózł ją do domu poobijanym srebrnym sportowym samochodem.

Dla Klary jego ciepły, mleczny zapach był jak zapach noworodka. Uparcie powtarzała sobie, że nie zakocha się znowu w nieodpowiednim mężczyźnie tylko dlatego, że ją pociąga fizycznie, i nigdy już nie wyjdzie za męża. Postanowiwszy go nie poślubić, skierowała swego wybawcę, Davida Arrowsmith, do Applebank Cottage.

W kuchni spojrzenie Kathy, wyrażające gratulacje, szybko stało się zatroskane na widok obitej szczęki.

– Dziękuję za przywiezienie – powiedziała nagle Klara do Dawida. – Już teraz będzie wszystko w porządku, Kathy się mną zajmie.

Klara wiedziała, że kobiety często wyrabiają sobie opinię o innych ludziach bardzo prędko i bez dostatecznej informacji, zwłaszcza o ludziach pociągających fizycznie. Tak właśnie zrobiła Kathy. Wiedziała, że ogólnie biorąc, dobrzy, wartościowi mężczyźni nie wyglądają wspaniale ani atrakcyjnie, ani tym bardziej filmowo, zaś wielu łajdaków jest przystojnych i pewnych siebie. Klara nie dałaby głowy, czy Sam nie użył swego wdzięku świadomie, by złapać ją w pułapkę. Jak wiele rozwiedzionych kobiet, uważała teraz swego męża za okaz wszelkich nieprawości, zdolnego do wszelkich złych czynów, niemal powtórnie uosobienie Ryszarda III. Pozew rozwodowy Klary będzie rozpatrywany dopiero w lipcu. Adwokat ostrzegł ją, że nie powinna być teraz widywana sama z żadnym mężczyzną, bo mogłoby to mieć wpływ na sprawę przyznania dziecka. Nie mogła

sobie pozwolić na żadne ryzyko. Zresztą w Davidzie Arrowsmith było coś tajemniczego, coś, czego nie potrafiła na razie uchwycić, więc mu nie ufała.

Następnego ranka po śniadaniu posiniaczona Klara wycięła z gazety swoje zdjęcie. Na szczęście twarz miała zasłoniętą transparentem i wyglądała jak mumia w kozakach. Dobrze jednak wyszedł na nim jej wybawca, więc schowała wycinek do górnej szuflady szafki przy łóżku i skorzystała z okazji, że może wyjść na spacer sama, bez Josha.

Po przejściu przez ogród skręciła z wąskiej drogi na ścieżkę obrośniętą głogiem, prowadzącą przez łagodnie wznoszący się pagórek do lasu, który był niepokojąco cichy i spokojny. Wygięte pnie i nagie gałęzie wyglądały na samotne i opuszczone. Żaden liść się nie poruszył, poza tymi opadłymi, po których Klara stąpała. Gdy z traskiem złamała się gałązka, na której stała, nagły hałas poderwał z gniazda gawrona. Ptak odleciał, machając skrzydłami.

Popatrzyła na gniazdo i na szare niebo powyżej, nachyliła się, żeby podnieść kępkę białego zimowego tojadu dla Josha. W tym momencie trzasnęły zardzewiałe wnyki, zatrzaskując jej lewą stopę.

Krzyknęła z bólu i padła na ostrą zamarzłą paproć. Na szczęście miała solidne buty, więc pułapka nie poszarpała jej nogi. Póki się nie ruszała, nawet specjalnie nie czuła bólu. Starła się, nie poruszając nogą, rozerwać zacisk. Był przyczepiony do zardzewiałego łańcucha, ukrytego w paprociach. Klara widziała, że jest zaczepiony o smukły pień pobliskiej brzozy. Będzie się mogła poruszać tylko w zasięgu tego drzewa. Naprawdę była uwięziona.

Nie odczuwało się ostrego, zimnego powiewu, który mógłby przywiał śnieg i Klara miała nadzieję, że nie będzie padało. Przyglądała się ponuremu, szaremu niebu. Zastanawiała się, ile czasu upłynie, nim Kathy się zaniepokoi. Jeśli nie wróci do domu ani nie zatelefonuje do drugiej, a najpóźniej do trzeciej, może Kathy zadzwoni na policję, która ją z pewnością niebawem odnajdzie.

Niestety, zeszła ze ścieżki w miejscu, gdzie było wgłębienie, więc nie było jej widać. Z trudem ułożyła się w wygodniejszej pozycji, podniosła kołnierz wełnianego płaszcza, okręciła szalik wokół głowy i zgarnęła paproć pod głowę. Ułożywszy się na niej patrzyła na ołowiane już teraz niebo nad ziemią. Wepchnęła ręce głębiej w kieszenie i żałowała, że nie założyła grubszych rękawic. Zastanawiała się, czy to los ją tak pokarał za zrywanie dzikich kwiatów?

Tuż przed południem gdzieś za sobą usłyszała hałas. Błyskawicznie usiadła, skrzywiła się z bólu i słuchała, jak dźwięk się przybliża: ktoś gwizdał „Lillibullero”, z ozdobnymi tryłami, nieczysto, ale z dużym zapałem.

Zawołała kilka razy: – Ratunku! – i przestała. Nic nie było słychać. Znowu krzyknęła.

Tym razem męski głos odpowiedział:

– Gdzie jesteś?

W końcu usłyszała z oddali skrzypienie. Gdy się zbliżało, odwróciła się w stronę tego dźwięku.

– Och! – powiedziała. – To ty!

– Och! To ty! – powiedział David Arrowsmith, gramoląc się w jej kierunku.

Stał nad nią z rękami w kieszeniach zamszowej kurtki.

– Przyjechałem się dowiedzieć, jak się czujesz. Twoja niania powiedziała, że poszłaś na spacer. Widziała, że szłaś w tę stronę. – Przykucnął obok niej. – Niezwyčajna jesteś takiego życia, co? – Badał pułapkę.

– Prawdę mówiąc, to jestem – odpowiedziała Klara. – Mieszkaliśmy w tej okolicy przez wiele lat, ale ponieważ jest to kraina myśliwych, nie spodziewałam się sideł. A Kathy nie jest moją nianią. Nie stać mnie na nianię. Przyjechała do nas na święta.

David bezskutecznie się starał uwolnić Klarę. W końcu powiedział:

– To są bardzo stare, zardzewiałe sidła i nie uda mi się tego odciągnąć. Zadzwoń na policję. Będą wiedzieli, czyj to las, i każą cię uwolnić. Weź moje rękawice i postaraj się nie popaść znów w tarapaty, gdy mnie nie będzie. Wiem, że powinienem to rozciągnąć gołymi rękami – dodał smutno – ale nie jestem aż taki silny, na jakiego wyglądam.

Godzinę później sidła zostały otwarte przez dwóch mechaników z miejscowego warsztatu samochodowego. Szczękając zębami Klara pokuśtykała do Applebank Cottage z Davidem, powtarzając sobie, że wcale nie chciała robić zamieszania.

Po gorącej herbacie z rumem i ciepłej kąpieli pokazała Joshowi ślady sideł na nodze i wszyscy zasiedli wokół drewnianego, kuchennego stołu, aby zjeść zupę jarzynową, ser stilton, sałatkę z cykorii i włoskich orzechów, a na deser piernik, który Klara upiekła według przepisu pani Goodman.

Później Josh został ułożony do poobiedniej drzemki, a Kathy wzięła rower Klary, chcąc się rozejrzeć w okolicy.

– Musisz być mistrzynią, kiedy jesteś w pełni sił – powiedział David. – Czy mogę dostać jeszcze kawałek tego pysznego piernika?

– Jest trochę za bardzo wypieczony, ale dopiero zaczynam poznawać ten piecyk – tłumaczyła się Klara. – Trochę mi trudno bez lodówki; mam tylko metalowy pojemnik na mięso za drzwiami. Jak dostanę pracę, to kupię lodówkę.

David, który słyszał już pokrótce o ucieczce od Sama, zażartował:

– Mogłabyś sprzedawać pierniki. Byłbym twoim pierwszym klientem.

Klara roześmiała się.

– A co ty robisz?

– Jestem architektem. Pracuję w Bath. Głównie renowacje. Buduję przybudówki, przerabiam stodoły, odejmuję jakieś skrzydło, żeby dom miał łatwiejszy do opanowania metraż, tego rodzaju rzeczy. Jest to bardzo kłopotliwe, ale kiedy się zaczyna, trzeba brać wszystko.

– Myślałam o przerobieniu strychu – powiedziała Klara – żeby zrobić tam pokój dla Josha, do spania i zabawy i na jakieś gościnne łóżeczka dla dzieci. W tym domu są tylko dwie sypialnie, więc nie jest idealny.

– Obejrzę sobie ten strych, jeśli chcesz.

– Noo... na razie i tak mnie na nic nie stać.

– Ale chciałabyś na pewno wiedzieć, jakie są możliwości i ile by to kosztowało?

– Oczywiście.

Na strychu David powiedział, zastanawiając się:

– Ponieważ okno już tu jest, trzeba tylko poprowadzić na górę instalację elektryczną, położyć dźwiękoszczelny materiał – korek – na podłodze i zaizolować dach.

– Muszę poczekać, aż będę miała pieniądze.

Gdy Josh poszedł spać, troje dorosłych spędziło wieczór piekąc kasztany przy kominku w saloniku. O dziesiątej David powiedział:

– Muszę jechać. Ale wrócę.

Przy frontowych drzwiach pocałował Klarę w koniuszek nosa i wyszedł.

SOBOTA, 31 GRUDNIA 1966

Gdy Kathy wyjechała do Londynu, David pojawił się z butelką szampana, by spędzić z Klarą Sylwestra. Zastanawiała się podejrzliwie, dlaczego tak rewelacyjnie wyglądający mężczyzna nie ma na ten wieczór innych planów.

Przy obiedzie Josh zachowywał się fatalnie. Zrzucał ze stołu swoje jedzenie i nie chciał zjeść nawet sernika. Klara była przerażona. Miała taką nadzieję, że Josh polubi Davida.

– Jest zmęczony – tłumaczyła się i zabrała Josha na popołudniową drzemkę. Kopał i krzyczał, wściekły, że uwaga matki nie była poświęcona wyłącznie jemu.

Wcześniej zrobiło się ciemno i zaczął padać śnieg. Po herbacie Klara zaciągnęła zasłony w saloniku, ale nie zapaliła światła; wołała obserwować cienie płomieni z kominka tańczące na ścianie. W dogasającym ogniu David piekł kasztany dla już teraz pokojowo nastawionego Josha.

Gdy Klara wróciła, położywszy Josha spać, David objął ją bez słowa. Usiedli na podłodze, opierając się o zepsuty fotel i obejmowali jak para nastolatków. Gdy David dotknął nosem jej szyi, miała straszną ochotę znaleźć się jeszcze bliżej niego. Czuła się, jakby leżała naga na gorącym kamieniu, wyciągając się rozkosznie w kierunku słońca.

Światła płomieni igrające po ich twarzach sprawiły, że miała uczucie, iż jest w jakimś bajkowym świecie, gdzie czas się zatrzymał. Odczuwała pożądanie zbyt silne, by je opanować; oddychała szybciej i z lekka kręciło jej się w głowie. Czuła łagodny, mleczny zapach ciała Davida i ciepłą woń jego wełnianego swetra. Odczuwała szaleńczą tęsknotę za mężczyzną.

O północy David pocałował ją delikatnie i krótko, potem wyszedł, mówiąc, że ma nadzieję, iż śnieg nie zablokował dróg.

Rozczarowana Klara zastanawiała się, co było przyczyną. W końcu nie musiał jej odwiedzać. Ale dlaczego nie chciał zostać?

Oczywiście i tak by mu nie pozwoliła.

ŚRODA, 11 STYCZNIA 1967

Oo to takiego pilnego i osobistego, że musiałeś przyjść, a nie mogłeś tego przekazać przez telefon? – spytał brata ubrany w smoking Adam, nalewając sobie whisky do kryształowej szklanki.

Mike miał na sobie skórzane spodnie motocyklowe i gruby żeglarski sweter.

– Czekam już, do cholery, dwa lata na moją prowizję za załatwienie sprawy Framwellsa – powiedział.

Prowizja wynosiła dwa procent od ceny zakupu wszystkich nieruchomości, które – pośrednio czy bezpośrednio – Miranda przez niego nabyła. Prowizja była uczciwie wypłacana przy wszystkich zakupach, z wyjątkiem Framwellsa, sieci sklepów tytoniowych, co było bez wątpienia największym zakupem Mike'a.

– Dostaniesz swoje pieniądze – powiedział Adam – ale Framwells był układem samofinansującym się. Oprocentowanie pożyczki, jakie płaciliśmy, było bardzo wysokie.

– Mam to gdzieś. To nie moja sprawa.

– Z całym szacunkiem – Mike wiedział, że to wyrażenie oznacza zdenerwowanie Adama – to jest twoja sprawa, Mike, ponieważ w kontrakcie nie było żadnej daty wypłacenia prowizji. Z prawnego punktu widzenia mógłbyś czekać na te pieniądze i sto lat.

– Nie było żadnego kontraktu. Napisałeś umowę na świstku papieru przy kolacji i obaj ją podpisaliśmy. Proszę! – Mike wyjął kartkę z kieszeni i spojrzął na nią. Istotnie nie było mowy o terminie płatności.

– Jeśli będziesz robił trudności – powiedział Adam – to proponuję albo czekać sto lat, albo zgodzić się na połowę sumy.

Mike zdumiony spojrzął na Adama.

– Jesteś moim bratem, ty draniu! Bracia nie mogą sobie robić takich świństw! Wykorzystujesz mnie, kiedy ci to potrzebne, każesz załatwiać swoje brudne roboty...

– Jeżeli ty byś tego nie zrobił, zrobiliby inni.

– Ty obrzydliwy, bezwzględny draniu.

Wściekły Mike wiedział, że Adam nie obawia się niczego ze strony swego małego braciszka.

– Zauważ łaskawie, że zapewniam obsługę prawną tobie i twoim... przyjaciółom – powiedział spokojnie Adam. – Porozmawiam z Mirandą o twojej wypłacie. Zobaczą, czy uda się coś przyspieszyć.

– Sam mogę z Mirandą porozmawiać, do diabła – warknął Mike.

Adam spojrzął ostro znad papierosa.

– Nie. Nie rób tego. Nie ma potrzeby!

Mike nagle zorientował się, jaka jest prawda.

– Miranda na pewno myśli, że zapłaciła już ten rachunek dawno temu – krzyknął. – Co zrobiłeś? Sfałszowałeś mój podpis na czeku i sam go zrealizowałeś?

Zauważył przelotne, niepewne spojrzenie Adama, nim ten opuścił oczy, pozornie skupiając całą uwagę na złotej zapalniczce.

– Powiedziałeś sobie, że tylko pożyczasz moje pieniądze, żeby spłacić cholerne karciane długi, ale dla mnie to jest kradzież! – grzmiał Mike.

Adam spokojnie zgasił papierosa. Widoczna nonszalancja rozwścieczyła Mike'a, urażonego zarówno zdradą, jak i kradzieżą. Chciał mu zrobić krzywdę, chciał poczuć, jak jego własna pięść siniaczy, gniecie, rozkrwawia ciało Adama.

Uderzył.

Adam zachwiał się, zahaczył o ekran kominka i upadł na podłogę. Gdy padał, Mike usłyszał, jak głowa Adama uderza o stalową kratę przed kominkiem. Stało się

to tak błyskawicznie, że Mike trzymał jeszcze wyciągniętą rękę skierowaną w stronę ciała Adama.

Skruszony natychmiast przykucnął koło brata i uniósł jego głowę. Leciała na boki. Zbladł.

– Boże – powiedział – przecież nie mogłem go zabić. Nie tym jedynym, głupim uderzeniem... – Wiedział, że tylko dobry bokser, znacznie lepszy od niego, mógłby człowieka doprowadzić do nieprzytomności jednym uderzeniem w szczękę. Ułożył Adama na dywaniku, rozluźnił mu krawat, rozpiął koszulę, sprawdził palcem w ustach, czy nie dławi się językiem. Złapał za telefon i nakręcił 999. Wiedział, że gospodyni nie ma, bo Adam mu sam otwierał.

Po czwartym dzwonku panienka z centrali pogotowia spytała:

– Policja, straż czy karetka?

– Karetka! Szybko! – Mike podał dokładny adres i pobiegł do kuchni po wodę i ręcznik. Jak mógł uderzyć swojego brata, jedyną osobę na świecie, przy której czuł się pewnie i bezpiecznie? Przykładając zimne kompresy do skroni brata Mike mamrotał:

– Przepraszam. Nawet nie wiesz, jak mi przykro, Adamie. Znów ten mój charakter! Słuchaj, zapomnijmy o pieniądzach, tylko, na miłość boską, otwórz oczy. Proszę!

Powieki Adama poruszyły się lekko. Mike ostrożnie otarł mu twarz. Adam spojrzał i powiedział słabo:

– Boże, pęka mi głowa! Co się stało? – Próbował się unieść, ale pokój zawirował. Znów opadł na dywanik. Szepnął niespokojnie z zamkniętymi powiekami:

– Gdzie mój zegarek?

– Masz go na ręku, stary! – odpowiedział Mike, obmywając twarz brata. – Karetka już jedzie i powinna tu za chwilę być.

Adam powoli uniósł lewy przegub i przyglądał się. Zaintrygowany Mike zastanowił się, co jest niezwykłego w tak zwyczajnie wyglądającej Omedze.

– Nie potrzebuję pogotowia... – powiedział słabo Adam. – Uderzyłeś mnie, to wszystko. Nie jesteś supermenem... Rano już będę zdrowy.

PIĄTEK, 20 STYCZNIA 1967

Już po szóstej Klara usłyszała skrzypnięcie furtki w ogrodzie. Serce jej podskoczyło do gardła. Wstrzymała oddech, rzuciła kuchenne rękawice i już była

przy oknie. Ścieżką przez ogród szedł David; pół godziny wcześniej, niż się go spodziewała.

Wchodząc przez drzwi kuchenne powiedział:

– Jutro, kiedy posprzątam w ogrodzie, naoliwię tę furtkę. Hm. Co to za smakowity zapach?

– Duszone pory i ziemniaki. – Ten nie zamierzony urlop Klary sprawił, że polubiła gotowanie. Mruczała w marynarkę Davida. – Mamy sałatkę z cykorii z pomarańczami z sosem *vinaigrette*, a później paszteciki z grzybami posypane orzechami laskowymi, ser Stilton i domowe ciasteczka owsiane.

– Brzmi wspaniale. – Pocałował ją w czubek głowy. – Słuchaj, czy ty jesteś wegetarianką?

– Dopiero od zeszłego tygodnia. Stwierdziłam po tym, jak się złapałam w sidła, że nie lubię jeść martwych ciał. Wiem, że większość ludzi uważa to za wariactwo.

Podawała kolację wcześniej, żeby czteroletni Josh mógł zjeść i posiedzieć z nimi. Wolałaby romantyczną kolacyjkę we dwoje przy świecach, ale jeszcze bardziej chciała, żeby Josh uznał obecność Davida za coś pozytywnego w życiu, a nie za natręctwo.

Kiedy mały poszedł spać, znów siedzieli na dywaniku przed kominkiem, oparci o zepsuty fotel i trzymali się za ręce, słuchając radiowego koncertu.

– Muszę ci coś powiedzieć – szepnęła Klara.

Długo przedtem obmyślała, jakich dobrać słów, ale kiedy popatrzyła w jego okolone ciemnymi rzęsami oczy, zapomniała wszystko, co przećwiczyła. Westchnęła więc i powiedziała z żalem:

– Jesteś taki przystojny.

– Wiem, co masz na myśli. Nienawidzę tego. To bardzo krępujące i wierz mi, bardzo przeszkadza. Kobiety są oszołomione, a mężczyźni mi nie ulegają z powodu mojego wyglądu – powiedział David. – Nic na to nie mogę poradzić. Noszę długie włosy i szcieszę do przodu, żeby zakryć jak najbardziej twarz. Nosilem kiedyś okulary ze zwykłego szkła, chociaż nie muszę – dodał. – Ale jest też w tym jedna dobra strona; nikt nie chce się ze mną bić. Czasami, gdy siedzę w barze, zaczepiają mnie obcy, bo myślą, że jestem homoseksualistą. Wtedy powoli wstaję, widzą, jaki jestem wysoki, i wycofują się. Nie dowiedzą się, że nigdy bym się nie bił. – Zaśmiał się przeproszająco. – Ja też mam swoje wariackie zasady.

Klara nie roześmiała się. Powiedziała jednak, co musiała powiedzieć, czując, że nadszedł czas, by to z siebie wydusić.

– David, uważam, że jesteś nieznośnie atrakcyjny. Jest mi bardzo dobrze z tobą.

Ale nie chcę iść z tobą do łóżka. Chcę, żeby to było jasne.

– Dlaczego nie? – Objął ją ciaśniej ramieniem.

Klara straciła pewność siebie. Chciała powiedzieć: „Ponieważ przeszłam przez takie rozpustne życie, gdy odeszłam od Sama, i był to wstydlivy, upokarzający okres, i nie chcę, żeby to się powtórzyło”. Bała się też, że zbyt wczesne niepowodzenie seksualne w tym związku mogłoby go zniszczyć.

Zapomniała jednak całego przemówienia i zamiast tego wybuchnęła płaczem.

– Bo moje życie miłosne tak się poplątało!

– Ale to już minęło – szeptał, przytulając ją. – Co się stało?

– To nie było to, czego oczekiwałam – pociągnęła nosem.

– Seks bez uczucia mnie też nie odpowiada – powiedział David. – Nie potrafię oddzielić seksu od takich staromodnych uczuć, jak miłość i sympatia.

– Ale to kobiety tak uważają!

– Wiesz, podoba mi się ta twoja niewinność. Może to, co mówię, jest tylko najpewniejszym i wypróbowanym sposobem, żeby zdjąć dziewczynie majtki w trzydzieści sekund. Nawiasem mówiąc, istotnie jest. Tylko że ja naprawdę tak czuję.

– Wiem, dlaczego z tobą tak się łatwo rozmawia – powiedziała Klara. – Nie starasz się za wszelką cenę coś sobie udowodnić i się sprawdzić. Ty naprawdę słuchasz, co mówię, i reagujesz na to. Mój mąż nie traktował mnie poważnie.

– I od tego czasu nie miałaś żadnego romansu?

Zawahała się i podjęła decyzję.

– Miałam okropną serię przygód, takich na jedną noc. Wskakiwali, pompowali i zaraz było po wszystkim. Nigdy niczego nie odczuwałam, a wstydziłam się powiedzieć, czego potrzebowałam, i potem byłam urażona.

– Ale jeżeli nie mówiłaś im, co na ciebie działa, jak mogłaś się spodziewać...

– Zgadzam się, to brzmi idiotycznie. Nie wstydziłam się wskakiwać z nimi do łóżka, ale wstydziłam się powiedzieć, czego chciałam.

– Cokolwiek byś czuła, na co byś nie miała ochoty, jeśli tylko mężczyźni o tym powiesz, nie powinno być żadnego problemu – powiedział David. Zaczęli się namiętnie całować.

PIĄTEK, 27 STYCZNIA 1967

W następny piątkowy wieczór, po suflecie ze szpinaku, pieczonych ziemniakach z kwaśną śmietaną i sporej ilości doskonałego czerwonego wina,

Klara nagle się zorientowała, że siedzi przed kominkiem naga do pasa.

– Chodźmy do łóżka – szepnęła.

– Obiecujesz, że nie będziesz niczego oczekiwać?

– Co?

– Żadnych irytujących myśli.

– Na przykład?

– Mam nadzieję, że to pocuję... Mam nadzieję, że jestem równie dobra, jak jego inne dziewczyny... Mam nadzieję, że to już będzie niedługo...

Nieśmiało dodała do tej wyliczanki:

– Mam nadzieję, że nie jest znudzony ani zmęczony... że nie będzie zawiedziony, jak nie będę miała orgazmu... Do licha, to takie trudne. Nie będę miała. Mogę udawać.

David podniósł się i pomógł jej stanąć. Trzymając się za ręce, przeszli na górę do sypialni.

Rozdział 20

PONIEDZIAŁEK, 19 MARCA 1967

Och, mój Boże, kochanie, zapomniałam, że to w ogóle kiedyś podpisałam! – Miranda patrzyła z przerażeniem na dokument, który Adam położył na jej białym biurku w kształcie podkowy. Poczowała nagle straszny chłód, jakby powiał tu ostry marcowy wiatr, szalejący na ulicach za oknami jej biura.

Adam patrzył uważnie na Mirandę, nachylając się nad jej biurkiem.

– Rozmyślałem o tym bardzo długo. Oczywiście wiem, że nie chcesz się pozbyć piętnastu procent majątku SUPPLYKITS, pozostałego po spłaceniu długów, nikt by nie chciał. Jednak, z drugiej strony, to był warunek, pod jakim zgodziłem się przyłączyć do twojej kompanii. Zgodziłaś się, że jeśli twoje przedsiębiorstwo będzie kiedykolwiek emitować akcje, dostanę piętnaście procent wolnego od długów majątku za nominalną sumę piętnastu tysięcy funtów. Chciałbym, żebyś dotrzymała naszej umowy, Mirando.

– Myślałam, że to dotyczy tylko KITS! – powiedziała zrozpaczona Miranda.

– Dokument stwierdza wyraźnie: „i/lub każdą inną formę powstałą z tej kompanii”. Oznacza to piętnaście procent z SUPPLYKITS, Mirando. Chyba czytasz dokumenty przed podpisaniem.

– Ależ, kochanie... – Miranda patrzyła błagalnie. Adam potrząsnął głową.

– To nie jest sprawa osobista, lecz dotycząca całości twoich interesów. Zdecydowałem się domagać tego, gdy zdałem sobie sprawę, że gdybyś była mężczyzną albo gdyby nie łączyły nas sprawy osobiste, nie zawahałbym się poprosić o te udziały.

Patrzyli na siebie bezosobowo zza przeciwnych stron biurka, jak gdyby wyrosła pomiędzy nimi szklana ściana.

– W takim razie, Adamie – powiedziała cicho Miranda – chciałabym mieć opinię jeszcze jednego prawnika.

– Oczywiście, tylko zawiadom natychmiast Freddy'ego Swansona, że jest problem. Zostały dwa dni do założenia spółki.

– Dlaczego, do diabła, nie wybrałaś się z tym wcześniej?

– Dopiero teraz podjąłem decyzję – powiedział łagodnie Adam. Nie miał zamiaru dawać jej czasu na działanie.

Miranda zatelefonowała do swojego adwokata. Upewniwszy się, że

rzeczywiście będzie zmuszona sprzedać piętnaście procent SUPPLYKITS Adamowi za symboliczną sumę, dodała:

– W takim razie proszę przepisać mój testament i usunąć wszystko, co dotyczy Adama Granta. Jego część proszę przepisać na moich pracowników... Albo nie: mam lepszy pomysł! Proszę dopisać część Adama dla Buzz, to znaczy panny Doris Mann.

Odłożyła słuchawkę i zawołała sekretarkę:

– June, odwołaj, proszę, moje wszystkie dzisiejsze spotkania. Poproś pana Swansona, żeby zechciał tu do mnie przyjść, jak tylko będzie mógł. Najlepiej w ciągu godziny.

Dziesięcioosobowa rada dyrektorów Mirandy została ostatnio powiększona o nowego prezesa, hrabiego Brighton Fredericka Swansona z Seligman Swanson, banku handlowego, który miał się zająć przekształceniem SUPPLYKITS. [SUPPLYKITS musiał się przekształcić w spółkę, chcąc emitować akcje (przyp. tłum.).] Bank zorganizował wszystko: konsultantów, ceny udziałów i prospekt – czterdziestostronicową błyszczącą książeczkę na temat struktury kompanii, sytuacji handlowej i przyszłych planów. Jak to było w zwyczaju w Wielkiej Brytanii, dołączono zobowiązania umowne, a wyciąg z prospektu opublikowano w ogólnokrajowej prasie.

Pan Swanson przyszedł do pokoju recepcyjnego i został wprowadzony do prywatnej windy, która go zawiozła wprost na ostatnie piętro do biura Mirandy. Gdy wyszedł z windy, zdumiał go widok pomieszczenia. Olbrzymi pokój o powierzchni sześćdziesięciu stóp był biały, łącznie z marmurową podłogą. Meble także białe i chromowane, nawet liczne wazony z kwiatami były białe. Wyglądało to wszystko niezwykle czysto i zachwycająco. W końcu pokoju na białych stolikach oświetlonych reflektorami porozkładane były kosmetyki na różnych etapach testowania. Zapach kwiatów przyćmiony był innym charakterystycznym zapachem, przypominającym nieco szkolne laboratorium, lecz bardziej owocowym. Miranda podeszła, by powitać gościa.

– Dzień dobry, Freddy.

– Co się stało? – spytał Freddy Swanson. Zadowolony był z przebiegu przekształcenia: SUPPLYKTTS rozkwitał, a KTTS poświęcał cały dochód z 1966 roku na umożliwienie jego rozwoju.

Miranda szybko przedstawiła problem, ciesząc się tym razem, że jej osobiste

stosunki z Adamem pozostały tajemnicą.

– Dlaczego Adam tak długo czekał? – grzmiał Freddie. – Nie ujawniona opcja giełdowa o wartości trzystu tysięcy funtów zmienia wszystkie nasze dane. To oznacza, że prospekt jest niedokładny.

– Najpierw nie miał zamiaru skorzystać z tej możliwości, wiedząc, że mnie to zmartwi – tłumaczyła nieprzekonująco Miranda. – W końcu zdecydował, że nie stać go na takie sentymentalne gesty.

– Co, oczywiście, cię zmartwiło.

– Szczerze mówiąc, Freddy, zarobił na to. Wątpię, czy doszłoby do przekształcenia SUPPLYKITS bez niego.

– Adam jest przecież prawnikiem – powiedział Freddy – i jak mógł umieścić swoje nazwisko w prospekcie, który twierdzi, że ujawnia wszystkie dane finansowe, a nie podaje piętnastu procent akcji, o których ja również nie wiedziałem. – Siadł na białym krześle w kształcie tulipana. – Policzę jeszcze dokładnie – mruknął. – Adam dostaje sto dziewięćdziesiąt dwa tysiące trzydziestoszylingowych akcji wartych dwieście osiemdziesiąt osiem tysięcy funtów za piętnaście tysięcy funtów, co pozostawia tobie, Mirando, sześćdziesiąt procent udziałów. – Spojrzał wolno znad rachunków. – Przypuszczam, że na tym etapie nie możemy nic poradzić. Wszyscy kosztowni konsultanci zrobili swoje, najgorsza robota jest za nami, wszyscy są wykończeni, a chętni już się zgłaszają po akcje. Z dużymi oporami, ale nie podejmę żadnych działań. Tych akcji nie można sprzedawać Adamowi przed przekształceniem.

Wszyscy w biurze zauważyli nienagannie uprzejmy chłód, jaki zapanował między Mirandą a Adamem. Nikt nie odgadł przyczyny, lecz Miranda czuła się samotna i opuszczona.

Wcześniej rano w czwartek porwała z tacy bladuróżowy „Financial Times”. SUPPLYKITS był teraz na Giełdzie Londyńskiej; cena akcji wzrosła do trzydziestu trzech szylingów. Nalewając sobie kawę, Miranda odkryła, że sprawdzanie cen akcji będzie teraz co rano jej najważniejszym zajęciem. Nie była już właścicielką SUPPLYKITS, ale dyrektorem i głównym udziałowcem spółki akcyjnej.

Oczy jej rozbłysły na chwilę: mała siostrzyczka, numer trzy w pokoju dziecięcym, na którą nikt nie zwracał uwagi, niewątpliwie była teraz, w wieku dwudziestu sześciu lat, na czołowym miejscu w świecie biznesu! Była jedną z niewielu *self made women* w Wielkiej Brytanii. Na świecie! Pamiętała swoje wczesne nieudane boje o równe traktowanie i zastanawiała się, co by teraz o niej powiedziały siostry. Do diabła z równością!

Tak chciałyby się podzielić swoją radością z Adamem. Bolał ją ten chłód między nimi. Może nie powinna była zachować się tak agresywnie. W końcu zgodziła się przecież na warunki Adama, gdy chciała, by przyłączył się do kompanii; zabierał tylko to, do czego miał prawo.

Gdy usłyszała pukanie, odwróciła głowę do drzwi, przez które wchodziła jej gospodyni. Niosła wiktoriańską, mosiężną klatkę na ptaki, w której siedział gołąbek. Do kółka u góry klatki przyczepiona była gałązka oliwna ze srebrnoszarymi liśćmi.

Otworzyła kopertę z kartką. Czarnym, kanciastym pismem Adama było na niej napisane: „Czy mogę ci dziś wieczorem powiedzieć, jak bardzo mi przykro?”

Miranda odrzuciła pościel i podeszła z klatką do okna. Roześmiała się, patrząc, jak gołąb poszybował ponad kasztanowcami, na których pojawiły się już pierwsze ślady zieleni.

Wieczorem, z bijącym sercem biegła schodami w dół do salonu, nie mogąc złapać tchu.

Adam, w białej wieczorowej marynarce, odwrócił się od okna i patrzył.

– Kochanie, jesteś ubrana czy rozebrana? W dzisiejszych czasach nigdy nie wiadomo.

Miranda miała na sobie przeźroczystą kremową grecką szatę i złote sandały z rzemyczków wiązanych pod kolanami.

– Absolutnie ubrana. To model Zandry Rhodes.

– Była po to zaprojektowana, by ją zdjąć. – Adam trzymał ją za ramiona. Poprzez cieniutki materiał czuł ciepłe ciało. – Tak za tobą tęskniłem – mrucał, przesuwając ręce po jej ciele, aż do wypukłości pośladków.

Miranda dotykała go jak wygłodzona. Kolana jej się trzęsły. Upadli razem na gruby kremowy dywan i tam, bez słowa, razem dokończyli tego aktu. O świcie nie wiedziała już, czy śni, czy naprawdę czuje ciało Adama przy swoim ciele i wdycha zapach miłości. W gasnącym świetle kominka z trudem widziała jego twarz.

Sennym głosem Adam szepnął:

– To niezwykle erotyczny pomysł.

– Iaki?

– Być w łóżku w taką samodzielną milionerką.

– Ale nie jesteśmy w łóżku, kochanie.

– To chodźmy prędko. Muszę jeszcze z tobą zrobić różne rzeczy.

SOBOTA, 19 SIERPNIĄ 1967

Na dworze słońce prażyło czerwoną spaloną ziemię Prowansji, ale w salonie panował chłód. Na podłodze leżała plansza scrabble'a przypominająca, że – jak dotąd – w tym roku Buzz pobiła Elinor 147 do 17. Miranda, w czarnych trykotowych szortach i podkoszulku na ramiączkach leżała na sofie, rozkoszując się lenistwem. Ziewnęła, przeciągnęła się i pomyślała, że dobrze byłoby, żeby ta sjesta trwała do rana, a najlepiej przez cały tydzień.

Tymczasowa dywidenda SUPPLYKITS wynosiła siedem procent – doskonały wskaźnik – ale obawiała się o KITS. Po przekształceniu SUPPLYKITS inwestorzy, specjaliści i konkurenci przyglądali się spółce bardzo dokładnie. Zmęczona Miranda stwierdziła, że zamiast mieć więcej czasu, pracowała prawie bez przerwy, informując i zabawiając obecnych i przyszłych udziałowców, przygotowując oficjalne raporty, wygłaszając prelekcje, chodząc na robocze obiady i jeszcze musiała znaleźć czas dla prasy finansowej. Przepracowana i załamana, przekształciła się we wspaniałą maszynę do biznesu.

Miranda poczuła zapach lilii. W pokoju kwiatowym za barem słyszała Elinor i Buzz, idące do salonu. Gdy tylko usiadły, pokojówka przyniosła tacę z podwieczorkiem.

– Kanapki z ogórkiem – z aprobatą pokiwała głową Buzz.

– I eklery czekoladowe.

Miranda znów ziewnęła.

– Buzz, nie rozumiem, jak możesz cokolwiek jeść po tych wspaniałych francuskich obiadach. Inni jeszcze to spalają na korcie.

– Ja nie. – Adam powoli wszedł do pokoju.

Pokojówka odstawiła tacę i pogrzebała w kieszeni sukienki.

– List przez posłańca dla *mademoiselle* Maun.

– Dla mnie? – zdziwiła się Buzz. – Nikt mi nie przysyła listów przez kuriera. Amerykański znaczek... – Gdy spojrzała na nadawcę, twarz jej odmłodziła i poweselała. – To Bertha Higby!

Od śmierci swego narzeczonego, prawie pięćdziesiąt lat temu, Buzz utrzymywała korespondencję z jego matką. Co roku rodzice Gingera przyjeżdżali do Francji na jego grób, czasem razem z Buzz. Pani Higby miała teraz osiemdziesiąt siedem lat i – owdowiawszy – mieszkała na stałe w Cleveland.

Buzz przeczytała krótki list.

– Och!... Och... ale nie mogę...

– Co takiego? – spytała Elinor, trzymając imbryk.

– Niespodziewanie Erie zostawił jej większy spadek, niż się spodziewała. Pisze, że w jej wieku może już nie zdążyć się nim nacieszyć. Całe życie spędziła skromnie, tak jak życzył sobie Erie, ale teraz chce wydać trochę na przyjemności... Chce odbyć luksusowy zimowy rejs... w styczniu... sześć tygodni na *Stella Polaris*. Dookoła Karaibów i Ameryki Południowej, aż do końca lutego... i chce, żebym była jej gościem.

– Dlaczego przysłała to przez kuriera? – spytała Miranda.

– Prosi o szybką odpowiedź, żeby zarezerwować bilety.

– To dlaczego nie zatelefonowała?

– Zbyt ekstrawaganckie! Erie przewróciłby się w urnie. Zresztą, to nie wchodzi w grę. Nie mogłabym zostawić Elinor samej.

– Nie potrzebuję przyzwoitki, ty idiotko – powiedziała Elinor, wręczając Buzz filiżankę mocnej, indyjskiej herbaty. – Przez sześć tygodni mogę się bez ciebie obejść. Może nareszcie będę miała trochę spokoju.

– Nie. Sześć tygodni to za długo. – Buzz dmuchała na zbyt gorącą herbatę.

– Elinor ma tu pięcioro służby, trzy sekretarki i lekarzy prawie w zasięgu głosu – powiedział Adam. – Naprawdę czas, żebyś porządnie wypoczęła, Buzz.

– Ja też tak uważam – dodała Miranda.

– Ale ja nie potrzebuję wypoczynku. – Buzz poczuła się urażona.

– Oczywiście, że nie – łagodził Adam. – Myślę, że Elinor po prostu sądziła, że skoro twoja przyjaciółka ma osiemdziesiąt siedem lat, nie powinna podróżować sama.

– Oczywiście – powiedziała Elinor poważnie. – I naprawdę myślę, że powinnaś odpocząć ode mnie, Buzz. To już dwa lata od mojego... wypadku i właściwie od tego czasu nie miałaś dnia wolnego. Chodziłaś koło mnie jak kwoka. Jak dawno nie widziałaś Berthy?

– Cztery lata – odpowiedziała Buzz. – Przyjechali na weekend, zanim wprowadziłyśmy się ze Starlings.

– Możemy zgodzić pielęgniarkę, żeby tu była na czas twojej nieobecności – zaproponował Adam.

– Bzdura! Nie potrzebuję pielęgniarki.

– Kogoś potrzebujesz – powiedziała twardo Buzz. – I będzie musiała spać w mojej sypialni, bo jest najbliżej twojej.

Elinor uśmiechnęła się do Adama.

– Powiedz członkom zarządu, że Buzz musi dostać premię, Adamie. Musi się jakoś prezentować na tym luksusowym rejsie.

Adam wyciągnął notes z kieszeni spodni. Pisząc coś, powiedział:

– Przy okazji, Elinor, Paul Littlejohn postanowił opuścić STG na Bermudach. Zakłada tam swoją własną firmę.

– A to bieda – westchnęła Elinor. – Dlaczego chce to zrobić?

– Głównie z tego powodu, co ja. Obawiam się, że STG nie jest już tak solidną firmą, jak w czasach mego dziadka. Nigdy nie żałowałem, że odszedłem. Prawdę mówiąc, sprawiło mi to ulgę.

– Ale kto będzie w przyszłości załatwiał moje sprawy? – spytała Elinor.

– To jest problem – przyznał Adam – chociaż, oczywiście, moglibyśmy przenieść nasze sprawy do nowej firmy Paula. Wiemy, że potrafi wszystko załatwić.

Buzz spojrzała z dezaprobatą.

– Dlaczego nie? – spytał Adam od niechcienia. – Może uniknąłby błędów i wprowadzania kogoś innego. Nie musimy jeszcze podejmować decyzji. Paul składa sześciomiesięczne wypowiedzenie w STG, więc nie odejdzie wcześniej niż po świętach, pewnie w lutym.

– To jeszcze sporo czasu, żeby wszystko przemyśleć – powiedziała Elinor. – Jeszcze herbaty, Buzz? Opowiedz nam coś o tym rejsie.

SOBOTA, 3 LUTEGO 1968

W tydzień potem jak sprawy Dore Trust przeniesiono do Littlejohn and Partners (Bermudy) Adam zaskoczył Elinor przyjazdem do Saracen na weekend. Za każdym razem, gdy lądował w Nicei i widział palmy oraz opalonych tragarzy w białych koszulach z krótkim rękawem, na nowo odkrywał rozkosz życia, w którym człowiek wchodził do samolotu w ponurej, zimowej pogodzie i wkrótce wysiadał w ciepłym słońcu.

Wieczorem pił już z Elinor aperitify w letnim salonie. Wskazał na parę precyzyjnie rzeźbionych krzeseł z drewna w kolorze cynamonu, zdobionych kością słoniową.

– To nowe?

– Tak, znalazłam je u mojego ukochanego antykwariusza w Cannes. Osiemnasty wiek, z Goa, zrobione dla jakiegoś bogatego portugalskiego handlarza. Znalazłam też te dwa nowe krzesła w holu, te z twarzami aniołków wyrzeźbionymi z tyłu: za dobre na co dzień, ale nie mogłam się oprzeć.

– Ile kosztowały?

– Za dużo, żeby ci powiedzieć, mój drogi – powiedziała Elinor radośnie.

Gdy Adam znów napełnił swój kieliszek, Elinor stwierdziła:

– Nigdy nie przypuszczałam, że będę tak tęsknić za Buzz. Będzie piała z zachwytem, jak jej o tym powiem! Na pewno wspaniale się bawi. Codziennie dostaję od niej pocztówkę z jakichś egzotycznych miejscowości: Wyspa Brązowego Cukru czy Jaskinia Krabów. Mówi, że na pokładzie w ogóle nie ma mężczyzn, na statku tłoczą się jedynie pełne nadziei wdowy. Załoga jest bardzo miła, a ona zaprzyjaźniła się z ochmistrem, który marnie tańczy charlestona.

Adam sączył swego drinka.

– Elinor, to nie tylko chęć zimowego odpoczynku jest powodem mojej wizyty, jest jeszcze coś, ale nie chciałem cię alarmować przez telefon.

Elinor wyczuła kłopoty.

– Chodzi o ten nowy kontrakt na książkę – ciągnął. – Wydawca byłby... spokojniejszy, gdyby przed podpisaniem miał zapewnienie lekarzy. Wiedzą, że upłynęły już dwa lata od twojej choroby, ale wdzięczni byliby, gdyby ich upewnić. Są zachwyceni twoją obietnicą, ale zanim coś zaplanują, zainteresują rynek, chcą być... pewni... że jesteś zupełnie zdrowa.

– Przecież nie mam pisać nowej książki – powiedziała zirytowana Elinor. – Ten komplet to ma być wznowienie.

– Tak, ale zgodziłaś się to promować – cierpliwie tłumaczył Adam. – A zanim wydadzą duże pieniądze na akcję reklamową, chcą być pewni, że podołasz.

– Jestem zdrowa jak rydz – protestowała Elinor.

– Ależ, Elinor, przecież to rozumiała ostrożność – nalegał Adam. – Gwiazdy filmowe, sportowcy, wszyscy w dziedzinach, w których duże pieniądze zależą od zdrowia jednej osoby, wiedzą, że regularne badania lekarskie są rozsądną profesjonalną koniecznością. – Adam wiedział, że Elinor za nic w świecie nie chciałaby zostać nazwana „nieprofesjonalistką”.

– Dobrze, jeżeli to tylko badanie, to mogę je zrobić w tym amerykańskim sanatorium w Cannes.

– Obawiam się, że będą się domagać brytyjskiego zaświadczenia.

– O Boże, jak długo to potrwa?

– Może cztery dni.

– Szkoda, że Buzz nie ma. Chociaż, z drugiej strony, tylko by marudziła. Nie lubi Kliniki Londyńskiej. Mówi, że to za głośne miejsce.

– Będziesz już z powrotem, nim Buzz wróci – uspokoił ją Adam. – I nie musisz jechać do Kliniki Londyńskiej. Zorganizuję ci najlepszą opiekę. Jak mówisz, nie

jestes chora, wiec przyjaciele beda mogli cię odwiedzac. Zycie bedzie jednym wielkim przyjeciem, a siostra przełożona bedzie odganiać ludzi, jak się zmęczysz. A gdy wyjdiesz, zabiorę cię do teatru.

– Brzmi to zupełnie sympatycznie, drogi chłopcze. Czy mógłbyś dopilnować, żeby było tam kilka skrzynek szampana w tych małych butelkach, wygodnych dla gości?

– Dopilnuję wszystkiego – obiecał Adam.

SOBOTA, 10 LUTEGO 1968

Tydzień później, gdy samolot wystartował z Nicei do Londynu, Adam przedstawił Elinor swój plan.

– Eastbourne! – wykrzyknęła. – Dlaczego Eastbourne?

– Elinor, grzmisz jak pani Edith Evans, gdy mówi „torba” w komedii Oscara Wilde'a. Eastbourne to nie koniec świata – tłumaczył Adam. – Ma najwyższy stopień nasłonecznienia w Wielkiej Brytanii.

– Mam mnóstwo słońca w Saracen i nie jestem jeszcze na ostatnich nogach; dziękuję ci uprzejmie: Eastbourne jest pełne domów starców w wiktoriańskich rezydencjach.

– I dlatego najlepsi specjaliści od takich badań są właśnie w Eastbourne – przekonywał ją Adam. – To tylko na kilka dni, Elinor i to jest tylko półtorej godziny od Londynu. Będzie tam mnóstwo kwiatów i książek, wspaniałe jedzenie, telewizor, telefon...

– Nie powinieneś być tego załatwiać bez mojej zgody. – Elinor wydeła usta.

Adam wyglądał na skruszonego.

– Mogę, oczywiście, to odwołać, jeśli sobie życzysz, ale sir George jest najlepszym kardiologiem w kraju. I to on mi powiedział, że Sanatorium im. Lorda Willingtona jest najbardziej profesjonalne w okolicy. Jego właściciel, doktor Craig Dunlop twierdzi, że ma najnowszy sprzęt.

– No dobrze, mam nadzieję, że to zniosę przez kilka dni. Nie martw się, chłopcze.

Położone między wzgórzami South Downs i niespokojnym i szarym kanałem La Manche sanatorium wyglądało jak wiejska rezydencja. Wychodząc ze swojego Rolls-Royce'a, Elinor zadrżała, nie przyzwyczajona do ostrego lutowego powietrza.

Wewnątrz nikły zapach środków dezynfekujących przytłumiony był ciężką wonią dochodzącą z wazonów z niebieskimi hiacyntami. Uśmiechnięta

recepjonistka przeprosiła za nieobecność siostry przełożonej. Gdy Elinor podpisała formularz, wyrażający zgodę na przyjęcie i zabiegi, zaprowadzono ją i Adama do jej apartamentu. Gdyby nie szpitalne łóżko, mogłaby pomyśleć, że znajduje się w luksusowym hotelu. Umeblowanie saloniku utrzymane było w kolorze wody Nilu, a sypialni w brudnoróżowym, pokoje między nimi wychodziły na morze, przed którym rozciągał się trawnik i klomby, ponure o tej porze roku.

Elinor przeczytała kartki przy dwóch identycznych wazonach pełnych lilii, zajmujących całą toaletkę. Zaśmiała się.

– Jedna od Mirandy, druga od Annabel. Obie wiedzą, że lubię lilie.

– Miranda chciała tu być dzisiaj w tobie – powiedział z uśmiechem Adam – ale doktor Craig-Dunlop wołał, żebyś się szybko urządziła, bez zbytniego podniecenia. Badania zaczną się jutro. Miranda pyta, kiedy będzie cię można odwiedzać. Annabel dzwoniła już trzy razy, ale prosiłem, żeby już tego nie robiła, by nie przeszkadzać w ewentualnych zabiegach. Lepiej, jeśli ty do niej zadzwonisz.

Tuż po ich przyjeździe podano w saloniku kawę. Później przemaszerował pochód personelu medycznego, a każdy z jego uczestników po kolei zapewniał Elinor, że gdy tylko będzie czegoś potrzebowała, ma natychmiast dać znać. W końcu dostała wielki folder oprawiony w wiśniową skórę, który wyglądał z daleka jak średniowieczna Karta Praw Miejskich; było to menu.

– Nie martw się, chłopcze – powiedziała Elinor znad kieliszka szampana, tego z małych butelek. – Widzę, że będą o mnie naprawdę dbać.

– Jestem tego pewien – uśmiechnął się Adam, unosząc kieliszek w toaście.

Następnego dnia drzwi pokoju Elinor otworzyła pielęgniarka, która zaraz stanęła na baczność, gdy uśmiechając się łagodnie ukazała się przełożona, Ivy Braddock. Pierwszym wrażeniem zdumionej Elinor było to, że przełożona Braddock wygląda jak żeńskie uosobienie starszego sierżanta w czasie poboru: nie mogła się doczekać, by ją opisać Buzz.

Była jedną z najpotężniejszych kobiet, jakie Elinor kiedykolwiek widziała. Szyja zatopiona była między barkami, a czerwone ręce zwisały z olbrzymich ramion. Twarz grubo ciosana, jak ze skały. Żółte włosy miała krótko obcięte, a na nich, jak ozdóbka na ciastku, umieszczony był czepek pielęgniarski, zawiązany pod kwadratową szczęką. Przełożona posuwała się w kierunku łóżka Elinor na nogach, które łączyły się ze stopami bez udziału kostek. Nie chodziła, lecz stąpała.

– Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, pani O'Dare, by było pani wygodnie. – Głos przełożonej był zdumiewająco miły.

Najpierw pobrano jej krew i mocz do badania, później ją prześwietlono, a przez resztę dnia była podłączona do różnych urządzeń. Tego dnia doktor Cyril Craig-Dunlop wstąpił tylko ją odwiedzić. Był niedużym, delikatnym mężczyzną o zdumiewająco pięknych, okolonych czarnymi rzęsami szarych oczach.

Następnego ranka przełożona Braddock wprowadziła do sypialni kardiologa, sir George'a. Elinor nie znosiła, gdy jej przeszkadzano: czytała właśnie „Z zimną krwią” Trumana Capote'a. Później przychodzili inni specjaliści.

Trzeciego dnia doktor Craig-Dunlop ponownie odwiedził Elinor.

– Mam wyniki prawie wszystkich badań – powiedział – i są mniej więcej takie, jakich się spodziewaliśmy. Jednak, jak pani wie, musi być pani bardzo, bardzo ostrożna przez te kilka lat, jakie pani pozostały.

„Z zimną krwią” spadło na podłogę. Elinor siadła na łóżku.

– Co pan mówi! Wyzdrowiałam zupełnie, tak mi powiedziano.

Doktor Craig-Dunlop zająknął się, autentycznie zmieszany.

– Tak... tak mi przykro, pani O'Dare. Myślałem, że jest pani typem osoby, której by powiedziano...

– Powiedziano, co?

– Prawdę o pani stanie – powiedział przepraszająco doktor Craig-Dunlop.

– Kilka lat, które mi pozostały? Jest pan pewien? – Elinor zbladła, a wydawała się jeszcze bledsza na tle swej brzoskwiniowej koszuli. – Chciałabym mieć jeszcze inną opinię.

Doktor Craig-Dunlop chrząknął.

– Trzej specjaliści są tego samego zdania.

Elinor spojrzała smętnie przez okno, poza trawnik, gdzie morze koloru ścieków spotykało się z szarym niebem. W pokoju panowała idealna cisza.

W końcu powiedziała:

– Nie chcę, żeby moje wnuczki wiedziały. Martwiłyby się.

Krótko po wyjściu lekarza weszła uśmiechnięta, elegancka pielęgniarka w mundurku w biało-lawendowe paseczki. Przyniosła dwie pastylki w małej fiolce.

– Po tym się pani lepiej poczuje.

Pilnowała, żeby Elinor połknęła lekarstwa. Pielęgniarki były nauczone, jak postępować z bogatymi pacjentami, którzy mieli zwyczaj robić, co chcą, i często nie lubili podporządkowywać się dyscyplinie. Wiedziały, że ludzie bardzo starzy, alkoholicy i zwariowani pacjenci (zwani ekscentrykami) muszą być dokładnie pilnowani. Ta miła staruszka, która miała być na mocnych środkach uspokajających, najwyraźniej nie wiedziała, że jest długoterminową pacjentką,

leczoną na depresję.

W ciągu następnych dwu dni Elinor dużo spała, co doktor Craig-Dunlop ocenił jako najprawdopodobniej ucieczkę od rzeczywistości. Przyczyna była znacznie prostsza: Elinor była bardzo podatna na lekarstwa i już normalna dawka środka uspokajającego była dla niej przedawkowaniem.

W chwilach świadomości, przed podaniem lekarstwa w piątek o jedenastej przed południem, oszołomiona Elinor zagroziła, że wyjeżdża, i dowiedziała się, że to niemożliwe bez uprzedniego zezwolenia przełożonej.

Elinor, przyzwyczajona do szybkiego spełniania jej życzeń, wpadła we wściekłość, na którą pielęgniarka nie zwróciła najmniejszej uwagi. Szybko podano jej zastrzyk, a siostra zameldowała, że straciła kontrolę nad pacjentką i musiała ją uspokoić.

– Paranoja – powiedział cicho Craig-Dunlop do przełożonej, czytając raport.

Przełożona Braddock pokiwała głową. Wiedziała, że klasycznym objawem paranoi było podejrzewanie, że ci, którzy się tobą zajmują, chcą ci zrobić krzywdę.

SOBOTA, 17 LUTEGO 1968

Po tygodniu pobytu Elinor w sanatorium pozwolono Annabel i Mirandzie ją odwiedzić. Po drodze obie zmartwione siostry, siedząc na tylnym siedzeniu Bentleya, który wiózł je do Londynu, niewiele rozmawiały. W końcu Miranda spytała o Scotta.

– Nie pytaj mnie, jak się czuje Scott – warknęła Annabel. – Ja go prawie nie widuję. Nie sądzę, by zauważył, że w tym tygodniu mnie nie ma.

– Co ty mówisz? – Miranda była zdumiona.

– Jest zbyt zajęty pracą, żeby pamiętać o żonie. Zapomniał nawet o naszej dziesiątej rocznicy ślubu!

– To do niego niepodobne.

– No, byłby zapomniał – sprostowała Annabel – ale mu w porę przypomniałam.

Annabel i Miranda były przerażone wyglądem babki; jej złociste włosy były bez życia, oczy tępe, mowa niewyraźna, ciało prawie bezwładne. Uprzedzone przez przełożoną, żeby traktować ją normalnie i nie zwracać uwagi na nic dziwnego, co może zrobić albo powiedzieć, obie siostry natychmiast okryły babcię niewidzialnym obłokiem uczucia.

Później, w pokoju przełożonej, gdzie czekał na niego Adam i doktor Craig-Dunlop, Annabel wybuchnęła płaczem.

– Nie rozumiem, dlaczego nie zauważyłam, że jest chora.

Miranda otoczyła siostrę ramieniem.

– Nie płacz, Żabo. Ja też nie miałam pojęcia. Na szczęście jest pod dobrą opieką.

– Co za pech, że Buzz wyjechała! – łkała Annabel. – Powinna była zostać tu z babcią.

– Na czym dokładnie polega paranoja? – niecierpliwie zapytała Miranda doktora.

– Wolimy nazywać to zaburzeniem osobowości – powiedział. – Chroniczne, postępujące zaburzenia umysłowe. W takim przypadku obawiam się, może wystąpić mania prześladowcza.

– Jak jest leczona? – spytała Miranda, podczas gdy Annabel płakała.

– Dostaje lek pod nazwą mellaril. I środki uspokajające, w miarę potrzeby.

– Jak długo będzie chora?

Zapanowała krótka, przeraźliwa cisza.

– Jak długo? – powtórzyła Miranda.

– Trudno powiedzieć. Jeszcze nie teraz. Musimy zobaczyć, jak reaguje na leki, ale może to trwać długo.

– Kilka tygodni?

– Mogą to być miesiące – powiedział łagodnie doktor Craig-Dunlop. – Muszę podkreślić – dodał – że na tym etapie nie możemy tego określić. Jest to starsza pani, miała już jeden wylew i ma zaburzenia osobowości. Trudno przewidzieć, co się wydarzy.

– Jak mogło jej się pogorszyć w tak krótkim czasie, skoro przyjechała tylko na przebadanie? – dopytywała się Miranda.

– Był to niezwykle szczęśliwy zbieg okoliczności, że przyjechała właśnie teraz – dodał doktor ponuro – bo mogłoby być znacznie gorzej.

Przy hotelowym obiedzie, składającym się z pieczeni wołowej i kwaśnej kapusty, Miranda spytała:

– Dlaczego nic nie powiedziałeś, Adamie?

– Nie chciałem was niepotrzebnie martwić, póki doktor Craig-Dunlop i specjaliści-konsultanci nie doszli do ostatecznych konkluzji.

W obecności Annabel Adam uważał, żeby odnosić się do Mirandy oficjalnie i bez pieszczotliwych słów. Wprawdzie wiele osób domyślało się, że są kochankami,

Adam upierał się jednak przy trzymaniu tego w sekrecie.

– Ale nie możemy tu babci zostawić – powiedziała Miranda. – Musi przyjechać do Londynu, gdzie będzie miała najlepszych lekarzy i ja będę mogła się nią opiekować.

– Wydaje się, że tu ma bardzo dobrą opiekę i zdrowe morskie powietrze, a w Londynie nie znajdziesz takiego domu w olbrzymim ogrodzie, jak tutaj – powiedział Adam. – Ale jeśli chcesz jeszcze jakichś opinii, możemy pojechać do każdego specjalisty w Londynie, którego wybierzesz.

– Dlaczego by babcia nie mogła pojechać do Saracen, gdy Buzz wróci, i tam być pielęgnowana? – Annabel odsunęła nie tknięty talerz. – Ona kocha Saracen.

– To mogłoby być zbyt wielkim obciążeniem dla Buzz – stwierdził Adam. – Pamiętajcie, jaka była zmęczona po tym, jak Elinor miała wylew? Opieka dwadzieścia cztery godziny na dobę, jaką Elinor ma tutaj zapewnioną, oznaczałaby cztery pielęgniarki, zorganizowanie ich dyżurów, zapewnienie posiłków, transportu i wszystkiego innego.

– Nie chcemy, żeby Buzz też się rozchorowała – zgodziła się Miranda.

– Telefonowałem do doktora Montanda w Saracen – ciągnął Adam. – On również się zgadza, że najlepszym miejscem dla Elinor jest angielskie sanatorium, gdzie ma zapewnioną opiekę lekarską całą dobę, jeśli zajdzie potrzeba. W każdym razie doktor Craig-Dunlop jest przekonany, że na razie Elinor musi być pod odpowiednią opieką lekarską cały czas, na wypadek gdyby jej stan miał się pogorszyć.

Siostry były przerażone perspektywą ewentualnego pogorszenia. Cieszyły się z obecności Adama. Był zawsze dobrym pocieszycielem w ciężkich chwilach.

– Jeśli jesteś pewien, że to najlepsze miejsce... – powiedziała wahając się Annabel.

– Po pierwsze, chciałabym wiedzieć, czy sanatorium jest lepszym miejscem dla niej niż szpital. Po drugie, jeśli ma być... ma być taka jak teraz przez jakiś czas, to czy Lord JakMuTam jest najlepszym takim domem – powiedziała Miranda.

Annabel pokiwała głową, zgadzając się z nią.

Adam wyjął z teczki plik kolorowych broszurek na temat takich prywatnych sanatoriów. Bez słowa wręczył to siostrze.

Miranda przyglądała się imponującym fasadom i nędznym wnętrzom sanatoriów i domów opieki.

– Te pokoje recepcyjne wyglądają jak w pubie! Babcia nie ulokowałaby pokojówki w takiej sypialni. Są na pewno wygodne, ale wyglądają tak okropnie

nieatrakcyjnie.

Annabel czytała głośno: „Wszystkie pokoje mają umywalki... Też coś... „Nie ma prywatnych łazienek”.

– Tu Elinor ma własną łazienkę – przypomniał Adam. – Ale te inne miejsca mają różne inne udogodnienia – fizykoterapię, pedikiurzystkę, fryzjera.

– „Śpiewanie piosenek i przedstawienia amatorskie” – czytała Annabel – „Bingo”.

– Przyniosłem tylko te najatrakcyjniejsze – powiedział Adam.

– Aż strach pomyśleć, jakie są te inne – westchnęła Annabel. – A spójrzcie na ceny!

– Właściwie babcia mogłaby mieszkać u Ritza za to, co płaci u Lorda JakMuTam – zauważyła Miranda.

Adam powiedział sztywno:

– Zadałem sobie wiele trudu, żeby wybrać najlepsze miejsce, więc, oczywiście, nie jest tanie. Ale możesz ją przenieść, jeśli sobie życzysz.

Siostry popatrzyły na siebie i potrząsnęły głowami.

– Nie chodzi nam o ten dom – przyznała Annabel – tylko o to, co się stało z babcią. Tego nie możemy znieść.

– Musimy znaleźć Klarę i natychmiast jej powiedzieć.

Miranda nie miała na to specjalnej ochoty. Adam chrząknął.

– Muszę was ostrzec, że wszelka wzmianka na temat Klary bardzo denerwuje waszą babkę. Uważam, że należy respektować jej życzenia. Elinor wyraźnie nie życzy sobie jej widzieć.

NIEDZIELA, 18 LUTEGO 1968

Stojąc boso w koszulce nocnej w różowe gałazki, Klara patrzyła z okna sypialni na padający cicho śnieg. Księżyc słabo oświetlał las, rysujący się delikatnie na tle wzgórza za Applebank Cottage. Wzdrygnęła się, wskoczyła z powrotem do łóżka i wsunęła pod kołdrę. Za pół godziny będzie musiała wyjąć bochenki z pieca. Jediną wadą jej nowego zajęcia było to, że musiała codziennie wstawać wcześniej rano. Ponieważ jej interes rozrósł się niezwykle i kuchnia była już za mała, David zrobił już plany przerobienia szopy w ogrodzie na piekarnię.

Dziesięć miesięcy temu zupełnie przypadkowo, gdy David zabrał chleb jej wypieku do mieszkających niedaleko przyjaciół, Klara przeistoczyła się w piekarza. Spytała, czy mogliby kupować od niej chleb regularnie. Czemu nie? –

pomyślała i dołożyła do pierwszego zamówienia próbkę ciasta z melasą i kruchego.

Po miesiącu Klara wywiesiła cennik na tylnych drzwiach domu i na furcie ogrodowej. Piekla teraz chleb ryżowy, pełnoziarnisty, na sodzie i na drożdżach, ciastka, tort czekoladowy, owocowy i kruche ciasteczka. W sezonie także ciasta z owocami. Nie piekla niczego, co można było dostać u miejscowego piekarza, i sprzedawała, przynajmniej swoim zdaniem, po wygórowanych cenach, a jednak ludzie chętnie płacili gotówką.

Główną przyczyną, dla której nie sprzedawała na kredyt, były komplikacje z księgowaniem. Mając przykre doświadczenia, teraz uważnie prowadziła księgi na bieżąco, wypełniając codziennie tylko dwie rubryki: „Rodzaj zakupu” i „Pobrana gotówka”.

Pod kołdrą z patchworku David przewrócił się na bok i przez sen przyciągnął Klarę do siebie. Koszula podsunęła jej się do pasa i z przyjemnością czuła jego mocne, muskularne nogi, oplecione wokół jej nóg. Wciąż na wpół śpiąc, pocałował ją w policzek i szukał pod koszulą jej piersi.

Nagle z wielkim trzaskiem otworzyły się drzwi i Josh w żółtej piżamie z Donaldem wskoczył na łóżko.

– Pada fnieg! Pada fnieg! David, czy mogę wziąć fanki? Jestem już duży. Profę!

David usiadł, zapalił światło, ziewnął i podrapał się we włochatą pierś.

– Możesz wziąć tacę i zjeżdżać do ogrodu. Ale nie teraz. Jest środek nocy! Po śniadaniu. – Odwrócił się i uśmiechnął do Klary. – Ty zjesz śniadanie w łóżku... Ani słowa! Josh i ja zaplanowaliśmy to wczoraj wieczorem, prawda, Josh? Jak wyjmiesz chleby, wracasz do łóżka. Zgadza się, Josh?

Josh uszczęśliwiony pokiwał głową.

– Musi być w tym jakiś haczyk – powiedziała Klara. – Jesteś zbyt doskonały.

– Tak, jest haczyk – powiedział cicho David, robiąc miejsce w łóżku dla Josha.

Później David włożył frotowy płaszcz kąpielowy Klary i zaprowadził Josha na dół do kuchni. Po dwudziestu minutach pojawiła się na łóżku taca ze śniadaniem: była na niej wrząca zupa, lody czekoladowe i gazowany napój pomarańczowy. David mrugnął nad głową Josha.

– Josh ułożył menu.

– Wspaniale! – powiedziała słabo Klara, patrząc na uśmiechniętą twarz i akwamarynowe oczy swojego syna. Spojrzała na tacę, którą trzymała na kolanach.

– Trochę za dużo tej zupy pomidorowej dla mnie. Może pomożesz mi zjeść, Josh?

Zupełnie dla niej niespodziewanie maleństwo zaczęło nosić dzinsy i granatową nylonową kurtkę, i marudziło o grube buty, jakie nosili miejscowi chłopcy. Miał teraz pięć lat, chodził do szkoły w Warminster i starał się nauczyć akcentu z Dorset, ponieważ wyśmiewano się z jego snobistycznej wymowy. Lubił czytać komiksy, oglądać telewizję (zwłaszcza Dr Who) i siusiać w kąpielni, kiedy mama się odwróciła. Lubił piłkę nożną, a o baseballu zupełnie zapomniał. Nie pamiętał też Kalifornii, poza zamglonym wspomnieniem słońca, białego domu i olbrzymiego basenu, chociaż Klara i tak się śmiała, że był tak mały, kiedy opuszczał Los Angeles, że nic nie może pamiętać.

Gdy Josh wyskrobał talerze i poszedł do ogrodu zjeżdżać, David przyniósł drugą tacę z kawą, zrobionymi przez Klarę rogalikami i dżemem truskawkowym.

Później, przytuleni pod patchworkową kołdrą, kochali się leniwie i niespiesznie. Tego ranka Klara czuła się dobrze i chciała być blisko Davida. Czasami, po tym, jak się kochali, była zupełnie wybudzona, pełna energii, piękna i szczęśliwa; tak silna, że mogłaby przenosić góry.

– Jaka szkoda, że inni mężczyźni nie są tacy, jak ty – mruzczała. – Lubisz fizyczną bliskość i kontakt uczuciowy tak jak kobiety. Dobrze byłoby, żeby wszyscy mężczyźni cieszyli się całym swoim ciałem, a nie tylko tym małym, trzęsącym się kawałkiem.

– Zawsze uważałem, że najważniejszy organ płciowy znajduje się między uszami – powiedział David, całując ją w usta.

Rozdział 21

CZWARTEK, 29 LUTEGO 1968

Ostatniego dnia lutego opalona Buzz przyleciała na lotnisko w Londynie. Ubrana była w białe spodnium w stylu południowym – pożegnalny prezent od Berthy. Wychodząc z samolotu czuła się niemal młodzieńczo, rozpierała ją energia.

Zdziwiona słuchała naziemnej stewardesy, która zatrzymała ją i poprosiła o przejście do poczekalni dla VIP-ów. Czekał tam na nią Adam.

Coś złego spotkało Elinor, pomyślała i zbladła.

Adam spokojnie i ze współczuciem wyjaśnił jej, co się zdarzyło.

Buzz wyskoczyła z samochodu, zanim jeszcze na dobre zdążył się zatrzymać na żwirowym podejździe. Iak na luty, słońce grzało zaskakująco mocno i rozradowane pielęgniarki w szkarłatnych fartuchach przechadzały się wraz z pacjentami po szpitalnym parku.

Jedna z nich podsunęła wózek inwalidzki w stronę Buzz i ta z zaskoczeniem stwierdziła, że opatulona postać siedząca w nim to Elinor. Wydawała się taka maleńka, krucha i bezbronna; na jej twarzy gościł nieobecny wyraz, tak jakby właśnie się obudziła i niezbyt dobrze zdawała sobie sprawę, gdzie się znajduje.

– Cześć, Nell – przywitała się Buzz.

Kobieta w wózku nawet na nią nie spojrzała.

Buzz w milczeniu przysłuchiwała się nieustannemu świergotaniu pielęgniarki.

– Miałyśmy taki miły poranek, prawda, pani O’Dare?... Przyglądałyśmy się, jak ptaszki kąpią się w kałuży i rzucałyśmy im okruchy chleba, czyż nie?... Pochyl się ociupinkę, kochana – znowu zsunął ci się jasieczek. O tak, teraz lepiej, prawda?... A potem zjadłyśmy ciasteczko z czekoladą i jak zawsze spierałyśmy się troszeczkę na temat naszej przedobiedniej drzemki. Później wysłuchałyśmy w radiu bardzo ładnego koncertu, prawda?

Elinor powoli podniosła głowę i rzuciła na mówiącą wściekle spojrzenie.

Buzz natychmiast poczuła przyływ nadziei.

– Wygląda na to, że nie jesteś w najlepszej formie, Neli. Ale nie martw się, postaram się jak najszybciej cię stąd wyciągnąć – odezwała się.

Kiedy przeszły do przegrzanego pokoju Elinor, Buzz zerknęła na przytwierdzoną do żelaznego łóżka kartę z wykresem temperatury i wykazem

podawanych lekarstw. Zmarszczyła brwi z niezadowolenia, kiedy przeczytała listę aż pięciu różnych środków uspokajających i uśmierzających: nic dziwnego, że Elinor wygląda na otumanioną i przygnębioną. Przypomniała sobie jednak nagle poruszenie chorej, zirytowanej paplaniną pielęgniarki, i to wspomnienie podniosło ją nieco na duchu. Zarazem przyszła jej do głowy pewna myśl. Jeżeli usilnie starają się traktować Neli jak osobę nienormalną, w końcu taka się stanie.

Ponownie spoglądając na kartę, zaczęła mówić coś do Elinor, ale nagle urwała, przypominając sobie, że w pokoju jest też Adam.

Odwróciła się do niego.

– Przywiozłam jej prezent. Jest w moim bagażu podręcznym, w czerwonym pudełku. Czy byłbyś tak uprzejmy i przyniósł go z samochodu? – Patrząc znowu na Elinor, odezwała się głośno, tak jakby zwracała się do osoby o słabym słuchu. – Neli, mam dla ciebie niespodziankę.

Kiedy tylko drzwi zamknęły się za Adamem, wyszeptała:

– Moja maleńka, co oni ci zrobili?

Elinor oparta o poduszki pokręciła głową, ale nie odezwała się.

– Wrócę tu jutro – obiecała Buzz – nic nikomu nie mówiąc. Na razie nie wolno ci brać żadnych pigułek, które ci podadzą.

Neli, słyszysz mnie? – Pochyliła się i potrząsnęła nią za ramię. – Nie bierz tych przeklętych pigułek! Trzymaj je pod językiem i udawaj, że przelżykasz. Potem wypłuj do chusteczki i schowaj pod poduszkę. Wszedł Adam.

– Poprawiam Neli poduszki – rzuciła żwawo.

Wychodząc z pokoju widziała, że Elinor milcząco wpatruje się w sufit. Prezent od Buzz, pudełeczko z masy perłowej, leżało, zignorowane, na stoliku koło łóżka; ale nawet w półmroku popołudnia wieczko wysyłało promienne błyski.

Kiedy wynajętą limuzyną wracali na lotnisko Heathrow, w pewnym momencie Buzz zapytała:

– Dlaczego nie powiadomiłeś mnie, że ona zachorowała? Na *Stella Polaris* mieli radiotelefon.

– Nawet gdybyś przy niej była, nic by to nie zmieniło, i dlatego wydawało się najśluszniesze nie przerywać ci wakacji – wyjaśnił Adam. Buzz zauważyła, że nie powiedział, kto uznał, iż nie powinno się jej przeszkadzać. Zaraz potem dorzucił ze smutkiem: – Nie wiadomo, czy Elinor kiedykolwiek wydobrzeje na tyle, by obejść się bez pomocy lekarskiej.

– Jestem tak samo dobrą pielęgniarką jak te młode australijskie damulki –

sarknęła Buzz.

Wtedy to Adam spokojnie wytłumaczył, że już u nich nie pracuje.

Buzz zacisnąwszy usta i z pobladłą twarzą słuchała jego słów, nie mogąc w nie uwierzyć. Jeszcze nigdy nie wylano jej z pracy. Nawet po tym, jak ją przyłapali z Gingerem Higbym w tym zmurszałym kościele. Nawet wtedy ta dziwka, komendantka z kobiecego pogotowia medycznego, bała się jej pozbyć.

– Czy Elinor wie o tej decyzji? – zapytała.

– Oczywiście, że nie – obruszył się Adam. – Jak sama widziałas, jest w tak złym stanie, że nie nadaje się nawet do rozmowy. Jednak powiernicy dogłębnie przemyśleli tę decyzję.

– Och, do diabła z powiernikami. Siedzą na Bermudach w swoich biurach, tysiące kilometrów stąd! – zaperzyła się. – Znam Neli sto razy lepiej niż oni! A także lepiej niż ty, taki młodzik!

– Naturalnie, masz rację – zgodził się Adam. – Ale w rzeczywistości to lekarze i konsultanci zajmujący się Elinor uznali, że nie będziesz jej już potrzebna. Wydawało mi się, że jasno ci to wytłumaczyłem.

Buzz, zaszokowana i rozgoryczona, nie odezwała się więcej, ale za to przywołała w pamięci wiele wspomnień: ich wyjścia do kawiarenek na Earls Court, kiedy Edward był malutki, i nieustanne pocieszanie Neli, gdy Billy chorował i był bardzo niespokojny. Przypomniała sobie ich trudności po wojnie z odremontowaniem Starlings. W tych czasach nawet rodzina królewska miałyby kłopoty ze znalezieniem zwykłej cegły czy kawałka drewna. Pamiętała, jak podtrzymywała Neli na duchu, kiedy kolejno odchodziły z domu jej wnuczki.

A teraz one właśnie pozbywały się jej! Najgorsze, że nie mogła porozmawiać z Elinor.

W końcu udało się jej opanować emocje na tyle, że spokojnie zapytała:

– Czy dziewczynki o tym wiedzą?

– To one prosiły mnie, bym powtórzył ci tę wiadomość – skłamał Adam. – Wszyscy musimy zrozumieć, że życie Elinor nagle uległo zmianie i prawdopodobnie jej zdrowie tylko się będzie pogarszało.

– I nie obeszło ich, że odejdę? – zapytała z bólem w głosie.

– Oczywiście, że obeszło. One bardzo, ale to bardzo cię lubią – przekonywał mężczyzna. Planował, że natychmiast po ulokowaniu Buzz w samolocie do Nicei wróci do Londynu i zadzwoni do Annabel do Nowego Jorku, po czym spotka się z Mirandą. Powie siostrze, że Buzz sama uznała, iż najlepiej zrobi odchodząc.

– Wiadomo, że dziewczynki mnie lubią! – Buzz przełknęła dalsze słowa

cisnące się jej na usta. Ocierała im przecież łzy, gdy płakały, wycierała ich pupy i kochała je, jakby były jej własnymi dziećmi.

Adam nie odezwał się, tylko wzruszył ramionami.

– Dokąd mam teraz pójść? – burknęła kobieta. W żadnym wypadku nie chciała okazać, jak czuła się upokorzona. Co ten gnojek sobie wyobraża? Zawsze była zdania, że zachowuje się tak, jakby był nie wiadomo kim. Z wysiłku, jaki wkładała w opanowanie wściekłości i cisnących się do oczu łez rozżalenia, do jej policzków powoli napływała krew. W końcu łamiącym się głosem powiedziała: – Nie możecie mnie tak po prostu wyrzucić. Po tylu latach!

– Ależ nikt cię nie wyrzuci – uspokajał ją Adam. Jednak Buzz dosłyszała w jego tonie lekceważącą nutkę, a może to było zadowolenie?

– Więc jak inaczej to nazwać?

– Ja nikogo nie wyrzucam. Zlecono mi, bym przypilnował, żebyś z wygodami przeszła na emeryturę.

– Emeryturę?

– Pracujesz już osiem lat dłużej, niż to zakładają przepisy – przypomniał. – Powiernicy zapewnili ci hojną pensję; będziesz mogła podjąć ją każdego miesiąca, w każdym punkcie globu. – Machnął ręką z szerokim gestem.

– Mówisz tak, jakbym wygrała w toto-lotka! – zauważyła gorzko kobieta, nadal walcząc ze wzburzeniem. Jak brzmiało to ulubione powiedzonko Elinor? Niemal słyszała jej głos: „Głupota żywi się inteligencją przyćmioną uczuciami”.

Zrozumiała, że musi być bardziej ostrożna, wykazać się sprytem i przekonać Adama, że przyjęła jego decyzję, dlatego też odejście nie sprzeciwiając się. Kipiąc z oburzenia i wściekłości powiedziała sobie, że w ten sposób z pewnością zwiedzie jego czujność i dopiero wtedy będzie mogła odkryć prawdę.

Mężczyzna, jakby z zastanowieniem, powiedział:

– Wydaje mi się, że źle się złożyło, iż nie mogłaś pozostać dłużej ze swoją przyjaciółką, panią Higby.

Któryś raz z kolei Buzz odniosła wrażenie, że Adam nie wyrażał się tak jak inni: zawsze zostawiał sobie otwartą furtkę. Nie potrafił po prostu oświadczyć: – Ten kot jest czarny. – Mówił: – Starając się patrzeć na to zjawisko jak najbardziej obiektywnie, wydaje mi się, że ubarwienie sierści tego kota przypomina kolor czarny.

Musisz, kochana, opanować się i powstrzymać języczek, przestrzegając się w duchu. Tańcz tak, jak on ci zagra. Spraw, by myślał, że jest zdolny przekonać cię do swoich pomysłów. Niech sobie wyobraża, że mu się udało. Na głos zaś

powiedziała:

– Myślę, że nic nie stoi na przeszkodzie, bym zamieszkała z Berthą, jeśli Neli rzeczywiście mnie nie potrzebuje.

– Wydaje mi się, że to wspaniały pomysł – pochwalił Adam. – Zwłaszcza że prawdopodobnie będziemy chyba zmuszeni sprzedać Saracen.

– Sprzedać Saracen! Elinor nigdy na to nie pozwoli.

– Saracen należy teraz do zarządu – stanowczo oświadczył mężczyzna. – Gdyby się okazało, że Elinor nie może tam mieszkać, powiernicy z pewnością dojdą do wniosku, że utrzymywanie tego miejsca jest zbyt kosztowne. W Saracen zamrożony jest ogromny kapitał, którego obecnie nie można ruszyć. Niepotrzebne też stanie się utrzymywanie pięcioosobowej służby i trzech sekretarek. Czy masz pojęcie, jakie pieniądze pochłania ten dom? Koszt wynajęcia kilku pokoi w domu opieki jest nieporównywalnie mniejszy.

– No tak, nie zdawałam sobie z tego sprawy – przyznała Buzz. – Ale ty najlepiej wiesz, co jest dobre dla Neli.

Buzz czekała w sali odlotów. Kiedy ogłoszono podstawienie samolotu do Nicei, podeszła do energicznej brunetki w niebieskim mundurze i oświadczyła, że źle się czuje i chyba lepiej zrobi, jeżeli zrezygnuje z tego rejsu. Stewardesa zaprowadziła ją do punktu medycznego lotniska, jednak pielęgniarka, która ją przebadła, nie stwierdziła nic poważnego. Zgodziła się jednak, że być może Buzz przemęczona jest już podróżowaniem samolotami i potrzebuje nieco odpoczynku.

Godzinę później Buzz zatrzymała taksówkę i wróciła do Eastbourne, gdzie zarejestrowała się w skromnym hotelu, który polecił jej taksówkarz.

Nie miała ochoty na przesiadywanie w małym holu okupowanym przez pretensjonalnie dystyngowane, wścibskie staruszki, które jak jeden mąż dziergały na drutach. Wolałaby raczej przejść się po promenadzie, obejrzeć urzekające architekturą domy stojące wzdłuż ulicy, jednak choć zbliżało się dopiero późne popołudnie, zapadał już zmrok i nic by nie zobaczyła. Postanowiła więc pójść do centrum miasta. Kupiła porcję frytek w sosie czosnkowym opakowanych w gazetę; wróciła do swojego pokoju, usiadła na łóżku i wolno pochrapując zajęła się myśleniem.

Po pierwsze, musi ponownie zobaczyć się z Elinor. Następnie zadzwoni do Mirandy, najbardziej stanowczej z trzech sióstr.

Nie robiła sobie wyrzutów, że zdecydowała się wyjechać na wakacje, choć rozumiała, iż Adam, który nigdy nie omieszkał skorzystać z nadarzającej się

okazji, i tym razem odpowiednio spożytkował jej nieobecność. Nieraz Buzz czytała w gazetach artykuły o starych ludziach przemocą zmuszanych do opuszczenia własnych siedzib i umieszczanych w domach starości; prawni opiekunowie zamiast dbać o ich interesy, po prostu ich okradali.

Podobnie źle się sprawy miały z domami starości, gdzie z pensjonariuszy bezwzględnie wyciskano wszystkie soki; właściciele tych domów bez skrupułów doili pieniądze z urzędów socjalnych, ale z dotacji mało co dostawało się rezydentom przytułków. Kierownictwo oszczędzało na jedzeniu, praniu, urządzeniach, zmniejszało do minimum personel, a wygospodarowane sumy wkładało do własnych kieszeni. Jeżeli takie procedury były na porządku dziennym w tanich domach opieki, nadzorowanych przez władze, to co dopiero działo się w tych z bogatymi pensjonariuszami, gdzie potencjalnie można było zyskać wiele więcej? Lord Willington wymyślił miejsce, w którym nikczemni łotrowie mogli lokować przeszkadzających im członków rodziny: wujków z demencją, nieporadne ciotki, zgrzybiałych dziadków i kuzynów, którzy od urodzenia nie byli całkiem normalni. Buzz przypomniała sobie siostrę Evans, która pracowała razem z Neli na oddziale C w La Chapelle. Po wojnie Evans zatrudniła się w jednym z tych bogatych szpitali dla wariatów, ale potem wyszła za mąż za luterańskiego pastora i przeniosła się do Szkocji. Buzz ze zgrozą wysłuchiwała jej opowieści o wykorzystywaniu bogatych pacjentów.

Niby z jakiego innego powodu niż wyciągnięcie z niej pieniędzy lekarze z domu starców przepisali Neli tyle leków?

Czy Adam był tego świadom? Buzz sama nie wiedziała, co ma myśleć, ale podświadomie wyczuwała coś złego: podejrzewała oszustwo, w które zamieszany jest też prawnik Elinor.

Skończywszy frytki, oblizała palce, zapaliła światło i zaczęła przygotowywać się do snu. Taka samotna i opuszczona nie czuła się od czasu, kiedy przed pięćdziesięciu laty po raz pierwszy wyruszyła we Francji na pole walki.

Rankiem następnego dnia Elinor leżała z zamkniętymi oczami i sprawiała wrażenie śpiącej. Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny ani razu nie zażyła podawanych jej lekarstw, a jedynie pozwoliła zrobić sobie zastrzyk; nie było sposobu, żeby temu zapobiec. Instynktownie wierzyła, że Buzz wróci i zabierze ją z tego miejsca, a potem pomoże jej wyzdrowieć.

Leżąc tak, starała się przełamać strach potęgowany przez zapach szpitala i lekarstw. Przede wszystkim bała się, że zwariuje. Kiedy próbowała się

skoncentrować, miała wrażenie, że jej mózg wypełnia kłęb waty. W głowie miała zamęt... tylko na moment mogła się skupić nad jedną myślą. Nie była chora, kiedy ją tu przywieźli... tak, tego jest pewna... ale teraz jest chora. Jak to się stało... chyba że?... Tylko w jaki sposób?... To proste... to te lekarstwa. Obawiała się, że decyzje podjęto za jej plecami i ten doktor o szczurzej twarzy nie mówił prawdy. Czyżby rzeczywiście była w gorszym stanie, niż jej się wydawało? A może w ogóle nie była chora? Jeśli tak, to dlaczego ją tu zamknęli?

To jest dla niej zbyt trudne. Poczekaj na przyjście Buzz.

Ale kiedy tak leżała, umysł podsuwał jej tragiczne wizje przyszłości. Co będzie, jeżeli straci kontrolę nad swoim ciałem? Przerazała ją perspektywa unieruchomienia i fizycznej zależności. Już teraz czuła się tak, jakby do jej nóg i rąk przywiązano wielkie ciężary; była bezbronna niczym robak po głowę zakopany w lotnych piaskach.

Jeszcze jedna wizja przemknęła jej przed oczami wyobraźni: ona, na pół zidiociała, zamknięta w jakiejś celi. Możliwe, że już nigdy nie będzie normalnie funkcjonować. Wyobrażała sobie, jak wożą ją w wózku inwalidzkim wzdłuż korytarzy, podłączają do olbrzymiej maszyny wydającej różne dziwne odgłosy i błyskającej mnóstwem światełek. I to był jej najgorszy koszmar; że będą sztucznie utrzymywali ją przy życiu, odsuwając śmierć.

Miejsce napawało ją poczuciem samotności, ale paradoksalnie pragnęła, by młode pielęgniarki o żywych twarzach, bezmyślnie paplające, odeszły i zostawiły ją w spokoju.

Następnego dnia, dokładnie w momencie, gdy zegar wiszący nad wejściem do domu opieki wybił dziesiątą, na podjeździe pojawiła się taksówka. Buzz uważnie odliczyła monety przeznaczone dla kierowcy, który z niezadowoleniem stwierdził:

– Nieduży ten napiwek, proszę pani.

– To jest dokładnie dziesięć procent. A poza tym, co takiego pan zrobił, żeby na niego zarobić? Nawet nie pomógł mi pan wysiąść.

– No wie pani, pada śnieg.

– Waśnie.

Zanim weszła do środka, stanęła pod imponującym portykiem i starannie otrzepała buty ze śniegu. Poprawiła źle układającą się na wiosennym płaszczu, narzutkę z futerka wiewiórki, po czym otworzyła drzwi i poprosiła o widzenie z panią O'Dare.

Uśmiechnięta recepcjonistka kazała jej poczekać i zniknęła.

Zamiast niej pojawiła się, też uśmiechnięta, przełożona Braddock. Potężnej postury kobieta z napięciem unosząc brwi, przyglądała się Buzz.

– Czy pan Grant przyjechał razem z panią? – Starła się mówić grzecznie i ujmująco, ale w oczach tliła się stanowczość. – Zwykle towarzyszy odwiedzającym. Nie chcielibyśmy, by przeszkadzano pani O’Dare, zwłaszcza jeśli nie życzy sobie ona spotkać się z gościem.

– Byłam tu wczoraj, właśnie z panem Grantem – przypomniała Buzz. – Jutro wracam na południe Francji. Chciałam przed wyjazdem jeszcze raz zobaczyć się z panią O’Dare.

Weszła do pokoju Elinor, która powoli uniosła powieki.

– Cześć, Buzz – wyszeptała, czując jak zadowolenie ciepłą falą rozgrzewa jej ciało. Teraz może już przestać się martwić. Buzz zajmie się wszystkim.

Usiadła na prostym, drewnianym krześle stojącym przy łóżku chorej, ściskając na kolanach swoją staroświecką torebkę. Pielęgniarka wyszła z pokoju.

– Neli, czy możesz chodzić? – zapytała szeptem. – Czy sama chodzisz do toalety?

– Tak – słabym głosem potwierdziła Elinor. – Jeszcze nie udało im się zrobić ze mnie aż takiej kukły.

– Popatrz, co się dzieje, kiedy tylko się odwrócę – denerwowała się Buzz. – Te świństwa, którymi cię faszerają, zabiłyby całą horde kotów. Jak tylko stąd wyjdiesz, natychmiast doprowadzę cię do dobrego stanu. I już nigdy nigdzie nie wyjadę.

– Kochana, kochana Buzz. Ale oni nie wypuszczą mnie stąd. Będą się sprzeciwiali. Zmusili mnie, żebym coś podpisała.

– Przypuszczam, że zarejestrowałaś się jako dobrowolny pacjent; w ten sposób mają podkładkę, tak mówiła Evans. Oczywiście, że nie chcą cię stąd wypuścić. Nic nie zarobią, jeśli odejdziesz. Założę się, że twój pobyt tutaj musi nieźle kosztować.

– Rozejrzała się po pokoju. – Ale ja nie boję się tej krowiastej przełożonej, nawet jeśli przypomina mi moją komendantkę. Tak samo nie boję się Adama.

Oczy Elinor wypełniły się łzami.

– Czy naprawdę sądzisz, że Adam...

– Przecież to on cię tu ulokował, biedna owieczko.

– Dlaczego dziewczynki na to pozwoliły? – zapytała ze smutkiem Elinor. Jak przez mgłę przypominała sobie wizytę Annabel i Mirandy. Klara w ogóle nie przyszła. Kiedy Adam zadzwonił z Londynu, poinformował ją, że wnuczka nadal odmawia widzenia się z nią; sugerował, że dziewczyna oczekuje przeprosin. Cóż za

idiotyczna sytuacja. Obydwie zachowały się bezmyślnie. Oczywiście, że przeprosi Klarę.

– Dziewczynki ufają Adamowi – zauważyła Buzz. – Ale on, coś mi się wydaje, zaczyna się strasznie szarogęścić. Wszystkich ustawia. Stwierdził nawet, że Saracen jest zbyt drogie, by je nadal utrzymywać. Powiedział mi, że powiernicy zamierzają je sprzedać, a ciebie zostawić tutaj, bo tak będzie taniej.

– Sprzedać Saracen! Nigdy! Dlaczego Adam tak się tym przejmuje? Przecież nic na tym nie zyska...

– On coś knuje – oświadczyła z przekonaniem Buzz. – Nie będziemy się jednak tym teraz martwić. Musimy cię stąd wydostać, a zrobimy to następująco!

Elinor uważnie słuchała słów kobiety, która pochyliła się do jej ucha i szeptem referowała plan.

– Natychmiast wróć do Eastbourne. Kupię dwa identyczne płaszcze i kapelusze w jasnych kolorach. Jutro przyjadę tutaj o dziesiątej i każę taksówkarzowi, żeby na mnie czekał. Poproszę go, żeby odjechał na bok, tak by nie blokował podjazdu. Polecę mu, by czekał tuż za tamtym rogiem. Następnie wejdę do środka z moją walizką, żeby przełożona myślała, że wpadłam w drodze na lotnisko. Nie powinna się dowiedzieć, że miałam odlecieć wczorajszym rejssem.

– Dzięki Bogu, że tego nie uczyniłaś.

– Neli, w walizce schowam płaszczy i kapelusz – takie same jak moje – ale przeznaczone dla ciebie. Przyniosę ci też jakąś sukienkę. Otworzę te przeszkłone drzwi do ogrodu. Wyjdiesz nimi powoli, z odwróconą głową i dojdiesz do taksówki. Ja będę czekała, aż do niej dotrzesz; potem po prostu wyjdę głównym wyjściem z pustą już walizką. Następnie, jak najszybciej, dostaniemy się na lotnisko i złapiemy pierwszy samolot do Nicei.

– Buzz, kochana Buzz, twój plan jest genialny. – Elinor skrzywiła się i zaczęła płakać.

Nagle drzwi do pokoju otworzyły się i do środka weszła siostra przełożona. Stanowczym głosem oświadczyła:

– Nie wolno nam przemęczać pani O'Dare.

Buzz wstała.

– Właśnie wychodziłam. Wpadnę jeszcze jutro, żeby się pożegnać przed odlotem. – Pogroziła palcem Elinor. – Bądź grzeczną dziewczynką i słuchaj się we wszystkim lekarzy.

Jadąc z powrotem Buzz jeszcze raz przemyślała swój plan; postanowiła, że

ucieczkę potraktuje jak zabawę, tak jak to bywało w czasie wojny, kiedy wraz z Neli podejmowały niebezpieczne eskapady. Resztę drogi poświęciła wspomnianiu tamtych czasów, niekiedy wesołych, niekiedy wypełnionych smutkiem, ale w tej chwili wywoływały one na jej twarzy uśmiech.

Zapadał już zmrok, kiedy taksówka zatrzymała się przed hotelem. Wysiadła, zapłaciła kierowcy, odwróciła się z zamiarem wejścia do środka budynku i w tym momencie poczuła trząśnięcie. Po chwili stwierdziła, że leży twarzą w śniegu, cała obolała, bez możliwości poruszenia się. Była bezbronna jak chrabąszcz odwrócony na plecy.

W jednej sekundzie zrozumiała, że złamała biodro.

Zdenerwowała się, że doszło do wypadku, i to w chwili, gdy nic takiego niebezpiecznego nie robiła; nie goniła na przykład za odjeżdżającym autobusem. Miała jednak swoją prywatną teorię na ten temat. Starzy ludzie łamali kończyny nie dlatego, że się przewracali, ale ponieważ ich kości ulegały stopniowemu odwapnieniu. Tak jak jej biodro.

Taksówkarz podbiegł do leżącej:

– Szczęście, że zauważyłem we wstecznym lusterku, co się stało, bo już miałem odjeżdżać.

Kiedy pognął do hotelu wezwać pomoc, Buzz zdała sobie sprawę, że będzie musiała odłożyć na później ucieczkę Elinor. Trzeba ją o tym powiadomić. Zadzwoń do Mirandy.

Następnego dnia Elinor nadal nie połykała podawanych jej lekarstw, tylko przetrzymywała je pod językiem, a następnie spuszczała z wodą w toalecie. Z trudem opanowując emocje, czekała na przyjazd Buzz.

Ale ta się nie pojawiła.

Po kilku dniach, w ciągu których nie było żadnego telefonu, listu czy wiadomości od Buzz, Elinor zaczęła tracić nadzieję. Pielęgniarki zorientowały się, że nie bierze lekarstw, które jej podają, więc zaczęły aplikować je rozpuszczone w napojach. W chwilach, kiedy jej umysł stawał się świeższy, zastanawiała się, czy przypadkiem nie traci już zmysłów.

Rozdział 22

Pan Grant? Proszę go natychmiast wpuścić. – Miranda ubrana w elegancką sportową garsonkę, zapiętą wysoko pod szyję, odłożyła słuchawkę telefonu i popatrzyła na stojący na stole zegarek od Cartiera. Musiała jeszcze przejrzeć piętrzący się przed nią stos notatek i przed jutrzejszym zebraniem zarządu podjąć odpowiednie decyzje.

Adam z rękami w kieszeniach spodni niespiesznie wkroczył do środka. Popatrzył na bladą, wyczerpaną twarz Mirandy i powiedział:

– Pomyślałem sobie, że może będziesz miała ochotę urwać się wcześniej i pójść ze mną na „Hair”.

„Hak”, psychodeliczny musical o amerykańskiej młodzieży, miłości i muzyce rockowej sławił wartości hipisowskie, wolną miłość, haszysz i nienawiść do wojny wietnamskiej. Premiera odbyła się w dzień po zniesieniu wydanego przez marszałka dworu zakazu wystawiania musicalu.

– Z wielką chęcią, ale... – Wskazała palcem stertę papierów. – I muszę jutro znaleźć trochę wolnego czasu, żeby odwiedzić Buzz. – Staruszka nadal przebywała w szpitalu w Eastbourne.

– Przynajmniej na jeden wieczór zapomnij o wszystkim. Musimy coś uczcić. W pierwszym roku działalności naszego towarzystwa zyski przed podatkiem zwiększyły się o dwadzieścia procent.

– Ale KITS ma stratę na trzystaście tysięcy funtów – przypomniała Adamowi Miranda.

Wzruszył ramionami. – To zrozumiałe. KITS ponosił koszty wydatków SUPPLYKITS w czasie pierwszego roku jego istnienia – łącznie z ogromnymi płacami konsultantów i odsetkami bankowymi. Patrząc na ogólną sytuację towarzystwa, nie można uznać, że poniosło ono straty.

– Nie martwię się tylko stratami – zauważyła Miranda. – KITS ma słaby sztab średnich dyrektorów i źle zorganizowaną wewnętrzną komunikację; mamy przez to mnóstwo problemów. Potrzebujemy też lepszej dystrybucji, ale nas na nią nie stać.

– Jeżeli wiesz, gdzie leży zło, nie będzie ci trudno go naprawić.

– Z pewnością, gdyby nie brakowało mi czasu. – Zniechęcona odłożyła długopis na biurko. – Chciałabym cofnąć zegar o dwa lata, kiedy całkowicie mogłam się poświęcić prowadzeniu KITS. Doprowadza mnie do szału, że muszę marnować czas na pozowanie do zdjęć i udzielanie wywiadów.

– Twój prawdziwy problem, Mirando, polega na tym, że osiągnęłaś duży sukces, i to bardzo szybko. Niektórzy ludzie wręcz ci tego zazdroszczą.

– Każdego ranka po przebudzeniu zapytuję samą siebie, dlaczego, jeśli mi się tak powiodło, czuję się bez przerwy zmęczona i nieszczęśliwa?

– Potrzebujesz po prostu kilku dni odpoczynku – ze współczuciem poradził Adam. – Dlaczego na przykład nie polecisz do St. Moritz na długi i leniwy weekend? Zafunduj sobie trochę śniegu i słońca. – Z dłońmi wepchniętymi w kieszenie spodni podszedł do biurka w kształcie podkowy.

Miranda obróciła się w białym skórzanym fotelu, – by na niego spojrzeć. Roześmiała się.

– Adamie, to do ciebie niepodobne. Czego chcesz?

Mężczyzna pochylił się i szybko odpiął guziki jej eleganckiej marynarki.

– Chcę ciebie – stwierdził stanowczo i wsunął rękę za szarą flanelę ubrania.

Nigdy nie pozwalał sobie na intymności, gdy byli w biurze. Miranda nie spodziewała się takiego zachowania, jednak jej ciało natychmiast zareagowało na dotknięcie. Drżąc sięgnęła za siebie, do telefonu.

– June? Żadnych więcej rozmów, proszę – poleciła trochę zbyt sztywnym głosem.

Adam pociągnął ją z krzesła, odpiął jeszcze dwa guziki, szybko rozsunął suwak spódnicy: Miranda stała przed nim tylko w żółtym staniku i czarnych szpilkach. Westchnęła.

– Umawialiśmy się... nigdy w biurze...

– Nie przypominam sobie. – Adam podniósł ją i posadził na biurku: notatki zsunęły się na ziemię, a za nimi z trzaskiem zegarek Cartiera.

– Butów nie będziemy zdejmować – oświadczył.

– Adamie, po prostu nie powinnam tak ryzykować. Gdyby weszła June, po sekundzie wieść rozeszłaby się po całym gmachu. Nie mogę przecież zamknąć drzwi na klucz. Chodźmy do mnie i...

Przerwał jej, ale nigdy nie spodziewałaby się, że usłyszy słowa, które właśnie padły z jego ust. Popatrzył na jej płomienne włosy i nagie, opalone ciało, i powiedział:

– Kocham cię.

Miranda nie potrafiła wydobyć z siebie głosu. Zaczął ją pieścić. Mruczał pod nosem:

– Kocham twoje piersi, kocham twoje pośladki. Kocham cię, bo jesteś taka podniecająca. I kocham patrzeć, jak się kochasz.

– Tylko z tobą – szepnęła.

Sięgnął ręką na półkę, po pudełko z próbkami kosmetyków. Otworzył je i wyjął karmazynowa szminkę do ust, po czym napisał nią na piersiach kobiety: WIELKIE CYCKI.

Delikatnie obrócił Mirandę i zanurzywszy palec w turkusowym cieniu do powiek, na pośladvkach namalował napis: WSPANIAŁA DUPA.

Jeszcze raz miękko obrócił ją do siebie, rozsunął jej nogi; fioletową kredką do oczu nakreślił strzałki na obydwu udach. U szczytu strzałek napisał następne słowa wyrażające zachwyty.

Szkarłatną kredką do ust okrążył jej nadgarstki, zieloną kredką do robienia kresek na powiekach obrysował nogi na wysokości kostki. Całe jej ciało pokrył kolorowym grafitti.

W końcu wyciągnął drogi pędzelek do nakładania różu i okrężnymi ruchami zaczął masować nim jej krocze.

Nieco później, kiedy jechali do teatru prowadzonym przez szofera Mercedese, Miranda z uszczęśliwioną twarzą wtuliła się w Adama.

– A przy okazji – odezwał się, jakby właśnie coś sobie przypomniał. – Mówiłaś, że potrzebujesz polepszyć dystrybucję w KITS?

Kiwnęła głową.

– Chciałabyś zapewne rozszerzyć ją na inne kraje, gdzie systemy KITS dopiero są wdrażane?...

Ponownie przytaknęła ruchem głowy.

– Tak się składa, że SUPPLYKITS także potrzebuje więcej gotówki. Wygląda na to, że będziemy mieli okazję odkupić firmę wysyłkową Stiebel-Stein i zastanawiam się nad sposobami zebrania funduszy. Prawdę mówiąc, to właśnie zamierzałem z tobą omówić, kiedy przyszedłem do biura.

– Powiedz mi coś bliższego – sennie poprosiła Miranda, zastanawiając się, czy zdoła wytrzymać do końca przedstawienia.

– Będziemy mieli prawo wypuścić akcje.

Natychmiast oprzytomniała. Wiedziała, że jeśli przedsiębiorstwo wypuszczało dodatkowe akcje, wartość już istniejących spadała.

– Nie podoba mi się pomysł dalszego osłabiania pozycji moich akcji – oświadczyła.

Adam zignorował jej wypowiedź.

– Żeby zebrać odpowiedni kapitał, potrzebujemy jedno prawo zakupu na trzy

akcje.

– To oznacza wypuszczenie jednej akcji na trzy już istniejące. Chcesz mnie przekonać, że zamiast posiadać trzy pomarańcze, lepiej jest być właścicielem trzech czwartych z czterech pomarańczy.

– Dokładnie. Nadal wartość twoich akcji nie zmieni się, a towarzystwo podwoi obrót kapitałowy.

– Czy emitowanie akcji nie zwiększa zagrożenia przejęcia SUPPLYKITS? – z przestachem zapytała Miranda.

– Teoretycznie tak, ale to się nie zdarzy, dopóki towarzystwo jest rentowne i akcjonariusze zgadzają się z polityką jego zarządzania. – Adam poklepał ją po kolanie. Instynktownie odsunęła się od niego.

– Pamiętaj, że tylko niewielu dyrektorów naczelnych posiada pakiety kontrolne państwowych przedsiębiorstw – tłumaczył cierpliwie. – Martwisz się bez powodu. Twoi akcjonariusze ufają ci całkowicie. I nie zapominajmy, że jesteś ważna dla firmy także z innych powodów: jesteś głównym akcjonariuszem i tworzysz *image* firmy. Miranda westchnęła.

– Adamie, wolałabym, żebyś nie zaskakiwał mnie takimi pomysłami, kiedy zupełnie nie jestem na nie przygotowana.

– Przepraszam, kochanie. Wydawało mi się, że pociągnie cię to tak samo, jak mnie. – No tak. Powinien zastosować swą zwykłą taktykę. Zawsze, kiedy chciał, by podpisała dokument, o którym wiedział, że mogłaby go odrzucić, wsadzał go pomiędzy inne papiery i przedstawiał jej pod koniec dnia, kiedy była już bardzo zmęczona. Dodawał wtedy, że dokumenty wymagają natychmiastowej decyzji. Gdy je przeglądała, mógł w każdej chwili oderwać jej uwagę, zadając jakieś nieistotne pytanie. Jeżeli jednak miała wątpliwości, podtykał jej ekspertyzy. Miranda ufała mu i w końcu dawała się przekonać.

Następnego popołudnia Miranda pojechała do Eastbourne. Widok Elinor niezmiennie ją przygnębiał: babka leżała nieruchomo w czysto poślanym łóżku, blada, słaba i wyczerpana.

Jak zawsze ją poznała, choć wydawała się zbyt zmęczona, by wymówić jakieś słowo.

– Co z Buzz?

– Czuje się świetnie, zupełnie dobrze – stwierdziła Miranda. Nie powiedziała babce o wypadku Buzz. Nie chciała bardziej jej przygnębiać.

– Dlaczego więc mnie nie odwiedza? – dopytywała się Elinor.

- Wróciła do... Saracen – skłamała dziewczyna.
- Chciałabym, żeby pozwolili mi tu mieć telefon – wyszeptała staruszka.
- Nie, moja droga, nie, dopóki bierzesz lekarstwa – sprzeciwiła się smutno

Miranda.

Potem pojechała do szpitala Eastbourne. Buzz leżała w łóżku w pokoju o jasnozielonych ścianach malutkim jak pudełko od butów. Tego samego koloru rury wiły się na dole i u góry ścian, tworząc na suficie skomplikowane wzory.

Staruszka zdjęła z uszu słuchawki radiowe.

– Dobra z ciebie dziewczyna, bo przysłaś odwiedzić swoją starą Buzz. Czekałam na to spotkanie cały dzień. Różowa azalia! Niepotrzebna ekstrawagancja, jesteś niepoprawna!

– A od Annabel przyniosłam ci tę narzutkę.

– Różowy marabut! Czuję się jak jakaś gwiazda filmowa!

– Nie mogli przydzielić ci ładniejszego pokoju? – zapytała Miranda, porównując luksusowy apartament Elinor z surowym wnętrzem tego pudełeczka, najlepszego pokoju, jaki szpital miejski w Eastbourne mógł zaoferować.

– Ach, Mirando, nie rób z tego sprawy – ofuknęła ją Buzz. Z napięciem zapytała: – Czy odwiedziłaś też swoją babkę? Dlaczego nie mogę do niej zatelefonować?

– Chcą, żeby wypoczywała. Zabrali jej telefon, kiedy zadzwoniła do pałacu Buckingham, żeby poskarżyć się królowej.

– Pompują w nią tyle świństw! Większość czasu Neli nie zdaje sobie sprawy, co robi! Powinnaś ją stamtąd zabrać. Przenieś ją do kliniki do Londynu i przekonaj się, co powiedzą tamtejsi lekarze.

Miranda odwróciła wzrok. Gdyby wspomniała o paranoi, staruszka upierałaby się, że Elinor padła ofiarą szarlatanów. Doskonale znała poglądy Buzz na temat psychiatrii. Psychiatrzy to dla niej kaskaderzy z cyrku, których nie można traktować poważnie, którzy szerzyli plotki, że dorośli mężczyźni kochają się w swoich matkach: obrzydliwe.

Starając się nie urazić chorej, powiedziała:

– Jestem pewna, że jak na razie babcia znajduje się w najodpowiedniejszym dla siebie miejscu. Nie możemy wtrącać się do kuracji, którą jej zlecono.

– Kuracji! – prychnęła staruszka. Zastanawiała się, dlaczego Miranda, zazwyczaj taka stanowcza, robi to, czego życzy sobie Adam. Ale właśnie z tego powodu nie mogła się jej zwierzyć. Tak więc nie uratuje Elinor, dopóki sama nie opuści szpitala. Nawet nie mogła do niej napisać, bo z pewnością list przeczytałaby

ta obrzydliwa przełożona.

W urządzonym w stylu lat trzydziestych, luksusowym „Savoy Grill” Adam zamówił drogie wina do potraw – ostryg Coichester, pasztetu *foie gras*, steku *porterhouse* – wybranego przez jego gościa, Alistaira Stacey-Crippsa, kolegę z lat szkolnych, a teraz maklera giełdowego.

Kiedy kelner odszedł, gość Adama kontynuował przerwana wypowiedź.

– W południe cena akcji wynosiła czterdzieści sześć szylingów, co daje trzy miliony funtów wartości SUPPLYKITS.

Adam kiwnął głową.

– Proponujemy jedną na trzy istniejące akcje z ośmioprocentową zniżką.

– Jesteś pewien, że Miranda nie będzie chciała podjąć swoich akcji?

– Tak. Ostatnio zarząd odmówił jej prośbie o nowy samolot, a także pieniędzy na rozbudowanie domu. – Po chwili zastanowienia dodał: – W gruncie rzeczy będzie zachwycona, że może je sprzedać.

– I masz pewność, że to kontrolowane przez ciebie Towarzystwo z Bermudów pożyczyci mi na zakup akcji pół miliona funtów bez oprocentowania?

– Całkowitą. Później ty sprzedasz je mnie, z własnym zyskiem sześciu pensów na każdej.

– Po ukazaniu się twojego zawiadomienia – przypomniał Alistair. Choć nie było to ustawowo nakazane, dyrektor przedsiębiorstwa państwowego miał obowiązek zawiadomić prezesa zarządu o zamiarze handlu akcjami. – Chcę, żeby to było absolutnie jasne – ciągnął. – Obecnie Miranda posiada sześćdziesiąt procent akcji, ty piętnaście, reszta należy do innych akcjonariuszy. Jeżeli dalej pociągniemy nasz plan, Miranda zostanie z czterdziestoma pięcioma – minimalny udział – a po przejęciu jej udziałów i uzyskaniu prawa poboru ty osiągniesz trzydzieści trzy procent.

Adam skosztował wina, po czym kiwnął głową. Kelner ostrożnie nalewał do kieliszków Chateau Margaux rocznik czterdziesty piąty.

– Czy chcesz, żebym, tak szybko jak się tylko da, wykupywał akcje pozostałych akcjonariuszy? – dociekał Alistair.

Adam znowu kiwnął głową.

– Fundusze staną się osiągalne, jeżeli je przejmiesz.

– Fundusze tego Towarzystwa z Bermudów?

Po raz trzeci Adam wykonał potwierdzający ruch głową.

– Adamie, zdajesz sobie sprawę, że mam obowiązek poinformować SUPPLYKITS o przejętych akcjach?

– Jeżeli ktoś zechce to sprawdzić, możesz wytłumaczyć się opieszałością swojej administracji. Sporządź kopię zawiadomienia i będzie wyglądało, jakbyś je wysłał. Listy często giną.

– Wyśmienite wino – pochwalił Alistair. Podniósł kieliszek. – Pijemy za twój pakiet kontrolny.

WTOREK, 7 MAJA 1968

Adam czekał na telefon w bibliotece w swoim apartamencie, popijając swą cowieczorną whisky. Wreszcie Alistair zadzwonił.

– Kupiłem następne szesnaście procent akcji SUPPLYKITS. Teraz kontrolujesz czterdzieści sześć procent, to znaczy jeden procent więcej niż Miranda. Nie mogłem kupić więcej, bo ceny podrosły – za dużo kupujących. Cena zamknięcia wyniosła sześćdziesiąt szylingów, co daje dla przedsiębiorstwa łączną wartość pięć przecinek jeden miliona.

– W porządku. Ile kosztowało wykupienie akcji?

– Jeden milion czterysta sześćdziesiąt jeden tysięcy sto pięćdziesiąt funtów.

– W takim razie zarobiłeś niezłą sumkę, Alistair – przypomniał Adam.

Mężczyzna po drugiej stronie linii nie mógł się powstrzymać od zadania pytania:

– Czy Miranda nie wyczuła pisma nosem?

– Alistair, Miranda jest niezmiernie szczęśliwa. Jej akcje zwyżkują i są teraz warte dobrze powyżej dwóch milionów funtów.

W rzeczywistości Miranda zaniepokoiła się nagłym skokiem swoich akcji; zapytała, czy przypadkiem ktoś nie chce przejąć nad nimi kontroli.

Na jej zdenerwowanie Adam zareagował śmiechem. Poradził jej, żeby nie podchodziła do sprawy tak dramatycznie. Mogliby się spodziewać zakusów na ich firmę, gdyby mocno stała na nogach, ale nie kiedy uczy się chodzić.

W momencie gdy odłożył słuchawkę, zaanonsowano gościa – niewysokiego, o dobrodusznej twarzy, łysiejącego mężczyznę, który wyglądał na co najmniej piętnaście lat więcej, niż w rzeczywistości wskazywał jego wiek trzydziestu pięciu lat.

– Cześć Paul – przywitał go Adam. – Jak minęła podróż?

– Zupełnie nieźle. Podaj mi, proszę, słabą whisky. – Paul Littlejohn ostrożnie

ulożował się na sofie. – Jak się czuje pani O’Dare?

– Przykro mi stwierdzić, że nadal żyje – skwitował gospodarz. – Ale już niedługo. Jasno wytłumaczyłem Craig-Dunlopowi, że rodzina nie chce, żeby przedłużano jej egzystencję ze względów religijnych. Zrozumiał przesłanie: olbrzymia nagroda po jej śmierci albo przeniesienie jej do innego domu starości, jeżeli wkrótce nie umrze.

– Jej śmierć nie jest już istotna. Posiadam faktyczną kontrolę nad zarządem. W świetle przepisów nie masz już, Adamie, żadnego prawa głosu. – Littlejohn wzruszył ramionami. – A nasze akcje nie mogą być podważone przez żadne urzędy ani bermudzkie, ani brytyjskie, ani żadne inne.

Adam uśmiechnął się.

– Jaki jest stan naszych dochodów?

– Wszystkie opłaty spłynęły już na konto; dwa procent odtrąciła sobie moja firma – ustalona prowizja od transakcji. Reszta natychmiast została przesłana na odpowiednie konto w banku szwajcarskim.

– A transfer kapitału, co z nim? Stanowi skomasowaną część fortuny.

– Ach, z tym nie można się spieszyć, musimy być ostrożni.

– Paul Littlejohn upił łyk whisky. – Wszystkie akcje zostały sprzedane, a gotówka ulokowana po różnych bankach, zgodnie z twoimi instrukcjami. Jednakże nie mogę za jednym zamachem przelać tych pieniędzy do Szwajcarii. Gdybym tak uczynił, władze bermudzkie, po odkryciu przez siostry, że pieniądze zniknęły, zaczęłyby zadawać nieprzyjemne pytania.

– Zostaw to mnie.

Littlejohn podniósł rękę w ostrzegawczym geście.

– Muszę uważać, bo to na mnie padnie podejrzenie.

– Płacę ci za to kupę forsy. Czy wszystko toczy się, tak jak ustaliliśmy?

Littlejohn kiwnął głową.

– Fundusze na bieżąco są inwestowane w naszych fikcyjnych przedsiębiorstwach. Ich wartość przez następne sześć miesięcy dramatycznie zmaleje.

– Bardzo dobrze!

– Ale, Adamie, ostrzegam cię, że muszę zostawić coś w Dove Trust, trochę powyżej piętnastu procent, inaczej nie będę mógł wytłumaczyć się z tego, co zrobiłem.

– Nie rozumiem, dlaczego nie możesz wyczyścić konta?

– Nie ma nic złego w zainwestowaniu w złe przedsięwzięcia – cierpliwie

wyjaśniał Littlejohn. – Nikt nie potrafi przepowiadać przyszłości, poza tym gra na giełdzie jest hazardem. Ale jeżeli zostawimy pustą kasę, potraktują nas jak szachrajów, jak aferzystów, i nie ujdzie mi to na sucho.

Adam na chwilę pogrążył się w rozmyślaniach.

– Jeżeli mam im zostawić te piętnaście procent, w takim razie muszę przestać pompować forszę w te dziwki. Nawet już poczyniłem pewne cięcia. I jak najszybciej sprzedam ten przeklęty dom.

– Nie bądź zbyt zachłanny – poradził Littlejohn. – Nie możemy dopuścić, żeby w przyszłym roku wlaźł nam na kark urząd skarbowy. Tylko to mnie martwi. Przez ten czas nie powinniśmy wzbudzać żadnych podejrzeń. Staraj się zamknąć siostrom usta, twoja sprawa, jak to zrobisz.

– Zostaw to mnie – z przekonaniem oświadczył Adam. – Dopilnuję, żeby siedziały cicho. Ty natomiast przelej pieniądze na szwajcarskie konta. Im szybciej, tym lepiej!

Paul Littlejohn kiwnął głową. Bez słów wiedział, że kiedy tylko płatności spłyną na numery pięciu różnych kont w Szwajcarii, nastąpi ich transfer na inne konta, znane jedynie Adamowi.

CZWARTEK, 23 MAJA 1968

Adam siedział przy swoim stałym stoliku w „Savoy Grill”, tym dyskretnie usytuowanym naprzeciwko wejścia, tak że nie będąc sam zauważony, dokładnie widział wchodzących do restauracji. Zamówił jaja przepiórcze i po raz wtóry przeczytał list od Lloyda: informowano go o kwocie, którą wkrótce miał złożyć do likwidacji.

Podniósł wzrok, kierując go na szczupłą sylwetkę swojego gościa. Wsunął list do kieszeni kurtki i wstał.

– Miło cię widzieć, Scott.

Scott Svenson miał na sobie niebieskie dżinsy i kurtkę nałożoną na zielony podkoszulek, do tego szeroki, łososiowy krawat w pasy, który idiotycznie kontrastował z resztą ubrania. Krawat pożyczył od szatniarza, inaczej by go nie wpuszczono.

Scott usiadł.

– Cześć, Adam! – Zauważył, że gospodarz nie zmienił sposobu ubierania się. Podczas gdy wszyscy dokoła zapuścili włosy do ramion, zawieszali sobie na szyjach złote łańcuszki, zakładali koronkowe różowe koszule i rozkloszowane

spodnie oraz kolorowe buty na platformach, Adam nadal zachował staranną tradycyjność stylu. Scott gotów był się założyć, że nigdy nie ubrałby się w kurtkę z wężowej skóry, którą Annabel podarowała mu w prezencie gwiazdkowym.

Nie zaglądając nawet do menu, oświadczył:

– Zjem to, co ty, plus szklanka mleka. Mam przed sobą ciężkie popołudnie, a jutro wyjeżdżam do Paryża, choćby balonem, jeśli się nie da inaczej. Filmuję rozruchy.

– Miło mi stwierdzić, że prowadzisz bardziej urozmaicone życie niż ja.

– To nie takie proste. – Praca w stacji zabierała Scottowi więcej czasu, niż przypuszczał, zmuszała go do większej, niżby chciał, koncentracji.

– Nic nie jest takie proste.

– Chciałem się z tobą spotkać w związku z Annabel – poinformował Scott.

– Czy coś się stało? Rozmawiałem z nią jakieś dwa tygodnie temu. Wybierała się z wizytą do Buzz.

Buzz miała już wyjść ze szpitala, ale obluzowała się śruba założona w biodrze i należało wymienić całą główkę.

Scott bacznie przyglądał się rozmówcy swoimi zielonymi oczami w złote cętki, po czym odezwał się:

– Annabel nie rozumie, dlaczego początkowo powiernicy wypłacali jej znaczne sumy, a w tej chwili odmawiają nawet niewielkich.

Adam popijał wino.

– Miranda i Annabel wybierały pieniądze złożone w depozycie. Ponieważ źródółko wyschło, domyślam się, że zarząd chce ponownie zebrać kapitał, z którego z czasem znów bez ograniczeń będą mogły korzystać. – Kelner postawił przed nimi mieszaną wołowo-wątróbkową pieczeń. Adam zakończył myśl: – Ponadto powiernicy muszą płacić duże pieniądze za szpital Elinor. – Powąchał sałatkę z gotowanego groszku. – Dobra, gotowana w świeżej mięcie. Jak ci wiadomo, Scott, nie ja zarządzam Dove Trust, ale jeżeli Annabel potrzebuje pieniędzy, mogę spróbować załatwić z nimi większe wypłaty.

– Annabel wolałaby zamiast sporadycznych dużych sum otrzymywać stałą, średniej wysokości wypłatę – oświadczył Scott. – I jeśli nie ty kontrolujesz zarząd, Adamie, najwyższy czas, byśmy dowiedzieli się, kto to robi. Chcemy wiedzieć wszystko na temat Dove Trust i jego zarządców. Chcemy poznać jego strukturę, cele i zobowiązania. Musimy się dowiedzieć, jakimi funduszami dysponuje przedsiębiorstwo, gdzie one są ulokowane i jakiego regularnego zysku możemy się spodziewać z globalnego kapitału.

Adam nałożył sobie sałatkę z groszku.

– Myślę, że Annabel dostała już te informacje, choć patrząc z drugiej strony, nie ma żadnych prawnych podstaw, dla których musiałyby je znać. Towarzystwo działa na tych samych zasadach, co inne, z rocznymi wyliczeniami sporządzanymi przez wykwalifikowanych księgowych. Choć znowu nie jest to wymóg prawny. Jeśli się dobrze orientuję, końcowe rozliczenie za 1967 rok podpisano w zeszłym tygodniu. Przypilnuję, żeby kopia tego dokumentu dotarła do Annabel.

– Czy sprawozdania księgowości sporządza się tylko raz na rok?

– Taka jest przyjęta praktyka. – Adam postanowił działać na zwłokę. Nie chciał, by dziennikarz wścibiał swój ciekawski nos w sprawy Towarzystwa. – Jeśli sobie tego życzysz, Scott, mogę namówić ich na robienie kwartalnych sprawozdań, choć może się to okazać dość kosztowne.

– Właśnie o to chciałem prosić.

– W takim razie zajmę się tym – zgodził się Adam, wcale nie zamierzając zmieniać sposobu rozliczania księgowości na życzenie tego dociekliwego pismaka. Postanowił dopilnować, by co miesiąc, aż do maja, Annabel otrzymywała wysokie pensje: w ten sposób zamknie jej buzię. Podobne sumy będzie musiał przelać też na konto Mirandy, trudno, ale z pewnością szybko odkryłaby, że siostra dostaje większe uposażenie. Szkoda, ale warto stracić płótkę, żeby złowić szczupaka – a w tym wypadku raczej rekina. Jednak Scott może sprawić wiele kłopotów do przyszłego maja. Trzeba będzie się nim zająć.

Tego samego wieczoru, tłumacząc, że najlepszym miejscem smakowania brzoskwini jest wanna pełna spienionej wody, Adam zaciągnął Mirandę do kąpieli i tam karmił ją soczystymi owocami.

Lustra na ścianach i suficie rozległej łazienki odbijały w nieskończoność wnętrze. Mimo że w łazience zainstalowane było nastrojowe oświetlenie, teraz tliła się tylko jedna świeczka w staroświeckim, srebrnym lichtarzu.

Adam leżał obok Mirandy w wypełnionej ciepłą wodą dużej, kwadratowej marmurowej wannie. Namydlał ciało kochanki, jakby była królewskim dzieckiem. Rozleniwiona i bezwolna, Miranda moczyła się w pachnącej wodzie, poddając zmysłowemu masażowi. Cicho sączyła się muzyka Beatlesów; magiczne dźwięki „Strawberry Fields Forever” przypominały jej babkę, samotną, odizolowaną, nieosiągalną w więzieniu własnego umysłu. Otrząsnąwszy się Miranda odrzuciła przygnębiające myśli: nie chciała ponownie wpaść w stan bezsensownej depresji.

– Dokąd Scott zabrał cię na kolację? – zainteresował się Adam.

– Do tej nowej włoskiej restauracji przy King's Road – wymamrotała. –

Dlaczego tak jest, że najlepsze knajpy prowadzą pedały?

– Po ustawie z zeszłego roku wszystkie dziwolągi wychodzą z ukrycia – stwierdził Adam. – Homoseksualizm stał się w Brytanii legalny. Jak ci się podobała restauracja?

– Zwyczajny włoski wystrój. Podwieszane sufity, całość w kolorze białym, na każdym stoliku lampka, nieskazitelna *fettucine primavera*.

– Czy Scott mówił coś ciekawego?

– Trochę za bardzo starał się mnie rozbawić. – Miranda lekko ochlapała Adama pachnącą wodą. – Szczerze mówiąc, większość czasu przestrzegał mnie przed tobą. Chce, żebym odwiedziła STG i dowiedziała się czegoś więcej o Towarzystwie.

– Towarzystwo nie ma już nic wspólnego z STG – powiedział Adam, starając się ukryć poirytowanie. Namydłał z namaszczeniem miękkie pachy kobiety. – Widziałaś rozliczenie za zeszły rok, prawda?

Zajął się innymi aksamitnymi partiami ciała kochanki i jakby mimochodem dodał:

– Może dobrze byś zrobiła dzwoniąc do Annabel i uspokajając ją, że trzymasz rękę na pulsie. Jeszcze raz wytłumacz jej, że powiernicy bardzo ostrożnie zarządzają cudzymi pieniędzmi... To mi przypomina, czy mówiłem ci, że odrzucili prośbę Annabel?

– Nie – przyznała Miranda. – Z jakiego powodu?

– Chciała podjąć większą sumę na sfinansowanie jakiegoś projektu zoo w Bronxie. Niestety jej żądanie nie mieściło się w zaplanowanych przez zarząd limitach. Zdaje się, że właśnie ta sprawa leży Scottowi na sercu.

– Zarząd zupełnie słusznie odmówił – uznała Miranda. Potem powoli i z zastanowieniem powiedziała: – Tak naprawdę chciałabym porozmawiać z Annabel na nasz temat. Jestem pewna, że wszyscy w biurze domyślają się, co nas łączy.

– Nasz związek nie jest tylko twoim sekretem, ale też moim i wolałbym, byś go nie ujawniała – mruknął Adam miękko, lecz stanowczo.

– Nie rozumiem, dlaczego zależy ci na utrzymaniu tego w tajemnicy, a chciałabym wiedzieć – rzuciła Miranda, wracając do ich stałej kłótni. Pierwszy raz rok temu, potem ponownie w czasie świąt, żartem zaproponowała mu małżeństwo. Za każdym razem propozycję kwitował śmiechem, jakby to był uroczy dowcip.

Mirandę zaskoczyła i upokorzyła jego odmowa. Ich związek trwał już prawie trzy lata i ich życie intymne było niezwykle udane. Chociaż nie była osobą zarozumiałą, jednak nie siliła się też na udawaną skromność. Wiedziała, że jest piękna, mimo że nie tak zaskakująco jak Annabel. Miała doskonałe wymiary: choć

przy pięćdziesięciu dziewięciu kilogramach można by ją uznać za zbyt wysoką, ale Adam także miał więcej niż sześć stóp wzrostu. Bogata i sławna, Miranda wiedziała, że jest interesującą partią.

Poza tym Adam twierdził, że ją kocha.

Gdzieś w głębi umysłu słyszała prorocze słowa Buzz: „Każdy kochanek mówi, że kocha”. Odsuwała jednak od siebie te myśli, tak jak ignorowała inne nonsensowne podejrzenia. Może Adam polował na jeszcze bogatszą narzeczoną? Jeżeli tak, pomyślała sarkastycznie, księżniczka Anna niedługo osiągnie odpowiedni wiek.

A może przeszkadzała mu jej kariera? Zdawała sobie sprawę, że dla wielu kobiet pociągająca jest u mężczyzn ich wysoka pozycja, jednakże mężczyźni traktowali kobiety sukcesu jako swoje rywalki. Mężczyzna z niską samooceną może nie chcieć ożenić się z kobietą silniejszą od siebie.

Ale Adam odnosił przecież olbrzymie sukcesy. Więc dlaczego nie chce się z nią ożenić?

Znając go i jego potrzebę wolności, Miranda na własny użytek doszła do wniosku, że nie kochał jej na tyle, by chcieć poświęcić jej resztę swojego życia. Jak to często bywa w sytuacji, gdy nie można uzyskać tego, czego się pragnie, frustracja tylko powiększała pragnienie zdobycia nieosiągalnego.

Namydlając jej plecy, Adam doskonale wyczuwał, że Miranda ponowi propozycję małżeństwa. Ale jeśli się z nią zwiąże, zmaleje jego wpływ na Annabel, która będzie mogła w naturalny sposób kwestionować jego motywacje. Jednakże Miranda, która nie znosiła stanu niezdecydowania, nie była też kobietą, którą można zwodzić w nieskończoność. Dopóki nie przejmie wszystkich pieniędzy, nie może sobie pozwolić na fochy obu siostr: musi je kontrolować i obłaskawiać.

Zamierzał więc, w odpowiedzi na propozycję ślubu, przyrzec, że już wkrótce do niego dojdzie. Gdyby stała się natarczywa, ostatecznie zgodzi się na zaręczyny, powiedzmy... siódmego lutego, w jej dwudzieste ósme urodziny. Jeżeli szczęście go nie zawiedzie, krótko po tym terminie powinien przejąć już wszystkie fundusze, a wtedy na zawsze pożegna się z Brytanią.

Mokrą dłonią leniwie sięgnął po następną brzoskwinię.

– Założę się, że coś knujesz – rzucił.

– Doskonale wiesz, o czym myślę – posępnie odpowiedziała Miranda.

– Och, przestań. Przywiążę cię jedwabnymi kokardami do poręczy łóżka i zrobię z tobą takie okropności, że nie będziesz w stanie myśleć.

Wsunął ręce pod jej śliskie ciało. Pieszcząc dwa wzgórki wystające nad

powierzchnię wody, podjął decyzję, jak powinien postąpić ze Scottem.

WTOREK, 22 SIERPNI 1968

Aston Martin DB4 prowadzony przez Adama z ogromną prędkością pędził przez uśpione wiejskie drogi Sussexu. Jechali z Annabel na premierę „Figara” na festiwalu w Glyndebourne. Mieli na sobie wieczorowe stroje, co być może inni uznaliby za ekstrawagancję, a nawet coś śmiesznego, zwłaszcza w środku dnia na wiejskich dróżkach. Jednak należało to do ekscentrycznej tradycji związanej z operą w Glyndebourne, której początki sięgały 1934 roku, kiedy to John Christie podarował żonie, śpiewaczce operowej, prezent ślubny – prywatną małą scenę operową w okazałym domu otoczonym leśnym parkiem. Obecnie niewiele imprez muzycznych mogłoby się poszczycić większym urokiem, perfekcyjniejszą organizacją i tym charakterystycznym duchem brytyjskim niż elitarne wieczory w Glyndebourne.

Jak zawsze wszystkie miejsca były już zajęte. Na popularność tych spotkań częściowo wpływał fakt, że bardzo trudno było dostać na nie bilety. Londyńska Orkiestra Filharmoniczna rozpoczęła uwerturę i publiczność wygodniej usadowiła się w krzesłach, ciesząc się pierwszymi taktami wprowadzającymi w wesoły, frywolny świat osiemnastowiecznej muzyki.

Adam, pozbawiony zupełnie słuchu, z trudem nadażał za wyrafinowaną akcją, z jej częstymi zmianami, wieloma postaciami, chowaniem się po szafach, kiedy to Figaro, służący, rywalizuje ze swoim panem, hrabią, o względy pokojówki Zuzanny. Kiedy podczas antraktu zabłyśły światła, Adam upomniał samego siebie, że nie znalazł się w tym miejscu dla przyjemności.

Podczas długiego antraktu publiczność albo wybierała się na obiad do dworku, albo popijała szampana na trawnikach otoczonych wyżynami Sussexu.

– Przed wojną goście przyjeżdżali tu ze służącymi, którzy usługiwali im podczas pikników organizowanych w tamtym lasku – wskazał Adam. – Zjedźmy tam więc i my nasz posiłek – zaproponował, pomagając Annabel, ubranej w srebrnoszarą szyfonową suknię od Jeana Muira, przejść zarośnięty parów. Pasąca się czarna owieczka ze zdziwieniem przyglądała się ich wysiłkom.

Adam niósł wyplatany koszyk z jedzeniem. Szli wzdłuż poletek rozsianych na pagórkowatym terenie, dotykających strumienia spływającego w kierunku niewielkiej polany porośniętej dzikimi kwiatami.

– To miejsce przypomina obrazy Botticellego! – Annabel zrzuciła buty i usiadła

na kocu, który wzięli ze sobą. Delikatny wietrzyk szumiał w liściach i słycać było ciche brzęczenie pszczoł.

Adam zdjął marynarkę, po czym rozłożył biały obrus koło sadzawki o przezroczystej wodzie. Nalał Annabel szampana, a następnie zajrzał do wiklinowego kosza.

– Mamy przepiórcze jaja, kurczaka w majonezie przyprawianym curry, sałatkę z ogórków i truskawki Romanoff.

Zapadał zmierzch, a oni jedli rozmawiając. Annabel przypominała w swojej roziskrzanej sukni duszka leśnego. Przez drzewa widzieli na tle nieba budynek dworu cały jarzący się światłami. Dziewczyna westchnęła:

– Co za wspaniałe zakończenie mojej wizyty w Brytanii.

– Przykro mi, że okazała się taka przygnębiająca – ubolewał Adam, nakładając sobie przepiórcze jaja.

Annabel przyjechała do Anglii przed dwoma tygodniami z zamiarem zabrania Buzz do Saracen, gdzie staruszka mogłaby w spokoju wracać do zdrowia, ale ta poprosiła o jeszcze jedną noc w szykownym hotelu w Eastbourne. Mimo zaskoczenia Annabel przystała na jej życzenie.

Buzz jednak zamiast spokojnie spać w hotelowym pokoju, ubrana w jaskrawy płaszcz pojawiła się w domu opieki Lorda Willingtona, prosząc o widzenie z Elinor. Ponieważ upierała się, że nie zostawi w recepcji walizki, z którą przybyła, pielęgniarka zaczęła podejrzewać, że kobieta stara się przemycić alkohol dla kogoś z pacjentów; natychmiast powiadomiła przełożoną.

Ta w jednej chwili pobiegła do sypialni Elinor, przyłapując Buzz na ubieraniu chorej w płaszcz dokładnie taki, jaki odwiedzająca miała na sobie.

Rozwścieczona siostra Braddock kazała Buzz wyjść, ale ta odmówiła. Przełożona wezwała dwóch pielęgniarzy, którzy bezpardonowo odprowadzili staruszkę do czekającej na nią taksówki. Następnie przełożona zadzwoniła do Adama, który kategorycznie zabronił wpuszczać Buzz do szpitala.

Na drugi dzień Buzz starała się dostać się do domu opieki bocznym wejściem, ale zauważył ją ogrodnik. Przełożona postraszyła ją, że jeśli jeszcze raz będzie próbowała się wkraść, wezwie policję.

– Najbardziej smuci mnie – tłumaczyła Annabel – że Buzz nie potrafi pogodzić się z faktem, iż babcia jest... taka, jaka jest. Biedaczka, ona naprawdę straciła już z nami kontakt, ale Buzz nie chce tego przyjąć do wiadomości. Jej się wydaje, że my wszyscy uczestniczymy w jakimś spisku, który ma na celu uwięzienie Elinor. Nie chciała zostać w domu Mirandy, a na mnie jest bardzo zła.

– Biedna Buzz sama już... dziwaczeje i ciężko jej z tą świadomością – ze współczuciem w głosie rzucił Adam.

– Wynajęła pokój w internacie w Earls Court, pełnym rozwrzeszczanych studentów z Australii. Mówi, że kiedyś babcia mieszkała w pobliżu tego domu.

– Nie chcę, byście, ty czy Miranda, martwiły się stanem Buzz – stanowczo oświadczył Adam, dolewając Annabel szampana. – Pomogłyście jej na tyle, na ile ona tego chciała. – Uśmiechnął się. – Rozejrzę się po cichu w jej sprawie. Zarząd zamierza wypłacać jej rentę, a także pensję i z pewnością pokryje koszty leczenia, jeśli będzie go potrzebowała. Przypuszczam, że staruszka wkrótce się uspokoi i zmądrzeje. – Sobie także dołał do kieliszka. – Och, a przy okazji, chciałbym przed twoim wyjazdem o czymś z tobą porozmawiać. Scott mówił mi, że życzysz sobie, by powiernicy sporządzali kwartalne sprawozdania. Muszę ci powiedzieć, że nieco ich zaskoczyłaś, zwłaszcza że Miranda pilnuje księgowości. Zarząd pyta, czy jest coś szczególnego, co kwestionujesz w rozliczeniu za sześćdziesiąty siódmy rok.

Nieco zmieszana, nie chcąc okazać się osobą niegrzeczną, Annabel szepnęła:

– Och, nie... nic szczególnego – zaśmiała się zawstydzona. – Wiem, że Miranda jest głową rodziny, gdy w grę wchodzi interesy. Wydawało mi się tylko trochę dziwne, że kiedy poprosiłam o względnie niewielką sumę... – Z wolna jej głos cichł, a ona sama z napięciem wpatrywała się w widelec z porcją kurczaka.

– Moja droga, do obowiązków powierników należy sprawowanie pieczy nad kapitałem – poważnie tłumaczył Adam. – Nie mogą go bezkarnie uszczuplać. Są prawnie zobowiązani do działania na rzecz powiększania powierzonego im majątku, bez względu na to czy zgadzacie się z ich postępowaniem, czy też nie. Na tym właśnie polega zarządzanie. – Ponownie napełnił jej kieliszek, po czym pocieszająco dodał: – Kiedy odpowiednie zasoby zostaną zakumulowane, do twojej dotychczasowej pensji dojdzie zapewne ta sama duża suma, którą otrzymywałaś w zeszłym roku, zwłaszcza kiedy zostanie sprzedane Saracen.

– Tak, Miranda mówiła mi, że zarząd może sprzedać Saracen, ale nam nie podoba się ten pomysł!

– Teraz, gdy do władzy doszedł de Gaulle, a komuniści są osłabieni, wydaje się, że sprzedaż jest najrozsądniejszą decyzją. Choć to smutne, jednak Elinor może już nigdy nie opuścić domu opieki. A gdyby nawet, to nie zdoła prowadzić tego wielkiego domostwa, zresztą biedna, stara Buzz chyba też nie.

Annabel odstawiła kieliszek i wyglądało na to, że zaraz się rozpłacze.

Adam nachylił się do niej i poklepał po dłoni.

– Pozwól, by powiernicy podjęli za ciebie te nieprzyjemne decyzje. Właśnie po

to twoja babka założyła zarząd. Chciała oszczędzić wam zmartwień.

– Zawsze była dla nas taka dobra.

– To prawda. – Adam znów poklepał ją po rękę. – Jeśli pragniesz jeszcze raz szczegółowo przejrzeć całą dokumentację, służę swoją pomocą. Czy masz jutro, powiedzmy, trzy wolne godziny? Umówilibyśmy się w moim biurze.

Podejrzewając, że sprawdzanie dokumentacji nic jej nie wyjaśni, a tylko postawi ją w jeszcze kłopotliwszej sytuacji, Annabel pospiesznie rzuciła:

– To nie jest takie ważne. Scott jest trochę przewrażliwiony. Jestem pewna, że Miranda sama da sobie z tym radę.

– Miranda ma niezwykle talent do interesów – przytaknął Adam. – Twoje uzdolnienia, Annabel, są zupełnie inne... bardzo niezwykle.

– Chciałabym, żeby istniało coś, co na mnie pracuje. Chciałabym wierzyć, że potrafię robić coś więcej, niż tylko uśmiechać się do kamery.

– Ależ tak jest, Annabel. Właśnie ci to powiedziałem.

– No tak – smutno zaczęła dziewczyna. – Kiedy ludzie prawią mi komplementy, nie wierzę im. W zawodzie modelki uznanie i pochwały są na porządku dziennym i człowiek przyzwyczaja się do nich, jak do narkotyku. Tyle tylko, że gdy twoja gwiazda gaśnie, zachwyty gdzieś się... rozmywają. Wtedy wiadomo, że nadszedł koniec.

– Cóż to za przygnębiające, małe przemówienie – skomentował ze zdziwieniem i współczuciem Adam. Piękna twarz jego towarzyszkę stanowiła jej potęgę, ale też i jej słabość. Przerazała ją myśl, że straci urodę, utyje i zestarzeje się. Bała się coraz bliższych trzydziestych urodzin. – Uważam, że wypiękniałaś, odkąd przestałaś pracować jako modelka – ciągnął. – Zaokrągliła ci się buzia i nie sprawiasz już takiego żalospnego wrażenia. Wręcz odwrotnie, wyglądasz pięknie i pogodnie.

– Naprawdę?

– Z pewnością – potwierdził, zaglądając w jej urzekające oczy. – Kojarzysz mi się z dziewczętami z dawnych czasów, czarująco kobiecymi i tradycyjnymi. Jesteś o wiele subtelniejsza i delikatniejsza niż... twoja siostra.

– Och! Rzeczywiście tak myślisz?

– Miranda jest typem kobiety nowoczesnej, która stara się zająć w męskim świecie miejsce mężczyzn, ale kiedy sprawy stają na ostrzu noża, odrzuca od siebie odpowiedzialność i szuka u nich pomocy. Konkretnie u mnie – wyjaśnił Adam. – Tak samo Klara. Ona również próbuje przejąć obowiązki mężczyzn, tyle tylko, że nie postępuje w sposób tradycyjny. Dlatego też robi wokół siebie mnóstwo zamieszania, nie daje sobie rady i nie rozumie, dlaczego tak się dzieje, a kiedy coś

ją zaskakuje, staje się agresywna.

– To prawda – przyznała z naciskiem Annabel. – Kiedy rozmawiałam z nią przez telefon, była niesamowicie opryskliwa.

– Nie zostałyście wychowane tak, byście umiały podołać ekstremalnym obowiązkom. – W tej chwili Adam jawił się Annabel jako obrońca przed całym światem. – Zawsze leżało to w gestii mężczyzn i tylko oni wiedzą, jak trudno im podołać. – Uśmiechnął się lekko. – Ale ty, Annabel, ani nie potrzebujesz, ani nie musisz niczego udowadniać. Cieszy cię, gdy masz obok siebie kogoś, kto troszczy się o ciebie, i chcesz po prostu korzystać z życia! Jedynie ty z sióstr O’Dare jesteś realistką.

Mówiąc to właściwie nie wierzył, że da się złapać na te bzdury, a jednak okazało się, że wciąż była niedojrzała, łatwa do prowadzenia, niesamodzielną i naiwną. Nic dziwnego, że do tej pory nie została jeszcze matką. Takie dziecko! Pragnęła, żeby się nią opiekowano. Nie chciała dorosnąć i odpowiadać za swoje czyny ani też borykać się z kłopotami przynoszonymi przez życie.

Uśmiechając się, Adam podsunął jej pudding na srebrnym talerzu, ale pokręciła przecząco głową.

– Muszę uważać.

– Co za brednie! – roześmiał się, obrzucając zachwyconym wzrokiem jej figurę. – Zgadza się, że wreszcie nie wyglądasz jak wygłodniały wyżeł, ale za to stałaś się zmysłową i piękną kobietą.

Annabel, z natury uprzejma i miła, instynktownie starała się sprawiać ludziom przyjemność. Chciała, by czuli się szczęśliwi, ale właśnie dlatego nie rozpoznawała, kiedy używano pochwał jako broni przeciwko niej, kiedy próbowano ją nimi obłaskawić.

Adam wiedział, że za pomocą pochlebstw uda mu się zawrócić jej w głowie; czyż nie działało to na inne kobiety? Umiarkowany podziw przełamał w niej poczucie niepewności, a kiedy podświadomie zaczęło mu być wdzięczna, reszta stanie się trywialnie prosta.

Pochylił się w stronę dziewczyny i pogłaskał po ramieniu.

– W tej sukni wyglądasz jak jakaś nimfa leśna.

Przez cienki materiał Annabel czuła na skórze gorący dotyk jego ręki. Zbliżył się na tyle, że owiał ją ciepły oddech i zmysłowy zapach jego ciała. Odsunęła się nieco.

– Masz jakiś okruszek na swoich prześlicznych usteczkach – powiedział i pochylił się jeszcze bardziej. Zanim zdała sobie sprawę, co zamierza, szybkim

ruchem języka zlizął okruch z jej warg.

Zaskoczył ją całkowicie, jej własna reakcja zresztą także. Pocałował ją. Na piersi poczuła jego rękę, a przez całe ciało przepłynęło rozgrzewające ciepło.

Z oporami, powoli położyła się na trawie, czując żar docierający nawet do koniuszków palców.

Była zauroczona, zachwycona ciałem naciskającym na nią. Nie mogąc się poruszyć, poddawała się dotykowi jedwabistych warg Adama, jego powolnym acz namiętym pocałunkom.

Kiedy rozdarł na jej piersiach szyfonowy materiał, zdała sobie nagle sprawę, że opuszcza ją rozsądek, a w jego miejsce pojawia się zmysłowe pożądanie. Pragnęła, by ją wziął, obejmował; chciała rozpląnąć się w nim, zatopić się w ekstatycznym połączeniu. Adam, już nagi, pochylił się i w końcu mogła poczuć na sobie jego gorące i jędrne ciało. Kiedy zaczął poruszać się w niej powoli, spokojnie i rytmicznie w powietrzu uniósł się ostry zapach rozgniatanego tymianku.

Później, cisi i nadzy, wykąpali się w sadzawce, po czym – nadal rozebrani – boso, trzymając się za ręce, poszli do lasu. Od czasu do czasu przystawali, by całować się i pieścić, nie zważając na fakt, że ktoś ich może obserwować. Nadal nie wypowiedzieli nawet jednego słowa.

Kiedy wrócili na miejsce pikniku, panował już głęboki zmierzch. Przewrócony talerz z kurczakiem i nie ruszone truskawki obsiadły osy.

Annabel nie zobaczyła zakończenia „Figara”.

Rozdział 23

SOBOTA, 7 WRZEŚNIA 1968

Klara, stając u drzwi wejściowych, czuła na opalonych ramionach ciepłe promienie słoneczne. Kremowa pienna róża – trafnie nazwana Nowy Poranek – którą posadziła przy wejściu, cała okryła się kwieciami. Słodko pachnący parkan z wrzośca zamykał ogród z pnącymi, jeszcze bezwonnymi, białymi kwiatami tytoniu, delikatnymi gypsophiliami i pasteloworóżowymi hortensjami.

Popatrzyła na ogrodową alejkę wyłożoną kamieniami, po której za chwilę przejdą jej goście. Wzdłuż ścieżki rosła zioła: mięta, rozmaryn, tymianek i niestety słabo rozwijający się estragon. Dalej rozciągały się grządki z warzywami, czyściutkie i porządne, jak z obrazka. W rządkach, błyskając różnymi odcieniami zieleni, rosła kapusta, kalafior, sałata, cebula i marchew.

Lato ukradkiem wdzierało się we wczesny wrzesień. Dzień był tak słoneczny, że Klara zamierzała urządzić urodzinowe przyjęcie Davida w ogródku; przygotowane dania tymczasem pięknie prezentowały się w kuchni, trochę jak festiwal zbiorów. Pokój o różowych ścianach udekorowała gałązkami czarnego bzu, głogu, czerwonej porzeczki i czarnej jeżyny. Płaskie bochny uformowane na kształt snopków zboża, posmarowane przed upieczeniem żółtkiem, połyskiwały złotą skórką. Jej chlubą były ciasta: morelowe z orzechami, śliwkowe, truskawkowe, brzoskwińowo-gruszkowe i to świeżące z czarną porzeczką.

Postanowiła, że przed obiadem poda pod jabłoniami drinki – domowej roboty lemoniadę i wino z kwiatów czarnego bzu. Za nią, na schodach nie pokrytych dywanem rozległy się kroki Davida. Odwróciła się w jego stronę. Bardzo dobrze prezentował się w kremowej jedwabnej koszuli, którą podarowała mu na urodziny.

– Przykro mi, ale muszę teraz wyjść – powiedział cicho.

– Nie możesz tego zrobić! Zaraz przyjdą goście, w większości twoi przyjaciele!

– Znają mnie. Zrozumieją. Przepraszam i znikam.

Kiedy David miał jeden ze swoich humorków, zamykał się w sobie i traktował Klarę niemal jak obcą. Zawsze wtedy zachowywał się uprzejmie, ale z rezerwą.

Często sprawiał wrażenie nieobecnego, nie można było wtedy na nim polegać ani przewidzieć, co uczyni. Czasami jego zajęcia tak go pochłaniały, że tracił poczucie czasu, zapominał o jedzeniu, spaniu, pozwalał sobie na oderwanie się od książek czy jakiegś pracy tylko po to, by zerknąć w okno na budzący się poranek.

Wtedy dopiero uświadamiał sobie, jak straszliwie jest głodny i że zapomniał zadzwonić do Klary.

W chwilach depresji jednak nie potrafił usiedzieć na miejscu. Niecierpliwy i naburmuszony, bezustannie przechadzał się po kuchni, co jakiś czas otwierając drzwi wejściowe. W pewnym momencie Klara widziała tylko, jak długimi krokami zmierza do furki, przez którą czasami przeskakiwał, spiesząc się, by od niej uciec. Gdy próbowała go zatrzymać, zaczynał się irytować. Jeśli zgadzał się zostać, zazwyczaj siadał przed kominkiem i nie poruszając się, zrezygnowany, godzinami wpatrywał się w ogień. W jakiejś chwili podnosił się nagle i bez słowa wychodził.

Kiedy znajdował się w takim stanie, nie można go było namówić do zrobienia czegokolwiek. Żadna czynność nie wydawała mu się warta wysiłku: nie mógł czytać, słuchać muzyki, którą przecież kochał, nie mógł nawet jeść. Chciał jedynie, żeby zostawiono go samego.

W takich chwilach Klara traciła z trudem osiągniętą pewność siebie, w której utwierdzało ją zajmowanie się wypiekami, ale też serdeczna zachęta Davida.

Nigdy nie próbowała dociekać, dlaczego wpadał w te swoje humory, jednak teraz, czekając na jego urodzinowych gości, zawołała:

– Tym razem musisz mi wytłumaczyć! Powiedz mi, co robię źle?

– Mówiłem ci już wcześniej, Klaro, że to nie ma nic wspólnego z tobą. Błagam, pozwól mi odejść. Nie umiem ci w tej chwili nic wyjaśnić.

Za ich plecami rozległy się kroki Josha ubranego w nowe dżinsy. Popatrzył najpierw na matkę, potem na Davida i zapytał:

– Co się dzieje?

– Nic takiego, Josh – rzuciła Klara. – Tylko rozmawiamy.

Chłopak podbiegł do swojej ulubionej jabłoni i wspiął się na nią. David umknął ogrodową dróżką.

Znajomi Klary ze współczuciem wysłuchali jej tłumaczeń na temat nieobecności solenizanta, którego podobno nagle złapała migrena.

Przyjaciele Davida – niektórych nigdy wcześniej nie spotkała – nie komentowali jej słów, ale wymieniali między sobą dyskretne, porozumiewawcze spojrzenia, po czym z entuzjazmem chwalili wina jej wyrobu.

Następnego wieczoru, kiedy udało jej się posłać Josha do łóżka, usłyszała trzaśnięcie drzwi wejściowych i domyśliła się, że to David.

Stała w kuchni, opierając łokcie na sosnowym stole, z dłońmi pod podbródkiem.

– Davidzie, oddałabym wszystko, żeby zrozumieć twoje czarne nastroje i jakoś ci pomóc.

– Przepraszam. Kiedy tak się czuję, nie mogę nikogo widzieć. Nie potrafię pracować ani rozmawiać z ludźmi. Nie pojawiają się nawet na spotkaniach związanych z pracą.

– Dlaczego? Co się z tobą dzieje? – zapytała. Znowu ogarnęło ją to samo zdziwienie, jak wtedy, kiedy po raz pierwszy zobaczyła, że jej wesoły, przyjacielski kochanek, tak domyślny i delikatny, tak prostolinijny, nagle zamienia się w pochmurnego dziwaka, staje się ciężarem, który musiała dźwigać na swoich barkach. Czasami napady depresji Davida trwały kilka dni i jeśli, choć rzadko to się zdarzało, zostawał u niej, po jego wyjściu czuła się jakby wyprana z myśli i fizycznie wyczerpana.

– Już ci mówiłem. Wpadam w depresję. Czuję się osaczony.

– Ale właśnie wtedy potrzebna ci jest przyjacielska pomoc.

Ktoś, kto zrobiłby ci drinka, nastawił płytę i przygotował twoje ulubione danie.

– Taka troska tylko pogarsza sytuację. Kiedy widzę, że starasz się mnie pocieszyć, jeszcze szybciej spadam w czarną dziurę, ponieważ na dodatek czuję się winny.

– Czy nie myślałeś o pójściu do lekarza? – dociekała.

– Nasz domowy lekarz uznał, że po prostu muszę przestać się nad sobą uzalać i przejmować swoją osobą. Ale kiedy jestem w depresji – David wzruszył ramionami w geście bezradności – ludzie, sprawy, czynności jakoś się kurczą, stają się nieważne... znikają. Nie mogę myśleć, mówić, skoncentrować się, a czasami nawet poruszać, i czuję się tak, jakbym znalazł się w czarnej próżni. Muszę się nieźle wysilić, by powiedzieć proste „tak” lub „nie”. Mam wrażenie, że jestem bezużyteczny, niepotrzebny i boję się. Przypuszczam, że moje słowa brzmią melodramatycznie, ale naprawdę czuję się zatrzaśnięty w pułapkę i tracę wszelką nadzieję. W takiej chwili wydaje mi się, że trwam w tym stanie od początku życia i że tym razem już nie uda mi się z tego wyjść.

– No, ale na pewno jest coś, co wtedy może ci pomóc?

– Tylko czas. Po prostu muszę zostać sam, żeby nikt niczego ode mnie nie wymagał, nawet najmniejszej rzeczy, a ja modłę się o koniec. Zrozumiem, że nie jesteś w stanie mi pomóc. Ani ty, ani nikt inny. Nauczyłem się już, że najlepiej, kiedy znikam i przeczekuję te załamania.

– Czy koledzy z biura wiedzą o tym? – zainteresowała się Klara, starając się pojąć te przemiany, nagle i do niczego niepodobne, przerażające, przypominające

historię o doktorze Jekyllu, który zamieniał się w pana Hyde'a.

– W pracy zawsze miałem z tym kłopoty. Ostatnim razem, kiedy mnie wylali, poprosiłem o pomoc wuja. – Ten na szczęście rozumiał, że nic, nawet medycyna nie jest w stanie ulżyć Davidowi, więc pomógł mu otworzyć niewielką, prywatną wiejską firmę, gdzie nie naciskano na niego tak ostro jak w Londynie i gdzie mógł pracować w odpowiadającym mu tempie. – Koledzy są wyrozumiali i taktownie ignorują symptomy mojej choroby – ciągnął. – Tak jest najlepiej.

– W takim razie, jeśli tego chcesz, także nie będę zwracała na nie uwagi – zapewniła Klara.

Po tej rozmowie uświadomiła sobie, że nie powinna zbyt przywiązywać się do Davida. Zrozumiała, że zwiążenie się z nim na zawsze wymagałoby od niej pozostawienia mu otwartej furtki na stałe. Nauczy się więc ufać jego miłości, nie zaprzatając sobie głowy powodami jego nagłej nieobecności lub niespodziewanych odejść.

W zamian, ponieważ nie był człowiekiem zaborczym ani też zazdrosnym, David w niczym jej nie krępował i do niczego nie zobowiązywał, nie zdając sobie sprawy, że akurat tego najmniej pragnęła.

SOBOTA, 21 WRZEŚNIA 1968

Siedziała przy oknie w sypialni Davida i niby z lotu ptaka przyglądała się pięknemu krajobrazowi w dole. Przed jej oczami rozpościerało się zachwycające miasto, mieniące się złotem, jak jakiś model klasycznych greckich świątyń, otoczonych kwadratami i trójkątami zieleni.

Dom Davida – wykupił go pod hipotekę – przycupnął na skraju zielonej kotliny, w której położone było Bath. Był skromny, ale cichy i niezwykle wygodny: taki, w którym można by zakopać się na zimę i niemalże żałować powrotu lata. Był to prawdziwy dom.

Sypialnia usytuowana była akurat nad pokojem gościnnym, w którym wielkie ilości książek piętrzyły się przy ścianach i poupychane były na półkach; miało się wrażenie, że przelewają się przez drzwi aż na schody.

Poniżej mieściła się duża, pomalowana na topazowo kuchnia, za której dwoma przeciwległymi oknami rozciągały się piękne widoki. Ściany obwieszane były obrazami: szkice architektoniczne obok dziecięcych rysunków; staroświeckie pejzaże Bath tuż przy zdjęciach przyjaciół; pocztówki i plakaty Matisse'a i Hockneya.

Swoje biuro David ulokował na dwóch niższych piętrach. Za ocienionym koronami drzew ogrodem, na łące, pasły się dwie łaciate krowy. Kiedy ogarniało go przygnębienie, często siadywał na końcu ogrodu i skulony godzinami wpatrywał się w zwierzęta.

Słyszając, że David idzie po schodach, Klara skrzyżowała palce, życząc sobie, by dzisiaj dopisał mu dobry humor. Tego popołudnia wybierali się na koncert do Assembly Rooms.

Wpadając do sypialni, David zawołał:

– Czas na nas! Lepiej włóż sweter. Późny wrzesień bywa zdradliwy i może się nagle oziębic. – Wysunął szufladę, sięgnął po zielony sweter i rzucił go w jej stronę.

– Uważam, że Bath to najpiękniejsze miasto na świecie – rozmarzonym głosem stwierdziła Klara, zamykając okno.

– Nie dzięki ojcom miasta. Kiedy John Wood przedstawił plany odbudowy, korporacja Bath odrzuciła je, więc biedny pan Wood zmuszony był rekonstruować je krok po kroku, zaczynając od Queen Square. – David należał do grupy architektów zaangażowanych w odbudowę i oczyszczenie miasteczka, ale ich praca okazała się bardzo żmudna: jeszcze wiele ścian pokrywała sadza unosząca się z kominów wiktoriańskich domków i przejeżdżających pociągów. Nadal też spotykało się leje po bombach zrzuconych podczas niemieckich nalotów w 1942. David twierdził, że dużo więcej szkód powstało już po wojnie przez krótkowzroczność planistów miejskich, którzy kazali zburzyć georgiańskie i wiktoriańskie domki robotników, a na ich miejsce postawili brzydkie bloki.

Schodzili w dół, mijając osiedla eleganckich domków w tradycyjnym stylu, z kolumnowymi wejściami. Klara przystanęła na chodniku, by zajrzeć do sklepu z łukowatymi drzwiami. W środku wisiały śliczne dziecięce ubranka.

– Szkoda, że nie wzięliśmy Josha ze sobą.

– Przestań winić się za to, że choć raz zostawiłaś go samego. Zapewne czuje się teraz wyśmienicie, zwłaszcza że robią razem z Betsy piernikowe ludziki. – Betsy, pomocnica kuchenna Klary, została na noc.

– Nie mogę się powstrzymać przed obwinianiem się za to, że pozbawiam Josha tytułu rzeczy, zwłaszcza iż zbliża się Boże Narodzenie.

– Przecież zabieram was na narty – przypomniał David.

– To prawda. Doskonale dogadujesz się z Joshem. Ale zaczynam sobie uświadamiać, że nikt, nawet nie wiem jak wspaniały, nie zastąpi dziecku jego naturalnego ojca.

– Rozwody stały się chlebem powszednim dla naszych dzieci.

Klara roześmiała się z goryczą. – Chciałabym go wreszcie uzyskać.

Jak na razie Sam nie przyznawał się do cudzołóstwa i odmawiał rozwodu, powołując się na opuszczenie, do czego miał już wszelkie prawa; minęły trzy lata, odkąd Klara od niego odeszła. Jeśli nie zmieni zdania, według prawa brytyjskiego na zawsze pozostanie jego żoną; to ona go opuściła i to ona jest stroną ponoszącą winę.

– Nie rozumiem, dlaczego nie możesz dostać rozwodu – zastanawiał się David.

– Nie mam ku temu żadnych podstaw. Jeśli wykluczmy zdradę, pozostaje jeszcze znęcanie się – trudne do udowodnienia w angielskich sądach – albo niepoczytalność. Sam nie przebywał przez ostatnie pięć lat w domu wariatów, nikogo też nie zgwałcił, nie dopuścił się sodomii, nad nikim się nie znęcał, a więc – żadnego rozwodu!

– Kogo to obchodzi, czy jesteś zamężna, czy też nie? – David wzruszył ramionami. – Lepiej zrobisz, nie zwracając sobie głowy tymi prawniczymi gierkami. Josh i tak jest szczęśliwy. Zarabiasz na pieczeniu wystarczająco dużo. Masz nowe pomysły i jesteś niezależna.

– Bo ty mnie do tego zachęciłeś. – Rzuciła w jego stronę wdzięczny uśmiech. David pomagał, czasami nawet stosując dość brutalne metody, w budowaniu jej firmy, zmuszając ją do samodzielnego myślenia. Służył radą i pocieszał kiedy się gubiła w biurokratycznych przepisach. Zawsze powtarzał, że sukcesy powstają z porażek, każdy potentat to potwierdzi. – Chciałabym, żeby twoja pomoc nie była mi tak niezbędna – zauważyła. – Pragnęłabym stanąć na własnych nogach.

– Szybko się uczysz. I to ja potrzebuję twojej pomocy, możliwe, że bardziej, niż to sobie wyobrażasz. – Chociaż się śmiał, jego słowa brzmiały poważnie. Potrzebna mu była wytrwałość i stałość Klary, by zrównoważyć jego egzaltowane wzloty i ponure upadki. – Pasywna strona mojej osobowości ciągnie do twojej energii, zdeterminowania i uporu – dodał. – Lubię prostolinijne, rezolutne kobiety.

– Ale z Samem – zwróciła jego uwagę – zachowywałam się jak pokorna wycieraczka przy drzwiach. Właśnie dlatego tak go zaskoczyło, że po prostu wstałam i odeszłam.

– W ten sposób pokazałaś, że jesteś mocna – oświadczył David.

NIEDZIELA, 22 WRZEŚNIA 1968

Annabel stała na lotnisku w Nicei przy taśmie, na której przesuwają się bagaże.

Obok niej jakaś młoda kobieta pokazywała tragarzowi swoje walizki. Czekaając na własne, Annabel zerknęła na piętrzącą się koło niej górę. Dwanaście granatowych walizek ze skóry z brązowymi pasami i złotymi inicjałami S. K. Stały tam też trzy Luis Vuittons, jedno czarne, skórzane pudło na kapelusze, osiemnaście tanich walizek w różnych kolorach, jedna zielona torba z plastiku, ogromne kartonowe pudło związane sznurkiem, złożona dziecięca spacerówka i dwie brązowe skrzynie. Skrzynie na zwykłym rejsie! Każdy z tych przedmiotów podpisany był różową farbą nazwiskiem Khashoggi.

Annabel wdzięczna była losowi za tę chwilę odwrócenia myśli od Adama. Tak za nim tęskniła. Czuła skurcze żołądka, coś chwyciło ją za gardło, kiedy uzmysławiała sobie, że za chwilę go zobaczy. Albo też nie, przeraziła się.

Po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że Adam mógł już odejść, samolot tyle się przecież opóźnił. Wciągnęła powietrze i skrzyżowała palce. Oczywiście, że na nią czeka! Naturalnie starali się zachować ostrożność; gdyby ktoś zauważył ich razem, wiadomość o tym zaraz znalazłaby się w rubrykach plotkarskich.

Już nie zależało jej na uczuciach Scotta, Adam jednak jasno jej wytłumaczył, że gdyby rozeszło się, iż uwiódł żonę swojego klienta, ucierpiałyby jego zawodowa reputacja. Oświadczył też, że jeśli ich tajemnica ujrzy światło dzienne, natychmiast ją opuści. Jego zdaniem jedyną rzeczą gorszą od uwiedzenia żony klienta jest poślubienie jej.

Gorzko rozczarowana Annabel protestowała, dowodząc, że przecież Scott nie jest jego klientem, ale Adam stwierdził, iż właśnie tak by to publicznie odebrano. Jeśli Scott oskarżyłby go o wykorzystanie pozycji, Adam mógłby pożegnać się z zawodem, bo u podstawy leżało zaufanie, jakie klient pokłada w wynajętym prawniku.

Annabel kolejny raz odetchnęła z ulgą, że poprzedniego wieczoru, kiedy Scott pojawił się w jej sypialni z butelką martini, nie wyznała mu prawdy.

Zdziwiło ją, że mąż nalał sobie następną porcję trunku i zaczął uzalać się z powodu jej wyjazdu.

– W tym tygodniu nieźle się napracowałem – zaczął niepewnie – i w czasie weekendu chciałbym z tobą o tym porozmawiać. Potrzebuję trochę wsparcia i współczucia.

– Czyżbyś się uskarżał? – zapytała. – Przecież ty nie miałeś dla mnie czasu przez ostatnie tygodnie. Liczy się tylko twoja błyskotliwa kariera.

– Nie dla ciebie – zauważył. – Czuję, że nic cię nie obchodzi. Wiadomo, że musisz odwiedzić Elinor, ale w tych rzadkich chwilach, kiedy jesteś w domu,

wydajesz się tak zajęta swoimi przyjaciółmi, że nie masz dla mnie czasu.

Wzburzona Annabel odwarknęła:

– Nie jestem winna choroby babci!

– Ale jutro jedziesz wcale nie na spotkanie z nią – przypomniał. – Dlaczego to Miranda nie znajdzie chwili czasu, by nadzorować aukcję mebli? Dlaczego to ciebie ściąga się z kontynentu? Chyba do niej zadzwonię...

Annabel pospiesznie wyjaśniła, że Miranda jest na seminarium zaplanowanym na długo przed chorobą Elinor.

Widząc, że mąż nadal nie jest przekonany, rzuciła mu spod rzęs słodkie spojrzeń, wydeła usta i powiedziała:

– Aniołek wróci, zanim się obejrzysz.

Scott popatrzył na nią.

– Skończ z tym dziecinnym zachowaniem, już na mnie nie działa. A skoro już o tym mówimy, możesz też zaoszczędzić sobie łez. Twój płacz wcale nie wzbudza we mnie poczucia męskości i opiekuńczości, tylko mnie wyprowadza z równowagi, denerwuje i zniechęca. – Jednym haustem wypił drinka. – Jestem już zmęczony twoją infantylnością. Nie wydajesz się zainteresowana prowadzeniem poważnych rozmów, nie chce ci się gotować i w ogóle unikasz wszelkich obowiązków. Kiedy mówię coś, co brzmi dla ciebie jak krytyka, zaczynasz płakać, jakbym był najgorszym brutalnym światła. Annabel, masz dwadzieścia osiem lat i to ja teraz potrzebuję czuć, że ktoś się mną interesuje, czuć, że ktoś mnie kocha.

– Nie obwiniaj mnie o swoje zawodowe niepowodzenia – łkała.

Z zadumy wyrwał ją przyjazd walizek.

Choć wiedział, że Annabel spodziewa się go na lotnisku nicejskim, Adam nie wyszedł po nią. Włączył wodę i ogrzewanie w zamku i postanowił pobiegać po wiejskiej okolicy Saracen. Ta forma uprawiania sportu stała się ostatnio bardzo modna.

Skoncentrowany na liczeniu kroków i sprawdzaniu rytmu serca oraz oddechu nie zwrócił uwagi, jak inaczej wrześnie słońce oświetla krajobraz. Dalekie góry miały ten sam fiołkowy odcień jak lawendowe pola. Biegł, nie widząc dzikich fig zwieszających się nad krzakami nabrzmiałymi dojrzałymi czarnymi jagodami. Dotykając nadgarstka w poszukiwaniu pulsu, nie poczuł delikatnego zapachu iglaków, orzechowego aromatu janowców i cierpkiej, gryzącej i tajemniczej woni sadzawek. Równie dobrze mógł biec po torze żużlowym albo w sali gimnastycznej.

Czując przyjemne zmęczenie, wykąpał się w łazience Elinor – zawsze chciał to zrobić. Uwielbiał czuć się naprawdę, naprawdę bogaty.

Pogwizdując wytarł się dokładnie, po czym wylał na siebie prawie pół butelki wody kolońskiej o orzeźwiającym zapachu. Przez otwarte okno dostrzegł, że niebo robi się szare, potem ciemnofioletowe. W samą porę zakończył bieganie.

Po chwili złowieszczej ciszy, w której słychać było tylko szelest bluszczu na tarasie, błyskawica ostrym cięciem przeszła niebo, a za nią nadszedł potężny grzmot.

Kiedy pierwsze krople uderzyły o dach, zamknął okno. Czuł się przytulnie i bezpiecznie. Postanowił poszukać szampana.

Dom, w którym nie było kwiatów, nie rozlegały się żadne dźwięki, wydawał się martwy. Adam wszedł do holu, a jego kroki echem odbijały się od marmurowej posadzki, z której zdjęto antyczne dywany przeznaczone na aukcję. W końcu tygodnia do Sotheby'ego pojedą też wszystkie meble. Specjalista był teraz na górze, ustalając minimalne ceny.

Szafka z alkoholami przy beżowym barku z marmuru okazała się pusta, tak samo wyłączona lodówka. Adam wszedł do kuchni, nadal pachnącej zatęchłym chlebem, otworzył drzwi do zabudowanej półkami spiżarni, zazwyczaj kryjącej olbrzymie pęta kiełbasy, wędzonych szynek przewieszonych przez haki u sufitu, żeby kot nie mógł się do nich dostać. Wyczuwało się jeszcze słabą woń bekonu i leniwy słodkawy zapach lata, ale półki świeciły pustkami.

Zatrzasnął drzwi i otworzył następne, prowadzące do starego loszku, w którym Elinor trzymała wina. Goła żarówka oświetlała opróżnione stojaki.

W końcu w pokoju telewizyjnym znalazł zapomnianą butelkę brandy. Kiedy popijał drinka, usłyszał skrobanie do przeszklonych drzwi tarasowych. Za francuskim oknem stał rudy, przemoczony kot, dopraszając się, by wpuszczono go do środka. Fudge'a przygarnęła kucharka Sylvie, która uznała, że zwierzęciu nie uda się długo przetrwać, gdy będzie miało za przeciwników bandy wiejskich, dzikich pobratymców.

Uszczęśliwiony, że znowu jest w domu, Fudge zwinął się na sofie obok Adama zajętego przeglądaniem starego pisma. Annabel jak zwykle się spóźnia. Rozsądnie postąpił nie wyjeżdżając po nią na lotnisko! Dobrze jej robi, jeśli poczuje się trochę zaniedbana, odtrącona i zapomniana.

Uśmiechnął się. Pomagał Annabel odzyskać pewność siebie, ale żeby to osiągnąć, musiała najpierw poznać smak niepewności.

Adam doskonale pamiętał, że jeszcze jako dziecko flirtowała ze swoim dziadkiem, ale kiedy tylko staruszek podniósł głos, dziewczynka natychmiast wpadała w przerażenie. Właśnie w ten sposób należy z nią postępować!

Adam lubił traktować ją ostro. Kiedy wyczuwała, że nie jest z niej zadowolony, jej usta zaczynały trząść się ze strachu. Z despotyczną łaskawością w głosie zapewniał ją później: Jesteś dla mnie kimś wyjątkowym", wiedząc, że uczyni dla niego wszystko, co zechce, jeśli tylko przekona ją, że mu na tym zależy.

Przy niej wprowadzał w czyn to, czego się nauczył czytając powieści Elinor. Nie wątpił, że główkę Annabel wypełniają dziewczęce marzenia o prawdziwym romansie; wiedział, że jest nim urzeczona, że go pożąda. Domyślał się, że ich związek całkowicie ją pochłonał – sekretne telefony, listy oraz potajemne spotkania. Był prawie pewien, że jej marzeniem jest małżeństwo – gdyby tylko złożył jej taką ofertę.

Głęboko w sobie skrywał pogardę dla kobiet, które w ten sposób emocjonalnie się uzależniały, które domagały się jego akceptacji. Miranda była jedną z nielicznych, które nie potrzebowały pasożytniczo opierać się na mężczyznach.

Jego obecna sytuacja przedstawiała się mniej więcej tak: dwie siostry jedzące mu z dłoni i trzecia, która już się nie liczy. Trochę to wyczerpujące, ale zostało jeszcze tylko pięć miesięcy. Paul Littlejohn potrzebował nieco więcej czasu, niż pierwotnie przewidywał, jednak pod koniec lutego Adam znajdzie się w Rio.

Siostry bardzo ułatwiły mu sprawę, tak ulegle poddając się jego wdziękowi. W innym wypadku musiałby się nieźle namęczyć, by namówić je do sprzedania Saracen, choć nawet gdyby na to nie przystały, pewnie bez trudu udowodniłby im, iż działał, mając na względzie ich korzyść. Po zainwestowaniu pieniędzy uzyskanych ze sprzedaży zamku i inwentarza majątek powierniczy zwiększyłby się znacząco.

Jednakże decyzja wystawienia Saracen na aukcję nierozzerwalnie wiązała się z pozostawieniem Elinor w domu opieki. Gdyby nie fakt, że obydwie siostry zakochane były w Adamie, postanowienie sprzedaży posiadłości ponownie sprowokowałoby dyskusję, czy dom opieki stanowi najlepsze miejsce dla babki.

Adam starał się uświadomić Mirandzie, że nie mogą już sami decydować o wypisaniu Elinor. W momencie gdy chce tego pacjent albo też rodzina, ale wbrew lekarskim zaleceniom, prawo o szpitalach dla umysłowo chorych zakładało przymusowe przytrzymanie do dwudziestu ośmiu dni. To wzbudziłoby niezdrowe zainteresowanie prasy, a w sumie nic by nie dało. Dom opieki nie zawsze okazywał się najlepszym rozwiązaniem, ale w przypadku Elinor było to znakomite miejsce, tu troszczono się o nią niezwykle.

Acz niechętnie, Miranda zgodziła się, że babka pozostaje w dobrych rękach i w luksusowych warunkach.

Tak nagle, jak się zaczęła, ulewa ustała i delikatne promienie słońca oświetliły taras. Rozmyślenia Adama siedzącego w pokoju telewizyjnym raptownie przerwał odgłos kroków. Podniósł wzrok, patrząc na wchodzącego pana Simpsona, przysłanego z Londynu eksperta od wyceny mebli.

– Pan wybaczy – odezwał się Simpson. – W bibliotece należącej do pani O'Dare znalazłem coś, co nie jest wpisane do inwentarza. To duży sejf, zbyt ciężki, bym sam go mógł unieść.

Adam poszedł za szczupłą, ciemno ubraną postacią. Dotarli do sypialni Elinor znajdującej się na piętrze. W pokoju stało łóżko, z którego już zdjęto pościel, i inne meble z ponaklejanymi karteczkami z ceną.

W bibliotece, zaraz za sypialnią, ulokowano półki wypełnione książkami dla dzieci, wydawnictwami kieszonkowymi i sześcioma tysiącami książek popularno-naukowych, naukowo-informacyjnych. Pod oknem, na tanim drewnianym stoliku stała powyginana, czarna żelazna skrzynka.

– Jest zamknięta, proszę pana – zauważył Simpson – ale żaden z domowych kluczy do niej nie pasuje.

– Więc proszę ją otworzyć na siłę – rozkazał Adam. – W skrzynce z narzędziami powinien być łom. Proszę sprawdzić w kuchni.

Pan Simpson zawahał się, po czym stanowczo oświadczył:

– Wolałbym tego nie robić, sir, bez pisemnej zgody właściciela.

Adam, nieco poirytowany, zszedł na dół, by zawołać dozorcę, którego z pewnością nie powstrzymają żadne skrupuły.

Dziesięć minut później czarne wieko skrzynki zaskrzypiało podczas otwierania.

Adam zwolnił Simpsona i dozorcę.

Kiedy tylko drzwi się za nimi zamknęły, z ciekawością nachylił się nad pudłem. Jednak, ku jego rozdrażnieniu, w skrzynce znajdowały się jedynie jakieś stare zdjęcia i dziecinne pamiątki.

Od niechcenia przerzucał niezgrabne rysunki i liściki; odłożył na bok wyblakłe fotografie z pozaginanymi rogami, przedstawiające uśmiechnięte dzieci w słomkowych kapeluszach, kopiące łopatkami w piasku lub siedzące na tłusciutkich karkach kucyków. Na dnie skrzynki znalazł kupkę listów w kopertach ze znaczkami z Oxfordu; związane były wąską kremową wstążką.

Niezmiernie zawiedziony, zamierzał już trzasnąć wiekiem i opuścić pokój, kiedy coś przyszło mu do głowy. Musiał istnieć powód, dla którego Elinor zamknęła skrzynkę i klucz trzymała oddzielnie, nie z pozostałymi kluczami domowymi. Powinien ponownie, tym razem uważnie, przejrzeć zawartość.

Pospiesznie, ale z zastanowieniem, wyjął zawartość i rozłożył wszystko na stoliku. Po jakichś dziesięciu minutach natknął się na zwyczajnej wielkości kopertę, tyle tylko, że zaklejoną. Rozerwał ją i ze środka wyjął pomięte kartki.

Czytając je, czuł, jak na ustach wykwita mu tryumfalny uśmiech.

Rozdział 24

Noworoczny bal Mirandy jak zawsze okazał się sukcesem. Na chwilę przed północą rozejrzała się po namiocie udekorowanym szkarłatno-niebieskimi wstęgami i poczuła zadowolenie. Miała ograniczone pole widzenia, ponieważ jej twarz zakrywała złota lwia maska, podobna do masek znajdujących w grobach Inków; reszta stroju to złote body i dopasowane kolorem szpilki. Jej włosy ufryzowane były w imponującą lwią grzywę.

Motywnym przewodnim tegorocznego balu przebierańców był cyrk Felliniego i dlatego w ogrodzie Mirandy pojawił się olbrzymi namiot, oświetlony od wewnątrz przyćmionymi i tajemniczymi blaskami lampek. Po ziemi snuła się sztuczna mgła. W centrum ustawiono cyrkową arenę z dwoma mniejszymi, okrągłymi namiocikami i trzema estradami, każda wielkości niewielkiego pokoju gościnnego. Namiociki udekorowano w jasnym odcieniu błękitu i srebra. Unosząc się ponad romantyczną mgiełką, wyglądały tak, jakby ostatnio używano ich w Agincourt. W jednym umieszczono Cyganek, przepowiadającą przyszłość, w drugim barek serwujący szampana.

Orkiestrę ustawiono na czarnej estradzie, na której trzy przepiękne piosenkarki, ubrane w stroje przypominające srebrną bieliznę i w turbanach na głowach, tęsknymi głosami śpiewały ostatni przebój Dusty Springfieldda. Na dwóch następnych estradach, wyłożonych jasnoszarymi dywanami, ustawiono krzeselka z epoki Ludwika XVI wyściełane szarą morą. Goście siedzieli i przyglądali się parom tańczącym na obrotowej arenie w centrum.

Siłacz, trzymający ciężary z papier-mache, tańczył z balerinami w krótkich spódniczkach o pastelowych kolorach; skąpo odziane kobiety z brodami, olbrzymi i krasnale trzęśli się, podskakiwali, objali o siebie, wirowali. Przekupień płaśał z treserką małp, na której ramieniu, okrytym eleganckim czerwonym atłasem, siedziała prawdziwa małpka o posępnym pyszczku. Słoń wirował z poskromicielką lwów. Tygrys okręcał wokół siebie nubijską niewolnicę, naga do pasa, w szerokich pumpach i upstrzonym klejnotami turbanie. Kobieta-jeździec, odziana na różowo, wjechała na szarym koniu, który następnie został odprowadzony przez jej giermka.

Kobiety o najzgrabniejszych figurach włożyły na siebie trykoty, body i pantofle na wysokich obcasach: srebrna akrobatka, czarna pantera, szkarłatno odziana kobieta-wąż, wytatuowana kobieta w białym body.

Z powodu gorąca panującego w namiocie dwugłowy mężczyzna zdjął jedną z

głów: Miranda rozpoznała w nim skandynawskiego księcia, który kupił Saracen. Uśmiechając się, poszła sprawdzić bufet z jedzeniem, które miało być podane o północy.

Pokoje wewnątrz domu zasypano obficie jesiennymi liśćmi, już od października czekającymi na tę okazję w worakch w piwnicy. Dzięki tej dekoracji dom wyglądał jak tajemniczy zamek Śpiącej Królowej. Także tutaj z podłóg unosiła się ezoteryczna mgła. Z podwójnego pokoju gościnnego usunięto meble i na ich miejsce wstawiono okrągłe stoły nakryte lawendowymi obrusami i płóciennymi serwetkami w odcieniu wody z Nilu. Jedynymi źródłami światła były ustawione na każdym stoliku świece w srebrnych kandelabrach, obwieszonych delikatnymi jedwabnymi zwojami na kształt nici pajęczej.

Wracając do namiotu w ogrodzie, Miranda zauważyła zaklinacza węży z gołym torsem, w turbanie na głowie i turkusowych szerokich pumpach, rozmawiającego w holu z Mike'em Grantem.

– Scott! – zawołała. – Cieszę się, że udało ci się przylecieć. Szkoda, że nie mogłeś spędzić z nami Bożego Narodzenia... To ty, prawda? Przez te niezwykle kostiumy nie poznaję połowy swoich gości.

Zaklinacz węży pocałował Mirandę w policzek.

– Jasne, że to ja. Nigdy nie opuściłbym takiego balu. Gdzie jest Annabel?

– Myślę, że tańczy. Łatwo zauważyć, że przyszłście jako para! – Miranda właśnie niedawno podziwiała strój siostry, która przebrała się za węża. Zrobiony z bursztynowej satyny wąż oplatał się wokół jej obszytego zielonymi cekinami body od szyi po jej lewą stopę. Na nogach miała czerwone wysokie szpilki w stylu Alana Jonesa.

– A za kogo ty się przebrałeś, Mike? – zastanawiała się Miranda. Pomimo że na zaproszeniach umieszczono nazwisko doskonałego kostiumologa teatralnego, Mike ubrany był w czarną skórzaną kurtkę, a w ręku trzymał wiadro.

– Ja po prostu karmię zwierzęta – przyznał się wstydliwie.

– Nie wysiliłeś się – z dezaprobatą stwierdziła gospodyni. – Zobacz, jak wszyscy inni się namęczyli. – Pokiwała palcem tylko w połowie żartobliwie. – Jeśli nie zdobyłeś się na nic lepszego, w przyszłym roku cię nie zaproszę.

Przerwał jej Scott:

– Mirando, jestem pewien, że Annabel nie ma na parkiecie. Szukam jej już prawie od godziny. Gdzie ona, do diabła, poszła?

– Może jest przy basenie – zasugerował Mike.

– Nie, tam by nie poszła – stwierdziła Miranda. – Dzisiaj zabroniłam korzystać

z mojego nowego basenu. Zapijaczne towarzystwo może do woli taplać się w fontannie na Trafalgar Square, ale nie będą zachlapywać mojego świeżo udekorowanego domu.

Kierując się w stronę namiotu, zawołała przez ramię:

– Pewnie odnajdziecie się o północy. Będziemy śpiewać „Auld Lang Syne” w namiocie, przed kolacją – *foie gras*, dzika kaczka i pigwy zapiekane w cieście.

– Naprawdę powinieneś obejrzeć basen Mirandy – rzucił Mike. – Zamieniła całe pomieszczenie w rzymską łaźnię. Nie w nowoczesną, tylko w taką, która wygląda, jakby zbudowano ją przed dwoma tysiącami lat i właśnie odkopano i odrestaurowano. Założę się, że w życiu nie widziałeś nic podobnego.

– W porządku, prowadź – zgodził się Scott.

Z drinkami w dłoniach ruszyli do windy.

– Na długo przyjechałeś? – zainteresował się Mike.

– Nie, tylko uczcić Nowy Rok.

Scott planował także rozmówić się z Adamem; nie zamierzał dłużej dawać się zbywać wymówkami. Miarka przebrała się wraz z przyrzeczeniem, że będzie otrzymywał kwartalne sprawozdania z księgowości; obietnica nie została spełniona. Ostatecznie Scott stanowczo zapowiedział, że sam pofatyguje się do Londynu i osobiście zgłosi się po te sprawozdania albo sprawdzi, dlaczego ich nie ma.

Mike zrobił krok z windy i lewą dłoń wyciągnął, aby poszukać włącznika światła, tymczasem okazało się, że pomieszczenie tonęło już w przyćmionym, tajemniczym blasku.

– Hej, ktoś już włączył światła! Myślałem, że Miranda nikogo tu nie wpuszcza.

Zdziwiony pchnął kremowe drzwi i Scott zobaczył przepiękne, ciemnozielone lustro wody. W pomieszczeniu znajdowały się kamienne kolumny, miejscami ukruszone, tak jak i półkoliste sklepienie, a ściany wyglądały tak, jakby wyciosano je w skałę. Mały strumień, wyglądający bardzo naturalnie, wpadał po przeciwnej stronie do basenu. Tuż przed kamiennymi filarami ustawionymi w okrąg leżały materace przykryte kremowymi prześcieradłami kąpielowymi; na jednym z nich ktoś zostawił bicz i cylinder; na drugim zielone ubranie zwinięte w kłębek. Na następnym materacu leżeli nadzy kobieta i mężczyzna, złączeni zmysłowym uściskiem.

Mike szeroko otworzył jasnoszare oczy. Kiedy dojrzał wreszcie, kim był mężczyzna, poczuł, jak obrzydzenie ściska mu gardło.

A kiedy Scott rozpoznał kobietę, rzucił się w stronę rozneśliżowanej pary

wrzeszcząc:

– Ty dziwko!

Mike skoczył za nim i chwycił za ramię, starając się go powstrzymać, ale Scott tylko się otrząsnął. Siłowali się, aż w końcu Scott uderzył Mike'a pięścią w twarz. Opanowało go uczucie radości, że mógł wyładować wściekłość.

Mike oddał mu najsilniej, jak potrafił, tak jakby chciał uderzyć brata. Jak Adam mógł postąpić tak okrutnie? Dlaczego się zdecydował na takie bezsensowne ryzyko? Adam, który nigdy poważnie nie angażował się z żadną kobietą?

Scott, któremu pumpiaste spodnie wyraźnie przeszkadzały, dalej siłował się z Mike'em. Popychali się, rżąc, dysząc i klnąc, aż jeden z nich pośliznął się na mokrym kamieniu. Ozdobiony klejnotami turban Scotta spadł mu z głowy i potoczył się do basenu. Obydwaj mężczyźni wpadli w ślad za nim.

Naga para pospiesznie wstawiała. Annabel okryła się ręcznikiem; bała się, ale czuła też dreszczyk podniecenia. Przynajmniej teraz Scott poznał prawdę – na dodatek Adam nie będzie mógł zarzucić, że zdradziła ich tajemnicę. Zresztą nie ona wpadła na pomysł, żeby kochać się nad basenem. Tańczyła z Adamem na obrotowej scenie, wsłuchując się w subtelną, spokojną muzykę, skąpana w przyćmionym świetle. Czuła ciepły oddech partnera szepczącego jej w ucho podniecające wyznania... To on zaproponował, żeby poszli nad basen. Nie, Adam nie mógł jej winić za tę wpadkę.

Pochwyciła swoje body i szkarłatne pantofle i zapominając o wypchanym wężu pobiegła do windy. Adam zaraz za nią, nie myśląc nawet o okryciu gołego ciała ręcznikiem.

W tym czasie rozwścieczonemu Scottowi udało się wyjść z wody, ale nadzy kochankowie już zniknęli. W ociekających wodą pumpach pognął za nimi do windy.

Skórzana kurtka Mike'a tak nasiąkła, że miał trudności z podciągnięciem się na krawędź basenu. Wykonując dziwaczne ruchy dopłynął do kamiennych schodków, a kiedy się po nich wspinał, woda spływała z niego jak z kaczki. Energicznie potrząsnął głową, by osuszyć włosy.

Odpiął suwak, rzucił kurtkę na podłogę, po czym uwolnił się z reszty mokrych ubrań. Scott nieźle mu przyłożył. Jeszcze czuł ból w żebrach. Okrył się ręcznikiem i nagle coś mu przyszło do głowy. Jeżeli Adam – zawsze tak ostrożny – dał się złapać w kompromitującej sytuacji z kobietą, to prawdopodobnie właśnie tak to sobie zaplanował. Ta scena musiała być bardzo dokładnie zaaranżowana. Adam chciał, żeby go przyłapano na tym, jak rżnie Annabel.

Ale po co?

Wycierał włosy i intensywnie myślał. Może Adamowi zależało, by Scott odkrył niewierność Annabel, a jak tego dokonać? Bardzo proste! Przecież Scott, przyjeżdżając prosto z lotniska, najpierw będzie szukać żony. Wszystko, co Adam musiał zgrać, to czas przylotu Scotta i dziesięć minut wcześniej namówić Annabel do stosunku.

Nawet gdyby Scott jej nie znalazł, Miranda zaplanowała te swoje śpiewy o północy, więc pięć minut przed, zaniepokojona nieobecnością siostry, rozesałaby za nią służbę.

Mike zawinął się w kremowy ręcznik, po czym skierował do windy. Dlaczego Adam chciał poróżnić Annabel z mężem? Musiały istnieć jakieś powody. Niemożliwe, żeby się w niej zakochał, ani też żeby się z nią pieprzył bez konkretnego celu. Jeżeli zostanie wplątany w sprawę rozwodową, ryzykuje, że zostanie z kobietą, której wcale nie pragnie. A więc z pewnością gra musi być warta świeczki. Annabel jest spadkobierczynią majątku, ale to samo odnosi się do Mirandy. Dlaczego nie wybrał wolnej siostry, jeżeli idzie mu o pieniądze?

Nie. Tu chodzi o coś innego. Tylko o co?

Piętnaście minut przed północą Miranda postanowiła posłać po Annabel lokaja, ale w tej samej chwili podeszła do niej pokojówka i szepnęła jej coś do ucha. Miranda przeszła za nią na górę, do gościnnej sypialni, i zastukała do drzwi.

– Scott? Słyszałam, że wpadłeś do basenu! – Śmiała się.

Mężczyzna otworzył i burknął:

– Wejdz i zamknij za sobą drzwi.

– Co się stało? – Miranda zauważyła, że szwagier jest wściekły. Widziała też, że jest trzeźwy.

– Mirando, czy wiedziałaś, co się dzieje? Czy znałaś ich tajemnicę? Pomagałaś im?

– Nie rozumiem, o czym ty, do diabła, gadasz? Co się dzieje?

– Właśnie przed chwilą ja i Mike widzieliśmy Annabel z Adamem.

– Och, to dobrze, zastanawiałam się, gdzie ona się podziewa – odsapnęła. – Gdzie ich spotkaliście?

– Kochali się! – wrzasnął Scott. – Adam i Annabel! Nad twoim pieprzonym basenem!

Miranda odsunęła się od niego.

– To niemożliwe... Musiałeś się pomylić!

– Zapytaj Mike'a! – ryczał Scott. – On też tam ze mną był i wszystko widział!

Miranda wydała z siebie dźwięk, który na wpół przypominał westchnienie, na wpół jęknięcie. Zdarła z twarzy złotą maskę. Miała wrażenie, że po jej ciele przebiega tysiące lodowatych palców, które starają się dotrzeć do jej serca. Wydawało jej się, że wychodzi z ciała i staje obok, przyglądając się sobie z odległości: prawdziwa Miranda wisiała gdzieś pod sufitem, wyjąc w duszy z bólu i wściekłości nad podwójną zdradą. To złote ciało w dole poruszało się, mówiło, zachowywało się niemal normalnie, ale w środku czuło się jak zimny, martwy przedmiot.

– Gdzie oni teraz są? – Musiała bardzo się wysilić, by jej głos zabrzmiał naturalnie. Scott za nic nie może się domyślić, jak cierpi, jaka, jest słaba, jaka głupia. Ani on, ani nikt inny nie może nigdy się dowiedzieć, że otworzyła przed Adamem swoją duszę, a on ją zniszczył. Nikt nigdy nie może poznać jej wstydu.

– Wyszli, obydwójce – z zaciśniętymi ustami oświadczył Scott. – Jeden ze strażników przy drzwiach powiedział, że dwoje ludzi owiniętych w ręczniki kąpielowe odjechało Rollsem. To z pewnością oni. Prawdopodobnie pojechali do niego. Moja kurewska żona nie odważyłaby się zabrać go do naszego apartamentu w Ritzu.

– Scott, czy na pewno się... nie pomyliłeś?

– Zapytaj Mike'a, jeśli mi nie wierzysz! – Czekał na to, że Miranda go pocieszy, poradzi coś, a nie że zacznie go wypytywać i sprawdzać.

Miranda powoli przeszła do telefonu stojącego koło łóżka. Musi istnieć jakieś wytłumaczenie. To Annabel rzuciła się na Adama. Musiała go zaskoczyć. On pewnie był pijany. Kierował nim szalony, wyuzdany, seksualny impuls.

Ale przecież nigdy nie widziała Adama pijanego.

Wykręciła numer zamiejscowy i pięć minut czekała, aż ktoś się odezwie.

– Nie ma ich u Adama – stwierdziła – albo nie podnoszą słuchawki.

W ciszy obydwójce zaczęli wyobrażać sobie, co robi tamta dwójka.

Scott, zły i zraniony, powiedział:

– Nigdy bym nie przypuszczał, że Annabel... Tłumaczyła swoje wyjazdy do Anglii odwiedzinami u Elinor!... Cholera! Co ze mnie za idiota!... Ciekawe, ilu jeszcze miała kochanków? Prawdopodobnie już od lat robiła ze mnie balona. – Potrząsał głową z niedowierzaniem. – Nigdy nie myślałem, że może mnie oszukiwać!

– Moja siostra kieruje się wyłącznie egoizmem – oświadczyła zimno Miranda.

– Wracam do Ritza. Postaram się przespać – rzucił zmęczonym głosem Scott.

Chciał zostać sam, chciał przeklinać swoją niemoc, rozbijać ściany gołymi rękami.

– Gdyby ona się pojawiła – zauważyła Miranda nagle przestraszona – nie postępuj pochopnie. Nie powiedz czegoś głupiego. Pozwól, żebym ja pierwsza z nią porozmawiała. Spróbuję dowiedzieć się, dlaczego do tego doszło i jak długo to się ciągnie. – Jej głos był beznamiętny.

– Nie martw się. Nie mam zamiaru zbić tej dzidzi! Nie tknę jej! – zapewnił. – Ale i tak wątpię, czy się dzisiaj pokaże. Pewnie zostanie z tym skurwielem. – Przetarł oczy gestem znużenia. – Zadzwoń do ciebie z rana. Jak tylko Annabel wróci, wylatujemy do Nowego Jorku.

– Na dole jest kilku dziennikarzy z rubryk towarzyskich. Nie chcę, żeby ludzie zaczęli się zastanawiać, co się tu dzieje. Lepiej zejdę tam i zajmę się gośćmi. – Miranda była zadowolona, że musi wrócić do odgrywania swojej roli; będzie się promiennie uśmiechała, przechadzała, dopytywała, czy wszyscy dobrze się bawią, śpiewała „Auld Lang Syne”.

Zazwyczaj ostatni goście wychodzili około piątej nad ranem i zwykle z utęsknieniem wyczekiwała tego momentu, ale teraz nie chciała, by nadszedł. Potem już nic nie przeszkodzi jej w myśleniu. Usilnie starała się nie pamiętać dotyku rąk Adama, jego zapachu, szeptów pełnych miłosnych wyznań i jego nieco oziębłego sposobu wprowadzania ich w czyn.

CZWARTEK, 2 STYCZNIA 1969

Scott zadzwonił do Mirandy z informacją, że po trzydziestosześciogodzinnej nieobecności Annabel pojawiła się w Ritzu, ubrana w białe futro z lisa i prawie nic więcej. Jeżeli Miranda ma ochotę przemówić siostrze do rozsądku, niech lepiej szybko przyjeżdża, bo Annabel się pakuje. On idzie do baru.

– Co ty tu robisz? – wrzasnęła Annabel, kiedy Miranda weszła do sypialni. Dorzuciła do przeładowanej walizki leżącej na łóżku stertę brzoskwiniowej, koronkowej bielizny. – Jeśli myślisz, że będę słuchała twoich pouczeń, to równie dobrze możesz już sobie pójść!

– Nie waż się rozkazywać mi, co mam robić! – ostro odcięła się siostra.

– Będę robiła to, na co mam ochotę.

– Od jak dawna miałaś ochotę na pieprzenie się z Adamem?

– Nie twój interes!

– Niestety, mój – wysyczała Miranda. – Ja i Adam jesteśmy kochankami już ponad trzy lata.

– Nie wierzę ci! – ciekim głosem pisnęła Annabel. Spojrzała na siostrę.

– Ostatni raz kochaliśmy się trzy dni temu.

– Nie wierzę, że on cię kocha! Nie mógłby! – Jej pewność zwiększyła się, kiedy przypomniała sobie ostatnie boskie trzydzieści sześć godzin, które spędziła w łóżku Adama.

– A ja nie wierzę, że on kocha ciebie! – krzyczała Miranda. – A nawet jeśli, to traktuje ciebie jak panienkę na jeden wieczór. Stosował z tobą te swoje sztuczki?

– Co, do cholery, masz na myśli?

Miranda obrzuciła siostrę chłodnym wzrokiem.

– Czy muskał piórkiem twoje brodawki? Czy lizał ci powoli palce u nóg? Czy całował cię po całym ciele, tak delikatnie, że wydaje się, iż pomiędzy jego ustami a twoją skórą jest miejsce tylko na ciepły oddech? Czy...

– Zamknij się! Zamknij się! Nie chcę już więcej tego słuchać! – Ale w rzeczywistości pragnęła dowiedzieć się jeszcze czegoś. Do serca zaczęła wdzierać się niepewność. Stała przed siostrą, wpatrując się w nią.

– Nie próbuj płakać – uprzedziła ją Miranda twardo. – Nie ma powodu, dla którego ja i Adam nie moglibyśmy utrzymywać intymnego związku, ale ty oszukałaś swojego męża, a także siostrę!

– Scottowi się to należało! Natomiast nigdy nie zamierzałam oszukiwać ciebie. Nie miałam o niczym pojęcia!

– No tak, ale teraz już wiesz. Więc trzymaj łapska z daleka od mojego mężczyzny!

– Ale on nie jest twój! – wrzasnęła Annabel. – Gdyby naprawdę cię kochał, to czy spałby ze mną? – Po krótkiej chwili dodała tryumfalnie: – Jeżeli rzeczywiście cię kocha, dlaczego trzymacie to w tajemnicy?

– To nie twój pieprzony interes – odcięła się Miranda, czując lód w sercu. Co z niej za idiotka, że pozwoliła sobie myśleć, iż Adam kocha ją na tyle, żeby się z nią ożenić. Nawet nie potrafi pozostać jej wierny.

– A właśnie, że mój! Adam mnie kocha! Zamierzamy się pobrać!

– Naprawdę poprosił cię o rękę? – Miranda nie mogła uwierzyć własnym uszom.

Annabel zawahała się, po czym skłamała z całym przekonaniem.

– Tak.

– Dlaczego więc nie poinformował mnie o tym?

– Twierdzi, że najrozsądniej zrobimy przeczekując całe zamieszanie. .

Miranda zaproponowała lodowatym głosem:

– Może spotkamy się z nim i niech osobiście nam wyjaśni, co zamierza. Gdzie on jest?

– To nie twoja główniana sprawa.

– Och, przestań tak gadać! Jeżeli Scott go odnajdzie – co nie będzie zbyt trudne – rozedrze go na kawałki.

– Scott nie znajdzie Adama – zapewniła Annabel. – Musi wieczorem wylecieć do Nowego Jorku, jeżeli nie chce przegapić programu.

– Jeśli Adam ukrywa się przed Scottem, choć szczerze mówiąc, wątpię w to, spotkajmy się z nim jutro. – Miranda mówiła spokojnym głosem, w rzeczywistości jednak była bardzo zdenerwowana. – Gdzie on jest? – zapytała ponownie.

– Słowo honoru, że nie wiem – skłamała Annabel przybierając jak siostra obojętny ton. – Możliwe, że dalej siedzi w Savoyu. Tam spędziliśmy noc.

Gdzieś na dnie analitycznego umysłu Mirandy zaczęła się kształtować pewna myśl: żeby zarezerwować pokój w Savoyu, Adam musiał to zrobić na długo przed Nowym Rokiem.

Jednak zamiast dalej iść tym tropem, pozwoliła, by jej uwaga skoncentrowała się na targających nią w tej chwili emocjach. Przez ostatnie pół godziny jej miłość do siostry zmieniła się w nienawiść zrodzoną z zazdrości. Miranda zdawała sobie sprawę, że tamta pod jednym względem miała rację – gdyby Adam naprawdę ją kochał, nie poszedłby z Annabel do łóżka.

Doskonale teraz rozumiała uczucia osoby zdradzonej, która powodowana chęcią zemsty zabija niewiernego kochanka. Ona z pewnością chciała zabić Adama – nie skrycie, podając mu truciznę, nie gwałtownie, strzelając do niego, ale stosując długie i bolesne tortury. Pragnęła, by wiedział, że to ona doprowadziła do jego śmierci. Chciała, by cierpiał, odczuwając ten sam ból, który trawił ją w tej chwili i który pewnie jeszcze długo będzie ją męczył.

– Odnajdę go. Nie może się wiecznie ukrywać. – Rzuciła Annabel nienawistne spojrzenie, po czym wybiegła z pokoju.

Kiedy nieco później wrócił Scott, zastał żonę siedzącą na walizce, której nie mogła domknąć.

Annabel spojrzała na stojącego w drzwiach mężczyznę. Jego twarz wykrzywiała wściekłość, a przy tym wydawał się tak nieskończenie nieszczęśliwy. Miała ochotę powiedzieć mężowi, że jest jej przykro, że nie chciała go zranić, tak zresztą się czuła. Ale ponieważ to ona ponosiła winę, nie potrafiła zdobyć się na ten gest.

– Miranda podała mi własną wersję całej historii – burknął. – Nie wyobrażałem sobie, że z ciebie taka pozbawiona skrupułów, zdradliwa dziwka!

Annabel chłodno odpowiedziała:

– Zamkniesz tę cholerną walizkę, czy mam zawołać pokojowego?

– A wołaj sobie, do diabła – wycedził Scott. Jego zraniona duma walczyła ze złością i uczuciem poniżenia. – Jak mogłaś zrobić mi coś takiego? Jak mogłaś postąpić tak w stosunku do własnej siostry?

– Nie wiedziałam, że Miranda jest... zakochana w Adamie.

– Popatrzyła na męża, po czym nacisnęła dzwonek.

– Czym, do czarta, ten człowiek was obie opętał? – zapytał.

– Zahipnotyzował was, czy co?

– Adam nie stawia swojej kariery ponad wszystko! Nad własne życie! Nad własną żonę!

Scott raptownie stracił całą buńczuczność.

– Uwierz mi, że bardzo tego żałuję.

– Adam nie zakłada sobie, że posiada mnie na własność!

– A więc tym cię oczarował – zauważył cicho mężczyzna.

Adam przekupił jego żonę, zajmując się nią, poświęcając jej, uwagę tak jak on sam na początku ich małżeństwa. Scott zbagatelizował fakt, że Annabel po zakończeniu kariery straciła wiarę w siebie. Starał się zminimalizować powagę uczuć, które ją gnębiły, a Adam pocieszył ją, używając pochwał. Żerował na jej niepewności i słodkimi słówkami wyciągnął ją z dołka. Scott zrobił dwa kroki w stronę żony.

– Mój aniele, nie zdawałem sobie sprawy, że cię zaniedbuję.

– Gdybyś tylko wiedział, jak nienawidzę, kiedy nazywasz mnie aniołem.

– Dlaczego więc mi tego nie powiedziałaś? – jęknął. – Jak nazywa cię ten skurwiel?

Nie mógł zrozumieć, dlaczego ogarnęło go tak przemożne poczucie żalu, straty, prawie jakby opłakiwał czyjąś śmierć. Tylko raz w życiu czuł się podobnie – na pogrzebie matki, kiedy to stanowczo zbyt późno uświadomił sobie, że stracił kogoś, kogo nie da się zastąpić, kogoś, kogo ogromnie cenił, ale do ostatniej chwili nie zdawał sobie z tego sprawy.

Mając w pamięci tamten ból, powiedział:

– Annabel, nie mogę cię utracić.

– Nie wyobrażasz sobie chyba, że ja czuję to samo? – Żona znów spojrzała na niego.

– Nie mogę uwierzyć, że to wszystko przytrafia się właśnie nam! – Scott, zazwyczaj tak bystry i spostrzegawczy, nie zauważył, że Annabel od miesięcy go okłamuje.

– Dlaczego nie? – zdziwiła się.

– W studiu mogłem pieprzyć się z każdą koleżanką. Możesz się śmiać, ale ja rzeczywiście wierzę, że małżeństwo powinno dochować sobie wierności. Dla mnie miłość to nie jest tylko pierdolenie się.

– Ostatnio jakoś tego było mało. – Annabel z niecierpliwością wpatrywała się w okno. Nie mogła się doczekać, kiedy stąd wyjdzie.

– Do tego potrzeba dwóch osób – wypomniał jej mąż. – Pamiętasz, jak często jeździłaś w odwiedziny do Elinor? – Następnie dodał nieco ciszej: – Tak jak zaplanowaliśmy, wracamy do Nowego Jorku, a potem zapomnimy o wszystkim, co się tu wydarzyło.

Annabel wybuchnęła śmiechem. Scott stracił panowanie nad sobą.

– Jeśli tego nie zrobisz, rozwiodę się z tobą – zagroził.

– Proszę bardzo – roześmiała się ponownie. Koniec z kłamstwami. Koniec z kryciem się. Nigdy więcej wymyślnych alibi. Koniec z poczuciem winy. Będzie wolna i poślubi Adama. A była pewna, że on też tego pragnie.

Po zastanowieniu się Miranda doszła do wniosku, że Adama z pewnością nie ma w Savoyu, a tym bardziej we własnym domu, bo tam ona i Scott mogliby go z łatwością odszukać.

Gdzie ten skurwiel mógł się ukryć, jako nieoczekiwany gość, na nie określony czas, poza sezonem wakacyjnym, w ciszy i w komfortowych warunkach, nikomu nie znany?

Nagle domyśliła się, gdzie go znajdzie. Istniała jedna osoba, która zawsze chroniła Adama, bez względu na to, co przeskrobał.

Dwadzieścia minut później naciskała dzwonek u drzwi wejściowych do kremowego budynku położonego przy Eaton Terrace.

Kiedy pojawił się lokaj Mike'a, Miranda cichym głosem rozkazała:

– Proszę powiedzieć panu Adamowi Grantowi, że panna O'Dare nieco wcześniej przyszła na umówione spotkanie.

Weszła do środka, ale zamiast czekać w holu, bezszelestnie podążyła za lokajem po wyłożonych dywanem schodach, aż na drugie piętro.

Służący zatrzymał się przed sypialnią. Zanim zdążył zapukać, Miranda przekręciła gałkę, prześliznęła się pod jego ramieniem i wpadła do pokoju.

Adam siedział przy musztardowego koloru brokatowych zasłonach wiszących u okna i wpatrywał się w zapisaną liczbami kartkę.

Podniósł na wchodzącą zaskoczony wzrok.

– Mirando, co ty tu robisz? – Mówiąc to upuścił kartkę pomiędzy poduszkę a oparcie fotela, tak żeby jej nie zauważyła.

– To samo pytanie mogę zadać tobie! – zawołała rozgorączkowana.

– Dziękuję ci, Forbes. – Adam poczekał, aż drzwi zamknęły się za lokajem, następnie, starając się przybrać szczery wyraz twarzy, powiedział: – Przykro mi, Mirando, że dowiedziałas się prawdy właśnie w ten sposób. Naprawdę mi przykro, że tak ci skomplikowałem życie.

Miranda poczuła w sercu bolesne ukłucie niszycielskiej zazdrości, jakby ktoś przeszywał ją cierniowym kolcem. Znękana, czując ogarniającą ją beznadziejność, na granicy szaleństwa, wybuchła:

– Dlaczego zrobiłeś to w taki sposób? Tego właśnie nie mogę zrozumieć. Czy kochasz Annabel?

– Ani z tobą, ani z nikim innym nie będę rozmawiał na temat uczuć, jakie żywię w stosunku do Annabel – oświadczył. Podniósł się i obrzucił Mirandę zimnym spojrzeniem.

Trawiąca ją zazdrość rozpałała się w jej wnętrzu. Miranda rzuciła się z pięściami na Adama.

Bez trudu schwycił ją za nadgarstki. Nie miała siły, by się uwolnić, kopnęła go więc w kostkę i w piszczel. Kiedy wykrzywił się z bólu, spróbowała ugryźć go w rękę. Gwałtownie przyciągnął ją do siebie, przyciskając jej twarz do klatki piersiowej, wykręcając ręce do tyłu.

Nie mogła się poruszać. Policzek mocno przywierał do jego ciała. Zżerały ją nienawiść, paląca wściekłość i ból.

– Puść mnie, ty śmierzeliu! – Odwróciła głowę i udało jej się ugryźć go w podbródek.

Nie kryjąc furii Adam zapowiedział:

– Puszczę cię, kiedy mi się spodoba. Dowiesz się teraz, kto tu rządzi, ty bezrozumna, głupia, mała dziwko.

– Przypominam ci, że to ja zarządzam firmą! Jestem twoim szefem!

– Nie bądź tego taka pewna – odciął się. – Dlaczego masz mieć wszystko, kiedy to ja tyle się namęczyłem?

– Masz akcje warte ćwierć miliona funtów! I dostajesz cholernie wysoką pensję! Puść mnie!

Adam wzmocnił uścisk.

– Przykro mi powiadomić cię, że nie tylko chcę mieć więcej z tego wszystkiego, ale na dodatek pragnę, żebyś ty miała mniej.

– Puść mnie! – Miranda desperacko próbowała się uwolnić. Czuła, jak jej nadgarstki stają w płomieniach i łyzy bólu napływają do oczu. – Przrzekam na wszystkie świętości, Adamie, że cię zwolnię!

– Nie, Mirando, nie możesz tego zrobić!

– Nie rozumiem, co, do cholery, chcesz przez to powiedzieć. Kiedy tylko się stąd wydostanę, zamierzam zadzwonić do mojego adwokata i sprawdzić, jak szybko mogę zerwać podpisany z tobą kontrakt.

– W takim razie nie zapomnij dodać, że nie posiadasz już większości akcji Towarzystwa.

– Co to ma znaczyć?

– Posiadając rozległą wiedzę na temat zarządzania przedsiębiorstwem, wiesz z pewnością, że w rzeczywistości kontroluje go ta osoba, która trzyma w rękę największą liczbę akcji.

– Zgoda, z tym że tą osobą jestem ja.

– Mylisz się, Mirando. To ja posiadam najwięcej akcji SUPPLYKITS. Czterdzieści sześć procent! I nic nie możesz na to poradzić! Masz oczywiście wybór, możesz opuścić przedsiębiorstwo albo zaharowywać się, żeby do końca moich dni zapewnić mi odpowiedni dochód. – W rzeczywistości Adam postanowił, że przed wyjazdem do Rio sprzeda wszystkie akcje.

– Chyba oszalałeś – szepnęła Miranda, nadal próbując się uwolnić. Udało się jej ponownie go kopnąć, aż skrzywił się z bólu.

– Nie – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Mówię prawdę, kochanie. Ty i twoja cholerna rodzinka zostaniecie do ostatka oskubani.

Szybko obrócił ją tak, że teraz opierała się o niego plecami. Następnie, idąc tyłem do drzwi pokoju, ciągnął ją za sobą.

Walczyła zawzięcie, by wyrwać się z uścisku. Usłyszała trzask rozdieranego płaszcza.

– Nie możesz skrzywdzić mojej rodziny – warknęła. Żałowała, że kiedy stała twarzą do Adama, nie przyszło jej do głowy kopnąć go w krocze. Czekala, aż będzie musiał użyć jednej ręki, żeby otworzyć drzwi. Gdy to nastąpiło, gwałtownie odskoczyła i jeszcze raz mocno kopnęła go w piszczel, aż zacharczał z bólu. Ale jej nie puścił.

– Przekonasz się, co mogę zrobić z twoją rodzinką – zapowiedział, zgrzytając

zębami i mocniej ją ściskając.

– Co to ma znaczyć?

Ale i tak powiedział więcej, niż zamierzał. Nadal boleśnie ściskając nadgarstek Mirandy, sprowadził ją po szerokich, wyłożonych dywanem schodach.

W holu pojawił się lokaj. Szybko opanował zaskoczenie, po czym, na kurtuazyjną prośbę mężczyzny, posłusznie otworzył drzwi wyjściowe.

Adam wypchnął Mirandę na zewnątrz, pomiędzy wyszukane doryckie kolumny ustawione u szczytu schodów.

Usłyszała za sobą trzaśnięcie drzwi.

Przytrzymała się kolumny, by zachować równowagę. Przywołała taksówkę, cały czas zastanawiając się nad ostatnimi słowami Adama.

Co też takiego właściwie mógł on zrobić jej rodzinie? Poczula skurcz żołądka, taki sam, jaki często odczuwała, kiedy Adam brał ją w ramiona – tym razem jednak skurcz wywołany był strachem.

Nagle przypomniała sobie, że Adam poczynił już kroki w celu utworzenia zarządu Dove. Może Buzz miała rację, mówiąc, że Elinor specjalnie jest faszzerowana lekarskami, trzymana w stanie otępienia, żeby Adam bez komplikacji mógł zarządzać jej pieniędzmi?

– Dobrze się czujesz, kochanieńka? – zapytał kierowca, kiedy taksówka zatrzymała się przy krawężniku.

Miranda, zła i przerażona, zadzwoniła do Worthingtona, partnera seniora Swithin, Timmins i Grant, i umówiła się z nim na spotkanie.

W słonecznym, zakurzonym biurze Worthington przypomniał jej, że STG porzuciło kontrolę nad Dove Trust na wyraźne życzenie jej babki.

– Rozumiem – potwierdziła Miranda – ale przyszłam prosić, by sprawdził pan, co w tej chwili dzieje się z zarządem.

Pan Worthington uprzejmie wytłumaczył:

– Z żalem, ale muszę stwierdzić, że STG nie może się w to angażować, ponieważ istnieje konflikt interesów pomiędzy stronami, mimo że Adam Grant i Paul Littlejohn nie są już związani z STG.

– Ale czy nie mógłby mi pan zdradzić, jakie jest pańskie zdanie? Tak prywatnie?

Worthington zawahał się.

– Zupełnie prywatnie... po tym, co mi pani powiedziała... istnieje prawdopodobieństwo przywłaszczenia, zaaranżowanego, więc nielegalnego.

Z goryczą w głosie Miranda zauważyła:

– Przypuszczam, że dwóch międzynarodowych prawników pracujących razem od lat z łatwością znajdzie sposób na legalne wymanewrowanie klienta, który im ufa. Ale czy nie można zlikwidować zarządu?

– Bardzo często ustanawia się zarząd właśnie po to, by nie można go było rozwiązać – wyjaśnił Worthington. – Oczywiście, planując działalność zarządu, można zawrzeć specjalną klauzulę mówiącą o jego rozwiązaniu, ale jeśli Adam Grant planował defraudację, z pewnością dopilnował, żeby żadna taka klauzula nie została wpisana. Na pani miejscu natychmiast wynajęłbym dobrego prawnika, który sprawdziłby poczynania zarządu.

Księga czwarta

Rozdział 25

PIĄTEK, 3 STYCZNIA 1969

Po co chciałaś się ze mną spotkać, Mirando? – Kiedy Miranda weszła do pokoju, lord Brighton podniósł się z za czarnego, obitego skórą biurka. Szczupły, zgarbiony, zdjął wąskie okulary z raczej wydatnych uszu i ruszył przed siebie charakterystycznym, powłóczyстым krokiem. Wyglądał na o wiele bardziej sympatycznego i mniej inteligentnego, niż w istocie był.

Miranda pokrótce powtórzyła mu to, co Adam powiedział jej na temat SUPPLYKITS. Starła się zachować spokój, mówić rozważnie, jak osoba interesu, tłumacząc, że przyszła tu tylko w jednym celu, by dopilnować, ażeby Adam nie przejął kontroli nad Towarzystwem.

– Jaki jest jego udział w akcjach? – zapytał lord Brighton.

– Osobiście sprawdziłam w rejestrze handlowym, James. Adam ma tylko piętnaście procent akcji, te, które mu sprzedałam, i te, które wykupił w zamian za prawo poboru.

– Ale może kierować pozostałymi udziałowcami, jeśli w zamian za poparcie przyrzekł im duże zyski.

– Największy portfel akcji, znajdujący się w jednym ręku, należy do firmy, która nazywa się Highland Croft Holdings. Słyszałeś kiedyś o nich? Mój pośrednik ich nie zna.

– Nie. Ta firma nie jest z pewnością publicznie notowana – oświadczył lord Brighton – ale nawet jeżeli Adam, jak sam twierdzi, posiada czterdzieści sześć procent akcji i tak nie może przejąć kontroli nad Towarzystwem, bo do tego potrzeba mu ponad pięćdziesiąt procent.

– Co mogę zrobić? Jak mam powstrzymać go przed zakupieniem pozostałych czterech czy pięciu procent?

– Potrzebujemy więcej informacji – zdecydował lord Brighton.

Miranda zawahała się.

– Może powinnam cię teraz uprzedzić, że tak do końca nie zależy mi na zarządzaniu SUPPLYKITS. Nie jestem nim zainteresowana. W rzeczywistości interesuje mnie jedynie KITS. – Mówiła z przekonaniem. – Nie chcę być marionetką zarządzającą państwowym Towarzystwem. Chcę być prawdziwym dyrektorem mojego własnego przedsiębiorstwa! Marzę, by przejąć wszystkie akcje

KITS.

– Więc chcesz wykupić KITS od SUPPLYKITS?

Miranda twierdząco kiwnęła głową.

– Gdyby KITS ponownie stało się prywatnym Towarzystwem, mogłabym pokierować nim według własnego uznania. Miałabym możliwość ustalenia długoterminowych planów, bez tego ciągłego naciskania na mnie o szybkie zyski. I nie miałabym związanych rąk przez niektórych nadgorliwych dyrektorów, dobrych w liczeniu na papierze, ale zupełnie nie znających się na przemyśle kosmetycznym.

– Jako prezes uważam, że jeszcze za wcześnie, żeby SUPPLYKITS oddało ci KITS.

Miranda postanowiła wyciągnąć, jej zdaniem, swoją atutową kartę.

– Zostałabym w SUPPLYKITS jako główny dyrektor, pod warunkiem że później pozwolicie mi wykupić KITS.

Lord Brighton usiadł głębiej w fotelu, spojrzął w okno i zapatrzył się na łódki bezszelestnie pływające po błękitnej Tamizie. Po chwili zastanowienia powiedział:

– Właśnie zrobiliśmy wycenę KITS.

Miranda uśmiechnęła się.

– Majątek trwały i kapitał akcyjny, minus zadłużenie, razem wychodzi czternaście tysięcy funtów. To bardzo niski szacunek. A jak wycenić reputację i stosunki firmy?

Miranda stanowczym głosem oświadczyła:

– Reputacja KITS związana jest z moim publicznym *image*, więc, jeżeli zniknę z firmy, księgowym będzie bardzo trudno ustalić jej cenę. Jeżeli SUPPLYKITS zawyży cenę KITS, natychmiast składam rezygnację.

– Na co, jak mówiłem, SUPPLYKITS nie może sobie w tej chwili pozwolić – powtórzył lord Brighton. – Jesteś obliczem firmy i społeczeństwo kojarzy cię z sukcesami Towarzystwa. Gdybyś odeszła, cena akcji z pewnością by spadła. SUPPLYKITS nie stać na rozstanie z tobą ani też nie może pozwolić na to, by przejęła cię jakaś konkurencyjna firma.

– Właśnie tak, James. Ale chcę, byś zrozumiał, że zamierzam stopniowo odłączyć się od SUPPLYKITS. Towarzystwo stoi już pewnie na nogach i mój zastępca, Alex Stanton, z powodzeniem może przejąć moje stanowisko głównego dyrektora.

– Jednym słowem chcesz, żeby SUPPLYKITS zwołało WZ.

– W takich sprawach podejmowano decyzję tylko na walnym zgromadzeniu.

– Jak najszybciej.

– Na zwołanie zgromadzenia potrzeba trzech tygodni. Ustalmy jego termin na piątek, trzydziestego pierwszego stycznia, to i tak tydzień wcześniej.

Miranda kiwnięciem głowy wyraziła swoją zgodę. Oficjalna akceptacja na wykupienie przez nią KITS należała do banków, biur maklerskich, giełdy, po czym należało wydać akredytywę i przesłać ją do wszystkich udziałowców.

Odprowadzając gościa do drzwi, lord Brighton dodał jeszcze:

– A tak przy okazji, Adam Grant powinien jak najszybciej dowiedzieć się o naszych planach. Poznamy wtedy jego reakcję.

– Czy mógłbyś do niego zadzwonić, James?

Brighton kiwnął głową.

– Mogę także delikatnie napomknąć o pakiecie kontrolnym i zapytać, kto, jego zdaniem, w tej chwili go posiada. Albo odpowie uczciwie, albo uniknie odpowiedzi, albo skłamie: cokolwiek zrobi, będzie to bardzo interesujące.

– Jeżeli nie posiada większości akcji, zwolnię go. – Miranda nie potrafiła dłużej zachować pozorów obiektywnego podejścia do sprawy, jej głos drżał.

– Nie wolno ci zwalniać Adama tylko dlatego, że tego chcesz – przestrzegł ją lord Brighton. – Jest dyrektorem Towarzystwa państwowego. Nigdy oficjalnie nie składałaś na niego zażaleń, a nie jestem przekonany, czy w ogóle masz podstawy do uskarżania się na jego postępowanie. Grant bardzo dobrze wykonuje swoje obowiązki i ma prawo, tak jak inni ludzie, do wykupywania tyłu akcji, ile mu przysługuje. Mirando, panuj nad emocjami.

– Ale zawsze mogę sobie pomarzyć – zrewanżowała się. – Jeśli będziesz chciał się ze mną skontaktować w jakiegokolwiek sprawie, na początku przyszłego tygodnia wyjeżdżam do Paryża na konferencję kosmetyczną. Jak zwykle zatrzymam się w Ritzu.

Lord Brighton bez zwłoki zadzwonił do Adama i poinformował go o celu zwołania WZ. Kiedy wspomniał o wycenie KTTS, Adam, słuchający go do tej pory w milczeniu, zirytowany oświadczył:

– Z największym szacunkiem, ale moim zdaniem jest to równoznaczne z oddawaniem KITS za darmo. Powód, dla którego KITS otrzymało tak niską wycenę, bierze się z faktu, że jak do tej pory ciągnięto z niego gotówkę. Wykorzystywaliśmy je, by finansować nasze przedsięwzięcia w innych dziedzinach.

– Wydaje mi się, że jest to właśnie jeden z aspektów sprawy, któremu sprzeciwia się Miranda.

Adam chrząknął ze złości.

– Miranda zapomina, że za kilka lat KITS znowu będzie warte fortunę! Więc jakkolwiek cenę proponuje Miranda O'Dare, ja zapłacę dziesięć procent więcej.

Lord Brighton zadzwonił do Mirandy. Przekazał jej najświeższe wiadomości i dodał:

– Oczywiście mam obowiązek w liście do udziałowców wspomnieć o konkurencyjnej ofercie Adama. Jednak w obliczu faktów nadal będę rekomendował twoją ofertę, Mirando. Pamiętaj tylko, że ostateczna decyzja nie zależy od tego, co ja sądzę – będzie wynikiem głosowania. A także, jako strony zainteresowane, ani ty, ani Adam nie możecie być dopuszczeni do głosowania, podobnie jak inni udziałowcy, którzy pozostają pod waszymi wpływami.

– Czy to oznacza, zakładając, że Adam mówi prawdę, iż posiada czterdzieści sześć procent akcji, że decyzję podejmie tylko dziewięć procent pomniejszych udziałowców?

– W istocie.

– Czy zarówno ja, jak i Adam, mamy prawo ich przeciągać na swoją stronę?

– Uważaj, Mirando. – Lord Brighton ponownie ją przestrzegł. – Nie zależy ci chyba na zwróceniu uwagi prasy. Ceny akcji spadną, jeśli okaże się, że dyrektorzy, zamiast z sukcesem zarządzać Towarzystwem, kłócą się.

– Nie martw się – ponuro go zapewniła. – Będę ostrożna.

– Przy okazji, sprawdziłem Highland Croft Holdings. Należy do jakiegoś zagranicznego towarzystwa holdingowego, więc nie dowiemy się wiele więcej. Mają cztery przecinek osiem procenta akcji SUPPLYKITS i nie istnieje możliwość zbadania, czy rzeczywiście ich udziały wchodzą w procenty, które posiada Adam, lub jak przynajmniej twierdzi.

SOBOTA, 4 STYCZNIA 1969

Mimo że minęło już południe, w pokoju panował półmrok, rozświetlany tylko słabym światłem przez szparę między brokatowymi zasłonami.

Leżeli w ciszy, ciesząc się swoją bliskością. Adamowi wydawało się, że zna ciało obok siebie tak dobrze jak własne uczucia, reakcje i potrzeby. Ten ktoś, leżący koło niego, doskonale wiedział, jak pobudzić w nim szaleńczą namiętność. Powoli, na zmianę, z największą delikatnością całowali swoje ciała, usta, nosy, powieki... każde drgało pod dotykiem drugiego.

Później leżeli zwróceniem do siebie twarzami, usta w usta, spleceni uściskiem. Adam upajał się tym zbliżeniem i subtelną czułością, dzięki której wydawało mu

się, iż tworzą jedność. Było to wszechogarniające, nieprzeparte doświadczenie rosnącej ekstazy, całkowitego zrozumienia i rozkoszy, zarówno duchowej, jak i fizycznej.

Adam często zastanawiał się, czy – jak to mu wiele razy powtarzano – stracił zdolność przeżywania uczuć, czy rzeczywiście pozbawiono go ich, zanim zdołał się zorientować. Jednak nigdy nie męczyły go podobne obawy, kiedy obejmowały go te ramiona. Zawsze czuł całkowite zaangażowanie, nie miał uczucia, że gdzieś z góry, beznamyślnie przygląda się sobie, doprowadzającemu partnera do miłosnych spazmów.

W tych ramionach Adam czuł się nareszcie w całkowitej zgodzie z samym sobą, bo dawał i otrzymywał. Czuł, że kocha i ufa, tak jak i jego kochano, i ufano mu. Uważał ten związek za prawdziwy i głęboki.

Zacisnął ręce na szczupłych ramionach. W jasnych, szarych, szeroko rozstawionych oczach, tak bliskich, Adam widział nie tylko swoje odbicie: widział też, że należy do tej osoby, jedynej, przy której czuł niezmacony spokój. Ogarnęła go bezgraniczna radość.

NIEDZIELA, 5 STYCZNIA 1969

Po spotkaniu z lordem Brighton dwie następne noce Miranda spędziła bezsennie, rozmyślając o potrójnej zdradzie Adama i zamartwiając się o przyszłość SUPPLYKITS i Dove Trust. Nie mogła odwołać swojego wyjazdu do Paryża, ale na szczęście zobowiązała się tylko do otwierającej konferencję przemowy. Postanowiła, że przez te dwa dni zapomni o problemach i zajmie się wyłącznie interesami.

Niedzielny ranek przywitał ją zachmurzonym niebem. Na lotnisku Gatwick dowiedziała się, że na jej trasie podstawa chmur znajduje się na poziomie tysiąca pięciuset stóp i istnieje możliwość mrozów. Trochę radośniejszym tonem nawigator dodał, że pomiędzy trzema a czterema tysiącami jest nadzieja natknięcia się na kawałek czystego nieba. Szczęśliwie ostatnio Miranda uzyskała pozwolenie na latanie podczas takiej pogody.

O dziesiątej nowy samolot Mirandy, jasnoniebieski Beechcraft Bonanza, wzbił się z Redhill, biorąc kurs na Lydd. Tam Miranda miała przejść odprawę celną. Im wyżej wspinał się samolot, tym bardziej pogarszała się pogoda. Czyste niebo musi znajdować się o wiele wyżej, niż to zapowiadano, myślała ze złością. Przez chmury otaczające samolot z każdej strony nie mogła nic zobaczyć. Zdana była na

automatycznego pilota.

Niestety, prognostycy z Gatwick mieli rację zapowiadając mróz. Na czterech tysiącach stóp nie mogła się połączyć z wieżą ani z żadnym innym lotniskiem, ponieważ zamarzała przednia kabina i została uszkodzona antena radiowa; samolot stracił wszelką łączność z obsługą naziemną. Miranda, nawigująca do tej pory przy pomocy naziemnej kontroli ruchu, zdana była teraz na siebie.

Szybkościomierz, kompas i pozostałe instrumenty niezależne od radia działały poprawnie, jednak Miranda miała problem z kierowaniem samolotem, którego oprzyrządowanie nie wychodziło ponad podstawową normę. Istniała zasada, która kazała w sytuacji krytycznej kierować się ostatnimi wskazówkami podanymi przez obsługę naziemną. Pocieszała się myślą, że kontrolerzy nadal widzą ją na radarze. Domyśla się, że ma jakieś uszkodzenie, bo nie odpowiada na ich wezwania.

Chociaż doskonale wiedziała, w jakim kierunku leci, nie знаła jednak swojego dokładnego położenia. Sądziła, że musi być gdzieś nad South Downs. Nie wchodziło więc w grę zníženie lotu, mogłaby zahaczyć o jakieś wzniesienie. Najlepiej będzie, jak zostanie na czterech tysiącach stóp, modląc się o jakiś prześwit w chmurach, co pozwoliłoby jej zorientować się w położeniu.

Zamierzała zniżyć się powoli i ostrożnie nad morzem, gdzieś w pobliżu lotniska w Lydd. Miała nadzieję, że nie natknie się tam na niskie chmury, bo inaczej ryzykowała uderzenie w wodę. Lądowanie w English Channel w styczniu mogłoby okazać się fatalne w skutkach; bez nadziei na ratunek, nie mówiąc już o tym, że w lodowatej wodzie nie wytrzymałaby dłużej niż dwadzieścia minut.

Przedzierając się przez gęste, ciężkie chmury Miranda czuła się coraz bardziej samotna. Przeklinała samą siebie, że wzbila się ponad tysiąc pięćset stóp, zamiast lecieć poniżej poziomu chmur. Powinna być bardziej ostrożna.

Po około dwudziestu minutach wyliczyła, że ma Lydd bezpośrednio przed sobą. Z determinacją odpychając od siebie strach, zaczęła zniżyć lot do trzech tysięcy stóp... dwóch tysięcy... dziewięćset stóp... Nadal białe chmury owijały się wokół maszyny.

Nerwowo zeszła do siedmiuset stóp... potem do pięćset. Ciągle towarzyszyła jej biała cisza.

Wyteżyła wzrok, starając się zobaczyć coś przed sobą. Szkło kontaktowe zaczęło drażnić jej oko. Schodząc do czterystu stóp, mocno już mrugała powiekami. Trzysta stóp. Nawet na tej wysokości panował półmrok i chmury w ogóle się nie przerzedzały.

Spojrzała w górę, potem w dół, szukając pod sobą jakiegoś prześwitu.

Przy dwustu stopach zauważyła, że kolor chmur stopniowo się zmienia. Tak, z pewnością stawały się ciemniejsze.

Potem zobaczyła... korony drzew. Ciągle zniżała lot i mimo bardzo złej widoczności orientowała się już mniej więcej, nad czym leci.

No tak, ale gdzie jest Lydd? Zerknęła w dół z nadzieją, że zobaczy miasto albo drogę, którą odszukałaby na mapie leżącej na kolanach.

Zamrugła. Nie mogła uwierzyć w to, co dostrzegła. Niemożliwe, że ma tyle szczęścia!

Przed dziobem Bonanzy, w oddali, rozciągała się prowadząca do lotniska autostrada, rozdzielająca na połowy brudnozieloną ziemię. Jak prąd elektryczny po ciele Mirandy prze – płynęła fala ulgi, dotarła do koniuszków palców, które zaczęły ją mrowić. Poczowała, jak w organizmie maleje poziom adrenaliny.

Wiedziała doskonale, gdzie się znajduje! Zbliżała się do końca porośniętego krzakami pola, rozciągającego się niecałą milę na wschód od lotniska Lydd. Uda jej Się! Ustawiła samolot na poziomie dwustu stóp i pozwoliła sobie na chwilę odprężenia.

Mogła już nawigować, posługując się nie tylko instrumentami, ale i wzrokiem, jednak od razu zaczęły jej przeszkadzać szkła kontaktowe. Zbliżała się do autostrady. Była teraz na wysokości stu stóp... pięćdziesięciu, poprawiła się w myśli.

Ale przez załzawione oczy źle oceniła wysokość: leciała o wiele niżej, niż sądziła. Już docierała do szosy, kiedy zahaczyła o krzewy porastające granice lotniska.

Samolot raptownie zanurkował w dół, na co Miranda instynktownie zareagowała pociągnięciem do siebie drążka. Maszyna zafalowała, po czym przechyliła się na lewo; skrzydło dotknęło ziemi i samolot zrobił półobrót. Miranda, która niezbyt dokładnie zapięła pasy bezpieczeństwa, pod wpływem wstrząsu wyleciała do przodu i uderzyła głową o deskę rozdzielczą.

SOBOTA, 25 STYCZNIA 1969

Szczupła kobieta ubrana w fioletowy płaszcz ucałowała Adama na pożegnanie w policzek, po czym odeszła od stolika.

Annabel uśmiechnęła się.

– Nie mów mi, że to była jedna z twoich klientek. – Pochyliła się i chusteczką starła z jego twarzy ciemny ślad szminki.

– Nie, ona kupuje bieliznę dla Harveya Nicholasa. Przypominasz sobie Johnny'ego Briara?

– Tego faceta od Lloyda? Tego, który zbankrutował?

– Tak. On i Nora byli w trakcie rozwodu, ale kiedy Johnny przechodził załamanie nerwowe, przyjęła go do siebie z powrotem. – Adam wstał. – Nie mogę się spóźnić.

– Przepracowujesz się – zatroskała się poważnie Annabel. – Kim jest ten klient, który żąda od ciebie spotkania w sobotnie popołudnia?

– Taki tam ważny Japończyk. – Adam przesłał jej pożegnalny pocałunek.

Annabel odprowadzała go wzrokiem, kiedy zmierzał do drzwi wyjściowych modnej restauracji „Arethuza Club”, zatrzymując się po drodze przy prawie każdym oświetlonym zamgloną, żółtą lampką stoliku.

Kiedy zamawiała następną filiżankę kawy, podszedł do niej jakiś mężczyzna.

– Roger! Jak miło cię widzieć. Kawy? – Poznała go w okresie swojego debiutu. Wysoki, ale już nieco tęższy, z przerzedzonymi włosami, ubrany był w modny strój w stylu dyrektora artystycznego: czarny golf, rozszerzane spodnie i skórzany pasek ze złotą sprzączką, wielką jak końskie wędzidło.

– Z przykrością przeczytałem o wypadku, który miała Miranda. Jak ona się czuje? – Roger usiadł i zdjął grube, rogowe okulary.

– Powoli wraca do zdrowia – poinformowała Annabel powstrzymując łzy. Starła się jak najmniej myśleć o siostrze.

– Wy, dziewczyny, zawsze byłyście takie wesołe i niezwykle dla mnie miłe.

– To ty byłeś zabawny. A także *lady* Rushleigh, to znaczy miałam na myśli panią Bromley.

– Ciotka Sonia chyba miała nadzieję, że poślubię jakąś dziewczynę z wielkim posagiem, ale niestety tak się nie stało. Jeszcze nie doszło do mnie, że jestem częścią tego świata, chociaż wiele osób próbuje mnie o tym przekonać. – Uśmiechnął się ponuro. – Czy to nie Adam Grant właśnie wychodził?

– Tak. – Twarz Annabel rozjarzyła się na dźwięk ukochanego imienia.

– Co jedna z moich ulubienic robi z takim facetem? Wiem, że to nie moja sprawa, ale ze względu na stare czasy, bądź ostrożna.

– Dlaczego tak mówisz, Roger?

– Możliwe, że nie znasz Adama tak dobrze jak ja – zaczął z namysłem mężczyzna. – Chodziliśmy razem do liceum, a chłopcy z liceum rzadko się zmieniają. Zostają dyrektorami i prawnikami, ale za maską dorosłości kryje się ten sam nie zmieniony charakter. A tak przy okazji, czy kiedykolwiek spotkałaś się z

matką Adama?

– Tak, chociaż ledwie ją sobie przypominam. Zachowywała się bardzo stanowczo i formalnie, tak z dystansem, trochę oziębła, jak księżniczka Windsoru.

– Twarda z niej była sztuka – zgodnie pokiwał głową mężczyzna. – W tej rodzinie to ona trzymała wodze. Jej ojciec był szefem interesu i nigdy nie pozwalała o tym zapomnieć. Zawsze mnie ciekawiło, czy swoją obojętność Adam odziedziczył właśnie po niej. A może otoczył się skorupą, za którą krył się przed jej oziębłością.

– Nigdy tego nie zauważyłam. – Annabel się uśmiechnęła.

– Niemożliwe, żebyś nie widziała, że serce Adama, tak jak Królowej Śniegu, jest zamrożone i przez to niezdolne do żadnych uczuć!

Annabel żartobliwie skomentowała tę wypowiedź:

– Uważam, że Adam i jego serce są wspaniali.

– Ale bez czucia – powtórzył uparcie Roger. – Adam nie chce nic czuć i gardzi tymi, którzy okazują jakiegokolwiek emocje. Zdaje sobie sprawę, że stałby się słaby, gdyby zaczął się przejmować. Ciepłe bicie serca wzbudza w nim jedynie strach.

– Do czego zmierzasz? – Wyglądało, że Annabel nie rozumie znaczenia słów swojego rozmówcy.

Ten zaczął mówić szybciej:

– Adam czuje cokolwiek, jeśli w grę wchodzi władza. Tylko ona go podnieca. Uwielbia pieniądze, ponieważ niosą ze sobą władzę. Może polegać na pieniądzach, dlatego nigdy nie ma ich dość!

– Czy Adam jest ci coś winien? – zapytała Annabel, zaskoczona i nieco już poirytowana.

– Oczywiście, a dokładnie mojej agencji. Pożycza od wszystkich – poinformował. – Podpuścił nam lewego klienta, a potem wystawił nieco zawyżoną fakturę. – Roześmiał się gorzko. – Ale to normalka dla Adama. Dorastał, ucząc się, że sprytny prawnik może wywinąć się z najgorszego świństwa.

– Nic nie wiem na temat interesów Adama – oświadczyła zimno Annabel. Wstała, zamierzając wyjść.

Roger skoczył na nogi i złapał ją za rękę.

– Nie bądź tego taka pewna. On nie tyka się niczego, co się nie wiąże z interesami.

– Puść mnie!

– Gdybyś tylko zechciała mi uwierzyć. Słyszałem, że ostatnio bardzo go polubiłaś.

– Owszem – potwierdziła sucho.

– Uważaj, Annabel. Nie chciałbym, żebyś została skrzywdzona. Przypomnij sobie, jakim skrytym człowiekiem jest Adam. Musi być jakaś tego przyczyna.

Annabel zawahała się. Czowała, że nie powinna słuchać, jak ten człowiek obraża Adama, ale zarazem trawiła ją nieodparta ochota, jak Pandorę decydującą się otworzyć puszkę, by pozwolić mężczyźnie dokończyć.

– Wielu ludzi ma tę samą cechę charakteru – rzuciła. – A zwłaszcza prawnicy.

– Adam nie jest skryty ze względu na swoją pracę – Roger potrząsnął głową – ale dlatego, że jest egoistą. Nie chce się z nikim dzielić.

– Dlaczego mówisz mi to wszystko? – powtórzyła swoje pytanie, starając się wydrzeć dłoń z uścisku mężczyzny.

– Ponieważ cię lubię. Ponieważ nie lubię Adama i mam ku temu powody.

– Dlaczego sądzisz, że tak dobrze go znasz?

– Zapytaj jego samego – poradził Roger. – I powinnaś jeszcze wiedzieć, że Adam ma brzydki zwyczaj porzucania ludzi, kiedy nie są mu już potrzebni.

– Wygląda na to, że nie wiesz, iż Adam i ja...

– Oczywiście, że wiem! Z tego właśnie powodu rozmawiam z tobą. Wiem także o jego związku z Mirandą.

Tego było dla Annabel za dużo. Postanowiła natychmiast wyjść. Znowu zaczęła się wrywać z mocnego uchwytu.

– Annabel, posłuchaj, nie chcę po prostu, żeby przytrafiło ci się coś niemiłego.

– Roger puścił jej rękę i podniósł na nią smutny wzrok. – Otwórz te swoje przepiękne oczęta – poprosił ciepło. – Proszę! Zobacz, jak on cię wykorzystuje, manipuluje tobą. To nic nowego; zawsze tak postępował zarówno z kobietami, jak i z mężczyznami. Uwierz mi... wiem, co mówię.

Pomimo ogarniającej ją furii, Annabel zatrzymała się. W spokojnym i cichym głosie Rogera usłyszała nutki prawdy.

– Nie wydaje mi się, by on kiedykolwiek kogoś naprawdę kochał – ciągnął Roger. – Może Mirandę, ale bardzo krótko. Jest jedyną kobietą, która prawie że weszła pod jego skorupę. Przypuszczam, że właśnie dlatego byli ze sobą tak długo. Normalnie Adam uzależnia od siebie kobietę, a kiedy tylko to osiągnie, bez pardonu ją porzuca. Podobną technikę stosuje z mężczyznami.

– Z mężczyznami? – zdziwiła się Annabel. W jej głosie zabrzmiało zakłopotanie i oburzenie. – Co masz na myśli?

– Annabel, Adam jest biseksualistą. Lubi i kobiety, i mężczyzn. Albo raczej, bardziej zgodnie z prawdą, na równi nimi gardzi. W każdym razie jest dobry w

uprawianiu seksu z obydwoma płciami. Jak już wspominałem, Annabel, wiem, co mówię.

– Ale przecież nie... ? Och, Boże, to niedorzeczne! – Annabel pogubiła się już całkiem, miotała się między złością a oszołomieniem. Gapiła się w swojego rozmówcę i zobaczyła w jego oczach długo skrywany ból porzucenia. Odwróciła się na pięcie. Jak Roger śmie sugerować, że on i Adam...

Mężczyzna pobiegł za nią.

– Jeśli potrzebujesz dowodów, Adam rezerwuj sobie jeden dzień w tygodniu dla chłopców – wyjął. – W sobotnie wieczory zazwyczaj chodzi do „Hilbury Arms”, pubu przy St. Martin's Lane. To właśnie ten wielki dzień. I jeśli się zdecydujesz, nie fatyguj się tam przed dziewiątą. Dopiero o tej godzinie zaczyna się cała zabawa.

Rozdział 26

Annabel spędziła upiorne popołudnie, nie mogąc się zdecydować. Czowała się rozdarta pomiędzy chęcią sprawdzenia słów Rogera a przekonaniem, że powinna zignorować ziarna podejrzeń, które on zasiał. W końcu, o ósmej wieczorem, ciekawość wzięła górę. Zawołała taksówkę i pojechała na St. Martin's Lane.

W granatowym płaszczu przeciwdeszczowym i w tego samego koloru chustce owiniętej dokoła twarzy stała na ciemnym chodniku, o który uderzały krople deszczu. Ulica była prawie pusta; ruch zaczął się, kiedy w teatrach skończyły się przedstawienia.

Spojrzała na drugą stronę jezdni, na ciemnozieloną fasadę „Hilbury Arms”. Nad wejściem bogatymi, złotymi literami namalowano nazwę. Rozświetlone miejsce i pokryte mrozem okna błyskały zachęcająco.

Z rękami w kieszeniach, czując, jak przemarzają jej stopy, Annabel stała tam ponad pół godziny. Bała się swoich własnych uczuć. Namiętność i zazdrość zawładnęły nią w niepohamowanym, nie kontrolowanym porywie emocji, aż do szaleństwa. Czowała się tak podekscytowana i wytrącona z równowagi jak wtedy, gdy pierwszy raz uświadomiła sobie swoją miłość do Adama. Po co, na Boga, stoi w tym miejscu? To idiotyczne. Powtarzała sobie w duchu, że przecież nie ma powodów, by zwątpić w kochankę, że z pewnością je teraz kolację ze swoim klientem. Jak mogła nie ufać mężczyźnie, którego kochała? Dlaczego po usłyszeniu złośliwej, poniżającej plotki czowała się tak straszliwie zazdrosna?

Nie powinna była rozmawiać z Rogerem. Powinna zaraz wrócić do mieszkania Adama.

Ale musi poznać prawdę.

Fakt, że miałyby nigdy jej nie odkryć, wydawał jej się gorszy niż zazdrość. Ta myśl pchnęła ją przez ulicę, wprost w obrotowe drzwi pubu.

Ktoś za jej plecami powiedział: – Przepraszam. – Musiała wejść dalej do środka. Prawie wszyscy goście tłoczyli się przy długim, półkolistym mahoniowym barze. Reszta lokalu była pusta. Nie wiadomo, czym śmierdziało tam bardziej, dymem z papierosów czy zatechłym zapachem piwa. Z sufitu zwieszały się okopcone mosiężne lampy z malachitowymi abażurami. Głos Billie Holiday, śpiewającej żalostną piosenkę o smutku i tęsknocie, mieszał się ze szmerem rozmów.

Annabel rozejrzała się po wnętrzu. W rogu zauważyła grupę młodzieńców,

którzy wyglądali jak zwykli chłopcy z przedmieścia, czekający pod kinem na przyście swoich dziewczyn. Przy końcu baru stali młodzi mężczyźni, prawdopodobnie studenci z akademii sztuk pięknych, ubrani w czarne dżinsy i golfy, niektórzy mieli na sobie ciemne ubrania w stylu wojskowym albo ciemne skórzane kurtki. Kilku przystojnych, elegancko ubranych mężczyzn siedziało na barowych stołkach – byli to zapewne aktorzy, jeden z nich, przypominający Cliffa Richarda, z pogardliwą miną wyklinał wszystkich, którzy przechodzili obok. Annabel nie zauważyła ani jednej kobiety.

Roztrzęsiona przysiadła tuż przy wejściu. Marząc o tym, by stać się niewidoczną, przysłuchiwała się strzępkom rozmów. – Nic tu dzisiaj ciekawego, George, chodźmy do... Nie przejąłbym się, gdyby zamknęli tę budę... Odwróć oczęta, synku, ten jest mój... Masz ochotę na... Myślę, że trochę zainteresowałeś się moim znajomym, George. Nie tak, zalotnisiu?

Billie Holiday zaczęła właśnie zawodzić o miłości i ironii, kiedy w drzwiach stanął Adam. Przeszedł obok Annabel, nie zauważając jej siedzącej w ciemnym kącie. Podszedł do baru. Mężczyzna wyglądający jak Cliff Richard spojrział na niego z niechęcią. Adam energicznie przepychał się przez tłum w stronę młodych chłopców. Jednego z nich pocałował w usta, ściskając go czule.

Annabel poczuła, jak miękną jej nogi, ale zerwała się z miejsca i wybiegła przez drzwi na ciemną ulicę. Drżały jej dłonie, czuła mdłości.

– Sukinsyn! Sukinsyn! Sukinsyn! – krzyczała, biegnąc po wilgotnym chodniku. Deszcz zalewał jej twarz.

NIEDZIELA, 26 STYCZNIA 1969

Miranda powoli podniosła rękę do głowy i poczuła bandaż. Otworzyła oczy tylko troszeczkę i zobaczyła mały, szpitalny pokój o kremowych ścianach, cały zastawiony kwiatami.

– Wygląda na to, że przeszedł mi ból głowy – wymamrotała do pielęgniarki, która badała jej puls. Kiedy po raz pierwszy odzyskała świadomość, męczyło ją straszliwe łomotanie w czaszce.

Teraz czuła się tak, jakby przez jej wnętrze przepływało świeże, rześkie powietrze.

– Kiedy będę mogła stąd wyjść? – wyszeptała.

– Jeszcze nie teraz – stanowczo oświadczyła pielęgniarka. – W ciągu ostatnich dwóch dni nastąpiła znaczna poprawa, ale doznała pani poważnej kontuzji. Minęło

dopiero dwadzieścia jeden dni od pani wypadku.

– Dwadzieścia jeden dni!

– Proszę się uspokoić, nie wolno się pani denerwować. Lekarze przepisali środki uspokajające. Dostawała pani dziesięć miligramów valium co cztery godziny, stąd te senne marzenia, ale od dwóch dni zmniejszyliśmy dawkę. Dzięki temu dzisiaj czuje się pani bardziej rześka.

– Czy poinformowaliście moje biuro, że tu jestem?

Pielęgniarka zaśmiała się.

– Telefony do pani zablokowały całą centralkę. Pani sekretarka zatrzymała się w Grand Hotelu. Kazała ustawić przed pani drzwiami strażnika, który ma za zadanie trzymanie z daleka dziennikarzy. Niestety, zdaje się, że w prasie i tak pojawiło się kilka idiotycznych notatek.

– Cholera!

– Pani siostra, Annabel, odwiedzała panią kilkakrotnie i telefonowała przynajmniej dwa razy na dzień.

– Nie chcę jej widzieć! Proszę dopilnować, żeby jej tu nie wpuszczano!

– Niech się pani nie denerwuje. Nie musi pani widzieć się z ludźmi, których pani nie chce spotkać.

– Co się stało z moim samolotem? Czy się zapalił? Jak z tego wyszłam?

– Samolot się nie zapalił i właśnie go naprawiają. Wyciągnęła panią ekipa ratownicza z lotniska. Mówili, że miała pani szczęście, iż nie zablokowały się drzwi. Pani sekretarka zebrała wszystkie prasowe relacje.

– Proszę natychmiast podać mi telefon.

– Przykro mi, ale dopiero jutro. To polecenie lekarza.

– Jeżeli nie przyniesie mi pani telefonu, poproszę o to strażnika – zagroziła Miranda. – Muszę przeprowadzić kilka rozmów.

Po dalszej sprzeczce, chcąc uspokoić rozjątrzoną pacjentkę, siostra zgodziła się udostępnić jej aparat telefoniczny, ale tylko na piętnaście minut.

Miranda nie zastała swojej sekretarki pod numerem hotelowym, więc zadzwoniła do lorda Brightona.

– Halo... James, czuję się świetnie. Nie zwracaj uwagi na prasowe historyjki. Chcę wiedzieć, co się dzieje w sprawie WZ? Co z głosowaniem?

– Pierwsze głosy zostały już nam przesłane, ale nie tyle, ilu się spodziewałem. Możliwe, że udziałowcy zamierzają osobiście zjawić się na WZ... Nie, nie dostaliśmy głosu od Highland Croft Company, ale nie martw się tym.

– Jak mam tego nie robić, James? Highland Croft Company zadecyduje o całym

głosowaniu. Oni mają cztery przecinek osiem procent, więc dla reszty zostaje tylko cztery przecinek dwa – a my z Adamem nie możemy przecież głosować.

– Może planują wysłać na zebranie swojego przedstawiciela.

– Albo wyczekują do ostatniej chwili i wtedy będą chcieli sprzedać te akcje mnie albo Adamowi za bająnskie sumy, a i tak przed WZ nie będziemy mogli ich wykupić.

– To prawda. Gdyby któreś z was wykupiło od nich akcje przed zgromadzeniem, wtedy, jako strona zainteresowana, nie moglibyście wykorzystać ich podczas głosowania.

Miranda ponuro zauważyła:

– Jeżeli Adam dostanie w swoje ręce ten pakiet, to mogę pożegnać się z KITS. Zmuszona więc jestem je wykupić, bez względu na cenę. Zapożyczę się u moich udziałowców i zbiorę gotówkę.

– Wyraźnie czujesz się lepiej – rzucił lord Brighton. – Zadbałem, żeby nikt się nie dowiedział, że działałam w twoim imieniu, ale niestety Highland nie jest jeszcze gotowe do sprzedaży.

– Dlatego, że chcą wywindować cenę!

– Nic nie osiągniemy, zamartwiając się. Nie zapominaj, że bez ciebie KITS przestaje być atrakcyjne. Adam tego nie rozumie, ponieważ w tej chwili nie może się zdobyć na obiektywizm. Podejrzewam, że tak przyzwyczał się do tego, iż rzeczy układają się po jego myśli, że zapomniał, jak postępować, kiedy jest odwrotnie.

Miranda odłożyła słuchawkę i zaraz potem weszła pielęgniarka.

– Ma pani gościa. Dzwoniła każdego dnia. To pani Buzz.

– Buzz! Wspaniale!

– Tylko dziesięć minut – przypomniała siostra.

Miranda spojrzała na kanciastą twarz i wybuchnęła płaczem.

– Nieźle się urządziłaś! – Buzz wzięła Mirandę za rękę. – Moja biedniusia dziewczynka. Ostatni raz widziałam cię płaczącą, kiedy miałaś sześć lat i spadłaś z drzewa, pamiętasz? No, no... opowiedz wszystko starej Buzz.

– Och, Buzz, to takie skomplikowane. Wydawało mi się, że jestem sprytna, ale okazało się, że wyszłam na idiotkę. Dopiero teraz uświadomiłam sobie...

– Nie panikuj, maleńka. Nie ma rzeczy, które nie mogą poczekać.

– Nie, Buzz! To nie może czekać!... Powinam była cię słuchać. Myślę, że Adam uwięził babcię w tym szpitalu i kradnie jej pieniądze. – Pokrótce zreferowała staruszce swoje podejrzenia.

– A więc tak to sobie zaplanował – kwaśno skomentowała Buzz. – Neli powinna złożyć pieniądze u Woolwicha, tam lokuję moją emeryturę, jest bezpieczna w spółce budowlanej... Co my zrobimy, moja dziewczynko?

– Buzz, czy nie ma sposobu, żeby ją stamtąd wyciągnąć? Nie wydaje mi się, że powinniśmy czekać, aż wydobrzeję, a nie ufam nikomu innemu.

Twarz staruszki pojaśniała.

– Nie możemy wzbudzić ich podejrzeń. Ta przełożona załatwi nakaz zatrzymania i Neli będzie musiała zostać w szpitalu przez następny miesiąc, do czasu, aż dom opieki zablokuje swoje konta, oczywiście.

– A gdybyś się tam wkradła i w jakiś sposób ją stamtąd wyrwała?

– Nic z tego. Przełożona już mnie nie wpuści!

Nagle Miranda przestała się użalać. Do głowy przyszedł jej pewien pomysł.

– Która godzina?... Jeśli tu mamy ósmą rano, w takim razie w Los Angeles jest teraz późny wieczór. Zadzwoń do Sama, dowiem się, gdzie jest Klara.

O dziwo, inaczej niż zazwyczaj, Miranda uzyskała połączenie z Samem w ciągu kilku minut. Szybko opowiedziała mu swoją historię.

– Nigdy nie ufałem temu sukinsynowi – skomentował jej opowieść. – Jest za gładki i zbyt przytulny. Ten jego pewny siebie, wielkopański styl bycia, to przekonanie o własnej wartości, wszystkie cechy, które wy, kobiety, podziwialiście w nim, we mnie budziły podejrzania.

– Możliwe, że masz większe doświadczenie z oszustami.

– Taak, na Zachodnim Wybrzeżu co drugi nim jest.

– Czy wiesz, gdzie znajdę Klarę?

– Jasne. Zapałem się, że muszę się dowiedzieć, do czego ona zmierza. Wyjechała z Joshem na narty. Do Klosters, jeśli się nie mylę. Ale Klara nie da sobie z tym rady! Nie jest odpowiednim przeciwnikiem dla przebiegłego prawnika.

– Sam, jesteś taki silny, taki zaradny, doświadczony, wiesz tyle rzeczy...

– Daj mi chwilę pomyśleć... Na szczęście zakończyliśmy robotę nad wykańczaniem nagrania. Jutro mogę złapać samolot. Najpierw uratujemy Elinor, potem weźmiemy się za Adama. Z radością pomogę ci w obydwu sprawach.

WTOREK, 28 STYCZNIA 1969

Ciągle jeszcze w żółtym kombinezonie narciarskim i w skarpetach o zamszowych piętach, Klara z satysfakcją rozglądała się po swojej nowej pracowni powstałej dzięki przeróbce, którą zaplanował David. Obok profesjonalnej kuchni

stały ludy chłodnicze z mnóstwem półek.

Po miesięcznym opalaniu się w szwajcarskim słońcu policzki Klary były brązowe, a oczy jej błyszczały. Dzięki pierwszym od czterech lat prawdziwym wakacjom tryskała wprost zdrowiem. Cieszyła ją każda ich minuta.

Wróciła do kuchni, z lodówki wyjęła placek serowy i włożyła go do piecyka, by podgrzać na obiad. Przez tylne okno widziała nowe sanki, które David kupił w Klosters. Po lekcjach Josh i jego paczka pójdą zjeżdżać na nich z pokrytego śniegiem pagórka za domem.

Miała teraz przed sobą pięć godzin lenistwa, zanim zacznie przygotowania do wieczornego wypieku. Przeszła do saloniku i włączyła magnetofon, który David podarował jej na trzydzieste urodziny. Trochę z poczuciem winy upajała się spokojną samotnością. Usiadła, opierając nogi o kratkę otaczającą kominek. Rozmarzona wpatrywała się w strzelające płomienie, słuchała muzyki i myślała, nie po raz pierwszy zresztą, o ile bardziej jest szczęśliwa od Ludwika XIV. Może i nazywano go Królem Słońce, a cała Francja drżała, kiedy zmarszczył brwi, ale nie mógł w kąpielni słuchać Marii Callas. Ani też nie mógł oglądać krajobrazów z wysokości czternastu tysięcy stóp. I jeszcze Ludwik XIV nigdy nie jeździł na nartach...

Zadzwiećwał dzwonek.

Podniosła się, zastanawiając, kto to. Jeśli świadkowie Jehowy, zacznie krzyczeć. Otworzyła drzwi.

– Sam! Co ty tu, do cholery, robisz?

– Wpuść mnie do środka, to wszystko ci wyjaśnię. – Cały się trząsł. – Miranda zadzwoniła do mnie ze szpitala.

– Co jej się stało?!

– Już wszystko jest w porządku. Miała wypadek samolotowy.

– Ciężko jest ranna? Gdzie ona jest? Kto się nią opiekuje?

– Posłuchaj, czy mogę wejść do środka? – Sam znowu się zatrząsł. – Wkrótce wychodzi ze szpitala. Rozmawiałem z nią dziś rano. Możesz do niej po południu zadzwonić. Dziwię się, że nie słyszałaś o wypadku, pisali o nim nawet w gazetach.

Po zadaniu całego mnóstwa pytań o stan zdrowia siostry, Klara wytłumaczyła:

– Nie miałam w ręku gazety od prawie miesiąca. Wróciliśmy dopiero wczoraj, dwa dni później, bo strajkowała obsługa lotniska. Nawet nie zdążyłam przejrzeć korespondencji.

Odsunęła się niechętnie od drzwi i Sam wszedł do środka; zaprosiła go do pokoju gościnnego.

– Gdzie jest Josh? – zainteresował się.

– Nie spotkasz się z nim dzisiaj – poinformowała go układnie. – Idzie na proszoną herbatę do kolegi, a potem mają się odbyć otrzęsiny.

– Mogę poczekać – stwierdził, postanawiając zachować uprzejmość. – Wyglądasz wspaniale.

Oziębła i wroga Klara przyglądała się mężczyźnie, który ją oszukał i który już prawie od czterech lat nie zgadzał się na rozwód, cały ten czas nie łożąc na utrzymanie dziecka.

– A może poczęstowałabyś mnie kawą? – zasugerował, ogrzewając ręce nad ogniem.

– Nie mam kawy – oświadczyła. Zastanawiała się, co Sam zrobił, że wygląda o kilka lat młodziej, niż kiedy go widziała ostatnim razem.

Dostrzegając jej ukradkowe spojrzenie, Sam wykrzywił usta w grymasie.

– Tak, zająłem się sobą. Dzięki bezmężnej diecie ubył mi dwa lata; dzięki rezygnacji z wódki – cztery lata; dzięki jeździe na rowerze następne cztery; nowe zęby, dwa; porządna fryzura, rok; eleganckie ubranie, dwa lata.

– Nie interesuje mnie to – skomentowała lodowato Klara. – Mów, po co tu przyjechałeś, a potem wynoś się.

– Myślę, że cię zainteresuję – przekomarzał się gość. I zwięźle opowiedział jej o zdradzie Adama, losie Elinor i problemach w firmie.

– Czy to ma znaczyć, że babcia już prawie rok znajduje się w domu opieki, a moje siostry nie powiadomiły mnie o tym?!

– Nie wyzywaj się na mnie, Klaro. Jestem tylko osobą, która przeleciała pół świata, żeby coś z tym wszystkim zrobić.

– Gdzie jest babcia? Muszę się z nią zobaczyć!

– Na zewnątrz czeka limuzyna, która zabierze cię, dokąd tylko będziesz chciała, ale najpierw musimy porozmawiać. Kiedy ostatni raz widziałaś Elinor? Klara rzuciła krótko:

– W lipcu 1965, w Saracen.

– Chcesz powiedzieć, że nie spotkałaś się z nią przez cztery lata? – Sam był zaskoczony.

– Próbowałam – wyjaśniła zakłopotanym głosem. – Kilka razy do niej pisałam, ale na wszystkie listy odpowiadał Adam. Tłumaczył, że jest mu przykro, iż musi zachować formalny ton, ale czyni to zgodnie z instrukcją swojego klienta, że babcia nie chciała, byśmy się komunikowały... tego typu rzeczy.

– Założę się, że Elinor kazała Adamowi sprawdzić, co się z tobą dzieje. Założę

się, że pragnęła pojednania. I dam sobie rękę odciąć, że Adam sprytnie krył swój tyłek.

– Jego listy potęgowały tylko mój gniew.

– Taki był ich cel – potwierdził Sam. – Ale jak to się stało, że Buzz nie skontaktowała się z tobą, nawet za plecami Elinor albo i nawet za jej wiedzą?

Zmieszana Klara wyjaśniła:

– Próbowala. Nie wiem, skąd się dowiedziała, gdzie jestem, ale pewnego wieczoru, niedługo po moim sprowadzeniu się do mieszkania w suterenie, pojawiła się u mnie. Miałam za sobą ciężki dzień w sklepie z butami – jakaś kobieta przez trzy godziny zastanawiała się nad zakupieniem jednej pary. Buzz zaczęła namawiać mnie, żebym była grzeczną dziewczynką i przeprosiła babcię. Obawiam się, że na nią nakrzyczałam i wyrzuciłam ją bez ogródek. Chciała mi dać pieniądze, które schowała w kopercie i to mnie tylko utwierdziło, że wysłała ją babcia.

– I więcej nie ponawiała prób skontaktowania się z tobą?

– Owszem... – przyznała niechętnie Klara. – Dzwoniła kilkakrotnie. Wydawało mi się, że jest szpiegiem babci. Rozumiesz? Za każdym razem powtarzała, że powinnam myśleć o Joshu i nie dawać ponieść się złości... Postanowiłam, że nie wrócę do ciebie jak pies z podwiniętym ogonem, bo na to wszyscy liczyliście. Chciałam udowodnić, że potrafię stanąć na nogi i sama dawać sobie radę. Nie jestem małą dziewczynką, którą można dowolnie kierować. – Zerknęła na męża.

Sam westchnął.

– Buzz zawsze powtarzała, że jesteś tak uparta jak Elinor...

– Jeśli przyjechałeś tu, żeby...

Przerwał jej pospiesznie.

– Wybacz! Ale czy Miranda lub Annabel nie kontaktowały się z tobą?

Po chwili wahania odpowiedziała:

– Tak, ale były bardzo nietaktowne! Annabel uskarżała się na swój los, natomiast twarz Mirandy uśmiechała się do mnie kpiąco z każdej gazety – starałam się robić wszystko inaczej niż ona! – Ponownie spojrzała na rozmówcę. – Myślę, że w ogóle nie masz pojęcia, jak mi było ciężko – bez żadnego zawodu – zarabiać na utrzymanie moje i Josha.

– Przrzekam, że później o tym porozmawiamy, ale najpierw powiem ci, po co tu przyjechałem. – Przedstawił Klarze plan Mirandy dotyczący wydostania Elinor z domu opieki. Kończąc, dodał z naciskiem: – Obsługa szpitala nigdy cię nie widziała i mnie też nie. Nie mogą nas wyrzucić, kiedy pojawimy się w ich drzwiach – po drodze w czasie ważnej podróży w interesach – z paszportami w

rękach, dowodzącymi, kim jesteśmy. Krewnymi Elinor.

Po chwili zastanowienia Klara powiedziała:

– Naturalnie, bardzo chcę się spotkać z babcią i uczynię wszystko, by ją uszczęśliwić. Ale... czy masz jakiś dowód na potwierdzenie tej szokującej historii? Mówiłeś, że Miranda odniosła kontuzję. Jesteś pewien, że kiedy opowiadała ci to wszystko, nie była w stanie zamroczenia?

– Nie zapominaj o Buzz – przypomniał mężczyzna. – Ona pierwsza zaczęła podejrzewać Adama i ten dom opieki, tylko nikt nie chciał jej słuchać. Zadzwoń do niej, jeśli masz wątpliwości – jest u Mirandy.

Po rozmowie z Buzz wątpliwości Klary natychmiast się rozwiały.

– Eastbourne nie jest daleko stąd – powiedziała. – Buzz twierdzi, że najlepiej zabrać babcię wczesnym popołudniem, kiedy jest wielu odwiedzających i obsługa nie będzie chciała wszczynać zamieszania. Ruszajmy więc.

Rozdział 27

Nadal się boję... – stwierdziła Klara, siedząc z tyłu szybko jadącego Bentleya, którego Sam wypożyczył. Przed wyjazdem przebrała się w elegancką granatową garsonkę.

– Nie chcę cię do niczego namawiać. Ostateczna decyzja należy do ciebie, a także odpowiedzialność za wybór – stanowczo oświadczył Sam. – To nie jest moja babka. Nie wiem nic na temat angielskich przepisów obowiązujących w szpitalnictwie, ale wiem na pewno, że istotną rolę odgrywa w nich stan majątkowy pacjenta.

Klara patrzyła na zaśnieżony krajobraz za oknem.

– Nie przypuszczałam, że mogę za nią tak tęsknić. Przed chorobą babcia była opoką całej rodziny; wydawała się taka silna i niezniszczalna. Zawsze o nas dbała. Po naszej... sprzeczce... w moim życiu pojawiła się wyrwa. I nic jej nigdy nie zappełni. To wiem.

– Czy mogłabyś przestać mówić, jakby Elinor już nie żyła – skarcił ją mąż. – Teraz twoja kolej, żebyś się nią zaopiekowała. To wszystko.

Wreszcie skręcili z głównej drogi, przejechali przez obsypaną śniegiem, bogato rzeźbioną, czarną bramę, po czym zatrzymali się na podjeździe.

Sam popatrzył na białe kolumny przy wejściu. Z nutą zwątpienia w głosie powiedział:

– To miejsce nie przypomina więzienia.

Budynek był zadbany, zupełnie jak domek dla lalek należący do bogatej dziewczynki. Po jego obu stronach rosły cisze ze śnieżnymi czapami na czubkach, sople lodu zwisały z gałęzi wiekowych cedrów, za nimi pokryty bielą trawnik schodził w dół aż do ponurej, szarej wody Kanału Angielskiego.

Stanąwszy w przytulnym, wyłożonym drewnianą boazerią holu, Sam poczuł nagle zakłopotanie; usiedli na kanapach wyłożonych brokatem koloru burgunda, a piaskowowłosa recepcjonistka poszła poszukać przełożonej Braddock.

Po chwili zjawiała się w holu, ubrana w granatowy mundurek, w którym wyglądała naprawdę groźnie. Nie wspomniała, że właśnie próbowała, choć bez sukcesu, skontaktować się z panem Grantem. Uprzejmie poprosiła Sama o wylegitymowanie się. Czarującym głosem wytłumaczyła:

– Musimy zachować ostrożność. Wielu dziennikarzy próbowało dostać się do pani O'Dare. Nie uwierzyłby pan, jakich używali wykrętów.

– Uwierzyłbym – sprzeciwił się Sam. – Pracuję w Hollywood. – Wyciągnął z kieszeni dwa paszporty. – Cieszymy się, że nasza staruszka jest tak dobrze strzeżona.

Po sprawdzeniu dokumentów siostra zwięźle poinformowała gości o stanie zdrowia pacjentki, ale nie chciała podać szczegółów dotyczących kuracji, ponieważ te mogą być omawiane jedynie z lekarzami pani O'Dare.

Klara aż sapnęła, kiedy zobaczyła wymizerowaną, bladą twarz babki. Siwa, z zamkniętymi oczami, leżała nieruchomo na metalowym szpitalnym łóżku.

Dziewczyna podbiegła i rzuciła się na kolana.

– Babciu, babciu kochana... Czy mnie słyszysz? – Spojrzała na przełożoną.

– Ona śpi – wyjaśniła siostra. – To czas poobiedniej drzemki.

– Zaczekamy, aż się obudzi – zdecydowała Klara. – Jest taka krucha – dodała, walcząc ze łzami. Na stoliku stojącym obok zauważyła fotografie zrobione w Starling, przedstawiające Billy'ego, Edwarda i trzy siostry w wieczorowych strojach.

Odwróciła się do Sama.

– Myślę, że będzie ci wygodniej w pokoju gościnnym obok. Ja z nią tu trochę posiedzę.

– Czy napiją się państwo herbaty? – zaproponowała grzecznie przełożona.

– A możemy dostać kawę? – równie uprzejmie zapytał Sam, po czym przeszedł do drzwi łączących dwa pokoje. – I czy ktoś mógłby poprosić mojego szofera, żeby przyniósł tu moją aktówkę? – Chciał, żeby Steve, wynajęty jako szofer i obstawa, poznał rozkład domu od środka.

– Pani O'Dare może spać jeszcze dość długo – przestrzegła Klarę przełożona.

– Nic nie szkodzi, poczekam – słodko oświadczyła dziewczyna, sadowiac się w krześle stojącym naprzeciw łóżka Elinor. Za jej plecami znajdowało się duże, balkonowe okno wychodzące na zaśnieżony ogród.

Siostra Braddock pojawiła się powtórnie na krótko przed czwartą.

– Mam nadzieję, że babcia się zaraz obudzi – powiedziała Klara. – Niedługo będziemy musieli jechać. Sam wraca do hotelu, by załatwić kilka rozmów z klientami z Los Angeles.

– Staramy się nie przeszkadzać pani O'Dare, kiedy nie jest to konieczne.

– Ależ oczywiście – zgodziła się Klara. – Jednak nie będziemy jej mogli jeszcze raz odwiedzić przed naszym wyjazdem z Anglii.

Kiedy zabrano stół, na którym podano kawę, Klara podeszła do drzwi działowych i podrapała w nie, dając w ten sposób znak Samowi. Mężczyzna

natychmiast stanął na czatach w korytarzu, gotów głośno zapytać ewentualnych przechodniów o drogę do toalety.

Klara delikatnie potrząsnęła ramieniem Elinor.

Staruszka nie obudziła się.

Klara potrząsnęła gwałtowniej.

Nadal żadnej reakcji.

Dziewczyna spróbowała podciągnąć chorą do pozycji siedzącej. Głowa Elinor opadła do tyłu, ręce zwisały bezwładnie jak u szmacianej lalki.

Klara pospiesznie położyła babkę w poprzedniej pozycji, poprawiła pościel i wyszła na korytarz.

– Babcia wcale nie śpi – szepnęła do Sama. – Musiano jej podać jakieś środki odurzające.

– kazałem Steve'owi rozprostować nogi, czyli przejść się po terenie, póki jest jeszcze wystarczająco jasno, by coś zobaczyć – poinformował. Spojrzał na zegarek.

– Lepiej zacznijmy przed zapadnięciem zmroku.

Wrócili do sypialni i Sam nacisnął dzwonek przy łóżku. Kiedy przełożona Braddock pojawiła się w pokoju, Klara nachyliła się nad babką i pocałowała ją w czoło. Następnie wyszli z pokoju zaraz za pielęgniarką.

Szli powoli korytarzem w stronę holu, kiedy nagle przełożona spojrzała na gościa.

– Chyba zostawił pan swoją aktówkę? Wrócę po nią.

– A rzeczywiście! Ależ ze mnie niezdara. Proszę się nie kłopotać. – Odwrócił się i pospiesznie ruszył z powrotem.

Złapał aktówkę i prędko zamknął obydwie pary drzwi prowadzące do apartamentu Elinor, następnie schował klucze do kieszeni. W sypialni znalazł jakieś różowe koce, odsunął wysoki stolik na kółkach, który stał w nogach łóżka chorej, po czym rozsunał brokatowe zasłony.

Na zewnątrz zobaczył bladą twarz Steve'a patrzącego na niego jasnoniebieskimi oczami.

Sam kiwnął głową.

Steve podniósł kołnierz płaszcza, poprawił skórzane rękawiczki, odsunął się kilka kroków, potem napierając lewym ramieniem uderzył w okno.

Z głośnym trzaskiem, przypominającym wystrzał pistoletu, drzwi wpadły do środka. Szkło rozprysło się na wszystkie strony, do pokoju wdarło się ostre, zimowe powietrze. Kierowca wszedł do środka.

Sam przyciągnął różowy fotel stojący przy drzwiach działowych i rzucił na

niego pościel z łóżka Elinor.

W tym czasie ochroniarz zawinął starszkę w różowe koce i jak strażak wynoszący z ognia ofiarę, zarzucił ją sobie na plecy, następnie zniknął w ciemności wieczoru. Tuż za nim, niemal po omacku, szedł Sam. Nie wiedział, gdzie Steve zaparkował samochód.

Sapiąc biegli po śniegu. Steve pierwszy dopadł do Bendeya, otworzył tylne drzwi i rzucił różowy tobołek na siedzenie. Szybko skoczył za kierownicę, zapalił silnik i włączył światła. Następnie trzykrotnie, robiąc krótkie przerwy, nacisnął na klakson.

Sam rzucił się na tył samochodu, wpadając na różowy pakunek. Pochylił się i otworzył drugie drzwi. Klara z pewnością będzie do nich biegła.

Ale Klara się nie pojawiała.

Sam rzucił:

– Jeśli nas zatrzymają, Steve, odjeżdżaj – i pobiegł przez śnieg do frontowych schodów. Nagle zwolnił i spokojnie wszedł do holu.

Na jego środku Klara walczyła z przełożoną Braddock. Sam minął je i złapał wrzeszczącą recepcjonistkę, po czym rzucił nią w stronę nadbiegającego pielęgniarza ubranego w biały kitel. Mężczyzna, próbując ominąć kobietę lecącą w jego kierunku z szeroko rozwartymi ramionami, pośliznął się na wypastowanej posadzce i upadł.

Sam zarzucił ramię na szyję siostry Braddock i ciągnąc do siebie, starał się oderwać ją od żony. Pielęgniarka sapała, usiłując się wywinąć, ale nie puściła Klary.

Tymczasem pielęgniarz zdążył już się podnieść, skoczył przed siebie i uderzył Sama w plecy na wysokości nerek. Ten szarpnął się gwałtownie do tyłu, pociągając za sobą przełożoną. Padając, rozluźniła uścisk, w którym trzymała Klarę.

– Klara, uciekaj! Szybko! – zawołał Sam.

Dziewczyna wyprostowała się i zaczęła biec w stronę szklanych drzwi wejściowych. Pielęgniarz ruszył za nią, ale udało jej się zbiec. Na zewnątrz jednak potknęła się w ciemności i przewróciła na kamiennych schodach. Mężczyzna dopadł jej i rzucił się całym ciałem.

W holu natomiast przełożona Braddock nadal mocowała się z Samem. W pewnej chwili wywinęła się i usiadła na leżącym na plecach napastniku. Walczyła jak mężczyzna, usiłując wydłubać mu oczy. Udało mu się uwolnić prawą rękę. Uderzył na oślep. Poczul pod pięścią łamiącą się kość, usłyszał trzask i nagle znowu mógł wszystko widzieć. Skurczony z bólu pokuśtykał do wyjścia.

U stóp schodów pielęgniarz w białym fartuchu szamotał się z Klarą. Sam skoczył w dół, zamierzył się i kopnął mężczyźnę. Ten stęknął i upadł w śnieg.

– Szybko do samochodu! – krzyknął Sam, pomagając żonie wstać.

Ramię w ramię biegli do ruszającego już Bentleya. Sam wepchnął towarzyszkę na tył samochodu, wskakując zaraz za nią. Podczas gdy sadowili się wygodnie, Bentley z piskiem opon wypadł przez bramę na ulicę.

– Kochany! – Klara zarzuciła ramiona na szyję męża.

Sekretarka domu opieki Lorda Willingtona nie wiedziała, w jaki sposób skontaktować się ze statkiem wycieczkowym pływającym po Karaibach. Zadzwoiła do biura turystycznego, przez które doktor Craig-Dunlop załatwił sobie tę podróż. Urzędnik poradził jej, by spróbowała w londyńskim biurze morskim.

Podeksytowana pielęgniarka zastępująca siostrę przełożoną kręciła się wokół sekretarki. Powtarzała bez ustanku:

– Powiedz im, że sprawa jest pilna!

Sekretarka zasłoniła ręką mikrofon telefonu.

– To nie takie proste, sestro Parks. Musimy skontaktować się z *Antigone* przez jakąś stację nadawczą w Somerset – najbliższą statkowi stację lądową. Mówią, że dotarcie do doktora zajmie przynajmniej kilka godzin.

– Kilka godzin! – zdenerwowała się siostra Parks.

Sekretarka wyjaśniła:

– Stacja nadawcza najpierw powiadomi statek o potrzebie kontaktu, podając zwrotną częstotliwość. Dopiero wtedy doktor połączy się z nami. Musi się pani uzbroić w cierpliwość, sestro Parks.

Przełożona Braddock siedziała na ostrym dyżurze w poczekalni szpitala Króla Edwarda VII w Eastbourne. Czekwała na konsultację. Jej lewa ręka podtrzymywana temblakiem bolała ją i szybko puchła; kobieta nie mogła poruszać palcami. Ręka była złamana tuż nad nadgarstkiem.

Przełożona czuła bolesne pulsowanie, ale nie poprosiła o znieczulenie. Była odporniejsza niż większość ludzi, a poza tym w tej chwili nie chciała stracić przytomności umysłu. Czekając na prześwietlenie zastanawiała się nad zaistniałą sytuacją i nad jej skutkami.

Co Ivy Braddock miała do stracenia? Bardzo dużo.

Pani O'Dare została wykradziona z domu opieki w dokładnie zaplanowanej akcji. Pan Shapiro nie wyglądał na człowieka, który puści całą sprawę w

niepamięć, tym bardziej że go uderzyła. Pielęgniarka przypomniała sobie, jak z ust mężczyzny połała się krew.

Gdyby wezwano policję, prawdopodobnie zostałaaby aresztowana. Mogliby ją nawet postawić przed sądem.

Bez względu na to, czy uznano by ją winną, czy niewinną przetrzymywania pacjentki pod fałszywymi pretekstami, nieunikniony rozgłos po procesie przekreśliłby jej szanse na otrzymanie dobrze płatnej posady pielęgniarki w jakimkolwiek szpitalu w Brytanii.

Jednak bardziej niż konfrontacja z policją przerażała ją ewentualna rozmowa z Grantem. Wyczuwała, że ten człowiek kieruje się przemocą i zemstą. Oczywiście nie odda mu pieniędzy, które otrzymała, ale perspektywa jego zemsty była przerażająca.

Rozpatrzyła w myśli plan zaszantażowania doktora Craig-Dunlopa, odrzuciła jednak ten pomysł, bowiem lekarz mógł zrewanżować się jej tym samym.

Przełożonej Ivy Braddock pozostawało tak naprawdę tylko jedno rozwiązanie.

Po powrocie na Applebank, ciesząc się błogim spokojem panującym w domu, Klara usiadła obok Sama przed kominkiem i zapatrzyła w ogień. Nie udało się jej skontaktować z Annabel, ale Miranda i Buzz z entuzjazmem przyjęły wiadomość o oswobodzeniu Elinor. Nic nie mogło powstrzymać Buzz przed decyzją nocnej podróży, by zaraz zaopiekować się starą przyjaciółką.

Elinor spała w gościnnym pokoju, Steve, szofer, zatrzymał się w Bath Arms, a uparty Sam stwierdził, że prześpi się na sofie w saloniku.

Sześcioletni Josh, zbyt podniecony przyjazdem ojca, by zasnąć, co chwila schodził na dół w piżamie, oszukując, że chce mu się pić. Za każdym jego pojawieniem w Klarze budziło się poczucie winy. Zastanawiała się, czy Josh woli żyć z matką, samotną, ale szczęśliwą, czy też chciałby mieć i ojca, i ją, ale niestety nieszczęśliwą?

– Teraz, kiedy mamy już to całe zamieszanie za sobą – odezwał się Sam – opowiedz, co się z tobą działo?

– Zupełnie zaskoczył mnie brzęk tłuczonej szyby, zdaje się, że wybiłeś okno? Spanikowałam i zaczęłam biec do wyjścia. Ta cholerna przełożona próbowała mnie zatrzymać. Szczerze mówiąc, nie pamiętam wiele więcej. Przykro mi. Wiem, że powinnam była czekać na głos klaksonu.

– Gdybyś po prostu zrobiła zdziwioną minę, przełożona poszłaby sprawdzić, co się dzieje, a ty spokojnie byś wyszła, tak jak zaplanowaliśmy. – Sam się skrzywił.

– Ale niestety wydarzenia nie potoczyły się według naszego planu.

– Nie – zgodził się Sam. Przez chwilę milczał, po czym dodał: – Zazwyczaj tak się dzieje, nie sądzisz?

Klara zastanawiała się, jak doszło do tego, że nie czuje już do męża nienawiści. Przez prawie cztery lata miała mu za złe, że ją wykorzystał, buntowała się przeciwko władzy, jaką nad nią posiadał. Przypomniała sobie słowa Gildy, koleżanki, która pracowała z nią w sklepie z obuwem w Chelsea. Gilda powiedziała: „Nie mów mi, że nie kochasz już tego swojego mężusia! Gdyby tak było naprawdę, nie przejmowałabyś się nim, byłby ci obojętny”.

Sam, przyglądając się oświetlonej płomieniami delikatnej, smagłej twarzy Klary, pomyślał, że nadszedł czas na podjęcie ostatniej próby. Odezwał się łagodnym głosem:

– Nie wiem, jak to powiedzieć... Przepraszam, że zachowywałem się jak sukinsyn. Wymyśliłem sobie, że jeśli nie dam ci pieniędzy, jeśli nie dam ci powodów, byś mogła złożyć pozew o rozwód, jeśli w końcu nie zgodzę się na rozwód z twojej winy, wtedy do mnie wrócisz.

– Takie metody stosuje się, tresując psy. Nie postępuje się w ten sposób z żonami – odparowała ostro Klara.

– Masz rację, pomyliłem się. Przyznaję to.

– Wielkie dzięki – skwitowała gorzko. Zaraz potem dodała: – Nie mogłam zrozumieć, dlaczego nie pozwalasz mi odejść. Jaka jest różnica między mną a innymi twoimi eks-małżonkami?

– Po pierwsze, Josh.

– Zdaję sobie sprawę, że nikt nie zastąpi mu prawdziwego ojca, nawet złego – przyznała Klara, ale nadal w jej głosie brzmiała gorzka nuta. – Jednak nie jest to wystarczający powód, bym do ciebie wróciła. Muszę myśleć o sobie. Nie jestem tylko matką.

– Nigdy nie przypuszczałem, że dasz sobie sama radę. Naprawdę cię podziwiam... Ten pomysł z otwarciem piekarni wydaje mi się bardzo dobry. Mogłabyś założyć całą sieć. Nawet nazwa pasuje. – Klara nazwała swoją firmę OBFITOŚĆ.

– Nie zamierzam się rozwijać – oświadczyła. – Właśnie takie podejście do interesów mają mężczyźni! Rozejrzałam się po waszym świecie i nie przypadł mi on do gustu. Nie chcę zmartwień związanych z prowadzeniem dużego interesu. Nie pociąga mnie taki kierat! Pragnę cieszyć się moją małą firmą i robić coś pożytecznego. A przy okazji zarabiać na utrzymanie. – Strzepnęła ciemne kosmyki

spadające jej na oczy i dodała: – Nie podoba mi się życie, jakie prowadzi Miranda. Bez większych wyrzeczeń mogłam pozwolić sobie na miesięczny wyjazd do Szwajcarii, a założę się, że Miranda nie zdobyłaby się na rzucenie wszystkiego po to, by pojeździć na nartach.

Sam spróbował innej taktyki.

– Dopiero kiedy odeszłaś, uświadomiłem sobie, jak bardzo mi jesteś potrzebna. I każdego cholernego dnia straszliwie tęskniłem za Joshem. – Ciągnął dalej z naciskiem. – Klaro, czy nie dasz mi jeszcze jednej szansy? Pamiętaj, że Josh nie należy tylko do ciebie, ale i do mnie. – Zauważył grymas na jej twarzy i postanowił wykorzystać ten wyraźnie czuły jej punkt. – Klaro, razem powinniśmy zdecydować, co dla niego jest najlepsze.

– Zapominasz, że Josh nie istniał dla ciebie, kiedy przychodziło do płacenia za jego wydatki! – krzyknęła. – Wtedy nie obchodziło cię – jego dobro. Nie proponuj mi teraz pojednania. Jasne jest, że w ogóle nie zależy ci na naszym małżeństwie!

Sam spojrzał jej głęboko w oczy. – Uwierz mi Klaro, że jest inaczej. Czy w przeciwnym razie porzuciłbym wszystko i przeleciał pół świata, żeby ratować twoją babkę?

– Jestem ci wdzięczna. Ale nie aż tak – rzuciła. Po chwili dodała ostrym tonem: – Przypomnij sobie te swoje obrzydliwe, małe romansiki. Myślałeś, że to, o czym nie wiem, nie może mnie zranić. Miałeś rację, mnie nic się nie stało – już ci to mówiłam – ale zniszczyłeś nasze małżeństwo. Zamiast opiekować się statkiem, który razem budowaliśmy, ty świadomie wierciłeś w nim dziury, a potem dziwiłeś się, kiedy zaczął przeciekać.

– Ale jeszcze nie zatonął.

– Od naszego powrotu cały czas starasz się zaciągnąć mnie do łóżka. Nie martw się, pamiętam twoje sztuczki. Ale jeśli zgodziłabym się na to, w świetle prawa ostatnie trzy lata straciłyby znaczenie. W dziesięć minut sąd przekonałby nas, byśmy się pogodzili i gdyby nic z tego nie wyszło, musiałabym zaczynać wszystko od nowa. Nie mówiąc już o tym, że znowu musiałabym opłacać adwokatów. Sam widzisz, że nie ma sensu ryzykować, nawet jeśli czuję coś innego, co zresztą nie jest prawdą! Kocham innego mężczyznę! – Klara postanowiła bezlitośnie wyjawić prawdę. – On dba o mnie, jest delikatny, opiekuje się mną. Łączy nas szczęśliwy i stały związek.

– A czy ten opiekuńczy i delikatny kochanek miałby tyle odwagi, żeby dla uratowania twojej babki rozbić kilka szcęk?

Następnego dnia, jeszcze przed wschodem słońca, Josh zakradł się do łóżka Klary, położył się obok niej i powiedział: – Myślę, że ona się obudziła.

Wyskoczyła z pościeli i stanęła przy drzwiach pokoju gościnnego, by posłuchać, co się za nimi dzieje. Doszedł ją słaby odgłos płaczu. Otworzyła drzwi i włączyła światło.

Elinor odwróciła się w kierunku wchodzącej, z przestachem łapiąc szczupłymi palcami kołdrę.

– Klara! – wyszeptała zaskoczona. – Gdzie ja jestem? Jak dobrze cię widzieć, kochane dziecko.

Klara uklękła przy łóżku, podniosła kruche, naznaczone niebieskimi żyłkami dłonie staruszki i pocałowała je. – Jesteś bezpieczna. Jesteśmy w moim domu. Nie wrócisz już w tamto okropne miejsce. Niedługo przyjedzie Buzz, żeby pomóc mi opiekować się tobą.

– Klaro, tak za tobą tęskniłam.

– Ja także. Byłam głupia i uparta.

– Tak jak i ja.

– Babciu, przepraszam cię. Czy mi wybaczysz?

– Jeśli ty zrobisz to samo.

– Nie traćmy już więcej czasu, ani jednego dnia.

– Ani jednego – szepnęła Elinor, kiedy wnuczka pochyliła się, by ją uściskać.

Ze łzami w oczach Klara zaczęła się tłumaczyć.

– Babciu, gdybyś odpowiedziała chociaż na jeden mój list, natychmiast bym do ciebie przyjechała. Wiem, posyłałam ci smutne listy, pełne złości i żalu nad sobą. Adam dawał mi wyraźnie do zrozumienia, że spotkasz się ze mną tylko wtedy, kiedy oficjalnie cię przeproszę. Za każdym razem, gdy to mówił, czułam się coraz bardziej urażona.

– Szkoda, że nic o tym nie wiedziałam – szepnęła staruszka. – Tak za tobą tęskniłam. I za Joshem.

Klara poczuła nieopisany żal. Elinor straciła trzy i pół roku z życia jedyne go prawnuka, tak podobnego do dziadka Billy'ego. Babka pogłaskała ją po włosach.

– Ale teraz to już nieistotne. Najważniejsze, że znowu jesteśmy razem.

Lekarz wyszedł od Elinor o dziesiątej. Zapisał jej niewielkie dawki valium, które miała przyjmować przez kilka następnych dni, odzwyczajając się zarazem od dotychczasowych lekarstw.

Zaraz po jego wyjściu ktoś natarczywie zadzwonił do drzwi. Klara poszła

otworzyć. Na schodach stała Miranda z obandażowaną głową, a za nią Buzz.

Nie mogąc wydusić słowa, Klara rozłożyła ramiona i przytuliła do siebie siostrę.

– Jak się czuje Neli? – bez ogródek zapytała Buzz.

– Wyjdzie z tego, zwłaszcza kiedy tu jesteście – stwierdziła Klara.

Po pełnym uniesień i łez pojednaniu przy łóżku Elinor trzy kobiety wyszły, by dać chorej odpocząć.

Przeszły do kuchni i zrobiły kawę. Miranda wyglądała na zaskoczoną.

– Klaro, kochanie, cały czas nie wiedziałam, że nie masz pieniędzy na życie. Adam twierdził, że zarząd wypłaca ci pensję, ale ty nie chcesz widzieć babci i nas, ponieważ trzymamy jej stronę.

– Mnie Adam powiedział, że to ty i Annabel nie chcecie się ze mną spotkać – wyjaśniła siostra. – A od zarządu nie dostałam złamanego pensa. Przestali wypłacać mi dywidendy, kiedy opuściłam Saracen.

Przez głowę Mirandy przemknęła szybka myśl, zdziwienie, że zakochała się w takim człowieku jak Adam. Na głos zaś powiedziała:

– Musimy go prędko przygwoździć.

– Sam rozmawiał już o tym przez telefon z jakimiś londyńskimi prawnikami.

– Chciałabym być bardziej pomocna – poskarżyła się Miranda – ale ciągle mam te bóle głowy i z trudem się koncentruję. Czasami mam kłopoty z przypomnieniem sobie różnych rzeczy. A z pewnością nie pamiętam nic z wypadku.

Słyszając zatrzymujący się przed domem samochód, Klara wyrzała przez okno zza stojących na parapecie kwiatów geranium, rosnących w doniczkach.

– Co tu robi londyńska taksówka?

Buzz podeszła, by popatrzeć.

– To chyba Annabel.

– Nie, to niemożliwe – zawołała Klara. – Boże... co za zbieg okoliczności!

Miranda podskoczyła do okna i kiedy siostra biegła korytarzem do drzwi wyjściowych, rozgniewana krzyczała za nią:

– Nie myślisz chyba, że uwierzę w ten zbieg okoliczności! Jak śmiałaś tak to zaaranżować.

Zaskoczona Klara odwróciła się i zapytała:

– O co chodzi? Nie widziałam Żaby prawie cztery lata! Niczego nie aranżowałam.

– Ach, nie? Sądzisz, że uwierzę, że kiedy spotykamy się pierwszy raz po trzech latach, właśnie wtedy Annabel zupełnie przypadkowo zjawia się u ciebie? Kto

pozwoił ci godzić nas za moimi plecami?

– Och, Mirando, zamknij się. Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Co z tobą? – dziwiła się zirytowana. – A może to skutki wypadku?

– Nie – rzuciła ze złością Miranda. – I przysięgam, że jeśli jej otworzysz, ja wychodzę!

– Uspokój się! Zawsze miałaś skłonności do dramatyzowania, ale nie czas teraz na to – zganiała Klara. – Słuchaj, nie wiem, co między wami zaszło, ale musicie sobie z tym szybko poradzić. Sytuacja jest zbyt poważna. – Skończyła i poszła otworzyć drzwi.

Na schodach stała Annabel, cała we łzach.

– Och, Klaro, jesteś tu! Bałam się, że może podano mi jakiś stary adres. Tak się cieszę, że znowu cię widzę! Tak za tobą tęskniłam!

– Wchodź szybko do środka, kochana. – Przytulając siostrę Klara drżała z zimna. Paplając radośnie zaprowadziła ją do ciepłej kuchni.

Na widok Mirandy Annabel zamilkła w pół słowa. Miranda, której policzki pokrył rumieniec, wycedziła:

– Dziwię się, że masz odwagę pokazywać się tutaj!

Annabel wybuchnęła płaczem.

– Och, Mirando, nie wiesz, co się stało... Adam wcale mnie nie kochał...

– To akurat wiedziałam – twardo rzuciła siostra.

– Nie kochał żadnej z nas...

– O czym wy mówicie? – zapytała Klara.

Miranda wyjaśniła:

– Od kilku lat Adam był moim kochankiem, a od kilku miesięcy jest także kochankiem Annabel.

– Kochankiem was obu? – Klara wyglądała na przerażoną. – Adam? Nie mogę uwierzyć!

– Jest gorzej, niż myślicie – łkała Annabel. – Adam lubi też chłopców!

Pozostałe kobiety, jak zamurowane, przyglądały się jej w milczeniu. Buzz podniosła ręce do głowy w geście niewymownego zaskoczenia.

Wreszcie Miranda z pogardą stwierdziła:

– Annabel, chyba zwariowałaś!

– Nie, uwierzcie mi. Sama nie mogłam się z tym pogodzić, więc poszłam do pubu dla homoseksualistów. Powiedziano mi, że Adam się tam z pewnością pojawi i tak się też stało. Wmawiałam sobie... próbowałam... udawać, że wszystko sobie wymyśliłam. Ale wiem, że tak nie jest! Roger powiedział mi, że Adam zawsze taki

był, więc, jeśli nie wierzycie mi, zapytajcie Rogera.

– Jakiego Rogera? – warknęła Miranda.

– Kuzyna Soni. Tego Rogera, który uczył nas tańczyć twista – przypomniała Annabel.

Miranda nadal nie dawała się przekonać.

– Wszyscy w Londynie wiedzą, że Roger jest pedałem. Wielu jest takich jak on. Nawet niektórzy moi znajomi, ale nie Adam!

– On także! – upierała się siostra, na nowo zaczynając szlochać. – Wiem, jak się czujesz, przeżyłam to samo. Tylko nie miałam nikogo, z kim mogłabym ó tym porozmawiać. Nikogo, komu mogłabym zaufać, kto wytłumaczyłby mi, co się dzieje. Czułam się taka samotna.

– Idę zadzwonić do Rogera – zdecydowała Klara. – Znasz jego numer?

Annabel kiwnęła głową. Buzz podbiegła i objęła ją.

– Moja biedna maleńka.

Po chwili do kuchni pogrążonej w ciszy wróciła Klara. Zapłakana Annabel przysiadła na stołku i patrzyła przed siebie szeroko otwartymi oczami. Miranda, stojąca po przeciwnej stronie, zerkała na nią podejrzliwie.

– Roger mówi, że to prawda – cicho poinformowała Klara – I ja mu wierzę. Jakiś czas temu mieli z Adamem... no cóż ... romans. Powiedział też, że nie był pierwszym kochankiem Adama.

Miranda wybuchnęła płaczem. Klara łagodnie zapytała:

– Annabel, dlaczego nie zadzwoniłaś do Scotta?

W oczach dziewczyny pojawiła się cała udręka, którą przeżywała.

– Nie mogłam... za bardzo się wstydziłam. – Znowu zaczęła płakać. – Nagadałam Scottowi takich paskudnych rzeczy... Zrobiłam z siebie kompletną idiotkę.

Miranda podniosła głowę i z bólem przyznała:

– Myślę, że obydwie wyszłyśmy na idiotki. Ale niech duma nie przeszkadza ci wyznać Scottowi, że straciłaś głowę dla mężczyzny, któremu wcale na tobie nie zależy. Wiem, że Scott wciąż cię kocha. Zadzwoń do niego.

Po chwili wahania Annabel przytaknęła ruchem głowy.

– Zgoda, zadzwonię. Ale w Nowym Jorku jest teraz piąta rano.

– Na twoim miejscu poczekałabym trochę, aż się nieco uspokoisz – zasugerowała Klara.

Pokornym głosem Annabel zwróciła się do drugiej siostry:

– Mirando, dziękuję, że to powiedziałaś. – Jednak zdawała sobie sprawę, że by

naprawić ich stosunki, musi powiedzieć coś więcej. Zmusiła się do wypowiedzenia słów, które wielokrotnie zmieniały bieg historii ludzkości i jej przyszłość – dwa proste słowa, łatwo przyjmowane przez tych, którzy na nie czekają, ale ciężkie do wyartykułowania dla tych, którzy mają je wyrzec. Powoli i z udręką Annabel wyjąkała: – Mirando, przepraszam cię.

Ta, mimo wahania, odpowiedziała:

– W porządku. Ja też przepraszam. A teraz zapomnijmy o tym. Adam skrzywdził nas wszystkie.

– Wydaje mi się, że dobrze nam zrobi filiżanka mocnej herbaty – zaproponowała Buzz – nim zajmiemy się naprawianiem szkód, które on wyrządził. Ten mężczyzna zaprowadził was trzy dokładnie tam, gdzie sobie zaplanował!

Staruszka postawiła czajnik na gaz, a Klara z zastanowieniem zapytała:

– Cały czas nie rozumiem, po co Adam chciał odciąć mnie od rodziny?

– Zdaje się, że wiem po co – stwierdziła Miranda. – Domyślam się też, dlaczego umieścił babcię w tamtym okropnym miejscu. Wyciągał z zarządu pieniądze, posługując się legalnymi metodami. Niestety, musiał na to poświęcić więcej czasu niż na prostą kradzież. Jeżeli moje przypuszczenia są słuszne, nic dziwnego, że starał się nas rozdzielić i skłócić. W ten sposób odwracał naszą uwagę, a sam defraudował nasze pieniądze.

– Co? Nie rozumiem. Jeśli nas okradał, to dlaczego dostawałyśmy takie duże dywidendy? – dziwiła się Annabel.

– W porównaniu z całością te pieniądze były kroplą w morzu – wyjaśniła Miranda. – Nigdy nie przyszło nam do głowy, że kiedy Adam tak aranżował sprawy, byśmy otrzymywały tyle pieniędzy, ile potrzebowałyśmy, resztę odkładał dla siebie.

Siostry w milczeniu, ponuro popatrzyły po sobie: każda z nich czuła się oszukana, poniżona i wściekła.

– Ale mi głupio – cicho odezwała się Annabel.

Klara kiwnęła głową. – Mnie też.

– Nie jesteście osamotnione – sucho rzuciła Miranda. – Mam ochotę mocno walnąć samą siebie, kiedy przypomnę sobie te niezliczone artykuły, dowodzące mojej niezwykłej smykałki do interesów. Straszne, jak bardzo okazałam się naiwna. – Nie chciała pogarszać sytuacji, informując, że Adam walczy teraz o przejęcie jej firmy.

– Chyba zadzwonię do Bath Arms – odezwała się Klara. – Mam tylko jeden pokój gościnny, zajęty już przez babcię, a na sofie w saloniku śpi Sam.

– A gdzie jest Josh? – nagle przypomniała sobie Miranda.

– W szkole – wyjaśniła Klara. Miała nadzieję, że syn nie zapomniał swoich ciotek.

– Czy Josh lubi wieś? – zaciekawiła się Miranda. – Ty wyglądasz na o wiele mniej spiętą. Tobie wyraźnie służy, jesteś taka rozluźniona.

– Tak, Josh uwielbia tu mieszkać, a ja też jestem zadowolona.

– To widać – tęsknym głosem zauważyła Annabel.

– A ty, Annabel, też się zmieniłaś – szybko zrewanżowała się Klara. – Kiedy miałaś szczuplejszą twarz, wyglądałaś elegancko, ale... teraz jesteś ładniejsza.

Miranda potwierdziła kiwnięciem głowy.

– Klara ma rację. Nie można było patrzeć na ciebie, kiedy byłaś nie umalowana. Miałaś taką wymizerowaną buzię!

Annabel zmarszczyła mały nosek i z zadowoleniem zapytała:

– Naprawdę tak uważacie?

Po wyjściu sióstr, które odwiozły bagaże do miejscowego zajazdu, Klara zrelacjonowała Samowi ich rozmowę.

– Nie obwiniajcie się zbyt – poradził. – Wygląda na to, że Adam to doświadczony oszust i jak większość takich ludzi doskonale wie, w jaki sposób pochlebstwami zdobyć zaufanie kobiety. Ten sukinsyn jest przystojny, czarujący, wyrafinowany i pewny siebie. Wykorzystał słabe punkty każdej z was; naciskał na guziczki tych stron życia, które was przerażały; zmusił was do kręcenia się wokół niego i robienia tego, co chciał. Nadszedł czas, byście przestały dawać się prowadzić, a zaczęły działać. Teraz nasza kolej na atak.

– Adam nie zdaje sobie jeszcze sprawy, że go przejrzałyśmy. Lepiej byłoby, gdyby nadal wierzył, iż ciągle się kłócimy.

– Naszym słabym punktem jest Annabel. Ciekawe, czy on się domyśla, gdzie pojechała na te kilka dni?

– Nie mam pojęcia. Trzeba ją spytać.

Później Annabel wyjaśniła:

– Po tym, jak zobaczyłam Adama z tym chłopcem... nie miałam odwagi spojrzeć mu w twarz... ani z nim rozmawiać. Zostawiłam mu notatkę, że zachorowałam na gripę i nie chcę, żeby się ode mnie zaraził. Napisałam, że wyjeżdżam na tydzień do ośrodka zdrowotnego, oczywiście żaden taki ośrodek nie wpuściłby mnie z gripą, ale to był najlepszy wykręt, jaki przyszedł mi na myśl. W rzeczywistości zostałam w Park Lane, w swojej sypialni, i zalewałam się łzami, aż

wpadłam na pomysł zadzwonienia do sekretarki Sama i zapytania o adres Klary.

O szóstej tego samego wieczoru Klara poszła zanieść świeży chleb kobiecie unieruchomionej w łóżku z powodu męczącego ją artretyzmu. Nie zgodziła się na propozycję Sama, że ją podwiezie, tłumacząc, że to niedaleko, a ona ma ochotę zaczerpnąć świeżego powietrza. zaproponowała, żeby Sam po jej wyjściu położył Josha do łóżka.

Josh uważał, że jako sześciolatek jest już za duży na to, żeby kąpała go matka, ale z wielką radością zgodził się, by zrobił to ojciec.

Ponieważ całkowicie zmoczyli korkową podłogę łazienki, Sam zszedł do kuchni, by znaleźć jakąś szmatę. Usłyszawszy zgrzyt klucza w zamku, zawołał:

– Klara?! Udało mi się wprawdzie wsadzić Josha do kąpielni, ale nie tak łatwo go stamtąd wyciągnąć.

Zdziwiony odgłosem ciężkich kroków spojrzał do góry i ujrzał niezwykle przystojnego mężczyznę, który pochyliwszy się, by nie uderzyć głową w poprzeczną belkę nad drzwiami, wszedł do środka.

– Gdzie jest Klara? – zapytał niepewnie David.

– Żona wyszła – odpowiedział Sam tak samo zakłopotany jak gość. Klara nie wspominała, że ten jej absztyfikant wygląda jak bohater z westernów.

Obydwaj mężczyźni przyglądali się sobie w milczeniu jak psy, wyprężone, obwąchujące się przed rozpoczęciem walki.

A więc to jest powód, dla którego Klara nie zadzwoniła do niego wczoraj wieczorem, pomyślał David. Próbował się z nią połączyć, ale jej numer był ciągle zajęty. Ten duży mężczyzna z ciemnymi kręconymi włosami i rękawami koszuli podwiniętymi na muskularnych ramionach wyglądał na przyjemniejszego, niż David mógł sobie wyobrazić. Facet sprawiał miłe wrażenie. Miało się ochotę z nim pogadać.

– Jeśli ty jesteś David, to dlaczego nie pójdziesz sobie stąd w cholerę? – rzucił Sam, jasno przedstawiając sytuację. – Chcesz zobaczyć się z moją żoną, to wróć kiedy indziej. Teraz mamy tu i tak za dużo problemów. – Zdawał sobie sprawę, że bez tego Romea kręcącego się w pobliżu o wiele łatwiej wpłynie na Klarę. Musi pozbyć się tego sukinsyna przed jej powrotem.

– Ponieważ już tu przyszedłem poczekam aż wróci. – David dzwonił do Klary późnym popołudniem, chcąc sprawdzić, dlaczego nie daje znaku życia. Słuchawkę odebrał Josh, całkowicie zaaferowany obecnością tylu członków rodziny. Wyjaśnił, że przyjechał do niego jego tatuś. David musiał więc przyjść zobaczyć, co się

dzieje.

– Klara i ja mamy wiele spraw do omówienia. Stajesz nam na drodze. – Sam z groźną miną zrobił krok w stronę intruza, ale ten się cofnął.

– Zaczekam na Klarę – powtórzył. – Jeśli będzie chciała, żebyśmy wyszedł, sama mi to powie.

Usłyszeli Josha wołającego z łazienki:

– Tato, gdzie ta ścierka!

– Będę za dziesięć minut, synu – odkrzyknął Sam. – Wynoś się stąd, i to szybko – rzucił" w stronę Davida.

Zgrzytnęła furtka w ciemnym ogrodzie i zaraz za tym odgłosem rozległ się zduszony dźwięk dzwonka rowerowego. Pogwizdując, Klara otworzyła kuchenne drzwi i weszła wprost na Sama i Davida patrzących na siebie z napięciem dwóch kogutów gotowych do skoku.

– David! Co się stało?! – krzyknęła.

– Jeszcze nic – odpowiedział Sam, nie spuszczać wzroku z drugiego mężczyzny.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że on ma przyjechać? – zapytał David, także bez przerwy wpatrując się w przeciwnika.

– Ponieważ to nie jest twój pieprzony interes! – wrzasnął Sam.

– Nie wiedziałam, że się pojawi – wyjaśniła spokojnie Klara.

– Dzwoniłam do ciebie rano, ale cię nie było.

– Czy ten facet tu zostanie? – denerwował się Sam.

– Chcesz, żebyśmy sobie poszedł, Klaro? – zapytał David, tak samo wzburzony jak jej mąż.

– Uspokójcie się obydwaj! – rozkazała. – Zachowujecie się jak pięciolatki.

– Wynoś się stąd – warknął Sam do Davida. – Przeszkadzasz. Nie masz po co tu sterczeć.

– Owszem, mam. Zamierzam poślubić Klarę.

– Nigdy mi tego nie mówiłeś! – zawołała zdumiona.

– Tak się składa, że ona ma już męża. – Sam płonął wprost z wściekłości.

W drzwiach kuchni pojawił się Josh, nagi i ociekający wodą. Zauważył Davida i Klarę, ale z wyrazem uwielbienia na twarzy pobiegł prosto do Sama, który złapał go w ramiona i przytulił.

– Nie skończyłeś mnie myć. – Josh złożył na policzku ojca mokry pocałunek.

– No więc jak? Zgadzasz się? – David zwracał się do Klary.

– To znaczy, czy wyjdiesz za mnie?

Z zakłopotaniem i niepewnością patrzyła to na jednego mężczyznę, to na drugiego.

Rozdział 28

CZWARTEK, 30 STYCZNIA 1969

Po niespokojnej nocy Elinor obudziła się wcześniej. Buzz zrobiła jej filiżankę herbaty, po czym zasypała wprost płoteczkami ze swojej podróży statkiem z Berthą Higby.

Elinor zapytała o Saracena. Buzz zamilkła.

– Co się stało? – szepnęła Elinor.

W końcu Buzz wydusiła z siebie:

– Adam sprzedał dom.

– Sprzedał mój dom?

– Ktoś musiał ci to kiedyś powiedzieć, Neli.

Nie odezwała się, ale dwie łzy stoczyły się po jej policzkach. Wreszcie zapytała cicho:

– Co się stało ze służbą?

– Och, muszę przyznać, że nie stracili pracy. Nie wiem dokładnie, czy wszyscy, bo jeszcze tam nie byłam.

– Przynajmniej jesteśmy znowu razem – mruknęła Elinor. – To najważniejsze.

Przez następne dwie godziny Buzz odpowiadała na jej pytania dotyczące wypadków zeszłego roku. Kiedy nadszedł czas na pojawienie się Klary ze śniadaniem, Elinor otarła łzy i nawet spróbowała przybrać szczęśliwy wyraz twarzy.

Weszła uśmiechnięta Klara.

– Annabel i Miranda wyjechały na jeden dzień do Londynu w interesach – poinformowała.

– Czy w sprawie Adama?

– Tak.

– Ukradł moje pieniądze, prawda?

– Nie okłamuj jej – uprzedziła Buzz.

Wnuczka odpowiedziała niechętnie:

– Może nie wszystkie. Jeszcze nie wiemy. Ale nawet gdyby tak się stało, to nadal będziesz dostawała pieniądze za wznowienia twoich książek.

– Jeśli odzyskam pieniądze, chcę, żeby rozdzielono je między waszą piątkę – słabo oświadczyła Elinor. – Od początku powinnam tak zrobić.

Mniej więcej w tym samym czasie doktor Craig-Dunlop, ubrany w jedwabny szlafrok i pidżamę, wyszedł z luksusowej kabiny i zgłosił się do radiotelegrafisty, gdzie poinstruowano go, jak posługiwać się radiotelefonem.

Małe, czarno obrysowane oczka lekarza rozszerzyły się, kiedy wsłuchiwał się w słaby, ale podniecony głos siostry Parks, zastępczyni siostry przełożonej.

– Siostro, proszę się uspokoić – rozkazał, kiedy kobieta na chwilę przerwała potok słów. – Jeśli dobrze zrozumiałem, jacyś. krewni pani O’Dare uprowadzili ją z domu opieki, ale siostra nie wie, czy doszło do tego za zgodą pani O’Dare? Z pewnością jednak doszło do tego bez naszej zgody i dlatego też nie możemy ponosić odpowiedzialności za to, co się później działo z panią O’Dare. Tak brzmi nasz oficjalny komentarz, siostro Parks. – Jego spokojny i przekonujący głos wyraźnie kojąco wpłynął na rozmówczynię. – Czy powiadomiono pana Granta? Nie? Doskonale! Ponieważ pani O’Dare została zabrana przez ludzi, którzy wcześniej udowodnili swoje pokrewieństwo, nie widzę powodu, by go niepokoić, zanim wrócę... Tak, naturalnie, wracam natychmiast.

Pogrążył się w gorączkowych rozmyślaniach. Statek miał dobić do Jamajki w piątek po południu, za jakieś trzydzieści godzin. Bóg wie, ile zajmie mu dotarcie do Anglii. Prawdopodobnie będzie musiał czekać, aż dostanie miejsce w samolocie lecącym do Nowego Jorku, potem znowu będzie czekał, bo przecież samoloty nie latają do Londynu co pięć minut.

– Wracam najszybciej, jak mi się uda, siostro Parks, ale to zależy od połączeń samolotowych i od tego, czy znajdę wolne miejsce – uprzedził. – Nie pojawię się wcześniej niż za dwa dni, jeśli nie później. Przypuszczam, że najwcześniej spotkamy się w niedzielę wieczorem... Tak, drugiego lutego.

Kiedy siostra Parks zdała mu dokładną relację, doktor oświadczył:

– Przełożona Braddock wspaniale się spisła. Opróżniła swój pokój i nawet słowem nie wspominając o złamanym ramieniu odjechała taksówką. Prawdopodobnie doznała też jakiejś kontuzji przy tym niefortunnym upadku. Lepiej będzie jednak, gdy oficjalnie przekażemy, że przełożona wzięła zaległy urlop i spodziewamy się jej powrotu pod koniec miesiąca. Nie ma potrzeby dodawać niczego więcej. – Zakasłał. – Ze względu na popularność pani O’Dare mogą odwiedzać panią dziennikarze poszukujący plotek. Siostro Parks, proszę nie rozmawiać z nieznanymi. Proszę też uprzedzić Patrycję, żeby uważała, kiedy będzie odbierała telefony. Nie udzielajcie nikomu żadnych informacji na temat pani O’Dare oprócz mojego adwokata. Myślę, że rozsądnie będzie jak najszybciej

powiadomić go o tym nieprzyjemnym wydarzeniu. Będę też wdzięczny, kiedy opíše mu pani szczegóły. A teraz poproszę do telefonu pielęgniarza Gibsona... W takim razie proszę go wezwać! – Doktor zaczął obgryzać paznokiec u lewego kciuka.

Po wysłuchaniu przemowy oburzonego pielęgniarza, doktor uspokajająco skomentował:

– Co za tupet! Wygląda na to, że został pan sprowokowany, panie Gibson. Jak tylko wrócę, skontaktujemy się z moim adwokatem, oskarżymy ich o obrazę, zniesławienie i potwarz... Tak, przyrzekam to panu. Ale na razie, wydaje mi się, że nie powinien pan zgłaszać sprawy na policję ani z nikim o niej rozmawiać. Przecież my nie chcemy nikogo zniesławiać. Wierzę, że mogę liczyć na pańską pomoc w tej trudnej sytuacji. Zgadza się pan?

Po drugiej stronie linii panowała cisza.

– To się panu opłaci – dodał zmęczonym głosem doktor.

Cisza.

– Dostanie pan tę pracę dożywotnio, panie Gibson.

– Czy otrzymam to na piśmie? – zapytał pielęgniarz.

Jak wiele biur prawniczych w Lincoln's Inn, tak i gabinet Williama Owena, specjalisty od spraw finansowych, był załadowany papierami i książkami. Prawnik siedział za obłożonym biurkiem. Był to potężny mężczyzna o ziemistej cerze i silnie skręconych, szarych włosach. Obok niego siedział jego konsultant do spraw księgowości, Richard Fraser, który specjalizował się w defraudacjach. Miał zaróżowione policzki i poważną, młodą twarz chłopca z chóru kościelnego.

Miranda, siedząca naprzeciwko biurka pomiędzy Annabel a Samem, poczuła się bardzo zmęczona. Bolała ją głowa.

Odezwał się pan Owen:

– Z państwa słów wnoszę, że chcecie zgłosić trzy oddzielne skargi. Pierwsza to prawdopodobnie bezpodstawne umieszczenie waszej babki w domu opieki. Druga to sprzeniewierzenie pieniędzy powiernictwa. Trzecia, możliwy zakup akcji SUPPLYKITS przez osoby, w tej chwili nie znane, instruowane przez Adama Granta, za pieniądze, które prawnie nie należą do kupującego, ale do powiernictwa Dove.

– Czy nasza babka może zaskarżyć dom opieki? – zainteresowała się Annabel.

Pan Owen uniósł brwi i spojrzał na pytającą znad okularów. Jego mina nie wróżyła nic dobrego.

– Nawet przed poznaniem wszystkich faktów powiem państwu, że aby odzyskać choćby niewielką sumę, byłibyśmy zmuszeni do żmudnej pracy, trwającej co najmniej dziesięć lat. Nie doradzałabym takiej straty czasu i energii.

– Co z przywłaszczeniem pieniędzy powiernictwa? – zapytała Miranda.

– Z pewnością jego członkowie muszą rozliczać się z każdego wydatków? – dodała Annabel.

Miranda potrząsnęła przecząco głową.

– STG przestrzegало mnie, że Adam i Paul Littlejohn działają prawdopodobnie jeszcze w obrębie prawa, więc nikt nie może legalnie zakwestionować poczynań zarządu.

– Ale dlaczego nie możemy zmusić Adama do odpowiedzi na nasze zarzuty? – denerwowała się Annabel. – To on kierował założeniem powiernictwa.

– Jeżeli Adam Grant nie chce udzielić wam informacji – wyjaśnił pan Owen – jako beneficjanci powiernictwa macie prawo zgłosić się do sądu z prośbą o sprawdzenie powiernictwa. Ale przypuszczalnie zajmie to sporo czasu.

Richard Fraser pochylił się do przodu.

– Z tego, co mówicie, wynika, że całą operację przygotowywano dokładnie już od lat. Jeśli tak, wydatki znajdą swoje potwierdzenie w fikcyjnych dokumentach, na przykład inwestycje w towarzystwach, które upadły, lub w akcje, które spadały na łeb na szyję. Prześledzimy, dokąd trafiła każda suma po opuszczeniu konta bankowego powiernictwa Dove. Ale jeśli w grę wchodzi oszustwo, ta gotówka natychmiast została przeniesiona na rozliczne konta w bankach szwajcarskich, niemożliwych do ustalenia.

William Owen ponownie spojrzął znad okularów.

– Prawdopodobnie tylko Adam Grant wie, gdzie znajdują się te pieniądze. Podejrzewam, że ma to gdzieś zapisane, nikt nie jest w stanie zapamiętać skomplikowanych procedur dotyczących transferu gotówki. Najpewniej jednak dobrze ukrył te notatki. Może zapisał je w jakimś sekretnym kalendarzyku, takim, który mieści się w kieszeni albo który można schować w skrytce bankowej. Gdybyście zdobyli te notatki, moglibyśmy zwrócić się do policji, jednak bez tych dowodów nie ma sensu zawracać im głowy. Mimo to radzę państwu już teraz zwrócić się do odpowiednich władz, byście w momencie, kiedy w wasze ręce dostaną się jakieś dowody, mogli natychmiast podjąć działanie.

– To znaczy, że musimy tylko wydostać od Adama jego notatki? – upewniła się Annabel.

– Nie łudźmy się, że poda je nam na talerzu – rzuciła z goryczą Miranda.

Richard Fraser zaprowadził obie siostry i Sama do nowoczesnego budynku w pobliżu Victorii – bazy działu do walki z oszustami gospodarczymi – i tam przedstawił ich detektywowi Walterowi Piperowi. Ubrany w granatowy garnitur w jodełkę i drogą jasnoniebieską koszulę, detektyw wyglądał raczej jak młody bankier, a nie policjant. Miranda streściła mu całą historię, a on w tym czasie robił notatki. Kiedy skończyła, powiedział:

– Z tego, co pani mówi, plus moje domysły oparte na innych, podobnych przypadkach, mamy do czynienia z taką oto sytuacją. – Uważnie odczytał zapiski. – W lipcu 1965 STG założyło zagraniczne powiernictwo na Bermudach prowadzone przez tamtejszych księgowych. Opiekunem powiernictwa został Paul Littlejohn, wspólnik STG. W tym samym czasie Elinor O’Dare powierzyła prawo reprezentowania swoich spraw w razie jej śmierci adwokatowi Adamowi Grantowi z STG. Przypuszczalnie scedowanie praw zakładało kierowanie się przepisami obowiązującymi na Bermudach, a nie w Anglii.

Pani O’Dare podpisała też zobowiązanie zwalniające Adama Granta i STG z odpowiedzialności za inne działania przez nią podejmowane.

W marcu 1967 Grant opuścił STG i założył własną firmę. Elinor O’Dare przeniosła prawa z STG na nowe biuro Granta. W lutym 1968 Paul Littlejohn, prawdopodobnie wspólnik Adama w oszustwie, zrezygnował ze stanowiska w STG i założył własną firmę na Bermudach, do której przeniósł powiernictwo Dove. Jako opiekun, Littlejohn miał prawo usunąć dotychczasowych członków zarządu i zastąpić ich nowymi.

W lutym 1968 pani O’Dare w związku z domniemaną paranoją została poddana leczeniu w domu opieki Lorda Willingtona. Na tej podstawie Paul Littlejohn, wykorzystując przysługujące mu prawa adwokata pani O’Dare, mógł przejąć jej majątek, łącznie z domem we Francji. Od tej chwili obaj oszuści po prostu ciągnęli z niej pieniądze, jak ze studni bez dna. Paul Littlejohn zarządzał zarówno powiernictwem Dove, jak i osobistym majątkiem pani O’Dare, a Adam Grant prawdopodobnie zarządzał Paulem Littlejohnem.

Wygląda też na to, że Adam Grant, dyrektor SUPPLYKITS, wszedł w posiadanie czterdziestu sześciu procent akcji tego towarzystwa, przypuszczalnie za fundusze powiernictwa Dove. Mamy możliwość prześledzenia ostatnich zakupów i jeśli opłacano je pieniędzmi powiernictwa, to akcje należą prawnie do niego. Jeśli okaże się, że zdefraudowano jeszcze inne sumy, to powiernictwo może zażądać reszty akcji należących do Granta.

Kiedy inspektor Piper skończył, Miranda zapytała krótko:

– Kiedy zaczynamy?

– Proszę skontaktować się z pośrednikiem do spraw wydawniczych pani O'Dare i upewnić, że żadne dodatkowe prerogatywy nie są cedowane na powiernictwo Dove, dopóki nie zostanie ono sprawdzone. Do czasu stwierdzenia, że zostało naruszone prawo, nie możecie uczynić wiele więcej.

– Czy wolno nam złożyć sprawę do sądu?

– Nie, dopóki nie znajdziecie niepodważalnych dowodów, ponieważ w sześćdziesiątym szóstym, kiedy wasza babka zgodziła się na założenie powiernictwa, podpisała też papiery, w których życzyła sobie, by ani Adam, ani STG nie zajmowało się już jej sprawami i zdjęła z nich tym samym odpowiedzialność za dalsze jej poczynania. Dobrowolnie też podpisała zgodę na pozostanie w domu opieki. Więc gdzie jest przestępstwo? – Inspektor wzruszył ramionami. – Jednak poszukam w naszych archiwach, czy pan Grant nie dopuścił się w przeszłości podobnych oszustw.

– Co mamy zrobić, jeśli zdobędziemy dowody? – zapytał Sam.

– Natychmiast je nam przekażcie. Zawsze znajdzie się ktoś, kto od razu wejdzie do akcji.

Miranda zanurzyła się w fotelu, stojącym w jej jasnoszarym saloniku. Była wykończona. Czowała, że za chwilę jej głowa rozpęknie się na kawałki.

– Obsłużcie się sami – słabo machnęła dłonią w stronę tacy z alkoholami. – Staralam się myśleć, ale nie mam pojęcia, gdzie Adam może ukrywać swój notes. To może być każde miejsce.

Sam nalał sobie sporą porcję whisky.

– Nie każde, ponieważ notatnik jest cenny. Gdzie schowałyby dwudziestokaratowy, białoniebieski brylant? Na pewno nie w byle jakim miejscu.

– Wątpię, żeby nosił go przy sobie – zastanawiała się Miranda.

– Co by się stało, gdyby zdjął marynarkę, a notes wypadł...? Poza tym jakiś złodziej kieszonkowy mógłby mu go podwędzić. Podobnie nie byłby bezpieczny... kiedy Adam idzie spać.

– Czasami prosił mnie, żebym przyniosła mu coś z kieszeni. Wiecie: papierosy, kluczyki, takie tam szpargały. Gdyby chował tam coś cennego, z pewnością nie pozwalałby mi tam zaglądać – przypomniała sobie Annabel.

– A może złożył notatnik w skrytce bankowej? – Miranda zwróciła się do Sama.

– Niezbyt prawdopodobne – sprzeciwił się. – Myślę, że musi go mieć pod ręką, żeby bezzwłocznie dokonywać transakcji.

– Nie trzyma go też w biurze w SUPPLYKITS – myślała na głos Miranda. – Ze względu na drobne kradzieże zabroniliśmy pracownikom przechowywać cenne przedmioty w biurkach.

– A może zamknął go w sejfie w gabinecie? – odpowiedział Sam.

– Nie, bo jedyny sejf w firmie znajduje się w księgowości – wyjaśniła Miranda.

– Jest to nasz ostateczny środek zabezpieczenia i używamy go tak rzadko, jak to tylko możliwe.

– Adam ma sejf w mieszkaniu – zauważyła Annabel. – Nie jest jakoś specjalnie ukryty. Wbudowano go w ścianę okienną w pokoju gościnnym, za kotarą... O, Boże, oddałam mu swoją biżuterię, żeby ją tam schował, i nie odebrałam jej od niego!

Miranda uśmiechnęła się ponuro.

– Miejmy nadzieję, że jeszcze tam jest. Ja też widziałam ten sejf. Adam trzyma w nim pieniądze, ale nie duże sumy, i kilka cennych drobiazgów: złotą cygarniczkę ojca i temu podobne przedmioty. Na zeszłoroczne święta podarowałam mu zegarek od Cartiera i Adam też schował go do sejfu. Zauważyłam, że nigdy tego zegarka nie nosi: zawsze zakłada tę swoją starą Omegę.

– Może notatnik znajduje się w jego domu, ale nie w sejfie? – rzucił następną propozycję Sam. – Pewnie w jakimś pokoju, do którego nie mają dostępu obcy: sypialnia albo łazienka. I prawdopodobnie ukrył go w czymś trudnym do poruszenia, a nie na przykład w jakiejś walizce, którą można by wynieść.

Po chwili ciszy odezwała się Annabel:

– Zdaje się, że wiem, gdzie to jest.

Miranda i Sam spojrzeli na nią z zaciekawieniem.

– Naprawdę. Kilka tygodni temu, kiedy Adam wyszedł do pracy, zostałam w łóżku i rozwiązywałam krzyżówkę. Potrzebowałam gumki, niezbyt dobrze radzę sobie z krzyżówkami, więc podeszłam do georgiańskiego sekretarzyka stojącego naprzeciwko kominka. Kiedy wysuwałam szufladę, do sypialni wszedł Adam, czegoś zapomniał. Bardzo się zezłościł, że grzebię mu w sekretarzyku. Ale gdzie miałam szukać gumki, jak nie tam? Nie miałam zamiaru szperać po szufladach, rozumiecie.

– Ten notes czy kartka z wykazem nie leżałyby luźno w szufladzie – stwierdził Sam.

– A co sądzicie o skrytce? – zasugerowała Annabel.

Miranda kiwnęła głową.

– Każde porządne osiemnastowieczne biureczko posiada jedną lub więcej sekretnych szuflad, bo w tamtych czasach nie mieli jeszcze ściennych sejfów.

– Pamiętasz, jak babcia pokazywała nam, w jaki sposób zmierzyć linijką głębokość szuflady? Każda, która jest płytsza niż szerokość biureczka, prawdopodobnie zawiera skrytkę.

– Myślę, że w łazience też znalazłoby się sporo miejsc odpowiednich do ukrycia notatnika – zastanowił się Sam. – Jak możemy się tam dostać?

– Chcesz powiedzieć... – zaczęła zaskoczona Miranda.

– Czy uda się nam włamać do jego mieszkania? – pytał niecierpliwie Sam. – Kto w nim przebywa? Jakie są zabezpieczenia przeciwko złodziejom?

– Apartament jest położony na dwóch najwyższych piętrach w starym budynku przy Cadogan Place – poinformowała Miranda. – W drzwiach zainstalowano podwójne zamki i łańcuch, na oknach znajdują się zasuwane żelazne kraty. Podejrzewam, że istnieje jakiś dostęp przez dach, ale założę się, że jest zamknięty.

Cichym głosem odezwała się Annabel:

– Nie ma potrzeby się włamywać. Nadal mam jego klucze. Adam myśli, że jestem w ośrodku wypoczynkowym. Z jego punktu widzenia nasza znajomość jeszcze się nie skończyła.

– Koń trojański! – zawołał rozpromieniony Sam. – Jaka pora jest najodpowiedniejsza, żebyś tam poszła? Kiedy na pewno nie będzie go w domu?

– To proste – z tryumfem rzuciła Miranda. – Jutro o dziewiątej odbędzie się w Connaught Rooms walne zebranie SUPPLYKITS. To kilometry od Cadogan Place. Adam musi się zjawić na tym spotkaniu. Odgrywa na nim najważniejszą rolę.

Rozdział 29

Angus Maclayne podniósł kołnierz grubego palta i pospiesznie zbiegł po schodach prowadzących z VC10. Miał już godzinne spóźnienie. W Londynie jest prawie tak zimno, jak w Nowym Jorku, pomyślał, tłumiąc ziewnięcie.

Mimo że w Londynie była teraz ósma rano, w Nowym Jorku wybijała dopiero trzecia w nocy. Angus, który nie potrafił spać w samolocie, przejrzał notatki z międzynarodowej konferencji do spraw bankowości, z powodu której musiał wracać zaraz do Nowego Jorku.

Zmęczonym krokiem szedł po skrzypiącym śniegu do lotniskowego autobusu, wypełnionego zatechłym odorem dymu papierosowego. Chociaż ze względu na pośpiech miał przy sobie tylko niewielki bagaż podręczny, natknął się na kilku celników i dochodziła już ósma czterdzieści pięć, kiedy dobiegał do swojego czarnego Daimlera, czekającego na niego przy wyjściu z terminalu; nadal jednak miał czas, żeby zdążyć na zgromadzenie.

Głos Marii Callas – *In mia man' alfin'tu sei* – rozbrzmiewał w różowej kuchni Klary, wypełniając ją namiętymi dźwiękami. David odsunął od siebie talerz, chociaż uszczknął z jedzenia tylko niewiele.

– Klaro, chciałbym, żebyś usiadła i poważnie ze mną porozmawiała.

– Jeżeli ludzie trują się i na rowerach przedzierają przez zaspę tylko po to, żeby kupić mój chleb – wyjaśniła, zawiązując fartuch – nie zamierzam ich zawieść.

– Ale ten twój cholerny mąż znów pojawi się tu dziś wieczorem! Chcę, żebyś mi odpowiedziała, zanim on wróci!

Klara z miłością popatrzyła na mężczyznę, ale w jej wzroku błyszczała także determinacja. Odezwała się cicho:

– Może będę mogła odpowiedzieć ci wieczorem, a może nie. Jesteśmy ze sobą od dwóch lat, wspólnie jemy, dzielimy się swoimi nadziejami, kłopotami, moim synem i łóżkiem. Przez cały ten czas czuję, że cię kocham – nawet wtedy, gdy masz te swoje „trudne” nastroje, kiedy nie chcesz ani mnie, ani nikogo innego. Kocham cię, i ty o tym wiesz. I ja wiem, że ty mnie kochasz, choć czasami na to nie wygląda.

– W takim razie, dlaczego nie chcesz powiedzieć, że za mnie wyjdiesz?

– Ponieważ przez cały czas, odkąd jesteśmy razem, nigdy nie poczułam, że jesteś tak naprawdę mój. Jesteś jak nie do końca udomowione zwierzę –

miesiącami obok mnie i nagle w jednym dniu – nie ma cię! Wracasz do swojej dziczy albo do jakiegoś innego miejsca, do którego ściągną cię te twoje demony... Teraz obawiasz się, że mnie stracisz, i nie chcesz tego, i to mnie cieszy. Ja też nie chcę, żebyś mnie utracił, niemniej nie mogę się zgodzić na twoje ultimatum. Jest zbyt wiele spraw, które muszę wziąć pod uwagę. Ty i nasza miłość to dla mnie ogromnie ważne, ale przez ten czas, kiedy ty decydowałeś się, jaką obrać drogę, ja stałam się silniejsza, bardziej siebie pewna, przekonana, że sama muszę decydować o tym, co jest dla mnie najlepsze. Potrzebuję czasu, aby podjąć decyzję. Nie mogę tego zrobić w jeden wieczór.

– W porządku. Ile ci to zajmie?

– Nie wiem. Może nastąpi to jutro, ale może będę potrzebowała więcej czasu. Może tydzień albo wiele dłużej. Tak jak ty jednak uważam, że jest to ważne – dlatego nie będę się spieszyła. Mam nadzieję, że dasz mi czas, który będzie mi potrzebny, i nie będziesz na mnie naciskał. A także mam nadzieję, Davidzie, że rozumiesz i wierzysz, że naprawdę bardzo cię kocham.

– Jak mam w to uwierzyć, kiedy nie chcesz się zgodzić?

– Wiesz, że uwielbiam z tobą przebywać, uwielbiam robić z tobą różne rzeczy, chcę się uczyć od ciebie. A już najbardziej lubię się z tobą kochać. – W oczach Klary pojawił się rozmarzony wyraz. Objęła się ramionami. – Nie wyobrażam sobie nic wspanialszego, jak pieścić się z tobą, przykryta kołdrą, w naszym łóżku na górze, kiedy na zewnątrz pada śnieg. Może jeszcze bardziej wspaniałe uczucie wzbudza we mnie przebudzenie się w środku nocy i wyciągnięcie do ciebie ręki. Czuć ciebie obok, takiego ciepłego.

– Wiec jak się będziesz czuła, kiedy obudzisz się i to ciepło będzie płynęło od Sama? Musisz zdecydować, czy chcesz mnie, czy tego supermana o kwadratowej szczęce, który przedziera się przez życie używając pięści.

Klara zawahała się. Zachowanie Sama, zdecydowane i odważne w trakcie ratowania Elinor, bardzo jej zaimponowało. Teraz, kiedy walczyło o nią dwóch mężczyzn, czuła się jak średniowieczna dama. Ku jej własnemu zaskoczeniu i zasmuceniu agresywna rywalizacja Davida i Sama napawała ją poczuciem tryumfu i siły. Brzydziła się swoimi reakcjami, ale sytuacja budziła w niej dreszczyk podniecenia.

Odwracając się od pieca, wymownie spojrzała na Davida i powiedziała:

– Nie chodzi tu tylko o nas.

– Josh mnie lubi, wiesz, że tak jest, i ja czuję to samo do niego – oświadczył. – Szczerze mówiąc, było mi przykro, gdy on...

– Pobiegł do własnego ojca? Mnie też zignorował – zauważyła Klara z irytacją.
– Obojętne, co o tym sądzimy, Samowi się to należy. Josh go kocha. I cieszy mnie, że jest w stosunku do niego lojalny, chociaż czasami sprawia mi to ból.

– A więc to Josh zdecyduje, z kim spędzisz resztę życia? – zakpił David. – Co się stanie za jakieś dwanaście lat, kiedy cię opuści, nie oglądając się za siebie, dla grania w jakimś zespole w college'u, albo wyjedzie, powiedzmy, do Indii z grupą znajomych? Jak się wtedy będziesz czuła, budząc się w nocy i szukając obok siebie czyjegoś ciepła?

Klara usiadła gwałtownie na krześle. Właśnie to, o czym mówił David, utrudniało jej podjęcie decyzji. Co jest jej obowiązkiem? Opieka nad Joshem? I ku komu kierowało się jej serce? Ku Davidowi? A co się stanie, jeśli wróci do Sama i znowu im nie wyjdzie? W mgnieniu oka przypomniała sobie, jak wyglądało jej życie przed pojawieniem się Davida.

Nie, wołała o tym nie myśleć! Już nigdy, ale to nigdy nie przytrafi się jej taka udręka. Nie pozwoli sobie na popuszczenie cugli, żeby ktoś inny nią kierował. Przeklęłaby samą siebie, gdyby dopuściła, by Sam, David albo ktokolwiek miał wpływ na to, co ona robi.

Zresztą nie wierzyła, że Sam się zmienił.

Ale po co w takim razie zadał sobie trud i przyjechał do niej? Przeleciał pół świata – niezaprzeczalnie poświęcając się, a Klara wiedziała, że jego życie jest bardzo systematycznie ułożone – by pomóc jej w rodzinnych kłopotach i by się z nią spotkać. Rzeczywiście wyglądało na to, że miał poważne zamiary.

Czując niezdecydowanie, zmieszana powiedziała:

– To na nic się nie zda. Argumenty za i przeciw przewalają mi się w głowie i ciągle wracam do punktu wyjścia.

David zasunął zamek wiatrówki. Z krzesła za sobą podniósł rękawiczki z owczej skóry i płaską tweedową czapkę.

– Daj mi znać, kiedy się zdecydujesz.

– Wrócisz wieczorem? – upewniła się z niepokojem. Odsunęła krzesło i pobiegła za nim.

Mężczyzna zatrzymał się z wahaniem. Wiedział, że powinien powiedzieć „nie”, że wróci tylko wtedy, kiedy ona zgodzi się za niego wyjść. Z drugiej jednak strony ten sukinsyn Sam wprowadzi się tu jak jakaś oślizła, przebiegła jaszczurka.

– Zobaczą, jaka będzie pogoda, kiedy skończę pracę – rzucił.

Wyszedł bez pożegnalnego pocałunku.

Szofer na wpeł odwrócił się do Angusa.

– Przykro mi, sir, ale zapowiada się, że trochę tu postoiemy. – Daimler utknął w korku na Hammersmith Broadway.

Za oknem padał śnieg. Angus z irytacją popatrzył na falę trąbiących, zastygłych pojazdów, do których następne dołączały z pięciu różnych stron.

– Szybciej dotrę do Holborn metrem – zdecydował. – Ty pojedź do Connaught Rooms i czekaj tam na mnie.

Z walizką w ręku ślizgał się i potykał na poszarzałej mazi. Omijając samochody, ciężarówki i taksówki szedł w stronę niebieskiego znaku wiszącego nad wejściem na stację. Nie był już pewien, czy uda mu się dotrzeć na zebranie na czas. Zastanowił się, czy może warto zaproponować piątką jakiemuś motocykliście, żeby zawiózł go na miejsce. Oni nie mieli problemu z przedarciem się przez korek. Jednak zrezygnował z pomysłu – lepiej później niż wcale – i pobiegł do kasy po bilet.

Za piętnaście dziesiąta Adam szedł odśnieżonym chodnikiem na Cadogan Place, żeby po chwili pochylić się do swojego czarnego Porsche'a.

Annabel, ubrana w czarną kominiarkę i sięgające kostek futro z wilka, poczekała, aż Porsche odjedzie, po czym skręciła w Pont Street.

Wysiadła z nie rzucającego się w oczy szarego BMW, które wypożyczył Sam, i przecinając mokrą ulicę podeszła do starego budynku z czerwonej cegły, który nagle wydawał się taki nieprzystępny. Przekręciła klucz i czarne drzwi od wejścia głównego otworzyły się do połowy.

Dlaczego nie? Adam nie miał powodów, by wymieniać zamki, podtrzymywała się na duchu Annabel, popychając staromodne, poprzedzone żelazną kratą drzwi do windy.

Bez przeszkód otworzyła też drzwi do mieszkania. Weszła na palcach do holu, zostawiając za sobą na granatowym dywanie mokre plamy.

Ciemna postać rzuciła się w jej kierunku z podłogi.

Zaalarmowana, odskoczyła na bok. Ale to była tylko Pitch, duża kotka Adama. Pokazując pazury, wyprężyła się przy szkarłatnych butach wchodzącej. Annabel pochyliła się, by pogłaskać zwierzę po jego aksamitnym łebku i uspokoić słowami. Podniosła głowę. Cisza wydawała się zatrważająca.

Przed sobą miała świeżo odnowiony pokój gościnny, który rozciągał się przez całą szerokość mieszkania, z oknami po obu stronach. Po jej lewej stronie znajdowała się jadalnia, a po prawej kuchnia.

Apartament Adama sprawiał wrażenie eleganckiego, dobrze utrzymanego, bezosobowego, tak jak jego właściciel. Dekorator wykonał dobrą robotę – ściany starannie pomalowano w kolorach śliwki, gruszki i na szaroniebiesko, a dywan i obicia były granatowe. Wschodnie antyki mieszały się z przedmiotami z modnego przezroczystego plastyku, z nadmuchiwanymi fotelami i białymi stołami.

Nagle z góry doszedł ją odgłos odkurzacza.

Annabel wzdrygnęła się. Pewnie pani Price sprząta sypialnię. Jaka szkoda, pomyślała, tam znajdował się georgiański sekretarzyk. Annabel wyobrażała sobie, że przeszuka go natychmiast po dostaniu się do mieszkania.

Ponieważ uważała, że sekretarzyk jest najbardziej prawdopodobnym miejscem ukrycia notesu, nie miała ochoty na sprawdzanie innych sprzętów. Ale może powinna zajrzeć do pokoju gościnnego, w czasie gdy pani Price zajęta jest w sypialni? A może lepiej zrobi, idąc prosto na górę, pogwizdując, i użyje jakiegoś wykrętu, żeby pozbyć się sprzątaczkę?

Zdecydowała się na drugi pomysł. Z determinacją odwróciła się w prawo, w stronę klatki schodowej.

Na szczycie schodów potknęła się o Pitch, która przysiadłszy na granatowym dywanie stała się niemal niewidoczna. Kotka strzeliła złotymi oczami w jej kierunku, jakby znała zamiary intruzki i chciała bronić terytorium swego pana.

Annabel weszła do sypialni i dostrzegła szerokie plecy pani Price, która zbierała z podłogi kawałki białej porcelany. Sprzątaczkę wyprostowała się, obróciła i pisnęła na widok Annabel.

– Och, *madame*, nie miałam pojęcia, że pani wróciła. Pan Grant nic mi nie mówił. Ten bezczelny, niezdarny kot właśnie zrzucił popielniczkę.

– Pan Grant nie wie, że przyjechałam – poinformowała Annabel wesołym tonem. – W Norfolk, w ośrodku zdrowotnym było tak zimno, że postanowiłam wrócić do miasta.

– Miała pani szczęście, że się tu pani dostała, *madame*. W porannych wiadomościach mówili, że na południowym wschodzie Anglii były straszne zamiecie.

– Tak, okropne – potwierdziła szybko Annabel.

– Musiała pani bardzo wcześnie wyjechać, *madame*. Chyba jeszcze przed szóstą, przed wschodem słońca.

– Tak, jednak pociąg przyjechał na czas. – Annabel miała ochotę powiedzieć: Wynoś się.

– Czy mam panią rozpakować?

– Jestem taka zapominalska, że zostawiłam walizkę w pociągu – odpowiedziała ze śmiechem Annabel, po czym ubarwiła swoje kłamstwo. – Już dzwoniłam do biura rzeczy zaginionych... Na szczęście konduktor przekazał im mój bagaż. Mam się po niego zgłosić dziś po południu.

– Ależ kłopot, *madame*. Czy mam pójść po bagaż zamiast pani? Albo może zadzwonię do sekretarki pana Granta. Ona już zadba, by odebrano walizkę.

– Jesteś bardzo miła – podziękowała Annabel. – Ale... e... e... rozumiesz, muszę osobiście podpisać jej odbiór i pokazać dokumenty. Udowodnić, że bagaż należy do mnie. – I dodała stanowczo: – Na razie muszę wziąć gorącą kąpiel.

– Jeszcze nie sprzątnęłam łazienki, *madame*.

– Odlóż to, proszę, do jutra. Pokój też. – Annabel odzyskała pewność siebie. Dlaczego w ogóle była tak przestraszona?

– Czy mam pani wysuszyć buty, *madame*? Wyglądają na przemoczone. Trzeba je wypchać gazetami.

– Dziękuję. Zrobisz to po mojej kąpieli.

– Przygotuję herbatę, żeby się pani rozgrzała.

Idź już! Idź już! – krzyczała w myśli Annabel, ale na głos powiedziała spokojnie: – Nie, dziękuję, pani Price, to wszystko, czego od pani potrzebuję.

Nie drgnęła nawet, dopóki sprzątaczką nie znalazła się na dole. Zaraz potem podbiegła do drzwi i zamknęła je na klucz. Rzuciła futro na podłogę. Weszła do łazienki i zakorkowała wannę, po czym zajęła się przygotowaniem kąpieli. Podczas gdy wanna napełniała się wodą, ona mogła wyciągać szuflady, nie będąc słyszana.

Sypialnia Adama leżała tuż nad kuchnią, a gabinet nad pokojem gościnnym. Sypialnia, tak jak i pokój na dole, rozciągała się na całą długość apartamentu; jedno okno wychodziło na Cadogan Place, przy nim znajdowała się część wypoczynkowa pokoju. Granatowe sofy otaczały dywanik ze skóry zebry, leżący przed marmurowym kominkiem, w którym teraz spokojnie tliły się polana. Na ciemnoniebieskich półkach, zawieszonych po obu stronach kominka, stała kolekcja tajskich wazonów.

Przy przeciwległej ścianie stał mahoniowy sekretarzyk z okresu Jerzego III. Kiedy chciało się uzyskać powierzchnię do pisania, należało opuścić ukośny blat; nad nim, za szkłem, stała kolekcja osiemnastowiecznych kieliszków.

Na drżących nogach Annabel podbiegła do tego cennego mebla.

Miranda miała na sobie prostą pomarańczową garsonkę, ale o nieco dłuższej spódniczce niż te, które zazwyczaj nosiła. Była nie tylko zdenerwowana, ale i

podniecona. Oczekując w holu Connaught Rooms zdążyła już zajrzeć do kremowego salonu i zobaczyć udziałowców SUPPLYKITS siedzących w rzędach. Niektórzy strzepywali śnieg z butów, inni czytali gazety. Dziennikarze mieli dużo okazji do żartów. Jednocześnie zasypywali się domysłami i plotkami – na Fleet Street domyślano się, co łączy Mirandę i Adama. Nagłówki gazet tego dnia brzmiały: WALKA O WŁADZĘ NAD ZARZĄDEM SUPPLYKITS („The Times”), MIRANDA VS. ADAM! („Daily Mail”), NOWY SZEFE SUPPLYKITS? („Daily Express”), i MIRANDO, NADSZEDŁ DZIEŃ NA MIŁOŚĆ („Daily Mirror”).

Miranda, którą pociągała perspektywa starcia, wiedziała, że będzie walczyła tak zażarcie, jak tygrysica o swoje tygrysiątka. Zapomniane KITS potrzebowało jej opieki, poświęcenia i uwagi. Musiała je pielęgnować, aż odzyska zdrowie.

Za plecami usłyszała głos lorda Brighton.

– Prawie czas na start, za pięć dziesiątą. – Powoli przeszli w stronę salonu.

– Mirando!

Odwróciła głowę na dźwięk swojego imienia.

Zaskoczona rozpoznała dzikie, czerwonozłote włosy i niemożliwą do pomylenia olbrzymią sylwetkę Angusa Maclayne'a, biegnącego w jej stronę.

– Angus! Co ty tutaj robisz?

– Myślałem, że nie zdążę – dyszał. – Przyjechałem na głosowanie.

– Ale przecież nie jesteś zarejestrowany jako udziałowiec!

Angus wykrzywił twarz w uśmiechu.

– Owszem, jestem.

– W jaki sposób? Dlaczego? – dziwiła się. – Nic nie rozumiem.

– Cały czas śledziłem twoje akcje. Nie podobało mi się, kiedy twój pakiet spadł do czterdziestu pięciu procent i straciłaś przewagę – wyjaśnił mężczyzna. – Więc zacząłem kupować.

– Jak dużo akcji posiadasz? – dopytywała niecierpliwie Miranda.

– Cztery przecinek osiem, co nadal nie daje ci przewagi... Miałem nadzieję uzyskać pięć przecinek jeden.

– Angus... w jaki sposób uzyskałeś cztery przecinek osiem procenta? Przecież...

Kiwnął głową.

– Highland Croft Company pośrednio należy do mojej firmy.

Miranda zarzuciła mu ramiona na szyję. Wymruczała w jego wilgotne palto:

– Angus, jesteś wspaniały! Kocham cię za to, że o tym pomyślałeś! Cztery przecinek osiem to tyle, ile mi potrzeba!

Stojący za nią lord Brighton chrząknął uprzejmie.

– Musimy wchodzić.

Kiedy pomarańczowa postać Mirandy pojawiła się na wzniesieniu, rozbłyśły flesze aparatów fotograficznych, a po sali rozeszły się szmery pełne zachwytu.

Idąc pewnym krokiem, czuła rosnącą w niej moc. Wyglądało na to, że głosowanie przebiegnie po jej myśli. Zacisnęła za plecami kciuki.

Usiadła obok lorda Brightona, ignorując siedzącego po drugiej stronie Adama Granta.

Annabel nie mogła zbyt wiele dostrzec za sekretarzykiem opartym o ścianę; nie zauważyła, żeby coś było do niego przytwierdzone. Opuściła pochyły blat, pokryty czarnym aksamitem. W głębi, na środku znajdowały się małe klasyczne drzwiczki z wyrzeźbionymi po obu stronach kolumnienkami i frontonem nad nimi. Na bokach drzwiczek znajdowały się otwarte półeczki, a pod nimi szuflady.

Trzęsącymi się rękami wysuwała każdą po kolei i kładła na granatowym dywanie – w takim porządku, w jakim je wyciągała. Musiała uważać, żeby odłożyć szuflady na to samo miejsce, inaczej Adam natychmiast domyśli się, że ktoś w nich grzebał.

Pożyczoną od Mirandy miarką wymierzyła każdą szufladę; wszystkie miały tę samą długość i tę samą głębokość. Cholera!

Zamknęła blat i uważnie przyjrzała się przepięknemu wzorowi, przedstawiającemu instrumenty muzyczne. Może, jeśli nacisnęłaby na jakąś część, uruchomiłaby ukryty mechanizm.

Nagle zdała sobie sprawę, że nie słyszy płynącej wody.

Poderwała się na nogi i pobiegła do łazienki.

Woda przelewała się i bez szmeru spływała na granatowy dywan.

Cholera! Jeśli choć jedna kropla przedrze się przez sufit, pani Price zjawi się na górze ze szczotkami i ścierkami i zobaczy szuflady rozłożone na dywanie.

Annabel, chlupocząc, podeszła do wanny. Szybko zakręciła kurki i wyciągnęła zatyczkę, to był błąd, że zatkała wannę. Rzuciła na podłogę wszystkie ręczniki, które znalazły się w zasięgu jej wzroku, dołączając szlafrok Adama, po czym stanęła na tej stercie, by nasiąkła wodą.

Jeszcze bardziej roztrzęsiona wróciła do biurka.

W połowie drogi zmieniła zdanie i szybko pobiegła z powrotem do łazienki. Odkręciła kurki nad umywalką, której już nie zakorkowała; odgłos płynącej wody nadal będzie potrzebny dla zagłuszania jej poczynań.

Spojrzała na zegarek. Do diabła! Dziesięć po dziesiątej. A jej trzęsły się kolana.

W kremowej sali udziałowcy spokojni, acz wyczekujący, przysłuchiwali się lordowi Brighton, kiedy ten wyłuszczał powód zwołania zgromadzenia. Panna Miranda O'Dare pragnie odzyskać kontrolę nad firmą kosmetyczną KTTS poprzez odseparowanie jej od sieci towarzystw, w które przekształciła się jej firma. Sklepy pod patronatem KJTS zaczęły przynosić straty, odkąd towarzystwa przeszły w ręce publicznych udziałowców. Z tego też powodu sprzedaż nie uderzy w towarzystwo holdingowe.

Jeśli udziałowcy zgodzą się na wycenę podaną przez niezależnych rzeczoznawców, panna O'Dare zapłaci tę sumę. Jeśli zostanie podjęta decyzja odmowna, panna O'Dare odejdzie z SUPPLYKITS po czasie wygaśnięcia jej kontraktu, czyli po trzech miesiącach.

Pan Adam Grant także zaoferował się kupić KTTS, za sumę dziesięć procent wyższą od każdej podanej przez pannę O'Dare.

Lord Brighton zakończył przemówienie uwagą, że wszyscy członkowie SUPPLYKITS ciężko pracowali, ale nikt ciężiej niż panna O'Dare, założycielka KITS. Jako „oblicze firmy” panna O'Dare jest kojarzona z dobrą jej kondycją i dlatego, jego zdaniem, SUPPLYKITS nie może sobie pozwolić na odejście panny O'Dare. Nie stać ich na utratę jej usług oraz publicznego *image'u*, związanego z jej obecnością w firmie. Tak samo nie mogą pozwolić, by panna O'Dare przeszła do innego, konkurencyjnego towarzystwa. Lord Brighton jest pewien, że jej odejście pociągnie za sobą spadek cen akcji.

Z tych też powodów proponuje, by udziałowcy odrzucili propozycję pana Adama Granta, a także, by docenili pracę panny O'Dare i przyjęli jej ofertę oraz zgodzili się na sprzedanie jej sieci kosmetycznej KITS za cenę podaną przez niezależnych ekspertów, czyli czternaście tysięcy funtów. Lord Brighton powtórnie zaapelował, by przyjęto ofertę panny O'Dare.

Annabel uważnie przesunęła rękami wzdłuż otworów po szufladach. Dotykała tyłu sekretarzyka, jego boków, dna, z nadzieją, że natknie się na ruchomy kawałek drewna – bardzo, bardzo powoli – ale nic takiego się nie zdarzyło.

Och!

U podstawy, po lewej stronie, dno poruszyło się nieznacznie. Annabel pchnęła je głębiej, po czym podważyła paznokciami.

Z łatwością uniosła cienki, drewniany panel.

Miała rację, że poszukiwania rozpoczęła od tego miejsca!

Powoli podniosła panel i pociągnęła do siebie. Na jego końcu znalazła doczepione pudełko, szerokie na dwadzieścia pięć centymetrów i głębokie na pięć.

Delikatnie przeciągnęła palcem po pokrywie: zaskrzypiała. Otworzyła wieko i zajrzała do wnętrza tajemnej skrytki.

Z drugiego rzędu podniósł się szczupły mężczyzna o żółtawych wusach.

– Panie prezesie, nie chwytam tego, co nam pan tu sugeruje.

– Czy mam rozumieć – zapytał lord Brighton – że jest pan przeciwny ofercie panny O’Dare?

– Nie, wręcz odwrotnie – stwierdził mężczyzna – ale zgodnie z pana własnymi słowami, wszyscy wiemy, jak ciężko pracuje panna Miranda – chciałem powiedzieć panna O’Dare – żebyśmy dostawali swoje dywidendy. Dlaczego nie mamy się jej odwdziaczyć bardziej, niż pan to sugeruje? Dlaczego po prostu nie oddamy jej KITS?

W sali zapanował hałas. Kobieta w beżowym płaszczu wstała i bez prośzenia o głos zauważyła, że panna O’Dare jest dobrze opłacana za swoją pracę. Osobiście, oczekiwała, że panna O’Dare będzie dawała z siebie wszystko dla firmy; sama pracuje ciężko jako kierowniczka kantyny i nikt nie robi jej za to prezentów wartych tysiące funtów, dlatego też sprzeciwia się tej propozycji. Usiadła w burzy oklasków.

Lord Brighton wyjaśnił sytuację, przypominając, że według przepisów żadna propozycja, która wcześniej nie została przedstawiona udziałowcom w formie listu, nie może być brana pod uwagę.

Annabel wpatrywała się w zawartość pudełka: w zniszczoną, srebrną sześciopensówkę z czasów króla Edwarda III. Wyraźnie Adam nie wiedział o istnieniu skrytki. Moneta przeleżała w niej zapewne jakieś dwieście lat.

Ogarnęło ją zniechęcenie. Przysiadła, opierając się na piętach i spojrzała na zegarek. Już dziesiąta czterdzieści pięć. Popatrzyła na biurko. Czy powinna dalej je przeszukiwać?

Przesunęła wzrok nieco wyżej. Może coś się kryje za frontonem nad drzwiczkami; coś mogło być też przyklejone pod spodem blatu.

Przyciągnęła krzesło i stanęła na nim. Badawczo przesunęła palcami po wierzchu półki. Opuściła zakurzoną rękę; widać wyraźnie, że pani Price odkurza

tylko na wysokości swojego wzroku.

Zeskoczyła z krzesła i położyła się na podłodze, by zajrzeć pod mebel. Nie mogła nic dostrzec, więc wsunęła dłoń; gdyby Adam wepchnął tam notatnik, z pewnością by go wymacała.

Ponownie zawiedziona, przykucnęła i zaczęła przyglądać się klasycznym drzwiczkom z kolumnkami po obu stronach.

Za nimi znajdowały się dwie półeczki, a na samej górze mała szufladka, zbyt płytka, by zmieściły się w niej inne przedmioty niż karty wizytowe i pierścionki. Annabel delikatnie ją wysunęła: w środku znalazła jedynie pogięty, stary i wyblakły pięćofuntowy banknot.

Zagryzła usta. Była tak przekonana, że Adam ukrył notatki właśnie w tym sekretarzyku! Zanim wsunęła szufladkę na miejsce, sprawdziła ręką wnękę po niej, naciskając na wszystkie ścianki; nic nie usłyszała. Ale coś jej tu nie pasowało.

W tym momencie uświadomiła sobie, co powinna zrobić.

w Connaught Rooms lord Brighton, prezes zarządu, pilnował, by wypowiadali się ci, którzy zgłosili się wcześniej.

Następnie odbyło się głosowanie, a potem przeliczono głosy.

Pomieszczenie wypełniał gwar rozmów. Dziennikarze trzymali w pogotowiu otwarte notatniki. Uczestnicy przekazywali sobie szeptem uwagi. Napięcie rosło.

Adam spojrział na Mirandę, a ona na niego.

Uczestnicy głosowali na korzyść Mirandy. Niedużą przewagą głosów, ale to jej nie przeszkadzało, ponieważ mogła teraz odkupić KITS za czternaście tysięcy funtów. Decyzja zapadła.

Ale posiedzenie jeszcze się nie skończyło.

Annabel znowu przyglądała się maleńkim drzwiczkom wewnątrz sekretarzyka. Nie wyglądały na mocno osadzone, a powinny. Złapała za obydwie kolumny i pociągnęła je do siebie.

Albo zniszczy drogocenny antyk, albo...

Wstrzymała oddech i w tej samej chwili drzwiczki w całości poruszyły się w jej kierunku. To, co wyciągnęła, okazało się pudełkiem, szerokim na dwadzieścia pięć centymetrów i wysokim na jakieś trzydzieści; za nim pozostał otwór tych samych wymiarów.

Trzęsąc się z podniecenia, pchnęła tylną ściankę. W przerwie wyczuła dłońią

kilka małych przedmiotów.

Z niecierpliwością wyciągnęła je na zewnątrz: trzy małe, powyginane skórzane notesy i kopertę.

Kartki notatników pokrywało równe pismo Adama. W kopercie znalazła jakiś certyfikat i ręcznie napisany list.

Wstrzymując oddech, starając się skoncentrować nad tym, co robi, ostrożnie ustawiła na miejscu centralną część sekretarzyka, następnie, jedną po drugiej powsuwała małe szufladki.

Wtem usłyszała za sobą skrzypnięcie!

Drgnęła i sapnęła ze strachu.

Ale był to tylko odgłos pękającego polana.

Adam Grant, uczestniczący w WZ SUPPLYKITS, wstał z zaciśniętymi ustami, by zgodnie z zasadami złożyć rezygnację ze stanowiska dyrektora zarządu.

Rezygnacja została przyjęta.

Zebranie zakończono. Dziennikarze w rozpiętych płaszcach rzucili się w kierunku podwyższenia, na którym siedziała rozpromieniona Miranda.

Kiedy Annabel skradała się na dół, w drzwiach kuchni stanęła pani Price.

Widząc, że ma na sobie futro, zapytała:

– Czy *madame* wychodzi? W taką pogodę? – Z miotłą w ręku podeszła do schodów.

– Mam wizytę u fryzjera – tłumaczyła pospiesznie Annabel. – Nie miałabym odwagi odwołać wizyty u Leonarda, nawet z powodu chlapy! – Serce jej mocno waliło, kiedy dodała: – Obawiam się, że nabrudziłam trochę w łazience, pani Price. Powiem panu Grantowi, że to moja wina.

– Kto by się przejmował zalaną łazienką, *madame!* Panu Grantowi też to się kilkakrotnie zdarzyło. – Sprzątaczką stała już przy drzwiach wyjściowych.

Annabel powtarzała wściekle w myślach: – Odejdź mi z drogi. Proszę! Zejdź mi z drogi! Na głos, przestraszona, powiedziała:

– Czy mogłaby pani sprawdzić, czy dobrze zakręciłam wszystkie kurki? Chyba nie domknęłam tego nad umywalką. Tak mi głupio.

Pani Price pobiegła na górę. Nie chciała, by sufit w kuchni spadł jej na głowę.

Annabel precyzyjnie się przez drzwi i trzęsąc się czekała na windę. Bez przerwy naciskała na guzik. Nie słyszała, żeby dźwig wjeżdżał na górę. Cholera! Ktoś na dole musiał zostawić otwarte drzwi.

Pobiegła korytarzem do końca, potem w dół po zapasowych schodach. Wypadła na ulicę, kierując się do samochodu Sama, zaparkowanego przy zaśnieżonym żelaznym parkanie otaczającym ogród. Zanim dotarła do pojazdu, pośliznęła się na śnieżnej brei i niewiele brakowało, by się przewróciła.

Sam czekał na Annabel gryząc palce ze zdenerwowania. Siedziała w mieszkaniu Granta już dwie godziny, a nie miał możliwości sprawdzenia, kiedy zakończy się zebranie SUPPLYKITS. Wreszcie zobaczył ją biegnącą przez ulicę i z jej rozświetlonej twarzy domyślił się, że poszukiwania uwieńczył sukces. Szybko zapalił silnik i gdy tylko wskoczyła do środka, odjechali z piskiem opon.

Dojechali do biura adwokackiego zaraz po dwunastej w południe. Z niecierpliwością przyglądali się, jak duża, ciemnobrązowa fotokopiarka firmy Rank Xerox powoli powieliła każdą kartkę z czarnych notatników. Nad urządzeniem unosił się słaby zapach ozonu, który wydzielał się, gdy kartki przechodziły przez komorę oziębiającą. Widać maszyna należała do tych starszego typu.

– Nie można tego przyspieszyć? – denerwowała się Annabel, po czym dodała nerwowo: – Czy naprawdę muszę odnieść notatniki do mieszkania Adama?

– Jeśli zależy nam na bezpieczeństwie, tak – potwierdził z żalem Sam. – Nie chcemy, by Adam dowiedział się, że zginęły. Gdyby się domyślił, że mamy wystarczające dowody, by posłać go do więzienia, bezzwłocznie ściągnąłby resztę pieniędzy, zatarł za sobą ślady i czmychnął.

Annabel niespokojnie gryzła paznokcie, ale nagle przypomniała sobie, że miała być u fryzjera. Podeszła do nadłuczonego lustra wiszącego w obskurnej szatni i zaczęła czesać przyklepane przez kominiarkę włosy. Ułożyła z nich gęstą lwią grzywę. Mogła teraz rywalizować z Baby Jane Holzer. Pani Price bez wątpienia zauważy różnicę.

Z bijącym sercem Annabel otworzyła wejściowe drzwi do mieszkania Adama. Z pokoju gościnnego doszedł ją głos spikera radiowego czytającego wiadomości. Adam był już w domu. Bliska omdlenia weszła do pokoju.

– Gdzie się, do cholery, podziewałaś? – zawołał ze złością. Siedział w jednym z przezroczyстых, nadmuchiowanych foteli, trzymając w ręku szklaneczkę z whisky.

– Napisałam ci przecież. Pojechałam do ośrodka wypoczynkowego St. Ivory.

– Napisałaś tylko, że jedziesz do ośrodka, ale nie podałaś do którego – wyklócał się Adam. – A gdyby ktoś chciał się z tobą skontaktować? Gdyby na przykład coś złego przytrafiło się twojej babce?

– Przepraszam – rzuciła Annabel. – Po prostu nie przyszło mi do głowy... – zamilkła.

– No dobrze już, ale się pospiesz, bo kazałem pani Price podawać obiad. – Popędził ją, nie całując nawet na przywitanie.

Zastanawiała się, czy zdoła przeżyć czas posiłku, wiedząc, że dowód jej kradzieży leży kilka metrów od niej, w jej szkarłatnym skórzanym worku. Postanowiła, że od razu odłoży notesy na miejsce. Będzie to ryzykowne, ale Adam właśnie przyrządził sobie świeżego drinka, a ona załatwi to w ciągu kilku minut – Zdejmę tylko buty, bo są przemoczone – rzuciła.

Zabierając ze sobą torbę, pobiegła na górę do łazienki. Kiedy stanęła na szczycie schodów, czuła paralizujący strach. Kolana zamieniły się w trzęsącą galaretę.

Zamknęła drzwi sypialni, ale nie odważyła się przekręcić klucza w zamku. Szybko się poruszając, otworzyła ukośny blat i ostrożnie wyciągnęła centralną część sekretarzyka.

Roztrzęsionymi rękami rozpięła torbę, wyjęła notatniki i kopertę, po czym położyła je na miejsce. Wsunęła z powrotem pudełko i zamknęła blat.

Odetchnęła z ulgą, ale zaraz wpadła w przerażenie, kiedy odwróciwszy się zobaczyła Adama stojącego w drzwiach i przyglądającego się jej.

– Szukasz znaczków? – zapytał słodko. – Druga szuflada po lewej stronie. Przyniosłem ci campari z wodą sodową. Wolisz więcej campari czy wody? I pospiesz się, kochanie. Pani Price zaczyna gderać. Wiesz, że wychodzi zaraz po trzeciej.

– Obawiam się, że miała męczący poranek. Zalałam wodą całą łazienkę. – Starając się opanować zdenerwowanie, Annabel odebrała drinka, po czym Adam zostawił ją w pokoju samą. Rzuciła się na sofę i drżącymi rękami ściągnęła buty.

Czy ją widział?

A jeśli tak, dlaczego nic nie powiedział?

Pewnie nie widział. Przerażała ją myśl, że mogło być inaczej.

Po zejściu na dół Adam dokładnie zamknął za sobą drzwi do pokoju gościnnego. Musiał się zastanowić. Annabel mogła szukać w biurku tylko jednej rzeczy. Z wyrazu jej twarzy odgadł, że ją znalazła. Schowała notatniki pod ubranie? Czy może w torbie? Miała je wynieść komuś na zewnątrz? Nie była na tyle sprytna, żeby sama to zaplanować. A już na pewno była zbyt głupia, by zrozumieć, co zawierały notatki. Ktoś, kto dobrze wiedział, jak ważne dane się w

nich znajdują, przysłał ją tutaj, żeby je wykradła... i ta osoba musi czekać gdzieś na zewnątrz. Mógłby przeszukać torebkę Annabel, mógłby przeszukać ją samą; z pewnością odnalazłby notatniki i odebrałby je, ale ten ktoś nadal będzie starał się je zdobyć.

Musi myśleć trzeźwo, opanować chwilową panikę. W porządku – teraz należy przekonać współnika Annabel, że on, Adam, nigdy nie posiadał żadnych notatników. Tylko jak to zrobić?

A gdyby tak dać Annabel wystarczająco dużo czasu, żeby zabrała z jego mieszkania to, czego szuka? Następnie ktoś by na nią napadł, ukradł jej torbę, zanim zdążyłaby doręczyć notatniki? Musiałby trochę ją pobić, żeby napad wyglądał prawdziwie... ale tej dziwce to się należy...

Tak, to było to.

Musi zachowywać się spokojnie – miał przed sobą jeszcze wiele spraw do załatwienia. Teraz należało znaleźć kogoś, kto śledziłby Annabel aż do jakiegoś ustronnego miejsca, dogodnego do napadu. Może powinny to być dwie osoby, w razie gdyby współnik Annabel czekał na nią przed wejściem. W takim układzie trzeba będzie zająć się i tym drugim. Może nawet wynająć trzech mężczyzn... Mike to zorganizuje. Boże, żeby tylko udało mu się go złapać...

A może lepiej zrobi, jeżeli już w tej chwili rzuci wszystko i wyjedzie, nie czekając, aż spłynie reszta pieniędzy?

Większość i tak znajdowała się już na swoim miejscu; czekały na niego... Nie musiał się obawiać, że policja znajdzie coś, za co będzie mogła go zatrzymać, ale przecież tak właśnie pociesza się każdy, kto wpada w tarapaty. Jeśli szybko się ulotni, uniknie niepotrzebnego ryzyka... A co, jeśli lotniska są już obstawione?... Powoli, powoli – nie ma powodów do paniki. Naprawdę nie ma. Nawet jeżeli notatniki dostaną się w obce ręce i tak nie dowiedzą się z nich, gdzie są pieniądze ani jak je wydostać. Nie, tak długo nie miał się czym martwić, jak długo będzie trzeźwo myślał...

Mimo wszystko to nie jest zły pomysł, dać sobie wykraść notatniki, a potem przetrzepać skórę tej zdzirze, dostałaby niezłą nauczkę. A gdyby jej współnikowi też się oberwało, wtedy Adam dowiedziałby się, kto to jest. Może pogodziła się z tym dupkiem, jej mężem – panem Gorącym Reporterem... Dostanie ich obydwójce i troszeczkę pokieruszuje te ich śliczne buziaczki... Tak.

Teraz, kiedy zdecydował, co robi, pozostało mu tylko zlokalizować Mike'a. Jasne, że minie trochę czasu, zanim uda mu się zorganizować całą akcję, więc do momentu pojawienia się jego ludzi będzie musiał przytrzymać Annabel na miejscu.

Ale znalazł doskonały na to sposób... Zerznie ją tak, że w życiu tego nie zapomni.

Sięgnął po telefon. Czekał na połączenie, nerwowo szarpał włosy, po czym odrzucił głowę w tył, żeby wrócić na miejsce.

– Mike? Dzięki Bogu, że cię złapałem. Mam kłopot... wiedziałem, że mi pomożesz... Posłuchaj, musisz się kimś zająć... Przysięgam, nie prosiłbym cię, gdyby to nie było absolutnie konieczne... Nie, chcę tylko, żebyś kogoś postraszył... Dzięki... Już teraz... Przykro mi... Jeszcze raz dzięki... No więc, chodzi o Annabel O'Dare... Do cholery, powiedziałaś, że się zgadzasz! Mike, zginę jeśli tego nie zrobisz! Później ci wytłumaczę i sam się przekonasz, że nie miałem innego wyjścia – oprócz wyrzucenia jej przez okno albo wyskoczenia samemu... Nie, nie, oczywiście, że tego nie zrobię!

Pospiesznie wyjaśnił, że właśnie przyłapał Annabel na wykradaniu dokumentów, przez które może wylądować za kratkami.

– Zwędziła szczegółowe dane pewnych transakcji bankowych. Nic jej to nie da, bo nie wie, gdzie szukać numerów kont. – Adam mówił coraz bardziej zdesperowanym głosem. – Muszę się dowiedzieć, co za sukinsyn z nią współpracuje. Muszę wiedzieć, kto potrzebuje moich notatników... I muszę przestraszyć Annabel do tego stopnia, żeby już więcej nie zgodziła się na szperanie w moich dokumentach albo żeby nie powiadomiła policji.

– Dlaczego sam jej nie postraszę? Ponieważ, Mike, bardziej to na nią podziała, jeśli zrobi to ktoś inny. W ten sposób pokazuję, że mam silnych przyjaciół, że nawet kiedy znajdę się za kratkami, ona nadal nie będzie bezpieczna... Tak, naturalnie, że rozumiem, że to także bezpieczniej dla mnie. Posłuchaj, chcę, żeby ktoś zrobił to za mnie z tych samych powodów, dla których Toby Sutch wynajmuje ludzi do wykonania podobnych zadań.

– Mike, przysięgam, że naprawdę cię potrzebuję... Zrozumiesz to, kiedy ci wszystko opowiem... W gruncie rzeczy sram po gaciach ze strachu. Jeśli jej nie postraszę, muszę na dobre wyjechać z kraju... Dzięki, Mike... Jak długo zajmie ci przygotowanie się?... Tak, tak, mogę przetrzymać ją tutaj jeszcze przez kilka godzin. Dziękuję. – Z wyrazem tryumfu na twarzy Adam odłożył słuchawkę.

Zjedli bardzo smaczny, choć niezbyt wykwintny obiad, na który składały się zupa z zielonego groszku, smażona sola i gęsty mus czekoladowy, a po nim doskonały, dojrzały camembert.

Po posiłku Adam rozpoczął rozmowę o niczym – o rozkwitającym romansie Johna Lennona z Yoko Ono, zastanawiał się, czy rzeczywiście Amerykanie wyślą

człowieka na Księżyc, czy Golda Meir zostanie pierwszą kobietą-premierem Izraela i czy Annabel ma ochotę wieczorem zostać domu, czy iść potańczyć u Sybilli?

Annabel wydawało się, że każda minuta trwa godzinę. Czuła wstyd i zakłopotanie, i strach, ponieważ zdawała sobie sprawę, że nie jest dobrą aktorką. Potwierdziły to kiedyś próby przed kamerami.

Adam skończył pić kawę, po czym z drugiego końca stołu uważnie popatrzył na Annabel i jej wykwintną fryzurę.

– Wiem, że cały rano spędziłaś u fryzjera, układając sobie włosy na Marię Antoninę, ale czuję nieprzepartą ochotę na zniszczenie tego uczesania.

Uśmiechając się wstał, obszedł krzesło Annabel, pociągnął je do siebie, schwycił ją mocno za nadgarstek i poprowadził w stronę schodów.

Była za piętnaście trzecia. Mike kazał czekać przynajmniej do piątej, do zapadnięcia zmroku.

Rozdział 30

PIĄTEK, 30 STYCZNIA 1969

Adam prowadził Annabel wprost do sypialni. Nie miała wyboru, jak tylko za nim iść. Brakowało jej odwagi, by zachować się inaczej niż zawsze; po raz pierwszy odmówiłaby pójścia z nim do łóżka. Adam, który reagował tak szybko i instynktownie, jak jego ogromny kot, natychmiast domyśliłby się, że za jej odmową kryje się coś podejrzanego.

Zacząłby ją wypytywać, najpierw delikatnie, bez nacisku, potem coraz ostrzej, szybciej, ostatecznie wyciągając z niej to co najważniejsze. Straciłaby głowę, dałaby się podejść i zaplątałaby się, przecząc sama sobie – i wtedy ta pułapka zamknęłaby się nad nią z trzaskiem! Widziała, jak Adam postępował tak z innymi, dlaczego ją miałby oszczędzić?

Chociaż w mieszkaniu było ciepło, Annabel poczuła nasilający się chłód, a kiedy wspinali się po schodach, mocne, napięte palce silnie obejmowały jej nadgarstek. Miała wrażenie, że założono jej kajdanki i nigdy się już z nich nie uwolni.

Przerażała ją myśl o tym, co miało się za chwilę zdarzyć. Nie zniesie dotyku Adama, nie zniesie myśli, że kiedykolwiek pozwoiłaby mu się dotykać. Nie mogła przeboleć, że kiedyś z ochotą oddawała mu swoje ciało, otwierała przed nim siebie, swój umysł i uczucia. Bez większych nadziei modliła się, żeby ktoś im przeszkodził, błagała o szansę ucieczki, możliwość odwleczenia czekającego ją poniżenia. Z drugiej strony pragnęła mieć to już za sobą.

Adam prowadził ją teraz do sypialni, jak jakąś panienkę do wynajęcia, żeby pofiglować trochę w zimowe popołudnie. Jedyna różnica między nią a prostytutką to fakt, że tamta otrzymałaby zapłatę i prawdopodobnie nie przywiązywałaby do tego większej wagi, ponieważ postępowała zgodnie – z własnym wyborem, a przy okazji mogła sobie wmawiać, że przynajmniej jest komuś potrzebna.

Oczywiście, Adam wolałby raczej męską prostytutkę.

Przed oczami Annabel szybko przewinęła się scena z pubu, kiedy tak namiętnie pocałował tamtego chłopca. Po raz pierwszy widziała go nie kontrolującego swoich emocji: wyglądał na całkowicie rozluźnionego i szczęśliwego. Przed tym zdarzeniem nie rozumiała, dlaczego nalegał, zresztą z powodzeniem, żeby Miranda kryła się z ich tak długo trwającym związkim. Teraz domyślała się, co by się stało,

gdyby ogłosili swoje zaręczyny: szantaż. Chłopak z pubu nie był z pewnością jedyny. Podejrzewała, że odtrąceni kochankowie czują się tak samo zranieni, załamani i rozwścieczeni, jak porzucone kobiety, i podobnie jak one mogą pragnąć zemsty, zwłaszcza jeśli przy okazji mają szansę zarobić na tym furę pieniędzy.

Kiedy Adam otwierał drzwi sypialni, Annabel poczuła odrazę do niego i do siebie samej. Gdy odsunął się na bok, by ją przepuścić, uwolnił jej rękę. Przechodząc obok, poczuła jego zmysłowy, niemal zwierzęcy zapach i ogarnęły ją mdłości.

Duży czarny kot zeskoczył z łóżka i pobiegł w ich stronę; otarł się lubieżnie o nogi mężczyzny. Pitch była taka jak jej pan: ostrożna i niezależna. Adam lubił ją za to, i jeszcze za to, że kotka bez lęku okazywała swą niechęć. Godzinami wylegiwała się na narzucie z ocelotów, przykrywającej łóżko, ale kiedy Adam kładł się, natychmiast zeskakiwała.

Na zewnątrz, na tle ponurego, zamglonego nieba, gałęzie drzew rosnących przy Cadogan Place jak szponiaste palce wiedźmy uginały się pod ciężarem śnieżnych czap. Adam zasunął kotary.

– Nie zapalam światła – uprzedził. Ogień z kominka rzucał blaski na jego smagłą, pociągającą twarz. W półcieniu czarne brwi wydawały się grubsze, nadawały mu groźny wygląd.

Usiadł na fotelu i przyciągnął do siebie Annabel, aż znalazła się między jego kolanami. Ciepłe dłonie powoli przesuwają się po jej nogach, po czarnym nylonie.

– Masz na sobie rajstopy – zdziwił się.

– Jest bardzo zimno. – Annabel ze znużeniem pomyślała, że jest chyba jedyną kobietą w Londynie, której nie wolno nosić rajstop, nawet wtedy, kiedy pada śnieg. Ale Adam lubił zdzierać z niej podwiązki, pas, pantofle na wysokim obcasie, a potem pończochy; właśnie w tym porządku. Czasami nie zdejmował wszystkiego do końca.

– Niegrzeczna, niegrzeczna. – Odpinał suwak jej zamszowej krótkiej spódniczki, Jego ręce zawędrowały pod cienki sweterek. – Och mój Boże, nic pod spodem – zachwycił się. – Podciągnął sweter i kiedy twarz kobiety utknęła w nim, i jej ręce były unieruchomione, zaczął lizać jej sutki.

Została tylko w czarnych rajstopach i wtedy Adam powiedział:

– Nie ruszaj się! – Wstał i podszedł do georgiańskiego sekretarzyka.

Annabel ogarnął gwałtowny strach. Wysunął szufladę i wyciągnął z niej nożyczki. Odwracając się zauważył:

– Cała się trzęsiesz! Chyba nie jest ci zimno, przy tym buchającym ogniu!

– Ja... jestem podniecona – przełknęła ślinę. Oddychała z trudem.

Adam wrócił, usiadł i znowu ją do siebie przyciągnął.

– Mówiłem ci, żebyś nigdy nie nosiła rajstop. Zrobię więc z nich pończochy. – Złapał za gumkę i pociągnął. Nożyczki zabłyśły w płomieniach ognia. Obciął najpierw jedną nogawkę, potem drugą, aż zwisły bezwładnie u jej stóp.

Poczuła, że głaszcze ją po włosach łonowych.

– Jesteś taka jedwabna – mruknął. – Niektóre kobiety są tam jak ostra myjka do zmywania. – Nigdy nie pozwalał jej zapomnieć, że nie była jedyną kobietą w jego życiu.

Uświadomiła sobie, że on ją tam liże. Czując psychiczne obrzydzenie, dziwiła się, że jej ciało mięknie i poddaje się pieszczotom.

Spojrzał na nią i wyszeptał:

– Jesteś bardzo spięta. Boisz się czegoś?

– Tak – wydyszała potwierdzająco.

– Nie dziwi mnie to – stwierdził. – Sprzeciwiłaś się moim rozkazom. Nie ruszaj się!

Znowu odszedł do antycznego sekretarzyka. Annabel ponownie zamarła z przerażenia. Serce podskoczyło jej do samego gardła, z trudem przełykała ślinę. Wstrzymała oddech. Czy bawił się z nią w kotka i myszkę?

Wrócił, trzymając w dłoni wiktoriańską szczotkę do włosów, bardzo miękką, z rączką wyłożoną kością słoniową.

– Najpierw ja uczeszę cię, a potem ty możesz zrobić to samo ze mną. – Głaskał ją po podbrzuszu, delikatnie, powoli, rytmicznie.

– Adam... czy nie możemy... po prostu położyć się do łóżka? – Annabel uznała w końcu, że nie uniknie stosunku, więc im szybciej to nastąpi, tym szybciej się zakończy.

Odłożył szczotkę, po czym oświadczył:

– Oczywiście, że pójdziemy do łóżka. Odwróć się.

Wykonała polecenie.

Adam wstał i wyciągnął spinki z jej artystycznie rozczochranych włosów. Wsunął ręce między jasne sploty i potrząsnął, aż włosy opadły jej luźno dookoła głowy.

– Masz sztywny kark – zauważył. – Jesteś bardzo spięta! O co chodzi?

– O nic. – Annabel drżała. – Po prostu jestem zmęczona. Wiem, że to dopiero trzecia po południu, ale niestety czuję się wyczerpana.

– Umieć pomóc kobietom, które są zmęczone. – Zaniósł ją do łazienki i

ściągnął z niej postrzępione rajstopy. Nadzy weszli pod gorący prysznic. Dokładnie namydlił jej ciało, przyglądając się, jak twardnieją jej sutki. Annabel z trudem uśmiechnęła się do kochanka.

Rozgrzaną dłonią gładził ją po miękkim ciele. Dostawał się do każdego wgłębienia. Potem owinął ją w ręcznik i zaniósł do łóżka.

– Piękny widok – szepnął, przyglądając się jej jasnemu ciału leżącemu na skórze z ocelotów.

Przeszedł do jednego ze stolików nocnych; były to antyczne tajskie półeczki z wymyślnymi srebrnymi zamkami. Na każdej stał wysoki cynowy kandelabr z grubymi pomarańczowymi świecami, które teraz zapalił.

Adam nigdy nie uprawiał miłości mechanicznie, zależało mu, by kobieta była na jego łasce, by musiała do niego wracać. Miał zwyczaj wikłać swoje partnerki w taki związek seksualny, w którym one poddawały mu się w łóżku i w końcu jego inicjatywie pozostawiały zmysłowe doznania.

W przeciwieństwie do większości mężczyzn wyrobił w sobie seksualną wyobraźnię i wykorzystywał ją. Fantazja stanowiła podstawę jego stosunków, ponieważ przekonał się, że to pociąga jego kochanki. Doskonale odgrywał rolę Rhetta Butlera, Lewisa Carolla czy Petruccio oraz sceny: pan i niewolnica, lekarz i pacjentka, ksiądz i dziewczynka z chóru kościelnego, nauczyciel i uczennica.

Najbardziej odpowiadały mu kobiety, które lubiły udawać, że trzeba je zmuszać do kochania się z osobą, która ma nad nimi władzę. W ten sposób uwalniały się od poczucia winy nabytego w dzieciństwie za brzydkie seksualne marzenia. Kiedy zaufawszy mu, zdradzały swoje pragnienia, on zachowywał się odwrotnie w stosunku do ich oczekiwań, co podniecało je nawet bardziej.

Jakiegokolwiek by były ich gusta, wszystkie kochanki Adama wychodziły z olbrzymiej sypialni na uginających się nogach, oszołomione aktem miłosnym.

Jednakże Annabel, leżąc na łóżku i przyglądając się, jak Adam wchodzi do łazienki, a po chwili wychodzi z niej, niosąc grube białe ręczniki, czuła jedynie przejmujący strach. Podniosła wzrok na jego umięśnione ciało, na ciemny zarost biegnący od szyi po wyprężonego penisa i pomyślała: Och Boże, on chce zrobić mi masaż.

Nie wyrwie się stąd jeszcze przynajmniej przez godzinę!

Adam podniósł butelkę z ciętego szkła z olejkiem dla dzieci i roztarł trochę płynu w dłoniach.

W pokoju było ciepło. Annabel wsłuchiwała się w miękkie tony „The Swan of Tuonela”. Sibelius zawsze zmuszał ją do wyobrażania sobie, że znajduje się w

przytulnej, ciemnej chacie, w środku cichego, zaszypanego śniegiem lasu, a gdzieś z oddali dobiega słabe wycie wilków.

Położyła się na brzuchu i Adam zaczął powoli nacierać ją centymetr po centymetrze, zdecydowanymi, płynnymi ruchami, które jednak nigdy nie powodowały bólu.

Całą powierzchnią dłoni, ze złączonymi palcami wykonywał ruchy, które zlewały się z następnymi. Przesuwał się od jednej partii ciała do drugiej, nie zmieniając rytmu i nacisku, powtarzając każdy ruch trzykrotnie. Masował, aż jej skóra stała się delikatna jak aksamit. Annabel poczuła, że powieki opadają jej na oczy i myśli ulatują gdzieś w przestrzeń. Ręka Adama powoli posuwała się w górę.

Wtem na karku poczuła jego język, miękko sunący w górę... i w dół... i znowu w górę.

– Czujesz się lepiej? – Głos pieścił ją tak subtelnie jak ręce. Powoli rozsunął jej uda i zaczął je głaskać, najpierw palcami, potem językiem. Obrócił ją do siebie. Kiedy ustami dotknął jej piersi, zadrżała z rozkoszy. Oddychała urywanie, niemal dyszała, jak po wyczerpującym biegu.

Adam opuścił głowę nad jej twarzą i wtedy poczuła jego ciepły oddech. Dotknął jej ust swoimi. Rozsunęła wargi przed wilgotnym, natarczywym koniuszkiem języka, poczuła jak mocno wbija się w jej usta. Westchnęła cicho. Adam grał na niej, jak na skrzypcach, a raczej cała orkiestra smyczkowa trącała każdy kawałek jej ciała, unosiła ją z muzyką i zrzucała w dół, i tak ciągle, bez ustanku.

Adam wiedział, jak pobudzić jej ciało, jak stopniowo doprowadzić ją do szaleństwa, aż zapominała, gdzie się znajduje i z kim, i nie zależało jej, czy ktoś ją widzi, wie, co ona robi.

Jęknęła z rozkoszy, nie pamiętając, że ten mężczyzna zniszczył jej uczucia, starał się uczynić to samo z jej rodziną i że mogło mu się to udać. Wiedziała jedynie, że zwierzęcy zapach bijący od jego ciała sprawiał, że traciła rozsądek, a nacisk jego mięśni na jej miękką skórę kazał jej zapomnieć o całym świecie oprócz namiętności, która wciąż wzrastała.

Jak mogłam do tego dopuścić, przemknęło jej przez myśl. Ale po chwili już nie myślała.

Zaraz po czwartej Miranda pojawiła się w biurze Owena i Frasera. Garsonka, którą miała na sobie na walnym zebraniu, bardzo się już wygniotła, Miranda jednak wyglądała na lekko oszołomioną, choć bardzo szczęśliwą. Angus dużo nauczył się

w Nowym Jorku, ale Miranda była zanadto zadowolona, żeby czuć zazdrość.

Wprowadzono ją do pokoju z owalnym stołem pośrodku, zasypianym papierami. Za stołem zauważyła Sama siedzącego obok Richarda Fräsera.

– Spóźniłaś się – rzucił Sam z naganą w głosie. – I Annabel też. Już po czwartej. Bóg wie, dlaczego ruch uliczny na tej wyspie ustaje, kiedy tylko pada deszcz albo śnieg! Człowiek spodziewałby się, że wreszcie Anglicy przyzwyczajają się, że w takim klimacie jest to normalna pogoda.

– Przepraszam, Sam. W końcu wszystko potoczyło się według planu. – Miranda uśmiechnęła się. – Czy Annabel udało się coś odkryć?

– Znalazła w biurku Adama trzy notatniki. Wyszła stąd o pierwszej i pojechała odłożyć je na miejsce. – Sam kiwnął głową w stronę sterty papierów na stole. – To są kserokopie. – Nie wspomniał o kopercie ukrytej w kieszeni kurtki.

Z uśmiechem na ustach odezwał się Richard Fraser:

– Mamy już wszystko, czego potrzebujemy, by udowodnić pani podejrzenia.

– Co pan odkrył?

– Notatniki zawierają szczegóły dotyczące transakcji finansowych, które przeprowadzał Grant, przenosząc pieniądze z jednego konta na inne, aż stały się nie do wyśledzenia. Zapiski jasno pokazują, do którego banku trafiły odpowiednie sumy.

Sam się wtrącił: – Wygląda na to, że Adam ma pięć końcowych kont, na których akumuluje pieniądze. Odpowiednio są to konta A, B, C, D i E. Niestety w notatkach nie znalazłem ich numerów ani adresów banków. Mogą być założone w jednym banku szwajcarskim – albo są rozrzucone po różnych bankach na całym świecie. W notatnikach nie ma na ten temat słowa.

– To oczywiste – stwierdził Richard Fraser. – Grant zapamiętał nazwy banków i ich adresy; cóż trudnego w zapamiętaniu na przykład, że konto A znajduje się w banku Leu w Zurichu. Ale musi trzymać gdzieś numery tych pięciu kont, bo bez poprawnego kodu nikt się do nich nie dostanie.

– Więc, choć mamy wystarczające dowody, by oskarżyć Adama o oszustwo – tłumaczył Sam – to nie możemy odzyskać pieniędzy, chyba że odkryjemy, gdzie je złożył. Nadal więc nasza łamigłówka nie jest do końca rozwiązana. Musimy zająć się szukaniem listy numerów pięciu kont.

– Cieszę się, że możemy przygwoździć tego sukinsyna – oświadczyła Miranda.

– Ale martwię się o Annabel. Co się z nią dzieje?

– Prawdopodobnie jej taksówka utknęła w korku – burknął Sam.

– Mówisz, że wyszła stąd o pierwszej, więc do Cadogan Place dotarła,

powiedzmy... najpóźniej na drugą – liczyła. – W takim razie powinna się tu pojawić z powrotem o trzeciej – bez względu na korki!

– Może ktoś był w mieszkaniu – zasugerował Sam. – Może wrócił Adam, zanim zdążyła odłożyć notatniki do biurka. Mówiła przecież, że krzyczał na nią, kiedy złapał ją na szperaniu.

– A gdybyśmy tak zadzwonili... ?

– Jeżeli nie ma tam Adama, to proszę bardzo. Ale jeśli tam jest, jak wytłumaczyłabyś, że do niego dzwonicz? Po co miałabyś dzwonić do Annabel? A ja, jak miałbym się dowiedzieć, czy Annabel nadal jest w mieszkaniu?

– Mogła prosić cię o telefon.

Sam pokręcił głową.

– Przełożona zdążyła już pewnie zdać relację Adamowi, więc wie już, że ja i Klara wykradliśmy Elinor. Podaliśmy nasze prawdziwe nazwiska i wylegitymowaliśmy się. Jasne jak słońce, że coś podejrzewamy. Nie mogę zadzwonić do Adama z towarzyską rozmową!

– Annabel mogła mieć wypadek – martwiła się Miranda.

– Wy, kobiety, widzicie w kropli wody ulewę – zniecierpliwiał się Sam. – Jeśli zadzwonię na policję, pomyślę, że zwariowałem. „Moja szwagierka miała wrócić godzinę temu, pomyślałem, że powinienem zgłosić jej zaginięcie”. Zobaczywszy jednak niepewny wzrok Mirandy, zmiękł i podniósł słuchawkę. – Jeśli miała wypadek, policja będzie o tym wiedziała.

Odezwał się Richard Fraser:

– Sam, mamy tu jeszcze trochę pracy. Niech Miranda zadzwoni na policję, a my skończymy przeglądać te dokumenty.

Zaraz po piątej trzydzieści Fraser podniósł oczy znad stołu i powiedział:

– Wygląda na to, że większość pieniędzy powiernictwa przelano na te pięć kont. W powiernictwie zostało około siedemnastu procent całej sumy.

– Jak to zrobił? – zainteresowała się Miranda.

– Większość pieniędzy przesłał do firmy maklerskiej w Hongkongu, która pobrała sobie trzy procent od przekazu, resztę przeniosła na konta A, B, C i D. Grant pilnował, żeby powtórnie nie przysyłać tym pośrednikom gotówki, póki nie przenieśli poprzedniej na odpowiednie konta. Między innymi z tego powodu te transakcje zajmowały tak dużo czasu.

– Adam im nie ufał? – zdziwiła się Miranda.

– A powinien? – odpowiedział pytaniem Fraser. – Pośrednicy z Hongkongu

biorą trzy procent prowizji za wypranie pieniędzy. Podejrzewam, że potrafią spreparować dokumenty na pokrycie każdego pensa. Na papierze może to wyglądać, jakby niefortunnie zainwestowali: albo firma, w której złożyli pieniądze, nagle bankrutuje, albo załamuje się indeks giełdowy zaraz po wykupieniu przez nich akcji. Jednakże nie wszystkie przesłane do nich pieniądze są stracone. Nadal trzymają ich część – co, jako maklerzy, z łatwością mogli uczynić – na koncie E. Domyślam się, że jest to prawdziwe konto inwestycyjne, żeby ich działalność nabrała wiarygodności.

– Komórka do przestępstw gospodarczych z pewnością zainteresuje się tą hongkońską kliką – stwierdził Sam.

Fraser odpowiedział lakonicznie:

– Chyba niewiele mogą zrobić, ponieważ tamci działają poza zasięgiem brytyjskiego prawa. Ale myślę, że dopadną Granta. – Przysunął do siebie aparat telefoniczny i wykręcił numer.

– Inspektor Piper?... Sprawa rodziny O'Dare. Właśnie patrzę na narzędzia zbrodni, dzięki którym przytknie go pan. Potrzebuję kilku dni, żeby uporządkować te papiery i dokładnie je przejrzeć, ale w poniedziałek rano będzie miał już pan nad czym popracować... Kserokopie jego rachunków... tak, wszystkie jego charakterem pisma, zgodnie z tym, co twierdzi panna O'Dare... Nie, nie mamy jeszcze żadnych potwierdzeń z banków... Wiem, że dla pana jest ważne, czy te pieniądze znajdują się na koncie założonym przez Gran ta – zanim jednak to załatwię, nie pozwoli mi pan opuścić kraju? Mam przed sobą wystarczające dokumenty, żeby prosić pana o pomoc w śledztwie... W porządku, przyniosę je panu od razu... Oczywiście, z kimś z rodziny, żeby potwierdził skargę.

– Chodźmy. – Sam wstał.

Miranda zaprotestowała.

– Jest prawie szósta. Martwię się o Annabel, od trzech godzin powinna tu być! Nie chcę wychodzić bez niej. Czy inspektor Piper nie może pomóc w jej odnalezieniu?

Richard Fraser pokręcił głową.

– To komórka do spraw przestępstw gospodarczych. Zresztą powiadomiła już pani policję.

– Posłuchaj, my też się niepokoiimy – przyznał Sam. – Ale co możemy teraz zrobić? Lepiej zajmijmy się Adamem.

– Jadę do jego mieszkania – zdecydowała Miranda. – Nie próbujcie mnie od tego odwozić!

Westchnęła i odwróciła się do Frasera.

– Niech pan zanieś te papiery do biura Pipera. Spotkamy się tam najszybciej, jak to będzie możliwe. Nie mogę zostawić Annabel samej.

Kiedy drzwi zamknęły się za księgowym, Sam powiedział:

– Zanim wyjdziemy, myślę, że powinnaś rzucić na to okiem.

– Wyciągnął z kieszeni dwie złożone kartki i podał je Mirandzie.

Kobieta pobieżnie przejrzała pierwszą stronę. Wyglądała na zaskoczoną.

– To mój akt urodzenia. Skąd go masz? Po co mi go teraz pokazujesz? – Znowu popatrzyła na dokument. – Poczekaj... To nie jest mój akt urodzenia!

Skonsternowana jeszcze raz obejrzała białą kartkę z królewskim herbem i nagłówkiem: Akt urodzenia. Odczytała na głos:

– „Imiona: Miranda, Patrycja. Płeć: żeńska. Nazwisko matki: Patrycja Doreen Kettle. Nazwisko ojca: William Montmorency O'Dare. Data urodzenia: siódmego listopada 1941. Miejsce urodzenia i rejestracji: St. Pancras. Okręg południowo-wschodni St. Pancras. Poświadczony na podstawie...

Miranda spojrzała na Sama.

– Według tego dokumentu dziadek Billy byłby moim ojcem! Co za bzdury!

Sam milczał.

Miranda ponownie popatrzyła na papier.

– Zgadza się, nazywam się Miranda Patrycja O'Dare, ale kim jest ta kobieta: Patrycja Doreen Kettle? To nie jest nazwisko mojej matki! I nie urodziłam się tego dnia!

Sam wzruszył ramionami.

– Sprawdź drugi dokument.

Na następnej kartce widniał nagłówek Swithina, Timminsa i Granta. List był napisany odręcznie, z datą 17 marca 1942 roku. Miranda odczytała go uważnie: „Moja droga Elinor, błagam, byś nie robiła niczego pochopnie. Miranda jest teraz jedynym dzieckiem Billy'ego, które ocalało, i na tej podstawie pewnego dnia może upomnieć się o Larkwood z całą posiadłością. Dlatego radzę ci, byś za nic nie dopuściła do zniszczenia prawdziwego aktu urodzenia. Twój, cały niespokojny, oddany Joe. ”

Miranda podniosła wzrok i powiedziała:

– Jeśli te papiery nie są jakimś żartem ani nie są sfalszowane, jestem córką Billy'ego, a nie jego wnuczką. Ale jeśli Patrycja Doreen Kettle była moją matką, w takim razie... Edward i Jane nie są moimi rodzicami... i nie jestem spokrewniona z Elinor!

Rozdział 31

PIĄTEK, 31 STYCZNIA 1969

Sam i Miranda wybiegli z biura prawnika. Prószył śnieg. Kobieta z niecierpliwością strzepnęła jego płatki z twarzy i skinęła na szofera, który czekał w jej srebrnym Mercedesie po drugiej stronie ulicy.

Zanim zdążył podjechać, tuż przed nią z piskiem opon zatrzymała się taksówka. Kierowca wyskoczył na zewnątrz i pospieszył dookoła, by otworzyć drzwi od strony pasażera, ale kiedy wyciągnął rękę, ktoś już pchnął je od środka.

Jakaś postać zwała się na zdeptany, brudny śnieg, tuż pod stopy Mirandy.

– Anna bel! – Siostra rozpoznała futro z wilka i szkarłatne botki. Uklękła na śniegu.

– Chciałem zawieźć tę panią na pogotowie do St. George – tłumaczył taksówkarz Samowi – ale kazała mi przyjechać tutaj.

Twarz Annabel była nie do poznania; lewa powieka była napuchnięta i głęboko przecięta, przez co gałka oczna wyszła niemal na wierzch, oko wypełniała krew, spłaszczony nos wyglądał na złamany. Przez otwarte, ociekające krwią usta widać było brak dwóch przednich zębów.

– Co się stało?!

– Zabrałem ją ze skrzyżowania na Cadogan Place i Pont Street. Zataczała się. Szczerze mówiąc, myślałem, że jest pijana. Potem dopiero zauważyłem krew.

– Dziękuję panu. Zajmiemy się nią. – Sam wcisnął w rękę taksówkarza banknot.

– Hej, ludzie, poczekajcie chwilkę. Musicie podać mi swoje nazwiska i adresy. Przykro mi, ale mam obowiązek zawiadomić policję o takich wypadkach.

Lekarz dyżurujący na oddziale nagłych wypadków pochylił się nad Annabel.

– Poważne rany twarzy... lewe oko przecięte... Wygląda na to, że straciła jeden miesiąc. Trzeba to będzie zszyć. Zębami zajmiemy się później. Złamana przegroda nosowa... pęknięta lewa kość promieniowa i łokciowa... a także piąte, szóste i siódme żebro po lewej stronie... głębokie otarcia na brzuchu, klatce piersiowej i nogach. – Wyprostował się. – Nie dam sobie z tym wszystkim rady. Siostro, proszę zadzwonić na pogotowie okulistyczne oraz wezwać ortopedę, żeby obejrzał pęknięte przedramię. Obmyjcie pacjentkę i szybko zawieźcie na salę operacyjną.

Proszę podać normalne znieczulenie, ale z dodatkiem środka rozluźniającego mięśnie.

Przez szpitalny telefon Sam skontaktował się z CI, głównym działem przestępstw stołecznej policji. Nie wierzył, że napad na Annabel był sprawą przypadku. Jeśli się nie mylił, mieli teraz do czynienia z czymś poważniejszym niż tylko oszustwo. Wchodziło w grę naruszenie nietykalności osobistej, poważne uszkodzenie ciała i zamiary – najprawdopodobniej – morderstwa.

Po skończeniu rozmowy sprawdził godzinę: siódma trzydzieści wieczorem w Londynie, a więc druga trzydzieści w Nowym Jorku. Wykręcił numer biura Scotta.

Annabel leżała na sali operacyjnej z włosami wetkniętymi pod zielony, plastikowy czepek. Zespół medyczny – chirurg okulista, chirurg ortopeda, lekarz z pogotowia, anestezjolog, pielęgniarka i dwie instrumentariuszki – przygotowywali się do operacji.

Po podaniu znieczulenia ortopeda przemył i zaszył przecięcia, następnie ostrożnie nastawiono złamaną lewą kość ramieniową i założono na nią gips. Obandażowano żebra. Wszystkie te czynności przebiegały szybko i sprawnie, ale lekarzy czekała jeszcze operacja oka, o wiele poważniejszy zabieg.

– Mamy tu do czynienia z poważnym urazem – stwierdził okulista po wstępnych oględzinach. – Na początek tylko je wyczyszczyć. Pacjentka straciła lewy mięsień i może stracić całe oko. Jest głęboko poszarpane, a rogówka ma liczne obtarcia. Jeśli uda mi się je uratować, i tak po zagojeniu przecięć pacjentkę czeka przynajmniej jeszcze jedna poważna operacja. W tej chwili nie potrafię stwierdzić, czy uda się uratować jej wzrok.

Operacja trwała prawie godzinę. Na koniec chirurg zdjął rękawiczki i znużonym gestem przetarł twarz. Umył się i włożył wyjściową marynarkę; bez pytania siostra założyła mu na szyję krawat i zawiązała. Lekarz wypadł z sali.

Po nastawieniu przegrody nosowej podano Annabel zastrzyk ze środkiem uśmierzającym. Dochodziła dziesiąta, kiedy wwieziono ją na oddział z przygaszonymi światłami, na którym leżeli inni pacjenci.

Annabel jęknęła, a pielęgniarka siedząca koło jej łóżka odezwała się uspokajającym tonem:

– Jest pani w szpitalu, pani Svenson. Miała pani wypadek, ale wszystko będzie dobrze. Pani rodzina czeka na zewnątrz. Musieliśmy panią uśpić przed operacją i teraz powoli wraca pani do przytomności.

– Nic... nie... widzę – wybełkotała, jakby była pijana.

– To dlatego, że pani lewe oko jest zabandażowane, a prawe bardzo zapuchło. –
Podała Annabel przez rurkę kilka kropli wody. Kiedy płyn dotarł do gardła,
nastąpiły odruchy wymiotne. Pielęgniarka otarła jej usta, nie przestając mówić
uspokajająco, aż pacjentka zapadła w sen.

SOBOTA, 1 LUTEGO 1969

Miranda otworzyła oczy i natychmiast sięgnęła po stojący przy łóżku telefon z
kości słoniowej.

– Jest dopiero siódma rano. W szpitalu mówili, że nie masz po co dzwonić
przed dziewiątą – przypomniał zaspanym głosem Angus.

– Mogłam o tym zapomnieć. – Oświetlona jasnymi promieniami zimowego
słońca Miranda ziewnęła i przeciągnęła się zmysłowo. – No, no – powiedziała
miętko.

– Trenowałem – żartobliwie wymruczał Angus.

– I więcej już nie potrzebujesz. – Delikatnie uszczypnęła go w duże raczej
ucho. – Jestem zazdrosną kobietą.

– Więc, czy teraz już wyjdiesz za mnie?

Miranda oparła się na łokciu.

– Poczekaj, kochanie, daj mi czas na zebranie myśli. – Była zachwycona jego
propozycją. Wielka przeszkoda wyraźnie przestała istnieć. Z ochotą zostałaaby w
łóżku z Angusem do końca tygodnia, a związałaaby się z nim do końca życia. Miała
pewność, że będą razem szczęśliwi, z tych samych powodów, dla których kiedyś
się zaręczyli. Ale nie może myśleć o przyszłości, dopóki nie upora się z
teraźniejszością. Nie zamierzała też zranić Angusa czy siebie samej, podejmując
decyzję w pośpiechu. Chociaż teraz, mając to już za sobą, mogła przyznać, że
bardzo żałowała, iż wtedy zerwała zaręczyny.

O dziesiątej wieczorem Annabel ledwo co uświadamiała sobie dochodzące ją
dźwięki: głos pielęgniarki, skrzypienie gumowych podeszew na linoleum, stukanie
talerzy, łagodną muzykę płynącą z radia. Czuła zapach lekarstw.

Jej prawa ręka była gorąca. Ktoś ją trzymał w dłoniach.

Wyszeptała:

– Scott?

– Jestem tu od godziny, aniołku.

- Proszę... nie zostawiaj... mnie.
- Nigdy więcej.
- Przepraszam...
- Ja także!

Podczas długiego lotu Scott mógł myśleć jedynie o Annabel i ich małżeństwie. Doszedł do wniosku, że skłócenie partnerzy razem ponoszą winę i nic nie pomoże, że jedno drugiemu będzie ją wytykało.

Nigdy nie traktował Annabel jak żony i partnerki. Chciał w niej widzieć podwładnego, chciał, żeby nagięła swoją osobowość do jego potrzeb, chciał się nią chwalić. Była symbolem jego pomyślności w życiu. Podejrzewał, że gdyby nawet nie poleciała na tego sukinsyna Adama, znalazłaby sobie kogoś innego, kogoś, kto poczyniłby wysiłek, by pokazać jej, że mu na niej zależy, na niej jako człowieku, a nie na podporce dla własnego *image'u* sprytnego i odnoszącego sukcesy karierowicza.

Pocałował żonę w rękę. Żarliwym głosem szeptał jej do ucha to, co pragnął jej przekazać.

– Wydawało mi się, że moja praca jest wystarczającym powodem, by przestać interesować się wszystkim innym. Nie chciałem, żeby pochłonęła mój cały czas i energię. Annabel, teraz to się zmieni. Pragnę mojej kariery, ale chcę też żyć.

Pomimo oszołomienia Annabel czuła ciepło i miłość płynące od mówiącego. Uświadamiała sobie różnicę między prawdziwym oddaniem Scotta, a zręcznie udawanym, bezosobowym i płytkim zainteresowaniem Adama.

Szepnęła:

– Scott, tak mi wstyd.
– Mnie też. W przyszłości będę o ciebie dbał. – Oparł policzek na jej ramieniu leżącym na kołdrze.

– Co się... ze mną... stało? – zapytała.

– Napadło cię kilku wyrostków i ukradło ci torebkę. Policja chce cię zapytać o parę szczegółów. Ale to później. Masz złamaną rękę i żebra, i ustawili ci... nos. Będzie wyglądał dokładnie tak samo. Chirurg przyrzekł, że tak będzie.

– Coś dziwnego dzieje się z moimi oczami.

– Uderzyli cię w twarz, aniołku.

– Czy moje oczy będą w porządku?

Scott zawahał się.

– Oczywiście.

– Nie potrafisz kłamać, Scott.

Mężczyzna milczał przez chwilę.

– Prawe oko będzie w porządku.

Annabel, płacząc, czuła ból w żebrach.

– Z pewnością będziesz widziała – pocieszał ją. – Nie obchodzi mnie... Och, Boże, nie powinienem ci tego mówić.

– Chcę wiedzieć... ! Nie traktujcie mnie ciągle jak maleńkie dziecko.

– Dobrze. – Ponownie pocałował jej dłoń. – Wiesz, jeśli nadal chcesz zostać ze mną... wiem, że mówiłem, iż Nowy Jork to nie jest dobre miejsce na rodzenie dzieci... Ale, do diabła – inni ludzie się na to decydują. Dlaczego my nie mamy tego zrobić?

Annabel przestała płakać.

Czy pamięta pani, co się wydarzyło, *madame!* – zapytał cicho niewidoczny policjant.

– Niewiele – szepnęła Annabel. – Ale spróbuję sobie przypomnieć.

Annabel wyszła od Adama zaraz po piątej, tłumacząc się, że umówiła się na przymiarce sukienki. Pośliznęła się, biegnąc po rozmokłym śniegu. Skręciła w Pont Street, mając nadzieję, że złapie tam taksówkę. W zasięgu wzroku nie zauważyła nikogo, na ulicy panował mały ruch.

Prawie nie zwróciła uwagi na niewysoką kobietę w ciemnym ubraniu wychodzącą z cofniętych w głąb budynku drzwi kwiaciarni – już nieczynnej – znajdującej się na rogu Cadogan Lane. Kiedy szybkim krokiem przechodziła koło niej, kobieta nagle skoczyła na nią. Ze znajomością rzeczy podparła lewym palcem wskazującym i środkowym nos Annabel i odchyliła jej głowę do tyłu. Jednocześnie prawą nogę podstawiła pod lewą nogę dziewczyny i pchnęła ją. Annabel zaczęła gwałtownie wymachiwać ramionami, po czym pośliznęła się na błotnistym śniegu.

Za wszelką cenę próbowała utrzymać równowagę, ale nie udało jej się. Runęła do tyłu.

Za sobą usłyszała podjeżdżający samochód. Popatrzyła w górę i w świetle ulicznej latarni dostrzegła dwóch mężczyzn z pończochami naciągniętymi na głowy, zmieniającymi ich twarze w rozplaszczone, przerażające, nieludzkie maski.

Dwaj nieznajomi poderwali ją na nogi, obracając w kierunku ulicy. Ich współniczka wyrwała z jej rąk torebkę, następnie wskoczyła do samochodu, na miejsce kierowcy i nacisnąwszy na gaz przyspieszyła obroty silnika.

Mężczyźni trzymali Annabel za ramiona, jej nogi wisiały w powietrzu. Z

przyciśniętymi do ciała łokciami zaciągnięto ją do tyłu Morrisa Minor.

Jeden z napastników przeszukiwał ją, a drugi wysyczał:

– Mamy dla ciebie wiadomość. Zapamiętaj sobie na przyszłość – jeśli będziesz robiła kłopoty, sama je będziesz miała! – Podniósł pięść, która po chwili wylądowała na szczęce Annabel.

Mężczyzna bił ją równomiernie, jak zawodowy bokser, a jego kolega starał się utrzymać ją w miarę wyprostowanej pozycji. Annabel czuła przejmujący ból w okolicy nerek; miała wrażenie, że jej żebra z lewej strony za chwilę wybuchną. Dostała uderzenie w klatkę piersiową i w tym momencie straciła możliwość nabrania oddechu. Miała już zmasakrowany nos. Po pierwszym ciosie w oko zaczęła tracić przytomność.

– Lepiej już ją zostawmy – usłyszała jeszcze drugiego mężczyznę. – Pamiętasz, co się stało ostatnim razem.

Miranda odwoziła Sama swoim brązowym Reliant Scimitarem do Wiltshire, gdzie czekał Josh. Sam spędził noc w szpitalu i teraz czuł się skostniały i wymięty, jak wczorajszy bochenek chleba, ale przyrzekł Joshowi, że w weekend spotka się z nim. Miranda chciała porozmawiać z Elinor na temat aktu urodzenia.

Sama nachodziła śpiączka, ale szybka jazda po zaśnieżonych drogach sportowym samochodem prowadzonym przez Mirandę wystarczająco napawała go strachem, by nie zasnął.

W kuchni czekała na nich Klara. Była sama. Elinor i Buzz ucięły sobie poobiednią drzemkę w pokoju gościnnym. Josh z radością pobiegł na otrzęsiny. David, który musiał uczestniczyć w dorocznym spotkaniu powiernictwa Kennet i Avon Canal, miał się pojawić dopiero wieczorem.

Klara powiadomiła go o tragicznym wypadku, w którym jej siostra straciła lewe oko, ale lekarz przestrzegał, żeby jeszcze nie informować o tym starszych pań. Taki szok mógł zachwiać i tak słabym zdrowiem Elinor. Chociaż nadal nie miała siły, by wstawać z łóżka i mówić inaczej niż szeptem, szybko dochodziła do siebie, wbrew początkowym prognozom lekarza. Pomagały zastrzyki z parentrovite'u, przywracające jej witalność.

Krótko po trzeciej po południu Scimiter zatrzymał się przed Applebank Cottage.

Widząc zmęczone twarze przybyłych, Klara nie zadawała żadnych pytań. Postawiła przed nimi na stole kuchennym wazę z zupą korzenną.

Sam po zjedzeniu omletu z serem zasnął w krześle, jeszcze nim Klara zdążyła

podać jabłkowy placek z brzoskwiniową polewą.

Miranda ziewnęła i powiedziała:

– Ja też niewiele spałam zeszłej nocy. Mogę się zdrzemnąć na łóżku Josha? – I zniknęła.

Klara delikatnie obudziła męża i zaprowadziła go na górę do swojej sypialni.

O szóstej Sam się obudził. Słyszał niewyraźne dźwięki klasycznej muzyki, na kominku palił się ogień. Przez rozsunięte zielone firanki z perkalu zobaczył, że śnieg cicho opada na ciemne szyby okienne.

Wyciągnął rękę, szukając nocnej lampki, przy okazji strącając budzik.

Klara wbiegła na górę, otworzyła drzwi i włączyła światło.

– Ciągle jest ze mnie taki sam nedorajda – powitał ją Sam przeproszającym głosem. Usiadł w łóżku, trąc twarz i oczy.

Klara wbiła wzrok w ciemne poskręcane włosy, porastające jego szeroką klatkę piersiową i w purpurowe zadrapania, które pozostawiła mu przełożona Braddock.

– Usiądź na minutkę – poprosił jeszcze zaspanym głosem. Klepnął ręką w narzutę.

Kiedy przysiadła na brzegu łóżka, nagle poczuła, że ogarnia ją uczucie wdzięczności. – Sam, nie wiem, jak mam ci dziękować. Może dalibyśmy sobie radę bez ciebie, ale... dzięki tobie wszystko potoczyło się tak szybko. I w tym okropnym domu opieki... u prawnika... księgowego... na policji... w szpitalu... Byłeś wspaniały.

Oświetlony płomieniami ognia Sam pochylił się i pocałował ją w nos. Objął ją ramieniem, przytulił do siebie i zaczął całować po szyi.

– Muszę pojutrze wracać do pracy – przypomniał miękkiem głosem.

Klara odsunęła się od niego delikatnie, chociaż w głębi duszy była wściekła. Jakim prawem Sam śmie wykorzystywać sytuację, próbując ją uwieść! A jednak mimo rosnącego oburzenia... choć serce mówiło jej, co ma robić, ciało odrzucało tę informację.

Sam pochylił się do przodu, pocałował ją w czoło pomiędzy brwiami i mocniej objął. Powoli przestała się opierać. Kiedy wdychała znajomy, drażniący zapach jego ciała i przypomniała sobie moment, w którym po raz pierwszy uświadomiła sobie jego przenikliwy erotyzm, poczuła, że ciągnie ją do niego, jak szpilkę do magnesu. Przypomniała sobie poczucie bezpieczeństwa, jakie ją ogarniało za każdym razem, kiedy znajdowała się w objęciach tych silnych, masywnych ramion. Robiła się coraz bardziej bezwolna, jednak nadal w jej sercu, mieszała się furia ze zdziwieniem. Dlaczego nie czuła takiego przyciągania między sobą a

Davidem, który był sto razy lepszym człowiekiem od Sama, bardziej o nią dbającym? Dlaczego pozwala sobie nawet na rozmowę z Samem, wiedząc, że gdyby David widział ich teraz, poczułby się straszliwie zraniony?

Prawdopodobnie w tej właśnie chwili David odbierał Josha z kościoła w Warminster. Jutro pomoże mu nadrobić zaległości w nauce, które powstały przez ich późniejszy powrót z wakacji zimowych.

– Sam, nienawidzę cię, ty manipulujący sukinsynu – szepnęła.

– Tak, kochanie – wymamrotał, całując ją łagodnie u nasady włosów.

– Puść mnie, ty śmieciu – wysyczała, próbując się mu wyrwać.

Wybuchnął śmiechem i mocno pocałował ją w usta.

Klara zmusiła się do szybkiego przypomnienia sobie tego, co przecierpiała przez niego w ciągu ostatnich trzech lat, ale wspomnienia blakły w obliczu jego energii i siły. To one kiedyś ją w nim pociągały. Nie chciała już być niezależna i rozsądna, pragnęła oprzeć głowę na mocnej, owłosionej piersi męża i czuć na sobie jego ramiona. Wiedzieć, że on się wszystkim zajmie – choćby tylko przez chwilę. Kiedy tak miękła i poddawała się, gdzieś w głębi umysłu zaświtała jej myśl, że w romansach Elinor istniało ziarno prawdy.

Później, kiedy Sam zasnął, leżała, przyglądając się refleksom ognia na suficie. Męczyło ją poczucie winy, była zdrajczynią. Ogarnęła ją rozpacz.

Pół godziny wcześniej, gdy się kochali, szepnęła do Sama:

– Dlaczego chcesz, żebym do ciebie wróciła? Powiedz mi prawdę.

Mąż mocno przycisnął ją do piersi; sztywnymi, skręconymi włosami łaskotał ją w nos.

– Ponieważ cię kocham – odpowiedział.

Ale Klara domyślała się, że rzeczywiste powody nie są aż tak romantyczne. Sam tęsknił za synem, żoną i życiem rodzinnym bardziej, niż mógł się tego spodziewać. Jak pies, który przyzwyczają się do swojego posłania, tak on przywykł mieć Klarę koło siebie; pobudzała go do śmiechu, zajmowała się domem i ich życiem towarzyskim, zabawiała jego klientów i dbała o wszystkie drobne, ale męczące szczegóły egzystencji. W ten sposób pozwalała mu skoncentrować się na pracy, którą uwielbiał.

Westchnęła. Sam naprawdę starał się, jak tylko potrafił, ale odnosiła wrażenie, że są to tylko starania. W którymś momencie odezwał się do niej cicho:

– Co więcej mogę zrobić? Żeby cię zadowolić, chodziłbym na rękach.

Również szeptem odpowiedziała:

– Właśnie dlatego to się nie uda, Sam. Dlatego, że wiem, iż ty się starasz i ja też. A z Davidem nie jest to potrzebne.

– Co on, do diabła, takiego robi, czego ja nie potrafię?

Po zastanowieniu Klara spróbowała mu to wyjaśnić, starając się przy okazji nie zranić jego uczuć.

– David akceptuje mnie taką, jaka jestem. Moje ciało i mój umysł. Aprobuję moje uczucia, więc nie muszę ich przystosowywać do jego oczekiwań. Jeśli nawet myśli o czymś inaczej niż ja, nie nalega, żebym zmieniła zdanie.

– Jednym słowem lepiej ode mnie sprawuje się w łóżku.

– To dowodzi, że w ogóle mnie nie słuchałeś! – Coraz bardziej się irytowała. – Rzuciłam cię, ponieważ nie słuchałeś, co do ciebie mówię i nigdy nie traktowałeś mnie poważnie! Kiedy opowiadałam ci o rzeczach dla mnie ważnych, robiłeś stosowne uwagi, ale wiedziałam, że tak naprawdę wcale mnie nie słuchasz, bo nie przerywałeś czytania gazety albo robienia czegoś innego, czym akurat byłeś zajęty. W ten sposób przekonywałam się, że gazeta jest ważniejsza niż to, co miałam do powiedzenia! – Usiadła na łóżku. – Wydawało mi się, że w rzeczywistości nie ma cię koło mnie. Chowałeś się gdzieś, gdzie nie mogłam ci przeszkadzać.

– Chcesz powiedzieć, że odeszłaś ode mnie, bo ciebie nie słuchałem?

Klara podniosła rękę do góry w geście zwątpienia.

– Sam, masz bardzo krótką pamięć. To wygodne. Zostawiłam cię, ponieważ przyłapałam cię w łóżku z inną dziewczyną, któryś zresztą kolejny raz.

Zaczął tracić spokój. Po co wywlekać te rzeczy ponownie?

I jeśli tak bardzo jej to przeszkadzało, jak doszło do tego, że znaleźli się w łóżku? Westchnął i rzucił zgryźliwie:

– Nie zapomniałem o niczym, prawda? Miałaś orgazm? Czy jedno pieprzenie z nieodpowiednią cipą może zepsuć nasze stosunki?

Klara odcięła się:

– Zdrada unieważnia śluby małżeńskie.

Była nieugięta. Nauczyła się przez cierpienie, że nieuczciwość małżeńska zmienia życie kobiety na gorsze, bo przecież nie da się oddzielić seksu od rzeczywistości.

Nagle uświadomiła sobie wyraźnie, z którym mężczyzną chce spędzić resztę dni. Sumienie kazało jej wrócić z Joshem do jego ojca i dać Samowi jeszcze jedną szansę na udowodnienie, że potrafi być dobrym mężem, ale już raz ona i Josh przecierpieli rozstanie z nim. Po co miała to powtarzać?

Dlaczego miała ryzykować powrót do Sama? Po co poświęcać nowe,

szczęśliwe życie, o które tak ciężko walczyła. Po co mamić się, że Sam tym razem dotrzyma danej obietnicy, chociaż złamał tyle poprzednich?

– Nie myślałem tego, co powiedziałem. – Sam szukał słów, które dotarłyby do Klary. – Kochanie, przepraszam cię.

Spokojnie strzepnęła jego rękę z ramienia. Podjęła już decyzję i nic jej nie zmieni. Nadal pozostawała tą samą egoistycznie nastawioną kobietą, a David ciągle był bezinteresowny. Był mężczyzną, który pomógł jej rozwijać swą osobowość. David był miły i delikatny, współczujący i myślący. Troszczył się o innych, a Sam nie, i dlatego też Sam okazał się złym kochankiem. Przypomniała sobie, że dopiero przy Davidzie przełamała swoje seksualne obawy. I to właśnie jego troska pomogła jej zwyciężyć niepewność, stanąć twardo na własnych nogach i odważnie walczyć z problemami.

Teraz, przyglądając się śpiącemu obok mężczyźnie, w duchu błagała Boga, by David nie stracił delikatności i współczucia, kiedy powie mu, że przepała się z Samem.

O szóstej tego samego wieczoru Miranda usłyszała Buzz fałszywie podśpiewującą w jedynej w domu łazience: „Wszystkie ładne dziewczyny kochają marynarza...”

Przygotowała tacę z herbatą i zaniósła ją na górę do pokoju gościnnego. Elinor siedziała w łóżku i wsypywała literki od scrabble'a do woreczka.

– Wygrałam! – oświadczyła z tryumfem, potem spojrzała na wchodzącą z przestraczem. – Nie myślisz chyba, że Buzz przegrała specjalnie?

– Na pewno nie – skłamała Miranda, nalewając babce herbatę. Podała jej filiżankę, po czym powiedziała łagodnie: – Babciu, muszę cię zapytać o coś bardzo ważnego. Kim jest Patricja Keller?

Staruszka trzęsącą się ręką powoli odstawiła filiżankę.

– Ona... ona pracowała jako sekretarka w biurze wojennym. – Usiłowała zachować obojętny ton. – Zginęła w czasie nalotu – zdaje się, że to było w 1943 roku.

– Musisz powiedzieć mi coś więcej, babciu. – Miranda mówiła spokojnie, ale stanowczo. Wyciągnęła z kieszeni pogięty akt urodzenia i list od Joe'ego Granta, po czym podała je Elinor.

Ta ze smutkiem popatrzyła na dokumenty.

– Po tylu latach... – zaczęła. – Zdaje się... że lepiej będzie, jeśli dowiesz się, co się zdarzyło. – Spojrzała na filiżankę ze stygnącą herbatą, ale przed oczami miała

fronton swojego domu w Earls Court Square w Wigilię 1941 roku.

Elinor, ubrana w zielony mundur żeńskiej służby ochotniczej, wyłączyła tranzystorowe radio. Tym razem wiadomości były pomyślne. W Waszyngtonie Churchill i Roosevelt ustalali przyszłą politykę, bo po japońskim nalocie na amerykańską flotę w Pearl Harbour Stany Zjednoczone postanowiły dołączyć do wojny.

W Londynie, nadal zagrożonym inwazją niemiecką, życie składało się albo z niszczycielskich nalotów, albo z porządkowania po nich. Jak wszyscy, Elinor stale była niewyspana, rzadko trafiał się jej pełnowartościowy posiłek i zazwyczaj pracowała siedem dni w tygodniu, od świtu do nocy. Nie opłacane ochotniczki wykonywały każdą brudną robotę, którą nie chciał zająć się nikt inny. Musiały opiekować się wyczerpanymi oddziałami wycofywanymi spod Dunkierki, doglądały ludzi ewakuowanych, wyszukiwały schronienie i pożywienie dla ofiar bombardowań, poświęcały własne wygody, by pocieszać innych.

O'Dare'owie mieszkali teraz w dużym pokoju, z najmniejszą liczbą sprzętów, by uniknąć sprzątanía. Mieli zapas węgla tylko na jeszcze jedno rozpalenie. Na prawo od kominka stało wysokie, podwójne łóżko z metalowymi siatkami po bokach. Spała w nim trzyletnia Klara i rok młodsza Annabel, a także sama Elinor. W czasie nalotów dołączał do nich Billy, który na ten czas opuszczał koszary.

Pod łóżkiem znalazły swoje miejsce różne przedmioty: maszyna do szycia należąca do Elinor, notatki na zajęcia pierwszej pomocy, kłęb ubrań do naprawienia i, dzisiejszego wieczoru, małe drzewko wigilijne, które Billy kupił w pubie za astronomiczną sumę, oraz powyginane kartonowe pudło.

Elinor podniosła jego pokrywę i uśmiechnęła się z niedowierzaniem. Ostrożnie wzięła w palce złotowłosą figurkę aniołka z porcelany ze skrzydełkami zrobionymi z prawdziwych piór.

– Billy, popatrz! Chyba nic się nie potłukło. – Kruche, złote i srebrne bombki, różnokolorowe papierowe dzwonki, jaskrawe, harmonijkowe łańcuchy, wszystko czekało na powieszenie na choince.

– Po co zawracać sobie głowę strojeniem choinki w tym roku? – zapytał Billy, siedzący w zniszczonym fotelu koło kominka. – Dzieciaki i tak nie rozumieją, co to są święta. Sam chyba tego nie rozumiem. Po co rozwiesiłaś te skarpety? – Kiwnął głową w stronę dwóch czerwonych pończoch wiszących na ramie łóżka.

– Przestań zachowywać się jak stary niedźwiedź – zgaśniła go radośnie Elinor. – Dzisiaj wieczorem, tak jak zawsze, przebierzesz się za Mikołaja. – I dodała jeszcze

przymilnie: – A jesteś najprzystojniejszym Mikołajem w całym Londynie.

– Zawsze się czuję jak kompletny głupiec – mruknął Billy, ale uśmiechnął się do Elinor. – Muszę przyznać, dziewczyno, że sama wyglądasz niczego sobie, nawet w tych warunkach. Marjorie jest w twoim wieku, a jej skóra przypomina deltę Nilu.

Mimo przekroczonej czterdziestki Elinor zachowała młode i wyraziste rysy twarzy. Na kremowej skórze nie widać było jeszcze zmarszczek. Różowe policzki wyglądały tak, jakby nadal mieszkała na wsi, niebieskie oczy tryskały energią, a bujne włosy ciągle miały swój miodowozłoty kolor. Utyła, ale to z powodu pożywienia, które w czasie wojny składało się głównie z chleba i ziemniaków.

Usłyszeli dzwonek do drzwi.

Automatycznie obydwójce spojrzeli w okno, sprawdzając, czy kotary są szczelnie zasłonięte i światło z pokoju nie przedziera się przez nie na zewnątrz. Nie zauważyli najmniejszej szpary. W takim razie to nie strażnik pilnujący zaciemnienia pukał do nich z upomnieniem.

Elinor odepchnęła nogą spod drzwi worek z piaskiem, położony tam, by zapobiec przeciągom. Drżąc od panującego w przedpokoju chłodu, podeszła do drzwi wejściowych.

– Kto tam?

– Znajoma Billy'ego – padła odpowiedź, wypowiedziana kobiecym głosem. W ciemności nie było widać jego właścicielki.

– Proszę szybko wchodzić do środka. – Po zamknięciu drzwi Elinor zapaliła w przedpokoju światło i przyjrzała się gościowi. Kobieta w jednym ręku trzymała małe dziecko zawinięte w koc, w drugim niewielką, zniszczoną walizkę.

Ze zdziwieniem na twarzy Elinor powiedziała:

– Pamiętam panią! Kiedyś w pubie w Whitehall widziałam, jak rozmawiała pani z moim mężem.

Było to w dniu, w którym urodziła się Annabel. Elinor zapamiętała oszalały wyraz w oczach dziewczyny, wychudłą sylwetkę i ciemny ubiór. Wyglądała wtedy na zrozpaczoną. Miała błagalny wzrok i opuszczone w rezygnacji ramiona. Widziała, jak dziewczyna oparła głowę na ramieniu Billy'ego, a ten szybko odepchnął ją od siebie.

– Kto to? – Billy, trzymając w rękach „Daily Telegraph”, otworzył drzwi pokoju.

– Pat! Co ty tu robisz, do cholery? – Cofnął się do wewnątrz. Kobieta postąpiła krok za nim. Elinor patrzyła na męża, który wydawał się jednocześnie zaskoczony, rozgniewany i zakłopotany.

Kobieta zlustrowała Billy'ego, ubranego w starą, zrobioną na drutach kamizelkę, wełniane skarpety, bez krawata. Bezbarwnym głosem stwierdziła:

– W domu nie wyglądasz już na takiego amanta, Billy. – Zabrzmiało to obojętnie i bez cienia nadziei. – Ostrzegłam cię, że ją tu przyniosę, jeśli sam się nie pojawisz. – Odwróciwszy się do Elinor, wyjaśniła gwałtownie. – To jego. – Ruchem głowy wskazała na zawiniątko w ramionach.

– Jak śmiesz tu przychodzić! Jak śmiesz robić mi te absurdalne zarzuty! – oburzał się rozwścieczony Billy.

– Szszsz! Obudźcie dziewczynki! – Automatycznie uciszyła ich Elinor, chociaż jej serce biło mocno.

Przez lata podświadomie czekała i bała się takiej sceny. Przeczuwała, że Billy wreszcie wpadnie. Dziwiła się, że doszło do tego dopiero teraz. Bez trudu uwierzyła dziewczynie, której słowa napawały ją surrealistycznym wrażeniem *deja vu*, chociaż ta młoda, wymęczona istota nie przypominała w niczym mocnej, pewnej siebie przeciwniczki, jakiej się spodziewała.

Stojąc na środku pokoju i nadal ściskając w rękach zawiniątko, dziewczyna zaczęła płakać. Cicho i tak jakoś żałośnie.

– Wiem, że Shorty powiedział ci o dziecku, Billy. Odwiedził mnie w szpitalu, przyniósł mi dwa jajka. Każdego dnia miałam nadzieję, że też się pojawisz. – Wybuchnęła głośniejszym płaczem. – Nie przyszedłeś ani razu!

– A czego się spodziewałaś, do cholery? – zapytał ostro Billy.

– Nie mogłam dłużej zostać w szpitalu. Nie mogę wrócić z dzieckiem do hotelu, do domu też nie. Mój ojciec by mnie zabił. Nie wiem, co mam robić! Billy, nie zajmiesz się nami? Pamiętasz, że przez cały czas mi to przyrzekałeś?

– Nie masz prawa przychodzić tutaj i wprowadzać rozłam między mnie i moją żonę – zaperzył się Billy.

Twarz kobiety stwardniała na te stanowcze i oficjalne słowa. Odwróciła się do Elinor.

Ta też się jej przyglądała. Wytarte brązowe palto nie ukrywało dziecięcej figurki. Dziewczyna najwyraźniej nie uświadamiała sobie zmysłowości, która silnie z niej emanowała. Prawdopodobnie tym właśnie przyciągnęła do siebie Billy'ego. Elinor z irytacją uzmysłowiła sobie, że ona sama, ubrana w zielony mundur ochotniczek, wygląda jak nieforemna kukła.

Dziewczyna ponownie zwróciła się do jej męża.

– Dlaczego wolisz zostać z nią? – Wskazała brodą Elinor.

Roztrzęsioną dłonią, nerwowo, Elinor pokazała kominek, na którym stały dwie

oprawione w srebrne ramki fotografie: siedmioletniego Edwarda i Edwarda z Jane w dniu ślubu.

Głośno zaś powiedziała:

– Ja i Billy jesteśmy małżeństwem już dwadzieścia trzy lata. To jest jego syn. Jego wnuczki śpią w tym pokoju. Jesteśmy rodziną Billy'ego i on nigdy nas nie opuści. – Jej głos pobrzmiwał spokojną pewnością, choć wcale jej nie czuła. Z drugiej strony wiedziała, że mąż polega na jej sile, zdolnościach przystosowawczych. Opiekowała się nim i mimo wojny zapewniała domowe wygody. Lubił, gdy się o niego troszczono, nie chciał stać się odpowiedzialny za tę bezradną młodą kobietę i jej kwilące dziecko.

– Ale przecież nie możesz mnie tak po prostu porzucić! – sprzeciwiała się błagalnym tonem Pat Kenie. – Twoim obowiązkiem jest się nami opiekować. Nie mamy nikogo innego, Billy.

Popęłniła kardynalny błąd. Zakłopotany schronił się za Elinor.

– Nie możesz udawać, że nie istniejemy! – łkała dziewczyna. Dziecko na jej ramieniu też zaczęło płakać. – Billy, powiedz mi, co mam robić! Nie mam możliwości opiekować się dzieckiem i zarazem zarabiać na utrzymanie! – Zaklinała go wzrokiem. – Ono jest twoje, bez względu na to, czy tego chcesz, czy nie. Wiesz, że oprócz ciebie nigdy nie miałam innego mężczyzny! Kocham cię, Billy! – Odwróciła się do Elinor. – To dziecko jest tak samo jego, jak i moje! Dlaczego sama mam ponosić całą odpowiedzialność? On ma dom i kogoś, kto się tym domem zajmuje, ja nie mam.

Podnosząc głos, by przekrzyczeć zawodzenie niemowlęcia, Billy powiedział:

– Nie przyznaję się do tego dziecka. – Odwrócił się do Elinor. – To prawda... No, sama widziałaś, że to ona mi się narzucała. Ale to się zdarzyło tylko kilka razy. I nigdy nie... myślałem o niej poważnie. Gdyby nie te idiotyczne religijne przykazanie, mogłaby się zabezpieczyć! To był jej obowiązek!

W tym momencie Annabel, obudzona hałasem, otworzyła oczy i zaraz zaczęła płakać. Po chwili dołączyła do niej Klara. Billy zatkał rękami uszy i odwrócił się w stronę okna.

Nie wierząc własnym oczom dziewczyna wpatrywała się w jego plecy.

– No cóż, dłużej nie dam sobie sama rady – oświadczyła, po czym położyła zawiniątko na łóżku. Zanosząc się łzami wybiegła z pokoju.

Mały pakunek, w którym zapłakane dziecko poruszało się gwałtownie, zaczął zsuwać się na brzeg posłania. Mała piąstka wydostała się spod koca.

Elinor podbiegła, bojąc się, że niemowlę spadnie na podłogę. W tym samym

momencie usłyszała trzask drzwi.

– Głupia dziwka – stwierdził Billy obronnym tonem. By przerwać wypełnioną emocjami ciszę, włączył radio. Siostry Andrews wesoło śpiewały o Boogie-Woogie Bugler Boy z Company B.

Z dzieckiem na ręku Elinor podeszła do radia i wyłączyła je. Wpatrywała się w męża.

– W szpizarni jest jakieś mleko w proszku. Przygotuj mi cały dzbanek. Szybko, bo ono jest głodne.

Postanowiła, że powie wszystkim, iż jest to trzecie dziecko Edwarda i Jane. Wprawdzie sześciomiesięczne niemowlę nie może uchodzić za dziesięciomiesięcznego bobasa, ale wyrobi mu się nowy akt urodzenia, z datą sprzed śmierci Jane. Będzie musiała ukrywać je przez jakiś czas przed sąsiadami, potem powie, że dziecko urodziło się przedwcześnie, było i jest malutkie, jak na swój wiek, i długo trzymano je w szpitalu... Na szczęście Annabel i Klara są za małe, by pamiętać szczegóły pojawienia się ich siostrzyczki... Nie będzie trudno przekonać wszystkich do tej wersji.

– Co... się stało z moją matką? – wyszeptała Miranda.

– Nigdy więcej nie spotkałam panny Ketde – ze współczuciem w głosie wyjawiała Elinor. – Nie mam pojęcia, czy potem Billy nadal się z nią spotykał. Wątpię, żeby się na to zgodziła. Więcej nie rozmawialiśmy na jej temat.

– Zostawiła mnie. Moja matka mnie porzuciła – stwierdziła z niedowierzaniem Miranda.

– Była bardzo młoda i u granic wytrzymałości. Musisz to zrozumieć!

– Nie! – prawie wrzasnęła wnuczka, a jej twarz przybrała kolor popiołu. – Proszę, nie zniosę tego. Chcę mieć moje siostry i chcę, żebyś ty była... Kocham cię, babciu! Chcę należeć do waszej rodziny! Tylko ty zawsze o mnie dbałaś. Tylko ciebie nigdy nie przestałam kochać!

– Jesteś w naszej rodzinie – zapewniła staruszka. Wyciągnęła słabe ramiona i przytuliła Mirandę do siebie. – Jedni rodzą się w rodzinie, inni są wybierani. Wybrałam cię już dawno, dawno temu, Mirando, i kocham cię dokładnie tak mocno, jak Annabel i Klarę. – Pogłaskała dziewczynę po włosach. – Są twoimi siostrami i wierzę, że nigdy nie powiesz im prawdy.

– Ale w takim razie będę je oszukiwała – płakała. – Nie mogę patrzeć im w oczy i kryć przed nimi tak ważnych dla nich informacji! – Odsunęła się od babki. – Nie chcę ich okłamywać – postanowiła. – Nie będę ich oszukiwała. I nie chcę oszukiwać samej siebie! Inaczej nigdy nie zrozumieję, kim właściwie jestem! –

Zaczęła pochlipywać. – Nie mogę zachowywać się jak siostra, wiedząc, że przez cały czas je oszukuję?... Ty zawsze potrafiłaś zamknąć oczy na rzeczy i sprawy, których nie chciałaś widzieć, albo zakładałaś różowe okulary i patrzyłaś tylko na to, co ci odpowiadało. Ale ja chcę spojrzeć życiu prosto w twarz. Wolę walczyć z przeciwnościami losu, niż je ignorować. Nie potrafiłabym żyć z ludźmi, których kocham, odgrywając jakąś rolę, oszukując ich. Nie mogę tego zrobić! Nie umiałabym zachowywać się naturalnie i nigdy nie zaznałabym spokoju. Nie zniosłabym takiego stresu. Bezustannie gryzłoby mnie sumienie.

– Proszę cię, kochanie – upominała ją Elinor błagalnym tonem. – Zawsze byłaś niecierpliwa i prostolinijna, ale tym razem proszę, byś mnie posłuchała. Annabel i Klara były za małe, żeby cokolwiek zrozumieć. Jeśli ukryłam przed wam prawdę, to dlatego, że was kocham. Wszystkie tak samo. Uważa się, że osieroconemu dziecku najlepiej jest nie mówić, że zostało adoptowane, i wychowywać je jak pozostałe naturalne dzieci. Tak właśnie postąpiłam w twoim przypadku.

– Ale, babciu, nie zdajesz sobie sprawy, co ja teraz czuję.

To tak, jakby ktoś nagle zepchnął mnie z urwiska i jakbym spadała w przepaść. Nagle brakuje mi gruntu pod nogami.

Moje życie już nigdy nie będzie takie jak przedtem. Teraz nie wiem, gdzie jest moje miejsce...

– To nonsens. Należysz do nas, jak zawsze. – Elinor chudą dłonią pogłaskała Mirandę. – Mimo że to wszystko wydaje się takie ważne, w gruncie rzeczy jest nieistotne. Nic się nie zmieniło: dalej jesteś panną O'Dare – dalej jesteś członkiem rodziny... naszej rodziny. To, co się wtedy wydarzyło, było dla mnie bardzo przygnębiające, ale gdyby się tak nie stało, nie miałabym trzeciej wnuczki. Dlatego cieszę się bardzo, że przeszłość ułożyła się tak, a nie inaczej!

Miranda przygryzła dolną wargę. – Niemniej, nie mogę kryć tego przed moimi... przed Klarą i Annabel.

– Istnieje różnica między oszukiwaniem a zachowaniem tajemnicy – przypomniała jej Elinor. – Każdy ma moralne prawo do bronięcia swojej prywatności. Tak postępują wszyscy i zawsze. Nikt nie papla swoich tajemnic całemu światu. Czasami dyskrecja – i nie zgadzam się, byś nazywała to kłamstwem – jest najlepszą polityką.

– Ale one nie są „całym światem"! To... moje siostry... i chcę, by poznały prawdę.

– W takim razie wolałabym, żeby to nie stało się w tej akurat chwili. Nie chcę, by przejmowały się z twojego powodu, ostatnio spotkało nas wystarczająco dużo

złego. Poza tym nic nie uzyskasz, mówiąc im prawdę. Nie teraz.

Miranda wpatrywała się w staruszkę.

– Skąd możesz to wiedzieć? Ty, która zawsze uciekałaś od prawdy, jeżeli ci nie odpowiadała! Ty, która tyle razy kłamałaś – czy to pomijając fakty, czy insynuując. Babciu, oszukiwałaś wszystkich, a najbardziej samą siebie. Dlaczego?

Elinor zastanowiła się przez chwilę, zanim odpowiedziała. W jej głosie brzmiał ból.

– Dlaczego w ogóle ludzie kłamią? Ze strachu. Bałam się przemocy, bałam się, że stanę się jeszcze bardziej nieszczęśliwa, może, że pogrążę się w rozpacz, kiedy przyznam, że moje życie nie jest usłane różami. Bałam się stawać przed życiem w pojedynkę – strach każdej kobiety – i że nie dam sobie rady. Myślę, Mirando, że nie jestem człowiekiem zbyt odważnym.

Dziewczyna nie odezwała się, na jej twarzy zagościło zakłopotanie.

Babka z większym naciskiem zaczęła ją przekonywać.

– Mirando, nie jesteś teraz w stanie patrzeć na wszystko obiektywnie, nikt na twoim miejscu by tego nie potrafił. Więc, proszę, przyrzeknij mi, że na razie nikomu nic nie powiesz.

– Babciu, babciu, jak mogę pozwolić, żebyś to ty o tym decydowała? Jesteś tak samo słaba jak ja. Jak mam zaufać twojemu osądowi?!

– Proszę tylko, byś dała samej sobie nieco czasu na spokojne przemyślenia.

Po chwili zastanowienia Miranda powoli kiwnęła głową.

– Dobrze, zgadzam się.

– A jeśli w końcu uznasz, że należy im to powiedzieć, ja chciałabym to zrobić...

– naciskała Elinor.

– Dobrze – potwierdziła znużonym głosem dziewczyna.

– I zgódź się, żebym to ja wybrała czas i okoliczności. Tylko to mi przyrzeknij, kochanie.

– Jeśli tego pragniesz – przystała z ociąganiem Miranda.

Staruszka odetchnęła z ulgą. Udało jej się odroczyć nieprzyjemną sytuację, ale co ważniejsze, zdołała przekonać wnuczkę, że ta przykra wiadomość nie ma na nic wpływu. I tak rzeczywiście było.

Miranda odchyliła głowę i nieszczęśliwym wzrokiem patrzyła na babkę.

– Jest jeszcze jedna kwestia, która wzbudza moje zakłopotanie. Przez całe życie domagałam się równego udziału we wszystkim, co się działo. Czułam, że mam do tego moralne prawo. Kiedy, jako najmłodsza, czegoś nie dostawałam, myślałam, że się mnie oszukuje. Zawsze upierałam się, że mam prawo do jednej trzeciej twoich

pieniędzy. Robiłam z tego podstawową sprawę! A teraz okazuje się, że nie należy mi się nawet jedna dziesiąta pensa! I Adam o tym wiedział. Z jakiego innego powodu trzymałby mój akt urodzenia? Miał dowody na to, że ja nie dziedziczę nic z powiernictwa Dove. Och, babciu, jaka ze mnie zachłanna egoistka! Jak mogłaś ze mną wytrzymać?

– Cicho już, kochanie. Nie chcę więcej słuchać tych bzdur. Najmłodsze dzieci często czują się wyzyskiwane i zawsze to rozumiałam. Wszystko, co należy się każdemu dziecku, to porządne wykształcenie i dobry start w życiu, i szczęśliwie udało mi się to wam zapewnić. Co do reszty... Kto wie, czy zostaną mi jakieś pieniądze, które mogłabym wam przekazać? Ale żadna z nas nie będzie bezdomna i głodna. Poza tym nie jest to w tej chwili sprawa najważniejsza. – Otoczyła ramionami szyję Mirandy, a ta znowu poczuła się jak mała dziewczynka.

Potem Elinor powiedziała powoli:

– Może i ja potrzebuję tego spokoju umysłu, o którym mówiłaś.

Rozdział 32

SOBOTA, 1 LUTEGO 1969

Mike, ubrany w czarne skórzane spodnie i taką samą kurtkę, stał w szerokim rozkroku w pokoju Adama przed kominkiem, na którym płonęły sosnowe polana. Jego twarz miała kredową barwę, z szarych, szeroko rozstawionych oczu biła wściekłość i przerażenie.

Adam wymachiwał „Evening Standard”: „Piękność z towarzystwa traci oko!” – wykrzykiwał. – Kazałem ci ją postraszyć, a nie prawie zabić! Nie da się zatuszować czegoś takiego, przecież wiesz!

– Boję się tak samo jak ty. A co ty sobie myślisz? – Mike rzadko widywał swojego brata tak rozwścieżonego. W złym humorze, owszem, ale nie opętanego furiją. W przeciwieństwie do Mike'a, który jeśli go odpowiednio sprowokować, szybko dawał się ponieść emocjom, Adam swoje nerwy potrafił doskonale trzymać na wodzy.

– Jak to się, do diabła, stało?!

– Tych ludzi nie zawsze można kontrolować, wiesz o tym! Jeden z powodów, dla których wykonują taką pracę, to ten, że ją lubią. W pewnym momencie nie chcą już przestać.

Adam niemal zawył:

– Ale nie odzyskałeś moich notesów!

– W torbie Annabel nie było żadnych notesów, tylko zwykłe śmiecie – powtórzył z naciskiem Mike. – Przeszukali też jej ubranie i nic.

Adam nie zawracał sobie głowy wyjaśnieniem, że notatniki znajdują się na swoim miejscu w biurku. Żałował, że nie sprawdził tego wcześniej, nim Annabel została pobita. Coś nagle sobie przypomniał.

– Lepiej zadbam, żeby nic nie dotarło do Elinor! Oczywiście nie czyta prasy, ale ma tam w tym cholernym pokoju telewizor! – Mówiąc to podniósł słuchawkę i wykręcił numer zamiejscowy.

Po uzyskaniu połączenia oschłym tonem zwrócił się do recepcjonistki:

– Proszę z przelożoną Braddock... Co to znaczy... zwolniła się?.. W takim razie proszę z doktorem Craig-Dunlopem!

Recepcjonistka zaczęła się jękać:

– Doktor Craig-Dunlop jest w tej chwili na zimowych wakacjach, na statku

wycieczkowym pływającym po Karaibach.

– Kiedy wraca? – W głosie Adama dźwięczała już stal.

– Doktor Craig-Dunlop już opuścił statek – wyjaśniała kobieta. – Przyłeci do Anglii, jak tylko będzie mógł najszybciej. Zadzwońię do pańskiego biura zaraz po jego przyjeździe, panie Grant.

Adam miał ochotę kopnąć samego siebie. Powinien sprawdzać Elinor każdego cholernego dnia. Dlaczego lekarz nie poinformował go, że wybiera się w rejs? Dlaczego ktoś nie powiedział mu, że przełożona odeszła? Mój Boże, zawsze jeśli chce się, żeby coś zostało zrobione, trzeba to wykonać samemu.

Zapytał ostro:

– Kto w takim razie zarządza teraz domem opieki?... Proszę więc przekazać przełożonej, że chcę z nią natychmiast rozmawiać... O jednej z pacjentek, oczywiście... Pani O'Dare.

Recepcjonistka bąkała coś pod nosem.

– Mamy ściśle zarządzenie, by nie przeprowadzać żadnych rozmów dotyczących tej pacjentki.

Adam niemal stracił dech z oburzenia.

– Jestem adwokatem pani O'Dare! – Jego głos przycichł i już spokojnie zapytał:
– Czy pani O'Dare umarła?

Nastąpiła długa przerwa.

– No więc jak, umarła? – zachrypiał, czując jak strach znowu pcha się na powierzchnię.

– Nie. Pani O'Dare nie odeszła od nas. – Kobieta niechętnie wyznała prawdę. – Ale nie mogę panu nic więcej powiedzieć.

To jasne, że było jeszcze wiele rzeczy, które powinien usłyszeć. Coś dziwnego działo się u Lorda Willingtona, ale Adam był przekonany, że więcej informacji uzyska od tej głupiej dziwki w recepcji niż od tej zidiociałej przełożonej. Niemalże szczerknął w słuchawkę:

– Jeśli nie powie mi pani, co się dzieje, natychmiast przyjeżdżam do Eastbourne.

Przeżrana recepcjonistka wcale nie miała ochoty spotkać się z nim twarzą w twarz. Wypaliła w słuchawkę:

– Nic to panu nie pomoże, bo pani O'Dare już tu nie ma!

– Co to znaczy, nie ma?! – wrzasnął.

Ale kobieta na wszelki wypadek rozłączyła się. Adam odwrócił się do brata.

– Rozłączono mnie. Sądzę, że umyślnie. Zastanawiam się, co, do cholery, tam

się dzieje?

Mike nie mógł wyjść z podziwu, jak szybko brat przerzucił się od sprawy pobicia Annabel do kłopotów związanych z Elinor. Dlaczego tak się przejmuje tym, gdzie ona teraz przebywa? I na dodatek wyraźnie chciałby, żeby już nie żyła. Dlaczego?

Doszedł do wniosku, że za wszystkim muszą stać pieniądze. Zapewne Adam wykręcił jakiś numer z testamentem staruszki. Co za zimnokrwisty z niego sukinsyn!

– Zawieziesz mnie na swoim motorze na stację Victoria! – rozkazał Adam. – Następny pociąg odchodzi za piętnaście minut, więc ruszajmy się, ty ospały kretynie!

Mike obrzucił go zdumionym spojrzeniem. W normalnych warunkach brat nigdy nie zniżyłby się do skorzystania z jego motoru. Nigdy nie rozumiał, dlaczego Mike wolał nim jeździć – jak jakiś smarkacz – mimo że miał zupełnie nowy samochód, który był szybszy od tych dwukołowych straszliwych maszyn. Adam nie zdawał sobie sprawy, że motor to nie jest już środek transportu dla biedoty: motory są niebezpieczne i podniecające. Mężczyzna jeżdżący na nich to mężczyzna gotowy do działania. Nawet najdroższe Ferrari jest tylko znikającym punkcikiem we wstecznym lusterku szybkiego motoru.

Ale Adam najwyraźniej nie rozumiał też, że w godzinach szczytu żaden pojazd nie jest lepszy w przeciskaniu się, przedzieraniu przez londyńskie korki niż motor.

– Chodźmy! – pospieszał go ostro, biegnąc w stronę drzwi. W holu zatrzymał się i włożył płaszcz, niecierpliwie czekając, aż brat zapnie swój niemiecki, płaszcz ze skóry, zdobyty przez ich wuja w Monachium w 1945. – Szybciej! – warknął.

Nie zwracając sobie głowy windą, zbiegli po schodach. Mike po drodze założył kask i skórzane rękawiczki; w razie wypadku wolał poświęcić ubranie, nie własną skórę.

Na zewnątrz zapadł już zmrok. W ciągu dnia słabe słońce rozpuściło brudny śnieg i teraz ulice były suche.

– Jezu Chryste, ruszaj już! – niecierpliwiał się Adam.

Motor nie zapalił od pierwszego kopnięcia.

– Mike Motorek! – kpił brat. Nawet on wiedział, że legendarny wyścigowiec Mike Hailwood nosił przydomek właśnie Mike Motorek. Wiedział też, że brat nie lubił, kiedy drwiono sobie z jego maszyn.

Mike, i tak już zdenerwowany po usłyszeniu wiadomości o Annabel, odwrócił głowę i powiedział:

– Nie wyładowuj na mnie tego swojego cholernego humoru!

– Będę do ciebie mówił, co mi się, kurwa, spodoba, a ty, do cholery, masz robić, co ci każe! – wrzasnął Adam.

Jak zawsze Mike dał się zaskoczyć nagłą zmianą nastroju brata. Rozumiał, że Adam, kiedy świat okazał się zbyt zatrważający, otoczył się skorupą. Wiedział też, jak głębokie są jego uczucia, choć krył je przed innymi. Ale nigdy nie mógł pojąć, dlaczego, w przyływach złego humoru, spośród wszystkich ludzi na chłopca do bicia zawsze wybiera właśnie jego.

Ponownie kopnął w starter. Motor tylko kaszlnął.

– Dlaczego ta pierdolona maszyna nie chce zapalić? – wrzeszczał Adam. Rąbnął nogą w bok motoru.

– Nie kop mojego motoru! – zachrypiał Mike. Po latach pozostawiania na łasce Adama, znoszenia poniżania, wysłuchiwanie przekleństw i złośliwych żartów, kiedy tylko nie dopisywał mu nastrój, wreszcie stracił nad sobą kontrolę. Zdecydował, że nadszedł czas, by brat przestał traktować go jak psa. Nadeszła pora – najwyższa – na nauczkę. Pokaże mu, że nie zawsze jest się na tej lepszej pozycji. Chociaż raz to on będzie tym, który rządzi! Postanowił, że napędzi bratu porządne stracha.

Czarny Egli Vincent z niklowaną ramą zapalił po trzecim kopnięciu. Wsluchując się w huk dochodzący z pracującego 1000 cc V twin Mike uśmiechnął się do siebie. Silnik Vincenta był podrasowany i wyciągał sto czterdzieści mil na godzinę.

Skręcił z Cadogan Place, po czym skierował się na lewo w Pont Street. Z wyciem motor wystrzelił w Belgrave Square, ulicę biegnącą przy parku otoczonym kremowymi, klasycystycznymi budynkami.

– Hej! – Adam na wpół ogłuszony hałasem krzyczał ponad ramieniem brata. – To ulica jednokierunkowa! Źle skręciłeś!

Mike uśmiechnął się tylko. Wiedział, że o tej porze na Belgrave Square ruch nigdy nie jest zbyt duży.

Egli z ogromną prędkością pędził wzdłuż czarnych sztachet ogradzających ogród.

– Co ty, kurwa, wyprawiasz? – krzyczał Adam, mimo wiatru wpadającego mu w usta.

Przerażenie brata wywołało na twarzy motocyklisty złośliwy uśmiech. Ogarnęła go euforia, uderzyła mu do głowy, jak gazujący szampan na pusty żołądek. Motor, którego drgania czuł pod nogami, lekko mknął przed siebie.

Ostry wiatr, uderzający Adama w twarz, wyciskał mu łzy z kącików oczu. Budynki pochylały się na niego. Nie, to motor się pochylił. Czuł zawrót głowy. Bał się. Zjechali z drogi wolno poruszającej się limuzynie. Adam krzyknął i zacisnął ramiona na talii brata.

Ten wybuchnął śmiechem. Gdy z rykiem wyślizgiwał się z Belgrave Square, nadal dochodziło go wściekłe wycie klaksonu. Wiedział, co Adam myśli: że się popisuje, że prowadzi jak wariat. Pewnie wydawało mu się, że nie kontroluje maszyny, chociaż Mike był jej pewien.

Za placem powinni skręcić w prawo, w stronę stacji Victoria, jednak kierowca zjechał na lewo.

– To nie jest droga do Victorii! Gdzie ty, do diabła, jedziesz? – Wiatr wbijał mówiącemu słowa z powrotem w usta.

W tej chwili Adam naprawdę zastanawiał się, czy nie zeskoczyć z motoru, ale przy tym ruchu ulicznym, w ciemną noc wydawało się to bardziej niebezpieczne niż trzymanie się kurczowo brata.

Motor nabierał prędkości, a Mike czuł, jak wzrasta w nim ekscytacja. Adam, który nigdy nie poświęcił drugiemu człowiekowi jednej myśli, dowie się teraz, co znaczy znaleźć się na czyjejs łasce, znosić przemoc, być przerażonym.

Przed nimi pojawił się wysoki łuk tryumfalny z wymyślną bramą. Mike pędził w jej kierunku, jakby postanowił się o nią rozbić.

Adam krzyknął.

W ostatniej chwili motor zboczył z drogi.

Teraz po lewej stronie pojawiły się drzewa rosnące w cieniu starodawnych lamp ulicznych, a po prawej mignęły sterczące u góry ściany Buckingham Pałace.

– Pochylaj się razem ze mną – krzyknął Mike przez ramię.

Egli zaczął slalom. Świecący potwór w samobójczym stylu prześlizgiwał się między pojazdami. Wycie klaksonów przewyższało nawet hałas silnika. Adam wcisnął głowę w plecy Mike'a, przytulił się do niego, koncentrując się tylko na tym, by po prostu przeżyć. Myślał jedynie o tym, co miał zrobić za sekundę.

Z potężnym rykiem zbliżali się do pomnika stojącego na wprost Buckingham Pałace, okrążyli go i popędzili w kierunku Mail, i tu Mike rozwinął maksymalną prędkość.

Policzki Adama zapadły się od ciśnienia powietrza, oddech z trudem wydostawał się z gardła. Po lewej mignęły zakończone blankami mury St. James's Pałace. Przed sobą mieli czerwone światło.

Mike nie zmniejszył prędkości.

Adam zamknął oczy.

Kiedy docierali do skrzyżowania, światła zmieniły się na pomarańczowe. Egli był na pełnych obrotach.

Adam, zdziwiony, że ciągle żyje, otworzył oczy, popatrzył na wznoszący się przed nimi stateczny, szary Admirał Arch.

Z piskiem opon Mike złośliwie zwolnił, skręcając w Trafalgar Square. Na krótko przednie koło oderwało się od nawierzchni.

Kiedy motor wytracił prędkość, mózg Adama zaczął pracować na nowo.

– Co mam zrobić, żebyś się zatrzymał? Czego ode mnie chcesz? – przekrzykiwał kakofonię dźwięków dobiegających z tyłu maszyny, kiedy przegrzany silnik strzelił, a rura wydechowa sypnęła ognistymi iskrami.

Mike zwrócił motor na prawo, wołając przez ramię:

– Dziesięć procent tego, co dostajesz z powiernictwa Dove.

– Jesteś pierdolnięty! – wrzasnął Adam. – Nie!

Mike wykrzywił usta. Więc dobrze się domyślał. Adam okradał powiernictwo. Poruszył nadgarstkiem i maszyna zwiększyła prędkość.

Okrażali teraz Trafalgar Square. U stóp Kolumny Nelsona stały cztery olbrzymie lwy z brązu, otoczone półkolem żelaznych słupków. Za nimi dwie podświetlone fontanny z nimfami i delfinami z brązu. Oczywiście w ciemną, zimną noc nie stali tu żadni turyści ani namolni przekupnie, ale i tak na placu panował duży ruch samochodowy. Egli mijalo ociężałe czerwone piętrowe autobusy i lukrecjowoczarne taksówki.

Adam znowu zaczął się zastanawiać, co jest bardziej niebezpieczne, trzymać się brata, czy zeskoczyć z motoru. Prawie zdecydował się na to drugie, wiedząc, że Mike będzie musiał zwolnić, skręcając w prawo – naturalnie jeśli zakręci – u wylotu placu.

Jednak Egli wspinał się w górę, na szczyt, a Adam zobaczył rząd słupków oddzielających kamienne schody, prowadzące w dół, na plac; uderzenie w jeden z tych żelaznych filarów nierozzerwalnie łączyło się z marszem pogrzebowym.

Postanowił mocno się trzymać i pamiętać, jakim dobrym motocyklistą jest Mike. Choć nie było sensu mamić się, że brat nie podejmuje ryzyka, bo motocykliści robili to za każdym razem, kiedy dosiadali swoich maszyn.

Zakręcili w prawo. Egli przemknął między dwoma słupami.

Staczali się po wąskich schodach przy wtórze zachrypniętego wrzasku Adama.

Chmura gołębi wzbiła się w powietrze, gdy motor zjechał z ostatniego schodka, minął rzeźbione fontanny i z hukiem przejeżdżając przy rzeźbach przykucniętych

Iwów ponownie śmignął na ulicę.

Jeszcze raz Mike przechylił maszynę na prawo. Dobry Boże, pomyślał Adam. On zamierza powtórzyć te swoje koszmarnie manewry!

Pochylił się i krzyknął bratu do ucha:

– W porządku! Dziesięć procent. Wygrałeś!

Mike uśmiechnął się jadownicie. Wiedział, że Adam nie da mu złamanego pensa, ale nie zależało mu na pieniądzach. Nie chciał ich. Pragnął tylko być górą i zmusić brata do błagania o litość – choć raz.

– Pewien jesteś, że chcesz mi je dać? – przekomarzał się, znowu okrążając plac.

– Tak!

– Na pewno?

– Tak! Tak!

– Nie wierzę ci! – Śmiech Mike'a dobiegał do Adama przerywany podmuchami wiatru. Motocyklista naprawdę cieszył się tą jazdą.

Egli ponownie minął szczyt placu i kierował się na wprost. Jak wyjący czarno-srebrny pocisk przemknął obok policjanta, kierującego ruchem na światłach. Następnie Mike skręcił w lewo, w Strand.

Po prawej stronie Adama błyskały światła stacji Charing Cross. Poczł mdłości i wywołane prędkością. Miał nadzieję, że nie zwymiotuje...

Do diabła, a co by się stało, gdyby nawet to zrobił?

Pierwsze światła przed nimi paliły się na zielono.

Następne także.

Serce Adama waliło mocno, kiedy zbliżali się do trzeciego skrzyżowania podzielonego balustradą.

Tu też świeciły zielone.

Adam schylił głowę, zerkając z boku na srebrny portyk hotelu Savoy. Portierzy w wysokich kapeluszach, ubrani w zielone liberie, pilnowali obrotowych drzwi.

Mike skręcił w lewo, przeciął wysepkę na Aldwych, po czym wrócił przed hotel.

Nagle zaczął padać deszcz, na który zanosilo się całe popołudnie.

Adam westchnął, skulił się w sobie, ale mimo to woda spływała mu po szyi. Nie miał odwagi puścić się jedną ręką, by postawić kołnierz płaszcza. Zabije Mike'a, kiedy ten się w końcu zatrzyma!

Zbliżali się do ślepej uliczki, przy której stał hotel, i w tym samym momencie światła zmieniły się na zielone. Mieli przed sobą wolną drogę.

Nie widząc zmiany świateł, majestatyczny kasztanowy Bentley powoli

wyjechał z uliczki na główną drogę.

Mike gwałtownie skręcił w prawo, by uniknąć zderzenia z potężną maszyną. Powtórzył manewr, tym razem omijając balustradę, dzielącą ulicę na dwa pasma.

Przed nimi włoski biznesmen płacił właśnie za taksówkę. Bez oglądania się za siebie, z przyzwyczajenia, otworzył drzwi po prawej stronie.

Egli szarżował na otwarte drzwi taksówki.

Wyrwał je z zawiasów. Przysadzisty Włoch ze złamanym kciukiem wpadł z impetem do środka pojazdu. Mike i Adam wylecieli w powietrze, koziołkując nad drzwiami taksówki.

Lecąc głową do przodu, Adam uderzył w rzeźbiony, jasnoniebieski słupek latarni. Odrzuciło go na plecy, aż na chodnik.

Motor, pochylony na lewą stronę, ślizgał się dalej ulicą, trąc o nawierzchnię oparciami dla nóg i krzesząc ulewę ognistych iskier.

Zaraz potem nastąpiła cisza. Przez moment wydawało się, że czas stanął w miejscu.

Mike leżał na plecach na jezdni pomiędzy taksówką a motorem. Spróbował się podnieść i natychmiast jego lewe ramię i nogę przeszył straszliwy ból. Opadł na ziemię. Prawą ręką dotknął lewej i wyczuł poszarpaną skórę i ciekącą krew: rękaw kurtki był oderwany. Przesunął dłoń do lewego uda i natknął się na postrzępione resztki nogawki spodni. Kolano miał nie naruszone. Znowu spróbował je zgiąć, ale bez powodzenia.

Powoli unióśł głowę i rozejrzał się dokoła. Motor leżał na lewym boku, koła ciągle się obracały. – Cholera! Pomyślał, że jeśli chodzi o złamaną nogę, to z pewnością się zagoi, ale jego ukochany motor można już było spisać na straty.

Cały czas padał deszcz. Krzywiąc się z bólu, podciągnął się na prawym łokciu. Gdzie jest Adam? Obrócił się na prawo, żeby spojrzeć do tyłu.

Kilka kroków dalej zobaczył nieruchomo leżącego brata.

Pomimo ulewy przechodnie z postawionymi kołnierzami zbierali się na chodniku. Jakaś kobieta krzyczała:

– Niech ktoś wezwie policję! – Mężczyzna w meloniku i modnym płaszczu podbiegł do Mike'a czołgającego się ku środkowi ulicy.

Na propozycję pomocy Mike przecząco potrząsnął głową; z zaciśniętymi zębami, centymetr po centymetrze zbliżał się do brata. Wkrótce znalazł się na tyle blisko, by dostrzec, że Adam ma uszkodzoną czaszkę, a jego szyja wygięła się pod nienaturalnym kątem. Krew i strzępy mózgu rozbryznęły się po chodniku.

Wydając z siebie dziki jęk, Mike zaczął płakać.

Podszedł policjant i zarzucił na niego swoją czarną pelerynę przeciwdeszczową, ale Mike ją strząsnął. Kiedy przyjechała karetka, siedział na poboczu, trzymając Adama w ramionach i kołysząc go w przód i w tył. Po jego zabrudzonej, umazanej krwią i poranionej twarzy spływały łzy.

Dwóch sanitariuszy delikatnie odłączyło go od ciała Adama. Jeden z nich powiedział:

– W porządku, kolego, my się już nim zajmujemy.

– Uważajcie na niego – poprosił Mike, zachłystując się szlochem. – To mój brat.

– Oczywiście, kolego. O nic się nie martw.

W ciągle padającym deszczu układali Adama na noszach. Podnieśli je i w tym momencie lewe ramię zsunęło się w dół. Mike dostrzegł błysk złota.

– Jego zegarek! Lepiej go wezmę – oświadczył. Adam z jakichś nie wyjaśnionych powodów bardzo go sobie upodobał. Nigdy by nie wybaczył bratu, gdyby ten dopuścił, by ktoś go ukradł w drodze do szpitala.

Sanitariusze popatrzyli z politowaniem. Biedny wariat nie chciał zrozumieć, że jego brat jest już trupem. Policjant odpiął Omegę, ułożył ramię Adama na noszach, po czym podał zegarek Mike'owi.

– Zaraz wrócę po pana, sir – zapewnił. Jeszcze raz przykrył rannego swoim płaszczem przeciwdeszczowym.

Mike zerknął na zegarek i odwrócił go. W świetle latarni, o którą zabił się jego brat, dostrzegł na spodzie pięć rzędów wygrawerowanych cyfr.

Poczuł, że mu niedobrze; ogarnęła go słabość. Odłożył zegarek na kamienny krawężnik tuż obok siebie i opadł na chodnik. Nadal miał nadzieję, że wydarzenia nie dzieją się naprawdę. Ciągle wierzył, że zaraz powie Adamowi, jak bardzo mu przykro, że chciał go tylko postraszyć.

Wrócili sanitariusze i położyli go na noszach. Mike zapomniał o zegarku, który został pod latarnią, na kamiennym krawężniku, a deszcz opłukiwał go miękkimi kroplami.

Rozdział 33

WTOREK, 1 KWIETNIA 1969

Babciu, kochana, czy mogę do ciebie oddzwonić? – Miranda popatrzyła na plik folderów leżących na jej biurku. – Za dziesięć minut mam zebranie dyrektorów, a Adam zostawił tyle rzeczy, które należy naprawić. Tak jakbym miała za mało własnych zajęć!

– Mam nadzieję, że znajdujesz trochę czasu na przygotowania do ślubu – ze strachem przypomniała jej Elinor.

– Och, Angus się wszystkim zajmuje. Mnie nie wolno nic robić. Nie chce mi nawet powiedzieć, dokąd pojedziemy w podróż poślubną. Nawet lekarz, który robił mi zastrzyki, nic nie zdradził. Tylko się uśmiechnął i stwierdził tajemniczo: „To przeciw cholerze – nigdy za dużo ostrożności”.

– Tak bym chciała, żebyście miały z Klarą wspólne wesele.

– Wiesz przecież, że Klara i David nie lubią hucznych uroczystości. Poza tym ślub kościelny można mieć tylko jeden. – Miranda zerknęła na zegarek. – Kochana, czy to nie może poczekać do naszego spotkania w sobotę?

– Martwiłam się, że ponieważ jesteś tak zajęta, będziesz chciała odwołać sobotnie spotkanie. Dzwonię tylko po to, by upewnić się, że tak nie zrobisz.

– Przyznaję, że o tym myślałam. Wydaje mi się, że gdybym miała wolny weekend i nikt by mi nie przeszkadzał, prawie nadrobiłabym wszystkie zaległości.

– Ale nie ten – stanowczo upierała się staruszka. – Przyrzekłaś, że przywieziesz tu Annabel i zresztą to jest ostatni raz, kiedy spotkamy się wszyscy razem, Bóg wie przed jak długą przerwą. W poniedziałek przyjeżdża Scott, żeby zabrać Annabel na końcowe próby u St. George'a, a potem wylatują razem do Nowego Jorku.

– No cóż, jeśli nalegasz – zgodziła się niechętnie Miranda. – Przyjadę.

– Tak, Mirando – potwierdziła Elinor. – To ważne. Mam wam coś do powiedzenia, coś, co powinnam powiedzieć już dawno temu. To raczej... wyjątkowa historia.

– Moja droga, opowiadasz takie historie od czterdziestu...

– Wiem – przerwał jej cichy głos babki – ale to jest moja historia, Mirando, i nie mogę sama dłużej z nią żyć.

Coś w stylu „Wichrowych Wzgórz”, pomyślała Miranda, wzdychając.

– Będę pierwszą narzeczoną, idącą nawą St. Margaret's Westminster z aktówką

pod pachą, ale naturalnie przyjadę, jeśli to takie ważne.

SOBOTA, 5 KWIETNIA 1969

Jeszcze tylko pięć minut – powiedziała Miranda, kiedy skręciła Reliant Scimitarem z głównej szosy w kierunku domu Klary. – Pamiętaj Annabel – dodała – nie krępuj się nosić przy babci przesłony na oko.

– Oczywiście. Wprost uwielbiam nosić tę cholerną rzecz. Dodaje mi tajemniczości, jak tym facetom z reklam Hathaway. – Annabel zamilkła na chwilę. – Tak naprawdę, to nawet lubię tę zasłonkę, bo przypomina mi, że nie jestem już taka, jak dawniej. Och, wiem, chirurg przyrzekł, iż blizny znikną a szklane oko będzie wyglądało dokładnie tak samo jak prawdziwe, które straciłam, jednak, o dziwo, ten napad wrócił mi wolność. Spowodował, że stałam się sobą, a dopiero zaczynam odkrywać, kim jestem. Do tej pory ukrywałam się za połyskującym makijażem. I wiesz co? Jak na razie moje prawdziwe „ja” stanowi dla mnie duże zaskoczenie.

– Wszyscy jesteśmy dumni z naszej nowej, dorosłej Annabel, zwłaszcza babcia.

– Wydaje się, że wróciła do normy, jest twarda jak stare buty.

– Buzz mówi, że babcia każdego ranka budzi się ze szczęściem na twarzy tylko dlatego, że nie jest już w tym przygnębiającym domu opieki.

– Cały czas nie rozumiem, dlaczego nie chce zaskarżyć tego lekarza – zauważyła Annabel.

– Craig-Dunlop jest kryty przez prawo, a rozprawy ciągnęłyby się w nieskończoność. Tak twierdzi pan Owen – przypomniała Miranda. – Lepiej dla babci, jeśli uda jej się zapomnieć o wszystkim i cieszyć się przyszłością. Razem z Buzz planują wybrać się w podróż na południe Francji. Chcą znaleźć jakiś mały domek i zacząć wszystko od nowa, grzebiąc za sobą smutne wspomnienia.

– Och, pragnęłabym tego dla nas wszystkich – westchnęła Annabel. – Pozostało tyle spraw do rozwiązania. Zegarek Adama jeszcze się nie odnalazł?

– Nie. Jeden z sanitariuszy pamięta, że policjant zdjął mu go z ręki i podał Mike'owi, ale dalej nie wiadomo, co się z nim stało. Prawdopodobnie Mike upuścił go na ulicę, a to znaczy, że mogło się z nim zdarzyć wszystko. Ktoś mógł go podnieść i zabrać albo został zniszczony, a w takim razie szwajcarski bank przejmie całe pieniądze! Nawet nie mogę o tym myśleć!

– Nie rozumiem, dlaczego nasi adwokaci przeznaczyci taką wysoką nagrodę za odnalezienie go, jeżeli nie wiadomo na pewno, czy na zegarku znajdują się numery

kont. To tylko przypuszczenie Angusa.

– Założę się, że ma rację. Te numery muszą być gdzieś zapisane – upierała się Miranda. – Detektywi nie znaleźli niczego ani w domu Adama, ani w jego biurze. Poza tym to coś więcej niż tylko domysły Angusa. On twierdzi, że niektórzy ludzie grawerują je na spodzie sygnetów albo na kieszonkowych zegarkach. Sprawdziliśmy całą biżuterię Adama i nic nie znaleźliśmy. Nie, to musi być ten zegarek; zawsze go pilnował. Kto wie? Może się odnajdzie?

– Podejrzewam, że powinniśmy być wdzięczni Adamowi, że nie ukraść wszystkich pieniędzy babci – rzuciła ze złością Annabel.

– Tak, w powiernictwie zostało jeszcze około siedemnastu procent, trochę powyżej półtora miliona funtów – potwierdziła Miranda. – Oraz, o czym adwokaci są przekonani, powiernictwo dostanie wszystkie akcje SUPPLYKITS należące do Adama, w zamian za pieniądze, które niezaprzeczalnie ukraść. W rękach powiernictwa znajdzie się wtedy czterdzieści sześć procent udziałów w towarzystwie, co się równa jakimś dwóm i pół miliona funtów. Dodaj do tego wynagrodzenie za powieści babci, które nadal są wydawane, więc całość wygląda zupełnie nieźle. W dolarach amerykańskich, to co zostało w powiernictwie, równa się dziesięciu milionom.

– To oczywiście bardzo dobrze – zgodziła się Annabel – ale ciągle nie rozumiem, dlaczego powiernictwo nie było ubezpieczone, kiedy mówiono nam, że jest, i to na miliony.

– Ponieważ Adam starał się nie robić nic odbiegającego od prawa – tłumaczyła któryś raz z kolei Miranda. – To, że wyjmował pieniądze z powiernictwa i składał je w nieznanym miejscu, oczywiście nie zgadzało się z intencjami babci, ale pozostaje faktem, że przekazała mu wszystkie prawa, podpisała dokument, który wyraźnie stwierdzał: „Ja, niżej podpisana, upoważniam Adama Granta do robienia wszystkiego, co zechce z całym moim majątkiem”.

– Zastanawiam się, czy Adamowi udało się tak łatwo oszukiwać mężczyzn – dumiała Annabel.

– Prawdopodobnie nie – uznała Miranda. – Bóg wie, że nie są wcale mądrzejsi od kobiet, ale większość z nich wychowano tak, by dawali sobie radę. By sami o siebie dbali, a nie zależeli od innych... i ufali im.

Po obiedzie, kiedy Josh wyszedł pobawić się na podwórko, Elinor powiodła wzrokiem po twarzach, na których malowało się wyczekiwanie, i uznała, że nie nadarzy się lepsza od tej chwila, by wszystko im wyjawić.

Spokojnym głosem opowiedziała im o pochodzeniu Mirandy.

– Podły pies – skomentowała Buzz.

Klara spojrzała na zmęczoną twarz Mirandy i powoli powiedziała:

– Wiesz, że to nic między nami nie zmienia.

– Oczywiście, że nie – dołączyła się Annabel.

Wszyscy naraz zaczęli coś mówić. Ściskali i przytulali Mirandę. W końcu Elinor przerwała:

– Na początku nie chciałam zdradzać wam tej... nieprzyjemnej historii, ale Miranda nalegała i wtedy uświadomiłam sobie, że jest jeszcze coś, co powinnam wam wyjawić. – Wzięła głęboki oddech. – Każda z was uważa, że nie chcę mówić o tym, co się stało z Adamem, ale tak nie jest. Przez całe życie pozwalałam sobie ignorować lekcje, które powinnam sobie przyswoić, i zapominać te, o których powinnam pamiętać. Ale nie tym razem! Już nie mogę. Nie mogę dalej udawać, że nic złego się nie zdarzyło, że zawsze nastąpi szczęśliwe zakończenie. Nie po tym, co się stało. Nie po tym, kiedy widziałam moją rodzinę prawie zdruzgotaną. A wszystko dlatego, że nie potrafiłam stawić czoła rzeczywistości i zawsze, zawsze odwracałam się od nieprzyjemności. Teraz rozumiem, że jeśli na wzór ostrygi będziecie udawać, że problemy nie istnieją, nigdy ich nie rozwiążecie.

Po tym stanowczym przemówieniu nastąpiła cisza pełna zdumienia. Elinor wyraźnie wróciła do swojej hardości.

– Babciu, nie osądzaj siebie tak surowo – odezwała się Annabel. – Przetrwaliśmy.

– Ale jakim kosztem! Ty i ja mogłyśmy zostać zabite! Prawie straciłam rozum, nie mówiąc o pieniądzech. Waszych pieniądzech. Miranda utraciła swoje przedsiębiorstwo. Buzz została bez domu i środków do życia, a Klara niewiele brakowało, a odwróciłyby się ode mnie na zawsze. Jak mogłam do tego dopuścić?!

– Nie wiń siebie, Neli – wtrąciła się Buzz. – Nie wiedzieliśmy, co się szykuje, bo Adam był oszustem, a nikt nie zwraca uwagi na oszusta, który odnosi sukcesy, dopóki nie jest już za późno. I był w tym bardzo dobry – potrafił każdego ogłupić.

Elinor powoli potrząsnęła głową.

– Nie powinnam kryć się za tłumaczeniami. Nie tym razem i już nigdy więcej. Mogłam wszystkiemu zapobiec, zanim naprawdę się zaczęło, i wiem, dlaczego tego nie zrobiłam.

Obecni w pokoju wpatrywali się w mówiącą.

– Widzicie, nie wierzyłam, że sama potrafię dać sobie radę z własnymi problemami – wyjaśniła. – Kiedy mężczyzna mówi mi: „Tego kobieta nie

zrozumie", natychmiast dochodzę do wniosku, że rzeczywiście nic nie rozumiem i zrzucam wszystko na niego.

– Babciu – przerwała delikatnie Klara – tak się cieszę, że w końcu to przyznałaś.

– Zawsze oczekiwałam, że mężczyźni będą się mną opiekowali – ciągnęła staruszka. – Wydawało mi się, że oni najlepiej wiedzą, co robią. Teraz rozumiem, że się myliłam i żałuję tego. Skrzywdziłam was wszystkich.

– Nonsens! – sprzeciwiła się Annabel. – Nigdy nas nie skrzywdziłaś. Dawałaś nam wszystko, czego potrzebowaliśmy.

Elinor przesunęła wzrokiem wokół stołu.

– Tak, oprócz prawdy. Właśnie dlatego Annabel i Miranda czekały na księcia z bajki. Teraz dopiero rozumiem, że szczęście nie wiąże się z nadzieją, iż będziemy chronione przez iluzorycznego, wspaniałego mężczyznę, ale pojawia się wtedy, gdy odkryjemy tę zadziwiającą moc w kimś z pozoru niedoskonałym – w jego duszy, wnętrzu, które każda kobieta umie dostrzec. Tylko Klara niezmiennie twierdziła, że miesza romans z rzeczywistością. Kiedy ze mną walczyła, postanowiłam, że nie dam jej wygrać... Nie mogłam do tego dopuścić, ponieważ przegrana oznaczałaby zawalenie się zasłony, którą tak starannie budowałam, żeby ukryć prawdę o moim życiu. Głównie przed samą sobą, bo rzeczywistość okazywała się tak bolesna.

– Ale chyba nie po śmierci dziadka Billy'ego? – zapytała Annabel.

– Zwłaszcza po jego śmierci. – Elinor zamilkła na chwilę, po czym cichym głosem zaczęła na nowo: – Czas też, żebym powiedziała wam prawdę o śmierci Billy'ego, czas, żebym przestała wspominać fikcyjne życie i rozpoczęła nowe, prawdziwe... w realnym świecie.

Znowu przerwała. Wiedziała, że teraz musi zmobilizować całą wyobraźnię, wszystkie siły, żeby opowiedzieć tę najtrudniejszą do przekazania historię, z którą żyła tak długo, że prawie w nią już nie uwierzyła. Teraz wyjawi prawdę – bez sentymentów, bez upiększania.

– W dniu, w którym zmarł Billy – zaczęła – miałam wizytę u swojego wydawcy w Londynie. Wezwali mnie na konferencję prasową, ale oprócz tego istniał jeszcze jeden powód. Kiedy zjawiłam się w biurze, zastałam tam też Joe'ego Granta. Szerzyły się niesmaczne plotki na mój temat, zagrażające mojemu dobremu imieniu i mojej pisarskiej karierze. Wyglądało na to, że rozsiewa je Billy – głupie postępowanie, które miało na celu bardziej zwrócić na niego uwagę, niż skrzywdzić mnie. I rzadko kto słuchał tych plotek.

Jednakże ostatnie nie były już tak niewinne. Nie pochodziły od Billy'ego, ale wiązały się z nim i były naprawdę obrzydliwe.

Mówiono, że naprzykrzał się młodej dziewczynie... Nie, to niezupełnie tak. – Zastanowiła się nad doborem słów, postanawiając jak najjaśniej przekazać historię. – Molestował młodą dziewczynę, a przynajmniej próbował. Zaproponował, że będzie ją fotografował, po czym chciał ją rozebrać. Później, kiedy dziewczyna odgrażała się, że skontaktuje się ze mną przez moje wydawnictwo, Billy zwierzył się Grantowi, który starał się zatuszować całą sprawę. Joe uznał, że zrobi najlepiej, jeśli mnie uprzedzi. Tak naprawdę ja już o wszystkim wiedziałam. Może nie o tej dziewczynie, ale były też inne. Raz nawet rozmawiałam o tym z Billym, ale wszystkiego się wyparł. I oczywiście, bardzo chciałam mu uwierzyć.

Klara przerwała ciszę, jaka zapadła w kuchni po ostatnich słowach babki.

– Babciu, czy to teraz ma jakieś znaczenie? To było tak dawno...

– Wtedy miało – oświadczyła staruszka – ponieważ zdawałam sobie sprawę, że muszę się rozmówić z Billym. Miałam obowiązek ostrzec go przed niebezpieczeństwem, na jakie się naraża – naraża nas wszystkich. Ale żeby go o tym przekonać, najpierw musiałby przyznać przede mną i przed sobą samym, że mnie zdradzał. Wiedziałam, że jest to prawie niemożliwe, ale musiałam spróbować. Byłam zbyt załamana, żeby porozmawiać z nim zaraz po moim powrocie z Londynu, a zresztą tego wieczoru nie było go w domu. Wróciłam o dziesiątej, na godzinę przed zamknięciem pubów. Buzz też gdzieś wyszła. – Spojrzała na przyjaciółkę. – Pamiętasz, spędzałaś wtedy z nami w Starling swoje wakacje letnie i wyszłaś tej nocy do kościoła w związku z jakimś świętem. Byłam wykończona. Poszłam więc prosto do łóżka. Ale obudziłam się tuż przed północą... – Elinor zamknęła oczy.

Niemalże słyszała powolne, ciężkie kroki Billy'ego, gramolącego się na górę po schodach i ten wysoki, przerażający dźwięk, który ją zbudził. Wskoczyła z łóżka i wybiegła na korytarz. Rozczochrany mąż stał w połowie schodów. W prawej ręce trzymał za tylną nogę puszystego, białego kotka; to właśnie dzikie i przerażające wycie zwierzęcia ją przebudziło. Drugą rękę Billy wyciągnął w stronę Annabel, która skostniała z zimna i przestraszona stała kilka stopni wyżej.

Annabel cicho potwierdziła:

– Tak, pamiętam. Dziadek Billy znęcał się nad Śnieżką. A ty odciągnęłaś mnie i kazałaś iść z powrotem do łóżka. Słyszałam hałas, ale za bardzo się bałam, żeby ponownie wyjść z sypialni.

– Właśnie o to mi chodziło – oświadczyła Elinor. – To, co się zdarzyło potem,

było moją tajemnicą i myślałam, że jeśli nikt jej nie pozna, to całe wydarzenie stanie się jakby nierealne, jakby nigdy nie miało miejsca.

– Ale, oczywiście, zdarzyło się. Jak tylko Annabel zniknęła za drzwiami, wyrwałam Bill/emu kota. Wtedy on złapał mnie. Zaplątał się w koronki mojego szlafroka i pociągnął mnie w swoją stronę. Poczulałam zapach brandy. I wyczułam jego złość i chęć walki. W tej chwili uświadomiłam sobie, że muszę się od niego uwolnić. Nie mogłam dłużej znosić jego kłamstw i mojego nim obrzydzenia i strachu – zawsze takiego samego. Bałam się, że pewnego dnia zrobi wam coś złego. Strachu, że inni się dowiedzą. I chyba najbardziej bałam się, że mi go zabiorą i zamkną w więzieniu.

Podjęłam decyzję. Z całej siły odepchnęłam go od siebie w dół schodów. Spadając, oderwał koronki od mojego szlafroka, ale nie udało mu się pociągnąć mnie za sobą. Przyglądałam się, jak się potyka, szukając oparcia, ale chybił. Widziałam, jak jego przekrwione oczy rozrzesza zdziwienie, kiedy zdał sobie sprawę, że ja chcę, by on się zabił. Przez moment czułam dla niego prawie litość. Przypomniałam sobie wspaniałego mężczyznę, w którym się zakochałam, i pożałowałam tego, co uczyniłam. Ale było już za późno. – Elinor kolejny raz przerwała opowieść. Oczami wyobraźni oglądała raz jeszcze, jak mąż spada ze schodów, kilkakrotnie koziółkuje, w końcu wali się na plecy z zamkniętymi oczami.

Pokiwała głową ze smutkiem.

– Widziałam wielu martwych ludzi; byłam pewna, że nie żyje. Nie chciałam go dotykać. Postanowiłam, że najrozsądniej zrobię, zostawiając go tam, leżącego w holu. Pamiętam, że myślałam bardzo trzeźwo. Raz w życiu czułam, że to ja decyduję. Później postanowiłam, że zapomnę o rzeczywistości i zachowam w umyśle całkowicie przerobioną scenę. Powtarzałam ją sobie z nadzieją, że z czasem tylko ona utrwali mi się w pamięci.

Elinor przypomniawszy sobie jeszcze, że wpatrywała się w ciało Billy'ego i czuła ulgę, orzeźwiająca jak morską bryza. Wzięła głęboki oddech i pozwoliła sobie na zatopienie się w swoich prawdziwych uczuciach. Przez te kilka minut mogła nienawidzić męża za to, co zrobił z ich małżeństwem...

Miranda oparła się o krzesło i potrząsnęła głową, nadal nie rozumiejąc, dlaczego ta historia miała być dla nich taka istotna. Skonsternowana, zapytała:

– Więc po prostu wróciłaś do łóżka?

Elinor pokręciła głową i z trudem wyjąkała:

– Nie. Stałam tam i patrzyłam na niego i nagle... on otworzył oczy. – I znów

ogarnęło ją to samo przerażenie, które poczuła, kiedy Billy popatrzył na nią złośliwie, oczami podkrążonymi i przekrwionymi. „Poczekaj ty”, powiedział, a zaraz potem zaczął wymiotować. Przerazona Elinor wpatrywała się w niego i przypominała sobie, ile to razy musiała sprzątać po nim wymiociny, żeby nikt ich nie zobaczył. Ile razy z poświęceniem pomagała mu i usługiwała.

I przez jeden zaskakujący moment wściekłe spojrzenie Billy’ego przywołało w jej pamięci inny obraz, dawno zapomniany: fragmenty wspomnień, o którym myślała, że nigdy się już nie wyłonią. Poczowała w głowie uderzenia, jakby rozpętała się w niej burza z piorunami. Jej myśli kłębiły się jak wystraszone ptaki. Billy wpatrywał się w nią, a ona czuła tę samą rozpacz i beznadziejność, które ogarniały ją, kiedy stała przed swoim ojcem wpatrzonym w nią, tak jak mąż teraz, z pogardliwą wrogością.

Nagle przeszła ją gwałtowna wściekłość. Zapra gnęła zawyć, jak jakaś poganka do swoich bogów, bo ją oszukano: chciała się uwolnić, mściła się. Już była wolna, a teraz okazywało to się stracone...

– Babciu, co ty zrobiłaś? – przeraziła się Miranda.

Elinor wzdrygnęła się, zamrugła i oszołomiona popatrzyła po czterech twarzach przed sobą. Odezwała się cicho:

– Pobiegnęłam na górę i wzięłam z łóżka poduszkę. Potem szybko wróciłam na dół i... przyłożyłam ją do twarzy Billy’ego. – Zakryła jego złe oczy. Starał się uwolnić. Zaczął się trząść i podskakiwać w ostatnich drgawkach. Zebrała resztkę sił i całym ciałem napa rła na męża. Stopniowo drgania ustępowały; najpóźniej przestały dygotać ręce wystające nad poduszką. W końcu ustały zupełnie.

– Nie wiem, jak długo tam leżałam – oświadczyła Elinor. – Pamiętam, że nie ruszyłam poduszki, dopóki stojący zegar nie wybił pierwszej. – Wstała zupełnie wycieńczona, nagle pozbawiona energii, i z odległości popatrzyła na umazaną wymiocinami poszewkę. Zdjęła ją z poduszki; należało ją wyprać. Była całkowicie spokojna.

W kuchni zapadła cisza. Zdumione słuchaczki nie mogły wydusić z siebie jednego słowa.

W końcu Elinor znowu się odezwała:

– Bałam się, że Annabel coś słyszała, a może nawet widziała...

– Nie – zaprzeczyła wnuczka. – Nic nie widziałam. Pamiętam tylko, że przyniosłaś Śnieżkę do mojego pokoju, a następnego dnia ogrodnik zabrał ją do weterynarza.

– Po tym jak położyłam kota w twoim łóżku, czekałam przy tobie, aż zaśniesz –

wyjaśniła Elinor. – Na szczęście Buzz się nie obudziła. Jej pokój położony był w głębi domu, nad kuchnią. Pamiętam, z jakim spokojem oblałam ciało Billy'ego alkoholem, uprałam poszewkę, a następnie przyszyłam do szlafroka oderwane koronki.

– Przeżona tym, co zrobiłam, nie spałam przez całą noc. Pragnęłam obudzić Buzz, jednak nie chciałam wplątywać jej w... morderstwo.

Powoli rozejrzała się dokoła, krótko zatrzymując wzrok na każdej twarzy, czekając na reakcję.

Klara przypomniała sobie oprawioną w srebrną ramkę fotografię stojącą przy łóżku Elinor i dziwiła się, jak babka mogła zasypiać obok tej uśmiechniętej twarzy, mając tyle na sumieniu. Nagle uświadomiła sobie, że ten jasnooki mężczyzna na zdjęciu był tym, którego Elinor postanowiła zapamiętać. Wytwór jej wyobraźni zastąpił rozpustnego pijaka-tyrana, którego zabiła.

– Nie powiem, że go żałuję – odezwała się Buzz. – Billy był paskudnym zbirem. Starał się zniszczyć wszystko, co zrobiłaś dla dzieci. Moim zdaniem zginął, ponieważ musiałaś je przed nim chronić.

– Tak właśnie to sobie wytłumaczyłam – mruknęła Elinor. – Ale wiem też, że... zrobiłam to, by... chronić samą siebie.

– Nadal uważam, że mu się należało – upierała się Buzz stanowczo.

– Biedactwo – odezwała się Annabel. – Pewnie strasznie się bałaś.

– Nie – zaprzeczyła babka. – Na początku byłam na to za bardzo zła. Nie przejmowałam się tym, czy mnie złapią, choć w tamtych czasach za morderstwo wieszano. Później, owszem, bałam się i ten strach nigdy mnie nie opuścił. Trzęsłam się i serce zaczynało mi mocno bić za każdym razem, kiedy zobaczyłam rower sierżanta Watsona na podjeździe. Ale, dzięki Bogu, zawsze okazywało się, że przyjeżdżał w jakiejś mało znaczącej sprawie. – Spojrzała na Buzz. – Bardzo chciałam ci się zwierzyć. Nigdy się na to nie odważyłam. Przerażało mnie myśl o powiedzeniu o tym komukolwiek. Jednak zawsze zastanawiałam się, czy...

Buzz powoli pokiwała głową.

– Tak, wiedziałam.

– Skąd?!

– Wróciłam wtedy z kościoła stosunkowo wcześniej i o jedenastej już spałam. Wstałam o szóstej rano i zesłam na dół, żeby zrobić sobie filiżankę herbaty. W rzeczywistości to ja, a nie służąca, pierwsza znalazłam Billy'ego. I zauważyłam jedną rzecz, o której zapomniałaś – skrawek koronki, zamknięty w jego zaciśniętej dłoni. Wyciągnęłam ją i spaliłam.

Miranda nie wytrzymała i zapytała:

– Babciu, dlaczego mówisz nam to właśnie teraz? Po tylu latach. Sama mi kiedyś powiedziałaś, że każdy ma prawo bronić swojej prywatności.

Elinor zmierzyła ją wzrokiem.

– Ponieważ chciałam, żebyście zobaczyły – a także usłyszały to z moich ust – jakie są niebezpieczeństwa oszukiwania samego siebie. Wreszcie to zrozumiałam i mówiąc to może trochę się oczyszczam – przed wami, świadkami zniszczenia, do którego doszło przez moje zakłamanie.

– Mam nadzieję, że teraz rozumiecie, jak ważna jest wiara w siebie i walka o siebie; tak właśnie powinnam postępować w przeszłości. Powinnam była sprzeciwić się Billy'emu albo od niego odejść. Jakoś bym sobie dała radę, stanęłabym na nogach, ale nie miałam do siebie nawet na tyle zaufania, żeby przynajmniej spróbować. – Popatrzyła po słuchających i z naciskiem stwierdziła: – Gdybym od początku jasno powiedziała Billy'emu, że nie zgadzam się na jego chorobliwe folgowanie własnym zachciankom, może jego zachowanie nie pogarszałoby się, jak to zawsze bywa, kiedy się kogoś nie kontroluje.

– Wiem, co przez to rozumiesz – przyznała Klara, myśląc o Samie.

Buzz powiedziała uspokajającym głosem:

– No cóż, teraz, kiedy wiemy już, co się zdarzyło, nie widzę powodu, żeby do tego wracać. To już przeszłość.

– Przeszłość zawsze pozostaje częścią terażniejszości – przypomniała Elinor. – I wy trzy nigdy nie powinniście o tym zapominać.

Klara odsunęła krzesło, obiegła stół i przytuliła się do babki.

– Jestem dumna, że w końcu zdobyłaś się na spojrzenie prawdzie w oczy.

– A ja jestem dumna z ciebie, babciu, bo zawsze walczyłaś i przetrwałaś. Chociaż sama w to nie wierzyłaś, zawsze umiałaś dbać o siebie. Nie potrzebowałaś nikogo, by cię ochraniał. Tak tylko ci się wydawało.

Po chwili Annabel powiedziała z nadzieją w głosie:

– A teraz już wszystkie się nauczyłyśmy, jak mocno stać na własnych nogach, prawda?

Miranda westchnęła.

– To była kosztowna nauka.

– Każde cenne doświadczenie dużo kosztuje.

– Ale nie jest warte straconego zaufania – zauważyła Klara.

– A właśnie – ze złością dołączyła się Miranda – jest jedna rzecz, której w końcu wszystkie się nauczyłyśmy...

– Och, tak – Klara posłała jej lekki uśmiech. – W końcu zrozumialiśmy, że... „tatko wcale nie wie wszystkiego najlepiej”.

EPILOG

Wolność: swoboda przed arbitralną lub despotyczną władzą; możliwość czynienia, co komu odpowiada; możliwość wyboru; niezależność; wartość lub stan bycia wolnym.